

Martha Hall **KELLY**

Liliowe
DZIEWCZYNINY

Przełożyła
Julia Szajkowska

Prószyński i S-ka

*Mojemu mężowi, Michaelowi,
przy którym moje serce nadal stuka.*

CZĘŚĆ PIERWSZA

Rozdział 1
Caroline
Wrzesień 1939

Gdybym wiedziała, że lada chwila poznam mężczyznę, który roztrzaska moje życie na drobne kawałki niczym szkliwo na terakocie, w ogóle nie wstałabym rano z łóżka. Ale wstałam, a nawet więcej – zerwałam z łóżka pana Sitwella, który prowadził kwiaciarnię, żeby przygotował dla mnie bukiet do butonierki. Nie miałam zamiaru zwalczać przyjętych reguł w czasie wydawanego przez konsulat pierwszego przyjęcia, za które byłam odpowiedzialna.

Dałam się porwać tłumowi sunącemu Piątą Aleją. Mężczyźni w szarych filcowych fedorach przepychali się obok, niosąc w aktówkach poranne gazety z ostatnimi pogodnymi nagłówkami w tej dekadzie. Tego dnia nad horyzontem na wschodzie nie zbierały się gradowe chmury, nic nie zwiastowało tego, co miało nadejść. Jedyńm złowieszczym zwiastunem nadciągającym od Europy była woń przyływu dolatująca znad East River.

Gdy dotarłam do budynku stojącego na rogu Piątej Alei i Czterdziestej Dziewiątej Ulicy, poczułam na sobie wzrok Rogera. Zwalniał już ludzi za mniejsze przewinienia niż dwudziestominutowe spóźnienie, ale tego jedyne go wieczoru w roku, kiedy nowojorskie elity otwierały portfele i udawały, że przejmują się losem Francji, nie warto było oszczędzać na butonierkach.

Skręciłam na rogu, a poranne słońce zatańczyło wesoło na złoconych literach wyciętych w narożniku: LA MAISON FRANÇAISE. Dom Francuski – siedziba konsulatu francuskiego mieszcząca się w jednym z budynków Rockefeller Center, nowego kompleksu wieżowców z granitu i piaskowca postawionych przez Rockefellera Juniora – stał tuż obok British Empire Building, spoglądając na Piątą Aleję. Nie był to zresztą jedyny konsulat, jaki mieścił się w tym budynku, przez co okolica aż kipiała od międzynarodowej dyplomacji.

– Proszę się cofnąć i stanąć twarzą do wyjścia – powiedział Cuddy, nasz windziarz.

Pan Rockefeller sam wybierał windziarzy, dbając, by każdy z nich miał nienaganne maniery i odpowiedni wygląd. Cuddy był przystojnym

mężczyzną, choć jego ciemne włosy przyprószyła już siwizna, a po ciele widać było wiek.

Windziarz utkwił spojrzenie w świecących nad drzwiami numerach kolejnych mijanych przez nas pięter.

– Macie tam teraz niezły tłum, panno Ferriday. Pia mówiła, że przyplłynęły dwa nowe statki.

– Wspaniale – oznajmiłam.

Cuddy strzepnął pyłek z rękawa granatowej marynarki munduru i zapytał: – Kolejna nocka przed panienką?

Jak na jedną z najszybszych wind świata, ta wydawała się jechać całą wieczność.

– Wychodzę dziś przed piątą. Mamy przyjęcie.

Uwielbiałam swoją pracę. Tradycję pracy kobiet w naszej rodzinie zapoczątkowała babcia Woolsey, która własnoręcznie opatrywała, a później pielęgnowała rannych pod Gettysburgiem. Oczywiście mój wolontariat na stanowisku kierowniczkini do spraw pomocy rodzinom przy konsulacie francuskim nie był prawdziwą pracą. Miłość do Francji miałam we krwi. Ojciec był wprawdzie w połowie Irlandczykiem,

ale serce oddał Francji. Do tego mama odziedziczyła mieszkanie w Paryżu, gdzie spędzaliśmy każdy sierpień, więc Francja stała się dla mnie drugim domem.

Winda się zatrzymała. Nawet przez zamknięte drzwi docierała do nas wrzawa podniesionych głosów.

Przebiegł mnie dreszcz.

– Trzecie piętro – oznajmił Cuddy. – Konsulat francuski. Proszę uważać na... Gdy drzwi się otworzyły, wszelkie grzecznościowe formułki zginęły we wszechogarniającym zgiełku.

Korytarz przed naszym sekretariatem był tak wypełniony ludźmi, że ledwie dawało się między nimi przejść. Tego ranka do nabrzeża nowojorskiego portu przybiły oba reprezentacyjne liniowce oceaniczne Francji: „Normandie” i „Ile de France”, a każdy z nich miał na pokładzie setki zamożnych pasażerów uciekających przed niepewnymi czasami we Francji. Gdy tylko rozległ się dźwięk syreny zezwalający na zejście na ląd, pokładowe elity ruszyły szturmem na konsulat, by wyjaśnić kwestię wiz oraz wszelkie inne niewygodne sprawy.

Wcisnęłam się do zadymionego sekretariatu, mijając panie w sukniach prosto z paryskich pokazów mody, które wymieniały teraz ploteczki w chmurze unoszącego się nad nimi cudownego zapachu Arpège mieszającego się z morską bryzą nadal dającą się wyczuć w ich włosach.

Ludzie tego pokroju przywykli, że krok w krok sunie za nimi lokaj uzbrojony w kryształową popielnicę i kieliszek szampana.

Naprzeciwko siebie, jakby gotowi do walki, stali odziani w czerwone kurtki stewardzi z „Normandie”

i mający na sobie czarne marynarki chłopcy z „Ile de France”.

Wbiłam się ramieniem w tłum, usiłując utorować sobie przejście do stojącego pod ścianą biurka sekretarki, gdy szyfonowy szal owinięty dookoła mojej szyi zahaczył o zapięcie sznura pereł jednej z tych uroczych istot. Próbowałam właśnie uwolnić się z tej pułapki, gdy na biurku zabrzączał dzwonek nieodebranego interkomu.

Roger.

Naparłam znów na tłum i w tym momencie poczułam lekkie klepięcie w tylną część ciała. Gdy się obróciłam, zobaczyłam wyszczerzone w uśmiechu, pokryte osadem zęby jednego z aspirantów.

– Gardons nos mains pour nous-mêmes – powiedziałam. Trzymajmy ręce przy sobie.

Chłopak uniósł rękę ponad tłum i pokiwał kluczami od własnej kabiny na pokładzie „Normandie”.

Przynajmniej nie był jednym z tych sześćdziesięciolatków, których uwagę zawsze przyciągam.

Udało mi się dotrzeć do biurka sekretarki. Pia siedziała przy nim niewzruszona, pisząc coś na maszynie.

– Bonjour, Pia.

Kuzyn Rogera, osiemnastoletni chłopak o oczach jak owoce tarniny, siedział na biurku Pii ze skrzyżowanymi nogami. W palcach trzymał papierosa i przebierał zawartość bombonierki – ulubionego śniadania Pii. Stojąca na biurku skrzynka z moim nazwiskiem była już w całości wypełniona teczkami czekających na załatwienie spraw.

– Vraiment? A co w nim takiego dobrego? – odparła, nie unosząc nawet głowy.

Pia była kimś więcej niż tylko sekretarką. Każde z nas miało mnóstwo obowiązków, a do niej należało między innymi przyjmowanie nowych interesantów i zakładanie im teczek, odpisywanie na pokaźną liczbę listów, jaka napływała do Rogera, odszyfrowywanie zalewających nas szyfrowanych meldunków nadawanych morsem, które wytyczały rytm funkcjonowania naszego biura.

– Skąd tu taki rejwach? – zapytałam. – Pia, telefon dzwoni.

Pia wyłowila kolejną czekoladkę z pudełka.

– Tak właśnie robi.

Pia przyciągała chłopców, jakby emitowała fale rejestrowane wyłącznie przez mężczyzn. Miała w sobie jakiś zwierzęcy urok, ale podejrzewałam, że swoją popularność zawdzięczała przede wszystkim obcisłym sweterkom.

– Możesz zająć się dziś częścią moich spraw?

– Roger powiedział, że mam się stąd nie ruszać ani na krok. – Przebiła spód czekoladki perfekcyjnie zrobionym paznokciem kciuka i zaczęła wyjadać krem truskawkowy. – Poza tym chce cię natychmiast widzieć, ale wydaje mi się, że ta kobieta na sofie przespała w korytarzu całą noc. – Pia pomachała mi przed nosem połową studenckiego banknotu. – A grubas z psami mówi, że da ci drugą połowę, jeśli przyjmiesz go w pierwszej kolejności. – Tu wskazała głową w kierunku dobrze odżywionych kobiety i mężczyzny, którzy ulokowali się niedaleko drzwi do mojego pokoju. Każde z nich trzymało w ręku smycz, a u ich nóg stały dwa szare jamniki w kagańcach.

Moja praca, tak samo zresztą jak Pii, obejmowała szeroki zakres obowiązków. Należało do nich między innymi zajmowanie się potrzebami obywateli francuskich, którzy przebywali w Nowym Jorku – często rodzin, które nie poradziły sobie w trudnych czasach – i nadzorowanie mojego Funduszu na rzecz Francuskich Rodzin, za którego pośrednictwem wysyłałam paczki z pomocą do francuskich sierocińców.

W porównaniu z zakończoną właśnie prawie dwie dekady trwającą karierą na Broadwayu moje obecne zajęcia to była kaszka z mleczkiem. A na pewno nie wymagały ode mnie pakowania i rozpakowywania ogromnych ilości bagaży.

W tym momencie w drzwiach gabinetu stanął Roger Fortier, mój szef.

– Caroline, jesteś mi potrzebna natychmiast. Bonnet odwołał wystąpienie.

– Nie mówisz chyba poważnie, Roger? – Poczułam się, jakby ktoś zdzielił mnie obuchem. Już kilka miesięcy wcześniej zdołałam przekonać francuskiego ministra spraw zagranicznych, by wygłosił mowę powitalną na naszej gali.

– Teraz chyba nikt nie chciałby być francuskim ministrem spraw zagranicznych – mruknął przez ramię, wchodząc z powrotem do gabinetu.

Poszłam do siebie i szybko przejrzałam stojące na biurku koło z wizytówkami. Czy Ajahn Chah, buddyjski mnich zaprzyjaźniony z moją matką, miał dziś wieczorem czas?

– Caroline... – zawołał Roger. Chwyciłam koło z adresami i

pośpieszyłam do jego gabinetu, zgrabnie omijając właścicieli jamników, którzy za wszelką cenę starali się wyglądać niczym wcielenie nędzy i rozpacz.

– Dlaczego się dziś spóźniłaś? – zapytał Roger. – Pia jest tu już od dwóch godzin.

Roger Fortier, konsul generalny, zarządzał wszystkim z narożnego apartamentu z imponującym widokiem na Rockefeller Plaza i Promenade Cafe. Zimą ten najniżej położony punkt kompleksu zajmowało słynne lodowisko, ale teraz, latem, gdy było zamknięte, w tym miejscu stały kawiarniane stoliki. Między nimi uwijali się kelnerzy we frakach i fartuchach do kostek. Ponad nimi potężny złoty Prometeusz Paula Manshipa upadał na ziemię, trzymając nad głową skradziony ogień. Za nimi prosto w szafirowe niebo pisał się wysoki na siedemdziesiąt pięter RCA Building. Roger miał wiele wspólnego z imponującym reliefem przedstawiającym Mądrość na frezie nad wejściem do budynku. Zmarszczone brwi. Broda. Gniewny wzrok.

– Wstąpiłam po kwiaty do butonierki Bonneta... – Tak, to rzeczywiście odpowiedni powód, by kazać czekać połowie Francji. – Roger ugryzł pączka,

a cukier puder osypał się mu na brodę. Mimo krzepkiej postury nigdy nie narzekał na brak zainteresowania płci pięknej.

Na jego biurku piętrzyły się teczki, poufne dokumenty i akta zaginionych Francuzów. Wedle Przewodnika konsulatu francuskiego Roger miał „pomagać obywatelom Francji w Nowym Jorku w razie kradzieży, poważnej choroby, aresztowania czy w sprawach związanych z wydaniem aktu urodzenia, przeprowadzenia adopcji, utraty lub kradzieży dokumentów; ponadto planować wizyty francuskich oficjeli i dyplomatów, pomagać w rozwiązywaniu trudności natury politycznej i w usuwaniu skutków katastrof naturalnych”. Niepokoje w Europie zapewniły nam mnóstwo pracy w związku z każdą z tych kategorii, jeśli zaliczyć Hitlera do katastrof naturalnych.

– Roger, mam dziś trochę do zrobienia... Pchnął w moją stronę szarą teczkę, która przejechała płynnie po wypolerowanym blacie stołu konferencyjnego.

– Nie mamy prowadzącego, ale to nie wszystko. Spędziłem pół nocy, przepisując mowę Bonneta.

Musiałem jakoś obejść to, że Roosevelt zgodził się sprzedać Francji amerykańskie samoloty.

– Francja powinna mieć prawo kupować samoloty, jakie tylko chce.

– Caroline, staramy się zebrać fundusze. To nie pora, by zrażać do siebie izolacjonistów. Szczególnie tych bogatych.

– Oni i tak nie wspierają Francji.

– Nie potrzeba nam więcej złej prasy. Czy USA nie czują się zbyt wygodnie z Francją? Czy to nie pchnie Niemiec i Rosji ku sobie? Nie jestem w stanie skończyć spokojnie trzeciego dania, żeby nie dopadł mnie jakiś reporter. A, i nie wolno nam wspominać o Rockefellerach... Nie potrzebujemy następnego telefonu od Juniora. Chociaż skoro Bonnet się odwołał, pewnie i tak tego nie uniknę.

– Roger, to tragedia.

– Może powinniśmy odwołać całą imprezę. – Roger przeczesał włosy długimi palcami, rzeźbiąc świeże jary w pokładach brylantyny.

– I zwrócić czterdzieści tysięcy dolarów? A co z Funduszem na rzecz Francuskich Rodzin? Ciągnę już resztką sił. No i zapłaciliśmy za prawie pięć kilo sałatki Waldorf... – Oni nazywają to sałatką? – Roger przerzucił szybko swoje wizytówki, z których połowa była nieczytelna i koszmarnie pokreślona. – To pathétique... posiekany seler i jabłka. A do tego rozmoczone orzechy włoskie... Przeglądałam zebrane w adresowniku wizytówki, szukając kogoś dobrze znanego, kto mógłby zastąpić ministra. Mama i ja znałyśmy Julię Marlowe, słynną aktorkę, ale ta odbywała akurat tournée po Europie.

– Może Peter Patout? Ludzie mamy korzystali z jego usług.

– Ten architekt?

– Od Wystawy Światowej. Mieli tam ponaddwumetrowego robota.

– Nuda – zawyrokował, stukając ostrzem srebrnego noża do papieru o wnętrze dłoni.

Dotarłam do litery L.

– To może kapitan Lehude?

– Z „Normandie”? Żartujesz chyba. Jemu płacą za to, żeby był nudny.

– Nie możesz z góry odrzucać każdej propozycji, Roger. To może Paul Rodierre? Jeśli wierzyć Betty, to wszyscy o nim mówią.

Roger zagryzł wargi, a to zawsze dobry znak.

– Aktor, czy tak? Widziałem go na scenie. Jest dobry. Wysoki i przystojny, jeśli lubi się ten typ. Szybki metabolizm, oczywiście.

– On przynajmniej da radę zapamiętać treść wystąpienia.

– Jest z lekka nieprzewidywalny. No i żonaty, więc bez żadnych głupich myśli.

– Skończyłam z mężczyznami, Roger – odparłam. W wieku

trzydziestu siedmiu lat pogodziłam się już z myślą o staropanieństwie.

– Nie wiem, czy Rodierre da się namówić. Spróbuj coś ugrać, ale pamiętaj, że ma trzymać się scenariusza. Ani słowa o Rooseveltcie... – ... ani o Rockefellerach – dokończyłam.

W przerwach między załatwianiem poszczególnych spraw obdzwoniłam kilka osób mogących nadawać się na ostatnią deskę ratunku, lecz ostatecznie została mi tylko jedna opcja. Paul Rodierre. Był w Nowym Jorku, występował tu w Broadhurst Theatre w rewii *The Streets of Paris*, którą debiutująca w Stanach Carmen Miranda szturmem zdobyła Broadway.

Zadzwoiłam do agencji Williama Morrisa, gdzie usłyszałam, że sprawdzą, co da się zrobić, i oddzwonią do mnie. Dziesięć minut później agent Rodierre'a powiedział mi, że tego wieczoru nie ma spektaklu i że jego klient, choć nie dysponuje strojem wieczorowym, będzie zaszczycony, mogąc prowadzić naszą galę. Postanowiliśmy spotkać się w hotelu Waldorf, żeby omówić szczegóły. Miałyśmy na Piętnastej Wschodniej, dosłownie rzut kamieniem od hotelu, apartament, więc szybko poszłam tam przebrać się w czarną sukienkę mamy od Chanel.

Zastałam Rodierre'a siedzącego przy kawiarnianym stoliku w mieszczącej się w Waldorfie tuż przy hotelowym holu restauracji Peacock Alley. Gdy wchodziłam do środka, cudny dwutonowy zegar z brązu wybił właśnie połowę godziny. Zaproszeni na galę, wszyscy w najprzedniejszych strojach, zaczęli zmierzać do znajdującej się na piętrze Wielkiej Sali Balowej.

– Monsieur Rodierre? – zapytałam. Roger nie mylił się co do atrakcyjności. Pierwszym, co zauważało się w Paulu Rodierre, gdy tylko minął początkowy szok wywołany jego urodą, był uśmiech. – Jak mam panu dziękować, monsieur, że zgodził się pan uratować nas w ostatniej chwili?

Rodierre wstał z krzesła, prezentując się w całej okazałości, a trzeba było przyznać, że z taką sylwetką powinien raczej wiosłować w wyścigu *Head of the Charles* niż grać na Broadwayu. Chciał pocałować mnie w policzek, ale wyciągnęłam dłoń na powitanie, a Rodierre ją uścisnął. Miło było wreszcie spotkać mężczyznę mojego wzrostu.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Problemem był jego wygląd. Miał na sobie zielone spodnie, sportową marynarkę z fioletowego aksamitu, brązowe półbuty z zamszu i na dobitkę czarną koszulę. Czarne koszule nosili wyłącznie księża i faszyci. No i gangsterzy.

– Chciałby się pan przebrać? – Z trudem powstrzymałam się przed przyglądaniem mu włosów, które były tak długie, że mógł zebrać je na plecach zwykłą recepturką. – A może ogolić?

Jego agent utrzymywał, że Rodierre zatrzymał się w tym hotelu, więc jego brzytwa musiała leżeć zaledwie kilka pięter nad nami.

– Wystąpię tak – odparł, wzruszając ramionami. Jak to aktor. Mogłam to przecież przewidzieć.

Strumień gości sunących do sali balowej rósł z każdą minutą: kobiety zachwyciły się elegancją, towarzyszący im mężczyźni mieli na sobie fraki i skórzane oksfordy lub lakierki.

– To moje pierwsze przyjęcie tego rodzaju – powiedziałam. – I jedyna okazja, żeby konsulat mógł zebrać fundusze. Wymagany jest strój wieczorowy. – Czy wszedłby w stary smoking ojca? Spodnie pasowałyby na długość, ale marynarka na pewno byłaby za ciasna w barach.

– Czy pani jest zawsze tak, hmm, pobudzona, panno Ferriday?

– Cóż, w Nowym Jorku indywidualizm nie zawsze jest w cenie. –

Podaliśmy mu spięte zszywką kartki przemówienia. – Podejrzewam, że chciałby pan przejrzeć plan wystąpienia.

Oddał mi je natychmiast.

– Nie, merci.

Wepchnęłam mu kartki w dłoń.

– Ale to tekst przygotowany przez samego konsula.

– Proszę mi przypomnieć, dlaczego mam tam iść?

– Zbieramy fundusze na całoroczną pomoc dla wysiedlonych obywateli francuskich oraz dla Funduszu na rzecz Francuskich Rodzin, który prowadzę przy konsulacie. Pomagamy osieroconym dzieciom z Francji. Przez te niepokoje za granicą staliśmy się jedynym źródłem ubrań i żywności, na które mogą ciągle liczyć. No i Rockefellerowie też tam dziś będą.

Rodierre przekartkował strony przemówienia.

– Mogliby po prostu wypisać czek i uniknąć całej tej szopki.

– Są jednymi z naszych najbardziej szczodrych darczyńców, ale proszę o nich nie wspominać. Ani o prezydencie Rooseveltcie. Ani o samolotach, które Francja kupiła od Stanów. Niektórzy z naszych gości, choć oczywiście kochają Francję, woleliby jednak nie mieszać się w sprawy wojny. Roger chce uniknąć kontrowersji.

– Unikanie tematu nigdy nie brzmi wiarygodnie. I publiczność to czuje.

– Może się pan po prostu trzymać planu, monsieur?

– Nadmierne obawy mogą prowadzić do ataku serca, panno Ferriday. Wyciągnęłam szpilkę z konwalii.

– Proszę. Kwiat do butonierki dla gościa honorowego.

– Muguet? – zdumiał się Rodierre. – Gdzie znalazła pani konwalie o tej porze roku?

– W Nowym Jorku można dostać wszystko. Nasza florystka wyciska je z nasion.

Uniosłam klapę jego marynarki i wbiłam szpilkę głęboko we francuski aksamit. Czy to zapach kwiatów, czy mężczyzny tak zawrócił mi w głowie? Dlaczego Amerykanie nie mogą tak pachnieć – tuberozą i drewnem, piżmem i... – Wie pani oczywiście, że konwalie są trujące? – zagadnął.

– W takim razie niech ich pan nie je. A przynajmniej nie przed ukończeniem mowy. Albo dopóki ludzie pana nie zirytują.

Zaśmiał się, przez co odsunęłam się nieco. Tak szczerzy śmiech zdarzał się naprawdę rzadko w dobrze ułożonym towarzystwie, szczególnie jeśli chodziło o moje żarty.

Odprowadziłam Rodierre'a za kulisy i zatrzymałam się na chwilę zdziwiona rozmiarem sceny. Była dwa razy większa niż ta, na której występowałam na Broadwayu. Spoglądaliśmy przez całą szerokość sali balowej na morze rozświetlonych świecami stolików, które w ciemnościach przywodziły na myśl statki tonące w mroku. Wielki kryształowy żyrandol Waterford i sześć jego satelitów, choć mocno przygaszonych, migotało jednak nad salą.

– Jest ogromna – powiedziała, wodząc wzrokiem po scenie. – Da pan radę?

Rodierre odwrócił się w moją stronę.

– Panno Ferriday, przecież tak zarabiam na życie.

Nie chcąc urazić go bardziej, zostawiłam Paula Rodierre'a z notatkami do wystąpienia za kulisami, starając się jednocześnie pozbyć objawów obsesji na punkcie brązowych butów z zamszu. Ruszyłam w kierunku sali balowej, by sprawdzić, czy Pia wcieliła w życie wytyczne dotyczące rozsadzenia gości – plan bardziej szczegółowy i znacznie niebezpieczniejszy niż rozkład lotów Luftwaffe. Okazało się, że Pia tylko rozrzuciła kilka wizytówek na sześciu stołach Rockefellerów, więc szybko je pozbierałam i ułożyłam w odpowiedni sposób. Potem zajęłam miejsce tuż przy scenie, między kuchnią a głównym stołem. Ogromną salę otaczały trzy kondygnacje wyłożonych czerwienią łóż, a w każdej z nich stał osobny stół nakryty do uroczystej kolacji. Wszystkie tysiąc siedemset

miejsc miało być zajętych i gdyby coś poszło niezgodnie z planem, mielibyśmy do czynienia z naprawdę dużą grupą niezadowolonych ludzi.

Goście powoli zaczęli się schodzić i zajmować miejsca. Na salę wlała się fala białych much, diamentów ze starych kopalni i kreacji z rue du Faubourg Saint-Honoré w takich ilościach, że tamtejsze butikiki z pewnością zostały całkowicie ogołoczone. Same tylko gorsety wystarczyłyby, żeby wyrobić plan sprzedaży w trzecim kwartale u Bergdorfa i Goodmana.

Obok mnie ustawił się rząd dziennikarzy. Wyciągali zza uszu ołówki, szykując się do notowania.

Stojący przy moim ramieniu główny kelner wypatrywał, czy goście przy stolikach potrzebują już obsługi.

Na salę weszła Elsa Maxwell – plotkarka, profesjonalna gospodyni przyjęć i kobieta, która non plus ultra sama tworzyła swoją legendę. Czy zdejmie rękawiczki, żeby potem metodycznie roznieść to przyjęcie na strzępy w swoim dziale, czy może po prostu zapamięta wszystkie nasze niedociągnięcia?

Niemal wszystkie miejsca przy stołach były zajęte, gdy przybyła pani Korneliuszowa Vanderbilt, znana Rogerowi jako „Jej Miłość”, z nieodzownym czteropoziomowym diamentowym naszyjnikiem od Cartiera zdobiącym jej pierś. W chwili gdy dolna część pleców pani Vanderbilt dotknęła poduszki krzesła, a jej etola z lisa – całego, z głową i łapami – spłynęła po oparciu krzesła, dałam znak, by kelnerzy zaczęli obsługiwać gości. Światła przygasły, a na podium wyłonione z mroku promieniem reflektora wyszedł Roger, przywitany zaraz szczerymi oklaskami. W życiu, nawet podczas własnych występów, nie denerwowałam się tak jak w tamtej chwili.

– Mesdames et messieurs, pan minister Bonnet przesyła najgłębsze wyrazy żalu, gdyż niestety nie mógł zjawić się, by być tu dziś z nami.

Ludzie zamruczeli w odpowiedzi, nie wiedząc, jak zareagować na to rozczarowanie. Czy prosić listownie o zwrot przekazanego datku? A może zadzwonić do Waszyngtonu?

Roger uniósł dłoń.

– Ale przekonaliśmy innego znakomitego Francuza, by zechciał zabrać dziś głos. Choć nie piastuje on posady państwowej, to obsadza obecnie jedną z najważniejszych ról na Broadwayu.

Goście zaczęli szeptać między sobą. Wszyscy lubią niespodzianki, pod warunkiem że są one dobre.

– Pozwólcie mi państwo powitać pana Paula Rodierre’a.

Rodierre minął podium i ruszył na środek sceny. Co on sobie wymyślił? Snop reflektora krążył przez chwilę po scenie, starając się go zlokalizować. Roger zasiadł przy głównym stole obok pani Vanderbilt.

Stałam w pobliżu, ale poza zasięgiem duszenia.

– Jest mi ogromnie miło, że mogę tu dziś z państwem być. – Paul Rodierre rozpoczął przemówienie, gdy tylko odnalazło go światło reflektora. – Bardzo mi przykro, że pan Bonnet nie zdołał się pojawić.

Nawet bez mikrofonu jego głos docierał do najdalszych zakamarków sali, a sam Rodierre niemal błyszczał w snopie światła.

– Jestem zaledwie miernym zastępstwem tak szacownej osoby. Mam nadzieję, że nie zawinił tu samolot pana ministra. A gdyby tak, to nie wątpię, że prezydent Roosevelt z radością wyśle mu nowy.

Po sali przetoczyła się fala nerwowego śmiechu. Nie musiałam patrzeć na dziennikarzy, by wiedzieć, że notują każde słowo. Roger, który sztukę tète-à-tète miał opanowaną do perfekcji, usiłował zabawić panią Vanderbilt rozmową, jednocześnie posyłając mi gromy oczami.

– To prawda, że zabroniono mi opowiadać państwu o polityce – kontynuował Rodierre.

– I dzięki Bogu! – zakrzyknął ktoś z tyłu sali. Tłum znów się zaśmiał, tym razem głośniej.

– Mogę jednak opowiedzieć wam o Ameryce, którą miałem okazję poznać. O miejscu, które zaskakuje mnie każdego dnia. To miejsce, gdzie ludzie otwartych umysłów przyjmują z radością nie tylko francuski teatr, książki, kino czy modę, ale także samych Francuzów, mimo naszych niewątpliwych wad.

– Cholera – wyrwało się stojącemu obok mnie dziennikarzowi, gdy złamał ołówek. Bez słowa podałam mu własny.

– Codziennie widzę ludzi pomagających innym. Amerykanów zainspirowanych postawą pani Roosevelt, która wyciągnęła pomocną dłoń aż przez Atlantyk do potrzebujących dzieci we Francji.

Amerykanów, takich jak panna Caroline Ferriday, która każdego dnia ciężko pracuje, by pomagać francuskim rodzinom tu, w Ameryce, i która dba, by sieroty we Francji miały w co się ubrać.

Roger i pani Vanderbilt spojrzeli w moją stronę. Reflektor odnalazł mnie pod ścianą i raz jeszcze oślepiło mnie tak dobrze znane mi światło. Jej Miłość zaczęła klaskać, a tłum poszedł w jej ślady.

Machałam, dopóki światło, szczęśliwie szybko, nie wróciło na środek sceny, pozwalając chłodnej ciemności schwytać mnie w objęcia. Nie tęskniłam bardzo za sceną, ale miło było znów poczuć na skórze

ciepło reflektora.

– To Ameryka nie waha się sprzedać samolotów ludziom, którzy stali ramię w ramię z jej synami w okopach Wielkiej Wojny. Ameryka nie lęka się utrzymać Hitlera z dala od ulic Paryża. Ameryka nie boi się znów stanąć przy naszym boku, gdyby znów zaszła taka konieczność...

Przyglądałam mu się, tylko czasem odważywszy się zerknąć na tłum. Ludzie byli tak pochłonięci słowami Rodierre'a, że z pewnością nikomu nie przyszło do głowy spoglądać na jego buty. Pół godziny minęło nie wiedzieć kiedy. Paul Rodierre skończył przemawiać i uklonił się, a ja odkryłam, że wstrzymuję oddech. Oklaski zaczęły się nieśmiało, ale szybko wezbrały gwałtownie i przetoczyły się przez salę niczym nawałnica tłukąca o dach wielkimi jak groch kroplami. Elsa Maxwell musiała osuszyć wilgotne oczy hotelową serwetką, a gdy publiczność poderwała się na nogi i odśpiewała Marsyliankę, nie żałowałam już, że Bonnet nie mógł pojawić się na przyjęciu. Nawet kelnerzy śpiewali, trzymając dłonie przy sercu.

Gdy zapalono światła, zobaczyłam, że Roger wyraźnie się rozluźnił i powitał cisnących się wokół głównego stołu ludzi, którzy pragnęli mu pogratulować. Gdy przyjęcie nabrało tempa, zniknął w Sali Tęczowej ze stadkiem naszych najbardziej hojnych dobroczyńców i grupką tancerek z zespołu Rockettes, jedynymi kobietami w Nowym Jorku, przy których wydawałam się niska.

Gdy wychodziliśmy z sali bankietowej, Paul Rodierre musnął moje ramię.

– Znam pewne miejsce nad Hudsonem, gdzie podają doskonałe wino.

– Muszę wracać do domu – powiedziałam, choć nic jeszcze nie jadłam. Przez myśl przemknęła mi wizja ciepłego chleba i ślimaków podanych w maśle, ale pokazywanie się sam na sam z żonatym mężczyzną nigdy nie jest dobrym pomysłem. – Nie dziś, panie Rodierre, ale dziękuję za zaproszenie.

Do domu miałam zaledwie kilka minut. Czekają na mnie zimne mieszkanie i resztki sałatki Waldorf.

– Kaze mi pani jeść w samotności po tym, jak odnieśliśmy taki sukces? – zapytał.

A właściwie dlaczego nie? Moi znajomi jadali wyłącznie w wybranych lokalach, które zresztą można było policzyć na palcach jednej ręki, i nigdy dalej niż w promieniu czterech przecznic od hotelu Waldorf.

A już na pewno nie nad Hudsonem. No i co niby złego mogło być w

jednej kolacji?

Pojechaliśmy taksówką do Le Grenier, cudownego baru na West Side. Francuskie transatlantyki wpływały w górę Hudsonu i dokowały na wysokości Pięćdziesiątej Pierwszej, przez co tam właśnie wyrosło, niczym grzyby po deszczu, kilka naprawdę wspaniałych małych lokali. Le Grenier funkcjonował w cieniu SS „Normandie”, na poddaszu jednego z dawnych budynków kapitanatu. Wysiedliśmy z taksówki, a „Normandie” wznosiła się nad naszymi głowami, jaśniejąca światłami reflektorów, rozświetlona czterema piętrami płonących iluminatorów. Spawacz pracujący na jej dziobie wysyłał w nocne niebo brzoskwiniowe iskry, a majtkowie opuszczali wzdłuż burty, do czekających na rusztowaniu malarzy, jeden z reflektorów. Stojąc pod tym wielkim, czarnym dziobem, w cieniu czerwonych kominów, z których każdy był większy niż którykolwiek z magazynów na nabrzeżu, poczułam się całkiem mała. W pachnącym końcem lata powietrzu czuło się sól niesioną od Atlantyku, który tu właśnie spotykał się ze słodkimi wodami Hudsonu.

W Le Grenier siedziało przyjemnie wyglądające towarzystwo, w znacznym stopniu złożone z przedstawicieli klasy średniej. Był wśród nich jeden z reporterów obecnych na gali, zdawało mi się też, że dostrzegam pasażerów transatlantyku uradowanych tym, że wreszcie stoją na stałym lądzie.

Wybraliśmy dla siebie przytulny, pokryty szelakiem drewniany boks, który sprawiał wrażenie, jakby wybudowano go wewnątrz statku, gdzie liczył się każdy centymetr. Starszy kelner w Le Grenier, monsieur Bernard, natychmiast zaczął przypochlebiać się Rodierre’owi i wyznał, że widział go w *The Streets of Paris* już trzy razy, a potem podzielił się szczegółami swojej kariery w Hoboken Community Theater.

Potem zwrócił się do mnie.

– A pani, mademoiselle? Czy przypadkiem nie widziałem pani na scenie z panną Helen Hayes?

– Aktorka? – zagadnął z uśmiechem Rodierre.

Z tak bliska był to wyjątkowo groźny uśmiech. Musiałam mocno mieć się na baczności, bo Francuzi zdecydowanie byli moją piętą achillesową. Podejrzewam, że gdyby Achilles był Francuzem, opiekowałabym się nim wytrwale, dopóki jego ścięgno całkiem by się nie wygoiło.

Monsieur Bernard ciągnął dalej: – Uważam, że te recenzje były całkowicie niezasłużone... – Chcielibyśmy zamówić – przerwałam mu.

– W jednej, jeśli pamięć mnie nie myli, padło określenie

„usztyniona”... – Prosimy o dwie porcje ślimaków. Tylko proszę nie przesadzać ze śmietaną... – A co „Times” pisał o Wieczorze Trzech Króli? „Panna Ferriday była zadowolającą Olivią”? Surowa opinia, pomyślałem... – ...i parmezan. I absolutnie żadnego czosnku. Proszę też nie gotować ich zbyt długo, żeby nie były zbyt twarde.

– Czy mają same przepelznąć do stolika, mademoiselle? – Kelner zapisał sobie zamówienie i ruszył w stronę kuchni.

Paul Rodierre nadal studiował kartę win, rozwodząc się jednocześnie nad szczegółami.

– Aktorka, tak? Nigdy bym nie powiedział. – Jego niedbały styl był w pewien sposób ujmujący. Tak jak ujmujący może być widok ogródka wymagającego gwałtownie plewienia.

– W konsultacji sprawdzam się zdecydowanie lepiej. Matka zna Rogera od lat, a gdy zaproponował, że mogłabym mu pomóc, nie potrafiłam się oprzeć.

Monsieur Bernard przyniósł koszyczek z chlebem, który ustawił na stole, zwlekając przy tym na chwilę, by przyjrzeć się raz jeszcze Paulowi Rodierre’owi, jakby chciał go zapamiętać.

– Mam nadzieję, że nie musiała pani dziś zrezygnować ze spotkania z ukochanym – powiedział. Sięgnął po chleb w tym samym momencie, w którym i ja, moja dłoń przypadkiem trafiła na jego ciepłą i miękką.

Natychmiast cofnęłam rękę i oparłam z powrotem na kolanach.

– Och, zupełnie nie mam czasu na takie sprawy. Wie pan, jaki jest Nowy Jork... przyjęcia i to wszystko. Prawdziwie wyczerpujące.

– Nigdy nie widziałem pani u Sardiego.

– Bo dużo pracuję.

– Mam wrażenie, że niedużo pani z tego ma.

– To praca niepłatna, jeśli o to panu chodzi, monsieur, ale to sprawy, o których nie rozmawia się w towarzystwie.

– Czy możemy zrezygnować z tego „pana”? Sprawia, że czuję się jak matuzalem.

– Mamy przejść na ty? Ależ zaledwie się poznaliśmy.

– To już tysiąc dziewięćset trzydziesty dziewiąty.

– Społeczność Manhattanu przypomina układ słoneczny o ściśle określonym porządku. Panna jedząca kolację z żonatym mężczyzną? Już samo to wystarczy, by zaburzyć ruch planet.

– Nikt nas tu nie zobaczy – stwierdził Paul, wskazując jednocześnie kelnerowi wybranego z listy szampana.

– Powiedz to siedzącej o tam z tyłu pannie Evelyn Shimmerhorn.

– Czy twoja reputacja właśnie legła w gruzach? – zapytał z tą szczególną życzliwością, którą tak rzadko spotyka się u szalenie pięknych mężczyzn. Może jednak ta czarna koszula nie była chybionym wyborem?

– Evelyn nic nie powie. Spodziewa się dziecka, zupełnie nie w czas, biedactwo.

– Dzieci. Wszystko komplikują, prawda? W życiu aktora nie ma na nie miejsca.

Oto kolejny samolubny aktor.

– W jaki sposób twój ojciec zapracował sobie na miejsce w tym układzie?

Jak na kogoś, kto przed chwilą mnie poznał, Paul zadawał strasznie dużo pytań.

– Właśnie zapracował. Handlował tekstyliami i pasmanterią.

– Gdzie?

Monsieur Bernard wsunął na stół niepostrzeżenie srebrne wiaderko z uchwyty wielkimi jak cygańskie kolczyki, z którego wystawała oparta o krawędź szmaragdowa szyjka butelki szampana.

– Był współnikiem Jamesa Harpera Poora.

– Z tych Poorów? Odwiedziłem jego dom w East Hampton. Biednym bym pana Poora nie nazwał.

Często bywasz we Francji?

– W Paryżu co roku. Matka odziedziczyła tam mieszkanie... przy rue Chauveau Lagarde.

Monsieur Bernard odkorkował szampana, a korek wyskoczył z butelki z czymś więcej niż tylko satysfakcjonującym pyknięciem. Łał złocistą ciecz do mojego kieliszka tak długo, że bąbelki podeszły pod samą krawędź, niemal się przelewając, lecz nie, osiadły na doskonale idealnym poziomie.

Mistrzowski wlew.

– Moja żona prowadzi nieopodal niewielki sklep. Nazywa się tak jak ona – Rena. Widziałaś go?

Upiłam odrobinę szampana, a bąbelki delikatnie załaskotały mnie w wargę.

Paul wyciągnął jej zdjęcie z portfela. Rena był młodsza, niż sobie to wyobrażałam, ciemnowłosa, fryzura na boba z grzywką. Uśmiechnięta, z szeroko otwartymi oczyma wyglądała, jakby znała jakąś słodką tajemnicę. Rena była afektowana i przypuszczalnie zupełnie inna niż ja. Uznałam, że jej sklep musi być jednym z tych szykownych małych butików, w których

kobieta mogła się ubrać zgodnie z założeniami słynnej francuskiej szkoły – w sposób niezbyt dobrany, zawierający dokładnie tyle, ile trzeba tego, czego być tam nie powinno.

– Nie, nie znam tego miejsca – odpowiedziałam, oddając mu zdjęcie.
– Ale Rena jest cudowna.

Dokończyłam pić szampana.

– Oczywiście za młoda dla mnie, ale... – Przyjrzał się trzymanemu w dłoni zdjęciu, jakby widział je po raz pierwszy. Przechylił przy tym głowę nieco w bok, a potem schował fotografię do portfela. – Nie widzimy się zbyt często.

Zadrzałam wewnątrz, lecz emocje szybko opadły, gdy zrozumiałam, że nawet jeśli Paul byłby wolny, moja dominująca natura szybko dałaby o sobie znać i wyrwałaby z korzeniami, a potem zdeptała jakiegokolwiek kiełkujące uczucie.

Stojące w kuchni radio ryczało trzeszczącym nagraniem Édith Piaf.

Paul wyciągnął butelkę z wiaderka i dolał mi szampana. Ten wzburzył się, a kipiące bąbelki przelały się przez brzeg kieliszka. Zerknęłam na siedzącego przede mną mężczyznę. Oboje oczywiście wiedzieliśmy, co to oznacza. Tradycja. Każdy, kto choć raz był we Francji, musiał to wiedzieć. Czyżby przelał celowo?

Bez chwili wahania Paul zebrał palcem odrobinę rozlanego u podstawy kieliszka płynu, sięgnął w moją stronę i musnął mnie za lewym uchem. Niemal podskoczyłam, czując jego dotyk i chłodny płyn na skórze.

Nie ruszyłam się, gdy odgarnął na bok moje włosy ani gdy dotknął mnie za prawym uchem, pozwalając dłoni pozostać tam nieco dłużej. Potem w podobny sposób namaścił siebie za uszami, cały czas się przy tym uśmiechając.

Dlaczego nagle zrobiło mi się tak gorąco?

– Czy Rena cię odwiedza? – zapytałam. Próbowałam zetrzeć z dłoni plamkę po herbacie i dopiero po chwili zrozumiałam, że ona nie zejdzie. Pierwsza starcza plama. Cudownie.

– Jeszcze się jej to nie zdarzyło. Teatr jej nie interesuje. Nie przyjechała do Stanów, żeby zobaczyć The Streets of Paris, ale nie wiem, czy ja będę mógł zostać. Przez Hitlera wszyscy w domu mają nerwy napięte jak postronki.

Z kuchni dobiegły nas głosy dyskutujących o czymś mężczyźn. Ciekawe, gdzie podziewały się nasze ślimaki. Posłali po nie do Perpignan?

– Francja przynajmniej ma Linię Maginota – przypomniałam.

– Linię Maginota? Proszę, nie żartuj. Betonowy mur ze

stanowiskami obserwacyjnymi? To jak policzek wymierzony Hitlerowi.

– Ma prawie trzydzieści kilometrów szerokości.

– Jeśli Hitler czegoś chce, nic nie powstrzyma go przed sięgnięciem po to – stwierdził Paul.

Awantura w kuchni osiągnęła apogeum. Nic dziwnego, że nasza przystawka się nie pojawiła. Kucharz, niewątpliwie zmienny w usposobieniu artysta, strasznie się o coś zeźlił.

Monsieur Bernard wynurzył się z kuchni. Wahadłowe drzwi z okrągłymi iluminatorami zamknęły się za nim, a potem jeszcze kilka razy z rozmachem zawachlowały w przód i w tył, zanim się uspokoiły. On tymczasem przeszedł na środek sali. Wydawało mi się czy rzeczywiście płakał?

– Excusez-moi, panie i panowie.

Ktoś uderzył kilka razy łyżeczką w kieliszek i na sali zapadła cisza.

– Usłyszałem właśnie z wiarygodnego źródła... – Monsieur Bernard nabrał powietrza, a jego tors wydał się jak miech kowalski. – Mamy wszelkie podstawy, by sądzić, że... Zamilkł znów, lecz chwilę później przemógł się, by kontynuować.

– Adolf Hitler najechał na Polskę.

– Mój Boże – powiedział Paul.

Patrzyliśmy tylko na siebie, a ludzie wokół nas zaczęli przerzucać się w podenerwowaniu uwagami, snuć dzikie spekulacje i wymyślać najczarniejsze scenariusze. Dziennikarz, którego widzieliśmy na gali, rzucił na stół zwitek banknotów, chwycił swoją fedorę i wybiegł na zewnątrz.

W tym zgiełku ostatnie słowa krótkiej przemowy monsieur Bernarda zniknęły niemal niezauważone.

– Niech Bóg ma nas w swojej opiece.

Rozdział 2

Kasia

1939

To naprawdę był pomysł Piotrka Bąkowskiego, żeby pójść na łąkę za miastem po to, by obejrzeć obóz uciekinierów. Chciałam to podkreślić, bo matka nigdy nie uwierzyła mi w tę część historii.

Pierwszego września Hitler wypowiedział Polsce wojnę, ale jego armia nie śpieszyła się z marszem na Lublin. Cieszyło mnie to, bo nie chciałam, żeby cokolwiek tu uległo zmianie. Lublin był doskonały właśnie taki, jaki był. Słyszeliśmy w radiu przemówienia nadawane z Berlina o nowych prawach, a na przedmieścia spadło kilka bomb, ale poza tym nie wydarzyło się nic więcej. Uwaga Niemców skupiła się na Warszawie i kiedy ich armia oblegała miasto, tysiące ludzi uciekały właśnie do nas, do Lublina.

Ludzie ściągali całymi rodzinami, przemierzając nawet setki kilometrów w drodze na południowy wschód, i teraz koczowali na polach ziemniaczanych pod miastem.

Przed wojną w Lublinie nie działo się nic interesującego, nauczyliśmy się więc zachwycać pięknymi wschodami słońca, czasami ceniąc je bardziej niż wyświetlany w kinie film. Tuż przed świtem ósmego września dotarliśmy na niewielkie wzniesienie górujące ponad łąką, skąd mieliśmy doskonały widok na tysiące ludzi śpiących w ciemnościach na rozciągających się w dole terenach. Leżałam między dwójką swoich najlepszych przyjaciół, Nadią Wątrobianką i Piotrkim Bąkowskim, na trawie ciągle jeszcze ciepłej w miejscu, w którym wygniotła ją łania śpiąca tam wcześniej z małymi jelonkami, i spoglądałam na panoramę w dole. O tej porze jeleni już oczywiście nie było – wstawały sporo przed świtem. Można powiedzieć, że to jedno łączyło je z Hitlerem.

Gdy świt wstał nagle nad horyzontem, aż zabrakło mi tchu. Z piersi wyrwało mi się westchnienie, jakie pojawia się, gdy człowiek zobaczy coś boleśnie i dojmująco pięknego – małe dziecko czy zwierzę, świeżą śmietankę spływającą po płatkach owsianych czy profil Piotrka Bąkowskiego w pierwszych promieniach wschodzącego słońca. Zarys jego twarzy był dziewięćdziesięcioośmioprocentową doskonałością, szczególnie zatopiony w miękkim świetle poranka. Z powodzeniem

mógłby znaleźć się na monecie dziesięciozłotowej. W tej chwili Piotrek wyglądał jak każdy chłopak chwilę po przebudzeniu, zanim się umył – włosy koloru świeżego masła miał zmierzwiłone po stronie, na której spał.

Nadia również wyglądała niemal doskonale, czego zresztą można było spodziewać się po dziewczynie o tak delikatnej urodzie. Efekt psuł tylko fioletowy, zasiniony guz na czole, pamiątka po incydencie w szkole, teraz już nawet nie wielkości gęsiego jaja, ale ciągle jeszcze przecież widoczny. Nadia miała na sobie miękki kaszmirowy sweter w odcieniu niedojrzałego melona, który pozwalała mi gładzić, gdy tylko nasza mnie ochota.

Trudno było zrozumieć, jak tak przykre okoliczności mogły zrodzić scenę tak piękną. Uciekinierzy wzniesli niebywale złożone osiedle szałasów skleconych z prześcieradeł i koców. Słońce prześwietlało ich ściany niczym promienie Roentgena, pokazując nam przez kwieciste powłoki jednego z namiotów sylwetki ludzi szykujących się na spotkanie dnia.

Jakaś kobieta, po ubraniu sądząc mieszkanka miasta, odchyliła płócienne drzwi swojego tymczasowego domu i wychynęła na zewnątrz, trzymając za rękę dziecko w piżamie i kapciach. Oboje zaczęli dźgać patykami ziemię, szukając ziemniaków.

Za nimi w oddali niczym bajkowy gród malował się Lublin, którego porozrzucane wokół wzgórz pastelowe domki o czerwonych dachówkach z daleka wydawały się jakby rozrzucone ręką jakiegoś olbrzyma. Dalej na zachód jeszcze niedawno znajdowało się niewielkie lotnisko i zakłady produkcyjne, ale Niemcy zdążyli już je zbombardować. To był ich pierwszy cel, lecz przynajmniej armia jak dotąd nie wkroczyła do miasta.

– Sądzicie, że Anglicy nam pomogą? – zapytała Nadia. – Albo Francuzi?

Piotrek przyglądał się czemuś na linii horyzontu.

– Może. – Zerwał źdźbło trawy i machnął nim w kierunku nieba. – Pogoda idealna do lotów. Mogliby się pośpieszyć.

Sznurek łaciatych krów zszedł ze wzgórza na popas prosto na namioty. Dzwonki zawieszane u szyj zwierząt dzwoniły w takt kołysania, chustki mleczarek migały między grzbietami zwierząt. Jedna z krów uniosła ogon i zostawiła za sobą ślad z placków, a te, które szły za nią, starannie je ominęły. Każda z mleczarek niosła pod pachą wysoką, srebrzącą się w słońcu bańkę na mleko.

Zmrużyłam oczy, żeby odnaleźć w oddali zarys naszej szkoły, gimnazjum katolickiego dla dziewcząt imienia Świętej Moniki, z wiszącą

na dzwonnicy pomarańczową flagą. Podłogi w szkole były wypastowane na taki błysk, że wszystkie musiałyśmy chodzić wewnątrz w satynowych pantoflach. To było miejsce rygorystyczne, codziennych mszy i surowych nauczycieli, którzy wiele od nas wymagali. Ale żaden z nich nie pomógł Nadii, gdy tego najbardziej potrzebowała, z wyjątkiem naszej ukochanej matematyczki, pani Michalskiej.

– Spójrzcie – powiedziała Nadia. – Kobiety prowadzą krowy, ale nie widać owiec. Owce o tej porze są już dawno na pastwiskach.

Nadia zawsze zwracała uwagę na wszystko. Choć była ode mnie zaledwie o dwa miesiące starsza – miała już siedemnaście lat – wydawała się bardziej dojrzała. Piotrek spojrzał na nią ponad moim ramieniem z wyrazem twarzy takim, jakby widział ją po raz pierwszy. Wszyscy chłopcy lubili Nadię – za idealną gwiazdę, którą potrafiła zrobić, za cerę gładką niczym u Maureen O’Sullivan i za gęste blond włosy. Ja może nie olśniewałam tak urodą i daleko było mi do miana lekkoatletki, ale za to w nieoficjalnym głosowaniu, jakie odbyło się w naszym gimnazjum, przyznano mi tytuły posiadaczki najładniejszych nóg oraz najlepszej tancerki, w każdym razie w naszej szkole.

– Ty zawsze wszystko zauważysz, Nadio – stwierdził Piotrek.

Nadia uśmiechnęła się do niego.

– Niekoniecznie. Ale może powinniśmy zejść na dół i pomóc im kopać ziemniaki? Ty przecież świetnie radzisz sobie ze szpadlem.

Czy ona z nim flirtowała? Byłoby to jawne pogwałcenie mojej naczelnej zasady: „Dziewczyny zawsze trzymają się razem!”. A przecież to mój wianek Piotrek wyłowił z rzeki w noc świętojańską, to mnie dał srebrny łańcuszek z krzyżykiem. Czy tradycja naprawdę nic już nie znaczyła?

A może Piotrek zakochał się w Nadii? To miałoby sens. Kiedy wcześniej tego miesiąca harcerki sprzedawały tańce z miejscowymi chłopcami podczas zbiórki dobroczynnej, Nadia, jak powiedziała Luiza, młodsza siostra Piotrka, wykupiła jego wszystkie dziesięć tańców. A potem był ten incydent pod szkolną bramą. Wychodziłyśmy właśnie z Nadią ze szkoły, gdy stojący na ulicy chłopcy zaczęli rzucać w Nadię kamieniami, bo jej dziadek był Żydem. Piotrek niemal natychmiast stanął w jej obronie.

Nie można powiedzieć, by widok ludzi rzucających kamieniami w Żydów był czymś niezwykłym, ale Nadii dotąd to nie spotkało. Wcześniej nawet przez myśl by mi nie przeszło, że była częściowo Żydówką.

Chodziłyśmy przecież do katolickiej szkoły, a Nadia pamiętała

więcej modlitw niż ja. Ale odkąd na lekcji niemieckiego nauczyciel kazał nam przygotować drzewa genealogiczne, wszyscy o tym wiedzieli, bo Herr Speck ogłosił to przy całej klasie.

Tamtego popołudnia, gdy chłopcy rzucali kamieniami, starałam się odciągnąć Nadzię, ona jednak nie chciała ruszyć się z miejsca. Pani Michalska, spodziewająca się pierwszego dziecka, rzuciła się naprzód, chwyciła Nadzię w ramiona i krzyknęła do ulicznych łobuzów, by przestali albo zawoła policję.

Wszystkie uwielbiałyśmy panią Michalską. Była naszą ulubioną nauczycielką, Gwiazdą Polarną, która wskazywała nam kierunek, bo wszystkie chciałyśmy być jak ona – piękna, mądra i zabawna. Swoich dziewcząt broniła niczym lwica, a za dobre oceny ze sprawdzianów dawała nam krówki. I zawsze swoją dostawałam.

Piotrek, który przyszedł, żeby odprowadzić nas do domu, rozgonił łobuziaków, wymachując w powietrzu szpadlem, ale spotkanie opłacił ukruszoną jedyką. Jego uśmiech na tym nie stracił, przeciwnie nawet – stał się jeszcze słodszy.

Ze świata marzeń wyrwał mnie dziwny dźwięk, jakby cykanie całej chmary świerszczy. Dźwięk narastał, aż wreszcie ziemia pod nami zadrżała.

Samoloty!

Nagle pojawiły się nad nami, a leciały tak nisko, że widać było refleksy światła na ich srebrnych brzuchach, a podmuch powietrza zrywał trawę z ziemi. Po trzy w szyku skręciły w prawo i zostawiając za sobą oleisty smród, poleciały nad miasto – ich szare cienie migają tylko na położonych niżej polach.

Naliczyłam dwanaście maszyn.

– Wyglądają jak samoloty z King Konga – powiedziałam.

– Tamte to były dwupłatowce, Kasiu – poprawił mnie Piotrek. – Curtissy helldivery. Te są niemieckie.

Bombowce nurkujące.

– Może to nasze?

– Na pewno nie. Miały czarno-białe krzyże pod skrzydłami.

– Sądzisz, że będą bombardować? – spytała Nadia, bardziej zadowolona niż przestraszona. Ona nigdy się nie bała.

– Lotnisko już zniszczyli – powiedział Piotrek. – Na co jeszcze mogliby zrzucić tu bomby? Nie ma już składów amunicji.

Samoloty okrążyły miasto, a potem jeden za drugim poleciały na zachód. Pierwszy zanurkował z odrażającym wizgiem i zrzucił bombę w

sam środek miasta, dokładnie na Krakowskie Przedmieście, naszą główną ulicę, przy której stały najpiękniejsze budynki w Lublinie.

Piotrek wstał.

– Jezu Chryste, nie!

Huknęło, a ziemia zadrżała. Z miejsca, w którym spadła bomba, wyrósł słup czarnoszarego dymu.

Samoloty znów nawróciły nad miasto i tym razem zrzuciły bomby w budynek w pobliżu Trybunału Koronnego, w którym mieścił się ratusz. Moja siostra Zuzanna, świeżo upieczona lekarka, zgłosiła się kilka dni temu do pracy w szpitalu, który stał niedaleko ratusza. A co z moją mamą? Boże, proszę, zabierz mnie do siebie, jeśli coś się stało mamie, pomyślałam. Czy tata był na poczcie?

Samoloty zatoczyły koło nad miastem i zaczęły lecieć w naszą stronę. Rzuciliśmy się w trawę, gdy przeleciały nam nad głowami. Piotrek zasłonił mnie i Nadię własnym ciałem i przez chwilę był tak blisko, że słyszałam bicie jego serca przez koszulę i czułam je łomoczące przy moich plecach.

Dwa samoloty zawróciły, jakby czegoś zapomniały.

– Musimy... – zaczął Piotrek, ale zanim zdążyliśmy się ruszyć, oba samoloty zanurkowały i przeleciały niżej tuż nad łąką. Chwilę później usłyszeliśmy strzały. Strzelali do mleczarek. Część kul trafiła w ziemię, wzbijając w powietrze obłoczki pyłu, inne dosięgły kobiet. Trafione upadały na ziemię, a mleko rozlewało się w trawie. Jakaś krowa ryczała wściekle, przewracając się, a kule z klekotem przebijały bańki na mleko.

Uciekinierzy cisnęli zbierane ziemniaki i rozbiegli się po polu, ale kule dosięgły niektórych z nich.

Rzuciłam się na ziemię, gdy dwa ostatnie samoloty przeleciały nam nad głowami, zostawiając za sobą pole pełne ciał kobiet, mężczyzn i krów. Te ze zwierząt, które przeżyły, rozpierzchły się w szaleńczej galopadzie.

Zbiegłam ze wzgórza, przez las, po wysypanych sosnowymi igłami ścieżkach do domu, a Nadia i Piotrek biegli za mną. Czy rodzicom coś się stało? Zuzannie? W szpitalu mieli tylko dwie karetki, więc Zuzanna pewnie spędziła w szpitalu całą noc.

Zwolniliśmy na kartoflisku, bo nie sposób było się nie gapić. Przeszłam w odległości nie większej niż wysokość bańki na mleko koło kobiety w wieku Zuzanny, między ziemniakami, które upuściła. Leżała na plecach między wykopanymi grządkami z lewą ręką przerzuconą przez pierś, ramieniem skąpanym we krwi, która też plamiła jej twarz. Klęczała przy niej jakaś dziewczynka.

– Siostrzyczko – powiedziała, ściskając kobietę za rękę – musisz wstać.

– Uciśnij ranę obiema dłońmi – powiedziałam, ale spojrzała na mnie pustym wzrokiem.

Chwilę później przybiegła jakaś kobieta w sukience z włóczki. Z czarnej lekarskiej torby wyciągnęła gumową opaskę długości ramienia.

Nadia odciągnęła mnie kawałek.

– Chodź. Nie wiadomo, czy samoloty nie wrócą.

W mieście panował chaos. Ludzie biegali we wszystkie strony, płakali, wykrzykiwali coś do siebie, uciekali na rowerach, konno, ciężarówkami, wózkami i pieszo.

Gdy zbliżyliśmy się do ulicy, przy której mieszkałam, Piotrek wziął Nadię za rękę.

– Kasiu, jesteś prawie w domu. Odprowadzę Nadię.

– A ja? – zawołałam za nimi, ale szli już brukowaną uliczką w kierunku mieszkania matki Nadii.

Piotrek dokonał wyboru.

Ruszyłam w stronę tunelu pod Bramą Krakowską – starą ceglana wieżą, zakończoną strzelistą, dzwonowatą kopułą. Uwielbiałam jej tak charakterystyczny dla Lublina kształt. Kiedyś Brama Krakowska stanowiła jedyny wjazd do miasta. Bomby rozdarły bok wieży, ale konstrukcja nadal trwała.

Minęłam jadących z naprzeciwka na rowerach państwa Michalskich – moją matematyczkę i jej męża, którzy mieszkali niedaleko nas. Mocno zaawansowana ciąża pani Michalskiej rzuciła się w oczy, gdy kobieta odwróciła się w moją stronę, nie zwalniając ani na chwilę.

– Matka szaleje z niepokoju o ciebie, Kasiu – powiedziała.

– Dokąd państwo jadą?! – zawołałam.

– Do mojej siostry! – odkrzyknął pan Michalski.

– Wracaj do domu, do mamy! – zawołała moja nauczycielka przez ramię.

Pojechali dalej, a chwilę później zniknęli już w tłumie. Ja szłam dalej do domu.

Boże, nie pozwól, żeby mamie się coś stało.

Gdy dotarłam do naszej przecznicy, ulga rozlała się po całym moim ciele na widok naszego srebrno-różowego domu, który stał nienaruszony. Dom stojący naprzeciwko nie miał tyle szczęścia. Zrównany z ziemią był teraz tylko stertą betonu, resztek gipsowych ścian i powykręcanych prętów z łóżek rozrzuconych po okolicy. Potknęłam się na którymś z nich i

dopiero gdy podeszłam bliżej do domu, zobaczyłam, że jedna z firanek mamy faluje za oknem, delikatnie poruszana wiatrem. Wtedy zrozumiałam, że w żadnym z naszych okien nie ostała się ani jedna szyba – wszystkie wyleciały w czasie bombardowania, razem z papierem zaciemniającym i wszystkim innym.

Nie musiałam wyciągać klucza ze schowka za obluzowaną cegłą, bo drzwi były otwarte na całą szerokość. Mamę i Zuzannę zastałam w kuchni, nieopodal stolika, przy którym mama malowała. Zbierały pędzle rozrzucone po podłodze, a w powietrzu unosił się zapach rozlanej terpentyny. Psina, nasza udomowiona kura, dreptała za mamą i Zużą krok w krok. Dziękowałam Bogu, że Psinie nic się nie stało, bo ta kura była nam bliższa niż pies niejednej rodzinie.

– Gdzieś ty była? – zapytała matka z twarzą pobladłą jak kartka, którą trzymała w dłoni.

– Na łąkach – powiedziałam. – To był pomysł Pio... Zuzanna podniosła się, trzymając w dłoni garść potłuczonego szkła. Jej biały lekarski kitel był teraz szary od popiołu. Pracowała na niego przez sześć długich lat. Tuż przy drzwiach stała jej walizka.

Niewątpliwie przygotowywała się do przeprowadzki na teren szpitala, gdzie miała odbyć staż na oddziale dziecięcym.

– Jak mogłaś zachować się tak głupio? – zapytała Zuzanna.

– Gdzie jest tata? – spytałam, gdy podeszły do mnie i zaczęły wybierać mi z włosów kawałki cementu.

– Wszedł... – zaczęła mama.

Zuzanna złapała ją za ramiona.

– Powiedz jej, mamó.

– Wszedł cię szukać – dokończyła mama, prawie wybuchając płaczem.

– Pewnie jest na poczcie – rzuciła Zuzanna. – Pójdę po niego.

– Nie idź – zaprotestowałam. – A jeśli samoloty wrócą?

Strach przebił mnie niczym elektryzujący grot. Te biedne kobiety na polu... – Idę – odparła Zuzanna. – I wrócę na pewno.

– Pozwól mi iść z tobą – poprosiłam. – Przydam się w szpitalu.

– Dlaczego musisz robić takie głupoty? Tata poszedł tam przez ciebie. – Zuzanna przeciągnęła sweter przez głowę i ruszyła do drzwi. – W szpitalu nie ma dla ciebie nic do roboty. Zresztą i tak tylko zwijasz bandażę. Zostań w domu.

– Nie idź – powiedziała mama, ale Zuzanna już wyszła. Była niezłomna jak nasz ojciec.

Mama podeszła do okna i schyliła się, żeby pozbierać odłamki szkła, ale szybko porzuciła to zajęcie – tak bardzo trzęsły się jej ręce. Wróciła do mnie, pogładziła po włosach, pocałowała w czoło, a potem przytuliła mocno, powtarzając raz po raz: „Kocham cię”.

Kocham.

Tej nocy spałam razem z mamą w jej łóżku, czujnie, z jednym okiem otwartym, czekając na powrót taty i Zuzanny. Psina, jak pies, którym przecież nie była, spała w nogach łóżka z łebkiem pod jednym z puszystych skrzydeł. Poderwała się z krzykiem, gdy tata wrócił wreszcie do domu, na długo przed świtem. Stał w drzwiach sypialni w tweedowej marynarce, teraz całej pokrytej kurzem i popiołem.

Tata zawsze miał zmęczony wyraz twarzy, troszkę jak posokowiec. Nawet na zdjęciach z dzieciństwa widać było te bruzdy i lekko obwisłą skórę. Ale tamtej nocy, gdy stał tak w poświacie sączącego się z kuchni światła, cienie kładące mu się na twarzy sprawiały, że wyglądał jeszcze smutniej niż zwykle.

Mama uniosła się na łóżku.

– Adi? – Odrzuciła koc i podbiegła do niego. Dwie ciemne sylwetki odcinały się wyraźnie na tle bijącego z kuchni światła. – Gdzie Zuzanna?

– Nie widziałem jej – odparł ojciec. – Kiedy nie udało mi się znaleźć Kasi, poszedłem na pocztę i zabrałem papiery, żeby je spalić. Wszystko, co mogłoby zainteresować Niemców. Nazwiska, adresy, spisy wojskowe. Zajęli już Poczta Główną w Warszawie i odcięli połączenia telegraficzne. My będziemy następni.

– A co z ludźmi? – zapytała mama.

Tata zerknął w moją stronę i nie odpowiedział od razu.

– Zakładamy, że Niemcy będą potrzebowali jakiegoś tygodnia, żeby tu dotrzeć. I pewnie tu pojawią się w pierwszej kolejności.

– Tu? – Mama odruchowo owinęła się szczelniej podomką.

– Będą mnie szukać. Mogę się im przydać. – Tata uśmiechnął się, ale jego oczy nie rozjaśniły się ani na trochę. – Będą chcieli użyć poczty do swoich celów.

Nikt nie wiedział o poczcie tyle co tata. Prowadził ją, odkąd pamiętałam. Czy znał jakieś tajemnice?

Tata był patriotą. Wolalby umrzeć niż zdradzić cokolwiek.

– Skąd będą wiedzieć, gdzie mieszkamy?

Tata spojrzał na mamę, jakby była dzieckiem.

– Halinko, oni planowali to od lat. Na pewno po mnie przyjdą, ale przy odrobinie szczęścia będą potrzebować na tyle, żeby mnie nie zabić.

Daj mi dwa dni. Jeśli po tym czasie nie skontaktuję się z tobą, zabierz dziewczynki i jedźcie na południe.

– Anglicy nam pomogą – powiedziała mama. – Francuzi... – Kochanie, nikt nie idzie z odsieczą. Prezydent miasta się ewakuuje, zabiera ze sobą policję i straż pożarną. Nie pozostaje nam nic innego, jak ukryć, co tylko się da.

Tata wyciągnął z bieliźniarki szkatułkę z biżuterią mamy i rzucił ją na łóżko.

– Umyj i wysusz wszystkie puszki, jakie uda ci się znaleźć. Musimy zakopać wszystko, co ma jakąkolwiek wartość... – Adi, ale przecież nie zrobiliśmy nic złego. Niemcy to kulturalny naród. Hitler musiał ich jakoś omamić.

Babcia ze strony mamy była Niemką czystej krwi, dziadek w połowie Polakiem. Mama, nawet wyrwana właśnie ze snu, wyglądała przepięknie. Delikatna, choć wcale nie krucha naturalna blondynka.

Tata chwycił ją za ramię.

– Ci twoi kulturalni ludzie chcą się nas pozbyć, żeby móc zająć nasze miejsce. Naprawdę tego nie rozumiesz?

Potem ruszył w głąb mieszkania, by pozbierać, co tylko mieliśmy cennego. Wsadzał te skarby do puszki z zamykaną pokrywką – dyplom szkoły pielęgniarskiej mamy, ich świadectwo ślubu, niewielki pierścionek z rubinem, który należał do rodziny mamy, i kopertę z naszymi zdjęciami.

– Weź worek prosa. To też zakopimy.

Mama wyciągnęła spod zlewu płócienny worek.

– Pewnie przeszukają wszystkie domy, żeby znaleźć żołnierzy, którzy mogliby się tu ukrywać – rozważał po cichu tato. – Już ogłosili nowe prawa. Polska przestała istnieć. Nie wolno mówić po polsku.

Szkoły zostaną zamknięte. Wprowadza się godzinę policyjną, a żeby móc przebywać po niej na ulicy, trzeba mieć specjalną przepustkę. Nie wolno mieć broni, butów narciarskich ani żadnego jedzenia ponad wyznaczone normy. Posiadanie którejkolwiek z tych rzeczy będzie karane... – Tata znów spojrzął na mnie i nie dokończył. – Pewnie i tak wezmą wszystko, na co będą mieli ochotę.

Tata wyciągnął stary srebrny rewolwer z szuflady bieliźniarki. Mama natychmiast odsunęła się o krok.

– Zakop to, Adi – powiedziała, otwierając oczy coraz szerzej.

– Może się nam jeszcze przydać – stwierdził tato.

Mama odwróciła się plecami do niego.

– Broń nigdy nie przynosi niczego dobrego.

Tata zawahał się, ale w końcu włożył rewolwer do pudełka.

– Kasiu, daj swój harcerski mundur. Niemcy polują na harcerzy. W Gdańsku rozstrzelali cały hufiec.

Poczułam zimny dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Wiedziałam, że z tatą się nie dyskutuje, więc posłusznie oddałam do puszeki swoje małe skarby: szalik, który Piotrek miał kiedyś na sobie i w którym ciągle czuło się jego zapach, prostą sukienkę bez rękawów z czerwonego sztruksu, którą uszyła mi mama, mundurek harcerski i chustę, a także zdjęcie, na którym Nadia i ja jedziemy na krowie. Mama schowała do puszeki odziedziczone po swojej matce pędzle marki Kolinsky z sobolowego włosia. Tata zapieczętował puszeki woskiem.

Tamtej nocy tylko gwiazdy świeciły nad naszym ogrodem – kawałkiem piaszczystej ziemi otoczonej niezbyt gęstym płotkiem zbitym z desek, który trzymał się pionu wyłącznie dzięki rosnącym przy nim chwastom. Tata nadepnął na zardzewiały szpadel, wbijając go głęboko w ziemię. Metal przeciął twardą ziemię, jak nóż tnie ciasto. Dół był coraz głębszy, z każdą chwilą przypominając coraz bardziej dziecięcy grób.

Prawie skończyliśmy, ale nawet w niemal absolutnych ciemnościach widziałam, że mama zatrzymała pierścionek zaręczynowy, który dostała od swojej mamy, bo tata był zbyt biedny, by móc kupić jej nowy.

Pierścionek miał kształt przepięknego kwiatu o wielkim diamentowym środku otoczonym szafirowymi płatkami w odcieniu głębokiego błękitu. Teraz połyskiwał na jej palcu niczym spanikowany świetlik, rzucając wokół refleksy przy każdym ruchu dłoni mamy w ciemności. „Diament został oszlifowany w kształt poduszki w osiemnastym wieku. Chodziło o to, by jak najpiękniej łapał światło świec”, wyjaśniała mama, gdy ludzie podziwiali jej pierścionek. Faktycznie łapał. I oddawał, mieniając się, jakby żył własnym życiem. – A twój pierścionek? – zapytał tata.

Świetlik uciekł za plecy mamy, szukając schronienia.

– On nie – powiedziała po prostu.

Gdy byłyśmy z Zuzanną małe i przy przechodzeniu przez ulicę musiałyśmy trzymać mamę za rękę, zawsze walczyłyśmy o to, która z nas będzie mogła chwycić dłoń z pierścionkiem. Piękną dłoń.

– Czy nie zakopaliśmy już wystarczająco dużo? – zapytałam. – Zaraz nas tu złapią.

Nocna kłótnia mogła tylko przyciągnąć czyjąś uwagę.

– Jak chcesz, Halinko – poddał się tata. Zaczął zasypywać dół ziemią, skrywając nasze skarby przed światem. Chcąc to przyśpieszyć,

zepchnęłam ziemię gołymi rękoma, a tata uklepał wszystko i wygładził.

Potem odliczył starannie kroki do domu, żebyśmy w przyszłości potrafili odnaleźć to miejsce.

Dwanaście kroków od drzwi.

Kiedy Zuzanna wreszcie wróciła do domu, zaczęła opowiadać przerażające historie o lekarzach i pielęgniarkach, którzy przez całą noc walczyli o życie rannych. Podobno pod gruzami ludzie nadal czekali na ratunek. Każdego dnia obawialiśmy się, że na progu domu zobaczymy Niemców, ciągle nasłuchiwalismy radia, czekając na lepsze wieści, ale wciąż docierały do nas tylko najgorsze. Polska broniła się, ponosząc ogromne straty, ale koniec końców nie mogła przeciwstawić się potędze nowoczesnych dywizji opancerzonych i sił powietrznych niemieckiej armii.

W niedzielę siedemnastego września obudziły mnie słowa mamy, która właśnie relacjonowała ojcu to, co przed chwilą usłyszała w radiu. Rosjanie zaatakowali Polskę ze wschodu. Czy to już nigdy miało się nie skończyć?

Zastałam rodziców w kuchni, gdy wyglądali niespokojnie przez okno. Był chłodny, jesienny poranek, a przez wybitą szybę do domu wpadał lekki wiatr, który poruszał firankami mamy. Gdy podeszłam bliżej, zobaczyłam kilku ubranych na czarno Żydów sprzątających gruz sprzed naszego domu.

Mama objęła mnie ramionami i gdy ulica została oczyszczona, naszym oczom ukazała się kolumna niemieckiego wojska ciągnąca w stronę miasta. Wyglądali jak grupa nowych lokatorów internatu nadciągających ze stertami swoich bagaży. Najpierw nadjechały ciężarówki, potem wmaszerowała piechota, a na końcu wtoczyły się czołgi, których dowódcy stali arogancko wyprostowani w wieżyczkach.

Przynajmniej Zuzanna nie musiała tego oglądać, bo z samego rana poszła do szpitala.

Mama zagrzała tacie wodę na herbatę, a on tylko przyglądał się z ponurą miną tej defiladzie. Staralam się ze wszystkich sił nie wydawać żadnych dźwięków i pilnować innych, by też zachowali ciszę. Miałam nadzieję, że jeśli nikt nas nie usłyszy, dadzą nam spokój. Żeby się opanować, zaczęłam liczyć ptaszki siedzące na rozwidlonych gałązkach na matczynych firankach – jeden skowronek, dwie jaskółki, jedna sroka. Czy sroka nie zwiastowała nieuchronnej śmierci? Ciężarówki dudniły coraz mocniej na drodze.

Zaczerpnęłam głęboko powietrza, czując narastającą wewnątrz

panikę. Co miało teraz nadejść?

– Wyłazić, wyłazić! – doleciał nas krzyk. O bruk zadudniły podkute ćwiekami buty. Było ich całe mnóstwo.

– Kasiu, odsuń się od okna – powiedział tata, sam cofając się nieco. Jego głos brzmiał tak nieprzyjemnie, że wiedziałam, że się boi.

– Może powinniśmy się schować? – wyszeptała mama. Obróciła pierścionek tak, że kamienie zniknęły, gdy zacisnęła dłoń w pięść.

Tata podszedł do drzwi, a ja zaczęłam modlić się cicho. Usłyszeliśmy jeszcze kilka wywrzeszczanych komend, po czym ciężarówka odjechała.

– Chyba sobie pojechali – szepnęłam do mamy.

Aż podskoczyłam, gdy usłyszałam łomotanie do drzwi i męski głos wykrzykujący: – Otwierać!

Mama zamarła w miejscu, a tata otworzył drzwi.

– Adalbert Kuzmierczyk? – zapytał esesman, który wkroczył do naszego mieszkania napuszony i zadowolony z siebie.

Był o jakieś dwadzieścia centymetrów wyższy od ojca – tak wysoki, że niemal zahaczył czapką o futrynę, gdy przechodził przez drzwi. On i jego podwładni mieli na sobie mundury Schutzstaffel, oddziałów ochronnych, z czarnymi oficerkami i czapkami ozdobionymi okropnym emblematem czaszki, w której ziały dwie czarne jamy. Gdy mnie mijał, poczułam zapach gumy goździkowej. Wyglądał na dobrze odżywionego, a głowę zadzierał tak wysoko, że widziałam krew prześwitującą przez kawałek ligniny przyklejonej do jabłka Adama w miejscu, gdzie rano zaciął się przy goleniu. Krwawił prawdziwą hitlerowską czerwień.

– Tak – odparł ojciec tonem tak spokojnym, na jaki go było stać.

– Naczelnik poczty?

Tata skinął tylko głową.

Dwóch innych chwyciło go pod ręce i pociągnęło za sobą tak szybko, że nawet nie zdążył odwrócić się w naszą stronę. Ruszyłam za nim, ale ten wysoki zagroził mi drogę swoją pałką.

Mama podbiegła do okna z przerażeniem malującym się w oczach.

– Dokąd go zabieracie?

Nagle zrobiło mi się zimno. Z trudem łapałam oddech.

Inny esesman, chudszy i niższy od tego pierwszego, z chlebakiem przerzuconym przez pierś, pojawił się nie wiadomo skąd.

– Gdzie pani mąż trzyma dokumenty z pracy? – zapytał ten wyższy.

– Nie tu – odpowiedziała mama. – Proszę mi powiedzieć, dokąd go zabieracie?

Mama stała tak z dłońmi przyciśniętymi do piersi, a ten chudy zaczął w tym czasie przeszukiwać dom, otwierać wszystkie szuflady i pakować do chlebaka każdy skrawek papieru, jaki udało mu się znaleźć.

– Krótkofalówka? – spytał wysoki.

Mama pokręciła głową.

– Nie.

Poczułam skurcz żołądka, gdy ten chudszy rozwalił na oścież drzwi do spiżarni i wygarnął stamtąd tę resztkę jedzenia, jaka nam została.

– Wszystkie artykuły spożywcze są własnością Rzeszy – oznajmił wysoki. – Otrzymacie stosowne kartki żywnościowe.

Groszek konserwowy, dwa ziemniaki i mała smutna główka kapusty powędrowały do torby chudego.

Potem złapał papierową torbę, w której mama trzymała resztkę kawy.

Natychmiast sięgnęła po nią.

– Och, proszę... czy możemy zatrzymać kawę? Nic więcej nie mamy.

Wysoki obrócił się i przez chwilę lustrował mamę uważnym spojrzeniem.

– Zostaw – rozkazał, a jego podwładny natychmiast rzucił torebkę na stół.

Mężczyźni przeszukali nasze trzy małe sypialnie, wyciągając szuflady z biurek, wyrzucając skarpetki i bieliznę na podłogę.

– Broń? – zapytał znów wyższy, gdy jego towarzysz przeszukiwał szafy. – Zapasy jedzenia?

– Nie – odparła matka. Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby kłamała.

– Przypominam, że ukrywanie własności Rzeszy będzie karane śmiercią.

– Rozumiem – powiedziała. – Gdybym tylko mogła zobaczyć się z mężem... Wyszliśmy za esesmanami do ogrodu na tyłach domu. Ogrodzony skrawek ziemi nagle wydał się znacznie mniejszy, gdy stanął w nim oficer SS. Wszystko wyglądało normalnie, z wyjątkiem tego kawałka, gdzie zakopaliśmy nasze rzeczy – tam ziemia nadal była nienaturalnie płaska. Na pierwszy rzut oka widać było, że coś tam ukryto. Liczyłam kroki oficera, który oddalał się od domu. Pięć... sześć... siedem... Czy widział, jak trzęsą mi się kolana?

Nasza kura, Psina, podeszła do świeżo rozkopanej ziemi, grzebiąc tam w poszukiwaniu robaków. Mój Boże, szpadel, ciągle ubrudzony

ziemią, stał nadal oparty o ścianę domu. Czy lada chwila zabiorą nas na Zamek, a może zastrzelą na miejscu i gdy tata wróci, znajdzie nasze ciała w ogródku?

– Pani ma mnie za idiotę? – zapytał esesman, idąc w kierunku ciemniejszej plamy ziemi.

Osiem... dziewięć... Przestałam oddychać.

– Oczywiście, że nie – odpowiedziała mama.

– Przynieś szpadel – rozkazał oficer temu chudemu. – Naprawdę myślała pani, że ujdzie wam to na sucho?

– Proszę, nie – jęknęła mama, chwytając jednocześnie medalik z Matką Boską. – Wie pan, pochodzę z Osnabrück. Był tam pan kiedyś? Wyższy chwycił szpadel.

– Oczywiście. Chyba wszyscy znają tamtejszy jarmark bożonarodzeniowy. Podpisała już pani folkslistę?

Folkslista była spisem tak zwanych folksdojczów, czyli osób pochodzenia niemieckiego żyjących poza Niemcami. Hitlerowcy starali się nakłonić Polaków o niemieckich korzeniach, osoby takie jak mama, by podpisały folkslistę. Folksdojczowie otrzymywali dodatkowe racje żywnościowe, mogli liczyć na lepszą pracę i przydział mienia skonfiskowanego Żydom oraz Polakom. Mama nigdy nie zgodziłaby się na coś takiego, bo podpisanie folkslisty było równoznaczne z zadeklarowaniem lojalności wobec Rzeszy.

– Nie, ale w trzech czwartych jestem Niemką. Mój ojciec był Polakiem jedynie w połowie.

Psina rozorała ziemię obok gładko uklepanego miejsca i coś stamtąd wyłowiła.

– Ale jako dobra Niemka nie łamałaby pani przecież prawa? Nie odbierała Rzeszy tego, co należy do niej?

Mama dotknęła jego ramienia.

– Trudno sobie z tym wszystkim poradzić. Nie rozumie pan? Proszę pomyśleć, jak zachowałaby się na naszym miejscu pańska rodzina.

– Moja rodzina oddałaby Rzeszy to, co do niej należy.

Esesman chwycił szpadel i ruszył w kierunku wyrównanej ziemi.

Dziesięć... jedenaście... – Bardzo, bardzo przepraszam – powiedziała mama, idąc za nim krok w krok.

Zignorował ją i postawił kolejny krok.

Dwanaście.

Jak długo będzie musiał kopać, zanim trafi na puszkę?

– Proszę dać nam jeszcze jedną szansę – poprosiła mama. – Ciągle

jeszcze nie przywykliśmy do nowych praw.

Esesman odwrócił się, oparł o szpadel i spojrzał na mamę przeciągle. Uśmiechnął się, ukazując rząd zębów równych niczym małe gumy do żucia.

Nachylił się nad nią i ściszył głos.

– A wie pani o godzinie policyjnej?

– Tak – odparła matka, marszcząc lekko brwi. Przeszła z nogi na nogę.

– To zasada, od której są wyjątki. – Oficer chwycił medalik mamy między kciuk i palec wskazujący, jednocześnie ani na chwilę nie spuszczać z niej wzroku.

– Do tego potrzebna jest przepustka – zauważyła mama.

– Mam taką w kieszeni. – Puścił medalik i dotknął ręką munduru tuż nad sercem.

– Nie rozumiem – powiedziała.

– Myślę, że doskonale pani rozumie.

– Czy chce pan powiedzieć, że da nam spokój, jeśli pana odwiedzę?

– Jeśli to właśnie pani usłyszała... – Niemcy, których znam, to kulturalni ludzie. Nie wyobrażam sobie, żeby złożył pan podobną propozycję matce dwojga dzieci.

Mężczyzna przekrzywił głowę, przygryzł wargę i ponownie chwycił szpadel.

– Przykro mi, że tak pani to widzi.

– Proszę poczekać – powiedziała mama.

Esesman uniósł szpadel nad głowę.

– Boże, nie! – krzyknęła mama. Chciała chwycić go za ramię, ale było już za późno. Skoro szpadel raz znalazł się w powietrzu, nic nie mogło go już zatrzymać.

Rozdział 3
Herta
1939

O północy ruszyliśmy z ojcem na wyprawę do oddalonej o sześć przecznic od naszej sutereny eleganckiej dzielnicy Düsseldorfu, gdzie stały kamienice o białych ścianach, a służący zamiatali ulice i przycinali rosnące na parapetach geranium. Był już późny wrzesień, ale w powietrzu nadal czuło się ciepło. Ludzie mówili „pogoda Führera”, bo dzięki sprzyjającej aurze Hitler odnosił kolejne zwycięstwa. W Polsce sprawdziło się to doskonale.

Wspięłam się po schodach prowadzących do podwójnych drzwi ozdobionych filigranowymi,

pomalowanymi na biało okuciami i zmatowionymi szybami.

Nacisnęłam srebrny przycisk dzwonka. Czy Katz był w domu? Przez matowe szkło sączyło się delikatne światło, ale latarnie gazowe po obu stronach drzwi były zgaszone. Ojciec czekał, kryjąc się w spowijającej ulicę ciemności, rękoma obejmując brzuch.

Skończyłam dwadzieścia pięć lat, gdy objawy choroby ojca nasiliły się do tego stopnia, że postanowił szukać pomocy u swojego ulubionego żydowskiego opiekuna chorych, człowieka o nazwisku Katz. Prawo nie pozwalało nazywać Żyda lekarzem. Preferowano określenie „opiekun chorych”. Zresztą Aryjczykom nie wolno było odwiedzać lekarzy innej rasy, ale mój ojciec nie miał w zwyczaju przestrzegania reguł.

Gdzieś w głębi domu zabrzmiał gong. Nigdy dotąd nie przekroczyłam progu żydowskiego domu i wcale mi się do tego nie śpieszyło, ale ojciec nalegał, żebym mu towarzyszyła. Osobiście wołałabym, żeby ta wizyta zakończyła się jak najszybciej.

Za szybą zapaliło się jaśniejsze światło i widoczny na jego tle ciemniejszy kształt przesunął się w moją stronę. Prawe skrzydło drzwi uchyliło się nieco i ujrzałam w nich swojego byłego kolegę ze szkoły medycznej, jednego z wielu żydowskich studentów, których ostatnio relegowano z uczelni. Mimo późnej pory był ubrany i właśnie zatykał koszulę za pasek spodni.

– Czego tu szukasz o tej porze? – zapytał.

Za jego plecami dojrzałam na schodach Katza, który schodził

bezgłośnie po puszystym dywanie, ciągnąc za sobą powiewający ogon błękitnej koszuli nocnej. Zawahał się na chwilę i skulił jak stara baba, otwierając jednocześnie szeroko oczy. Czyżby spodziewał się gestapo?

Ojciec wspiął się z trudem po schodach i stanął obok mnie.

– Proszę wybaczyć, Herr Doktor – powiedział, opierając się ciężko jedną ręką o futrynę. – Przepraszam, że pana nachodzę, ale ból stał się nie do zniesienia.

Gdy tylko Katz rozpoznał ojca, uśmiechnął się i ponaglił nas do wejścia. Były student medycyny popatrzył na mnie zmrużonymi oczyma, gdy go mijaliśmy.

Katz poprowadził nas do wyłożonego boazerią gabinetu, trzy razy większego niż całe nasze mieszkanie.

Wszystkie ściany skryte były za regałami, na których stały oprawione w skórę książki. Spiralne schody prowadziły na wąski, ogrodzony balustradą balkon biegnący wzdłuż półek, dający dostęp do wyższych partii regałów również zastawionych książkami. Katz przekręcił umieszczony na ścianie przełącznik i wiszący nad naszymi głowami żyrandol ożył nagle światłem odbijającym się w tysiącu kryształowych sopli.

Katz pomógł ojcu usiąść na krześle, które przypominało raczej królewski tron. Musnęłam koniuszkami palców czerwony adamaszek wyszywany gładką, chłodną złotą nicią, którym obite były podłokietniki krzesła.

– Ależ to żaden problem – stwierdził Katz. – Tylko trochę czytałem. Przynieś mi torbę, proszę, i szklankę wody dla Herr Oberheusera – rzucił przez ramię do niegdysiejszego studenta medycyny.

Młodzieniec zacisnął usta w wąską linię i wyszedł z pokoju.

– Od jak dawna utrzymuje się taki ból? – zapytał Katz.

Nie znałam wielu Żydów, ale czytałam o nich niejednokrotnie w podręcznikach i w „Der Stürmer”.

Panowanie i kontrola. Zdominowali rynki prawa i medycyny. Katz wydawał się niemal szczęśliwy ze spotkania z ojcem – dziwne, biorąc pod uwagę, że przeszkodziliśmy mu o tak późnej porze. Ten człowiek lubił swoją pracę.

– Od kolacji – odparł ojciec, trzymając się nadal za brzuch.

Skończyłam już niemal szkołę medyczną, więc spokojnie mogłam sama postawić diagnozę, jednak ojciec nalegał na wizytę u Katza.

Zaczęłam się rozglądać po pokoju, gdy Katz badał ojca. Kominek z czarno-białego marmuru, wielki fortepian. Książki na półkach wyglądały

na dobrze nawoskowane i pokryte kurzem, a każda z nich była warta więcej niż to, co zarabiałam w ciągu roku, wycinając pieczone w sklepie mięsnym, który prowadził Onkel Heinz. Na pewno stał między nimi zużyty tom prac Freuda. W pokoju było też kilka lamp, wszystkie zapalone, i każda rzucała na podłogę krąg miękkiego światła, chociaż nikt ich nie potrzebował. Gdyby tylko Mutti widziała tę rozrzutność.

Katz przebiegł palcami po szyi ojca. Gdy obracał jego nadgarstek, by zmierzyć puls, światło zagrało na grubym monogramie K wyhaftowanym srebrną nicią na rękawie koszuli nocnej.

– Przyczyną może być praca w zakładach Horschafta – oznajmił ojcu. – Na pańskim miejscu natychmiast zrezygnowałbym z tej pracy.

Ojciec skrzywił się, a twarz mu pobladła.

– Nie stać nas na to.

– W takim razie proszę choć spróbować pracować tam, gdzie jest przewiew.

Mój były kolega ze szkoły wrócił, niosąc kryształową szklanekę wypełnioną wodą. Postawił ją na stoliku przy nas. Czy nie mógł się zmusić do podania jej ojcu? Nie mógł mieć przecież pojęcia, że ojciec był po jego stronie. Gdyby nie jego poważny stan, ojciec próbowałby schować cały tramwaj tych ludzi w naszej sypialni.

Katz wyjął tabletkę z butelki i wsunął ją ojcu w dłoń, a potem się uśmiechnął.

– Na koszt firmy.

Czy tak to działało? Wiązali cię ze sobą, a potem liczyli sobie więcej? W podręcznikach omówiono różne strategie, jakimi Żydzi starali się omotać ciężko pracujących Niemców. Przejmowali kontrolę nad światem medycyny. Moi profesorowie mówili, że Żydzi strzegli chytrze wyników swoich badań i w zasadzie nie wypuszczali ich poza własny krąg.

Ojciec łyknął pigułkę, ja tymczasem przyglądałam się stojącym na półkach tytułom: Chirurgia kliniczna. Stadia rozwoju embrionu u ludzi i innych kręgowców. Cała półka wypełniona oprawionymi w zieloną skórę książkami, takimi jak Atlas chorób oka zewnętrznego czy Atlas syfilisu i innych chorób wenerycznych.

– Lubi panienka czytać? – zapytał Katz.

– Herta niedługo skończy szkołę medyczną – powiedział ojciec. – Kurs przyśpieszony. Fascynuje ją chirurgia.

Miałam doskonale oceny z tych kilku kursów chirurgii, w których pozwolono mi brać udział, ale narodowy socjalizm zabraniał kobietom

specjalizowania się w tej dziedzinie.

– Ach, chirurgia – stwierdził Katz z uśmiechem. – Królowa nauk medycznych, przynajmniej w mniemaniu chirurgów. – Wyciągnął jeden z zielonych tomów stojących na półce. – Atlas chirurgii ogólnej. Czytała to panienka?

Nie odezwałam się, gdy popchnął książkę w moją stronę. Wyglądało na to, że jednak niektórzy Żydzi chcieli się dzielić.

– Gdy już ją panienka przeczyta, proszę ją przynieść, a ja dam panience następną – powiedział.

Nie tknęłam tej książki. Co powiedzieliby o mnie ludzie, gdybym wzięła książkę należącą do Żyda?

– Jest pan zbyt hojny, Herr Doktor – powiedział ojciec.

– Nalegam – odparł Katz, ciągle trzymając książkę w wyciągniętej ręce.

Wyglądała na ciężką, była obita miękką skórą, a wytłoczone na niej litery miały złoty kolor. Czy mogłam pożyczyć coś takiego? Pragnęłam jej. Nie tyle po to, by ją przeczytać. Miałam przecież podręczniki. Brzydkie i używane, z notatkami poprzednich właścicieli na marginesach i okruchami chleba na szyciu. Ta książka była czymś pięknym. Byłoby miło wejść z czymś takim do sali wykładowej i jak gdyby nigdy nic położyć ją na ławce. Mutti na pewno wpadłaby we wściekłość, że ojciec pozwolił mi ją wziąć, ale już samo to było przyjęcia oferty.

Wzięłam książkę z rąk Katza i odwróciłam się.

– Jest milczkiem – stwierdził ojciec. – Ale szybko czyta. Niebawem ją panu odda.

To była bardzo przydatna książka, w pewnych aspektach bardziej szczegółowa niż nasze podręczniki.

W niecały tydzień połknęłam rozdziały od „Zapalenia i regeneracja tkanek” do „Nowotwór układu limfatycznego”. Treść tego ostatniego oraz kolorowe plansze pozwoliły mi lepiej zrozumieć stan ojca.

Nabłoniak. Mięsak. Radioterapia.

Gdy skończyłam czytać ostatni rozdział, „Amputacje i protezy”, i przećwiczyłam dwa nowe opisane tam węzły chirurgiczne, poszłam do domu Żyda, by oddać mu książkę. Miałam też nadzieję, że pożyczy mi następną.

Gdy dotarłam na miejsce, frontowe drzwi były otwarte, a funkcjonariusze SS wynosili na chodnik kartony z książkami, czarną torbę lekarską Katza i pomalowany na biało wiklinowy wózek dziecięcy, którego kółka ciągle jeszcze obracały się w powietrzu. Ktoś wygrywał

niemiecką piosenkę ludową na fortepianie Katza.

Przycisnęłam książkę do piersi i wróciłam do domu. Katz już się raczej o nią nie upomni. Wszyscy słyszeli o tego rodzaju aresztowaniach. W większości dochodziło do nich nocami. Przykro było patrzeć, jak czyjś majątek jest przejmowany w taki sposób, ale w pewnym stopniu Żydzi zostali ostrzeżeni.

Wiedzieli, czego żąda Führer. Było to przykre, jednak nie stanowiło dla nikogo zaskoczenia i działało się dla dobra Rzeszy. Niecały tydzień później zauważyłam, że do domu wprowadza się nowa rodzina. Pięciu synów i córka przenosili do środka walizki i klatkę dla ptaków.

Matka cieszyła się, że może pracować w sklepie mięsnym swojego brata Heinza tuż za mostem, w Oberkassel, zamożnej dzielnicy miasta. Gdy tylko nadarzyła się okazja, również mnie załatwiła tam pracę. Sklep był nieduży, ale Heinz wypełnił towarem każdy skrawek powierzchni. Nawet na zewnątrz, wzdłuż witryny, wisiały szynki i długie pasy wieprzowych żeber, które w jakiś sposób przypominały skarpetki na sznurze do bielizny. Wuj wystawił nawet rozkrzyżowane tuczniki z rozciętymi brzuchami, z których wybrano wcześniej i starannie odłożono na bok połyskujące wnętrzności.

Początkowo bladłam na ten widok, ale jak na studentkę medycyny zainteresowaną chirurgią przystało z czasem nauczyłam się dostrzegać piękno w najbardziej niebywałych miejscach. W zdumiewającej barwie żeber, w ciężkich łbach cielaków, wyglądających, jakby były uśpione, gdy firana czarnych rzes kładła się miękko na wilgotnym futrze.

– Umiem wykorzystać każdą część zwierzęcia – powtarzał często Heinz. – Tylko dla kwiku nie mam zastosowania.

Cały dzień gotował na kuchence wieprzowe części, aż okna zachodziły parą, a sklep przesiąkał jednocześnie zgnilizną i słodyczą, jak tylko sklepy mięsne potrafią.

Z czasem, ponieważ z miasta znikало coraz więcej Żydów, wuj stał się jedynym oferującym dobrej jakości mięso rzeźnikiem i interesy z dnia na dzień szły coraz lepiej. Pewnego popołudnia Heinz przekazał nam wiadomość, która przy okazji dotarła do uszu dwóch stojących przy ladzie klientek.

– Moje panie, musicie iść na Platz. Wyprzedają magazyny. Słyszałem, że Frau Brandt znalazła tam futro z soboli na jedwabnej podszewce. Tylko trzeba się śpieszyć.

Nikt nie wspomniał, że wyprzedawane rzeczy zostały odebrane Żydom, ale i tak wszystkie o tym wiedziałyśmy.

– To okropne odbierać ludziom majątek w taki sposób – powiedziała Tante Ilsa, żona Heinza, która w sklepie pojawiała się wyłącznie, gdy musiała. Zawsze przynosiła wtedy słoik marmolady truskawkowej, którą kiedyś skomplementowałam. Ilsa była szczelnie owinięta płaszczem, choć było przecież lato, i wyszła po zaledwie dwóch minutach. – Przebieranie w rzeczach należących do innych, jakby byli martwi, to grzech.

Tante Ilsa prawie sama sfinansowała moją szkołę. Wyglądem przypominała nieco modliszkę – wysoka i delikatna z głową zdecydowanie za małą w stosunku do reszty ciała. Odziedziczyła po swojej matce niemałą fortunę i wydawała pieniądze oszczędnie, niezależnie od protestów wuja.

Onkel Heinz uśmiechnął się, przez co jego oczy wieprza zniknęły całkiem w fałdach nalanej tłuszcem twarzy.

– Och, nic się nie przejmuj, Ilso. Teraz pewnie są już martwi – powiedział.

Klientki odwróciły się, słysząc te słowa, ale wiedziałam, że wuj ma rację. Jeśli ciotka Ilsa nie zacznie uważać, jej własny, nie taki znów nieznaczny majątek, mógł z łatwością znaleźć się na placu, tuż obok rzeczy należących niegdyś do Żydów. Złoty krzyżyk, który nosiła na szyi, przed niczym nie chronił. Czy Ilsa wiedziała, co Heinz robił w chłodni? Być może podświadomie, w ten sam sposób, który sprawia, że ciele zaczyna zachowywać się niespokojnie w dniu uboju.

– A jak ci było przykro, kiedy ten Żyd Krystel zamknął swój sklep. Kto by pomyślał, moja żona, przyjaciółka Żydów, klientka konkurencji. To się nazywa lojalność, nicht so?

– On ma te młode kurki, które lubię.

– Miał, Ilso. I jak się to rozniesie, raczej nie pomoże mi w interesach. Lada dzień trafisz na Pranger-Liste.

Ugryzłam się w język, żeby nie powiedzieć, że widziałam już nazwisko ciotki na Pranger-Liste, ogłaszanej publicznie w mieście, przekreślonej w poprzek czarnym pasem liście Niemek, które kupowały w sklepach należących do Żydów.

– Żona Krystela tu nie przychodzi – powiedział Heinz i dodał: – Dzięki Bogu. I Frau Zates też już nie.

Chce kapustę, ale zapłaci tylko za pół. Kto kupuje pół kapusty? Przetnę, to kto kupi drugą połówkę? Nikt, ot co.

– Ale dlaczego miałyby kupować całą, skoro potrzebuje tylko połowy? – zapytała Tante Ilsa.

– Mein Gott, nie rozumiesz, że robi to na złość?

– Zdejmij ten paluch z wagi, Heinz, bo w ogóle stracisz klientów.

Mutti i ja wycofałyśmy się, zostawiając wuja i ciotkę ich sprawom, i poszłyśmy na zorganizowaną na placu wyprzedaż. Mutti rzadko miała okazję chodzić na zakupy, bo wstawiała codziennie o piątej trzydzieści, żeby jeszcze przed sprzątnięciem domów czy pracą u wuja połatać ubrania. Dzięki cudownemu uzdrowieniu gospodarki, jakiego dokonał Führer, miała więcej wolnych godzin po południu, ale pod koniec dnia i tak była zmęczona. Wzięła mnie za rękę, gdy przechodziłyśmy przez ulicę, i poczułam jej szorstką skórę. Ledwie mogłam znieść widok jej wielkich dłoni, czerwonych i łuszczących się od ciągłego szorowania toalet i mycia naczyń. Na coś takiego nie mogła pomóc żadna ilość maści z lanoliną.

Na placu zebrali się już ludzie, którzy teraz przyglądali się, jak żołnierze Wehrmachtu zrzucają różne przedmioty domowego użytku na wielkie stosy, a delikatniejsze z nich rozkładają na stołach. Puls mi przyśpieszył, gdy podeszłam do posortowanych według płci i przeznaczenia stosów. Buty i torebki. Całe skrzynie sztucznej biżuterii. Futra i sukienki. Nie wszystkie były w dobrym guście, ale jeśli się poszperało, obok zupełnych śmieci można było znaleźć najlepsze marki. Humor Mutti natychmiast się poprawił i szybko ruszyła na poszukiwanie czegoś dla nas.

– Popatrz, Chanel – powiedziałam, pokazując czerwony kapelusz.

– Żadnych kapeluszy – oznajmiła Mutti. – Chcesz dostać wszy? I w ogóle co za myśl, żeby chować pod czymś włosy? To twój największy atut.

Odrzuciłam kapelusz z powrotem na stertę, mile polechtana komplementem. Choć moje długie do ramion włosy nie były koloru pszenicy, w odpowiednim świetle można było nazwać je miodowymi.

Cieszyło mnie to, gdyż jak każda Niemka chciałam mieć blond włosy, a na rozjaśnianie nie patrzono przychylnie.

Mijałyśmy właśnie górę płócien i oprawionych w ramy zdjęć. Na wierzchu leżał obraz przedstawiający dwóch obejmujących się mężczyzn przebity włócznią stojącej pod nim rzeźby.

– Mój Boże, żydowska sztuka – parsknęła Mutti. – Czy oni naprawdę nie mogą powiesić sobie na ścianie kalendarza jak normalni ludzie?

Ojciec, który wracał właśnie z apteki, dołączył do nas przy którejś ze stert. Bruzdy na jego twarzy wydawały się tego dnia jeszcze głębsze. Miał za sobą ciężką noc spędzoną na kanapie.

Podniosłam leżący na stole album i przerzuciłam kilka stron – dawne czarno-białe fotografie z czyichś wakacji nad morzem.

– To poniżej godności – oznajmił ojciec. – I wy mienicie się chrześcijankami?

Oczywiście nie podobało mu się to. Tylko po co w ogóle przystawał, żeby się do nas odezwać?

Odrzuciłam album na stertę.

– Anton, czy nie możesz choć na chwilę nieco się rozluźnić? – zapytała Mutti.

Spomiędzy wielu innych wyciągnęłam jeden z dwóch obrazów przedstawiających pasące się krowy.

Był dobrze namalowany, może nawet przez jakiegoś mistrza. Tradycyjna sztuka niemiecka. Ministerstwo Propagandy z pewnością by go zaaprobowało. Taki obraz powinien wisieć na ścianie domu każdej kulturalnej kobiety.

– Co o tym sądzisz, mamó?

Mutti wskazała na krowy i zaśmiała się.

– Oj, to przecież ty, kleine Kuh.

Kleine Kuh było przezwiskiem, jakie mi nadała. Mała jałoweczka. Gdy Mutti była dzieckiem, widziała brązową krowę, którą jej przypominałam. Dawno już pogodziłam się z myślą, że nie jestem tak delikatnej budowy jak matka i że nie mam jej jasnych włosów, ale to przezwisko nadal mnie bolało.

– Nie nazywaj tak Herty – zachnął się ojciec. – Na żadną dziewczynę nie powinno się mówić „krowa”.

Miło było mieć oparcie w ojcu, mimo że łamał prawo, słuchając zagranicznych stacji radiowych, i czytał każdą obcą gazetę, jaka wpadła mu w ręce. Wzięłam oba obrazy i ułożyłam je na naszej kupce.

– A gdzie są właściciele tego wszystkiego? – zapytałam, chociaż ogólnie miałam pewne wyobrażenie.

– Pewnie w KZ – odpowiedziała Mutti. – Sami tego chcieli. Mogli się usunąć z drogi. Wyjechać do Anglii. Oni nie lubią pracować i na tym polega problem.

– Żydzi wykonywali mnóstwo zawodów – sprostował ojciec.

– Ja, oczywiście, ale jakich? Prawnicy? Przecież to nie praca. Posiadali fabryki, ale czy wykonywali jakąś pracę? Nie. Wolałabym pracować w dziesięciu różnych miejscach niż dla któregoś z nich.

Mutti wyciągnęła z kupy rzeczy szlafrok i podała go ojcu.

– Pasowałby na ciebie, Anton?

Ojciec i ja nie musieliśmy nawet patrzeć na srebrne K wyhaftowane na rękawie, by wiedzieć, do kogo wcześniej należał.

– Nie, dziękuję – odparł, a Mutti odeszła, aby dalej prowadzić poszukiwania w stertach rzeczy.

– Jesteś pewien, tato? – Podniosłam szlafrok i podałam mu go. – Jest naprawdę ładny.

Odsunął się o krok.

– Herto, co się z tobą stało? Gdzie podziała się moja dziewczynka o delikatnym serduszku, zawsze gotowa prowadzić kwestę dla najbardziej potrzebujących? Od Katza mogłabyś się wiele nauczyć.

– Nie zmieniłam się. – Było jasne, że nie popiera moich działań ani nawet nie za bardzo mnie lubi, ale czy musiał ogłaszać to światu?

– Katz miał w sobie współczucie dla innych. Lekarz, który nie kocha ludzi, jest zaledwie rzemieślnikiem.

– Ależ ja mam w sobie współczucie. Czy wiesz, jakie to uczucie móc zmienić czyjeś życie tymi rękoma?

– Dopóki Hitler jest u władzy, nigdy nie zostaniesz chirurgiem. Nie rozumiesz tego? Wasze pokolenie jest takie uparte.

Nie podobało mi się to, ale musiałam przyznać mu rację w kwestii chirurgii. Jako jedna z nielicznych dziewcząt w szkole i tak miałam szczęście, że mogłam uczyć się dermatologii, o chirurgii nie wspominając – z tej dziedziny odebrałam tylko podstawowe szkolenie.

– Wszyscy musimy ponosić jakieś wyrzeczenia, ale to dzięki mojemu pokoleniu Niemcy się zmieniają.

Wasze zostawiło nam tylko biedę.

– Hitler sprowadzi na nas zagładę. Nie może tak brać tego, na co ma ochotę... – Cicho, ojciec – zażądałam. Mówienie takich rzeczy w miejscach publicznych było bardzo niebezpieczne. A jemu zdarzało się czasem opowiadać dowcipy o przywódcach partii. – Hitler jest naszą nadzieją. W mgnieniu oka pozbył się dzielnic biedoty. I musi zabierać. Niemcy nie rozkwitną bez przestrzeni do życia, do rozwoju. Nikt przecież nie odda nam tak po prostu ziemi, którą utraciliśmy.

Wielu rodziców niechętnie dyskutowało ze swoimi dziećmi w obawie przed zadenuncjowaniem, ale mój ojciec się do nich nie zaliczał.

– On niszczy Niemcy, żeby dać upust własnej próżności.

– Wojna skończy się w kilka tygodni, sam zobaczysz – stwierdziłam. Ojciec obrócił się z lekceważącym machnięciem dłoni.

– Idź prosto do domu i odpocznij przed popołudniową kawą, tato.

Odszedł i o mały włos wpadłby pod jadący tramwaj. Ojcu potrzebna była drzemka. Rak szalał w nim w najlepsze. Czy Katz pomógłby mu przeżyć? Tracenie czasu na takie myśli nie było najlepszym pomysłem.

Zajęłam się przeglądaniem stosu książek w poszukiwaniu pozycji z medycyny.

Mutti pośpieszyła w moją stronę.

– Znalazłam różane mydełko... i toster.

– Nie martwisz się o tatę, Mutti? Ktoś na niego doniesie. Czuję to.

Choć moi rodzice byli Niemcami z krwi i kości i mogli prześlędzić swoje czyste etnicznie korzenie aż do 1750 roku, to ojciec nie krył rozczarowania działaniami partii. Nadal wywieszał w oknie tradycyjną niemiecką flagę w pasy obok nowej, czerwonej flagi partyjnej wieszanej przez Mutti. Oczywiście Mutti zawsze przewieszała jego flagę w boczne okno. W zalewie flag ozdobionych swastykami nikt nie zwracał na to uwagi, ale pozostawało wyłącznie kwestią czasu, kiedy ktoś wreszcie na ojca doniesie.

– Ja, feind hört mit, Herta – powiedziała matka. Wróg słucha. Potem przyciągnęła mnie bliżej do siebie. – Ale nie martw się tym, kleine Kuh. Skup się na pracy.

– Mogę zajmować się tylko dermatologią... Mutti zacisnęła palce na moim ramieniu.

– Przestań. Już niedługo będziesz pracować z najlepszymi i najmądrzejszymi. Możesz osiągnąć, co tylko chcesz.

– Ktoś powinien powściągnąć trochę ojca.

Mutti odwróciła się nagle.

– Co ludzie powiedzą, jak zobaczą u nas te rzeczy? – zapytała, kręcąc głową nad trzymanym w ręku tosterem.

Zapłaciłyśmy za wybrane przedmioty: toster, album, obrazy i etolę z norek, która ciągle jeszcze nie straciła szklanych paciorków oczu przy łebkach. Dla tej odrobiny luksusu Mutti była gotowa zaryzykować złapanie wszy. Żołnierze dorzucili nam dyplom ukończenia szkoły medycznej oprawiony w ramę, którą Mutti chciała wykorzystać do zaprezentowania certyfikatu potwierdzającego aryjskość jej pochodzenia, oraz płócienne buty sportowe dla mnie. Za wszystko zapłaciłyśmy zaledwie dziesięć marek. Rzadko zdarzało się nam jeść chleb, który nadawałby się na tosty, a Mutti nie było stać, by iść gdziekolwiek w swojej nowej etoli, ale uśmiech na jej twarzy był wystarczającym powodem, by uznać wyprawę na plac za udaną.

Cieszyłam się z nowych butów sportowych, bo tydzień później miałam opiekować się grupą dziewcząt w czasie wycieczki poza miasto. Miałyśmy jechać do Obozu Rozkwitania, ośrodka położonego w sosnowym lesie oddalonym o pół dnia jazdy na północ od Düsseldorfu.

Obóz był prowadzony przez organizację Wiara i Piękno działającą przy BDM, Bund Deutscher Mädel, Związku Niemieckich Dziewcząt, żeńskim oddziale ruchu młodzieżowego partii. Wiara i Piękno zrzeszała wyłącznie starsze dziewczyny i miała przygotowywać je do przyjęcia obowiązków domowych i wejścia w rolę matki.

Kilkudniowy obóz miał pomóc przejść młodszym dziewczętom w szeregi organizacji, a mnie, jako drużynowej, przypadło zadanie opiekowania się dziewczętami z podległego mi baraku. Nie było to łatwe zajęcie.

Drużynowe otrzymywały codzienne zadania i mnie przydzielono do chaty rzemiosła, co było wyraźną głupotą, ponieważ według mnie amatorskie malowanie akwareli czy nawijanie szpul nici było zupełną stratą czasu. No i moje niemałe zdolności nie miały przecież nic wspólnego ze sztuką. Dogłębne szkolenie medyczne predestynowało mnie raczej do prowadzenia obozowej lecznicy, ale człowiek służy tam, gdzie jest potrzebny. Przynajmniej z chaty był widok na jezioro, w którym odbijały się czerwone i złote drzewa, które je otaczały.

Pewnego popołudnia dołączyła do mnie Pippi, druga przypisana do pracy w chacie rzemiosł dziewczyna. Znałam ją, ponieważ razem wstąpiłyśmy do BDM, i chociaż była nieco ode mnie młodsza,

dobrze się rozumiałyśmy i byłyśmy na najlepszej drodze do zostania przyjaciółkami na dobre i złe – wydawało się, że wszystkie pozostałe dziewczęta tworzą już takie pary. Pippi i ja robiłyśmy w BDM wszystko wspólnie. Razem zdobywałyśmy sprawności i razem odebrałyśmy sznury drużynowych. Na spotkaniach na zmianę nosiłyśmy flagę. Na wyjeździe wspólnie jadałyśmy, a nawet razem sprzątałyśmy stoły w chacie.

– Szybciej – powiedziałam. – Zaraz będzie padać.

Pippi pozbierała nożyce ze stołów i włożyła je do rozstawionych po całej sali metalowych puszek.

Strasznie się z tym guzdrała.

Skinęła głową w kierunku okna.

– Zobacz, kto na nas czeka.

Na granicy lasu, obok wyciągniętej na brzeg łodzi, za którą ciągnęła się głęboka bruzda w piasku, stało dwóch chłopców, jeden blondyn, drugi ciemnowłosy. Rozpoznałam ich. Byli to drużynowi z sąsiedniego obozu dla chłopców. Mieli na sobie obozowe mundury: koszule i krótkie spodnie w kolorze khaki. Byli częścią obsady tej łodzi. Przystojni, ma się rozumieć. Na żaden z niemieckich obozów dla młodzieży nie zabierano osób o niskiej wartości rasowej, wszyscy byliśmy więc atrakcyjni z

wyglądu i czystości rasowo.

Nie było potrzeby mierzyć naszych czaszek i nosów suwmiarkami czy kranimetrami. Za każdym z nas stała czysta genetycznie karta.

– Wiesz, o co im chodzi, Pippi.

Pippi sprawdziła w wiszącym nad zlewem lustrze, jak wygląda. Obok niego ze ściany wołało do nas hasło plakatu propagandowego: PAMIĘTAJ, JESTEŚ NIEMCEM! DBAJ O CZYSTOŚĆ KRWI!

– No i co z tego? Chcę spróbować. To będzie zabawne.

– Zabawne? Nie jesteśmy w stanie ukończyć sztafety, bo ciągle jakieś pary znikają w lesie. – Po co było organizować wyścig, skoro nikt nie wygrywał?

Kadra Obozu Rozkwitania została poinstruowana, by nie zwracać uwagi na zachowanie par o czysto aryjskich korzeniach. Jeśli dziewczyna zaszła w ciążę, była wysyłana do luksusowej kliniki prowadzonej przez SS, a narodziny każdego zdrowego dziecka świętowano z wielką pompą, niezależnie od tego, czy matka była zameżna, czy nie. Naturalnie takie kładzenie nacisku na zwiększenie populacji było zrozumiałe. Ale ponieważ chciałam rozpocząć karierę w zawodzie, nie mogłam pozwolić sobie na dziecko. Ukradkiem wyciągnęłam parę nożyczek z puszki i schowałam je w kieszeni spodni.

Oczy Pippi rozszerzyły się.

– Robiłaś to kiedyś? – zapytała spokojnie.

– To boli, wiesz? I niezależnie od tego, co mówią, jeśli urodzisz dziecko, usuną cię z BDM i wyślą do Wernigerode. W sam środek niczego.

Pippi wyciągnęła z kieszeni spodni plik pocztówek. Przedstawiały widoki z Die Mütter-Häuser des Lebensborns, naprawdę okazałych domów. Na jednej widać było pielęgniarkę pochyloną nad ozdobioną falbanami kołyską stojącą na otoczonym drzewami tarasie. Nad nimi powiewała flaga SS.

– Mówią, że to jak wyjazd na wakacje, dostajesz wszystko, co najlepsze. Mięso. Prawdziwe masło... – Może, ale ojciec nie będzie o niczym wiedział. A gdy dziecko się już urodzi, zabierają je i oddają obcym na wychowanie.

– Herto, ty potrafisz zepsuć każdą przyjemność – powiedziała, wachlując się pocztówkami.

Gdy chłopcy przestali zajmować się łodzią, stanęli przy niej z rękoma w kieszeniach. Staralam się przeczekać ich w nadziei, że jednak odejdą, ale ostatecznie naprawdę musiałyśmy już iść.

Ruszyłyśmy z Pippi ramię w ramię ścieżką prowadzącą do naszego baraku. Obróciłyśmy się i zobaczyłyśmy, że chłopcy idą naszym tropem, przyśpieszając nieco kroku. Pippi przygryzła wargę w uśmiechu.

– Szybciej – powiedziałam, ciągnąc ją za ramię.

Chłopcy nabierali prędkości, skręciłyśmy więc z Pippi w las. Zeszłam ze ścieżki i zanurkowałam w krzewach i jeżynach, natomiast Pippi, doskonała sprinterka, została w tyle. Biegając, czułam, jak ostrze nożyczek dźga mnie w udo. Dlaczego czułam się przez to bardziej żywa?

Obiegrałam opuszczony barak stojący przy strumieniu i przykucnęłam nad porośniętym mchem potokiem.

Ciągle usiłując złapać oddech, odłożyłam nożyczki i sprawdziłam ranę na nodze. Była powierzchowna, ale krwawiła nad wyraz mocno. Mimo szumu strumienia usłyszałam, jak chłopcy dopadli Pippi.

– Biegliscie tak szybko – powiedziała, zaśmiewając się.

Cała trójka weszła do baraku, a ja strząsnęłam z siebie nagłe uczucie zazdrości. Jak by to było całować się z takim przystojnym chłopcem? Czy powinnam powiedzieć przełożonym, że Pippi uległa?

– Świetnie całujesz – usłyszałam głos Pippi.

Potem zaskrzypiały sprężyny materaca, Pippi zachichotała, a któryś z chłopców jęknął. Gdzie był drugi?

Przyglądał się?

Pippi stawiała żenująco mały opór i wkrótce doleciały mnie ich głośnie posapywania. Jak mogła?

– Nie możesz zostać w ubraniu – oznajmił jeden z chłopców.

– Ale tu jest tak brudno – pożaliła się Pippi.

Kucałam ciągle bez ruchu, nie chcąc zdradzić, gdzie się skryłam. Wydawało się, że Pippi, której początkowo wszystko to się podobało, nagle zmieniła zdanie.

– Nie, proszę – powiedziała. – Muszę wracać... – To nieuczciwe tak nas nęcić... – To boli – krzyknęła. – Herto!

Przyjaciele powinni sobie pomagać, ale przecież ją ostrzegałam. Dlaczego mnie nie posłuchała? Taki brak samokontroli był słabością.

– Ratunku! – krzyczała Pippi. – Niech ktoś... Gdybym ruszyła jej z pomocą, naraziłabym również siebie, jednak nie mogłam zostawić jej w takiej sytuacji. Chwyciłam nożyce, ciężkie i zimne, i zakradłam się do baraku po przegniłych schodach w niemal zupełnej ciemności.

Obite moskitierą drzwi leżały na ziemi, wyrwane z zawiasów, miałam więc doskonały widok.

Wewnątrz na jednym z końców pomieszczenia stały stłoczone

porzewiałe metalowe łóżka, a Pippi leżała na jedynym, które stało normalnie. Jeden z chłopców leżał na niej, a jego gładkie, sinoblade napięte pośladki podskakiwały w ciemnościach, gdy poruszał się na niej, nie zważając na jej krzyki.

Drugi z chłopców, ten ciemnowłosy, stał w głowie łóżka, przytrzymując Pippi za ramiona.

Dałam krok nad ziejącą dziurą po wyrwanych deskach podłogowych.

– Przestań – zażądałam.

Drugi z chłopców podniósł się, gdy mnie zobaczył, być może licząc na to, że też zdoła się zabawić.

Machnęłam nożyczkami, a lekko przytłumiona srebrna smuga przecięła powietrze.

– Ona mówi poważnie – stwierdził ten ciemnowłosy, puszczając Pippi.

Jasnowłosy chłopak przywarł jeszcze bardziej do Pippi i zaczął poruszać się ze zdwojonym wigorem, wiedząc, że przyjemność niedługo dobiegnie końca.

Podeszłam bliżej.

– Złaż z niej! – zawołałam.

– Chodźmy – powiedział jego kolega.

Blondyn zwłókł się z Pippi, zgarnął swoje portki z podłogi i wyszedł z przyjacielem. Obaj starali się trzymać poza zasięgiem moich nożyczek. Pippi po prostu płakała na materacu. Rozwiązałam chustę, którą miałam pod szyją, i położyłam na łóżku.

– Masz, doprowadź się do porządku – powiedziałam.

Zostawiłam ją samą i poszłam upewnić się, że chłopcy rzeczywiście zniknęli. Gdy nabrałam pewności,

że nie wrócą, skierowałam się w stronę strumienia. Chwyciłam znów nożyce, a potem zebrałam włosy w dłoń i dobrze je napreżyłam. Ucięłam. Czułam, jak mięśnie rozluźniają mi się z ulgi. Cięłam i szukałam kosmyków, które mogły jeszcze zostać, aż żaden z włosów nie sięgał dalej niż na długość kciuka.

Wyrzuciłam je do rzeki i patrzyłam, jak suną w ciemność, ślizgając się na kamieniach.

Pomogłam Pippi wrócić do naszego baraku. Dziękowała mi przez łzy i przyznała, że powinna była posłuchać moich rad. Obiecała napisać po powrocie do domu, do Kolonii.

Następnego dnia przyjechali po nią rodzice, którzy, sądząc po ich gwałtownych ruchach, wcale nie byli zadowoleni. Obserwowałam, jak

odjeżdża, machając mi przez tylne okno samochodu rodziców. I tak zniknęła moja jedyna przyjaciółka.

Przez resztę pobytu nie rozstawałam się z nożycami, ale ścięcie włosów spełniło swoje zadanie – chłopcy mnie nie rozpoznali. Gdy wyjazd dobiegł końca, połowa dziewcząt z mojego baraku trzymała kciuki, by urodzić, ja natomiast odjeżdżałam szczęśliwa bez zapłodnionego jajeczka.

Rozdział 4
Caroline
1939

Po ataku Hitlera na Polskę złowrózba atmosfera panująca we wszystkich nowojorskich konsulatach zmieniła się w autentyczną panikę, a w naszym biurze wybuchło prawdziwe piekło. Co gorsza, Waszyngton zaostrzył restrykcje wizowe i teraz wjazd do Stanów Zjednoczonych z Europy był praktycznie niemożliwy. Francja także ograniczyła wydawanie wiz. W listopadzie ci najbardziej zdesperowani, by znaleźć się na czele kolejki, ignorowali niską temperaturę i spali pod gwiazdami w śpiworach pod oknami mojego biura. Gdy otwieraliśmy rankiem, kolejka Francuzów zdesperowanych,

by wrócić do domu, bardzo często wylewała się z naszej recepcji na korytarz.

Moja przyjaciółka od serca Betty Merchant wybrała właśnie jeden z szarych dni w końcu listopada, by pojawić się u nas z dotacją. Usłyszałam, że przybyła, i natychmiast zażądała od Pii gorącej herbaty, która miała się nigdy nie pojawić. Betty przedarła się do mojego biura i stanęła w progu w swoim błękitnym kostiumie od Schiaparellego i w kapelusiku przyozdobionym błękitnymi i czerwonymi piórami, z gazetą zwiniętą pod pachą. W jednej ręce trzymała stary prezent ślubny od pewnej pary z New Jersey – wysokie na metr drzewko wykonane z sześćdziesięciu studolarowych banknotów poskładanych w małe wiatraczki i przytwierdzonych do drewnianego szkieletu. W drugiej niosła pokaźnej wysokości wieżę z ustawionych na sobie pudełek po butach.

Betty postawiła drzewko na blacie mojego biurka.

– Przyniosłam to dla twoich francuskich dzieciaków. Powinno starczyć na trochę mleka w puszkach.

Cieszyłam się z jej wizyty, ale byłam mocno spóźniona, a teczki zaczynały niebezpiecznie spiętrzać się na moim biurku. Zgodnie z francuskim zwyczajem nasze biuro miało być zamknięte od dwunastej trzynastej do trzeciej, zarezerwowałam więc sobie ten czas na zjedzenie tuńczyka z puszek i przegrupowanie się przed popołudniowym szturmem.

– Bardzo dziękuję, Betty. Miło, że przyszłaś, ale... – I pudełka po butach, jak obiecałam. Przyniosłam tylko te francuskie, żeby dzieciaki

czuły się jak w domu. – Betty miała manię kupowania butów i dzięki temu stanowiła niewyczerpane źródło opakowań na paczki z pomocą, które wysyłałam za granicę. Jeśli chodzi o Betty, miałam pewność, że pudełek nigdy mi nie zabraknie.

Betty zamknęła drzwi do biura.

– Zamykam ze względu na Pannę Gumowe Ucho.

– Pię?

– Och, ona podsłuchuje każde słowo. Na pewno umiera z ciekawości, żeby dowiedzieć się, gdzie mamy zamiar zjeść lunch.

– Obawiam się, że jestem zawalona robotą, nie mam też specjalnie apetytu.

– Nie wciśniesz w siebie choćby kęsa? Dobre martini na pewno pobudzi twój apetyt.

– Jak mam wyjść na lunch, skoro wszyscy ci ludzie czekają pod drzwiami. Właśnie skończyłam rozmawiać z pewnym małżeństwem z Lyonu, które od czerwca nie miało kontaktu ze swoją córką we Francji. Oboje wyszli stąd we łzach.

– Naprawdę, Caroline. Jesteś wolontariuszką, a nie możesz nawet wyrwać się na lunch.

– Ci ludzie mnie potrzebują.

– Ten windziarz... Jakże mu na imię? Cuddy? Może powinnam zabrać jego do 21? Mężczyzna w mundurze ma w sobie to coś.

Betty przejrzała się w swoim podręcznym lusterku, by sprawdzić, czy nadal wygląda nienagannie.

Inspekcja przebiegła pomyślnie, wzruszyła więc tylko ramionami rozczarowana. Betty często była porównywana do Rity Hayworth, gdyż natura obdarzyła ją naprawdę bujnymi włosami i figurą, która sprawiła, że pewien staruszek od lat jeżdżący na wózku inwalidzkim wstał i ruszył o własnych siłach.

Nie zawsze mogła mienić się najładniejszą dziewczyną na sali, ale trudno było oderwać od niej wzrok – jak od katastrofy kolejowej albo tańczącego niedźwiedzia.

– Caroline, musisz nieco odpocząć. Może zagramy w parze w brydża?

– Nie mogę, Betty. Wszystko tu stoi na głowie. Po tych rozruchach, które urządził Hitler, połowa Francji usiłuje się tu dostać, a druga połowa dałaby wszystko, żeby wrócić tam. Poza tym mam do zapakowania sześćdziesiąt paczek. Jak chcesz, możesz pomóc. – Uwielbiam Francuzów. Ty chyba zresztą też. Widziałam wczoraj tego twojego przyjaciela. Szedł

do teatru.

Za oknem sypały pierwsze płatki śniegu. Czy w naszym domu w Connecticut już padało?

– Nie jest moim przyjacielem. – Co niestety było aż nazbyt prawdziwe, choć widywałam się z Paulem często przez całą jesień i początek zimy. Przed próbami wpadał do konsulatu i zawsze jedliśmy razem przyniesiony w brązowej torbie lunch w ogrodzie na dachu French Building, niezależnie od tego, jaka była pogoda.

– Dla niego jakoś znajdujesz czas. Matka powiedziała, że widziała, jak wstępujecie do Sardiego.

„Tęte-ń-tęte w porze lunchu z wysokim Europejczykiem”, jak to ujęła. C., całe miasto o tym mówi.

Wygląda na to, że on już stał się twoim najlepszym przyjacielem. – Betty rzuciła mi na biurko zwiniętą gazetę. – W „Post” pojawiła się wzmianka na wasz temat. Wiesz, że „Physical Culture” ogłosił go najprzystojniejszym mężczyzną świata?

Nie zdziwiło mnie to zbytnio, a nawet sprawiło pewną przyjemność. Ale kto w ogóle oddawał głos w takich ankietach?

– Jeden lunch – powiedziałam. – Doprawdy. Rozmawialiśmy o jego przedstawieniu... Betty pochyliła się nad biurkiem.

– Powinnaś mieć kochanka, Caroline, ale nie afiszuj się z tym, kochanie. I czy to musi być aktor?

W dodatku tak znany? Wiem, że ciągle zbierasz się po tym, co zrobił David. Gdybym wiedziała, że mój brat jest takim... – To już skończone, Betty.

– Mogę usuwać ci przeszkody spod nóg, jednak raz zniszczonej reputacji nie da się już odzyskać.

Evelyn Shimmerhorn zrobiła się ogromna. Nie może nawet wyjść z domu.

– Daj spokój, Evelyn. Nie obchodzi mnie, co pomyślą sobie ludzie.

– Zacznie cię obchodzić, gdy przestaną przychodzić zaproszenia na przyjęcia. Dlaczego nie pozwolisz sobie pomóc? Naprawdę, David jest moim bratem, ale Bóg jeden wie, że ma swoje wady. Bez niego będzie ci lepiej, tylko nie wiąż się zaraz z jakimś Francuzem, żeby zastąpić mojego braciszka. Każdy mężczyzna nosi w sercu kształt kobiecej sylwetki, który mu najbardziej odpowiada. Po prostu musimy znaleźć człowieka, któremu spodoba się twoja.

– Betty, na pewno masz teraz ważniejsze sprawy na głowie.

Betty była moją największą podporą, odkąd w jeszcze wtedy

koedukacyjnym Chapin jeden z chłopaków na lekcji francuskiego przezwał mnie le girafon. Betty wbiła mu wtedy w stopę obcas swojego białego, dziecięcego bucika.

– Gdyby to zależało ode mnie, to moglibyście z Paulem przesiadywać nago nawet na szczycie Chrysler Building, ale staram się jedynie cię bronić, słońce.

Byłam wdzięczna losowi, gdy Betty stwierdziła, że musi już iść. Odprowadziłam ją do recepcji.

Wyniosła tam zrobione z banknotów drzewo i rzuciła je Pii na stół.

– Mam nadzieję, że nie próbuje oddać tego pani w depozyt – odezwała się Pia, odchylając się na krześle z gauloisem w ręku.

– Ciekawie byś wyglądała na Piątej Alei, prawda? Ale, Pia, kochanie, czy ty naprawdę nie masz staników?

– Mówi się „biustonosz”.

Betty rzuciła dolara na biurko Pii.

– Weź to i kup sobie jakiś. W dziale dla dzieci będą tańsze.

Dokładnie w chwili gdy Betty wychodziła z recepcji, z windy wyłonił się Paul z wielką brązową torbą w dłoni i przytrzymał mojej przyjaciółce drzwi. Betty obrzuciła mnie swoim najbardziej wymownym spojrzeniem z gatunku „a nie mówiłam” i wsiadła do windy.

Paul przyszedł, by wyjaśnić z Rogerem jakieś sprawy dotyczące swojej wizy, a ja wepchnęłam się im na spotkanie. Chciałam pokazać, że popieram Paula, co z pewnością mogłoby przekonać Rogera do udzielenia mu pomocy. Roger kazał sobie wstawić do gabinetu rozkładane łóżko i zostawił je rozłożone, z pościelą zmierzwioną i zwiniętą jak zużyta chusteczka. Widać było, że to nie był sen dający pokrzepienie.

– Muszę wywieźć Renę z Francji – oznajmił Paul.

Roger wyciągnął z szuflady maszynkę elektryczną i położył ją na podkładce leżącej na blacie biurka.

– Możemy spróbować. Wizy do Stanów to teraz chodliwy towar. Widziałeś kolejkę. Nawet Francuzi z wizą mają problem z wydostaniem się z Francji. Za mało statków.

– Ojciec Reny jest Żydem – powiedział Paul. – Czy to skomplikuje sprawę?

Podeszłam do łóżka i rozprostowałam pościel.

– Odkąd w dwudziestym czwartym Waszyngton zmienił przepisy imigracyjne, wszystko jest bardziej skomplikowane – stwierdził Roger.

– Mogłaby wystąpić o wizę turystyczną.

Roger zatrzasnął szufladę.

– Caroline, zostaw to łóżko, dobrze? Paul, wszyscy tam wystąpiliby o wizę turystyczną, gdyby to było takie proste. Rena będzie potrzebować dwóch poręczycieli.

– Mogę zostać jednym z nich – powiedziałam, poprawiając poduszkę, na której sypiał Roger. Czy to szminka? Czerwień Rockette.

– Dziękuję, Caroline. – Paul uśmiechnął się do mnie.

– Caroline, czy ty aby przypadkiem nie powinnaś pomagać Pii w recepcji? – zapytał Roger.

Wepchnęłam koc pod materac.

– Czy Rena ma już wykupiony rejs? – zapytał Roger.

– Tak, ale bez wizy bilet stracił ważność. Przesunie rezerwację, gdy otrzyma nową wizę.

Roger włączył maszynkę i zaczął przesuwać ostrzem po policzkach, podcinając niesforne włosy. Gdyby nie panował nad brodą, wkrótce nie byłoby go spod niej widać.

– Niczego nie obiecuję. Lada dzień wejdą kolejne obostrzenia.

– Kolejne? – zapytałam.

– Wiesz, że nie ja o tym decyduję – usprawiedliwił się Roger.

Podniosłam łóżko i zamknęłam drzwi kryjącej je szafy.

– A nie moglibyśmy przyśpieszyć trochę spraw? To nieuczciwe. Paul jest jednym z bardziej znanych obywateli francuskich, ambasadorem kraju na świat... – Pozostaję na łasce Departamentu Stanu, Caroline. Skrzynką szampana nic więcej nie ugramy.

– Mogę wrócić do Francji, żeby osobiście załatwić wizę – powiedział Paul.

– Jeśli wrócisz, już tam utkniesz – ostrzegł go Roger.

Podeszłam do krzesła, na którym siedział Paul.

– Dlaczego nie poczekaasz do wiosny?

– Nie wiadomo, co będzie wiosną – wtrącił się Roger. – Paul, jeśli naprawdę o tym myślisz, płyn teraz.

Paul wyprostował się natychmiast.

– Oczywiście, że rozważam to na serio.

Czy faktycznie? Dałam mu formularze pozwalające ubiegać się o ponowny wjazd, ale je zgubił. Dwa razy. Nie żeby zależało mi na jego wyjeździe.

– W takim razie musisz złożyć odpowiednie dokumenty – stwierdził Roger.

– Mogę wypełnić za ciebie papiery – wtrąciłam.

Paul pochylił się w moją stronę i uściśnął mi dłoń.

– Musisz naprawdę chcieć spotkać się z żoną – powiedział Roger.

– Oczywiście – potwierdził Paul.

Roger podniósł się z miejsca.

– Decyzja należy do ciebie, ale jeśli w chwili gdy Hitler zdecyduje się najechać na Francję, ty będziesz siedzieć w swoim pokoju w Waldorfie, to już tam nie wrócisz.

Spotkanie dobiegło końca. Paul również wstał z krzesła.

– Caroline, mogłabyś zostać na chwilę? – zapytał Roger.

Paul ruszył do drzwi.

– Do zobaczenia na górze – powiedział, kierując się do ogrodu na dachu.

Roger zamknął za nim.

– Mam nadzieję, że wiesz, w co się pakujesz.

– Byłam poręczycielem przynajmniej dziesięciu ubiegających się o wizę... – Wiesz, co mam na myśli. Z Paulem.

– To nic takiego – odparłam. Byle spokojnie... Zmęczony Roger oznaczał zazwyczaj kłopoty.

– Paul wyjechałby już dawno, gdyby nie ty. Widzę przecież, co się święci.

– Roger, to nie fair.

– Naprawdę? Ten człowiek ma rodzinę, Caroline. Nie dziwi cię, że nie próbuje za wszelką cenę tam wrócić? – Roger wyjął teczkę Paula i przekartkował jej zawartość.

– Jego przedstawienie... – Jest ważniejsze niż żona?

– Mam wrażenie, że oni... nieco się od siebie oddalili.

– No i zaczynamy. – Roger rzucił teczkę na biurko. – Pia mówi, że jadacie razem lunch w ogrodzie na górze.

– Roger, nie musisz się tak tym przejmować. – Przesunęłam się w stronę drzwi. Roger nie miał pojęcia, ile razy przemierzaliśmy z Paulem Manhattan. Jadaliśmy razem chińszczyznę i ryżowe ciasteczka na MacDougal Street w Greenwich Village. Przechadzaliśmy się po ogrodzie japońskim w Prospect Parku.

– Słuchaj, Caroline. Rozumiem, że pewnie czujesz się samotna... – Nie musisz mnie obrażać. Staram się po prostu pomóc. To niewłaściwe, że on i Rena muszą tak cierpieć. Spójrz tylko na wszystko, co Paul zrobił dla Francji.

– Błagam cię. Chcesz, żebym wy dostał Renę po to, żeby on mógł zostać. A co potem? Troje to już tłok, Caroline. I zgadnij, kto będzie musiał obejść się smakiem. Paul, jako Francuz, ma swoje obowiązki. Musi

wracać do domu.

– Musimy zrobić to, co należy, Roger.

– My nie musimy robić nic. Uważaj, czego pragniesz, Caroline.

Wróciłam szybko do swojego biura, omijając zręcznie porzuconą na podłodze kulę do gry w bule. Czy Paul ciągle czekał?

Słowa Rogera zawisły ciężko w powietrzu. Może faktycznie Paul mi się podobał. Miałam nadzieję, że Betty wiedziała, co mówi o mężczyznach i kobiecych sylwetkach. Czy Paulowi podobało się to, jaka byłam? W życiu naprawdę zdarzały się gorsze rzeczy.

Mieliśmy mnóstwo pracy w konsulacie, ale matka nalegała, żebym pojawiła się jako wolontariuszka na thé dansant, herbatce z tańcami, jaką organizowała z przyjaciółmi w Plazie. Jeśli nigdy wcześniej nie byliście na takiej imprezie, musicie wiedzieć, że thé dansant to relikty minionych czasów, niezobowiązujące popołudniowe spotkanie towarzyskie, na którym serwuje się lekkie kanapki i zachęca uczestników do tańca.

Tego dnia wolałabym być w tysiącu innych miejsc, ale matka wydawała tę konkretną thé dansant, by pomóc swoim białym członkom niegdysiejszej rosyjskiej arystokracji, stronnikom cara z czasów rosyjskiej wojny domowej, którzy zmuszeni byli uciekać z kraju. Matka od lat udzielała pomocy dawnej arystokracji, a ja czułam się w obowiązku wspierać ją w tym.

Na tę okazję zarezerwowała utrzymaną w stylu neorokoka Wielką Salę Balową w hotelu Plaza, jedną z najpiękniejszych sal w Nowym Jorku, ze ścianami wyłożonymi lustrami i kryształowymi żyrandolami.

Do tego zamówiła rosyjski zespół ludowy, by oprawić wydarzenie dźwiękami bałałajki. Na podwyższeniu siedziało sześciu dawnych nadwornych muzyków cara, a każdy z nich trzymał w rękach trójkątną trzystrunową gitarę i czekał tylko na znak od matki. Mimo że ci światowej klasy muzycy zmuszeni byli teraz grać na herbatkach z tańcami, wydawali się zadowoleni, że mają pracę. Hostessy, kilka sterroryzowanych przez matkę członkiń jej komitetu oraz kilka moich znajomych z Junior League, krążyły po sali w rosyjskich strojach ludowych. Matka zdołała namówić na uczestnictwo w imprezie nawet nachmurzoną Pię.

Nikommu spoza kręgu hostess nie przyznałam się, że zgłosiłam się do udziału w tej imprezie, bo dać się zobaczyć w rosyjskim stroju ludowym było upokorzeniem ponad miarę. Gdy grałam, chętnie nosiłam wszelkie możliwe do wyobrażenia sobie kostiumy, ale to było już za wiele, bo rosyjski strój ludowy składał się z sarafanu, wydłużającej sylwetkę sukni w kształcie trapezu wyszytej w jaskrawoczerwone i zielone pasy oraz

białej, bufiastej koszuli ozdobionej włóczkowym haftem przedstawiającym kwiaty.

Matka nalegała też, abyśmy wszystkie włożyły wyjątkowo dziwaczne, wysokie, usztywnione nakrycia głowy przystrojone złotymi i srebrnymi haftami oraz sztucznymi kamieniami, a zwieńczone długimi sznurami rzecznych pereł – tak zwane kokoszniki. Nie dość, że byłam wysoka sama z siebie, to w tym stroju wydawałam się zaledwie niewiele niższa od Empire State Building. W dodatku wystrojonego w perły.

Matka zręcznym ruchem wsunęła na główny stół rosyjską złoconą emaliowaną misę na datki, po czym położyła dłoń na moim odzianym w haftowaną koszulę ramieniu. Doleciał mnie cudowny zapach jej perfum – kompozycji układanej specjalnie dla niej przez księcia Matchabellego, Gruzina, który również musiał uciekać z kraju. Perfumy łączyły w sobie jej ulubione nuty: lilaka, drzewa sandałowego i róż.

Księżę i jego małżonka aktorka, księżna Norina, rok w rok przysyłały matce jeden ze swoich zapachów, przez co na jej toalecie piętrzyła się wielobarwna kolekcja zwieńczonych krzyżem buteleczek w kształcie korony.

– Frekwencja będzie niska – powiedziała matka. – Czuję to.

Nie miałam ochoty mówić jej tego, ale byliśmy skazani na niewielkie zainteresowanie wśród towarzystwa, ponieważ Amerykanie stali się wyraźnymi izolacjonistami. Wyniki badań społecznych dowodziły, że kraj, nadal borykający się ze stratami poniesionymi w czasie pierwszej wojny światowej i starający się po klęsce Wielkiego Kryzysu odrobić straty, sprzeciwiał się wciąganiu w kolejny konflikt.

Nowojorczycy nie mieli nastroju na thé dansant, które mogłoby przynieść korzyść komukolwiek spoza czterdziestu ośmiu stanów.

– Obawiam się, mamó, że odkąd w Europie trwa wojna, zwolennicy cara stracili pozycję priorytetową.

Matka uśmiechnęła się.

– Tak, pomyśl tylko o wszystkich tych biednych europejskich uchodźcach.

Okazje dobroczynne były dla mamy tym, czym dla innych słodycze.

Przez salę balową przeszedł wystrojony w plisowaną czapę i białą marynarkę szefa kuchni, obecnie oprószoną mąką, Serge, nasz kucharz. Niósł w dłoniach srebrną misę z twarogiem, tradycyjną potrawę jadaną przez rosyjskich chłopów, przygotowywaną z białego sera zmieszanego z syropem z jeżyn. Serge, w rzeczywistości zaś Władimir Siergiejewicz Jewtuszenkow, był potomkiem któregoś z rosyjskich rodów szlacheckich,

ale matka nigdy nie mówiła na ten temat wprost. Życie z Serge'em przypominało mieszkanie z bardzo wyrazistym, znacznie młodszym bratem, który poświęcał każdą godzinę na wymyślanie coraz to nowych potraw, żeby je przygotować dla mnie i matki.

Pojawienie się Serge'a natychmiast przyciągnęło do nas Pię, która wychynęła niezauważenie niczym krokodyl z wody, niosąc w ręku kryształowy pucharek do ponczu.

– Serge, to wygląda znakomicie.

Serge zarumienił się i otarł dłonie o fartuch. Szczupły, płowowłosy Serge mógłby uderzać w konkury do każdej dziewczyny w Nowym Jorku, ale wrodzona nieśmiałość kazała mu się kryć w kuchni, gdzie mógł w spokoju pichcić kolejne porcje crême brûlée.

– Może nie trzeba było rezerwować Wielkiej Sali Balowej, mamó – zasugerowałam.

Szansa na wypełnienie przeszło trzystu sześćdziesięciu metrów kwadratowych roześmianym tłumem były nad wyraz nikłe. Podkrađłam matce kawałek chaczapuri, maślanego chlebka pociętego w trójkąty.

– No ale z drugiej strony ogłosiłaś się w „Timesie”. Ludzie się zejdą.

Orkiestra zebrana przez matkę grała pełną pasji wersję rosyjskiej pieśni ludowej Wiekowa lipa, której jednak nie sposób było porównać z jakimkolwiek współczesnym tańcem.

Matka chwyciła mnie za łokieć i odciągnęła na bok.

– Sprzedajemy rosyjską herbatę i papierosy, ale od tych ostatnich trzymaj się z daleka. Pia mówi, że lubisz je popalać ze swoim francuskim przyjacielem.

– To nie jest... – Nie mam zamiaru wtrącać się w twoje życie towarzyskie, ale musimy tu zarobić pieniądze.

– Wiem, że nie pochwalasz moich spotkań z Paulem, ale naprawdę jesteśmy tylko przyjaciółmi.

– Nie jestem twoim spowiednikiem, Caroline, jednak obie wiemy, jacy są aktorzy. Szczególnie ci żonaci i z dala od domu. Masz już trzydzieści pięć lat... – Trzydzieści siedem.

– I nie potrzebujesz na nic mojej zgody. Jeśli jednak pytasz mnie o zdanie, to zastanów się nad członkami naszej orkiestry. Któryś z tych dżentelmenów mógłby być dobrym kandydatem.

– Tam nie ma nikogo poniżej sześćdziesiątki, mamó.

– Kto grymasi, kochanie, ten chodzi głodny.

Matka odeszła, by ożywić nieco kwestię datków, ja zaś skończyłam szykować salę. Poprawiałam właśnie reflektor oświetlający orkiestrę, w

pełni świadoma, że na szczycie drabiny rzucam się w oczy jeszcze bardziej, gdy na salę wszedł Paul. Podszedł od razu do drabiny.

– Roger powiedział mi, że tu cię znajdę.

W wielkiej sali wyglądał idealnie na miejscu – kremowe ściany ze złotymi zdobieniami doskonale kontrastowały z jego ciemną karnacją. Poczułam, jak zalewa mnie fala la douleur; to jedno z tych francuskich określeń, które nie dają się dobrze przetłumaczyć, a oznaczają „ból wywołany czymś, czego się bardzo pragnie, a czego nie może się mieć”.

– Pięknie – powiedziałam, schodząc po drabinie z pełną świadomością tego, jak bardzo kołyszą się wszystkie sznury pereł. Czy nie mógł przestać uśmiechać się choć na chwilę?

– Szedłem właśnie do teatru, ale potrzebuję twojego podpisu pod podaniem Reny o wizę. Jeśli to nieodpowiednia pora... – Ależ skądże!

Matka podeszła do nas, a orkiestra zwiększyła tempo.

– Mamo, pozwól, że ci przedstawię Paula Rodierre’a.

– Jakże miło pana poznać – powiedziała matka. – Słyszałam, że gra pan w The Streets of Paris.

Paul obdarował matkę jednym ze swoich najbardziej zniewalających uśmiechów.

– Zaledwie jako jeden z wielu.

Matka wydawała się odporna na jego czar. Komuś nieobytemu mogła wydawać się w pełni serdeczna,

ale po kilku latach obserwowania jej zachowań w towarzystwie potrafiłam wyczuć chłód.

– Proszę wybaczyć, ale muszę dopilnować uzupełnienia zapasów chaczapuri. Ktoś zdaje się wyjadł je wszystkie.

Paul spojrzał na matkę.

– Chaczapuri? Uwielbiam je.

– To wyłącznie dla gości, którzy opłacili wstęp – odparła matka. – Choć wielu ich dziś nie będzie.

Paul skłonił się lekko w stronę mamy, zachowując się wobec niej mocno oficjalnie.

– Panie wybaczą, muszę już iść. – Uśmiechnął się do mnie i wyszedł tak samo, jak się pojawił. Tak szybko?

– Dobra robota, mamo. Zraziłaś naszego jedyne gościa.

– Francuzi są tacy przewrażliwieni.

– Nie spodziewaj się, że ktokolwiek tu zostanie. Nowojorczycy prędzej padną trupem, niż zjedzą twaróg, a poza tym odrobina alkoholu wcale by nie zaszkodziła.

– Następnym razem będziemy sprzedawać kiełbaski i fasolę. Gdyby to od ciebie zależało, wydawałybyśmy wyłącznie suto zakrapiane uroczyste kolacje.

Skupiłam się na wieszaniu sosnowej girlandy nad wejściem, w czym dzielnie asystowała mi ponura Pia. Pracując, odruchowo zaczęłam sporządzać w myślach listę wszystkich rzeczy, które miałam jeszcze do zrobienia. Sprawozdania dla Rogera. Paczki z darami. Dlaczego matka musiała być tak uparta?

Naprawdę nadeszła już pora, by przystosować się do wymogów dwudziestego wieku. Poczulałam na sobie czyjeś spojrzenie, a gdy się odwróciłam, zobaczyłam, że jeden z bardziej wiekowych członków orkiestry mruga do mnie, nie wypuszczając z dłoni bałałajki.

Godzinę później matka uznała swoją porażkę. Jedyna okazja na podjęcie jakichś gości trafiła się nam, gdy mieszkająca w Plazie para zbłądziła przypadkiem na salę. Uciekli zresztą tak szybko, jakby trafili na plażę nudystów.

– Cóż, to była kompletna kłapa – oznajmiła matka.

Ściągnęłam girlandę ze ściany.

– Mówiłam ci... Nie zdążyłam skończyć zdania, bo w korytarzu przed salą balową powstał nagle taki harmider, że w zasadzie przestałyśmy się słyszeć. Drzwi otworzyły się nagle na oścież i wlał się przez nie prawdziwy tłum – ludzie z dosłownie każdej sfery społecznej, od szczytów po najgłębsze dno drabiny społecznej.

Wszyscy byli mocno umalowani i ubrani zgodnie z modą panującą w latach dwudziestych we Francji.

Kobiety miały na sobie kostiumy przewiązane na biodrach i włosy ufryzowane w przylegające do czaszki fale. Niektóre nosiły sukienki z obniżoną talią i były uczesane jak Louise Brooks. Urocze stworzenia w satynowych sukniach domowych wyszywanych paciorkami i górskimi kryształami, uczesane zgodnie z modą z Eton albo gładko, jak Josephine Baker. Mężczyźni odziani byli w staromodne surduty, a na głowach mieli meloniki. Na samym końcu na salę wkroczyła niemała grupa muzyków w czarnych frakach ze skrzypcami i saksofonami w dłoniach. Matka wyglądała, jakby zaraz miała wylecieć ze szczęścia przez dach, gdy machaniem przywoływała muzyków, by przyłączyli się do jej orkiestry.

– Chaczapuri dla każdego – ogłosiła. – Zostawcie płaszcze naszej drogiej Pii.

W samym środku tego rozgardiaszu pojawił się Paul.

– Mój Boże, a co to ma być? – zapytał, przeciskając się między

dwiema kobietami w naciągniętych niemal na oczy kloszowych kapeluszach, niosących ze sobą masę instrumentów perkusyjnych. Nie miałam oczywiście problemów z rozpoznaniem ich.

– Myślę, Paul, że doskonale wiesz. Jak udało ci się namówić całą obsadę na tę wyprawę?

– Wiesz, jacy są aktorzy. I tak byliśmy już wystrojeni, a że Carmen ma migrenę, to z popołudniówki nici. Następny spektakl dopiero o szóstej. Do tej pory jesteśmy wolni.

Orkiestra z The Streets of Paris zgrała się doskonale z rosyjskim zespołem znajomych mamy. Muzycy szybko odkryli wspólny język utworu Love Is Here to Stay. Gdy tancerze rozpoznali melodię, natychmiast ruszyli na parkiet – sunęli w delikatnym rytmie fokstrotą, gięli się w miękkim swingu, kobiety z kobietami, mężczyźni z mężczyznami.

Matka popędziła do nas, poprawiając w biegu swoje nakrycie głowy.

– Jaka sympatyczna grupa, prawda, kochanie? Wiedziałam, że koniec końców przyciągniemy tłumy.

– Mamo, to wyłącznie zasługa Paula. To obsada jego spektaklu.

Wszyscy.

Matka zamrugła, przez chwilę lekko skonsternowana, a potem zwróciła się do Paula: – Cóż, Centralny Amerykański Komitet Pomocy Rosjanom jest panu wdzięczny, panie Rodierre.

– A czy w związku z tą wdzięcznością mógłbym liczyć na taniec? Nigdy wcześniej nie tańczyłem do Gershwina granego na bałajce.

– W takim razie nie można pana pozbawić takiej możliwości – odparła matka.

Gdy tylko poszła fama, że słynny Paul Rodierre pojawił się na herbatce z tańcami, do sali zeszli się wszyscy goście hotelowi, a Serge musiał trzy razy dokładać twarogu. Niebawem zdołałam pozbyć się kokosznika i wszyscy zaczęliśmy się dobrze bawić, z rosyjskimi przyjaciółmi mamy z orkiestry włącznie, którzy szybko przynieśli nieco wódki, by ożywić nieco mrożoną herbatę.

Gdy Paul wychodził z przyjęcia, kieszenie miał wypchane rosyjskimi papierosami, które matka sama mu tam wciskała, a z misy na datki dla Centralnego Amerykańskiego Komitetu Pomocy Rosjanom pieniądze dosłownie się przesypywały.

Matka zatrzymała się przy mnie, żeby złapać oddech między kolejnymi tańcami.

– Kochanie, nie krępuj się szukać sobie innych francuskich przyjaciół. Tęsknię za ludźmi teatru, a ty nie? Spotkanie z nimi to tak

odświeżająca zmiana tempa.

Paul pomachał mi na do widzenia, wychodząc po dobrze wykonanym zadaniu, by odprowadzić obsadę spektaklu do teatru, zanim kurtyna pójdzie w górę. Jego dobroć nie mogła znaleźć wdzięczniejszego odbiorcy niż matka. Nie tańczyła tak od śmierci ojca. Jak mogłam nie być mu nieskończenie wdzięczna?

Betty miała rację. Paul był moim najlepszym przyjacielem.

Rozdział 5
Kasia
1939

Mama krzyknęła, gdy esesman uniósł szpadel nad łebkiem Psiny. Jeden przerażający pisk i Psina leżała już cicho i tylko jej łapki drapały jeszcze ziemię w ostatnich pośmiertnych podrygach. I kilka karmelowych piór unosiło się w powietrzu.

– Tak załatwialiśmy to w domu – powiedział esesman. Odrzucił szpadel, chwycił biedną Psinę za kikut szyi i rzucił chudemu strażnikowi. Staralam się nie patrzeć na łapki, które nadal przebierały bezradnie w powietrzu.

– Przymknę na to oko – oznajmił matce, wycierając dłonie w chusteczkę. – Ale niech pani pamięta, że ukrywanie żywności przed Rzeszą to poważna zbrodnia. Ma pani szczęście, że skończyło się na ostrzeżeniu.

– Rozumiem – wyszeptała z dłonią zaciśniętą na gardle.

– Psina – wypaliłam wreszcie, a gorące łzy spłynęły mi po twarzy.

– Niech pan tylko posłucha – powiedział chudy strażnik trzymający Psinę do góry łapami tak, by uniknąć jej pazurów. – „Psina” to po polsku ein Hundchen, piesek. Mówili na kurczaka pies. Polacy to idioci.

Mężczyzna ruszył przed siebie, a z każdym tupnięciem ziemia osypywała się z jego butów.

Czułam, że cała drzę.

– Mamo, jak mogłaś pozwolić im ją zabić?

– A wolałabyś zginąć za kurczaka? – spytała matka, ale też miała w oczach łzy.

Poszłyśmy szybko do kuchni i zobaczyłyśmy jeszcze, jak esesmani odjeżdżają gdzieś ciężarówką. Na szczęście siostra nie musiała tego wszystkiego oglądać.

Zuzanna wróciła następnego dnia po całej nocy w szpitalu. Jej mentor i jednocześnie dyrektor szpitala doktor Skała, wysokiej klasy specjalista od operacji likwidujących rozszczepienie podniebienia, został aresztowany, a jej kazano opuścić oddział pod pozorem, jakoby Polacy byli niezdolni do sprawowania ważnych stanowisk. Nigdy wcześniej nie widziałam jej tak poruszonej, tak rozsierdzonej, wręcz wściekłej, że

kazano jej zostawić pacjentów, w większości dzieci. Później dowiedzieliśmy, że już w 1936 roku Niemcy zaczęli przygotowywać listy osób nastawionych potencjalnie antyniemiecko, a potem, gdy rozpoczęły się naloty, ich piloci celowo bombardowali budynki takie jak szpitale, oznaczone flagami z czerwonym krzyżem. Nic dziwnego, że tak łatwo przychodziło im niszczyć to, co sobie zaplanowali.

Tata wrócił trzy dni później, gdy gestapo zakończyło przesłuchania. Nie bili go, za to nakazali stawiać się rano w pracy, gdzie spędzał długie godziny. Gdy okazało się, że żyje, odczułyśmy ogromną ulgę.

Powiedział nam, że bardzo trudno było mu patrzeć, jak Niemcy rozpruwali paczki i listy wrzucane do skrzynek należących do polskich obywateli i po prostu zabierali wszystko, na co mieli ochotę.

Wieczorem rozsypywali na ziemi trociny, żeby żaden z pracowników poczty nie wszedł do budynku po kryjomu.

Niebawem okolica zaczęła wyglądać tak, jakby zjechali tu wszyscy mieszkańcy Niemiec. Nasi niemieccy sąsiedzi wychodzili na ulice i witali wjeżdżającą armię pozdrowieniami i kwiatami, my tymczasem zostaliśmy w domach. Oddziały rosyjskie zatrzymały się na wschód od nas, za Bugiem.

Po tym wszystkim czuliśmy się jak muchy uwięzione w miodzie; byliśmy żywi, ale nie żyliśmy tak naprawdę. Mieliśmy szczęście, że Niemcy przenieśli Zuzannę do korpusu ratowniczego, bo później zebrali wszystkich lekarzy ze szpitala, kobiety i mężczyzn, i gdzieś ich wywieźli. Zuzanna dostała pełny zestaw dokumentów ze zdjęciem ostemplowany dziesiątką czarnych niemieckich orłów. Dzięki nim mogła wychodzić, kiedy chciała, nawet po godzinie policyjnej. Każdego dnia czuliśmy wdzięczność, że budzimy się we własnych łóżkach. Przecież tylu naszych polskich znajomych zniknęło nocami bez żadnego wyjaśnienia.

Pewnego dnia siedziałam pod kołdrą, żeby się ogrzać, i rozwiązywałam quiz w starym numerze „Photoplay”, czyli oddawałam się swojemu ulubionemu zajęciu. Jeden z uczniów na tajnych kompletach z ekonomii, które prowadził Piotrek, płacił mu amerykańskimi czasopismami, a ja starałam się zapamiętać każde słowo, jakie się w nich pojawiało. Według tego quizu człowiek zakochany miał czuć delikatne pstryknięcie, jak przy zamykaniu puderniczki, a ja czułam takie pstryknięcie za każdym razem, kiedy widziałam Piotrka. Mieliśmy dokładnie takie same zainteresowania (co, według quizu, stanowiło rzadkość).

Tego dnia wstąpił do nas Piotrek. Miło było go zobaczyć. Nie było

ważne, o czym będziemy rozmawiać. Chciałam go po prostu zatrzymać przy sobie, a w jaki sposób, nie miało to znaczenia.

– Jak długo możesz zostać?

Wycięłam z gazety zdjęcie Carole Lombard. Zrobiono je gdzieś w Los Angeles pośród poinsecji.

Trudno było mi zachować spokój, gdy czułam ciągle to ciche pstrykanie.

Piotrek wszedł do pokoju i usiadł przy mnie na łóżku. Sprężyny ugięły się pod jego ciężarem.

– Niedługo. Przyszedłem prosić cię o przysługę. Chodzi o Nadię. – Wyglądał na zmęczonego i widać było, że od kilku dni się nie golił. – Musiała na jakiś czas zniknąć.

– Co się stało? – zapytałam, czując, że nagle robi mi się zimno.

– Nie mogę powiedzieć.

– Ale... – Bezpieczniej dla ciebie będzie nie wiedzieć, ale wierz mi, są tacy, którzy chcą coś zmienić.

Nie miałam wątpliwości, że Piotrek działał w podziemiu. Choć nigdy nie powiedział tego wprost, domyślałam się, że przyłączył się do organizacji jako jeden z pierwszych, tuż po niemieckiej inwazji.

Zauważyłam tajemnicze nocne spotkania, długie nieobecności bez słowa wyjaśnienia. Nie nosił wprawdzie czarnych oficerek, jak część chłopców z podziemia, którzy wystawiali się w ten sposób Niemcom na odstrzał, ale siedział w tym po uszy.

Miałam nadzieję, że dla SS nie jest to równie oczywiste. Większość z nas bojkotowała niemieckie prawa i starała się sabotować, co tylko mogła, ale ZWZ, Związek Walki Zbrojnej, to była poważna sprawa. Organizacja, która z czasem przerodziła się w AK, Armię Krajową, była dowodzona przez Rząd RP na uchodźstwie z Londynu. O tym, co działo się na świecie, dowiadywaliśmy się głównie z BBC, rozgłośni Świt i siedemnastu czasopism wydawanych w Lublinie w podziemiu.

– Kasiu, oddasz mi ogromną przysługę, jeśli zgodzisz się pomóc.

– Zawsze.

– Nadia i jej mama nie mogły zabrać Felki, gdy uciekały. A Niemcy robią okropne rzeczy z psami i kotami, które należały do Żydów. Możesz pójść do ich mieszkania po Felkę?

– A gdzie jest Nadia? Czy mogę się z nią zobaczyć?

Nie interesowało mnie, czy ona i Piotrek są w sobie zakochani. Chciałam po prostu, żeby oboje byli bezpieczni.

– Mogę powiedzieć ci tylko tyle, że o mały włos zostałyby

aresztowane. Uciekły w ostatniej chwili.

– Bo były Żydówkami? Przecież Nadia jest katoliczką.

– Tak, ale jej dziadek był Żydem. To wystarczy, żeby znalazła się w niebezpieczeństwie. Przez jakiś czas obie muszą się ukrywać. Nadii nic się nie stanie, ale Felka ciągle nie jest bezpieczna. – Chwycił mnie za dłoń. – Pomożesz? Sprowadzisz ją tutaj?

– Oczywiście.

– Jest jeszcze jedna sprawa. Mama Nadii zostawiła coś na szafce nocnej. Coś, co powinno znaleźć się w bezpiecznym miejscu. Żółtą kopertę wetkniętą w książkę telefoniczną.

– No, nie wiem, Piotrek. Mama Nadii zawsze zamyka wszystko na klucz.

– Tylne drzwi są otwarte. Musisz tylko wyjąć kopertę z książki telefonicznej. Wcale nie mam ochoty cię w to mieszać. Za wiele dla mnie znaczysz. Ale nie mam nikogo innego.

Czyżby w jego oczach pojawiły się łzy?

– Wiesz przecież, że pomogę.

Znaczyłam dla niego wiele? Znów ujął mnie za rękę, obrócił ją i pocałował wewnątrz mojej dłoni.

Miałam wrażenie, że rozplnę się zaraz na miejscu i przecieknę między deskami wprost do piwnicy.

Przez chwilę zapomniałam o trwającym wokół nas koszmarze.

– Przynies książkę i kopertę na Lipową dwanaście jutro rano, tuż po dziesiątej. Zadzwon do drzwi, nie pukaj. Na pytanie, kto przyszedł, odpowiesz, że Iwona.

– To mój pseudonim? – Iwona znaczyło cis. Wolałabym ładniejszy pseudonim, na przykład Grażyna, czyli piękna.

– Tak, to twój pseudonim. Wiola cię wpuści. Po prostu daj jej książkę i powiedz, że to dla Konrada Żegoty^[1]. Potem wyjdź i wracaj do domu. Idź naokoło przez Park Ludowy.

Później, gdy próbowałam sobie przypomnieć tę scenę, nie byłam już taka pewna, czy rzeczywiście powiedział: „Za wiele dla mnie znaczysz”. Ale może quiz w „Photoplayu” jednak nie kłamał.

Następnego dnia rano ruszyłam do domu Nadii, pięknego mieszkania w dwupiętrowym budynku położonym w odległości zaledwie pięciu minut spacerowym krokiem od naszego domu. Chciałam dobrze się sprawić na pierwszej misji, jaką wykonywałam dla Piotrka.

Po drodze zatrzymałam się przy kamiennym murku nieopodal jej domu, gdzie zostawialiśmy sobie tajemne wiadomości i ulubione książki.

Wyciągnęłam kamień, który po tylu latach wysuwania i wkładania na miejsce miał już mocno zaokrąglone krawędzie. Ostatnia książka, jaką jej zostawiłam, Szatan z siódmej klasy Makuszyńskiego, nasza ulubiona lektura, którą przekazywałyśmy sobie niezliczoną ilość razy, nadal leżała w skrytce. Czy Nadia będzie miała okazję ją zabrać? Taką żywiłam nadzieję, zostawiłam więc książkę na miejscu i wstawiłam kamień tam, gdzie powinien się znajdować.

Nie denerwowałam się, dopóki nie dotarłam do domu Nadii. Gdy tylko zobaczyłam pomarańczowe drzwi, poczułam, jak uginają się pod mną kolana. Oddychaj, oddychaj głęboko.

Obeszłam posesję od tyłu i przez szparę między deskami parkanu zajrzałam na niewielkie podwórko.

Zobaczyłam Felkę kulącą się na schodach przy tylnym wejściu. Nawet przez grube futro widać było wyraźnie jej zębra. Podwórko Nadii było jeszcze mniejsze niż nasze. W tej chwili znajdował się na nim tylko mocno zaniedbany krzak róży i pordzewiały wózek dziecięcy.

Przejsie przez płot nieco trwało, potem musiałam powoli podejść do Felki. Czy czekała na Nadię?

Podrapałam ją po brzuchu, a ona próbowała zamachać ogonem, choć ledwie dawała radę unieść głowę.

Była ciepła, ale oddychała ciężko i płytko. Biedaczka konała z głodu.

Przeszłam nad nią, otworzyłam kuchenne drzwi i zakradłam się cicho do środka.

Sądząc po pozostawionej na stole szarlotce, Nadia i jej mama musiały uciec co najmniej tydzień temu.

Mleko pozostawione w szklankach zdążyło się zsiąść, a muchy znalazły leżące w kuchni śliwki.

Przeszłam przez kuchnię do pokoju Nadii. Jej łóżko było jak zawsze starannie zaścielone.

Przekradłam się przez pozostałą część domu do sypialni mamy Nadii. Nie było w niej widać śladów pakowania, ani pośpiesznego, ani jakiegokolwiek innego. Przykryte kołdrą, emaliowane na biało metalowe łóżko zajmowało niemal całe pomieszczenie, a na podłodze przy nim leżał zrobiony na szydełku dywanik. W nogach łóżka widać było wgłębienie w miejscu, gdzie ktoś położył walizkę. Na szafce nocnej leżało polskie wydanie Przemięło z wiatrem. Na ścianie wisały dwie makatki ze scenkami rodzajowymi, niewielki krzyżyk i kalendarz. Z kalendarza spoglądała na mnie elegancka kobieta pozująca z bukietem żółtych kwiatów na tle lokomotywy. Nad jej głową rozciągał się napis „Republika

Weimarska czeka na Ciebie”. Niżej znajdowała się także wzmianka o biurze podróży prowadzonym przez panią Wątrobinę: BIURO WĄTROBA ZABIERZE CIĘ W TĘ PODRÓŻ.

Wysunęłam szufladę szafki i znalazłam książkę telefoniczną. Między jej kartkami rzeczywiście tkwiła opasła koperta. Była zalepiona, a na przodzie napisano chwiejnym pismem tylko jedno słowo: Żegota.

Przez kopertę przebijał delikatnie wzór banknotu. Wzięłam książkę, wysunęłam koc spod łóżka i wracając przez kuchnię, chwyciłam jeszcze chałkę. Była twarda jak skała, ale każdy chleb był teraz na wagę złota.

Wyszłam na podwórko i z niemałym trudem zapakowałam Felkę do dziecięcego wózka. Ledwie patrzyła na oczy, biedaczka. Ułożyłam obok niej książkę telefoniczną, wygładziłam koc i ruszyłam w kierunku Lipowej bocznymi ulicami, żeby nie natknąć się na niemieckie patrole. Byłyśmy prawie na miejscu, przyśpieszyłam więc kroku. Wózek podskakiwał na kocich łbach.

– A co my tu mamy?

Z bocznej uliczki wyszedł esesman w nieodzownej brązowej koszuli. Wpadałam w panikę. Za jego plecami zobaczyłam dziewczynę z naszego gimnazjum, która natychmiast schowała się w cieniu. Miałam wrażenie, że zaraz upadnę, tak trzęsły się pode mną kolana.

– Idę do domu – odpowiedziałam po niemiecku, dziękując Bogu, że znam ten język, bo rozmawianie po polsku było zabronione.

– Ach, Niemka? – Uniósł koc końcem pałki.

– Nie. Polka.

Esesman zignorował mnie zupełnie i obszedł wózek, żeby mu się lepiej przyjrzeć.

– Co to? Martwy pies?

Ledwie słyszałam, co do mnie mówił. Serce waliło mi głośno, a krew szumiała w uszach.

– Chory. Mam nadzieję, że to nie zakaźne.

Esesman natychmiast opuścił koc.

– Idź dalej – nakazał. – Zabierz to chore zwierzę do domu.

Powiedziawszy to, znów zniknął w uliczce.

Zanim doszłam na Lipową, pot lał się ze mnie strumieniami. Na ulicy było sporo osób. Zostawiłam nakrytą kocem Felkę w wózku pod domem, a sama podeszłam do schodów, trzęsąc się jak galareta, którą mama zalewała świątecznego karpia. Wreszcie zostałam oficjalnie konspiratorką. Jako zaledwie szesnastolatka już walczyłam z okupantem. Miało to w sobie siłę! Wyprostowałam się i zadzwoniłam do drzwi. Jak

brzmiał pseudonim osoby, która miała odebrać przesyłkę?

Wiola.

– Kto tam? – zapytał ktoś ze środka.

– Iwona – odpowiedziałam.

Zerknęłam za siebie na ulicę. Samochody i wozy zaprzężone w konie jechały w swoją stronę, ludzie szli gdzieś przed siebie. Wiola, pośpiesz się. Lada chwila jakiś esesman zobaczy, jak stoję tu z książką telefoniczną pod pachą.

Drzwi skrzypnęły lekko, a potem zamknęły się za mną, gdy weszłam do środka.

Rozpoznałam dziewczynę, która przedstawiała się jako Wiola. Była to Janka Grabowska z mojej dawnej drużyny harcerskiej. Trzymała dłonie wyciągnięte przed sobą, a każdy z dziesięciu paznokci miała pociągnięty grubą warstwą krwistoczerwonego lakieru.

– Przepraszam, że nie otworzyłam od razu – powiedziała.

– To dla Konrada Żegoty, Wiolu – odparłam, podając jej książkę telefoniczną.

Janka, dziewczyna o krępej budowie, zawsze ufarbowana na rudo, była poczciwą duszą, ale nie mogę powiedzieć, bym bez wahania powierzyła jej swoje życie. W harcerstwie nie zdobyła żadnej ważnej sprawności z udzielania pierwszej pomocy czy orientacji w terenie, a wszyscy wiedzieli, że sprawność ze sztuki zdobyła, robiąc makijaż.

Janka ostrożnie chwyciła książkę.

– Dzięki, Iwonko.

Biuro znajdowało się w kamienicy, której wysokie okna, przesłonięte jedynie białymi firankami, wychodziły na ulicę. Stało w nim jedno metalowe biurko i maszyna do pisania. Poza tym dwa dość wygodne krzesła i zakurzony stół, na którym walały się stare polskie żurnale. Ktoś postawił na środku stołu okrągły słój ze złotą rybką. Rybka zawisała nieruchomo w wodzie, wachlując intensywnie płetwami, i przyglądała mi się z pyszczkiem rozdziawionym w pełnym zdumienia O. Nawet dla niej było oczywiste, że całe to biuro to jedna wielka lipa.

Janka rzuciła książkę telefoniczną na biurko. Przez chwilę na jej ustach błędził delikatny uśmiech, a potem wybuchnęła głośnym śmiechem.

– Kasiu, znaczy Iwonko, chyba nie sądzisz, że zdołam zachować powagę. To wszystko jest takie zabawne.

Piotrek nadał jej pseudonim Wiola, co oznacza fiołek. Zupełnie to do niej nie pasowało, bo Janka była wysoką dziewczyną o nadgarstkach masywnych jak stołowe nogi.

– Bądź cicho. Nie wiesz, kto może obserwować.

Wiszący nad nami żyrandol świecił bardzo jasno. Na tyle jasno, by dojrzał nas każdy Niemiec?

– Jedyne szkop, który się kręcił w pobliżu, poszedł z Anką Sadowską, gdy wynosiła granaty w staniku.

Flirtował z nią przez całą drogę. Niektóre dziewczyny dostają fajne zadania. – Janka podeszła bliżej. – Zostaniesz na karty?

Karty?

– W tej książce są pieniądze. Nie powinnaś ich gdzieś schować? Chcesz, żeby nas rozstrzelali?

– Daj się namówić. Zostań. Uczeszę cię, chcesz?

– Muszę wrócić do domu, zanim zrobi się ciemno.

Skrzyżowała ramiona na piersi.

– Zrobię ci prawdziwą fryzurę. Co ty na to?

Janka pracowała na pół etatu w najlepszym zakładzie fryzjerskim w Lublinie.

– Piotrek kazał mi natychmiast wracać.

– Jesteście ze sobą?

– Muszę już... – Wszyscy mówią, że mu się podobasz.

Ruszyłam pośpiesznie do drzwi.

– Nie lubię plotek.

Janka wzięła jeden z żurnali ze stołu i usiadła na biurku.

– Żadnych plotek?

Odwrociłam się.

– Nawet takich o... Nadii Wątrobiance?

Podeszłam do biurka.

– Co o niej wiesz?

Janka wysunęła podbródek w górę.

– O, czyli jednak zostajesz.

– To moja najlepsza przyjaciółka.

– Co ty powiesz? – odparła Janka, wachlując się czasopismem.

– Przystaniesz wreszcie? Jej pies czeka na zewnątrz. Jest bardzo chory... Janka zatrzasnęła gazetę.

– Felka? Nie może być?

Wszyscy znali suczkę Nadii.

– Owszem, Felka. Mów więc.

– Wiele nie wiem... – Janka, jeśli zaraz nie powiesz mi wszystkiego... – Dobrze już. Dobrze. Wiem tylko, że Piotrek, to znaczy sądzę, że to był Piotrek, zabrał Nadię i jej mamę do jakiegoś bezpiecznego

lokalu.

- Gdzieś niedaleko?
- Wiem tylko tyle, że w Lublinie.
- Nic więcej?
- Słyszałam tylko, że gdzieś pod nosem szkopów.

Oszłomiona podziękowałam jej i wyszłam na ulicę. Zgodnie z tym, co polecił mi Piotrek, wróciłam do domu przez park. Nadia rzeczywiście była bezpieczna! Poczułam, jak opada ze mnie napięcie. Pchałam wózek z Felką znacznie żwawiej, byle szybciej znaleźć się w domu i porządnie nakarmić suczkę. Nadia była z mamą i nadal mieszkały gdzieś w Lublinie! Chociaż tyle mogłam dla niej zrobić – zająć się Felką i działać w podziemiu.

Ostatecznie moja pierwsza misja zakończyła się powodzeniem, mimo że Janka nie potraktowała jej poważnie. Czy to znaczyło, że jestem teraz członkiem ruchu oporu? Dostarczyłam pieniądze. Jutro miałam zamiar złożyć przysięgę, żeby wszystko odbyło się oficjalnie.

W połowie drogi do domu doszło do oberwania chmury. Po bruku popłynęła prawdziwa rzeka, a Felka i ja przemokłyśmy na wylot.

Raz miałaś szczęście – dawały mi do zrozumienia przemoczone dokumentnie buty. Nie przyzwyczajaj się.

Rozdział 6
Herta
1939–1940

Z Obozu Rozkwitania wróciłam do domu pociągiem. Byłam zadowolona, że już wracam, i myślami krążyłam wokół tematu znalezienia pracy w zawodzie. Miałam na sobie mundur BDM, ale szybko pożałowałam tej decyzji. Obserwowanie gęstych lasów przez okno przedziału dałoby mi ukojenie, mogłabym zastanowić się nad tym, jakie kliniki odwiedzić w poszukiwaniu pracy, ale nie dano mi chwili spokoju, bo pasażerowie co rusz zaglądali do środka, by podziwiać mój strój.

– Przepraszam, Fräulein, czy mogę dotknąć orzełka? – zapytał mały chłopiec.

Stał przy moim miejscu w stosownej postawie, z ramionami wyciągniętymi wzdłuż boków, lekko kołysząc się w takt ruchu pociągu. Za nim stała matka. Przyciskała do ust dwa palce, a oczy miała otwarte tak szeroko, jakby spotkała samego Führera. Owszem, reprezentowanie BDM było męczące, ale jednocześnie schlebiało mi bardzo, bo każda z noszących ten mundur dziewcząt spotykała się z ogromnym szacunkiem. Już w tak młodym wieku miałyśmy taką władzę.

– Możesz – zgodziłam się.

Łzy napłynęły mi do oczu, gdy poczułam delikatne niczym uderzenie skrzydeł motyla muśnięcie na złotych nitkach.

Nic nie chwyta za serce tak jak spotkanie z dobrze wychowanym niemieckim dzieckiem.

Nic dziwnego, że mój mundur budził zainteresowanie. Większość Niemców nigdy nie miała okazji zobaczyć pełnego kompletu odznak BDM na piersi kobiety. O ile chłopcy z Hitlerjugend dostawali odznaki i nagrody za każde najmniejsze nawet osiągnięcie, jak choćby za sadzenie roślin, w BDM odznak było niewiele i zdobywało się je ciężką pracą. Na granatowym tle munduru lśniły na mojej piersi znaczek Czerwonego Krzyża, srebrna zapinka odznaki pielęgniarskiej i znaczki sprawności fizycznych.

Największą jednak uwagę przyciągał orzeł, oznaka przywódcy, złoty ptak, który rozwijał dumnie swoje słoneczne skrzydła nad moim sercem. Mutti płakała z dumy, gdy po raz pierwszy pojawiłam się z nim w domu.

Zrobił na niej większe wrażenie niż dyplom ukończenia szkoły medycznej, przyśpieszonym kursem ze względu na wojnę.

Po powrocie do domu starałam się znaleźć pracę jako lekarz, ale mimo drugiej lokaty w klasie nie budziłam zaufania. Nikt nie chciał zatrudnić kobiety lekarza. Wyglądało na to, że ideologia partyjna, zgodnie z którą miejsce kobiety było w domu przy dzieciach, już zapuściła korzenie i wielu pacjentów domagało się leczenia przez mężczyzn. Ponieważ jak każda studentka musiałam odbyć obowiązkowy kurs szycia, zaczęłam dorabiać krawiectwem.

Znalazłam wreszcie pracę na pół etatu w Klinice Chorób Skóry w Düsseldorfie, gdzie płacono mi niewysoką stawkę za każdego przyjętego pacjenta. Była to nudna praca, wymagająca przede wszystkim biegłości w nacinaniu czyraków. Czyżby miało mi grozić, że zapomnę nawet te nieliczne z technik operacyjnych, których nauczyłam się w szkole? Chirurg musi stale operować, by zachować biegłość.

Gospodarka kraju poprawiła się już wtedy wyraźnie, co jedynie przełożyło się na zmniejszenie liczby pacjentów poszukujących porady dermatologa. Nawet chleb powszedni dermatologów, ręce zdarte od zmywania i sprzątanania, przestały być zmartwieniem większości gospodyń domowych, bo przywożone ze wschodu polskie robotnice przejęły te obowiązki.

W efekcie niebawem i ten niewielki dochód stopniał do zera. Stan ojca z poważnego zmienił się w krytyczny i Mutti musiała zostać w domu, by zająć się ojcem. Ledwie dawałam radę, by utrzymać naszą trójkę. W krótkim czasie stałam się chyba jedynym przymierającym głodem lekarzem w Düsseldorfie, musiałam więc pracować też w sklepie mięsny, który prowadził Onkel Heinz.

Po ciszy lasów Obozu Rozkwitania i spokoju panującym w klinice miło było mieć znów do czynienia z harmidrem, jaki robił tłum klientek pragnących kupić mięso, zaniepokojonych Hausfrauen w wyprasowanych podomkach, które przepychały się przy ladzie, same przypominając nieco potulne krowy. Tam mogłam uciec od problemów, skupić się na odrywaniu płacht białego papieru i ćwiczeniu węzłów chirurgicznych podczas wiązania paczek pasiastym sznurkiem.

Pewnej niedzieli jak zawsze przyszedłam do sklepu, choć był przecież zamknięty. W niedzielę pracowałam sama, żeby nikt nie widział, co robię dla Heinza.

To było jego specjalne zlecenie.

– Pośpiesz się – rozkazał.

Oparł się o blok rzeźniczy, wyłobiony już uderzeniami tasaka wuja, a wcześniej jego ojca. Nawet pod sztywnym od cielejącej krwi fartuchem rzeźniczym widać było, jak bardzo jest nabrzmiały. Jak ja się w to wpakowałam? Lata milczenia ze strachu, ot co.

Heinz przyglądał się, jak stoję przy stole i wybieram najbardziej naprężony fragment jelita cienkiego owcy. Czekanie nigdy nie było jego mocną stroną. Odwróciłam tkanę na drugą stronę, zmacerowałam ją w wybielaczu i usunęłam ostrożnie śluzowatą błonę tak, by nie naruszyć tkanki otrzewnowej i mięśniowej. Onkel Heinz poganiał mnie, ale pracowałam powoli, bo jakiegokolwiek rozcięcie, nawet nakłucie małe jak szpilka, mogło skończyć się katastrofą.

– Szybciej nie mogę – powiedziałam. Najlepiej było zwlekać, jak długo się dało, bo gdy kończyłam, zaczynało się najgorsze, a potem trzeba było zaczynać od nowa.

Podczas tej pracy naszły mnie czarne myśli. Dlaczego nie byłam w domu, nie przeglądałam ogłoszeń?

Z własnej winy tkwiłam tu uwięziona z Heinzem, bo bałam się wydać nasz sekret. Powinnam była donieść na niego lata temu, ale Tante Ilsa nigdy nie zgodziłaby się zapłacić za moje studia, gdyby się dowiedziała. I co powiedziałyby Mutti? Jej nie mogłabym powiedzieć. Ojciec, mimo stanu, w jakim się znajdował, zatłukłby Heinza. To była cena, jaką musiałam zapłacić za wykształcenie. Onkel Heinz mówił, że sama jestem sobie winna – młoda kobieta sam na sam z nim.

Heinz podszedł do mnie i uniósł moją spódnicę. Poczułam aż za dobrze znany dotyk jego zgrubiałych palców.

– Dlaczego to tyle trwa? – zapytał Heinz. Poczułam jego jak zawsze słodki winem oddech.

– Pewne rzeczy wymagają czasu – odparłam, odpychając jego dłoń.

Heinz nie zaliczał się do elity rasy panów. Z ilorazem inteligencji plasującym go gdzieś między wynikami poniżej przeciętnej a delikatnym upośledzeniem łatwo przyjmował każde wyjaśnienie dłuższe niż dwa słowa. Wytarłam delikatną tkanę, odmierzyłam i ucięłam. Zanim zwinęłam ją niczym gładką, przejrzystą pończochę, Heinz zrobił się cały czerwony na twarzy.

Nie musiał mówić mi, żebym podeszła do metalowej szafki, przy której stało wiadro smalcu.

Niezmiennosć tego, co miało się wydarzyć, z jakichś przyczyn mocno mnie uspokajała. Pociągnęłam sznurek przyczepiony do gołej żarówki, żeby zapalić światło, i oparłam się o chłodną, drewnianą półkę.

Mimo że twarz miałam wtuloną w worek mąki, wiedziałam, co stanie się za chwilę. Słodki zapach mąki tłumiał smród wołowej krwi, cygar i wybielacza. Nie płacz. Płacz go jedynie złościł i sprawiał, że wszystko to trwało jeszcze dłużej. Włożył moje dzieło na siebie, zanurzył jedną z dłoni w smalcu, rozprowadził go na błonie i zaczął.

Zacząłam przypominać sobie w głowie kości dłoni.

Pierwsza: kość łódeczkowata, której nazwa wywodzi się od greckiego słowa skaphos, łódka.

Z podbrzusza Heinza zwieszały się zwały tłuszczu przypominające kosmaty fartuch i uderzały mnie przy każdym pchnięciu. Jego nieregularny oddech stawał się coraz szybszy, więc niedługo powinien być koniec.

Druga: kość księżycowata, kształtem przypominająca rogal księżyca.

Już dawno przestałam mieć nadzieję, że powali go atak serca. Lata żywienia się tłustymi pieczeniami musiały sprawić, że w arteriach odłożyła się mu gruba na dwa palce warstwa tłuszczu, lecz mimo to trzymał się dobrze.

Trzecia: kość trójgraniasta. Czwarta: kość grochowata, nazwana tak od łacińskiej nazwy, oznaczającej groch.

Heinz nie dał rady powstrzymać się dłużej i zaczął jęczeć, a jego oddech uderzył mnie chłodną mgiełką w kark. Ręce trzęsły się mu, gdy zaparł się o półkę, opierając na grubych, rzeźniczych nadgarstkach całą masę.

Bez żadnego ostrzeżenia drzwi chłodni otworzyły się, a worek mąki wysunął mi się spod głowy.

W drzwiach stała Tante Ilsa, jedną ręką przytrzymując masywne skrzydło, w drugiej trzymając słoik z konfiturami. Musiała słyszeć Heinza kwiczącego jak zarzynane prosię.

– Zamknij te drzwi, kobieto – powiedział Heinz ze spodniami zwiniętymi w kostkach i twarzą nadal czerwoną z wysiłku.

Czy na jej twarzy odmalowała się odraza, czy tylko zmęczenie? Postawiła słoik na półce chłodni, odwróciła się i wyszła.

Drzwi zamknęły się za nią z cichym kliknięciem, a Heinz wrócił do poprzedniego zajęcia.

Pewnego leniwego dnia w klinice siedziałam za biurkiem po przyjęciu ostatniego pacjenta, pulchnego czterolatka, który wytrwale ssał kciuk. Odesłałam właśnie do domu jego matkę z maścią antyseptyczną mającą zaradzić wysypce. Jak miałam zarobić w ten sposób na życie? Zdecydowanie lepiej sprawdziłabym się na spokojnej posadzie

uniwersyteckiej, ale pensja wykładowcy nie pomogłaby bardziej mojej rodzinie.

Otworzyłam „Dziennik Medyczny” i zobaczyłam poufne ogłoszenie o posadzie dla „lekarza w żeńskim obozie reedukacyjnym położonym dziewięćdziesiąt kilometrów od Berlina, niedaleko kurortu w Fürstenbergu nad jeziorem Schwedtsee”. W ostatnim czasie powstało wiele takich obozów przeznaczonych przede wszystkim dla osób unikających pracy i pomniejszych przestępców. Koncepcja zmiany otoczenia wydawała mi się pociągająca. Kurort? Tęskniłabym za Mutti, ale z pewnością nie za Heinzem.

Jedyne, co wiedziałam na temat tego obozu, to że pracował tam Fritz Fischer, mój kolega z roku. No i że miał ładną nazwę.

Ravensbrück.

Rozdział 7
Caroline
Grudzień 1939

W Wigilię wybraliśmy się z Paulem do Central Parku, na ślizgawkę przy Piątej Alei. Uwielbiałam jeździć na łyżwach. Nauczyłam się tego jeszcze w Connecticut, na Bird Pond, ale rzadko miałam okazję to robić, bo starałam się unikać wszystkiego, co niepotrzebnie dodawało mi wzrostu. No i wcześniej nie miałam z kim jeździć na łyżwach. A obiecałam sobie wykorzystać pobyt Paula w Nowym Jorku jak tylko się da.

Tego dnia panowała idealna pogoda na łyżwy. Powietrze było czyste i przejrzyste, wiał lekki wiatr, dzięki któremu przez noc lód wygładził się niczym powierzchnia stołu bilardowego. W efekcie na szczycie Belvedere Castle powiewała flaga, czerwone koło na białym tle, której wypatrywali wszyscy łyżwiarze w okolicy. Wszyscy portierzy wzdłuż Piątej Alei przekazywali już sobie informację, że lód czeka, i w efekcie na stawie pełno było łyżwiarzy.

Gdy Paul i ja przyjechaliśmy tam, pierwsza grupa zeszła już na lód. Mężczyźni, niemal profesjonalisci, wykonywali kolejne figury, wirowali wściekle, a na brodach i nosach osadzał się im szron. Potem nadjechały panie, po dwie, trzy naraz, w ciężkich płaszczach, które wyglądały jak żagle pchające je po lodzie. Paul musiał chwilę poćwiczyć, lecz wkrótce okazało się, że ma w sobie tę żyłkę, i po chwili jechaliśmy już ramię w ramię, trzymając się za ręce. Sunęliśmy tak po sieci połączonych ze sobą stawów.

Dawna ja nigdy nie pozwoliłaby sobie na takie rozrywki w miejscu publicznym, ale weszłam na lód z zapalem i bardzo szybko odnalazłam z Paulem wspólny rytm. Nagle poczułam, że mam ochotę spróbować całej gamy rzeczy, jakich dotąd nie robiłam.

Przeptywaliśmy pod łukowatymi mostkami w rytm Sonaty księżycowej Beethovena i Walca łyżwiarzy Waldteufła i naprawdę trudno było sobie wyobrazić piękniejsze jego wykonanie niż w skrzeczących, małych głośnikach.

Z każdą chwilą lód stawał się coraz bardziej zatłoczony, wycofaliśmy się więc w stronę straganu, skąd dolatywał nas przyjemny

zapach gorących kasztanów. Mieliśmy właśnie usiąść i zdjąć łyżwy, gdy usłyszałam, jak ktoś mnie woła.

– Caroline. Tutaj.

To był David Stockwell. Podjechał do nas i wyhamował, tnąc lód. Uśmiechnął się, po czym stanął w pozie żywcem wyjętej z folderu Brooks Brothers, odsuwając połą kurtki ręką obleczoną w rękawiczkę.

Jak mógł zachowywać się tak, jakby nic między nami nie zaszło, jakby poślubienie znajomej po dziesięciu latach kręcenia się przy mnie było czymś zupełnie naturalnym?

– Caroline, co to za facet?

Czyżby przebłysk zazdrości? David w porównaniu z Paulem wydawał się tak mały. Czy sądził, że mnie i Paula łączy coś więcej niż luźna znajomość? Wątpliwe. Paul trzymał się na dystans, dając do zrozumienia, że jesteśmy tylko znajomymi. Nawet nie stał blisko mnie. A gdyby stwierdził, że pokaże Davidowi, że należę do niego? Sama myśl o tym sprawiła, że nagle tego zapragnęłam.

Paul wyciągnął dłoń na powitanie.

– Paul Rodierre.

David uścisnął ją mocno.

– David Stockwell. Znamy się z Caroline od... – Naprawdę na nas już czas – przerwałam.

– Sally właśnie kończy dopinać łyżwy. Bardzo chciałaby się z tobą spotkać.

Betty oczywiście uprzedziła mnie o Sally. Jej nowa szwagierka była drobnym dziewczęciem, które starsza pani Stockwell dosłownie załała elegancką i kosztowną wyprawką, płacąc za nią kwotę, za którą pół Nowego Jorku mogłoby żyć przez rok. Posłałam Davidowi jedno z moich spojrzeń „naprawdę musimy iść”.

Tymczasem David zwrócił się do Paula.

– Pracuję w Departamencie Stanu. Robimy, co w naszej mocy, żeby utrzymać Stany z dala od wojny.

Słyszałam o pańskim wystąpieniu na gali. Wygląda na to, że pan z kolei robi wszystko, by nas w nią wciągnąć.

– Po prostu mówiłem prawdę – odparł Paul.

– Żadna z organizowanych przez nas imprez nie odniosła takiego sukcesu – dodałam.

Paul podjechał do mnie bliżej i chwycił mnie za rękę.

– Racja, kochanie, to było niesamowite, prawda?

Kochanie?

David mrugnął, wyraźnie zaskoczony.

Przysunęłam się bliżej do Paula.

– Ogłuszające owacje. No i te datki. Teraz wszyscy popierają Francję.

Sally Stockwell podjechała do nas przez tłum. Trudno było zignorować jej drobną posturę. Miała może metr sześćdziesiąt wzrostu. Włożyła pełny zestaw łyżwiarski: filcową, rozszerzającą się ku dołowi spódnicę, przyjemny, pikowany tyrolski zakieciak i łyżwy wykończone białym futerkiem. Wełniane frędzle przy ślicznej wiązanej pod brodą czapeczce kiwały się we wszystkie strony, gdy Sally torowała sobie do nas drogę.

– Ty musisz być Caroline – stwierdziła. Wyciągnęła do mnie dłoń obleczoną w rękawiczkę dzierganą z białej wełny angorskiej, a ja ją uścisnęłam.

Sally przypominała raczej Olivię de Havilland niż Bette Davis. Nie dało się jej nie lubić, a rozbijająca szczerłość sprawiała, że nawet najbardziej trywialna rozmowa z nią przebiegała naprawdę dziwnie.

– David opowiedział mi o tobie wszystko. „Caroline pomaga francuskim dzieciom. Caroline i ja razem debiutowaliśmy na scenie...”.

– Byłam jej pierwszym partnerem, gdy grała główną rolę – oznajmił David. – Sebastian i Olivia w Wieczorze Trzech Króli.

Paul uśmiechnął się.

– Oni chyba się całują, prawda? Jak wypadły recenzje?

– Chłodno – odparłam.

Sally podjechała bliżej.

– Czasami wydaje mi się, że powinniście byli wziąć ślub.

– Miło było was spotkać – powiedziałam. – Przepraszam, że uciekamy, ale naprawdę goni nas czas.

– Tak, mamy przed sobą cały dzień razem, prawda, kochanie? – dorzucił Paul.

Łgał jak z nut. Po czymś takim musiało zawrzeć od plotek, jednak nic mnie to nie obchodziło. Miło było być kochanym, nawet jeśli tylko na pokaz.

Pożegnaliśmy się i pomachaliśmy Sally i Davidowi, którzy wmieszali się w tłum par na ślizgawce. To było naprawdę urocze ze strony Paula, że udawał mojego chłopca. Nie miałam zamiaru afiszować się z nim, ale miło było móc się z kimś pokazać, szczególnie Davidowi Stockwellowi, który tak okropnie zdeptał moje ego.

Po łyżwach Paul wrócił do hotelu, by się przebrać, a ja zabrałam się

do dekorowania wielkiego świerka dostarczonego przez bliskiego przyjaciela mamy, pana Gardenera, który przywiózł drzewko ze wsi razem z doskonałym kurczakiem zapiekany w winie. Serge przysłał z Connecticut na pierwsze danie zimową zupę warzywną, w której aż gęsto było od pietruszki, dużej marchwi i wspaniałych, słodkich włoskich fenkułów.

Tej nocy na Manhattanie spadł śnieg, który do Connecticut dotarł już wcześniej i uwięził mamę i Serge'a na wsi. Paul zjawił się na mym progu ze śniegiem we włosach i na płaszczu. Gdy pochylił się, by pocałować mnie w policzek, poczułam chłód bijący od jego twarzy. Pachniał intensywnie Sumare, jednym z ulubionych zapachów mojego ojca. Widziałam butelkę tej wody w szafce, tuż obok kremu po goleniu, gdy w czasie jednej z wizyt u Paula musiałam skorzystać z łazienki.

Paul przyniósł ze sobą butelkę burgunda i bukiet czerwonych róż owiniętych w białą bibułę. Czułam, że będę musiała mocno się pilnować i kontrolować ilość pitego wina. Ulżyło mi, gdy zobaczyłam, że ma na sobie swoją fioletową marynarkę, bo sama ubrałam się w sukienkę i włożyłam jedwabne pończochy.

Wsunął mi w dłonie ciężką, zimną butelkę.

– Joyeux Noël. To ostatnia ze skrzynki, którą kuzyn przysłał mi ze swojej winnicy. Mam nadzieję, że nie masz mi za złe zostawienia twojego numer telefonu w hotelu. To na wypadek, gdyby musieli się ze mną skontaktować.

– Oczywiście, że nie. Martwisz się o Renę?

– Zawsze, ale to tylko na wszelki wypadek. Rozmawiałem z nią dziś rano i przekazałem jej wiadomości o wizie. Roger mówi, że będzie miał odpowiedź w ciągu kilku dni.

Rena. Miałam wrażenie, że stoi cały czas obok nas.

Paul wszedł do salonu.

– Tu można by wylądować samolotem. Będziemy sami?

– W Connecticut nie dadzą rady wyjechać z podjazdu.

– Więc jestem twoją jedyną rozrywką? To dopiero wyzwanie.

Po kolacji odstawiłam naczynia do zlewu, nalałam nam koniaku ojca i usiadłam na starej, nierównej kanapie z końskiego włosia. Kanapa należała jeszcze do matki mojej matki, którą nazywaliśmy Mamą Woolsey. Mama Woolsey kupiła ją, żeby kandydaci do ręki mojej matki nie przesiadywali w domu zbyt długo.

Gdy ogień wypalił się, w salonie zrobiło się chłodno, bo nigdy nie grzaliśmy w mieszkaniu zbyt mocno.

Paul wrzucił do kominka brzoszowe polano i po chwili płomień buchnął ze wzmożoną siłą, nagrzewając palenisko tak bardzo, że poczułam ciepło na twarzy.

Zrzuciłam pantofle ze stóp i podwinęłam nogi pod siebie.

– Ktoś popijał koniak – powiedziałam, patrząc na butelkę pod światło.

– Może to anielska danina? – zasugerował Paul. – Tak nazywają tę część koniaku, która paruje w piwnicach.

Dźgnął polano żelaznym pogrzebaczem z powagą wypisaną na twarzy. Dlaczego mężczyźni podchodzą tak poważnie do palenia ognia?

Potem podszedł do kanapy.

– Jestem tu i nie mogę pozbyć się wrażenia, że wszystko ciągle jest przede mną. Czuję się jak mały chłopiec.

– Gdzieś w głębi serca zawsze pozostajemy dwudziestolatkami – odparłam. Ile razy słyszałam mamę, gdy to mówiła?

Paul nalał sobie kolejną porcję koniaku.

– Twój były przyjaciel jest wspaniałym mężczyzną.

– Niewątpliwie przyznałby ci rację. – Wyciągnęłam kieliszek, by dolać i mnie.

Zawahał się.

– Człowiek rozumny winien pić aż do upicia^[2]. – Dlaczego zaczęłam cytować Byrona? Brzmiałam przez to, jakbym miała dwa miliony lat.

– Upojeniem jest tylko część najlepsza życia^[3] – odparł Paul, nalewając mi koniaku.

Znał Byrona?

– Dlaczego nigdy nie pytałaś mnie o Renę? – zagadnął.

– A czy powinnam? – To był ostatni temat, jaki miałam ochotę z nim poruszać.

– Och, nie mam pojęcia. Pomyślałem, że możesz chcieć wiedzieć, dlaczego tak długo jestem poza domem.

– Z powodu przedstawienia, to chyba oczywiste – powiedziałam. Bursztynowy płyn w kieliszku mienił się w świetle płomienia.

– Trudno mówić, żebyśmy nadal byli małżeństwem.

– Paul, proszę, to wieje truizmem. – Dlaczego nie mogłam powstrzymać się od przemawiania do mężczyzn tonem belferki? Zasługiwałam na to, by zestarzeć się w samotności i odpłynąć na krze w siną dal, jak starucha z eskimoskiego plemienia.

– Rena jest taka młoda. I zabawna. Polubiłabyś ją z pewnością. Ale z nią nigdy nie mógłbym posiedzieć w ten sposób i porozmawiać o życiu.

– Co ją interesuje? – zapytałam.

Ogień trzaskał i zawodził, pochłaniając krople żywicy.

– Zabawa, tańce. Pod wieloma względami ciągle jest dzieckiem.

Pobraliśmy się niemal natychmiast po poznaniu. Na początku świetnie się bawiliśmy, a w sypialni było nam wspaniale, ale szybko się tym znudziła. Słyszałem, że ma kilku przystojnych przyjaciół.

Wspaniale w sypialni? Zapewne wręcz bosko. Strzepnęłam z rękawa kawałek nitki.

– Tak na marginesie, w tym kraju mężczyźni nie rozpowiadają na prawo i lewo o swoich sprawach łóżkowych.

– W tym kraju mężczyźni nie mają o czym opowiadać – odparł. – Biorą ślub, a ich sprawy więdną i odpadają. Rena jest wspaniałą dziewczyną, ale sama mówi, że do siebie nie pasujemy. Wierz mi, naprawdę się starałem.

Znów poprawił coś w palenisku, a gdy wrócił, usiadł na sofie bliżej mnie. Był męski, a usta miał cudowne.

– A czy ludzie w ogóle jeszcze do siebie pasują? – zapytałam. – Moi rodzice byli jedyną znaną mi naprawdę dobraną parą.

– Jak zmarł twój ojciec?

– Nikomu o tym nie mówiłam. Miałam jedenaście lat, a wtedy nie rozmawiało się o takich sprawach.

– Był dobrym ojcem?

– W weekendy przyjeżdżał z miasta do Connecticut. Zmieniał wykrochmalony kołnierzyk i kamizelkę na płócienne spodnie i spędzał z nami cały czas na boisku do baseballu, które matka kazała zrobić na końcu posiadłości.

– Często chorował?

– Nigdy. Aż pewnego dnia wiosną tysiąc dziewięćset czternastego roku został tu w swojej sypialni.

Tylko doktor Forbes i matka mogli go widywać. Zanim mnie spakowali i wysłali do krewnych, wiedziałam już, że stało się coś bardzo złego. Pokojówki przerywały rozmowy, gdy wchodziłam do pokoju, a matka wyglądała na tak strapioną jak nigdy wcześniej.

– Tak mi przykro, Caroline. – Paul ujął moją dłoń w swoje miękkie i ciepłe ręce, a potem puścił ją swobodnie.

– Pięć dni później pozwolono mi wrócić do domu, ale nikt nie chciał spojrzeć mi w oczy. Jak zawsze najwięcej dowiedziałam się schowana w

kuchennym wyciągu i podsłuchując przez uchylone drzwi.

Wtedy mieszkały z nami cztery irlandzkie pokojówki. Najstarsza, Julia Smith, przekazała koleżankom doniosłe wieści podczas łuskania grochu przy kuchennym stole. Nadal pamiętam każde słowo, jakie wtedy powiedziała: „Wiedziałam, że pan Ferriday nie podda się bez walki”.

Mary Moran, chuda, nowa dziewczyna, jeździła szarym, przypominającym ośmiornicę mopem po czarno-białych kaflach podłogi. Powiedziała: „Zapalenie płuc to paskudna śmierć. To jak topić się, tylko wolniej. Byłaś tam? Lepiej nie dotykać ciała”. A potem Julia powiedziała: „W jednej chwili śmiał się jak szalenciec, a później już trzymał się za pierś, wołając, że jest mu za gorąco, i krzyząc do doktora Forbesa: Człowieku, na miłość boską, otwórz tu okno. A potem zaczął pytać o córkę, o panienkę Caroline, co nieomal złamało mi serce. A pani Ferriday powtarzała tylko: Harry, kochanie, nie zostawiaj mnie. Ale on musiał już wtedy nie żyć, bo doktor tylko wychylił się przez drzwi, zawołał mnie i powiedział, żebym biegła po grabarza”. Najmłodsza z nich, Lily Clifford, wypaliła: „Przez chwilę widziałam panią Ferriday. Leżała na łóżku, tuląc się do niego, i mówiła: Henry, nie potrafię bez ciebie żyć. Brzmiała tak smutno i samotnie, że miałam ochotę się popłakać”.

Tego wieczoru matka przekazała mi wiadomość. Patrzyłam tylko na skrzynkę z cygarami taty i zastanawiałam się, co się z nimi stanie, skoro go już nie ma. Matka nie rozmawiała ze mną o śmierci ojca, a po tamtym dniu nigdy nie płakała ani przy mnie, ani przy nikim innym.

– To straszne, Caroline – powiedział Paul. – Byłaś taka młoda.

– Przepraszam, że zniszczyłam ci świąteczny nastrój.

– Dla dziecka to ciężkie brzemię.

– Pomówmy o czymś przyjemniejszym.

– Masz dobre serce, Caroline. – Paul wyciągnął dłoń, by schować mi za uchem kosmyk włosów. Nagły ciepły dotyk sprawił, że aż podskoczyłam.

– Wystarczy już o śmierci i umieraniu – powiedziałam. – O czym jeszcze chcesz porozmawiać?

Przez chwilę oboje spoglądaliśmy w ogień, słuchając, jak pochłania drewno wśród trzasków i puknięć.

Nagle Paul zwrócił się w moją stronę.

– Muszę ci coś wyznać.

– Czy dobrzy katolicy nie chodzą z tym do księży?

On tymczasem przesunął palcem po mojej obleczonej w pończochę stopie.

– Chodzi o to, że jedwabne pończochy sprawiają, że tracę nad sobą panowanie.

Czy wiedział, jaką moc miał nade mną jego palec?

– Obawiam się, że kolega ze szkoły skrzywił mnie na całe życie.

Wyprostowałam się.

– Chyba nie chcę o tym słuchać.

– Miał pod łóżkiem kolekcję starych zdjęć.

– Sauté?

– Cóż, można tak powiedzieć. W większości kobiet w jedwabnych pończochach. Mających na sobie przede wszystkim te pończochy. – Paul obrócił w palcach kieliszek z bursztynową cieczą. – Od tego czasu zmieniłem się. To ma coś wspólnego ze szwami. Gdy zobaczyłem Marlenę Dietrich w Błękitnym aniele śpiewającą Niegrzeczną Lolę, musiałem odczekać, aż wszyscy wyjdą z sali, zanim wstałem z miejsca.

– Marlena miała wtedy na sobie zupełnie czarne pończochy.

– Czy możemy o tym nie mówić? Robię się przez to nieco pobudzony.

– Sam zacząłeś.

– Chyba zawsze ciągnęło mnie do silnych kobiet – stwierdził.

– Poproszę mamę, żeby przedstawiła cię Eleanor Roosevelt.

Paul uśmiechnął się i odstawił kieliszek na podłogę.

– Wiesz, Caroline, jesteś wyjątkowa. Coś w tobie sprawia, że mam ochotę obnażyć przed tobą duszę. – Przez chwilę przyglądał mi się w milczeniu. – Ale musisz wiedzieć, że ja się przywiązuję. Możesz nie móc się mnie pozbyć.

– Jak rzepu?

Uśmiechnął się i przysunął jeszcze bliżej.

– Tak, czymkolwiek on jest.

Wstałam, wygładziłam sukienkę. Musieliśmy zwolnić, zanim sprawy skomplikują się za bardzo.

– Poczekaj tutaj – powiedziałam. – Mam coś dla ciebie. Nic wymyślnego.

– Jakże tajemniczo, Caroline. Zupełnie jak Marlena.

Poszłam do sypialni. Czy to był błąd? Czy przyjaciele przeciwnych płci dawali sobie prezenty? On przecież nic mi nie przyniósł. Przyniosłam paczuszkę owiniętą srebrnym papierem. Przepakowywałam ją kilka razy, żeby wyglądała niezobowiązująco, i teraz wręczyłam Paulowi.

– Co to? – zapytał. Policzki zaróżowiły mu się z emocji czy od koniaku?

– Nic takiego – odparłam i usiadłam obok.

Wsunął dłoń pod papier i rozerwał celofanową taśmę.

– To tylko przyjacielski prezent – zaznaczyłam. – Ciągłe dajemy sobie takie z Betty. Nic wymyślnego.

Paul odwinął złożony papier i rozpakował paczkę na kolanach. Przez chwilę przyglądał się w milczeniu złożonemu prostokątowi w kolorze bordo.

– Należał do ojca – wyjaśniłam. – Miał ich dziesiątki. I oczywiście nigdy nie nosił. Może gdyby było inaczej... Paul uniósł szalik z wełny merynosów podbijany jedwabiem i przytrzymał go w dłoniach, badając w palcach materiał.

– Nie wiem, co powiedzieć – odparł.

Zaschło mi w ustach. Czyżbym postąpiła zbyt śmiało, dając tak osobisty prezent?

– Twoja matka nie będzie miała nic przeciwko?

– Gdybym jej pozwoliła, już rozdałaby wszystkie rzeczy ojca.

– Może trudno jej na nie patrzeć, gdy jego już nie ma?

– Niemal oddała jego wigoniowy płaszcz doręczycielowi, który nie miał się w co ubrać.

Paul powoli podniósł szal za jeden z końców i ostrożnie owinął go sobie wokół szyi, pochylając przy tym głowę.

– Caroline, to zbyt piękny prezent. – Skończył i rozłożył dłonie. – I jaki werdykt?

Z zarumienionymi policzkami wyglądał jak jeden z chłopców szykujących się do jazdy po Bird Pond w Bethlehem. Jakie by to było uczucie pocałować go? Czy oboje żałowalibyśmy, wiedząc, że ma żonę – nieważne, jak bardzo do siebie nie pasowali – która wkrótce obudzi się we Francji i będzie czekać na jego telefon?

Oczywiście.

– Chcesz je zobaczyć? Ubrania ojca?

Wstałam i poprowadziłam go do pokoju ojca. Matka i ojciec mieli osobne sypialnie, bo takie panowały wtedy obyczaje. Stojąca w rogu biurka lampa rzucała cień na ścianę. Pokojówki nadal odkurzały pokój i co wiosnę prały firany z organzy oraz lnianą pościel ozdobioną greckimi meandrami. Wszystko wyglądało tak, jakby ojciec miał wrócić lada dzień, zakrzyknąć z progu „Hej, hej!” i rzucić na łóżko skórzaną walizę. W wykuszu stała niewielka sofa przykryta perkalową narzutą, która już dawno straciła swój blask. Otworzyłam drzwi szafy ojca, uwalniając falę aromatu maści rozgrzewającej i tytoniu.

A potem zapaliłam światło.

– Och, Caroline – szepnął Paul.

Szafa ojca z dwoma drążkami ubrań wyglądała niemal tak, jak ją zostawił. Rzędy płóciennych, brązowych wełnianych i białych flanelowych spodni wisiały jedne przy drugich. Nad nimi marynarki – od przepasanych norfolków do kamgarnowych rekli. Dziesiątki par dwubarwnych butów oraz para lakierków, wszystkie wypchane papierem, stały równo jedne przy drugich na podłodze. Fulary wisiały obok pasków zaczepionych o haczyki miedzianymi sprzączkami. Na górnej półce, na wszystkich złożonych tam rzeczach, leżała woalka, którą matka miała na sobie w czasie pogrzebu. Nie było mnie oczywiście tamtego dnia w kościele Świętego Tomasza, miałam przecież zaledwie jedenaście lat. „New York Times” napisał wtedy: „Kobiety Woolseyów zwały tego dnia szyki w pierwszej ławie”.

Wyciągnęłam jeden z pasków i przeciągnęłam focze futro między palcami.

– Był bardzo porządnym człowiekiem – zauważył Paul.

– W żadnym razie. Matka dbała o niego.

Paul podniósł leżącą na górnej półce szarą fedorę wypchaną żółtą bibułą. Obrócił ją w dłoniach, jak naukowiec badający rzadki meteoryt, a potem odłożył na miejsce. Nagle spochmurniał. Dlaczego musiałam zepsuć nastrój?

– Ojciec był daltonistą – wyjaśniłam.

Paul spojrzał na mnie. Gdybym tylko była w stanie przestać gadać.

– Co gorsza, odmawiał zatrudnienia lokaja, który pomógłby mu się ubrać.

Paul nie przerywał, przyglądał mi się z wyrazem twarzy, którego nie potrafiłam rozgryźć. Współczuł biednej starej pannie, która tęskniła za ojcem?

– Ojciec uparł się, że będzie sam dobierać ubrania. Więc matka kupowała mu wyłącznie stroje w podstawowych kolorach. Brązy i granaty.

– Wyłączyłam światło. – Trzeba było widzieć jego stroje wcześniej.

Gdy zamykałam drzwi, poczułam, jak łzy napływają mi do oczu, ale zdołałam je powstrzymać.

– Pewnego dnia pojawił się na śniadaniu w żółtej marynarce, fioletowym krawacie, spodniach w kolorze palonej pomarańczy i czerwonych skarpetkach. Matka śmiała się tak mocno, że mało się nie zakrztusiła.

Odwróciłam się do drzwi szafy i oparłam czoło o chłodną farbę.

– Przepraszam, Paul. Zaraz się pozbieram.

Paul chwycił mnie za ramiona i odwrócił, a potem przyciągnął do siebie. Odgarnął mi włosy z twarzy i odnalazł ustami mój policzek. Przez chwilę zatrzymał się z pocałunkiem w niewielkim wgłębieniu pod okiem, a potem zaczął wędrować po całej twarzy. Długo trwało, nim dotarł do moich ust, a gdy wreszcie to zrobił, poczułam smak kurczaka zapiekanego w winie i francuskich papierosów.

Paul odwinął szalik i natychmiast doleciał mnie zapach Sumare.

Sosna. Skóra. Piżmo.

Dotarliśmy do kanapy, a za oknem lodowe płatki śniegu wirowały niczym szalona burza piaskowa.

Serce zamarło mi, gdy jego dłoń zaczęła wędrować wzdłuż mojego uda, by uwolnić je z pończochy.

Wsunął dwa palce pod jedwabną materię i ściągnął ją w dół. Odpięłam górny guzik jego koszuli, potem następny. Wsunęłam dłonie pod nią, potem przesunęłam wzdłuż gładkich jak wnętrze muszli boków Paula.

– Wydaje mi się, że wypijaś nieco więcej koniaku, niż zwykły czynić to anioły – szepnął mi do ucha Paul.

Odpiął górny guzik mojej sukni. W mdłym świetle jego twarz wydawała się szczególnie piękna, tak poważna. I naprawdę to robiliśmy... Odepchnęłam od siebie myśli o nim i Renie.

Drugi i trzeci guzik ustępowały powoli.

Zsunął mi suknię z ramion, a potem pocałował nagą skórę.

– Nie mogę uwierzyć, jaka jesteś piękna – powiedział, powoli przesuwając się ustami w stronę mojego biustu. – Może powinniśmy pomyśleć o łóżku.

Mogłam tylko skinąć głową. Moje panieńskie łóżko z baldachimem i różową satynową pościelą? Ono nigdy nie widziało nikogo takiego jak Paul Rodierre.

Zygzakiem przeszliśmy do sypialni, zostawiając po drodze różne części garderoby.

– Ręce do góry – nakazał Paul, gdy dotarliśmy do łóżka.

Uniosłam ramiona, jakbym szykowałam się do skoku do wody, a on jednym płynnym ruchem ściągnął mi przez głowę sukienkę i halkę. Potem zdjął marynarkę i przyciągnął mnie do siebie. Dłonie drżały mi, gdy sięgnęłam do jego paska. Całował mnie, gdy wyciągnęłam wreszcie wolny koniec ze sprzączki i przeciągnęłam całość przez szlufki. Zamek błyskawiczny został odpięty z cichym trzaskiem. Paul zdjął spodnie i

położył nas na łóżku. Wpadliśmy w gładką satynę, a sprężyny skrzypnęły gwałtownie zaskoczone naszym ciężarem.

– Masz skarpetki? – zapytałam.

Pocałował mnie u nasady szyi.

– Co to za dźwięk? – zapytał Paul, torując sobie drogę na dół.

– Co? – Uniosłam się na łokciu. – Czy ktoś tu jest?

Pociągnął mnie znów w pościel, szepcząc do ucha: – To nic takiego.

– Poczułam na policzku przyjemną szorstkość jego zarostu. – Nie przejmuj się tym.

Cudownie było mieć Paula w swoim łóżku, wyłącznie dla siebie.

Zanurzyłam się głębiej w różową satynę, gdy przetoczył się nade mną i pocałował mnie w usta, tym razem natarczywie.

Teraz i ja usłyszałam ten dźwięk. Ktoś pukał do drzwi. Jakim cudem zdołał ominąć portiera? Zamarłam, gdy usta Paula wędrowały niżej.

– Ktoś tu jest – stwierdziłam, drżąc w ciemności.

Rozdział 8

Kasia

1940

Musicie przede wszystkim zrozumieć, jak ogromne znaczenie społeczne miała działalność w podziemiu dla młodych Polaków. Po niemieckiej inwazji, gdy okupant ogłosił, że przynależność do organizacji harcerskich jest przestępstwem, po kryjomu kontynuowaliśmy spotkania drużyn. Harcerstwo działało wtedy pod nazwą Szarych Szeregów. Odpowiedzieliśmy na wezwanie Rządu RP na uchodźstwie i niemal wszystkie dziewczyny z harcerstwa wstąpiły do podziemia. Drużyna była moim jedynym towarzystwem,

bo Zuzanna pracowała całymi dniami w korpusie ratowniczym i nigdy nie było jej w domu. Poza tym działalność w podziemiu była doskonałym wentylem bezpieczeństwa. Dzięki temu nie czuliśmy się tak sfrustrowani niemiecką okupacją.

W harcerstwie przeszliśmy doskonale przeszkolenie w zakresie udzielania pierwszej pomocy, a w Szarych Szeregach nauczyliśmy się dalej na tajnych kursach medycznych. Starsze dziewczęta walczyły ramię w ramię z chłopcami albo opiekowały się rannymi, były szwaczkami i prowadziły sierocińce.

Niektóre pomagały nawet uwalniać ludzi z niemieckich więzień, wysadzały mosty czy wykrađały plany działań wojennych.

My, młodsze dziewczyny z mojej siedmioosobowej drużyny, ratowałyśmy polskie książki z rąk niemieckich żołnierzy i prowadziłyśmy lekcje w tajnych szkołach. Uczyłyśmy się szyfrować i deszyfrować meldunki i przekazywałyśmy lewe dokumenty, a także roznosiłyśmy rozkazy. Robiłyśmy co w naszej mocy, aby sabotować rozkazy nazistów, przestawiałyśmy tabliczki z nazwami ulic, żeby patrole SS nie mogły zorientować się, gdzie się znajdują. Nocami podłączałyśmy się do głośników rozwieszonych na ulicach przez Niemców i puszczałyśmy polski hymn. Im więcej uchodziło nam na sucho, tym więcej chciałyśmy robić, zupełnie jakby działalność w podziemiu uzależniała jak narkotyk.

Musiałyśmy jednak być ostrożne, bo nie dość, że Niemcy wybrali Lublin na kwaterę główną całego dystryktu, to jednocześnie w całej Polsce zaczęli działać niemieccy szpiedzy, których zadaniem było

zidentyfikowanie dawnych drużynowych i aresztowanie ich.

Coraz częściej dochodziło do łapanek. Mama ogromnie obawiała się, że któraś z nas padnie ofiarą tego nagłego, niekontrolowanego polowania na ludzi, jakie prowadzili członkowie SS. Okupanci nie czekali już na nadejście nocy. Polowali na Polaków w biały dzień, w najmniej oczekiwanych miejscach: w kościołach, na stacjach kolejowych czy w kolejkach po racjonowaną żywność. Każdy, kto miał pecha i znalazł się w niewłaściwym miejscu i czasie, był zabierany do aresztu tymczasowego. Później większość trafiała do Niemiec na przymusowe roboty, gdzie niejednokrotnie ludzie zapracowywali się na śmierć. Na niebezpieczeństwo były też narażone polskie dzieci o aryjskim wyglądem. Znikały z miast w ogromnych ilościach. Jednego dnia zebrano cały ich pociąg i gdzieś wywieziono. Niemieccy strażnicy strzelali do matek, które pobięły za pociągiem. Na wsi, jeśli do pracy zgłosiło się zbyt mało osób, Niemcy palili całą wieś.

Piotrek nie wspominał o tym, ale wiedziałam, że jego ojciec, kapitan Wojska Polskiego, został aresztowany z innymi oficerami. Tym samym Piotrek został jedynym mężczyzną w domu. Przed wojną każdy absolwent wyższej uczelni był wcielany do wojsk rezerwowych, władze okupacyjne nie miały więc problemów z usunięciem najlepiej wykształconej części społeczeństwa. Wystarczyło aresztować członków korpusu oficerskiego. Na szczęście w chwili wybuchu wojny Piotrka nie wcielono do wojska.

Błagałam go, by przydzielił mi bardziej odpowiedzialne zadania, takie, jak dostawały starsze dziewczęta, ale zawsze znajdował jakąś wymówkę, a to on dowodził naszą drużyną.

– Powiedz tylko, czy się nie sprawdzam – tłumaczyłam mu pewnego popołudnia. – Przecież poradziłam sobie dobrze w domu Nadii.

Piotrek pomagał mi czyścić kilka pędzli, których mama nie zakopała w ogrodzie. Chowala je pod luźną deską, żeby móc malować nocami. Nie były to zwykłe pędzle, lecz wykonane z włosia soboli pędzle do akwareli marki Kolinsky. Czyszczenie ich było dla mnie zaszczytem i rozpierała mnie duma, że to mnie mama powierzyła to zadanie. Mama odziedziczyła je – malarski odpowiednik Stradivariusa – po swojej matce, a każdy z nich wart był małą fortunę. Trzymała je w zwijanym pokrowcu z czerwonej flaneli, każdy w osobnej przegródce. Pędzle wykonano z włosia rosyjskich soboli, wyłącznie samców, którego cena za uncję trzykrotnie przewyższała cenę złota.

– Nic dla ciebie nie mam, Kasiu – powiedział Piotrek. – Na razie panuje spokój.

Piotrek miał olbrzymie dłonie, ale z pędzlami poczynął sobie nad wyraz delikatnie. Maczał je w wodzie z mydłem i delikatnie przesuwał palce od niklowej skuwki wzdłuż sobolowego włosia.

– Oszaleję, jeśli będę musiała spędzić w domu jeszcze jeden dzień.

Piotrek odłożył pędzel na ścierkę obok tego, który przed chwilą sama tam położyłam.

– Znasz zasady. Jesteś za młoda. Poczytaj książkę.

– Stać mnie na więcej... – Nie, Kasiu.

– Nic nie daje takiej satysfakcji jak walka z nimi. Wyślij mnie gdziekolwiek. To nie musi być nic wielkiego.

– Jeśli cię złapią, nie uratuje cię ani wiek, ani uroda. Do ładnych dziewcząt strzelają tak samo szybko jak do wszystkich innych.

Uroda? Ładna dziewczyna? To o mnie?

– Jeśli niczego mi nie zlecisz, zacznę pracować dla wolnej prasy. Podobno potrzebują kurierów.

– Ze mną jesteś bezpieczniejsza.

– O, proszę.

Wreszcie jakiś postęp!

Piotrek odwrócił się w moją stronę, zachowując pełną powagę.

– W zasadzie jest jedna sprawa. To skomplikowane zadanie, więc musisz uważnie słuchać.

– W getcie? – zapytałam.

Pokiwał twierdząco głową.

Na początku mocno się przestraszyłam, ale nie dałam nic po sobie poznać. Jedno spłoszone spojrzenie i skończą się dla mnie jakiegokolwiek zadania.

– Musisz iść do apteki pana Z. – przerwał. – Nie, jednak nie. Nie będziesz tego robić.

– A kto nada się lepiej? Chodziłam do Z. na lody czekoladowe z Nadią. Pan Z. pojawia się u nas w kościele na mszy.

Choć apteka mieściła się na terenie getta, chrześcijanie nie mieli zakazu kupowania w niej. Nawet esesmani przychodzili tam od czasu do czasu po sprawunki, bo jej właściciel, znany wszystkim jako pan Z., w zasadzie mógłby otworzyć własną praktykę lekarską i nawet w czasach wojny miał na składzie leki na wszystkie dolegliwości.

– Czy możesz pójść tam jutro dokładnie o drugiej?

– A czy kiedykolwiek się spóźniłam?

– Wtedy zmieniają się warty, będziesz więc miała dokładnie pięć minut, żeby wejść, gdy nikt nie będzie mógł cię zatrzymać. Za wszelką

cenę unikaj gestapo. Ostatnio zwiększyli liczbę patroli.

– Rozumiem – odparłam z uśmiechem, choć miałam wrażenie, że krew zakrzepła mi w żyłach. Żołądek zawiązał mi się na supeł tak, jakby chciał powiedzieć: „Przemyśl sobie to jeszcze”, ale szybko zagłuszyłam ten głos.

– Wejdiesz i pójdziesz prosto na zaplecze – wyjaśniał dalej Piotrek.

– Do piwnicy?

– Tak. Schodami w dół. – Ujął mnie za rękę i spojrzał prosto w oczy.

– Od chwili nawiązania kontaktu masz pięć minut. Będziesz przenosić ważną paczkę, Kasiu. Rozumiesz, co mówię?

Pokiwałam głową. Starając się za wszelką cenę zachować spokój, zapytałam: – Czy cokolwiek w niej może wybuchnąć?

– Nie, ale po wyjściu nie wolno ci z nikim rozmawiać. Potem pójdziesz normalnie do pracy w kinie.

Twoja przykrywka to zakup aspiryny.

Piotrek wydawał mi polecenia śmiertelnie poważnym tonem.

Przykrywka. Tym razem dostałam prawdziwą misję i choć trzęsły mi się dłonie, wiedziałam, że wywiążę się z niej należycie. Pięć minut to aż nadto, żeby coś odebrać.

Tamtej nocy prawie nie spałam, rozważając w myślach wszystko, co mogło pójść nie tak. Getto. Tam wystarczyło znaleźć się w niewłaściwym miejscu, by skończyć w areszcie. Codziennie słyszało się o sąsiadach i znajomych zabranych do cel mieszczących się w piwnicach kwatery głównej gestapo, niewinnie wyglądającego budynku określanego potocznie mianem „Pod Zegarem”, albo gorzej, „na Zamek”, gdzie na dziedzińcu każdego dnia rozstrzeliwano jeńców.

Następnego dnia wyruszyłam wczesnym popołudniem do apteki pana Z., ale nogi trzęsły się pode mną.

Dzień był ponury, silny wiatr gnał po niebie ciężkie chmury.

Powtarzałam sobie, że nie ma się czego bać.

Ludzie wpadali przez strach. Niemcy wyczuwali go jak zwierzęta.

Byłam w połowie drogi do Bramy Grodzkiej, oficjalnego wejścia do getta, gdy zobaczyłam coś, co kazało mi się zatrzymać. W drzwiach Deutsche Haus, restauracji, w której stołowali się wszyscy Niemcy w mieście, zobaczyłam własną matkę. Wychodzącą z lokalu, w którym przy wejściu wisiała wielka tablica głosząca ZUTRITT FÜR POLEN VERBOTEN! Miejsce to upodobali sobie szczególnie esesmani,

ponieważ wiedzieli, że jedzenie było tam smaczne i w zasadzie za darmo. Co więcej, nie groziło im, że będą musieli jeść w towarzystwie

Polaków. Krążyły plotki, że było tam aż gęsto od dymu papierosowego, a porcje serwowano tak duże, że klienci nie byli w stanie ich zjeść, ale nie znałam nikogo, kto byłby w środku i mógł to potwierdzić. A przynajmniej tak mi się wydawało. W każdym razie nikogo żywego, bo tak przecież głosiło prawo. Polakom wstęp wzbroniony. Zaledwie tydzień temu sprzedawcę z warzywniaka w sąsiedztwie złapano tam w kuchni, gdy dostarczał towary. Został aresztowany i nikt go więcej nie widział.

Zresztą aresztowania stawały się czymś powszednim. Tego ranka czytałam w jednej z podziemnych gazet, jakie przyniosła do domu Zuzanna, że w ciągu zaledwie trzech miesięcy od wybuchu wojny aresztowano i zamordowano pięćdziesiąt tysięcy obywateli Polski, z czego siedem tysięcy stanowili Żydzi. W większości byli to wpływowi obywatele miast – prawnicy, profesorowie, księża i rabini – każdy, kto łamał prawo okupanta lub sprzeciwiał się jego siłom. Kościół katolicki był w oczach Niemców poważnym przeciwnikiem, więc wśród aresztowanych znalazło się wielu księży. Zwykłych obywateli często oskarżano o przestępstwa, których nie popełnili, i wysyłano nie wiadomo dokąd lub tracono w publicznych egzekucjach. Często w nocy budziły nas strzały tych ostatnich.

Kiedy więc zobaczyłam mamę wychodzącą z Deutsche Haus, tulącą do piersi niewielką brązową paczkę – mniej więcej rozmiarów małego bochenka chleba – uznałam, że muszę dowiedzieć się, co tam robiła. Była już pora obiadowa, na chodnikach roilo się więc od ludzi, którzy teraz z powodu wiatru szli przed siebie ze wzrokiem wbitym w ziemię. Mama zmierzała dokładnie w przeciwną stronę niż ja, do domu.

Przepchnęłam się przez tłum, żeby do niej dotrzeć.

– Mamo! – zawołałam.

Odwróciła się i gdy mnie zobaczyła, wyraz jej twarzy zmienił się tak, jakby właśnie ujrzała ducha.

– Kasia? Nie jesteś w kinie? Miałam przynieść ci później kanapkę.

– Wzięłam dziś popołudniową zmianę. – Pracowałam w kinie jako bileterka. Zuzanna załatwiła mi tę pracę.

Ominęłyśmy kolejkę po racjonowaną wodę, wijącą się wzdłuż przecznicy.

– Co robiłaś w Deutsche Haus? Przecież nie wolno nam tam wchodzić.

– Uważają mnie za Niemkę.

Zemdliło mnie lekko na myśl o mamie w tym miejscu. No i okazało się, że o papierosach mówili prawdę! Cała była przesiąknięta dymem.

– Jak możesz?

– Kasiu, uspokój się. Wstąpiłam tam tylko, żeby zostawić...

Usunęłyśmy się z chodnika, żeby przepuścić niemiecką parę, jak nakazywały przepisy.

– Co zostawić?

Przytuliła zawiniątko mocniej do piersi, uwalniając przy tym intensywną woń – ciemną i egzotyczną – zapach palm i spalonej słońcem Brazylii. Kawa.

– Mamo, mnie możesz powiedzieć. – Wzięłam głęboki wdech, żeby odpędzić narastający strach. – To nowa woda toaletowa?

Mama weszła znów na chodnik i ruszyła w swoim tempie.

– Kasiu, daj spokój.

Na dnie jej szuflady widziałam nowe jedwabne pończochy. Były wepchnięte pod podkoszulki, wyglądały jak pokurczona skóra zrzucona przez węża. Nagle zaczęłam wszystko rozumieć.

– Nie możesz tak o tym zapomnieć. Musisz się wypowiadać.

Zatrzymała się znów i przyciągnęła mnie do siebie, a potem powiedziała cicho: – Pobłogosław mnie, ojcze, bo piłam kawę z esesmanem? Lennart jest... – Lennart? – zaśmiałam się. – Wiesz, co oznacza to imię, mamo? Odważny. Lennart Odważny zabił naszą Psinę szpadlem.

Słońce przebiło się przez chmury, przez co delikatna ciemna smuga w zagłębieniu jej policzka złapała nieco światła i zaśniła opalizująco. Grafit.

– Rysujesz ich. – Oddychaj głęboko... Przyciągnęła mnie jeszcze bliżej.

– Cicho, Kasiu. Podobają się im moje prace i dzięki temu mogę zbliżyć się... – To niebezpieczne.

– Sądzisz, że mi się to podoba? Robię to dla taty. Inaczej by go rozstrzelali, Kasiu.

– Gdyby tato był moim mężem, wołałabym umrzeć niż go zdradzić.

Mama ruszyła przed siebie, przeciskając się przez tłum, a ja ruszyłam za nią, potrącana ze wszystkich stron.

– Nie możesz tego zrozumieć – powiedziała.

Pociągnęłam ją za rękaw marynarki, ale odepchnęła moją dłoń.

– Mamo, oni nazywają to pohańbieniem rasy. Gdy Polka zadaje się z Niemcem.

Obróciła się w jednej chwili.

– Będziesz wreszcie cicho? Co w ciebie wstąpiło? – Jej oddech

pachniał kawą i chrustami gruszkowymi.

Miałam wrażenie, że zaraz się rozplacę. Jak mogła być tak lekkomyślna?

– Nas też aresztują. I tatę.

– Idź do pracy – powiedziała rozgniewana.

Ruszyła na drugą stronę ulicy, o włos unikając potrącenia przez samochód, w którym jechała jakaś wyjątkowo elegancka para. Kierowca zatrąbił i krzyknął do niej coś po niemiecku. Gdy dotarła do krawężnika, odwróciła się w moją stronę. Czyżby zrobiło się jej przykro z powodu tej kłótni?

– Przyniosę ci kanapkę do kina! – zawołała, przykładając dłoń do ust. – Będę wcześniej!

Nie odpowiedziałam, a ona tylko przycisnęła torebkę z kawą mocniej do piersi i odeszła w swoją stronę. Wkrótce zniknęła mi z oczu w tłumie.

Stałam, trzęsąc się. Komu miałam o tym powiedzieć? Ojcu nie. Zabiłby Lennarta Odważnego i wszystkich by nas rozstrzelali. Zerknęłam na Deutsche Haus i zobaczyłam, jak Lennart wychodzi z niego w otoczeniu trzech kolegów. Grzebał sobie w zębach wykałaczką. Jak mama mogła spotykać się z takim człowiekiem?

Wróciłam myślami do czekającego mnie zadania. Jak brzmiało pozdrowienie harcerskie? „Czuwaj!”.

Teraz za wszelką cenę należało zachować skupienie, bo tylko w ten sposób mogłam wypełnić misję powierzoną mi przez Piotrka. Postanowiłam, że później porozmawiam z Zuzanną. Ona z pewnością zdoła przemówić mamie do rozumu.

Ruszyłam w kierunku Bramy Grodzkiej i getta. Do apteki pana Z. dotarłam w rekordowym czasie. Na razie szło łatwo. Odwiedzałam przecież aptekę niezliczoną ilość razy w towarzystwie Nadii, ale tym razem, idąc po brukowanej ulicy, miałam wrażenie, że schodzę w coraz niższe kręgi dantejskiego piekła.

Przed wojną na Starym Mieście mieściły się najlepsze sklepy w Lublinie. Lubiłyśmy przychodzić tu z Nadią, oglądać wystawy i zajadać przygotowywane w czasie Chanuki pączki – ciepłe, posypane cukrem pudrem. Na ulicach zawsze pełno było wozów wyładowanych rzepą i ziemniakami. Obok bawiły się gromadki dzieci, a sprzedawcy w czarnych kapeluszach i kapotach z gabardyny z raglanowymi rękawami wystawali przed sklepami i zagadywali przechodniów, otwierając drzwi kramów i zapraszając do obejrzenia towaru. Buty i pantofelki. Grabie i widły. Klatki pełne kaczek, kur i gęsi.

Do synagogi Chewra Nosim przy Lubartowskiej wchodzili mężczyźni z biało-czarnymi szalami modlitewnymi narzuconymi na ramiona, inni wychodzili z łaźni, by wrócić do domów, zostawiając za sobą na ulicy ślad parującego powietrza.

Ale odkąd pojawili się Niemcy i utworzyli getto, wejście do tej dzielnicy mogło już tylko wprawiać w ponury, smutny nastrój. Zamek Królewski, który górował nad tą częścią miasta, został zarekwirowany przez Niemców i przekształcony przez nich w więzienie. Teraz spoglądał na pokręcone brukowane uliczki, na których nikt już się nie radował. Niemcy wywieźli większość młodych mężczyzn do robót przy oczyszczaniu terenu pod nową budowę na południe od miasta, na Majdanku. Mówili, że założą tam obóz pracy. Wiele ze sklepów zamknięto, a tych kilku handlarzy, którzy ciągle jeszcze funkcjonowali, nie miało wiele do zaoferowania. Esesmani patrolowali ulice getta, a wśród grupki nielicznych nastolatków, osiatych się w getcie, dawało się wyczuć niepokój. Widziałam kobiety tłoczące się wokół tacy z mięsnymi ochłapami i młodego chłopaka sprzedającego opaski na ramię – sam zresztą miał taką – z wyszytą na każdej gwiazdą Dawida. Synagoga była zabita deskami, a na jej drzwiach przybito niemieckie komunikaty. Łaźnie stały opuszczone i nie wyrzucały już z siebie kłębow pary na ulice.

Uliżyło mi, gdy dotarłam do apteki. Była jednym z nielicznych otwartych lokali, a tego popołudnia wręcz zatłoczonym. Krążyły pogłoski, że pan Z. przekupił każdego Niemca, do którego udało mu się dotrzeć, żeby pozwolono mu prowadzić interes, bo był jedynym nieżydowskim sklepikarzem działającym w getcie.

Przez okno wystawowe ujrzałam siedzących z przodu mężczyzn w czarnych kapeluszach zajętych graniem w szachy. Pan Z. stał za drewnianą ladą ciągnącą się wzdłuż całej apteki i jak zawsze wydawał ludziom leki.

Chwyciłam gładką kryształową gałkę przy drzwiach. Skrzypnęły cicho, gdy je otworzyłam, a kilka głów uniosło się znad stolików szachowych. Odprowadzali mnie zagadkowymi spojrzeniami. Choć znałam pana Z. z mszy, nie okazał w żaden sposób, że wie, kim jestem, gdy weszłam. Okrążyłam stoliki, wychwytyując słowa prowadzonych przy nich rozmów, niektóre w jidysz, inne po polsku. Gdy podeszłam do drzwi znajdujących się na tyłach pomieszczenia i spróbowałam je otworzyć, gałka nie chciała się przekręcić. Czyżby były zamknięte? Spróbowałam ponownie, a spocona dłoń ślizgała się po metalowej powierzchni. Nic z tego. Czy powinnam się wycofać?

Odwróciłam się i stanęłam twarzą w twarz z samym panem Z.

Przeprosił na chwilę klientów i podszedł do mnie.

Właśnie tę chwilę wybrał sobie jeden z esesmanów, zwykły pacholek Hitlera w brązowej koszuli i z kaburą pistoletu umocowaną do przecinającego pierś pasa, by zajrzeć do apteki. Złożył dłonie w tubkę, przyłożył je do szyby i spojrzał prosto na mnie. Na mnie! Nawet niektórzy z gości to zauważyli i jakby wyprostowali się przy stolikach, obserwując bacznie sytuację. Przypomniałam sobie w myślach słowa przysięgi: „Ślubuję na Twoje ręce pełnić służbę w Szarych Szeregach; tajemnic organizacyjnych dochować, do rozkazów służbowych się stosować, nie cofnąć się przed ofiarą życia”.

„Ofiara życia” stała się nagle dojmująco realna.

Pan Z. podszedł bliżej i poprowadził mnie do lady. Ledwie dałam radę tam dojść, tak bardzo trzęsły mi się nogi.

– Potrzebujesz aspiryny? – zapytał.

– Tak. Okropnie boli mnie głowa.

Gdy esesman zniknął z pola widzenia, pan Z. powiódł mnie znów do drzwi. Pokręcił gałką i przepuścił przez próg najbardziej naturalnym z możliwych ruchów.

Zeszłam na dół i zastukałam do drewnianych drzwi. Nade mną wisiała goła żarówka. Przebiegł mnie dreszcz. Może powinnam powiedzieć Piotrkowi, że to będzie moja ostatnia misja?

– Kto tam? – doleciał mnie zza drzwi kobiecy głos.

– Iwona – odpowiedziałam.

Drzwi się otworzyły.

– Przysłali mi dziecko? – zdziwiła się stojąca w cieniu kobieta.

Weszłam, a ona zamknęła za mną drzwi.

Dziecko? Miałam przecież osiemnaście lat, a często mówiono mi, że wyglądam na więcej.

– Przyszłam po aspirynę. Mam tylko pięć minut.

Kobieta przyglądała mi się przez dłuższą chwilę wzrokiem, jakim zazwyczaj obdarza się ostatni kawałek ryby na targu, a potem przeszła do sąsiedniego pomieszczenia. Zeszłam w głąb piwnicy. Była dwukrotnie większa od naszego mieszkania i ciemna, gdyż okna przesłonięto szczelnie papierem. Unosił się w niej mocny zapach pleśni i brudnych dywanów, ale jednocześnie była dobrze umeblowana – stała w niej kanapa, kuchenny stół i krzesła, z sufitu zwisała niebiesko-czerwona lampa, a głębiej do ściany przytwierdzony był zlew. Z kranu kapały długie, srebrne krople, a z góry dobiegały odgłosy szurania krzesel i kroków. Dokąd poszła kobieta?

Wróciła niebawem, niosąc solidną paczkę. Wepchnęłam ją do

plecaka i zerknęłam na zegarek. Cała operacja nie zajęła nam więcej niż minutę, mimo że Panna Ślamazarna wcale się nie śpieszyła. Wtedy zauważyłam, że na kanapie siedzi jakaś dziewczyna. Kryła się w cieniu, a głowę trzymała pochyloną.

– Kto to? – zapytałam.

– Nie twoja sprawa. Powinnaś już iść.

Podeszłam bliżej.

– Coś jej zrobiłaś?

– Oczywiście, że nie. Anna zamieszka w katolickiej rodzinie. Jej rodzice uważają, że będzie tam bezpieczniejsza.

– Ubrana w ten sposób? – Dziewczyna miała na sobie ciemny płaszcz, a pod nim robiony na drutach sweter, czarne półbuty i pończochy, a włosy kryła pod zawiniętą na kształt turbanu chustą w czarno-czerwoną kratę. Wiedziałam co nieco na temat tego, jak ubierają się katolickie dziewczęta, bo przecież sama taką byłam, a dzięki staraniom mamy na niedzielną mszę przychodziłam pierwsza. W takim stroju ta dziewczyna nie miała większych szans.

– Żadna katoliczka by się tak nie ubrała – oznajmiłam.

Odwrociłam się do wyjścia.

– Czy możesz zostać jeszcze trochę i powiedzieć jej, jak ma się ubrać? – zapytała kobieta.

– No, nie wiem... – zaczęłam. Wydawało mi się czy teraz, gdy czegoś potrzebowała, nagle zrobiła się miła? Miałam przecież swoje sprawy. Na przykład przenieść tajemniczą przesyłkę przez miasto.

– To dla niej bardzo ważne – powiedziała kobieta. – Ona nie ma nikogo.

– Chybabym mogła – zgodziłam się z wahaniem.

Podeszłam do kanapy i przysiadłam przy dziewczynie.

– Jestem Kasia. – Uścisnęłam jej dłoń, jeszcze zimniejszą niż moja. – Anna to piękne imię. Wiedziałaś, że znaczy „wybrana przez Boga”?

– Naprawdę nazywam się Hanna – odpowiedziała, nawet na mnie nie patrząc.

– Jeśli chcesz zamieszkać w katolickiej rodzinie, musisz przede wszystkim zrezygnować z tej chusty.

Hanna zawahała się i spojrzała na mnie gniewnie. Wszystko, co mogłam w tej chwili zrobić, to nie wybiec po schodach na górę i nie zostawić jej tu.

Bardzo powoli zdjęła chustę, a ciemne włosy rozsypały się jej na ramionach.

– Doskonale. Powinnaś unikać noszenia ciemnych pończoch i butów.
Zamień się ze mną.

Dziewczyna ani drgnęła – Nie mogę tego zrobić – oznajmiła.

– Hanno... – Zostały wam trzy minuty – powiedziała kobieta spod drzwi.

– Szybciej – ponagliłam.

– Zmieniłam zdanie – stwierdziła Hanna.

Wstałam i strzepnęłam spódnice.

– W porządku. W takim razie wychodzę.

– Mój narzeczony mówi, że jeśli to zrobię, będę dla niego martwa.

Usiadłam. Chłopcy potrafili sprawiać tyle problemów!

– Nie możesz opierać wszystkiego na relacji z chłopcem.

– On już mnie nienawidzi. Mówi, że porzucam rodziców.

– Twoi rodzice tego chcą, a twój chłopiec wkrótce zrozumie, że tak trzeba.

Kobieta podeszła do nas.

– Musicie kończyć.

– Na razie zabierają tylko mężczyzn – powiedziała Hanna. – Może jednak lepiej będzie, jeśli zostanę w domu... – Lepiej będzie, jeśli zamieszkaż przy jakiejś rodzinie, niż jeśli dasz się wysłać gdzieś do pracy. Zrób, co kazali rodzice, to może uda ci się zdobyć dla nich jakieś jedzenie... – To niemożliwe.

– Bzdura. Ludzie cały czas robią takie rzeczy. A teraz musisz się rozpogodzić. Żadnych smutnych spojrzeń. Esesmani tego właśnie oczekują.

Otarła łzy i wyprostowała się. To już coś! Była śliczną dziewczyną z nosem usianym delikatnymi piegami.

– Szybko, weź moje buty.

– Dwie minuty – odliczała kobieta pod drzwiami.

– Och, nie śmiałybym – spłoszyła się Hanna.

– Musisz. Te buty zdradzą cię natychmiast. Zamień się ze mną.

A jeśli mnie zatrzymają? Miałam legalne papiery, a tata na pewno pomógłby mi, niezależnie od okoliczności. Hanna ściągnęła ciemne pończochy i wzięła ode mnie białe skarpetki do kostek. Włożyłam jej buty – były trochę ciaśniejsze od moich.

– No i proszę. A teraz obróć się. – Tak szybko, jak tylko potrafiłam, zaplotłam jej włosy w gruby warkocz. – Niezameżne dziewczyny noszą włosy splecione w jeden warkocz. Znasz Ojczy nasz?

Potwierdziła skinieniem.

– Dobrze. Naucz się też na pamięć hymnu. Ostatnio sprawdzają raczej to. I pamiętaj, jeśli ktoś zaproponuje ci wódkę, wypij jednym haustem albo w ogóle odmów. Żadnego powolnego popijania.

– Już czas – oznajmiła kobieta.

Oceniłam jeszcze swoje starania.

Na stole leżała Biblia w białych okładkach.

– Śliczna – powiedziałam, wręczając jej książkę. – Pamiętaj tylko, żeby otworzyć ją mocno w kilku miejscach. Musi wyglądać na używaną. A w kościele żegnaj się tak: przyklęknij na prawe kolano i zrób znak krzyża, o tak. – Pokazałam, o co mi chodzi. – Nie, prawą ręką. O właśnie. I rób to, co inni. Nie gryź hostii. Pozwól jej rozpuścić się na języku.

Chwyciła mnie za ramię.

– Czy będę musiała jeść wieprzowinę?

– Powiedz po prostu, że kiedyś się struliś i od tego czasu nie możesz na nią patrzeć... – Dziękuję – powiedziała Hanna. – Nie mam ci się czym odwdzińczyć.

– Iwona, proszę – zaczęła nalegać kobieta.

– Nic się nie przejmuj. I przede wszystkim nie okazuj strachu.

Mówisz po polsku bez akcentu. I ostatnia rzecz. – Zdjęłam z szyi łańcuszek ze srebrnym krzyżykiem i zapiełam go Hannie na szyi.

Dziewczyna zerknęła na swój dekolt.

– Może cię to razić, ale każda katolicka dziewczyna taki nosi.

Piotrek na pewno zrozumie.

Podeszłam do drzwi i zatrzymałam się po raz ostatni. Hanna z Biblią w dłoni nie różniła się niczym od przeciętnej dziewczyny idącej na mszę.

– Zeszło ci dłużej niż pięć minut – powiedziała kobieta. – Może powinnaś poczekać do zmroku?

– Dam sobie radę – odpowiedziałam. Piotrek miał na mnie czekać.

Weszłam z powrotem po schodach, przeszłam przez aptekę prosto na ulicę. Ucieszyłam się, że znów czuję świeże powietrze. Miałam poczucie dobrze wykonanej pracy. Ruszając w stronę kina, pomyślałam, że na jakiś czas zrezygnuję z przyjmowania nowych zadań. Zerknęłam na zegarek i stwierdziłam, że będę nieco wcześniej. Szef będzie zadowolony. Teraz pragnęłam tylko dotrzeć bezpiecznie do kina. Piotrek będzie tam na mnie czekał, gdybym potrzebowała pomocy.

Miałam dobre tempo, ale zanim jeszcze wyszłam ze Starego Miasta, poczułam, że ktoś mnie śledzi.

Przykucnęłam, żeby zawiązać sznurówkę w bucie Hanny, a papier zaszeleścił gdzieś w plecaku, gdy obejrzałam się za siebie. Zobaczyłam

tego esesmana, który przyglądał mi się przez szybę apteki. Teraz przepychał się przez grupkę młodzieży. Czy widział, jak schodziłam do piwnicy? Odegnęłam ponure myśli i szybko ruszyłam przed siebie.

Do kina dotarłam pięć minut przed rozpoczęciem mojej zmiany. Nad wejściem można było odczytać tytuł seansu – WIECZNY ŻYD. Niemcy, gdy tylko przejęli zarząd nad kinem, skonfiskowali wszystkie szpule z filmami i teraz wyświetlano wyłącznie to, co przysłano z kwatery głównej „Pod Zegarem”.

Polacy nie mieli już wstępu do kina, ale sam tytuł wystarczył, by wszyscy zorientowali się, że to kolejny propagandowy obraz. Przed kasą już ustawiała się kolejka. Niemcy czekali z wyrazami twarzy właściwymi dla miłośników sztuki filmowej. Ostatnio Niemcy zmuszali nas do słuchania ich muzyki patriotycznej. Z zawieszonych przed kinem głośników leciał w kółko Horst-Wessel-Lied, nazistowski hymn stylizowany na marsz żałobny grany na trąbkach, których dźwięki niesły się echem po brukowanym placu przez cały wieczór, nawet w czasie projekcji!

„Chorażew wzniesie!”, śpiewał niemiecki chór. „Szeregi mocno zwarte! SA to marsz: spokojny, równy krok”^[4].

Wślizgnęłam się do kasy przez uchylone drzwi i starałam się wyrównać oddech. Pomieszczenie nie było duże, mniej więcej rozmiarów niewielkiej łazienki. W środku naprzeciwko przesłoniętego papierem okienka biletowego stał wysoki stołek. Czy ktoś szedł za mną? Włączyłam światło i dotknęłam gładkiej, chłodnej powierzchni kasy, żeby się uspokoić. Musiałam zebrać myśli, poukładać bilon i na razie nie otwierać kasy.

Gdzie podziewała się mama? Miała przyjść z obiecaną kanapką z serem. Ponieważ w przeszłości pracowała jako pielęgniarka, teraz wcielono ją przymusowo do pracy w szpitalu na Starym Mieście.

Dlaczego się spóźniła akurat teraz, gdy byłam wściekle głodna? Zapach niemieckich batoników doprowadzał mnie do szaleństwa.

Odsunęłam nieco zasłonę w okienku i wyjrzałam na zewnątrz. Nagle poczułam się, jakby przeszył mnie prąd. Czy to możliwe? Esesman, który widział mnie w aptece, stał teraz w kolejce i rozmawiał z dwiema Hausfrauen.

Bardzo się ucieszyłam, gdy zobaczyłam Piotrka, który niepostrzeżenie wpadł do kasy i zajął swoje zwykłe miejsce u moich stóp, tuż pod okienkiem, plecami do ściany. Policzki miał zaróżowione, przez co jego oczy wydawały się bardziej błękitne niż zwykle. Tuż za nim

wsunęła się jego młodsza siostra Luiza.

Usiadła tuż obok niego i oparła się plecami o ścianę. Luiza i Piotrek nie byli do siebie podobni – on miał jasne oczy, ona ciemne; on był poważny, ona ciągle się śmiała; i mimo że miała już piętnaście lat, była o połowę mniejsza od niego.

– Jak poszła wyprawa do apteki? – zapytał.

Usiadłam prosto na wysokim stołku i poprawiłam spódnicę tak, by moje nogi prezentowały się jak najlepiej.

– Nie najgorzej. Jest tylko jedna sprawa... Rzucił mi ostrzegawcze spojrzenie, żebym nie wchodziła w szczegóły przy Luizie.

– Zastanawiam się, w czym jestem naprawdę dobra – rozmyślała Luiza. – Jak sądzisz, Kasiu?

Dlaczego Luiza zawsze w takich momentach wymyślała tak głupiutkie tematy? Odsunęłam zasłonę i zerknęłam na kolejkę – esesman ciągle tam był i tym razem rozmawiał żywo z dwoma mężczyznami. Czy o mnie?

– Nie wiem, Luizo – odpowiedziałam. – Dobrze piecesz... – To potrafi każdy. Szukam czegoś wyjątkowego.

Znów zerknęłam na zewnątrz. Coś było mocno nie tak. Zganiłam się za paranoiczne myśli i sprawdziłam w pamięci, czy wszystko mam przygotowane, przeliczając jednocześnie pieniądze: Ceny słodczy wystawione? Tak.

Pieniądze posortowane? Tak.

Teraz, kiedy publiczność składała się przede wszystkim z Niemców, musiałam szczególnie się pilnować, bo nawet najdrobniejsza pomyłka wywoływała falę skarg.

Chwilę później do kasy weszła Zuzanna i zamknęła za sobą drzwi.

– Kasiu, coś taka blada?

– Widziałaś tego esesmana na zewnątrz?

Siostra rzuciła swoją torbę w kąt.

– A to mi powitanie. I pomyśleć, że ja tłukę się cały dzień po wsiach, lecząc chorych, żeby załatwić jajka na śniadanie dla ciebie, kochana siostrzyczko.

Odsunęłam zasłonę i oczywiście znów go zobaczyłam. Teraz rozmawiał z jakąś młodą kobietą stojącą bliżej kasy.

– Chyba za mną szedł aż od apteki. Idź sobie. Już. – Potem odwróciłam się do Piotrka. – Ty i Luiza też.

Jak was tu znajdzie, zabiorą nas wszystkich.

Zuzanna zaśmiała się.

– Nie słyszałam, żeby ostatnio zakazali zakupów u pana Z. Czego nie można powiedzieć o wszystkim innym... Znów sprawdziłam kolejkę. Kobieta pokiwała głową, po czym wskazała palcem wejście do kasy.

Poczułam, jak ogarnia mnie chłód.

– Pyta o mnie – stwierdziłam. Miałam wrażenie, że wciąga mnie olbrzymi lej. – Mówią mu, gdzie mnie znaleźć.

Serce zamarło mi, gdy chwilę później zobaczyłam, co dzieje się na końcu kolejki. To mama przepychała się w kierunku kasy z koszykiem w ręku.

Zuzanna wyjęła mi zasłonkę z dłoni.

– Wyglądasz, jakbyś miała Bóg wie co na sumieniu. Z takim wyrazem twarzy rzeczywiście będziesz miała kłopoty.

Ledwie łapałam oddech.

Mamo, nie przychodź tu. Zawróć, zanim będzie za późno.

Rozdział 9
Herta
1940

Fritz spóźnił się na stację w Fürstenbergu, skąd miał mnie odebrać i zawieźć do Ravensbrück. Nie ma to jak dobry początek w nowej pracy. Czy Fritz mnie pozna? Wątpliwe. W czasie studiów zawsze prowadził się z jakąś ładną studentką pielęgniarstwa.

Niewielka stacyjka zbudowana została w stylu bawarskim, a ja miałam aż nadto czasu, by ją podziwiać, gdy przez dobre pięć minut czekałam na peronie. Zastanawiałam się, czy od razu dostanę ważne zadania?

Może zdobędę nowych przyjaciół? Jesień była wyjątkowo ciepła, więc wełniana sukienka tylko drażniła moją skórę. Nie mogłam się doczekać, kiedy wreszcie będzie mi dane przebrać się w coś lżejszego i chłodny, gładki fartuch.

Fritz przyjechał w końcu w zielonym samochodzie terenowym Kübelwagen 82 ze złożonym dachem.

Czterooosobowy pojazd będący w wyposażeniu obozu przypominał kształtem wannę. Fritz zatrzymał się i czekał w aucie z ramieniem przerzuconym przez oparcie siedzenia pasażera.

– Spóźniłeś się – powiedziałam. – Piętnaście po dziesiątej mam się spotkać z komendantem.

Fritz wysiadł, żeby przynieść z peronu mój bagaż.

– Nie przywitasz się ze mną, Herto? Nawet jednego uścisku dłoni? Przecież nie widzieliśmy się przez cały rok.

A jednak pamiętał.

Zerknęłam na niego, gdy prowadził. Nadal miał w sobie ten urok, który działał na wszystkie dziewczyny na uniwersytecie. Wysoki, ze starannie zaczesanymi ciemnymi włosami i błękitnymi, pruskimi oczyma. Cechy te subtelnie podkreślały jego arystokratyczne korzenie. Wyglądał jednak na zmęczonego, co uwidaczniało się szczególnie wokół oczu. A przecież praca w żeńskim obozie reedukacyjnym nie mogła być aż tak stresująca.

Czułam wiatr w ściętych krótko włosach i było to przyjemne uczucie. Jechaliśmy wzdłuż Fritz-Reuter-Strasse ciągnącej się przez

niewielki Fürstenberg. Po obu stronach ulicy stały kryte darniowymi dachami chatki. Wszystko to miało bardzo staroniemiecki charakter, niczym scenka ze szwarcwaldzkiej skrzynki.

– Himmler zazwyczaj zatrzymuje się w Fürstenbergu, gdy przyjeżdża w te okolice. Czyli często. Wiesz, że to on sprzedał Rzeszy ziemię, na której zbudowano Ravensbrück? Zbił na tym majątek. Widzisz obóz?

Tam, na brzegu jeziora Schwedtsee? Nowiutki. Herto, ty płaczesz?

– To przez wiatr – powiedziałam, choć musiałam przyznać, że był spostrzegawczy. Trudno było mi pohamować emocje podczas jazdy przez Fürstenberg, bo w dzieciństwie byłam z rodzicami na wyprawie na ryby w podobnej wiosce. To była esencja Niemiec. Piękna i niczym niezeepsuta. O to właśnie walczyliśmy.

– Która godzina, Fritz? – zapytałam, osuszając łzy. Jeszcze tego brakowało, żeby komendant obozu wziął mnie za beksę. – Nie mogę się spóźnić.

Fritz przyśpieszył, a potem podniósł głos, żeby przekrzyczeć pracę silnika.

– Koegel to równy gość. Przed wojną prowadził sklep z pamiątkami w Monachium.

Kübelwagen wznosił za sobą chmurę kurzu, gdy mknęliśmy drogą wzdłuż jeziora w stronę obozu.

Mijaliśmy właśnie zakręt, spojrzałam więc w tył, żeby raz jeszcze nacieszyć wzrok odległą panoramą Fürstenbergu, skąd właśnie przyjechaliśmy, z jego wysoką wieżą kościelną.

– Lekarzy masz tu do wyboru, do koloru – powiedział Fritz. – Na przykład doktor Rosenthal uwielbia blondynki.

– Nie jestem blondynką – powiedziałam, choć jego słowa sprawiły mi przyjemność. Przejażdżka z Fritzem wydatnie poprawiła mi humor. Cieszyłam się na spotkanie nowej przygody.

– Jesteś wystarczająco blondynką. Zadbana niemiecka dziewczyna to tutaj rzadkość. Słowianek mają tu aż nadto.

– Nic mnie tak nie przyciąga jak syfilis u mężczyzny.

– Robimy, co możemy, żeby zaludnić Niemcy – odparł Fritz z uśmiechem.

– Tak podrywasz dziewczyny?

Rzucił mi spojrzenie i zwlekał z odpowiedzią o chwilę za długo, by jego swobodny ton zabrzmiał naturalnie. Miałam ogromne szczęście, że byłam jedną z niewielu kobiet lekarzy w Trzeciej Rzeszy. Ktoś taki jak

Fritz Fischer nigdy nie zniżyłby się do flirtowania z Hausfrau z Düsseldorfu. Może powinnam znów zapuścić włosy? Niewątpliwie zaimponowałabym Fritzowi, gdybym została jednym z najbardziej uznanych tu lekarzy.

Wyprzedziliśmy grupkę wymizerowanych kobiet ubranych w pasiaki, w zaawansowanym stadium atrofii mięśni, całą swoją masą ciągnących metalowe łańcuchy doczepione do wózka z cementem.

Wyglądały jak chore woły. Strażniczka w szarym mundurze powstrzymywała rzucającego się na smyczy owczarka alzackiego. Fritz pomachał jej, a ona tylko skrzywiła się, gdy ją mijaliśmy.

– Kochają mnie tu – stwierdził.

– Właśnie widzę – skomentowałam.

Zatrzymaliśmy się w chmurze pyłu przed ceglany budynkiem administracji stojącym na końcu drogi.

Była to pierwsza budowla w obozie, którą zobaczyłam po przyjeździe. Wsiadłam z samochodu, strzepnęłam kurz z sukienki i rozejrzałam się wokół. Przede wszystkim rzuciła mi się w oczy solidność.

Trawnik rósł bujnie i sycił oczy zielenią, a wzdłuż ściany budynku czerwieniły się róże. Po lewej z wysokiego wzgórza spoglądały na obóz cztery domy, w których mieszkały władze obozu. Wszystkie utrzymane były w stylu Heimatschutzstil, ludowym, z kolumnami wykonanymi z łupanego kamienia i reglowymi balkonami. Było to miłe dla oka połączenie stylów niemieckiego i nordyckiego. Miejsce to miało niewątpliwie klasę, można było powiedzieć, że wręcz najwyższą.

– Na wzgórzu stoi dom komendanta. Ten, z którego widać cały obóz – wyjaśnił Fritz.

Gdyby nie wysokie, kamienne mury zwieńczone drutem kolczastym, ciągnące się za budynkiem administracji, obóz można byłoby pomylić z ośrodkiem wypoczynkowym. Postanowiłam polubić komendanta Koegla za wszelką cenę. Osoby na wyższych stanowiskach zawsze potrafiły rozpoznać, że podwładny ich nie lubi, a to mogło zakończyć nawet najlepiej rozwijającą się karierę.

Za bramą obozu znajdowała się odgradzona kratą woliera, w której żyły małpy i papugi oraz inne egzotyczne ptaki. Stała tuż przy drodze i robiła zgoła absurdalne wrażenie. To fakt, że zwierzęta zmniejszają stres, ale jakie było przeznaczenie takiej hodowli w tym miejscu, nie mogłam odgadnąć.

– Czekasz na lokaja, Herto? – zawołał z progu Fritz.

Sekretarka poprowadziła mnie szybko po wyłożonej parkietem

posadzce w stronę schodów i potem na górę, do gabinetu komendanta. Koegel siedział przy biurku, pod prostokątnym lustrem, w którym odbijała się roślina doniczkowa rozmiarów człowieka stojąca w kącie pokoju. Wspaniałość tego gabinetu przytłaczała. Podłoga wyłożona była wykładziną, w oknach wisiały wyglądające na kosztowne story, a z sufitu zwieszał się wspaniały żyrandol. Koegel miał nawet do dyspozycji własną porcelanową umywalkę. W jednej chwili pożałowałam, że nie wypastowałam butów.

Koegel wstał i wymieniliśmy niemieckie pozdrowienie.

– Spóźniła się pani, doktor Oberheuser – stwierdził.

Szwarcwaldzki zegar wiszący na ścianie wybił właśnie pół godziny. Figurki w bawarskich strojach ludowych wysunęły się radośnie ze sklepionych łukowo drzwi do dźwięków Der fröhliche Wanderer, jakby chciały uczcić moje spóźnienie.

– Doktor Fischer... – zaczęłam.

– Czy zawsze wini pani innych za swoje błędy?

– Przepraszam za spóźnienie, Herr Kommandant.

Skrzyżował ramiona na piersi.

– Jak minęła pani podróż?

Był otyłym mężczyzną. Zazwyczaj nie lubię takich ludzi, ale tym razem zmusiłam się do uśmiechu.

Gabinet Koegla znajdował się na drugim piętrze, a z okien rozciągał się doskonały widok na obóz. Na szerokim dziedzińcu stały na baczność więźniarki, po pięć w szeregu. Obóz dzieliła na pół droga wysypana żużlem, który połyskiwał w słońcu. Miło było patrzeć na posadzone w równych odstępach lipy, święte „drzewa kochanków” w niemieckim folklorze.

– Komfortowo, panie komendancie – odpowiedziałam, starając się za wszelką cenę zgubić nadreński akcent. – Bardzo dziękuję za bilet pierwszej klasy.

– Wygoda jest dla pani ważna? – zapytał Koegel.

Komendant sprawiał wrażenie srogiego, miał krótkie, kłocowate nogi i kwaśną minę. Być może nieprzyjemne wrażenie wynikało częściowo z faktu, że kołnierzyk przepisowej brązowej koszuli wrzynał mu się w szyję, a krawat miał zaciśnięty tak mocno, że wokół kołnierzyka zbierał mu się prawdziwy szal otłuszczonej tkanki. Na ciągle podrażnianej skórze pojawiły się liczne włókniaki, które zwisały miękko nad krawędzią kołnierzyka. Piers komendanta zdobiły liczne medale. Przynajmniej był patriotą.

– Raczej nie, panie komendancie. Ja... – Obawiam się, że zaszła pomyłka – powiedział, urywając poprzedni temat krótkim ruchem ręki. – Nie możemy tu pani zakwaterować.

– Ale otrzymałam list z Berlina... – Byłaby tu pani jedyną kobietą lekarzem. To rodzi pewne problemy.

– Nie sądziłam, że... – To obóz pracy, pani doktor. Żadnych wymyślnych salonów piękności, żadnych popołudni przy kawce.

Jak będą czuli się mężczyźni, gdy będzie jadła pani w kantynie oficerskiej? Jedna kobieta pośród tylu mężczyzn zawsze oznacza kłopoty.

Z każdym jego słowem wizja pensji oddalała się ode mnie nieprzyjemnie. Czy Fritz zawiezie mnie na następny pociąg powrotny do Berlina? Mutti znów będzie musiała zacząć pracować na cały etat.

– Przywykłam do prostego życia, panie komendancie. – Rozluźniłam dłonie zaciśnięte w pięści i zobaczyłam, że przez cały ten czas wbijałam sobie paznokcie w skórę. Na moich dłoniach został szereg małych, różowych uśmiezków, które wyraźnie ze mnie drwiły. Zasłużyłam na to. Kiedy wreszcie nauczę się pokory? – Zapewniam, że każde warunki mieszkaniowe uznam za dogodne. Sam Führer powtarza, że najlepsze jest proste życie.

Koegel zerknął na moje krótko przystrzyżone włosy. Czyżby zaczął mięknać?

– Przysłali mi dermatologa? Nie potrzebujemy tu nikogo takiego.

– I specjalistę od chorób zakaźnych, panie komendancie.

Widać było, że trawi tę informację.

– Rozumiem – powiedział. Odwrócił się do okna i zmierzył obóz spojrzeniem, przez cały czas trzymając dłoń na brzuchu. – Wykonujemy tu bardzo delikatne zadania, pani doktor.

Przez jego słowa doleciał mnie świst uderzeń bata. Zerknęłam na dziedziniec poniżej. Jedna ze strażniczek biła pejcem grupę więźniarek.

– Wymagamy bezwzględnej tajności, pani doktor. Podpisze pani odpowiednie zobowiązanie? Nie będzie pani mogła opowiedzieć o tym nikomu. Ani matce, ani przyjaciółkom.

Tym akurat nie musiał się martwić. Nie miałam przyjaciółek.

– Jakiegokolwiek złamanie przepisów będzie skutkowało aresztowaniem pani całej rodziny i przypuszczalnie wyrokiem śmierci dla pani.

– Nie jestem osobą wylewną, Herr Kommandant.

– Praca tutaj nie jest dla osób wrażliwych. Nasze zaplecze medyczne jest w najlepszym razie, cóż, w fatalnym stanie.

Koegel zignorował rozgrywającą się pod oknami scenę. Gdy jedna z więźniarek upadła, kryjąc głowę rękoma, strażniczka zwiększyła jeszcze swoje wysiłki. Druga przytrzymała szarpiącego się na smyczy owczarka, który przez cały czas szczyrzył kły.

– Berlin byłby zadowolony – oznajmił Koegel.

– Na czym miałyby polegać moja rola w reedukacji, Herr Kommandant?

Strażniczka kopnęła więźniarkę w brzuch nogą obutą w solidnie podkuty but. Coraz trudniej przychodziło mi ignorować krzyki kobiety. Była to bardzo gwałtowna forma reedukacji.

– Dołączy pani do elitarnego zespołu. Będzie pani pracować z jednymi z najlepszych lekarzy w Niemczech. Będziecie dbać o zapewnienie opieki lekarskiej personelowi obozu i jego rodzinom oraz kobietom, które zostały przysłane tu, by pracować dla Führera. Doktor Gebhardt prowadzi też kilka własnych projektów. – Strażniczka na placu zwinęła bat, a dwie więźniarki odciągnęły zakrwawioną kobietę, podczas gdy pozostała część grupy nadal stała na baczność. – Gdy zakończy pani trzymiesięczny okres szkolenia, nie będzie już mogła pani złożyć rezygnacji.

– Rozumiem, panie komendancie.

Koegel podszedł ponownie do biurka.

– Zostanie pani zakwaterowana z Dorotheą Binz, przełożoną bloku karnego. Nasz salon fryzjerski nie jest zbyt wyszukany, ale tną dobrze. Znajdzie go pani na dole. Prowadzą go badaczki Pisma Świętego.

Wie pani, te od świadków Jehowy. Poświęciły się zmienieniu mojego życia w piekło, ale nożyczki można powierzyć im bez obaw.

– Będę o tym pamiętać, panie komendancie – odparłam i pożegnałam się, jak na dobrą Niemkę przystało.

Wyszłam z gabinetu Koegla szczęśliwa, że ustąpił, ale nie byłam pewna, czy chcę zostać w Ravensbrück. Odczułam bliżej nieokreślony niepokój. A może powinnam wrócić pierwszym pociągiem do domu? Przecież mogłam pracować na trzech etatach, jeśli byłoby to konieczne.

Wygląd mojego pokoju w niedawno postawionym domu dla wyższych rangą strażniczek wprowadził mnie w osłupienie. Był większy niż całe nasze mieszkanie, miał dostęp do wspólnej łazienki z natryskiem i wanną, stało w nim wygodne łóżko nakryte białą puchową kołdrą i toaletka. Z zasady się nie malowałam, ale pomyślałam, że toaletka będzie doskonałym biurkiem. Najlepsze jednak było to, że dom miał centralne ogrzewanie. Dostałam do dyspozycji czysty, piękny pokój z balkonem.

Gdyby Mutti mogła zobaczyć to miejsce, z pewnością zabrakłoby jej słów.

Na obiad zeszłam do obozu, gdzie po przejściu przez bramę dla personelu szybko znalazłam kantinę oficerską. Było w niej gwarno, niewielki budynek był wypełniony po brzegi lekarzami i strażnikami.

Wśród nich znajdowało się wielu z pięćdziesięciu skierowanych do Ravensbrück lekarzy, samych mężczyzn. Wszyscy oni raczyli się właśnie wieprzowiną, ziemniakami z masłem i kawałkami wołowiny.

Miałam nadzieję, że zgodnie z tym, co obiecywał Koegel, poznam tu naprawdę świetnych lekarzy. Ale nie śpieszyło mi się. Proporcja lekarzy: czterdziestu dziewięciu do mnie jednej, wydawała się aż nadto obiecująca.

Gdy zbliżałam się do stolika, przy którym urzędował Fritz, kolejne grupki mężczyzn milkły, a ja czułam na sobie wzrok zgromadzonych. Przyzwyczyłam się do przebywania w męskim towarzystwie jeszcze na studiach, ale choć jedna koleżanka byłaby naprawdę mile widziana. Gdy podeszłam do stołu, zastałam Fritza i trzech jego towarzyszy rozpartych na krzesłach i raczących się papierosami niemal jak po satysfakcjonującym stosunku seksualnym.

– Ach, Herto – ucieszył się Fritz. – Masz ochotę na obiad? – Przesunął w moją stronę talerz pełen tłustych schabowych, a ja poczułam nagły przyпіływ mdłości.

– Jestem wegetarianką – oznajmiłam.

Siedzący obok mężczyzna zdusił śmiech.

Fritz wstał.

– A gdzież podziały się moje maniery? Pozwól, że ci przedstawię. U szczytu stołu siedzi pan doktor Martin Hellinger, najlepszy z dentystów w szeregach SS.

Doktor Hellinger miał krzaczaste brwi, nosił okulary w drucianych oprawkach i był endomorfikiem, u którego poziom cukru spadł już tak nisko, że przypuszczalnie ledwie mnie widział. Teraz mozolnie wpisywał ołówkiem hasła w krzyżówce.

– Następnie mamy doktora Adolfa Winkelmana z Auschwitz, który odwiedza nasz obóz.

Winkelmann siedział nieruchomo na krześle, zupełnie jakby odlali go w tym miejscu. Był potężnym mężczyzną o skórze poznaczonej niczym drewno zjedzone przez korniki.

– A to słynny Rolf Rosenthal – oznajmił Fritz, wskazując na ciemnowłosego człowieczka o aparycji łasicy, który siedział rozwalony swobodnie na krześle obok niego. – Poprzednio służył w marynarce, a teraz zajmuje się u nas dokonywaniem cudów ginekologicznych.

Rosenthal pochylił się, by sięgnąć po papierosa, i spojrzał na mnie niczym chłop rozważający zakup krowy.

Trzasnęły drzwi z moskitierą. Spojrzeliśmy wszyscy w kierunku wejścia i wtedy ponownie zobaczyłam blondynkę, którą widziałam wcześniej z okna gabinetu Koegla. Była wyższa, niż wydała mi się pierwotnie. Wreszcie jakaś kobieta.

Podeszła powoli do stołu, a jej kroki pobrzmiwały ciężko na drewnianej podłodze. Za cholewkę jednego z wysokich butów zatknięty miała pejcz. Ściągnęła już z głowy czapkę, przez co doskonale widać było włosy ułożone w modny lok nad czołem. Mimo że była młoda – nie mogła mieć więcej niż dziewiętnaście lat – jej twarz pokrywała spora liczba plam i piegów. Być może pracowała kiedyś w polu?

Fritz oparł się ramieniem o tył krzesła.

– Ale czyż to nie piękna Fräulein Binz, duma ravenbrückiej szkoły wdzięku?

Nie wstał, by ją przywitać, a pozostali lekarze zaczęli wiercić się nerwowo na swoich miejscach, jakby nagle powiało mrozem.

– Witaj, Fritz – przywitała się Binz.

– Nie wiesz, że nie wolno ci wchodzić do kantyny oficerskiej bez pozwolenia? – zapytał Fritz. Zapalił papierosa złotą zapalniczką, a jego dłonie wydały się na tym tle tak białe, że niemal żarzyły się własnym światłem. Zupełnie jakby kąpał się w mleku. Te palce mogły z powodzeniem należeć do pianisty. Widać było, że nigdy nie dotknął nawet styliska szpadla.

– Koegel chce zrobić zebranie personelu medycznego i moich dziewcząt.

– Byle nie kolejny piknik – westchnął Rosenthal.

– Wspominał coś o tańcach... – powiedziała Binz.

Tańce? Uwielbiałam tańczyć, więc natychmiast nadstawiłam ucha. Rosenthal jęknął ciężko.

– Jeśli Koegel podzieli się skrzynką swojego francuskiego clareta – stwierdził Fritz. – I jeśli każesz przyprowadzić na tę potańcówkę jakieś atrakcyjne Polki. Te całe badaczki Pisma prawie w ogóle nie otwierają buzi.

– I żadnych Aufseherinnen powyżej stu kilo – zażądał Rosenthal.

– Przyjdziesz, Fritz? – zapytała Binz, zapalając papierosa.

Fritz wskazał w moją stronę.

– Binz, przywitałabyś się ze swoją nową współlokatorką. Pani doktor Oberheuser, proszę pozwolić zaprezentować sobie pannę Dorotheę Binz,

przełożoną bloku karnego. Panna Binz zajmuje się też przygotowywaniem Aufseherinnen dla całej Rzeszy.

– Kobieta lekarz? – zdumiała się Binz. Zaciągnęła się dymem i obrzuciła mnie spojrzeniem. – To coś nowego. Miło mi cię poznać, pani doktor. Powodzenia z tymi tutaj.

Zwróciła się do mnie, używając nieoficjalnego zwrotu du, ty, zamiast ogólnie przyjętej formułki Sie, pani. Wydało mi się to lekko niestosowne, ale nikt inny nie zwrócił na to uwagi.

– Dziękuję, Fräulein Binz – odparłam, odprowadzając ją wzrokiem do drzwi kantyny.

– Proszę nigdy nie dziękować nadzorczyni, pani doktor – przestrzegł mnie Fritz. – Nie wolno tworzyć precedensów.

Binz pozwoliła drzwicom zatrzasnąć się za sobą i wyszła na plac. Odrzuciła papierosa, którego nie wypaliła nawet do połowy. Pstryknięty niedopałek poleciał na bruk placu. Ewidentnie Binz nie była przyjaciółką, jakiej szukałam.

Po obiedzie poszłam z Fritzem i doktorem Hellingerem do bloku przyjęć, gdzie odprawiano nowe Häftlinge. Po drodze zauważyłam, że każda z nich miała naszyty na ramieniu uniformu, tuż pod wyszytym numerem, kolorowy trójkąt.

– Fritz, co oznaczają te kolory? – zapytałam.

– Zielony trójkąt to przestępcy z wyrokiem, głównie z okolic Berlina. Paskudne typy, chociaż niektórzy są tu za pomniejsze wykroczenia. Nosi je większość blokowych. Fioletowe to badaczki Pisma, świadkowie Jehowy. W ich przypadku wystarczyłoby, żeby podpisały oświadczenie, że stawiają Hitlera ponad wszystkim, i byłyby wolne. Ale nie chcą. Wariatki. Czerwony trójkąt to więźniarki polityczne.

Przede wszystkim Polki. Czarne to aspołeczne. Prostytutki. Alkoholiczki. Pacyfistki. Litera wyszyta w trójkącie określa narodowość. Żydówki mają dwa trójkąty zszyte w gwiazdę. To pomysł Himmlera.

Idąc do bloku przyjęć, minęliśmy rząd nagich kobiet czekających przed budynkiem. Wyglądały na Słowianki w różnym wieku i różnej budowy ciała. Niektóre były w zaawansowanej ciąży. Gdy zobaczyły, że lekarzami są mężczyźni, niektóre zaczęły piszczeć i starały się zasłonić.

– Te kobiety potrzebują ubrań, Fritz – powiedziałam.

Gdy weszliśmy do środka, Fritz odprowadził mnie na bok, żebyśmy mogli spokojnie porozmawiać.

– Opowiem ci, jak przeprowadzamy selekcję – zaczął Fritz. – Najpierw Hellinger szuka wszystkich srebrnych i złotych plomb oraz

mostków. Zapisuje wszystko dokładnie. Potem wybieramy te, które najmniej nadają się do pracy. Jeśli nazwisko pojawia się na obu listach, więźniarka zostaje wybrana.

Wszystkie zbyt chore, by pracować, i z zębami pełnymi metalu trafiają na tę listę. A my mówimy im cokolwiek, byle nie prawdę.

– A prawda brzmi? – zapytałam.

– Że zapewniamy im ekspresowy przejazd do nieba. Gazem albo evipanem. Jak skończy się heksobarbital, to benzyną. A potem Hellinger pobierze to, co należy się Rzeszy. Dzisiaj działamy evipanem.

Objęłam się w pasie.

– Myślałam, że one mają pracować.

– Herto, stare kobiety nie będą pchać wózków z cementem.

– Tak stare są tylko nieliczne z nich, a przecież można je posadzić do szydełkowania. No i ciężarne muszą usiąść.

– To obowiązujące prawo. W obozie nie mogą rodzić się dzieci. A część z nich wymagałaby specjalnej opieki. Musimy uniknąć przeludnienia. Nie wiem, jak ty, ale mnie nie śpieszy się do epidemii tyfusu. No i pamiętaj, że część z nich to Żydówki.

Za fasadą obozu reedukacyjnego kryło się coś zgoła innego. Jak mogłam być tak naiwna? Poczulałam, jak powracają mdłości.

– Muszę iść do siebie i się rozpakować – powiedziałam.

– Na studiach nie miałaś problemów w kostnicy.

– Bo zwłoki nie oddychają, Fritz. Wolałabym nie mieć z tym nic wspólnego.

– Wolałabyś nie mieć? Z takim nastawieniem długo tu miejsca nie zagrzejesz.

– Po prostu nie czuję się z tym dobrze. To takie, hmm, osobiste.

Myśl o tym, że miałabym wstrzyknąć komuś truciznę, była zbyt odrażająca, bym dłużej się nad nią zastanawiała. Miałam im niby zrobić zastrzyk w ramię? Podawanie trucizny było barbarzyńskim zwyczajem, który prędzej czy później musiał odbić się na psychice osoby przeprowadzającej taką operację.

Dotknęłam dłoni Fritza.

– A cyjanek? Przecież działa szybko i po cichu. Zmieszany z sokiem pomarańczowym... – Sądziysz, że mnie się to podoba? – zapytał Fritz, przyciągając mnie bliżej. – Ale tu robi się to, co trzeba zrobić. Dla nich jedyne wyjście to Vernichtung durch Arbeit.

Zapracowanie na śmierć. Zaplanowane zagłodzenie.

– Takie mamy rozkazy. Bezpośrednio od Himmlera. Racje

żywieniowe pozostałych są wyliczone tak, by utrzymać je w zdolności do pracy przez trzy miesiące. Powolna eksterminacja.

– Nie mogę... Wzruszył ramionami.

– I tak umrą. Po prostu o tym nie myśl.

Fritz podszedł do rzędu nagich kobiet i klasnął w dłonie, a one zbiły się w grupkę niczym konie w stajni.

– Dzień dobry paniom. Proszę o wystąpienie te z was, które ukończyły już pięćdziesiąt lat, mają temperaturę powyżej czterdziestu stopni albo są w ciąży. Zostaniecie panie odprowadzone w miejsce, gdzie będziecie mogły odpocząć, gdy tylko podamy wam szczepionkę przeciwko tyfusowi. Mogę przyjąć tylko sześćdziesiąt pięć z was, więc proszę się zgłaszać.

Kobiety rozmawiały między sobą, niektóre tłumaczyły słowa Fritza na inne języki i wkrótce pojawiły się pierwsze ochotniczki.

– Proszę, to moja mama – powiedziała jedna z kobiet, prowadząc do przodu starszą kobietę. – Bardzo kaszle i nie może pracować.

– To zrozumiałe – zgodził się natychmiast Fritz.

Jedna z kobiet, smagłolica dziewczyna z ciemnymi brwiami i gęstymi rzęsami, spod których spoglądała na nas ufnym spojrzeniem młodej krówki, w wyraźnie zaawansowanej ciąży, wyszła z szeregu i uśmiechnęła się do Fritza z dłońmi złożonymi na powiększonym brzuchu. W kilka minut Fritz ubierał niezbędne sześćdziesiąt pięć kandydatek i poinstruował strażniczkę, by odprowadziła je na rewir. Poszły spokojnie.

– Od kiedy to istnieje szczepionka na tyfus? – zapytałam, ścisząc głos na wypadek, gdyby któreś z więźniarek знаły niemiecki.

– Nie istnieje. Średnia życia chorej Häftling to czternaście dni, więc my tylko przyspieszamy to, co nieuniknione. To zdecydowanie bardziej humanitarne rozwiązanie niż inne metody.

Fritz poprowadził mnie do nowego stanowiska pracy na rewirze, jak nazywano tu lecznicę dla osadzonych. Rewir mieścił się w niskim budynku nieróżniącym się wyglądem niczym od pozostałych.

Drzwi wejściowe prowadziły do sporych rozmiarów sali pełnej łóżek polowych i piętrowych, na których tłoczyły się pacjentki. Niektóre z nich leżały na podłodze, często dotknięte chorobami w zaawansowanych stadiach. Jedna z nich miała takie zatrzesienie wszy, że jej krótkie włosy były aż białe od gnid, a skóra tak pokąsana, że kobieta rozdrapywała całe jej płatki na głowie. Nie były to idealne warunki do pracy.

Powitała nas młoda więźniarka pracująca w charakterze pielęgniarki, Gerda Quernheim. Gerda, ładna dziewczyna o kasztanowych włosach,

ukończyła szkołę dla położnych w Düsseldorfie. Była doskonałą pielęgniarką, ale nawet ona nie mogła poradzić sobie z utrzymaniem rewiru w porządku.

Fritz poprowadził nas korytarzem obok wielkiej metalowej szafy, która wyglądała identycznie jak szafa w chłodni wuja Heinza.

– Co to? – zapytałam, dotykając chłodnych metalowych drzwi, na których skropliła się para wodna.

Odsunęłam od siebie wspomnienie twarzy Heinza.

– Chłodnia – odparł Fritz. – Należy do Gebhardta.

Potem zabrał mnie do znajdującego się na tyłach pomieszczenia, którego ściany były pomalowane na kojący zielony kolor. Stały tam tylko dwa stołki i wysoki stół laboratoryjny. Światło tańczyło na srebrnej strzykawce, jednej z trzech wyłożonych na stole, na pewno niesterylnej. Na wbitym w ścianę haku wisiał gumowy fartuch, który zafalował lekko, gdy weszliśmy do pomieszczenia, wpuszczając ze sobą podmuch świeżego powietrza. W tej części budynku okna pomalowano na biało, przez co wyglądały niczym przesłonięte zaćmą oczy. Miałam klaustrofobiczne odczucia, zupełnie jakby zasypał nas śnieg.

– Dlaczego te okna są zamalowane? – zapytałam.

– Gebhardt ma hopla na punkcie prywatności – odparł Fritz.

– Fritz, naprawdę, jestem padnięta po podróży.

– Jeśli musisz, weź pół dawki petydyny – powiedział, marszcząc brwi. – A może wolisz ostatni etap?

Obowiązki przy murze egzekucyjnym? Chcesz uczestniczyć w rozstrzelaniach?

– Rozstrzelaniach? – zapytałam. Przy każdej egzekucji musi być obecny lekarz. Potem trzeba podpisać odpowiednie formularze, wszystko zgodnie z przepisami. – To chyba wolę tutaj.

– Z pewnością jest znacznie czystiej. Pierwsza jest zawsze najtrudniejsza, zaufaj mi. To jak wskakiwanie do zimnej wody.

Dwie nadzorkzynie przyprowadziły pierwszą z grupy wybranych przez Fritza kobiet, zadziwiająco dziarską staruszkę, mającą na sobie jedynie zarzucony na ramiona koc i drewniane chodaki. Kobieta próbowała mówić do Fritza coś po polsku, ale szczękające zęby skutecznie jej to uniemożliwiały.

Fritz uśmiechnął się do niej.

– Tak, tak, proszę wejść. Właśnie przygotowujemy zastrzyki.

Zawiązał na sobie gumowy fartuch.

– Zabijaj je łagodnie – poinstruował mnie. – Tak jest łatwiej dla

wszystkich.

Nadzorczyńni poprowadziła starszą kobietę do stołka. Zerknęłam przez ramię i zobaczyłam, że Gerda przygotowuje już dwadzieścia centymetrów sześciennych evipanu. W strzykawce znalazło się tyle łośosiowego płynu, że mógłby położyć trupem wołu.

– Pomalowaliśmy tę salę na zielono, bo to uspokaja pacjentki – wyjaśnił Fritz.

Strażniczka zabrała kobiecie koc i przykryła jej twarz ręcznikiem, a następnie wyciągnęła jej rękę tak, jakby przygotowywała ją do zastrzyku dożylnego.

– Nie byłam najlepsza w zastrzykach – powiedziałam.

Jedna z nadzorczyń przycisnęła plecy starszej kobiety kolaniem, by zmusić ją do pochylecia się.

Fritz wcisnął mi w dłoń ciężką strzykawkę.

– Słuchaj, wyświadczasz im w ten sposób przysługę – stwierdził. – Myśl o nich jako o chorych psach, które trzeba uśpić. Zrób to, a oszczędzisz im cierpień.

Kobieta musiała zobaczyć igłę, bo zaczęła walczyć z nadzorczyńniami i machać tą ręką, w którą miałam zrobić zastrzyk. Brakowało tylko, żeby Fritz powiedział Koeglowi, że nie radzę sobie ze strzykawką.

Cofnęłam się, a na końcu igły zalśniła mleczna kropla.

– Może spróbuję jutro.

– Idziemy – oznajmił Fritz, obejmując mnie od tyłu. – I zrobimy to razem.

Ujął mnie za rękę, w której trzymałam strzykawkę, i położył moją drugą dłoń na ramieniu tej kobiety tuż ponad klatką piersiową. Strażniczki trzymały ją za ręce tak, jakby miała na sobie kaftan bezpieczeństwa, a Fritz poprowadził moją dłoń wzdłuż jej żeber, aż odnaleźliśmy wspólnie piątę.

– Zamknij oczy – nakazał. – Czujesz? Tuż pod lewą piersią.

Docisnęłam palce do ciepłej, pomarszczonej skóry.

– Tak – odpowiedziałam.

– Świetnie. Już prawie po wszystkim.

Fritz położył mój palec na tłoku i docisnął go swoim, potem poprowadził moją dłoń we właściwe miejsce i pomógł mi wbić igłę. Poczułam opór tuż przed tym, jak igła przebiła skórę.

– Zostań ze mną – wyszeptał mi Fritz prosto w ucho. Czulałam ruch jego miękkich warg. – Oddychaj.

Docisnął nasze palce na gładkim tłoku i powoli, stanowczym ruchem

przesuwał go w dół, pompując kobiecie wprost do serca dawkę evipanu. Kobieta wygięła się w tył, ale strażniczki przytrzymały ją na miejscu.

– Teraz powoli – oznajmił, nadal trzymając usta przy moim uchu. – Tylko czternaście sekund. Odliczaj wstecz.

– Czternaście, trzynaście, dwanaście... – Otworzyłam oczy i zobaczyłam, że ręcznik zsunął się z twarzy kobiety. Zobaczyłam jej dolną wargę wygiętą w nienaturalnym grymasie. – Jedenaście, dziesięć, dziewięć... – Kobieta szarpnęła się, a ja zaczęłam oddychać głęboko, żeby zwalczyć mdłości. – Osiem, siedem, sześć... Wygięła się, jakby dostała ataku serca, a potem opadła bezwładnie i już nie reagowała.

Fritz rozluźnił uchwyt.

– Szybko z nią poszło – stwierdził. – Jesteś cała mokra.

Jedna ze strażniczek przeciągnęła kobietę do pokoju znajdującego się obok. Gerda poszła po następną.

– Gerda to dziewczyna Rosenthala – powiedział Fritz, robiąc jednocześnie jakieś notatki w papierach.

– Zrobił jej skrobankę. Trzyma płód w słoiku w lodówce Gebhardta. Ona wybiera Häftlinge, które prowadzi potem do ciepłej kąpieli w łazience z kwiatami. Czesze je i opowiada miłe historyjki, zanim przyprowadzi je tutaj.

Podeszłam do drzwi, żeby zaczerpnąć powietrza.

– Jak ty to robisz, Fritz? To takie... – Nie jest to najbardziej chwalebne zajęcie na świecie, ale jeśli odejdziesz, na twoje miejsce jutro przyjdzie ktoś inny. Wyrabiamy comiesięczną normę. Rozkazy z Berlina. Nic się na to nie poradzi.

– Ależ bzdura. Przecież możemy odmówić.

Fritz napełnił następną strzykawkę.

– Spróbuj powiedzieć to Koeglowi.

– Ja tak nie dam rady. – Jakim cudem skończyłam w takim miejscu?

Do sali wszedł Hellinger z zawiniętymi w skórzane etui narzędziami. Starłam się nie słuchać odgłosów usuwania plomb z ust tamtej kobiety. Potem odcisnął na jej policzku gwiazdę, by zaznaczyć, że już z nią skończył.

– Nic ci nie będzie, Herto – powiedział Fritz. – Musisz tylko się przyzwyczaić.

– Nie zostanę tu długo. Nie po to kończyłam studia medyczne... – Też tak mówiłem – zaśmiał się Hellinger. Wetknął sobie do kieszeni bawełniany woreczek wypełniony złotem.

– I ja – zawtórował mu Fritz. – A potem, zanim się obejrzałem,

minęły trzy miesiące. I wtedy nie można już odejść, więc lepiej decyduj się szybko.

 Nie miałam wątpliwości, że wyjadę stąd jeszcze przed świtem.

Rozdział 10
Caroline
1939–1940

Wymacałam swoje ubrania w ciemnej sypialni. Włożyłam halkę i aksamitną marynarkę Paula. Poczułam, jak miękka satynowa podszewka otula moje gołe ramiona. Kto dobijał się o tej porze do drzwi?

– Paul, zostań tutaj. Zobaczę, kto to.

Leżał na obleczonej w różową satynę poduszce, uśmiechając się jak Kot z Cheshire. W półmroku nie widziałam wiele więcej, tylko tyle, że ręce założył za głowę. Bawiło go to? A jeśli to mama? Co mogłabym jej powiedzieć? Jak wyjaśnić, że najprzystojniejszy mężczyzna świata leży półnagi w moim łóżku? Ale matka miała przecież własny klucz. Czyżby go zostawiła?

Przemknęłam przez korytarz. Kto robiłby taki raban? Przeszłam przez ciemny salon. W kominku wciąż żarzyły się węgle.

– Caroline – usłyszałam przez drzwi. – Muszę się z tobą zobaczyć. David Stockwell.

Podeszłam bliżej i oparłam dłoń o malowane drzwi. David łomotał w nie tak silnie, że drewno drżało pod moimi palcami.

– David, co tu robisz? – spytałam, nie otwierając.

– Otwórz – zażądał. – To ważne.

Nawet przez grubą deskę słyszałam, że pił.

– Nie jestem ubrana... – Caroline, muszę z tobą porozmawiać. Nie zajmę ci długo.

– Przyjdź jutro, Davidzie.

– Chodzi o twoją matkę. Muszę z tobą pilnie porozmawiać.

Znałam aż za dobrze „pilne sprawy” Davida, ale nie mogłam ryzykować.

Zapaliłam światło w korytarzu i otworzyłam. Moim oczom ukazał się David z przekrzywioną białą muchą, oparty o futrynę. Wepchnął mnie do środka, a potem wtoczył się niepewnie za mną. Owinęłam się szczelnie marynarką Paula, żeby ukryć swoją nagość.

– Najwyższa pora – stwierdził. – Mój Boże, Caroline, co ty masz na sobie?

– Jak ci się udało ominąć portiera?

David chwycił mnie za ramiona.

– Nie złość się na mnie, Caroline. Tak pięknie pachniesz.

Usiłowałam odepchnąć go od siebie.

– David, przestań. Co stało się mojej mamie?

Przyciągnął mnie do siebie i zaczął całować po szyi.

– Tęskniłem za tobą, C. Popełniłem straszny... – Cuchniesz, Davidzie.

Usiłowałam się wyrwać, ale nie zdołałam się uwolnić, dopóki Paul nie pojawił się za mną w samych bokserkach i koszuli narzuconej śpiesznie na ramiona. Nawet w ostrym górnym świetle wyglądał wspaniale – w rozpiętej koszuli, z moją szminką rozsmarowaną na skórze.

– Potrzebujesz pomocy, Caroline? – zapytał.

David był kompletnie pijany, jednak na dźwięk głosu Paula zadarł głowę.

– Kto to? – zapytał głosem, jakby stanął nagle twarzą w twarz z duchem.

– Paul Rodierre. Poznaliście się dziś w parku.

– Och. – David wyprostował się natychmiast. – Co powiedziała by na to twoja matka... Chwyciłam go za ramię.

– Musisz już iść, Davidzie.

Złapał moją dłoń.

– Chodź ze mną, C. Nawet mama za tobą tęskni.

To akurat było bardzo wątpliwe. Nawet po latach znajomości pani Stockwell nadal określała mnie mianem „tej aktorki”.

– Nie mów tak do mnie, Davidzie. Masz żonę. Pamiętasz? „Ślub dekady”, jak to pisali w gazetach.

David spojrział na Paula, jakby zapomniał, że ten ciągle tu stoi.

– Dobry Boże, człowieku, włóż coś na siebie. – Potem nachylił się w moją stronę, a ja mogłam przyjrzeć się wyraźnie różowym obwódkiem wokół jego błękitnych oczu. – Caroline, nie sądzisz chyba, że on jest dla ciebie odpowiedni... – Davidzie, nie masz prawa wypowiadać się na temat mojego życia. Zrezygnowałeś z niego, gdy klęknąłeś przed wszystkimi w klubie badmintonowym. Musiałeś oświadczać się w klubie taty? I to po tym, jak wprowadził tam twojego ojca.

Paul wycofał się do sypialni. Jeśli miałam odrobinę szczęścia, wracał do łóżka.

– To miejsce wiele dla nas znaczyło. Wygraliśmy tam z Sally miksta.

Wiadomości o triumfie badmintonowym Sally i Davida rozeszły się po całym towarzystwie za sprawą artykułu w „The Sun”, a osoby takie jak

Jinx Whitney, moja nemezis jeszcze z czasów Chapin, zadbały o to, by sprawa nabrała odpowiedniego rozgłosu. Nigdy nie przepadałam za klubem badmintonowym, nawet w czasach, gdy tata żył. Nie można przecież traktować poważnie instytucji, która ma w godle lotkę.

Paul wrócił do przedpokoju już w zapiętej koszuli i w spodniach.

– Może dokończycie tę rozmowę innym razem? – Włożył płaszcz.

– Wychodzisz? – zapytałam, starając się nie brzmieć jak zrozpaczona.

– Ktoś musi odprowadzić Davida do wyjścia, a ja mam od rana próbę. – Pochylił się, by pocałować mnie w policzek. Wdychałam jego zapach, gdy pocałował mnie też w drugi i szepnął do ucha: – Fioletowy to zdecydowanie twój kolor.

Paul doprowadził naszego niezapowiedzianego gościa do drzwi i schodami na dół. David protestował, prezentując szeroki repertuar przekleństw. Żal było mi patrzeć, jak Paul odchodzi. Pozostawił mnie nietkniętą, ale czy to była ostatnia szansa dla mnie? Przynajmniej nie przyłapała nas mama.

Jakoś przetrwałam święta, spędzając z Paulem prawdopodobnie więcej czasu, niż powinnam.

Odwiedzaliśmy często Harlem, gdzie słuchaliśmy jazzu, siedząc ramię w ramię przy blasku świec. Paul zaprosił kolegę z drugiej obsady The Streets of Paris, z którym dzielił pokój, a potem wróciła mama, więc w zasadzie nie mieliśmy już ani chwili dla siebie. Jego przedstawienie widziałam siedem razy, sprawdzając w ten sposób na wylot możliwości aktorów. Paul nie tylko grał główną rolę w spektaklu, ale też śpiewał i tańczył, dowodząc tym samym wszechstronnego talentu. Czy było coś, czego nie potrafił?

Plakaty reklamowały występy hasłem: 50 PARYSKICH ŚLICZNOTEK. Pozostawało dla mnie tajemnicą, dlaczego wołał spędzać czas ze mną, skoro miał do wyboru tyle innych pięknych kobiet.

Wiosną 1940 roku atmosfera w konsulacie stała się nieznośnie napięta. W tamtym okresie praktycznie mieszkałam w biurze. Po inwazji Hitlera na Danię i Norwegię, do której doszło dziewiątego kwietnia, przez konsulat przetoczyła się kolejna fala paniki, a cały świat przygotował się na najgorsze.

Pewnego chłodnego kwietniowego dnia Paul poprosił o spotkanie na tarasie widokowym na szczycie RCA Building. Powiedział, że ma do mnie prośbę. O co mogło chodzić? Zgodziłam się już być poręczycielem potrzebnym do wydania Renie wizy, więc to nie to. Co zatem? Ta myśl

dreńczyła mnie przez cały dzień. Często spotykaliśmy się na tarasie, by podziwiać gwiazdy przez teleskop, ale miałam przeczucie, że tym razem będzie chciał rozmawiać o czymś innym niż o Małej Niedźwiedzicy. Wcześniej wspominał, że powinniśmy w czymś razem zagrać. Może miał na myśli jakąś jednoaktówkę? Coś poza Broadwayem? Musiałabym to oczywiście rozważyć.

Jak zawsze pojawiłam się na tarasie nieco wcześniej i czekałam na niego.

Trzy pielęgniarki kuliły się na ustawionych na środku tarasu drewnianych krzesłach, a potem robiły sobie na przemian zdjęcia na tle napisu DOWÓD TWOJEJ WIZYTY. ZRÓB SOBIE ZDJĘCIE NA TARASIE OBSERWACYJNYM RCA. Od krawędzi dachu odgradzało nas tylko wysokie do łokcia ogrodzenie, więc nic nie przesłaniało widoku na Manhattan, na położoną na wschód East River czy leżący na północy Central Park, który z tej wysokości wyglądał jak dziwaczny dywan perski rozpostarty pośrodku Manhattanu. Na południu piął się w górę Empire State Building, a na zachodzie widać było doki przy Piątej Ulicy wgrzające się w brzeg Hudsonu. W dokach stały czekające na wypłynięcie statki.

Pod nami na tle wieczoru bielił się coraz wyraźniej slogan reklamowy na ciemnym dachu domu towarowego Macy's: MACY'S. OSZCZĘDNOŚĆ POPŁACA.

Paul pojawił się z bukietem konwalii.

– Trochę wcześniej, ale mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza.

Odnosił się oczywiście do francuskiego zwyczaju, zgodnie z którym pierwszego maja wręczało się ukochanej osobie konwalie. Chwyciłam ich szmaragdowe łodyżki i wciągnęłam słodki zapach.

– Mam nadzieję, że następnym maj spędzimy razem w Paryżu – powiedział.

Wsunęłam bukiet za dekolt sukienki, czując chłód łodyg na piersi.

– Wiesz, maj w Nowym Jorku jest przepiękny... Przerwałam. Jak mogłam nie zauważyć? Był ubrany bardziej oficjalnie niż zwykle. W kieszonce granatowej marynarki miał zatkniętą czerwoną chusteczkę. Wyjeżdżał?

– Wyglądasz bardzo elegancko – stwierdziłam. – Zrezygnowałeś z białych flaneli. Niektórzy ubierają się tak, gdy wybierają się w podróż.

Było już za późno, żebym mogła błagać go, by został. Dlaczego nie poruszyłam tego tematu wcześniej?

Paul wskazał na port.

– Odpływam na „Gripsholmie”. O siódmej trzydzieści.

Poczułam łzy napływające do oczu.

– Szwedzkim statkiem?

– Roger załatwił mi przejazd stopem z transportami Czerwonego Krzyża. Do Göteborga, a potem do Francji. Powiedziałbym ci wcześniej, ale sam dopiero się dowiedziałem.

– Nie możesz teraz płynąć. A co z tymi U-Bootami i X-craftami na morzu? Przecież to niebezpieczne.

Będziecie jak kaczki wystawione na odstrzał. No i co z wizą dla Reny?

– Roger mówi, że może minąć kolejny miesiąc, zanim się czegoś dowiem.

– A gdyby Roger zadzwonił do Waszyngtonu... – Nie ma co liczyć na cud w ostatniej chwili, C. Sprawy komplikują się coraz bardziej.

– Ale potrzebuję cię tutaj. Czy to nie ma znaczenia?

– Caroline, staram się zachować, jak należy. To wcale niełatwe.

– Może poczekaj i zobacz, jak się to wszystko rozwinie?

– Roger mówi, że będzie nadal próbować. Łatwiej byłoby działać stąd, ale muszę jechać. Połowa rodziny Reny wyjechała już z Paryża.

Przytuliłam policzek do klapy jego płaszcza.

– Ciągle ją kochasz... – Nie o to chodzi, Caroline. Gdybym mógł, zostałbym tu z tobą. Ale jak mogę siedzieć wygodnie w apartamencie w Waldorfie, kiedy w domu lada chwila rozpęta się piekło? Sama byś tak postąpiła na moim miejscu.

Naprawdę miał zamiar wyjechać? To musiał być jakiś żart. Zaraz zaśmieje się głośno i oboje pójdziemy kupić ciasto z automatu.

Słońce chyliło się ku zachodowi i temperatura zaczęła gwałtownie spadać. Paul objął mnie i to wystarczyło, bym przestała marznąć. Nawet z wysokości siedemdziesięciu pięter widzieliśmy dokładnie wszystkie statki dokujące przy nabrzeżu przy Piątej Ulicy. „Normandie” nadal stała w tym samym miejscu. I „Ile de France”. I tylko „Gripsholm” był gotów do wypłynięcia pod szwedzką banderą. Wiatr rozwiewał dym z jego kominów nad całą rzeką.

Spojrzałam na wschód. Największe niebezpieczeństwa będą czyhać na nich pośrodku Atlantyku. Tam statki miały najsłabszą ochronę z powietrza. Nawet teraz, gdy wojna dopiero nabierała rozpędu, niemieckie okręty podwodne zdołały zatopić już na Atlantyku kilka alianckich statków, które wiozły zaopatrzenie dla Wielkiej Brytanii. Wyobrażałam sobie te okręty zawieszane w głębinach niczym barakudy czające się na

ofiare.

Paul trzymał mnie za rękę.

– Ale chciałem zapytać, czy przyjedziesz do Paryża, gdy to wszystko już się skończy.

Odsunęłam się.

– Och, Paul, sama nie wiem.

W myślach powstały mi natychmiast wizje nas siedzących w Les Deux Magots na Saint-Germain des Près przy stoliku pod zieloną markizą, skąd obserwowalibyśmy życie Paryża. Café viennois stojąca przed nim, café crème dla mnie. A po zachodzie słońca odrobina hennessy. Może szampan i tarta malinowa, nad którą planowalibyśmy kolejne etapy jego kariery. I naszą jednoaktówkę.

– A co powiedziałyby Rena?

Uśmiechnął się.

– Tylko by przyklasnęła. Może przyłączyłaby się z którymś ze swoich chłopców.

Wiatr owiał mi policzki i rozwiął włosy. Paul mnie pocałował.

– Obiecasz, że przyjedziesz? Najbardziej żałuję, że muszę wyjeżdżać, nie sprowadziwszy cię na złą drogę. – Uśmiechnął się i objął mnie w talii. – Trzeba to będzie jak najszybciej naprawić.

– Dobrze, ale pod warunkiem, że będziesz do mnie pisać. Długie listy, w których będziesz opowiadać o każdej sekundzie mijających ci dni.

– Fatalnie piszę, ale postaram się.

Znów poczułam jego gorące usta, tym razem na swoich. Straciłam poczucie czasu i miejsca, zawieszona w przestrzeni na szczycie świata, dopóki Paul nie wyzwolił mnie spod swego uroku, zostawiając tam oszołomioną i bez punktu oparcia.

– Odprowadzisz mnie?

– Raczej zostanę tutaj – odparłam.

Po prostu odejdz. Nie utrudniaj tego bardziej.

Ruszył do drzwi, obejrzał się i odszedł, pomachawszy.

Nie mam pojęcia, jak długo stałam tam oparta o poręcz, spoglądając w zachodzące słońce.

Wyobrażałam sobie Paula, jak dociera taksówką na nabrzeże. Czy będzie denerwować się, że proszą go o autograf? Tylko gdyby tego nie robili. Czy Szwedzi w ogóle znali Paula? Na razie nie zapowiadało się na żadną jednoaktówkę.

– Zamykamy! – zawołał od drzwi strażnik.

Podszedł po mnie do balustrady.

- Gdzie się podział pani towarzysz, panienko?
- Popłynął do domu, do Francji – powiedziałam.
- Francja? Oby dopłynął w całości.

Oboje spojrzeliśmy na Atlantyck.

- Oby – powiedziałam.

Ranek dziesiątego maja nie różnił się niczym od pozostałych. Przed dziesiątą recepcja była już pełna ludzi, a ja szykowałam się do odparcia natarcia, sprzątajac szuflady biurka. Wszystko, byle nie myśleć o Paulu.

– Kolejne kartki od twoich przyjaciół – powiedziała Pia. Rzuciła mi na biurko stertę poczty. – I przestań mi podbierać papierosy.

Maj był naprawdę piękny, ale nawet łagodny wiatr szemrzący w wiazach rosnących za oknem nie mógł pocieszyć mnie tego poniedziałkowego ranka. Najpiękniejsze dni były najcięższe, bo nie miałam Paula, by móc się nimi cieszyć. Przerzuciłam pocztę, wypatrując jakichkolwiek wiadomości od niego.

Oczywiście szanse na to, by w tej kupce znalazł się list od niego, były minimalne, co nie przeszkodziło mi przekopać się przez nią z zapalem ogara gończego na tropie.

- Czytasz moją pocztę? – zapytałam.

– To pocztówki, Caroline. Połowa świata może je przeczytać, jeśli interesują ją losy francuskich sierocińców.

Przerzuciłam kartki. Château de Chaumont. Château Masgelier. Villa La Chesnaie. Dawniej okazałe rezydencje we Francji, teraz wszystkie przekształcone w sierocińce. Prowadzący je przysyłali mi kartki z potwierdzeniem po otrzymaniu przesyłki. Miałam nadzieję, że ładnie pachnące mydełko, para czystych skarpet, cukierek i jedna czy dwie rzeczy uszyte ślicznie przez mamę i zapakowane w ładny, brązowy papier zdołają podnieść na duchu te dzieci.

Wstałam i przypięłam kolejną porcję kartek na korkowej tablicy, która i tak była już zatłoczona zdjęciami francuskich dzieci. Na jednym z nich ciemnowłose aniołek trzymał tabliczkę z napisem MERCI BEAUCOUP, CAROLINE! Na innej dzieci pozowały w czasie zajęć plenerowych, jedno przy sztalugach,

pozostałe na stołeczkach, usadzone według wieku i pozornie pogrążone w lekturze pod lipą.

Zakładałam, że zdjęcie to wykonała sama madame Bertillion, dyrektorka sierocińca Saint-Philippe w Meudon, na południowy zachód od Paryża. Zaprzyjaźniłyśmy się, wymieniając listy, i teraz z niecierpliwością wypatrywałam wiadomości od niej, zawsze pełnych uroczych anegdotek o

dzieciach i ich radości z nadsyłanych paczek. I tym razem czekał na mnie list od niej, a w nim wykonany kredkami rysunek Saint-Philippe, imponującej kamiennej fasady pomalowanej na jaskrawożółty kolor, zwieńczonej kominem, z którego unosiła się spirala dymu.

Jakie to byłoby uczucie zaadoptować jedno z tych dzieci? Chłopca? Dziewczynkę? Nasza posiadłość w Connecticut, The Hay, była prawdziwym rajem dla dzieci. Mama zachowała mój domek dla dzieci na łące, w którym był nawet prawdziwy kominek. Gdybym adoptowała dziecko, miałabym komu to wszystko zostawić. Pucharek miłosny prababci Woolsey. Nasz śliczny stolik na kaczych nóżkach. Srebra mamy.

Ale starałam się o tym nie myśleć, bo nigdy nie zdecydowałabym się wychowywać dziecka samotnie. Aż za dobrze znałam wszystkie bolączki dorastania bez ojca i pamiętałam trud, z jakim mama starała się wypełnić tę bolącą pustkę. Symulowanie choroby w dniu ojca i córki w szkole. Rozpacz na widok ojców spacerujących z córkami za rękę na ulicach. Ukłucie żalu, że nigdy nie zdołałam się z nim pożegnać.

Na samym spodzie kupki znalazłam list napisany ślicznym charakterem pisma na cienkim papierze papeterii lotniczej. Na znaczku odbito stempel ROUEN. Paul.

Choć wiedziałam, że list jest od niego, teraz nie mogłam się nadziwić, że nigdy wcześniej nie widziałam jego charakteru pisma. Pasował do niego.

Kochana Caroline!

Postanowiłem napisać od razu, skoro mówiłaś, że korespondencja nie jest Twoją mocną stroną.

Tyle się tu dzieje! Wszyscy w Rouen zachowują niebywały spokój w związku z tą rozdmuchaną wojną, ale wiele osób już wyjechało, w tym nasi sąsiedzi, którzy zeszłej nocy wyturlali swoją babcię w dziecięcym wózku. Reszta z nas po prostu ma nadzieję, że jednak będzie lepiej. Prowadzę rozmowy dotyczące wystawienia nowej sztuki w Paryżu. Konkretnie Nocy Trzech Króli, uwierzysz? Szekspir.

Lubię myśleć, że to dzięki Twojemu dobremu wpływowi na mnie.

Rena nie wyklucza, że będzie musiała zamknąć sklep. Tkanin jest coraz mniej i nie ma perspektyw na zdobycie nowych, ale poradzi sobie. Jej ojciec zaczął palić suszone liście słonecznika, bo nigdzie nie można kupić tytoniu.

Mam nadzieję, że to liczy się jako długi i wyczerpujący list, bo muszę teraz udać się na polowanie do ambasady. Szepnij, proszę, Rogerowi słowo do ucha w sprawie naszych wiz. Myślę o Tobie częs– to,

o tym, że pracujesz. Nie daj się wykorzystywać Rogerowi. Pamiętaj, że to on potrzebuje Ciebie.

Z wyrazami miłości i do następnego razu Paul PS. Śniło mi się ubiegłej nocy, że widziałem Cię na paryskiej scenie w bardzo gorącej wersji *Snu nocy letniej*. Grałaś jak anioł. Czy to coś mówi o Twojej karierze aktorskiej? O mojej tęsknocie za Tobą? Moje sny zawsze się spełniają.

Paul dotarł do Rouen mimo wszystkich U-Bootów. Przynajmniej był bezpieczny.

Był wspaniałym mężczyzną, ale listy pisał, operując urywanymi hasłami. Jednak lepszy taki list niż żaden. Nowa sztuka? Może we Francji wszystko rozejdzie się po kościach? Może tamtejsi producenci wiedzieli więcej na temat sytuacji niż połowa świata. No i ten sen! Naprawdę za mną tęsknił.

Znalazłam kopię „Le Petit Parisien” z dwudziestego trzeciego kwietnia, jednej z wielu gazet dostarczanych Rogerowi z pocztą dyplomatyczną. Była lekko przeterminowana, ale lepsze to niż nic.

Nagłówki krzychały: **RZESZA W SKANDYNAWII!**
BRYTYJCZYCY WALCZĄ NA MORZU I NA LĄDZIE. PEWNE SUKCESY W NORWEGII MIMO POWAŻNYCH TRUDNOŚCI. Humor nieco mi się poprawił po przeczytaniu tych wiadomości. Może i Stany starały się uniknąć wojny, ale Brytyjczycy trzymali się mocno mimo okropnych bombardowań Luftwaffe. Może Francja mogła jeszcze wymknąć się Hitlerowi.

Przerzuciłam stronę dotyczącą wydarzeń kulturalnych. Czy dali już jakieś ogłoszenia o nowym przedstawieniu Paula? Nie znalazłam nic na temat Szekspira, za to trafiłam na niewielkie ogłoszenie sklepu Reny. Prosty czarny prostokąt obwiedziony rzędem pereł: Rena's. Lingerie et sous-vêtements pour la femme de discernement. Bielizna dla wymagających kobiet?

Do mojego biura wszedł Roger. Krawat miał przekrzywiony, a na koszuli wykwitła mu plama po kawie mogąca z powodzeniem służyć w czasie testów Rorschacha.

– Kiepskie wieści, C. Hitler właśnie zaatakował Francję, Luksemburg, Holandię i Belgię jednocześnie.

Lada chwila trafi to do prasy. Obawiam się, że sprawy nieco się skomplikują.

Rzuciłam się za nim i przyglądałam się, jak krąży po gabinecie.

– Dobry Boże, Roger, czy dzwoniłeś do Paryża?

Wiatrak kręcący się na oknie chłodził najpierw jedną część pomieszczenia, potem drugą. Czerwona wstążeczka, którą ktoś do niego przywiązał, powiewała w powietrzu jak miniaturowa niemiecka flaga.

– Linia jest martwa – powiedział Roger. – Nie pozostaje nam nic innego, jak czekać.

Nigdy wcześniej nie widziałam Rogera przestraszonego.

– A co z Linią Maginota?

– Wygląda na to, że Hitler obszedł ją górą, dołem i bokiem.

Nadciągnął od strony Belgii.

– Co planuje Roosevelt?

– Pewnie nic. Nie ma innego wyjścia niż uznać rząd aktualnie reprezentujący Francję.

Pia podeszła do drzwi biura Rogera ze słuchawkami do deszyfracji komunikatów wiszącymi na szyi.

– Próbowałam połączyć się z ojcem w Paryżu, ale nie mogę złapać linii. Muszę wracać do domu.

– Na razie nigdzie nie pojedziesz – stwierdził Roger.

– Nie mogę tu zostać.

– Pia, nie wygłupiaj się – powiedziałam. – Nie możesz tak po prostu wyjechać.

Pia stała tam z opuszczonymi rękoma, zanosząc się szlochem.

– Wszystko będzie dobrze, kochanie – uspokoiłam ją. Ku mojemu zaskoczeniu odwzajemniła uścisk.

Czternastego czerwca 1940 roku Niemcy zajęli Paryż, a osiem dni później Francja się poddała.

Pia i ja stałyśmy wtedy w gabinecie Rogera i słuchałyśmy relacji radiowej z przemarszu wojsk niemieckich pod Łukiem Triumfalnym. Francja została podzielona na dwie strefy, okupowaną przez żołnierzy Wehrmachtu północ, tak zwaną zone occupée, oraz tak zwaną strefę wolną na południu. Na czele nowej Republiki Francuskiej stanął marszałek Philippe Pétain. Jego rząd, przez większość uznawany za marionetkę w rękach Hitlera, nazwano rządem Vichy.

– Co teraz z nami będzie? – zapytała Pia.

– Nie mam pojęcia – odparł Roger. – Na razie siedzimy na posterunku i robimy, co w naszej mocy, dla ludzi tutaj. Nie mogę się do nikogo dodzwonić.

– Czy Brytyjczycy nam pomogą?

– Już to zrobili – stwierdził Roger. – Udostępnili nam raporty dotyczące aktywności niemieckich bombowców nurkujących nad kanałem

La Manche.

Mieliśmy szczęście, że Roger miał tak bliskie kontakty z, jak nazywała to Pia, „naszymi przyjaciółmi w brytyjskim wywiadzie”, sąsiadami z budynków międzynarodowego i brytyjskiego w Centrum Rockefellera, którzy chętnie dzielili się tajnymi informacjami. Zadzwoił telefon na biurku Rogera. Odebrała Pia.

– Biuro Rogera Fortiera. Och, tak. Jest tutaj. Proszę poczekać.

Pia podała mi słuchawkę.

– To Paul.

– Jakim cudem się dodzwonił? – zdziwił się Roger.

Złapałam słuchawkę.

– Paul? – Ledwie mogłam oddychać.

– Mam tylko minutkę – oznajmił.

Paul.

Jego głos brzmiał tak wyraźnie, jakby dzwonił z sąsiedniego pokoju. Przycisnęłam ucho palcem. Czy to naprawdę on?

– Caroline. Jak dobrze cię słyszeć.

– Mój Boże, Paul. Właśnie się dowiedzieliśmy. Jak ci się udało dodzwonić?

– Przyjaciel z ambasady pozwolił mi skorzystać z telefonu. Nie wyobrażasz sobie, jak tu wszystko stanęło na głowie. Hitler dotrze tu lada chwila.

– Mogę pośpieszyć Rogera z wizami.

– Nie wiem, Caroline. Trzeba by cudu. Ambasada w zasadzie nie działa.

– Czego jeszcze potrzebujesz?

– Muszę się streszczać. Chcę, żebyś wiedziała... – Na linii pojawiły się jakieś trzaski. – Caroline?

Jesteś tam?

– Paul... jestem.

– Caroline?

– Paul, nie zostawiaj mnie.

W słuchawce zapadła cisza.

Słuchałam przez chwilę dźwięczenia sygnału, a potem odłożyłam słuchawkę na widełki. Staliśmy wszyscy wokół telefonu, czekając, aż zadzwoni ponownie. Roger i Pia przyglądali mi się uważnie, z rękoma mocno przyciśniętymi do boków. Znałam te spojrzenia. Współczucie. Jak po śmierci ojca.

– Jeśli znów zadzwoni, natychmiast go przełączę – obiecała Pia.

Wróciłam do biura przepelniona okropnym przeczuciem, że właśnie słyszałam Paula po raz ostatni.

Rozdział 11
Kasia
1940–1941

Zanim zdążyłam odpowiedzieć Zuzannie, drzwi kasy wyskoczyły z zawiasów i wpadło do niej trzech funkcjonariuszy SS. Jeden poderwał Piotrka z podłogi, drugi wyciągnął mnie z pomieszczenia za ramiona, rozsypując przy tym wszędzie wokół posortowane wcześniej monety.

– My ją tylko odwiedziliśmy – powiedział Piotrek. – To moja narzeczona. Zaszło jakieś nieporozumienie!

Narzeczona? Esesmani nic nie powiedzieli, tylko ciągnęli nas dalej. Rozejrzałam się dookoła w poszukiwaniu mamy. Gdzie się podziała?

– Proszę, mam pieniądze – mówił Piotrek.

Jeden z esesmanów uderzył go pałką w twarz. Piotrek! Jego piękna twarz.

Esesmani prowadzili nas wzdłuż kolejki, a ludzie w niej stojący gapili się i szeptali między sobą.

Obejrzałam się i zobaczyłam, że trzeci, który szedł tuż za mną, trzymał Zuzannę i Luizę.

Mama przerwała kolejkę i pobiegła za nami. Wyraz jej twarzy przeraził mnie bardziej niż cokolwiek w tej sytuacji. Widziałam taki tylko raz w życiu, tak wyglądał koń, którego oczy rozwarte były szeroko z paniki po tym, jak potrącił go powóz i zwierzę umierało na ulicy. Mama przyciskała mały koszyk z moimi kanapkami mocno do piersi.

– Idź do domu, mam! – zawołałam.

– Nie, proszę. Złapaliście niewłaściwe osoby – mówiła do esesmanów.

– Kriminelle – powiedziała jedna ze stojących w kolejce kobiet.

– Oni nic nie zrobili – przekonywała tłum z coraz bardziej rozszerzonymi strachem oczami. – To moje córki. Pracuję jako pielęgniarka w szpitalu.

Przemawiała dalej w ten sposób, biegnąc za nami i błagając esesmanów, by nas puścili, aż jeden z nich powiedział: – Jeśli tak bardzo chce z nimi iść, to nie będziemy jej bronić – i chwycił również mamę. Wyrwał jej koszyk z dłoni i rzucił w stronę jednej z czekających w kolejce Niemek.

– Ale kto nam teraz sprzeda bilety? – zapytała esesmanów panienska z kolejki.

– A komu potrzebne bilety? – odpowiedział. – Po prostu wejdźcie. Dzisiejszy pokaz jest za darmo.

Niemcy wahali się i stali tam wyraźnie skonsternowani, obserwując, jak esesmani prowadzą nas w ciemność do dźwięków trąbek wygrywających Horst-Wessel-Lied.

Na Zamku oddzielili kobiety od mężczyzn, a następnego dnia zawieźli nas na ciężarówce pełnej ludzi na stację kolejową. Wiele osób przekazywało strażnikom łapówki i listy. Mama też wręczyła jednemu list.

– Proszę, jestem Niemką. Może pan to przekazać Oberscharführerowi Lennartowi Fleischerowi? – Wręczyła mężczyźnie pieniądze, a on wepchnął je sobie do kieszeni razem z listem, nawet na nie nie patrząc. Strażnicy nie mieli czasu na takie rzeczy. Po prostu przepychali nas dalej. Więc Lennart Odważny nazywał się Fleischer? Rzeźnik. Bardzo na miejscu.

Wepchnęli mnie, mamę, Zuzannę i Luizę oraz przynajmniej setkę innych kobiet do wagonu restauracyjnego, z którego usunięto wszystkie stoły, i zamknęli drzwi. W oknach były zamontowane żelazne kraty, a w kącie stało cynowe wiadro, do którego miałyśmy załatwiać swoje potrzeby.

Rozpoznałam kilka dziewcząt z mojej dawnej drużyny harcerskiej, w tym oszołomioną Jankę Grabowską. Ciekawe, czy gestapo przyszło po nią na Lipową? Serce mi się ścisnęło na widok pani Michalskiej, która trzymała w ramionach córeczkę. Aresztowano je, gdy gestapo przyłapało pana Michalskiego na rozprowadzaniu prasy podziemnej. Ich córeczka miała wtedy dwa latka. Nazwali ją, całkiem słusznie, Jagoda, bo wyglądała jak mała jasnowłosa jagódka.

Po kilku godzinach pociąg zatrzymał się w Warszawie, ale wkrótce znów ruszył i zaczął nabierać prędkości. Żadna z nas nie płakała. Głównie milczałyśmy, nie mogąc znieść hańby związanej z tym wszystkim.

Gdy zapadł zmrok, precisnęłam się do okna i przyglądałam się przez kraty mijanym za oknami lasom.

W tych drzewach stojących tak blisko siebie było coś niepokojącego.

Gdy pani Michalska spała, ja i Luiza zajmowałyśmy się na przemian Jagodą. Dziewczynka była mała jak na swój wiek i miała na sobie tylko cienką bawełnianą piżamkę, tuliłyśmy ją więc mocno do siebie, ale nawet przy takim zajęciu odwracającym naszą uwagę Luiza zaczęła wkrótce wpadać w panikę.

- Co mama zrobi beze mnie? – pytała. – Zawsze pomagałam jej piec.
- Nie martw się. Wrócisz do domu, zanim się obejrzysz. To

wszystko jest przejściowe.

- A Piotrek? – zapytała. – Sądzisz, że jest w tym pociągu?

Wagon przechylił się w prawo, przez co nieczystości z wiadra przelały się przez brzeg prosto na dwie siedzące na podłodze kobiety, które krzyknęły głośno i poderwały się z ziemi.

– Skąd mogę wiedzieć? – powiedziałam. – I mów ciszej. Ludzie próbują spać.

- Pozwolą nam pisać listy?

- Oczywiście, Luizo. Przypuszczalnie wyślą nas gdzieś do pracy.

Będziemy zbierać buraki albo coś w tym stylu.

- Zamkną nas? – Luiza nie dawała za wygraną.

- Nie mam pojęcia. Ale zobaczysz, nie będzie tak źle.

Pani Michalska obudziła się i przysłała po dziecko, a pociąg kołysał się niczym wielka kołyska, przez co większość kobiet zapadła w krzepiący sen. Luiza oparła się o mnie, a mama spała skulona z Zuzanną w kącie wagonu. Pięknie wyglądały tam razem, Zuzanna z głową opartą na ramieniu mamy, zupełnie jak mała dziewczynka, i podkulonymi pod siebie długimi nogami.

Luiza zamieniła się potem miejscami z Zuzanną i w końcu zasnęła. Jechaliśmy w stronę Niemiec. Moje własne demony zaczęły wypełzać na powierzchnię. Jak mogłam dopuścić, żeby aresztowano nas wszystkich przeze mnie? Cierpieć z powodu własnej głupoty to jedno, ale pociągnąć za sobą wszystkich, których się kochało, to zupełnie coś innego. Dlaczego poszłam do kina? Moja bezmyślność nas zgubiła.

Czy czekał nas proces? Wtedy z pewnością wypuściliby pozostałych, bo przecież zorientowaliby się, że nikt prócz mnie nie zawinił. Tylko mnie należało aresztować.

Czy Piotrek został rozstrzelany? Wszyscy wiedzieliśmy, że na Zamku przeprowadzano egzekucje.

Zaczęłam się trząść. Gdzie był tata? Musiałyśmy natychmiast wydostać się z pociągu, jeśli chciałyśmy mieć jakieś szanse. Sięgnęłam do okna i otworzyłam je. Mimo ciemności widać było przemykające w oddali sylwetki świerków. Im dalej jechaliśmy na zachód, tym robiło się zimniej.

- Powinnaś odpocząć – powiedziała Zuzanna.

- Musimy się stąd wydostać.

- Kasiu, weź się w garść.

- Nie mogę tu zostać – powiedziałam, czując narastający niepokój. –

Dlaczego nie mogę złapać tchu? – Coś sprawiło, że gardło zupełnie mi się zacisnęło.

– Przestań – zażądała Zuzanna. – Przestraszysz Luizę. I tak z nią kiepsko.

Objęłam się w pasie.

– Umieram.

Zuzanna złapała mnie za nadgarstek. Poczułam opuszki jej palców na wewnętrznej stronie przedramienia.

– Masz przyśpieszony puls. To napad paniki. Oddychaj. Głęboki wdech. Głęboki wydech.

Wciągnęłam do płuc tyle powietrza, ile się dało.

– Spójrz na mnie, Kasiu. Oddychaj. Nie przestawaj. To może potrwać nawet dziesięć minut.

Dobrze było mieć siostrę, która wiedziała wszystko na temat medycyny. Rzeczywiście, zanim panika ustąpiła, minęło prawie dokładnie dziesięć minut.

Wiele godzin później minęliśmy Poznań, a potem odbiliśmy na północny zachód. Światło poranka ujawniło liście na drzewach. Im dalej jechałyśmy, tym były czerwiejsze i bardziej pomarańczowe.

Usnęłam z policzkiem opartym o żelazną kratę i obudziłam się dopiero, gdy pociąg zwolnił.

Luiza i pozostałe kobiety podeszły, by też wyjrzeć przez okno.

– Co się dzieje? – zapytała Luiza.

Powietrze przeszył przenikliwy dźwięk gwizdka i pociąg wjechał na stację.

Mama przepchnęła się przez stojące przy mnie kobiety.

– Co widzisz?

Chwyciłam ją za rękę.

– Na tablicy jest napisane Fürstenberg-Mecklenburg.

Na peronie stały kobiety. Jasnowłose olbrzymki w czarnych płaszczach z kapturami narzuconych na szare mundury. Jedna rzuciła na ziemię papierosa i rozdeptała niedopałek butem. Kilka z nich trzymało na smyczy siedzące przy ich nogach owczarki alzackie. Psy zdawały się czekać niecierpliwie na nasz przyjazd. Przyglądały się mijającym je wagonom tak, jak zwierzę wypatruje zazwyczaj swojego właściciela. Robiły to już wcześniej?

– Niemcy – powiedziała stojąca za mną kobieta, wyciągając szyję, by zobaczyć coś więcej.

Luiza zaczęła płakać. Gwizdek odezwał się ponownie, a ja znów

zaczęłam mieć problemy z oddychaniem.

– To pewnie obóz pracy – stwierdziła mama, ściskając mnie mocniej za dłoń.

– Widzę wieżę kościelną – powiedziałam. Myśl o Niemcach z tego miasteczka siedzących w niedzielę w kościelnych ławach i śpiewających hymny wydała mi się pocieszająca.

– Bogobojni ludzie – powiedziała któraś z kobiet.

– Fürstenberg? – zapytała pani Michalska. – Znam tę miejscowość.

To kurort!

– Wszystko będzie dobrze, jeśli będziemy przykładać się do pracy – rzekła mama.

Zacisnęłam dłonie na żelaznych kratkach, by utrzymać równowagę, kiedy pociąg zahamował z szarpnięciem.

– Przynajmniej znają przykazania – powiedziałam.

Żadna z nas nie przeczuwała, jak bardzo myliłyśmy się wszystkie, wysiadając tego dnia z pociągu. Nie przypuszczałyśmy, że stawiamy właśnie stopy w przedsionku piekła.

Rozdział 12
Caroline
1941

Wraz z nadejściem wiosny sytuacja we Francji stała się coraz bardziej napięta. Dzień w dzień przed dziesiątą rano konsulat był pełen petentów, a mój grafik wypełniony po brzegi. Zajęcie Paryża przez Niemców postawiło tych Francuzów, którzy utknęli w Nowym Jorku, w rozpaczliwej sytuacji, często bardzo trudnej finansowo, na co nie mogliśmy nic poradzić. Roger kategorycznie zakazał mi używać z własnych funduszy, mogłam więc zaoferować im co najwyżej tabliczkę czekolady i ramię, na którym można się wyplakać.

Pewnego dnia ustawiłam na biurku jedno z pudełek po butach przyniesionych przez Betty. Od Paula nie było żadnych nowych wieści. Usiłowałam zajmować się czymś, żeby powstrzymać czarne myśli, cokolwiek, byle tylko pozbyć się tego bólu w piersi.

– Masz dziś pełny komplet – oznajmiła Pia, kładąc mi na biurku stertę teczek. – A na początek jedna z twoich znajomych z wyższych sfer, która nie przyjmuje do wiadomości odpowiedzi „nie”.

– Pia, wiesz, że to w ogóle nie zawęży wyboru?

– No, to nie wiem. Pris coś tam z matką.

Znajomą okazała się Priscilla Huff, długonoga blondynka, która kończyła Chapin rok po mnie.

W błękitnym kostiumie od Mainbochera prezentowała się nienagannie i zawsze była niewyróżniająco przyjazna. Electra Huff, zaledwie odrobinę mniej wymuskana wersja swojej córki, weszła do mojego gabinetu za córką i zamknęła za nią drzwi.

– Ależ masz tu śliczne gniazdko, droga Caroline – oznajmiła pani Huff.

– Chcę adoptować francuskie dziecko, Caroline – powiedziała Priscilla tonem, jakby zamawiała chateaubrianda w Stork Clubie. – A nawet bliźnięta.

– Mamy przygotowaną listę dzieci oczekujących na adopcję. Pia pomoże ci wypełnić formularze.

Będzie potrzebny podpis męża.

– Jak się miewa Roger Fortier? – zapytała pani Huff. – Twój szef jest

takim uroczym człowiekiem.

– Na tym właśnie polega problem, Caroline – powiedziała Priscilla. – Nie jestem zamężna.

– Na razie – podkreśliła pani Huff, przeglądając srebrne ramki stojące na kominku. – Dwie oferty nadal czekają na rozpatrzenie.

Wsadziłam do pudełka po butach parę czystych skarpet w kolorze beżowym. Dwie oferty czekają na rozpatrzenie? O czym ona mówiła? O córce czy sprzedaży dwóch akrów ziemi w Palm Beach ogrodzonych płotem?

– Priscillo, adoptować dzieci może wyłącznie małżeństwo.

– Francuski mamy jest bez zarzutu. A ja też władam nim plus que biegle.

Priscilla nie musiała wysilać się zbytnio na lekcjach francuskiego, żeby dostać dobrą ocenę. Rok w rok biła mnie w konkursie na najlepszy esej. Zdecydowanie nie stał jej na drodze fakt, że ich kucharz przygotowywał co roku przepyszne bûche de Noël, a nasza nauczycielka i jedyna jurorka w konkursie, panna Bengoyan, była znanym w całej szkole łasuchem. Dlaczego tak nagle nabrałam ochoty na papierosa?

– Rozumiem, Priscillo, ale to nie ja ustalam zasady. Te dzieci wiele przeszły, jak zapewne dobrze wiesz. To może stanowić wyzwanie nawet dla dwojga rodziców.

– Zatem będziesz wysyłać paczki do sierocińców, ale odmawiasz, gdy ktoś oferuje dzieciom porządny dom? Mogę zapewnić takiemu dziecku wszystko, co najlepsze.

Może. Dopóki na horyzoncie nie pojawi się nowa, błyszcząca zabawka.

– Bardzo mi przykro, Priscillo. Mam dziś kilka ważnych spotkań. – Podeszłam do szafki z aktami.

– Krążą słuchy, że ty adoptujesz sobie jakieś – wypaliła Priscilla.

– Dziś słyszy się wiele różnych rzeczy – odparłam.

– Wygląda na to, że pewnych ludzi przepisy nie dotyczą – rzuciła pani Huff, poprawiając rękawiczkę.

– Pani Huff, straciłam ojca, gdy miałam jedenaście lat. Wiem aż za dobrze, że dorastanie bez jednego z rodziców to straszne doświadczenie. Nie zrobiłabym tego żadnemu dziecku.

– Straszniejsze niż dorastanie w ogóle bez rodziców? – zapytała Priscilla.

Zamknęłam szufladę z dokumentami.

– To kwestia dyskusyjna, obawiam się. Po prostu nie ma aż tylu

francuskich dzieci do adopcji.

Priscilla nadała się, a ja zdusiłam w sobie chęć uduszenia jej.

– Myślałam, że codziennie przyplływają statki z sierotami –
oznajmiła.

– Nie. W zasadzie nie przyplływają wcale. Po „City of Benares”... –
Po czym? – zapytała Priscilla.

Pani Huff sięgnęła do torebki.

– No cóż, skoro potrzebujesz pieniędzy. Słyszałam, że ty i twoja
matka musieliście zrezygnować z członkostwa w Meadow Clubie...
Usiadłam za biurkiem.

– Sprzedałyśmy dom w Southampton, pani Huff. Wakacje spędzamy
teraz w Connecticut, nie potrzebujemy więc członkostwa w klubie i nie,
Priscillo, nie możesz po prostu kupić sobie dziecka.

Gdybyś czytała gazety, wiedziałabyś, że „City of Benares” to
brytyjski statek pasażerski, którym wysłano setkę angielskich dzieci do
Kanady, by uchronić je przed skutkami bombardowań Londynu. Miał
płynąć z Liverpoolu do Halifaxu w Nowej Szkocji... Pani Huff oparła się
na biurku i pochyliła w moją stronę.

– Caroline, nas interesuje francuskie dziecko.

– Czwartego dnia podróży dzieci w wieku od czterech do piętnastu
lat były już w piżamach, gotowe kłaść się spać... – Poczułam, jak łzy
napływają mi do oczu.

Priscilla założyła ręce na piersi.

– A co to ma wspólnego z adoptowaniem francuskiego... –
Niemiecki okręt podwodny zatopił ten statek, Priscillo. Utonęło
siedemdziesięcioro siedmioro dzieci.

W efekcie wszystkie programy ewakuacyjne zostały wstrzymane.
Dlatego obawiam się, miłe panie, że dziś nie zdołacie kupić żadnego
dziecka. A teraz muszę prosić was o opuszczenie mojego biura. Jestem
bardzo zajęta, gdybyście nie zauważyły tłumu petentów w korytarzu.

Priscilla sprawdziła ułożenie szwów na nogach.

– Możesz oszczędzić sobie tej uszczypliwości, Caroline. Staraliśmy
się pomóc.

Pia zapukała, pojawiając się dokładnie wtedy, gdy była potrzebna, i
wyprowadziła obie panie Huff.

Minęły się z Rogerem, który właśnie wszedł do mojego biura.

– Caroline, ucieszysz się pewnie, że załatwiłem ci wyższy stopień
uprawnień.

Otworzyłam szufladę i porządniej ułożyłam rząddek nowych batonów

czekoladowych, mając nadzieję, że Roger nie zauważy, jak bardzo trzęsą mi się dłonie.

– Po co?

– Wiemy już od pewnego czasu, że w wolnej strefie utworzono obozy przejściowe. Zwożą tam cudzoziemców. Głównie Żydów, ale nie tylko. Teraz zaczęły docierać do nas raporty o transportach wysyłanych do Polski i innych krajów. Zastanawiałem się, czy mogłabyś się tym zająć.

Obróciłam się na krześle, by spojrzeć mu w twarz.

– Czym konkretnie?

– Musimy rozgryźć, dokąd wysyłają tych ludzi. Kogo? Ilu? Za co się ich aresztuje? Mam dość mówienia ludziom, że nie wiem, co stało się z ich rodzinami.

– Oczywiście, że się tym zajmę, Roger.

Miałabym dostęp do tajnych informacji, bezpośredni wgląd w to, co dzieje się w okupowanej Europie.

Koniec z oczekiwaniem na to, aż do „New York Timesa” spłyną wiadomości. Może udałoby mi się zyskać nowe informacje na temat Paula.

– Trudno mi prosić cię o to, nie mogąc zaoferować w zamian wypłaty.

– Tym się nie przejmuj, Roger. Mama i ja radzimy sobie świetnie. – Prawda miała się tak, że choć tato zabezpieczył nas na przyszłość, to jednak musiałyśmy kontrolować wydatki. Miałyśmy kilka źródeł dochodu i nieco aktywów, które można było upłynnić. No i były srebra.

Gdy zrobiliśmy tego dnia przerwę na lunch, pobiegłam na dół do znajdującej się przy Chanel Gardens księgarni Librairie de France i pożyczyłam wszystkie atlasy, jakie mieli do dyspozycji, po czym wróciłam do biura i zanurzyłam się w całkiem nowym świecie tajnych informacji. Zdjęcia wywiadu brytyjskiego. Tajne dokumenty. Pia zносиła mi na biurko coraz to nowe teczki i wkrótce zatopiłam się całkowicie w badaniach dotyczących obozów. Obozy tranzytowe w wolnej strefie. Gurs. Le Vernet.

Argelès-sur-Mer. Agde. Des Milles. Zdjęcia wywiadu były niepokojące, szczegółowe i sprawiały, że czułam się, jakbym zaglądała komuś na podwórko. Jakbym była podglądaczem.

Podzieliłam je na kategorie i wkrótce odkryłam, że poza obozami tranzytowymi była jeszcze całkiem osobna kategoria.

Obozy koncentracyjne.

Powiesiłam sobie w biurze mapę na ścianie i szpilkami zaznaczałam na niej wszystkie nowe obozy, o jakich się dowiadaliśmy. Roger

podsyłał mi listy, a ja śledziłam rozwój tej sieci. Wkrótce tereny Austrii, Francji i Polski pokryły się czerwonymi łebkami, jakby kraje te dostały wietrznej ospy.

Kolejne miesiące mijały bez wieści o Paulu. Trudno było nie myśleć o najgorszym, gdy miało się świadomość, że Niemcy robili we Francji praktycznie, co chcieli. Roger dostarczał mi wieści z zagranicy. Początkowo Francuzi postanowili poczekać i zobaczyć, co wyniknie z niemieckiej obecności. Gdy niemieccy oficerowie zarekwirowali dla siebie najlepsze stoliki w restauracjach, paryżanie próbowali to zwyczajnie ignorować. Ostatecznie Paryż znajdował się pod okupacją. Wszyscy mieli nadzieję, że to po prostu minie.

Niemcy, którzy nigdy nie byli mistrzami odczytywania aluzji, zagarnęli dla siebie najlepsze dania i wina, a następnie ogłosili, że planują przenieść cały paryski przemysł odzieżowy do Hamburga. Na koniec wreszcie zaczęli wywozić bez ostrzeżenia niewielkie grupki Francuzów. Wtedy też napłynęły do nas pierwsze raporty, zgodnie z którymi w całym Paryżu zaczęły tworzyć się niewielkie grupki oporu, które początkowo rozprawdzały wyłącznie antyniemieckie ulotki, ale tworzyły też podwaliny pod skutecznie działającą sieć wywiadowczą. Niecały tydzień po otrzymaniu pierwszych takich wiadomości zanotowaliśmy gwałtowny wzrost działalności podziemnej w całej Francji.

Ciągle miałam mnóstwo pracy przy przygotowaniu paczek dla sierocińców, a matka pomagała mi w tym bez wytchnienia. Pewnego wieczoru wyciągnęłam wszystkie ubrania z szaf w pokojach dla gości w poszukiwaniu rzeczy, które można byłoby pociąć i przerobić na ubrania dla sierot. Mama w tym czasie zajmowała się obrębianiem kilku porządných kawałków materiałów, jakie miałyśmy jeszcze do dyspozycji.

Pokój gościnny w naszym domu stanowił swoistą mieszankę wpływów mamy i taty. Dawniej był jego gabinetem i nadal czuło się w nim powiew męskości – prążkowane tapety i stylizowane na hebanowe partnerskie biurko były tu nadal – ale z czasem stał się pokojem krawieckim mamy i nosił wyraźne znaki jej działalności: wokół pełno było rysowanych na cienkim jak chustka bursztynowym pergaminie wykrojów sukien i wypychanych manekinów Wolfa różnych rozmiarów, ostatnio niestety coraz mniej wciętych w talii.

Przyciągnęłam ze sobą torby z wygrzebanymi przez mamę na wyprzedażach rzeczami oraz nasze zimowe ubrania uszyte z dobrej wełny, by szukać w nich miękkich kawałków materiału. Sama nigdy nie przejawiałam chęci do szycia – może i dobrze, bo to zajęcie tragicznie

niszczące figurę – za to mama była rewelacyjną krawcową. Siadała do maszyny do szycia, starego, czarnego singera, z pochyloną głową, a jej włosy białły w świetle lampy. Po śmierci ojca niegdyś płowa fryzura niemal z dnia na dzień zmieniła kolor na siwy. Mama ścięła wtedy włosy krótko, zaczęła nosić niemal wyłącznie stroje do konnej jazdy i przestała się malować. Zawsze kochała konie i lepiej czuła się ze zgrzebłem w dłoni niż srebrnym grzebykiem, ale przykro było mi patrzeć, jak taka piękna kobieta przestaje o sobie dbać.

Pracowałyśmy i słuchałyśmy w radiu wieści z frontu.

Dziętnasty kwietnia 1941 roku. Podczas gdy Belfast w Irlandii Północnej podnosi się z gruzów po nalocie dywanowym Luftwaffe, Londyn przechodzi właśnie piekło. Mamy za sobą jeden z najbardziej zaciekłych nalotów na to miasto. Gdy oddziały niemieckie wkroczyły do Grecji, tamtejszy premier Aleksandros Korizis odebrał sobie życie, a Brytyjczycy wycofali się z tego kraju.

– Och, Caroline, wyłącz radio. Nic z tego, co mówią, nie daje żadnej nadziei.

– Przynajmniej w końcu mamy w tym wszystkim swój udział.

Choć oficjalnie Stany Zjednoczone zachowywały nadal neutralność, nasza marynarka zaczęła wreszcie patrolować północny Atlantyk.

– I pomyśleć, że Hitler gania sobie teraz po ruinach Partenonu – utyskiwała mama. – Czy to szaleństwo w ogóle kiedyś się skończy?

Wsunęłam rozpruwacz szwów do cynowego wiaderka do piasku, którego mama używała jako pojemnika na szpilki i nożyczki, i poczułam, jak metal szoruje o piasek. Ciągle jeszcze był w nim piasek z plaży w posiadłości rodziny mamy, Gin Lane w Southampton. Była tam taka wspaniała plaża.

Pamiętałam mamę i tatę, jak spędzali tam czas – mama w czarnym kostiumie kąpielowym, on w garniturze i krawacie, zmagający się z szarpaną wiatrem gazetą i kłującym mnie w płuca przesyconym solą powietrzem. Wieczorami w skąpanym w głębokich cieniach salonie udawałam nieraz, że czytam, gdy tymczasem z jednym policzkiem opartym na chłodnej lnianej kapie sofy przyglądałam się im, jak grają w remika i przepijają do siebie.

– Mamo, pojedźmy do Southampton. Zmiana dobrze by nam zrobiła. Nie miałyśmy już wtedy Gin Lane, ale Betty nadal utrzymywała tam dom.

– O nie. Teraz pełno tam nowojorczyków.

– Mamo, sama jesteś z Nowego Jorku.

– Nie sprzeczkajmy się, kochanie. – Unikała plaży. U niej też budziła wspomnienia związane z ojcem.

– Cóż, pewnie i tak nie mogłybyśmy pojechać. Robi się coraz zimniej, więc w sierocińcach będą potrzebować ciepłych ubrań.

– Nadal możesz wysyłać paczki zwykłą pocztą?

– Niemcy zachęcają ludzi, by przesyłali paczki dla sierot, a nawet dla osadzonych w obozach przejściowych. To pozwala cię koszty.

– Jak to miło ze strony tych Boche. – Mama, mówiąc o Niemcach, posługiwała się francuskim słowem Boche, szkop. Była to jej niewielka afirmacja oporu.

Odwróciłam się i z łóżka zebrałam garść wełnianych marynarek taty. Mama chwyciła jedną z nich za rękaw i pociągnęła do siebie.

– Mogłybyśmy je porozcinać... – Nie będziemy cię ubrań taty. Poza tym potrzebujemy tkanin, które dzieci będą mogły nosić na gołą skórę.

Zabrałam marynarki poza zasięg jej rąk.

– Caroline, od jego śmierci minęło niemal dwadzieścia lat. Tą wełną z wielbłąda żywimy tylko mole.

– Przerabiam marynarki taty dla siebie.

Jego marynarki po niewielkich przeróbkach rzeczywiście dobrze na mnie leżały. Wszystkie były uszyte z najlepszej jakości dwuwarstwowego kaszmiru, wełny z wikunii i wełny w jodełkę, a każdy ze skórzanych guzików był prawdziwym dziełem sztuki. Kieszenie były wyłożone wewnątrz satyną, wsuwanie w nie dłoni sprawiało wrażenie zanurzania ich w wodzie. No i noszenie jego marynarek sprawiało, że jakaś część taty była zawsze ze mną. Czasami, gdy stałam na ulicy, czekając na zmianę światła, znajdowałam w załamaniach materiału okruchy tytoniu albo ukrytą w kieszeni miętówkę w przydymionym celofanie.

– Caroline, nie możesz przechowywać wszystkich staroci.

– W ten sposób oszczędzamy pieniądze.

– Nie musimy jeszcze szukać miejsca w przytułku. Mówisz o nas tak, jakby nie pozostawało nam już nic innego, jak tylko zaśpiewać Nearer My God to Thee. A przecież zawsze wiążemy koniec z końcem.

– Może powinniśmy zwolnić nieco służby.

Po śmierci taty mama zaczęła zbierać potrzebujących, tak jak niektórzy ludzie kolekcjonują łyżeczki albo chińską porcelanę. Nie raz, nie dwa zdarzało mi się natknąć w salonie na bezdomnego popijającego bez cienia wstydu sherry i czytającego Grona gniewu.

– Nie trzymamy lokaja w liberii, kochanie. Jeśli masz na myśli Serge'a, to on praktycznie jest rodziną.

No i zdecydowanie jest najlepszym mistrzem kuchni francuskiej w tym mieście, a nie pije jak pozostali.

– A pan Gardener?

Na to pytanie nie trzeba było odpowiadać. Nasz ogrodnik, o dziwo noszący nazwisko Gardener, również w zasadzie należał do rodziny. Miał łagodne oczy i gładką ciemną skórę, która barwą przywodziła na myśl kasztany. Był z nami od czasu, kiedy posadziliśmy pierwsze rośliny w ogrodzie w Bethlehem, tuż przed śmiercią taty. Plotka głosiła, że jego rodzina przyjechała do Connecticut z Karoliny Północnej dzięki Underground Railroad^[5], zatrzymując się w kryjówce w starej Bird Tavern, która stała dokładnie naprzeciw The Hay. Pan Gardener, poza tym, że miał cudowną rękę do róż dawnych odmian, był gotów oddać za mamę życie, a ona bez wahania zrobiłaby to samo dla niego. Pan Gardener niewątpliwie miał zostać z nami na zawsze.

– A kilka dochodzących pokojówek z pewnością nie uszczupła naszego budżetu tak bardzo – stwierdziła mama. – Jeśli chcesz liczyć grosze, załatw w konsulacie, żeby to oni opłacali wysyłkę twoich paczek.

– Roger bierze część kosztów na siebie, ale tym razem nie będę miała czego wysyłać. Nigdzie nie da się kupić ani odrobiny materiału, który nadawałby się do noszenia.

– A może powinniśmy dać przedstawienie charytatywne? Powrót na scenę mógłby ci dobrze zrobić, kochanie, a przecież nadal masz wszystkie kostiumy.

Kostiumy. Całe metry materiałów rozkładających się w starym kufrze, ubrania, których nikt już nie nosił. Idealne na uszycie wszystkiego, czego mogą potrzebować dzieci.

– Mamo, jesteś genialna.

Pobiegałam do swojej sypialni i wyciągnęłam kufer z szafy. Nadal był oklejony pamiątkowymi nalepkami ze wszystkich miast, w których grałam. Boston. Chicago. Detroit. Pittsburgh. Przyciągnęłam go do salonu, sapiąc przy tym donośnie. Powinnam przestać podkradać Pii papierosy.

Mama wyprostowała się na swoim krawieckim krześle, gdy zobaczyła, z czym wchodzę.

– Och, nie. Caroline, nie rób tego.

Otworzyłam wieko, uwalniając tym samym cudowny zapach cedru, starzejącego się jedwabiu i kosmetyków do makijażu scenicznego.

– Kiedy to genialny pomysł, mamo.

– Ale, kochanie, jak możesz?

Rekwizyty i kostiumy zbierałyśmy gdzie się dało – tu

dziewiętnastowieczny jedwabny gorset, tam zrobiony z jedwabiu i kości słoniowej wachlarz od Tiffany'ego – ale kostiumy w większości szyła mi mama, tak za czasów Wieczoru Trzech Króli wystawianego jeszcze w Chapin, jak i gdy grałam w Victorii Reginie na Broadwayu. Nie pozwolono mi zatrzymać wszystkich kostiumów, ale nadal miałam wszystkie kreacje szkolne, a mama często szyła też kopie kostiumów, w których występowałam na Broadwayu. Używała do tego najlepszych aksamitów, najwspanialszych jedwabi o najżywszych barwach i wyłącznie miękkiej bawełny. Wszystkie wykańczała guzikami z masy perłowej, które robiła własnoręcznie z muszli małży znajdujących na plaży w Southampton. A guzik raz przez nią przyszyty pozostawał na miejscu już na zawsze.

– Kupiec wenecki – powiedziałam, wyciągając barwinkową kurtkę i spodnie w takim samym kolorze, podszyte musztardowym jedwabiem. – Ja widzę tu dwie koszulki dla maluchów. A na co wykorzystać podszewkę?

– Na bieliznę? – spytała mama zrezygnowana.

– Rewelacyjnie, moja najwspanialsza. – Uniosłam satynową szatę w kolorze koralowego różu, której stanik wyszyty był perłami. – Wieczór Trzech Króli.

– Nie budzi to w tobie ani trochę nostalgii?

– Ani odrobiny, mamo, ale jeśli będziesz oponować, sama je potnę. Wyrwała mi suknię z rąk.

– Ani mi się waż, Caroline.

Wyciągnęłam następną aksamitną kreację w kolorze sherry, białą pelerynkę ze sztucznych gronostajów i szatę z czerwonego jedwabiu.

– „Wszystko dobre, co się dobrze kończy” – przypomniałam, podnosząc suknię. Naprawdę byłam kiedyś tak szczupła? – Z szaty da się wyciąć sześć koszulek nocnych, a z sukni dwa płaszczyki.

Z pelerynki będą doskonałe rękawiczki.

Pracowałyśmy do późna w nocy. Prułam szwy, a moje ząbkowane nożyce przegryzały się przez kolejne warstwy aksamitów i satyny.

– Jakież wieści od twojego przyjaciela Paula? – spytała mama.

– Ani słowa. Nie dostajemy już nawet francuskich gazet.

Mimo że mama o mojej relacji z Paulem wiedziała tylko tyle, ile było konieczne, instynktownie wyczuwała, że stał się on dla mnie bardzo ważny. Z powodu tego wszystkiego, co działo się obecnie we Francji, niepokoiła się o niego równie mocno jak ja.

– Jego żona prowadzi sklep z ubraniami?

- Konkretnie z bielizną. Nazywa się Rena.
 - Z bielizną? – mama wypowiedziała to takim tonem, jakbym właśnie oznajmiła, że Rena żongluje płonącymi toporkami.
 - Tak, mam. Biustonoszami i... – Wiem, co to jest bielizna, Caroline.
 - Mamo, nie osądzaj, proszę cię.
 - Cóż, jeśli nawet Paul przetrwa tę wojnę w jednym kawałku, to o ludziach nie należy mówić źle.
 - Mamo, po prostu chciałabym wiedzieć, co u niego.
- Mama rozpruła lawendową podszewkę z satyny.
- A wiesz, jak to jest z Francuzami. Tam przyjaźń z żonatym mężczyzną to nic takiego, ale... – Mamo, po prostu chciałabym dostać jeszcze jeden list.
 - Sama zobaczysz. Wojna się skończy, a on wróci na twój próg. Niemcy pewnie umieścili go w jakimś specjalnym ośrodku. Ostatecznie jest znany.

Tego nie wzięłam pod uwagę. Czy Niemcy mogli mieć dla Paula specjalne względy z uwagi na jego nazwisko?

Nim nadszedł ranek, na łóżku dla gości piętrzyła się całkiem zadowalająca dziecięca wyprawka.

Miękkie płaszczyki i spodnie. Bluzy i czapki.

Zabrałam to wszystko do pracy i położyłam na biurku Pii, której nigdzie nie było widać.

Kilka tygodni później, gdy w moim biurze stacjonowały właśnie trzy pokolenia rodziny LeBlansów, a w damskiej łazience konsulatu trwały rotacyjne ablucje, drzwi do gabinetu otworzyły się i stanął w nich Roger. Jedną dłoń trzymał ciągle na klamce, a twarz miał koloru swojej popielatej koszuli. Poczułam, jak kurczy mi się żołądek. Zawsze wyglądał tak, gdy miał do przekazania złe wieści. Usta zacisnął w wąską linię. Byle tylko nie zamykał drzwi. Jak długo tego nie zrobił, nic mi nie groziło.

Przeczesał palcami włosy.

– Caroline... – Roger, po prostu mi powiedz.

– Mam wiadomości.

Chwyciłam się blatu biurka.

– Powiedz... – Obawiam się, że kiepskie, C.

– Powinnam usiąść? – zapytałam.

– Raczej tak – odparł, zamykając drzwi.

Rozdział 13

Kasia

1941

Drzwi wagonu otworzyły się, a my stałyśmy wewnątrz, jakbyśmy wszystkie nagle przymarzły.

– Wysiadać, wysiadać! – zaczęły krzyzczeć strażniczki na peronie. Zaczęły nas dźgać laskami i okładać obleczone w skórę pałkami. Jeśli nigdy nikt nie uderzył cię skórzaną pałką, wierz mi, boli tak, że ciężko wytrzymać. Mnie nikt nigdy wcześniej nie uderzył, więc te pierwsze razy zszokowały mnie ogromnie, ale najgorsze były psy – szczekające i kłapiące zębami tak blisko, że czułam na nogach ich gorące oddechy.

– Cuchnicie jak świnie – powiedziała jedna ze strażniczek. – No tak, Polki. Jak zawsze całe w gównie.

Ta uwaga sprawiła, że zagotowałam się ze złości. Dali nam tylko jedno małe wiadro, a teraz narzekają, że cuchniemy?

Przeprowadzono nas w szybkim, marszowym tempie przez Fürstenberg w pierwszych promieniach niedzielного słońca. Szłyśmy ramię w ramię w szeregu po pięć. Po jednej stronie miałam mamę, po drugiej panią Michalską z małą Jagodą na rękach. Obejrzałam się za siebie i rząd dalej zobaczyłam Zuzannę i Luizę. Miały szkliste spojrzenia, w których czaiło się przerażenie, do jakiego miałyśmy dopiero przywyknąć. Fürstenberg wyglądał jak średniowieczne miasteczko z książki dla dzieci. Dachy porastała trawa, a na oknach stały skrzynki z czerwonymi petuniami. Szyby kryły się za zamkniętymi szczelnie okiennicami. Czy Niemcy nadal spali w ciepłych łóżkach? A może już ubierali się do kościoła? Ktoś widać już nie spał, bo w powietrzu unosił się zapach grzanek i świeżej kawy. Jakaś okiennica na piętrze skrzypnęła cicho, a potem natychmiast się zatrzasnęła.

Te z nas, które nie nadały, wycierpiały już swoje w drodze, bo strażniczki biły te ociągające się, a psy miały w zwyczaju łapać za łydki. Mama i ja podtrzymywałyśmy panią Michalską, która zaczęła się potykać. Przez cały czas masowała stópki swojej córki, teraz całe zsiniałe na zimnie. Ugniatała je jak ciasto na chleb, ani przez chwilę nie zwalniając kroku.

Popędzono nas wzdłuż wykładanej brukiem drogi prowadzącej nad

brzegiem jeziora.

– Piękne jezioro – zauważyła Luiza. – Ciekawe, czy będziemy mogli popływać.

Żadna z nas nie odpowiedziała. Co mieli zamiar z nami zrobić? Ostatecznie byliśmy w Niemczech. Gdy byłam mała, lubiłam przyjeżdżać tu na wycieczki, pod warunkiem że nie musieliśmy zostawać zbyt długo.

Zazwyczaj też człowiek wie, czego się spodziewać, gdy robi coś po raz pierwszy, na przykład gdy idzie do cyrku. Tu żadna z nas nie wiedziała, co nas czeka.

Niebawem naszym oczom ukazał się olbrzymi ceglany budynek stojący na końcu drogi. Był dopiero wrzesień, ale w miejscu wysuniętym tak daleko na północ drzewa szybko przygotowały się na jesień i teraz między sosnami płonęły pomarańczowe i czerwone liście. Nawet rosnąca pod ścianą budynku szalwia miała kolor hitlerowskiej czerwieni.

Gdy podeszliśmy bliżej, z odległości dobiegły nas ogłuszające dźwięki niemieckiej muzyki patriotycznej, a powietrze wypełnił zapach gotowanych ziemniaków, przez co żołądek skręcił mi się z głodu.

– To KZ – powiedziała idąca za mną kobieta do nikogo w szczególności. – Konzentrationslager.

Nigdy wcześniej nie słyszałam tego słowa. Nie wiedziałam też, czym takie obozy były, ale sam ten dźwięk sprawił, że ciarki przeszły mi po grzbiecie.

Podeszliśmy do wysokich, gładkich murów otaczających obóz i przeszliśmy przez pomalowaną na zielono metalową bramę wprost na pusty plac otoczony niskimi, drewnianymi barakami. Nawet przez muzykę słyszałam buczenie prądu płynącego przez biegnący na górze muru drut.

Obóz przecinała na pół droga oficjalnie zwana Lagerstrasse, drogą obozową, ale wkrótce zaczęliśmy nazywać ją Aleją Gwiazd.

Bo i wyglądała tak, że żadna gwiazda nie wstydziłaby się nią chadzać. Zaczynała się przy wielkim brukowanym placu nazywanym po prostu plac – i biegła przez cały obóz, wysypana czarnym połyskliwym piaskiem i okruchami czarnego żwiru, który skrzył się w słońcu. Słodki, miodowy zapach przyciągnął moją uwagę do drzew, które rosły wzdłuż tej drogi, sięgając tak daleko, jak sięgał wzrok. Lipy.

Z radością przywitałam widok ukochanych drzew Najświętszej Pani. W Polsce lipy otacza się czcią i uważa się, że ich ścinanie przynosi pecha. Przed każdym z budynków w niewielkich ogródkach rosły wesołe, kolorowe kwiaty, a w oknach stały drewniane skrzynki z geranium. Czy tak porządne miejsce mogło być złe? Najdziwniejsza w

tym wszystkim była zaś zdobiona ornamentami srebrna klatka stojąca na początku Alei Gwiazd. Pełno było w niej egzotycznych zwierząt – między żółtymi papugami po linach skakały dwa czepiaki, które bawiły się w klatce radośnie jak dzieci, a na ziemi paradował paw, co chwila rozkładając swój szmaragdowy ogon. Jednak gdy zakrzyczał, przeszedł mnie dreszcz.

Gdy wszystkie byłyśmy już w obozie, mama zebrała nas koło siebie. Po drugiej stronie placu stały na baczność kobiety, w rzędach po pięć, w pasiastych ubraniach. Żadna z nich nie spojrzała w naszym kierunku. Jedna ze strażniczek wyciągnęła z kabury rewolwer i zadała stojącemu obok strażnikowi jakieś pytanie. Mama natychmiast dostrzegła broń i odwróciła wzrok.

Obok mnie przeszła dziewczyna w pasiastym stroju.

– Polka? – zapytała tak cicho, że muzyka niemal ją zagłuszyła.

– Tak – odpowiedziałam. – Jak my wszystkie.

Małpki przestały się bawić i zaczęły nas obserwować, uwieszone na kratkach.

– Zabiorą wam całe jedzenie, więc jeśli coś macie, zjedzcie to teraz – szepnęła i poszła ustawić się w szeregu.

– Oddajcie nam wszystko, co macie. Wy już nie będziecie tego potrzebować – powiedziała starsza kobieta, wyciągając rękę, gdy przechodziła wzdłuż naszego szeregu.

Owinęłyśmy się ciasniej płaszczami. Dlaczego miałyśmy oddawać te kilka rzeczy, które jeszcze ze sobą miałyśmy? Spojrzałam na mamę. Wyciągnęła dłoń i uściśnęła mnie. Czułam, że drży. Chciałam jedynie móc się wyspać i napić czegoś, bo strasznie męczyło mnie pragnienie.

Strażniczki zagnały nas przed barak składający się z dwóch wielkich, pozbawionych drzwi pomieszczeń o nisko zawieszonych sufitach i łaźni. Przy drzwiach stała wysoka blondynka, jak się później dowiedziałyśmy, strażniczka o nazwisku Binz. Wydawała się równie oszalała i pobudzona jak sam Hitler.

– Szybko, szybko! – wykrzyczała, uderzając mnie jednocześnie w pośladki pejczem.

Podeszłam do biurka, a siedząca za nim kobieta w pasiaku zapisała moje nazwisko. Wydała mi po niemiecku polecenie, bym wyłożyła na stół zawartość kieszeni. Wyjęłam z nich te nieliczne przedmioty, które tam miałam – chusteczkę, zegarek, kilka pastylek aspiryny, ostatnie oznaki zwykłego życia.

Wszystkie one zostały umieszczone w żółtej kopercie i złożone z

innymi takimi kopertami w pudle na dokumenty. Następnie kazano mi się rozebrać pod okiem pilnującej tej procedury więźniarki.

– Ruszaj się! – nakazała, gdy byłam już naga.

Zobaczyłam, że następna w kolejce podchodzi do stołu mama.

Kobiety zażądały jej pierścionka, ale nie mogła ściągnąć go z palca.

– Spuchły jej palce – powiedziała stojąca obok lekarka, wysoka blondynka w białym kitlu. Binz uniosła dłoń mamy, napluła na pierścionek i spróbowała go ściągnąć. Mama odwróciła wzrok.

– Spróbuj wazeliną – poradziła lekarka.

Binz znów napluła na pierścionek i wreszcie zdołała go ściągnąć.

Kobieta siedząca za biurkiem włożyła go do żółtej koperty, a tę do pudła.

Pierścionek mamy przepadł. Jakim prawem zabierali ludziom ich rzeczy ot tak, bez odrobiny współczucia?

Daleko przede mną stała w kolejce Janka Grabowska. Szarpała się właśnie ze strażniczką i krzyczała w głos. Druga strażniczka przybyła z pomocą i przytrzymała Jankę za ramiona.

– Przestańcie, proszę. Nie... – płakała Janka, gdy tamte próbowały obciąć jej włosy.

Strażniczka pchnęła mnie do przodu i straciłam mamę z oczu w tłumie innych kobiet. Staralam się przesłonić swoją nagość, gdy strażniczka z zielonym trójkątem naszytym na rękawie kurtki pchnęła mnie na stołek. Chwilę później poczułam na skórze ukłucie jakby wykałaczką i już wiedziałam, że lada chwila podzielę los Janki. Serce waliło mi tak, że miałam wrażenie, że zaraz wyskoczy mi z piersi.

Zimna stal nożyczek dotknęła mojej szyi, a kobieta stojąca z tyłu zaklęła po niemiecku, usiłując odciąć mój warkocz. Ale czy można było mnie winić za to, że miałam gęste włosy? Rzuciła moje włosy na stertę innych tak wysoką, że sięgała niemal parapetu, a potem, jakby chcąc odplacić mi za to, że musiała się tak napracować, ogoliła mi brutalnie głowę. Trzęsłam się cała, gdy każdy ruch maszynki do golenia sprawiał, że po ramionach zsuwały mi się kępki włosów. Potem kobieta zepchnęła mnie ze stołka, a ja przejechałam dłonią po głowie. Jakże dziwna była gładka skóra z wystającymi gdzieś kępkami niedogolonych włosów. Dobrze, że Piotrek nie mógł mnie teraz widzieć. Nigdy wcześniej nie zdawałam też sobie sprawy, że bez włosów na głowie jest tak zimno!

Więźniarka z fioletowym trójkątem naszytym na pasiastej bluzie – badaczka Biblii, jak się później dowiedziałam – popchnęła mnie na stół, by sprawdzić moje miejsca intymne. Przytrzymała mi nogi rozłożone szeroko, a inna więźniarka ogoliła mnie brzytwą, zostawiając te okolice

pozacinane i podrapane.

Gdy miałam już to za sobą, posłano mnie do lekarki, którą widziałam wcześniej. „Na stół”, nakazała, po czym wzięła zimne, błyszczące srebrem narzędzie, które we mnie wsadziła i rozszerzyła. Wcześniej nawet go nie wytarła! Rozwarła mnie szeroko, żeby cały świat mógł widzieć, i wetknęła we mnie dłoń w gumowej rękawiczce, po czym dokładnie obmacała. Nie wyglądała wcale na zgorzszą charakterem tej pracy. Z równym spokojem mogłaby myć naczynia. Działała bez zastanowienia, nie zważając na to, że byłam młoda, a ona krzywdziła mnie w sposób, którego skutków nie dało się już cofnąć.

Nie miałam wiele czasu, by opłakiwać utraconą cnotę, bo strażniczki ustawiły nas nagie w szeregach po pięć w łaźni. Łazienka w białym stroju uderzyła stojące przed moim szeregiem kobiety pałką, zostawiając na ich plecach czerwone pręgi, i pognęła je w kierunku pryszniców. Trzymałam się blisko pani Michalskiej i przygotowałam na ukąszenie gumowej pałki. Pani Michalska niosła Jagodę przyciśniętą do piersi i trzęsła się tak mocno, jakby już stała w strugach lodowatej wody. Więźniarka z zielonym trójkątem na ramieniu podeszła do pani Michalskiej, chwyciła nagie ciało Jagody obiema rękami i szarpnęła, ale pani Michalska trzymała córeczkę mocno.

– Oddaj mi to – zażądała więźniarka strażniczka.

Pani Michalska przycisnęła dziecko mocniej do piersi.

– To dobre dziecko – powiedziała strażniczce.

Ta tylko szarpnęła mocniej. Czy chciały rozerwać dziewczynkę na dwoje?

– Nic na to nie poradzisz – stwierdziła strażniczka – Nie rób scen.

Dziecko zapłakało, co natychmiast przyciągnęło uwagę okrutnej nadzorkczyni, Dorothei Binz, która ruszyła niemal biegiem spod wejścia do budynku. Tuż za nią biegła druga strażniczka. Dorothea oznacza „dar od Boga”, ale w przypadku tej osoby trudno było o bardziej nietrafione imię.

Binz zatrzymała się przy pani Michalskiej i wskazała pejcem na jasne włoski Jagody.

– Czy ojcem jest Niemiec?

Pani Michalska zerknęła na mnie, marszcząc brwi.

– Nie, Polak – powiedziała.

– Zabierz ją – nakazała Binz, popierając rozkaz machnięciem pejcza.

Strażniczka, która przyszła z Binz, chwyciła panią Michalską od tyłu za ramiona, a ta, która wcześniej szarpała się z nią bezskutecznie, teraz wydarła jej Jagodę z rąk.

– To pomyłka! – krzyknęła natychmiast pani Michalska. – Ojcem jest Niemiec... – Zerknęła na mnie.

– Z Berlina – przytaknęłam. – Prawdziwy patriota.

Ta z zielonym trójkątem przytrzymała Jagodę w ramionach i spojrzała na Binz.

– Po prostu je zabierz – rozkazała Binz, potrząsając przy tym głową. Strażniczka poprawiła sobie dziecko na ramieniu i zaczęła wycofywać się przez napływający tłum.

Pani Michalska zwinęła się na podłodze jak spalony papier i patrzyła tylko, jak odnoszą gdzieś jej dziecko.

– Nie, błagam... dokąd ją zabieracie?

Binz dźgnęła panią Michalską szpicrutą pod żebro i pchnęła w stronę pryszniców.

Złożyłam ramiona na nagich piersiach i podeszłam do Binz.

– To dziecko umrze bez matki – oznajmiłam.

Binz odwróciła się do mnie z miną przywodzącą na myśl czajnik z wrzącą wodą.

– Trudno o większe okrucieństwo – stwierdziłam.

Binz uniosła swój pejcz.

– Wy, Polki... Przygotowałam się na uderzenie i pociągnięcie skórzanego pasa. Gdzie spadnie raz?

Nagle poczułam obejmujące mnie ramiona. Poczułam na skórze nagie ciało mamy.

– Błagam, Frau Aufseherin – odezwała się nienaganną niemczyzną. – Ona zupełnie zgłupiała, żeby tak się do pani odzywać. Jest nam bardzo przykro... Czy to niemiecki mamy sprawił, że Binz się wycofała? A może jej łagodność?

– Powiedz jej, żeby trzymała mordę na kłódkę – oznajmiła Binz, grożąc mi pejczem. Potem wycofała się w tłum.

Strażniczki poprowadziły mnie, ciągle oszołomioną, pod prysznic. Łzy żalu nad biedną panią Michalską zmieszały się na mojej twarzy z lejającą się ze słuchawki prysznicowej lodowatą wodą.

Dwa tygodnie później wypuścili nas z bloku kwarantanny. Miałyśmy tylko workowate sukienki, bluzki, olbrzymie drewniane chodaki, szczoteczkę do zębów, cienką kurtkę, szare reformy, cynową miskę i łyżkę oraz mały kawałek mydła, który, jak nam powiedziano, miał wystarczyć na dwa miesiące. Dwa miesiące?

Po tym czasie na pewno odeślą nas do domów!

Umieszczono nas na bloku trzydziestym drugim, który był znacznie

większy od baraku przejściowego.

Kobiety, niektóre w szarych bluzach i pasiastych sukienkach, niektóre nadal gołe po prysznicu, kręciły się tu i tam, to ubierając się, to ścieląc łóżka wyłożone siennikami, pod które wpychały porządnie białe prześcieradła w kratę. Na bloku była niewielka łazienka, w której zamontowano trzy prysznice i trzy długie zlewy, nad którymi wisiały rzędy kranów. Inne siedziały, w ogóle się nie kryjąc, na desce z wywierconymi otworami, przez które załatwiały swoje potrzeby wprost na cuchnącą ziemię pod spodem.

Barak śmierdział kurnikiem, zgniłymi burakami i pięcioma setkami niemytych stóp. Wszystkie jego mieszkanki mówiły po polsku i większość z nich nosiła naszyte na rękawach czerwone trójkąty oznaczające więźniarki polityczne. Jeśli w ogóle coś w tym obozie miało jaśniejszą stronę, to właśnie to, że tyle kobiet pochodziło z Polski – niemal połowa – i większość trafiła tu, jak my, za działania, które Niemcy nazywali zbrodniami politycznymi. Najlicniejszą po Polkach grupę stanowiły Niemki aresztowane za złamanie któregoś z licznych praw narzuconych przez Hitlera albo za pospolite zbrodnie, takie jak morderstwo czy kradzież.

– Posłać łóżka! – krzyknęła Rosa, blokowa z Niemiec o zaspanym spojrzeniu. Pochodziła z Berlina i była niewiele starsza od mojej mamy. Później dowiedziałam się, że aresztowano ją, bo pokazała język niemieckiemu oficerowi.

– Przygotować naczynia!

Szybko dowiedziałyśmy się, że przetrwanie w Ravensbrück zależy od posiadania cynowej miski, kubka i łyżki oraz umiejętności ich pilnowania. Wystarczyło na chwilę się odwrócić, a mogły zniknąć i nigdy się już nie pojawić. Dlatego nosiłyśmy je wetknięte za pazuchę mundurów lub, jeśli któraś miała tyle szczęścia, by zdobyć kawałek szpagatu lub sznurka i zrobić z niego pasek, wetknięte za pas.

Luiza i mama zajęły górną pryczę, nazywaną przez więźniarki palmą, ponieważ była tak wysoko. Górna prycza znajdowała się niemal pod samym sufitem, więc prawie nie dawało się na niej usiąść, a zimą zwieszały się nad nią wielkie sople lodu, za to zapewniała większą prywatność. Zuzanna i ja spałyśmy dokładnie naprzeciwko.

Musiałam zwalczyć zazdrość, że to Luiza będzie spała z mamą. Mnie przypadła Zuzanna, która wierciła się przez całą noc we śnie i mamrotała coś o swoich pacjentach. Gdy mnie budziła, leżałam bezsennie w nocy i gryzłam się, że to ja ściągnęłam nam na głowy ten straszny los. Jak

mogłam być tak lekkomyślna, by przyczynić się do uwięzienia nas w tym strasznym miejscu? Jakby tego było mało, na bloku nigdy nie zapadała całkowita cisza. Nocami słychać było piskliwe głosy kobiet dręczonych koszmarami, hałasy powracających z nocnej zmiany, rozmowy cierpiących na bezsenność, wymieniających się przepisami i nawoływania o podanie nocnika zbyt chorych, by mogły samodzielnie dotrzeć do toalety na czas.

Mimo to udawało mi się niekiedy spędzić kilka chwil sam na sam z mamą. Tej nocy wczłogałam się z nią do łóżka jeszcze przed kolacją.

– Tak mi przykro, że trafiłaś tu przeze mnie, mamo. Gdybyś nie przyniosła mi wtedy tej kanapki... – Nawet tak nie myśl – powiedziała. – Tutaj musisz myśleć przede wszystkim o tym, jak przechytrzyć Niemców. Cieszę się, że tu z wami jestem. Wszystko jakoś się ułoży. – Pocałowała mnie w czoło.

– Ale twój pierścionek... jak mogli ci go zabrać? Nienawidzę ich za to.

– To tylko rzecz, Kasiu. Nie trać energii na nienawiść. Jesteś sprytna. Znajdziesz sposób, by ich przechytrzyć.

Wtedy do baraku weszła Rosa, blokowa. Miała sympatyczną twarz, ale podczas przekazywania rozporządzeń nie uśmiechała się.

– Zbiórka do pracy jest o ósmej rano. Te z was, które nie mają przydziału, muszą zgłosić się do biura pracy. To w baraku obok tego, w którym was przyjmowano. Tam odbierzecie oznakowanie i numer.

– Ona mówi wyłącznie po niemiecku – wyszeptałam do mamy. – A co z tymi, które nie rozumieją?

– Pomódl się w intencji Herr Specka i podziękuj za lekcje języka. Niewykluczone, że dzięki temu przeżyjesz.

Mama miała rację. Miałam szczęście, że znałam niemiecki, bo wszystkie bez wyjątku ogłoszenia wydawano w tym języku. Kobietom, które nie mówiły po niemiecku, było dużo trudniej, jako że nieznajomość przepisów nie zwalniała z ich przestrzegania.

Następnego dnia zerwały nas na nogi syreny. Przysnęłam na chwilę, śniąc, że pływam z Piotrkiem w Lublinie, gdy nagle na bloku zapaliło się światło. Było wpół do czwartej rano. Najgorsza była syrena, bo wyła tak głośno i przenikliwie, że wydawało się, że trafiłyśmy do samego piekła. Razem z syreną nadeszła Rosa i pomagające jej sztubowe. Chodziły między rzędami łóżek, łomocząc w metalową patelnię. Jedna z nich szturchała śpiące nogą od stołka, a Rosa polewała je chochlą z wiadra zimnej wody.

– Wstawać! Szybko! Wszystkie na nogi! – wołały.

Była to naprawdę wymyślna tortura.

Razem z mamą, Zuzanną i Luizą dotarliśmy do stołówki, do długiej sali obok pomieszczeń sypialnych, i ścisnęliśmy się na końcu ławy. Na śniadanie podano to samo, co na bloku przejściowym – letnią żółtawą zupę, która smakowała jak woda po gotowaniu rzepy, i niewielką kromkę chleba o smaku trocin.

Gdy poczułam smak zupy, omal wszystkiego nie zwróciłam.

Rosa odczytała nowe przydziały.

Mamę wysłano do introligatorni, jednego z bardziej upragnionych miejsc pracy. Zapracowanie człowieka na śmierć było znacznie trudniejsze, jeśli człowiek ten siedział za biurkiem.

Luiza została pomocnicą badaczek Pisma, które zajmowały się pozyskiwaniem sierści królików angorskich. Króliki żyły w królikarni na końcu obozu w specjalnie ogrzewanych klatkach i były karmione delikatnymi liśćmi sałaty hodowanymi w szklarni komendanta. Strzyżono je regularnie, a ich sierść wysyłano do zakładów krawieckich, olbrzymiego kompleksu ośmiu połączonych ze sobą budynków, gdzie więźniarki szyły mundury dla niemieckiej armii.

Zuzanna, która nie przyznała się do bycia lekarzem, została odesłana do segregowania łupów wojennych zwożonych do obozu całymi wagonami.

Mnie przydzielono do tak zwanych dyspozycyjnych, co miało swoje dobre i złe strony. Plusem takiego zaszeregowania był brak stałego przydziału do pracy, co oznaczało, że zdarzały się dni, kiedy mogłyśmy po prostu leżeć na pryczy. Problem pojawiał się, gdy przydzielano nam zajęcia, ponieważ wtedy dostawałyśmy do wykonywania najgorsze prace, na przykład czyszczenie latryn czy pracę przy budowie drogi. Na budowie, gdzie człowiek pracował jak zwierzę, ciągnąc ciężki wózek z cementem, można było skonać w ciągu jednego dnia.

Pierwsze święta Bożego Narodzenia w Ravensbrück były dla nas szczególnie trudne, ponieważ wiele z nas liczyło, że do tego czasu będziemy już z powrotem w domach. Mama, Zuzanna, Luiza i ja byłyśmy w obozie od zaledwie trzech miesięcy, a wydawało się nam, że minęły lata. Dostawałyśmy już wtedy listy od taty. Były pisane, jak nakazywały przepisy, po niemiecku i zazwyczaj w większości upstrzone czarnymi paskami cenzury, która pozostawiała tylko kilka czytelnych słów i podpis: „Kochający Was tata”. My pisałyśmy listy na pojedynczych kartkach obozowej papeterii, ograniczając się do dozwolonych przez cenzorów

tematów pogody i luźnych pozytywnych uwag.

Dni stawały się coraz krótsze, a Zuzanna zaczęła przestrzegać nas, byśmy nie traciły ducha, bo smutek potrafił zbierać znacznie bardziej krwawe żniwo niż choroby. Niektóre z kobiet po prostu poddawały się, przestawały jeść i umierały.

Bożonarodzeniowy poranek zaczął się od tego, że jedna z szyb w baraku trzasnęła na mrozie. Zimne powietrze natychmiast wdarło się do środka, stawiając nas na równe nogi. Czy ten szatański wiatr, który wygnał nas z łóżek w dzień narodzenia Pana, zwiastował nieszczęście?

Więźniarki wysypały się na plac i zaczęły ustawiać do apelu. Gdy ustawiłyśmy się już po dziesięć w szeregu obok budynku rewiru, jedynym dźwiękiem, jaki dobiegał do nas w tych ciemnościach, było tupanie setek chodaków o bruk – wynik niezdarnych prób rozgrzania się na zimnie. Jakże marzyłam o ciepłym płaszczu! Nad naszymi głowami iskrzyły reflektory. Miałam nadzieję, że ze względu na święta apel skończy się szybko i bez żadnych wypadków. Czy Niemcy nie mieli w zwyczaju świętować narodzin Chrystusa? Może Binz wzięłaby sobie wolne na święta? Staralam się nie patrzeć na stos ciał piętrzący się pod szwalnią jak drewno na opał, teraz coraz bardziej przysypany śniegiem. Ciała czekały, aż przyjedzie po nie przedsiębiorca pogrzebowy z miasta, zapakuje do papierowych worków z postrzępionymi krawędziami i gdzieś je wywiezie.

Wzdłuż szeregów przeszła młoda strażniczka odbywająca szkolenie pod okiem Binz i jej ulubiona protegowana, Irma Grese. Zliczyła nas i zapisała wynik w swoim notatniku. Potem zatrzymała się i zapaliła spokojnie papierosa, owijając się przy tym grubą czarną peleryną. Grese i Binz wyglądały jak najlepsze przyjaciółki od serca, obie piękne i jasnowłose, a mimo to nie sposób było je pomylić. Binz była wysoka, nieco bardziej grubokoścista i miała włosy zaczesane znad czoła i zawinięte w charakterystyczny lok na czubku głowy. Grese była mniejsza, obdarzona urodą gwiazdy filmowej, miała błękitne oczy w kształcie migdałów i naturalnie różowe usta. Włosy kryjące się pod czapką trefiła we francuskie loki, które dzieliła tak, że spływały jej złotymi pierścionkami po obu stronach szyi. Na nasze nieszczęście Irma nie radziła sobie najlepiej z rachunkami. Jej pośpieszne obliczenia często mijały się z wynikami, które otrzymywała Binz, przez co apele potrafiły się ciągnąć trzy, cztery godziny.

Nad horyzontem pojawiły się pierwsze promienie słońca, które wkrótce dotarły także do placu, wywołując u nas ciche westchnienia radości.

– Cisza! – wrzasnęła Irma.

Mimo starań, by znaleźć się gdzieś z tyłu, najlepiej pośród innych więźniarek, gdzie zwyczajnie było cieplej, tym razem nasza mała, pięcioosobowa rodzina obozowa znalazła się w pierwszym szeregu. To nie było bezpieczne miejsce, bo więźniarki stojące na obrzeżach były bardziej narażone na ataki ze strony znudzonych i czasami nieprzewidywalnych strażniczek oraz ich psów. Ja i Luiza ustawiliśmy się po obu stronach mamy. Z kolei między mną a Zuzanną stała pani Michalska, która od utraty dziecka marniała z dnia na dzień. Zuzanna stwierdziła u niej dyzenterię i depresję, fatalne połączenie.

Od początku listopada śnieg na przemian padał i odpuszczał nieco. Aby zabić mijający czas, obserwowałam ptaki czyszczące sobie skrzydła ze śniegu. Zazdrościłam im, że mogą przylatywać tu i odlatywać, gdy tylko zechcą. Tego ranka od jeziora wiał zimny wiatr, więc pomogłyśmy pani Michalskiej włożyć za cienką bawełnianą kurtkę dwa kawałki przesznurowanej do obozu gazety, żeby zapewnić jej choć odrobinę ochrony przed mrozem. Gdy Irma spoglądała gdzie indziej, odwracałyśmy się do siebie plecami i nacierałyśmy się, żeby nieco się rozgrzać. Strażniczki ustawiły na końcu Alei Gwiazd solidną drewnianą podstawę i zatknęły w nią jodłę, która teraz kołysała się mocno na wietrze.

Pani Michalska też się kołysała, chwyciłam ją więc za ramię, żeby nieco ją uspokoić. Nawet przez bawełnianą kurtkę czułam kościsty łokieć wbijający mi się w dłoń. Czy ja też byłam już tak wychudzona?

Pani Michalska oparła się o mnie, a gazeta pod jej ubraniem zaszeleściła i wysunęła się nieco sponad kołnierza.

Wepchnęłam papier z powrotem na miejsce, żeby ukryć go przed wzrokiem strażniczek.

– Musi pani stać prosto – powiedziałam.

– Przepraszam, Kasiu.

– Proszę liczyć w myślach. To pomaga.

– Cicho – rzuciła przez ramię pani Michalskiej Zuzanna. – Idzie Binz.

Zgroza rozlała się falą wśród nas, zebranych na placu, gdy Binz przejechała na swym niebieskim rowerze przez obozową bramę wprost na plac. Czyżby zasnęła w ciepłym łóżku ze swoim żonatym kochankiem Edmundem? Przynajmniej dziś go tu nie było i nie całował jej przy krzykach ćwiczonej batem więźniarki, jak często lubili się zabawiać.

Binz jechała z niemałym wysiłkiem pod wiatr, jedną dłoń trzymając opartą na kierownicy, drugą ściskając smycz psa, podczas gdy wełniana

peleryna powiewała za nią z furkotem. Dotarła do rewiru i oparła rower o ścianę. Potem ruszyła krokiem dziewczyn ze wsi po brukowanej nawierzchni, prowadząc przy nodze szarpiącego się w obroży psa. Gdy tak szła, machała w powietrzu szpicrutą, jak uradowane dziecko wymachuje nową zabawką. Pejcz był nowy, wykonany z czarnej skóry, a z jednego z jego końców zwisał długi celofanowy warkocz.

Suka Binz wabiła się Adlige, „wielka pani”. Była jednym z najpiękniejszych, lecz i najbardziej przerażających owczarków w obozie – czarna z podpalaniem i ogromnym futrzanym kołnierzem wokół klatki. Takiego kołnierza przy płaszczu nie powstydziałaby się żadna elegantka. Pies reagował na kilka poleceń, które Binz wydawała mu za pomocą pstryczka wykonanego z zielonego metalu.

Strażniczka podeszła wprost do pani Michalskiej i szpicrutą wypchnęła z szeregu.

– Ty. Wyłaż.

Chciałam iść za nauczycielką, ale mama mnie powstrzymała.

– O czym tam gadałyście? – zapytała Binz, trzymając psa tuż przy nodze.

– O niczym, Frau Aufseherin – odpowiedziała pani Michalska.

Irma podeszła do Binz.

– Odliczanie zakończone.

Binz nie odpowiedziała, cały czas przyglądając się pani Michalskiej.

– Moja córeczka, mała Jagódka... – zaczęła pani Michalska.

– Nie masz córki. Nic nie masz. Jesteś tylko numerem.

Czy Binz popisywała się przed Irmą?

Pani Michalska wyciągnęła rękę w stronę Binz.

– To dobre dziecko... Binz dostrzegła gazetę wystającą spod workowatej sukienki pani Michalskiej i wyszarpnęła ją jednym szybkim ruchem.

– Skąd to masz? – zapytała.

Irma wsunęła podręczny notatnik pod ramię i zapaliła następnego papierosa.

Pani Michalska wyprostowała się.

– Nie wiem. Nic nie mam. Jestem tylko numerem.

Nawet z dzielącej nas odległości dostrzegłam, że Binz aż się cała zatrzęsała.

– Masz rację – powiedziała, po czym wzięła zamach i uderzyła panią Michalską pejczem w twarz.

Celofan trafił panią Michalską w policzek. Binz rzuciła przelotnie

okiem na Irnę, a potem schyliła się szybko i odpięła smycz, na której trzymała sukę. Adlige siedziała przez chwilę nieruchomo, a potem na znak pstryczka w rękę Binz rzuciła się z położonymi po sobie uszami i obnażonymi kłami na panią Michalską. Zacisnęła szczęki wokół jej ramienia, zaczęła szarpać, a potem pociągnęła moją nauczycielkę na kolana. Warczenie psa rozeszło się głuchym echem po placu, a potem Adlige wpiła się zębami w kołnierz ubrania pani Michalskiej, przewracając ją na ziemię.

Mama chwyciła mnie za rękę.

Pani Michalska obróciła się na bok i usiłowała usiąść, ale suka wgrzyzła się jej w gardło i zaczęła szarpać głową w prawo i lewo.

Resztką woli zmusiłam się, by nie wymiotować, gdy suka odciągnęła od nas panią Michalską, jak wilk świeżo ubitą sarnę, zostawiając za sobą krwawy ślad na śniegu.

Dźwięk metalowego pstryczka zabrzmiał na placu echem.

– Adlige, puść! – nakazała Binz.

Suka usiadła i zaczęła dyszeć, a spojrzenie złotych ślepiów ani na chwilę nie schodziło z Binz.

– Siedem tysięcy siedemset siedemdziesiąt sześć! – krzyknęła Binz.

Irma wyrzuciła niedopałek, pozwalając mu tlić się na śniegu. Leniwie unoszący się błękitny dym znaczył miejsce, w którym upadł papieros. Irma w tym czasie zapisała coś w swoim notatniku.

Suka podbiegła do Binz z ogonem zwisającym między nogami, zostawiając za sobą leżące nieruchomo ciało pani Michalskiej.

Strażniczka odwróciła się w naszym kierunku i ruchem dłoni wywołała mnie z szeregu. Dałam krok w przód.

– To twoja przyjaciółka?

Kiwnęłam głową.

– Tak? Skąd ją znasz?

– To moja nauczycielka matematyki, Frau Aufseherin. –

Napływające do oczu łzy zaszklily mi wzrok, ale powstrzymałam się od płaczu, bo to tylko rozwścieczało Binz.

Irma dotknęła dłonią swoich ślicznych ust i uśmiechnęła się.

– Polska matematyka.

Binz rzuciła mi fioletową kredkę do szkła.

– Zapisz – rozkazała.

Wszystkie nieraz widziałyśmy już, na czym to polega. Binz chciała, żebym zapisała numer obozowy na klatce piersiowej pani Michalskiej. W ten sposób po raz ostatni znieważano umierającego czy martwego więźnia.

Serce waliło mi jak młotem, gdy szłam wzdłuż karminowego śladu pozostawionego w śniegu przez Adlige aż do miejsca, w którym leżała moja nauczycielka. Upadła na plecy, ukazując rozerwane do kości gardło. Jej pierś pokrywała rozsmarowana niczym farba krew. Twarz miała zwróconą w moją stronę, oczy częściowo otwarte, a szrama na jej policzku ziała jak wyszczerzone w uśmiechu usta.

– Zapisz – powtórzyła Binz.

Starłam rękawem krew z piersi pani Michalskiej i zapisałam kredką 7776.

– Zabierz to stąd – padł kolejny rozkaz.

Chciała, żebym zaciągnęła ciało na stertę przy szwalni.

Chwyciłam ciało pani Michalskiej za nadgarstki i pociągnęłam ją przez śnieg, wydychając kłęby pary niczym koń ciągnący pług. Jej ciało było nadal ciepłe, przez co to wszystko wydawało mi się jeszcze bardziej przerażające. Nienawiść zaczęła kiełkować w mojej piersi. Jak mogłam darować sobie zemstę?

Zanim dociągnęłam ciało na sięgający mi ramienia, teraz całkiem zasypany śniegiem stos, twarz miałam już mokrą od łez. Ułożyłam panią Michalską obok innych bardzo ostrożnie, jakby miała tam spać. Nasza lwica. Nasza nadzieja. Nasza Gwiazda Polarna.

– Polki – rzuciła Irma do Binz, gdy przechodziłam obok nich, by wrócić na swoje miejsce w szeregu. – Po co w ogóle próbować nauczyć je matematyki?

– Racja – zaśmiała się Binz.

Zatrzymałam się i zwróciłam w stronę Armii.

– Ja przynajmniej umiem liczyć.

Tym razem nie musiałam czekać na ukąszenie pejcza Binz.

Rozdział 14
Herta
1941

Zostałam w Ravensbrück.

Gdy z domu dotarły wieści, że tata zmarł, a mama musi podjąć leczenie nadwerężonego kręgosłupa, moja pensja stała się jeszcze ważniejsza.

W towarzystwie innych lekarzy, samych mężczyzn, czułam się samotna, więc jeśli Fritza nie było w pobliżu, zostawałam w biurze i zajmowałam się albumami. Wklejałam tam etykiety z pudełek po zapalkach i pamiątki takie jak zdjęcie, które na prośbę Fritza zrobił nam kelner w restauracji w Fürstenbergu, gdzie jedliśmy razem obiad. Wojska niemieckie rozpoczęły właśnie ofensywę w Związku Radzieckim i odnosiły tam same zwycięstwa, dlatego w prasie pojawiło się mnóstwo artykułów wartych zachowania.

Napisałam do Mutti i wyjaśniłam jej, jak ciężko pracuję, żeby przywrócić porządek na rewirze i wreszcie zapewnić jego sprawne działanie. Pisałam też o nadziei, że komendant zauważy, jak bardzo się staram, by zadbać o podległy mi fragment obozu.

Gdy pewnego wieczoru wracałam do domu po spełnieniu wszystkich obowiązków, zauważyłam, że w introligatorni nadal pali się światło. Weszłam tam w nadziei, że zastanę kogoś, z kim będę mogła zamienić kilka słów. W środku zastałam Binz siedzącą prosto na niskim stołku w pełnym umundurowaniu, z wysoko uniesioną brodą. Naprzeciwko niej siedziała więźniarka z czerwonym trójkątem i szkicowała Binz. To była ta Polka, którą widziałam w czasie przyjmowania do obozu. Ta, której Binz musiała napluć na palec, żeby ściągnąć jej pierścionek. Zresztą na palcu więźniarki nadal widać było jasny pasek w miejscu, gdzie go nosiła.

Binz gestem zaprosiła mnie do środka. W pomieszczeniu nie było wiele miejsca, zaledwie tyle, by można było tam przygotowywać materiały edukacyjne potrzebne Rzeszy. Na długim stole pod jedną ze ścian leżały stosy broszur i książek.

– Proszę wejść, pani doktor. Właśnie rysują mi portret.

– Proszę się nie ruszać, Frau Aufseherin – powiedziała więźniarka. – Nie mogę rysować, kiedy pani mówi.

Więźniarka wydająca polecenia Binz? Co dziwniejsze, Binz słuchała bez szemrania.

– Halina jest naszą obozową artystką – oznajmiła po chwili Binz. – Powinna pani zobaczyć portret, który zamówił u niej Koegel. Wszystkie medale wyglądają jak prawdziwe.

Więźniarka przestała szkicować.

– Czy mam przyjść innym razem, Frau Aufseherin?

Od razu rzuciło się w oczy, że introligatornia, w której niegdyś wszędzie walały się papiery, tusze i inne materiały, teraz stała się znacznie bardziej uporządkowana.

– Zamówił? – zapytałam więźniarki. – Jak cię opłacają?

– Chlebem, Frau Doktor – odparła.

– Oddaje go innym Polkom – rzuciła Binz. – Wariatka.

Patrzenie, jak rysuje, koło i hipnotyzowało. Nie sposób było oderwać wzroku od ołówka znaczącego papier ostrymi liniami.

– Jesteś Polką? Mówisz bardzo dobrze po niemiecku.

– Mnie też nabrała – powiedziała Binz.

– Moja matka była Niemką – przyznała więźniarka, ciągle rysując i właściwie nie odrywając wzroku od Binz. – Dorastała w majątku niedaleko Osnabrück.

– A ojciec?

– Urodził się w Kolonii, gdzie wychowała się moja babcia. Dziadek był Polakiem.

– Czyli należałabyś do trzeciej kategorii na folksliście – podsumowała Binz.

Polacy na liście ludności pochodzenia niemieckiego byli dzieleni na cztery kategorie. Trzecia zawierała nazwiska tych, którzy mieli niemal całkowicie niemieckie korzenie, lecz ulegli polonizacji.

– Jesteś tak niemiecka, jak to tylko możliwe w twoim położeniu – stwierdziłam.

– Skoro pani tak mówi, Frau Doktor.

Uśmiechnęłam się.

– Czy jeśli kura złoży jajko w chlewie, to wykluty z niego kurczak jest warchlakiem?

– Nie, Frau Doktor.

Podeszłam do więźniarki i przyjrzałam się, jak wykańcza cieniowanie podbródka Binz. Portret był rzeczywiście niesamowity. Pokazywał siłę Binz i złożoną osobowość, lecz nie gubił podobieństwa.

– Dam ten rysunek Edmundowi na urodziny – oznajmiła Binz. –

Chciałam, żeby namalowała mnie nago,
ale nie radzi sobie z aktami.

Halina zarumieniła się lekko, ale nie uniosła wzroku znad szkicownika.

– Też powinna pani zamówić sobie portret, pani doktor – nalegała Binz. – Pani matce by się spodobał.

Czy mamie był potrzebny mój portret teraz, gdy tata nie żył, a ona zajmowała się układaniem sobie życia od nowa?

Binz wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

– A kosztować to będzie tyle, ile bochenek chleba.

Więźniarka odłożyła ołówek.

– Naprawdę muszę już wracać na apel.

– Siadaj, Halino. Załatwię wszystko z twoją blokową – powiedziała Binz. – Pani też niech usiądzie, pani doktor. Co ma pani lepszego do roboty?

Binz obeszła więźniarkę od tyłu i spojrzała na gotowy już rysunek, a potem klasnęła w dłonie jak uradowane dziecko.

– Jeszcze dziś dam go Edmundowi. Halino, pamiętaj, żeby potem zgasić światło. Powiem blokowej, że będziesz przed dziewiątą. Jutro prześlę ci bochenek chleba.

Zajęłam miejsce zwolnione przez Binz. Halina wzięła czystą kartkę i zaczęła szkicować, zerkając na mnie od czasu do czasu.

– Za co tu jesteś? – zapytałam.

– Nie wiem, Frau Doktor.

– Jak to nie wiesz? Aresztowano cię?

– Aresztowano moje córki, a ja próbowałam przekonać funkcjonariuszy, żeby je wypuścili.

– Za co je aresztowano?

– Nie wiem.

Przypuszczalnie za działalność w podziemiu.

– Co robiłaś, gdy przyjeżdżałaś do Osnabrück?

– Odwiedzałam wiejską posiadłość dziadków – odparła nienaganną niemczyzną więźniarka. – Dziadek był sędzią. Babcia nazywała się Judi Schneider.

– Ta malarka? Sam Führer zbiera jej obrazy. – Więźniarka odziedziczyła talent, który Führer tak bardzo cenił w pracach jej babki. – A gdzie mieszkałaś w Polsce?

– W Lublinie, Frau Doktor.

– Zdaje się, że mają tam doskonały uniwersytet medyczny –

powiedziałam.

– Tak. Kończyłam tam wydział pielęgniarstwa.

– Jesteś pielęgniarką? – Jak miło byłoby móc porozmawiać z kimś obytym i inteligentnym na tematy związane z medycyną.

– Byłam. Wcześniej ilustrowałam książki dla dzieci... – Przydałabys się nam na rewirze.

– Od dziesięciu lat nie miałam kontaktu z zawodem, Frau Doktor.

– Bzdura. Zaraz każę Binz zmienić ci przydział. Na którym bloku teraz jesteś?

– Na trzydziestym drugim.

– Od teraz będziesz Lagerprominent, więc przeniesiemy cię na pierwszy blok.

– Jeśli mogę prosić, to wolałabym zostać... – Więźniarki pracujące na rewirze mieszkają wyłącznie na pierwszym bloku. Będziesz leczyć nie tylko inne osadzone, ale też funkcjonariuszy SS i ich rodziny. Na bloku pierwszym jest czysta pościel i żadnych wszy.

– Tak, Frau Doktor. Czy córki mogłyby iść ze mną?

Zapytała o to tak od niechcienia, jakby w ogóle jej na tym nie zależało. Oczywiście nic podobnego nie wchodziło w rachubę. Pierwszy blok był zarezerwowany dla więźniów pierwszej kategorii.

– Może później. Od tej pory będziesz dostawała podwójne racje i wyłącznie świeże jedzenie. – Nie wspomniałam, że jedzenie podawane mieszkankom baraków dla elity nie zawierało leku dodawanego do zupy wydawanej pozostałym, który miał blokować popęd seksualny u osadzonych i wstrzymywać u nich menstruację.

Halina potrzebowała jeszcze dwóch spotkań, żeby ukończyć mój portret, który, przykryty półprzezroczystym białym papierem, zostawiła w moim biurze. Uniosłam go i aż zamarłam zaskoczona.

Nikt wcześniej nie uchwycił istoty mojej osoby tak doskonale – silna, skupiona kobieta lekarz w kitlu, zawsze gotowa służyć Rzeszy. Mutti z pewnością zechce go oprawić.

Po kilku dniach Halina została przeniesiona z introligatorni na rewir. Infirmieria nie podlegała formalnie SS, była jej boczną odnogą, więc sprostanie wymogom biurokracji zajęło nieco więcej czasu.

Obdarzona przez naturę solidną szczęką siostra Marschall jako jedyna była mocno niezadowolona z tych zmian. Tego dnia, gdy usunęliśmy ją z recepcji rewiru i zastąpiliśmy Haliną, przylazła do mojego gabinetu i cały dzień sarknęła niezadowolona. A przecież przeniosłam ją do naprawdę porządnego pomieszczenia na końcu budynku, w którym

wcześniej trzymano różnego rodzaju utensylia.

Odkąd tylko Halina wzięła się do pracy, działanie rewiru wyraźnie się poprawiło. Pacjenci dobrze reagowali na jej skuteczne metody działania, niewątpliwie wynikłe z jej niemieckiego dziedzictwa. Nie musiałam też ciągle patrzeć jej na ręce, bo Halina potrafiła podejmować decyzje nie gorzej ode mnie.

Dzięki temu mogłam nadrobić zaległości w prowadzeniu dokumentacji. Wreszcie zyskałam partnerkę, na której mogłam polegać. Komendant musiał niebawem zauważyć zmiany na lepsze.

Jeszcze w tym miesiącu Binz przedstawiła mi plan, który w jej mniemaniu był genialny.

Już od kilku tygodni męska obsada obozu planowała wyprawę do Berlina, tak by zeszła się ona przypadkiem z wyjazdem komendanta Koegla do Bonn. Miała to być „misja specjalna”, którą starali się zachować ze wszystkich sił w tajemnicy. Ale kobiety pracujące w obozie znały wszystkie szczegóły, dzięki podlegającym Binz Aufseherinnen, które regularnie sypiały ze strażnikami. Panowie wybierali się do Salonu Kitty, ekskluzywnego burdelu w zamożnej dzielnicy Berlina. Fritz, odwiedzający akurat matkę w Kolonii, wymigał się od wycieczki, ale niemal wszyscy inni mężczyźni z obsady zapakowali się do autokarów i odjechali z minami małych chłopców wybierających się na wycieczkę szkolną.

W ten sposób w obozie zostali jedynie Binz i jej Aufseherinnen, trzech starszych wartowników SS pilnujących muru z wież strażniczych, jeden nieszczęśnik przy bramie, który wyciągnął najkrótszą słomkę, i ja.

– Mam nadzieję, że żadna z nich nie spróbuje uciekać, gdy was nie będzie – powiedziałam do Adolfa Winkelmana, gdy szykowali się do odjazdu.

– Wszystko odbywa się oficjalnie, doktor Oberheuser. Dziś będzie pani najwyższym stopniem oficerem w obozie. Na wszelki wypadek rozstawiliśmy dodatkowe posterunki. – Cieszyłam się, że na wieżach strażniczych stanęli dodatkowi ludzie, doskonali strzelcy, ale im nie wolno było opuszczać swoich posterunków.

Winkelmann ruszył w stronę autokaru, skąd doleciało go nawoływanie kolegów i groźby, że pojedą bez niego.

Binz zaproponowała, żeby po ich wyjeździe urządzić przyjęcie w jednym z domów przeznaczonych dla Aufseherinnen, wybudowanym w stylu przytulnej szwajcarskiej chaty na końcu terenów, z których korzystał personel obozu, leżących poza murami. Przygotowały sobie wszystko

bardzo starannie. Miały być zawody w picciu, tańce i gry karciane. Polskim Häftlinge kazały nawet powycinać z czerwonej bibuły ich słynne wycinanki i rozwiesiły je w całym domu jak girlandy.

Postanowiłam zrezygnować z tego przyjęcia i zostałam w gabinecie z Haliną, żeby odrobić zaległości w pracy. Tym razem nie cierpiałam z tego powodu, bo po raz pierwszy od przybycia do obozu mogłam liczyć na towarzystwo inteligentnej przyjaciółki, z którą lubiłam przebywać, a nie Binz, która potrafiła jedynie snuć sprośne opowieści. Halina nie tylko uporządkowała rewir i zmniejszyła o trzy czwarte liczbę pacjentek oczekujących na leczenie, ale nadal zajmowała się w introligatorni ważnymi projektami dla komendantury. Pokazywała mi książki, które składała dla samego Himmlera. Biuro Himmlera prowadziło pełną dokumentację hodowania królików angorskich w każdym obozie, uzupełnioną szczegółowym materiałem fotograficznym. Obóz Ravensbrück należał do czołówki producentów króliczego futra – mieliśmy tu dwa razy więcej klatek niż w Dachau. Halina zszywała książki ręcznie i oprawiała je w delikatną tkaninę z angory.

– Ma pani tyle pracy, Frau Doktor – powiedziała Halina. – Czy mogę jakoś pomóc?

Jak szybko zawsze występowała z taką propozycją, moją ulubioną. Jakże przyjemnie było móc spędzać czas z kompetentną więźniarką, która się mnie nie bała. Halina nie patrzyła na mnie przerażonym wzrokiem zaszczutego zwierzęcia. Nie było w niej tej zaraźliwej zgrozy, która kazała mi zawsze patrzeć w chmury czy w żuki chodzące po kostkach placu w czasie apelów. Na cokolwiek, byle nie na więźniarki.

– Zaadresuj koperty, a ja powkładam karty – zdecydowałam.

Wysyłałyśmy karty z kondolencjami, tak zwane karty pocieszenia, do rodzin więźniarek, które z tych czy innych przyczyn zmarły w obozie. Do rodzin tych, które uznano za wymagające specjalnego traktowania i zlikwidowano. Tych, które zastrzelono w czasie próby ucieczki. Tych, które zmarły z przyczyn naturalnych. Nabazgrałam swoim lekarskim pismem: „Ciała nie można wydać ze względów higienicznych”, na większości z nich na wypadek, gdyby rodzina chciała obejrzeć zwłoki. Ta idiotyczna farsa dokładała mi co najmniej dziesięć godzin pracy tygodniowo do zajęć, których i tak miałam niemało, ale komendant uważał, że należy zachować jakieś pozory. Halina adresowała koperty zawsze, gdy znalazła wolną chwilę, aż w końcu przygotowywany przez nią stos przewyższał kupkę kart, które wypełniałam.

– To musi być wyjątkowo trudne dla rodziny otrzymać taką

wiadomość – stwierdziła Halina, adresując kolejną kopertę swoim eleganckim pismem. Czyżbym widziała łzy w jej oczach?

Do kartki z kondolencjami dołączony był formularz, po którego wypełnieniu rodzina mogła ubiegać się o wydanie prochów więźniarki. Jeśli prośba została rozpatrzona pozytywnie, wysyłano im niecałe dwa kilogramy prochów w metalowej puszcze. Przynajmniej tego nie musiałam nadzorować osobiście.

– Możemy zrobić sobie przerwę – powiedziałam.

Halina od razu usiadła prościej.

– O nie, Frau Doktor, wszystko w porządku. Mam tylko prośbę. Czy mogłaby pani... – Tak, słucham. Powiedz, o co chodzi. – Halina bardzo mi pomagała. Mogłam w zamian chociaż wysłuchać jej prośby.

Wyciągnęła list z kieszeni.

– Zastanawiałam się, czy mogłaby pani wysłać to dla mnie. To list do mojego przyjaciela. – Wyglądał na napisany na papeterii obozowej.

– Wyślij go sama. Przecież wam wolno.

Halina położyła dłoń na moim rękawie. Na palcu serdecznym miała zawiązany kawałek niebieskiego sznurka.

– Ale cenzorzy nic z nich nie zostawiają. Wycinają nawet fragmenty dotyczące pogody czy problemów z trawieniem.

Wzięłam od niej list. Był zaadresowany do Herr Lennarta Fleischera w Lublinie.

Wysłanie tego listu nie mogło być niczym złym, prawda? Przecież Halina była bardzo przydatna dla Rzeszy. Ale mogło się to skończyć naprawdę źle. Gdyby złapano mnie na czymś takim, wymierzono by mi surową karę. W najlepszym razie dostałabym oficjalną naganę.

– Muszę to przemyśleć – powiedziałam, wkładając kopertę do szuflady biurka.

Halina znów pochyliła się nad biurkiem.

– Dziękuję, Frau Doktor.

Nawet tu, do mojego gabinetu na rewirze, docierały dźwięki muzyki i śmiechy z drugiego końca lasu, z imprezy zorganizowanej przez Binz. Nagle poczułam się urażona na myśl, że abym mogła zostać uznana za najwyższego rangą oficera w obozie, musieli wyjechać z niego niemal wszyscy mężczyźni.

Nie minęła godzina wieczoru, a praca szła nam naprawdę dobrze, gdy usłyszałyśmy ogromny huk, a ziemia aż zadrżała. Spojrzałyśmy na siebie i wróciłyśmy do pracy. Czyżby strzeliła rura wydechowa?

W obozie często słyszało się hałasy, a jezioro tylko wzmacniało

dźwięki.

Kilka sekund później doleciały nas krzyki Binz i pozostałych uczestniczek przyjęcia.

– Doktor Oberheuser, musi pani przyjść! Irma jest ranna.

Znów popatrzyłyśmy na siebie, tym razem w osłupieniu.

W takich sytuacjach u osób z wykształceniem medycznym instynkt zawsze bierze górę. Halina zerwała się z miejsca i wybiegła. Ruszyłam za nią. Dobiegłyśmy do głównej bramy obozu. Już tam słyszałyśmy dolatujące z oddali, z głębi lasu głosy.

– Otwierać bramę – rozkazałam strażnikowi.

– Ale... – Jego wzrok powędrował w kierunku Haliny. Więźniarkom nie wolno było przekraczać bramy, chyba że w towarzystwie strażniczek.

– Natychmiast. Wiesz, że przewyższam cię rangą. – Dlaczego głos kobiety tak rzadko wywołuje posłuch, na jaki zasługuje?

Strażnik zwlekał jeszcze przez chwilę, lecz wreszcie otworzył bramę.

– Chodź – powiedziałam. Potrzebowałam pomocy, tylko czy nie czekała mnie za to kara?

Halina ruszyła razem ze mną w stronę domu, a miękka ścieżka między sosnami wytlumiła łomot jej ciężkich chodaków, gdy zbiegłyśmy z brukowanej drogi. Księżyc świecił jasno, więc widziałyśmy wyraźnie dom stojący na skraju zagajnika. Wewnątrz wszystkie światła były wygaszone.

Binz wybiegła z domu.

– Kuchnia się zawaliła. Irma jest tam! – wołała.

Irma Grese była jedną z najgorliwszych uczennic Binz. Co powie na to komendant?

Pobiegłyśmy z Haliną do domu, a Binz za nami.

– Na litość boską, Binz. Jak do tego doszło? – zapytałam.

– Piecyk gazowy... Zapaliła tam papierosa, a to cholerstwo po prostu wybuchło. Mówiłam jej, żeby nie paliła... Weszłyśmy z Haliną do domu i znalazłyśmy Irmę leżącą na podłodze bez znaku życia. Wybuch zniszczył sieć elektryczną, a w pomieszczeniu śmierdziało gazem. Ściana za piecykiem była całkiem zburzona, a nad nim kiwał się kawał pogiętego metalu wydający dziwnie ludzko zawodzący dźwięk. Nawet wiszący niedaleko drzwi kalendarz był przekrzywiony.

Przyklękłyśmy nad Irmą. Nawet w niemal całkowitej ciemności widziałam, jak szybko unosi się jej klatka piersiowa. Była w szoku. Rękaw jej sukienki był nasiąknięty krwią.

– Niech ktoś przyniesie koc – zażądałam.

– I świecę – dodała Binz.

– Tu ciągle czuć gaz – zauważyła Halina. – Przynieście latarkę na baterię. Byle mocną.

Binz zawahała się na moment. Czy wykona rozkaz więźniarki?

– Latarkę! – zawołała Binz przez ramię.

Usiłowałam ucisnąć ramię Irmy, ale w tej ciemności niewiele było widać. Natomiast metaliczny zapach krwi był nie do pomylenia z niczym innym. Poczulałam, jak w zaledwie kilka sekund dywan nasiąka i zamienia się w lepkie bajoro.

– Musimy przenieść ją na rewir – powiedziałam.

– Nie przeżyje – odparła Halina. – Musimy pracować tutaj.

Zwariowała?

– Przecież niczego tu nie mamy... Strażniczki Binz obstąpiły nas w milczeniu. Halina wahała się przez dłuższą chwilę. Nie chciała ratować życia Aufseherin? W końcu sięgnęła do rękawa sukienki Irmy i zaczęła go pruć.

Binz rzuciła się w kierunku Haliny.

– Co ona robi?

Powstrzymałam ją.

– Odsłania ranę – wyjaśniłam.

W ten sposób nie tylko zyskałyśmy dostęp do samej rany, ale też znalazłyśmy źródło krwawienia. Jedna z dziewczyn Binz wróciła z silną latarką i dopiero wtedy mogłyśmy ocenić rozmiar obrażeń: utrata świadomości, liczne stłuczenia, oparzenia drugiego stopnia i sinica – chłodna, niebieska w odcieniu skóra – objawy wstrząsu. Ale w tej chwili trzeba było zająć się przede wszystkim przyczyną krwawienia – rozcięciem długości boku karty do gry na górnej części ramienia, przypuszczalnie spowodowanym wyrzuconym przez wybuch kawałkiem metalu z piecyka. Rana była tak głęboka, że doskonale widziałyśmy kość. Chwyciłam Irmę za nadgarstek, ale ledwie wyczuwałam puls. Takie obrażenia dawały małą szansę na przeżycie.

Halina ściągnęła przez głowę więzienny uniform, zostając, mimo mrozu, w samych szarych reformach i ciężkich chodakach, ale i te zrzuciła od razu z nóg. Podarła workowatą sukienkę na długie paski o szerokości pięciu centymetrów. Trudno było nie dziwić się jej zdecydowaniu. Policzki zaróżowiły się jej z wysiłku, a oczy błyszczały w świetle latarki. Była stworzona do tej pracy.

Dopóki nie zdjęła ubrania, nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo była niedożywiona. Nawet na racjach wydawanych mieszkankom bloku pierwszego straciła bardzo dużo na wadze, szczególnie w okolicach bioder

i ud. Ale jej skóra zachowała piękny, równy koloryt i delikatną biel, niczym świeże mleko. W skąpym świetle zdawała się aż błyszczeć. Tylko Niemka mogła zareagować tak heroicznie.

– Musimy przenieść ją na rewir – zaopiniowała Binz.

Dołączyłam do Haliny i razem darłyśmy bawełnę na pasy. Potem zaczęła zawijać paski materiału kilka centymetrów nad raną i zawiązała je na perfekcyjny węzeł.

– Najpierw opaska uciskowa – wyjaśniłam Binz.

Podeszłam do wiszącego na ścianie kalendarza i wyciągnęłam z niego drewnianą listewkę. Podałam ją Halinie, a ona dowiązała do niej dwa paski materiału, przygotowując w ten sposób opaskę uciskową.

Pomogłam jej skręcać listewkę, aż materiał mógł napiąć się tak, by powstrzymać krwawienie.

Niebawem pacjentka zaczęła reagować na bodźce, a my przygotowałyśmy nosze z koca, na których cztery strażniczki uniosły Irmę i pośpieszyły do obozu. Jednej z pozostałych kazałam też przynieść koc i narzuciłam go Halinie na ramiona, bo trzęsa się już niczym w febrze.

Ruszyłyśmy we dwie za Binz i jej dziewczynami niosącymi Irmę na rewir. Zastanawiałam się nad tym, co dalej należy zrobić. Powinnyśmy oczywiście podać dożylną kroplówkę... Halina przystanęła w ciemności. Co tam robiła?

Patrzyła na jezioro, które migotało w ciemnościach, jakby ktoś rozsypał tam brylanty.

– O co chodzi? – zapytałam.

Czyżby i ona była w szoku?

– Halino, czeka nas mnóstwo pracy.

I wtedy to do mnie dotarło – zastanawiała się, czy nie uciec!

Naprawdę? Więźniarka ubrana w sam koc i reformy nie mogła dotrzeć daleko. Do tej pory w Ravensbrück zdarzyły się tylko trzy ucieczki, a dla dwóch Häftlinge skończyły się one tragicznie. Sprowadzono je do obozu, kazano im nosić na szyi tabliczki z napisem HURA, HURA, ZNÓW TU JESTEM!, potem poddano torturom i wreszcie rozstrzelano pod murem.

Tylko tego było mi potrzeba – ucieczki na mojej warcie.

– Chodź natychmiast – nakazałam.

Halina stała nieruchomo. Jej blond włosy wydawały się jeszcze jaśniejsze w świetle księżyca, ale twarz kryła się w cieniu. W panującej wokół ciszy słyhać było uderzenia fal jeziora o brzegi.

– Natychmiast – powtórzyłam. – Trzeba zająć się pacjentką.

Halina nie poruszyła się w ciemności.

Na wieży zapalił się reflektor łukowy i zaczął omiatać dziedziniec, a potem tereny przy jeziorze. Już nas szukali.

– Oddałaś dziś ogromną przysługę Rzeszy, Halino. Na pewno zostaniesz nagrodzona. Chodź już.

Psy w psiarni zaczęły szczekać. Ile czasu potrzeba, by zgłosić ucieczkę i spuścić psy?

Halina nadal się nie ruszyła. Czy strażnicy na wieżach już nas dostrzegli?

Wzięła głęboki wdech, potem wypuściła powietrze, a wokół jej ust natychmiast pojawiła się delikatna jak widmo mgła, rozświetlona jeszcze światłem księżyca.

– Chciałam po prostu popatrzeć stąd na obóz – powiedziała nieobecny głosem.

Dlaczego w ogóle pozwoliłam jej przejść przez bramę?

Halina wzięła jeszcze jeden wdech.

– Tak dawno nie oddychałam na wolności. Jezioro. Jest takie... –
Musimy się pośpieszyć – powiedziałam.

Powoli dołączyła do mnie i wróciliśmy razem na rewir. Słyszałam tylko łomot jej chodaków na bruku i czułam, jak bardzo wilgotny jest mój kitel, gdy cała zlałam się potem.

Odetchnęłam dopiero, gdy zamknęły się za nami bramy obozu.

Wieści o wieczornych wydarzeniach rozeszły się następnego dnia lotem błyskawicy. Gdy komendant wrócił do obozu, a panowie ściągnęli ze swojej wyprawy do burdelu, osobiście podziękował mi za zaangażowanie i zdolność szybkiego reagowania. Powiedział, że osobiście napisze do Himmlera o mojej przedsiębiorczości i odwadze w ratowaniu jednej z najlepszych pracownic Rzeszy. Wszyscy w obozie mi gratulowali, oczywiście z wyjątkiem siostry Marschall, która jedynie zaciskała usta, gdy pojawiał się ten temat, zazdrosna o to, że Polka pomagała mi w akcji ratunkowej.

Kilka dni później siedziałyśmy z Haliną nad pilnymi dokumentami, które wypełniałyśmy ramię w ramię przy moim biurku. Na tym etapie prawie nie musiałyśmy ze sobą rozmawiać, tak dobrze znałyśmy swoje przyzwyczajenia i tempo pracy. Halina dostała od blokowej pozwolenie na pozostawanie poza blokiem po zgaszeniu świateł, więc wiedziałam, że zawsze znajdzie czas, żeby mnie odwiedzić. Tego ranka poszłam do magazynu odzieży, w którym składowano rzeczy zarekwirowane przez Rzeszę podbitym narodom. Były tam nie tylko ubrania, ale też srebra, naczynia i tym podobne. Wszystko starannie posortowane, szybko

znalazłam więc to, czego potrzebowałam – ciepły sweter dla Haliny i fonograf z kilkoma płytami. Pozwolono mi ustawić go w gabinecie i puszczać muzykę, byle nie za głośno.

Jedna z badaczek Pisma przyniosła nam kanapki z serem z kantyny oficerskiej – bardziej dla Haliny niż dla mnie – a ja nastawiłam płytę. Miała tytuł Fokstrot z Warszawy.

– Uwielbiam tę piosenkę – wyznała Halina.

Ściszyłam dźwięk. Nikt na rewirze nie powinien słyszeć, że puszcza polskie piosenki.

Halina zaczęła lekko kołysać się w takt muzyki, nie przestając jednocześnie adresować kopert.

– Nauczyłam się fokstrota do tej piosenki.

– Możesz mnie nauczyć? – zapytałam. Bo przecież nie było w tym nic złego. Wszyscy w obozie znali ten krok, tylko nie ja. W szkole medycznej nie było czasu na takie rozrywki.

Halina pokręciła głową.

– Nie wydaje mi się... – Nalegam. – Podniosłam się z miejsca.

Halina też wstała powoli.

– Frau Doktor, nie jestem najlepszą nauczycielką.

– Pośpiesz się, zanim piosenka się skończy. – Uśmiechnęłam się do niej.

Położyła mi jedną dłoń na plecach, drugą chwyciła moją.

– Postawa wyprostowana, jak przy innych tańcach towarzyskich – wyjaśniła.

Zrobiłyśmy dwa kroki do przodu, potem jeden w bok w rytm muzyki. Halina mocno się nie doceniała.

Była doskonałą nauczycielką.

– Wolno, wolno, szybko, szybko. Rozumie pani?

Krok był bardzo prosty, opanowałam go więc niemal natychmiast. Halina pozwoliła mi wirować w niewielkim gabinecie. Byłyśmy doskonale zgrane. Wkrótce obie śmiałyśmy się z tego, jak doskonale się nam tańczy. Nie śmiałam się tak od czasu przyjazdu do obozu.

Zatrzymałyśmy się w końcu, żeby złapać oddech. Odgarnęłam Halinie pasmo włosów z czoła.

Halina odwróciła się i poczułam, jak sztywnieje. Również zerknęłam do tyłu i zobaczyłam stojącą w drzwiach siostrę Marschall z formularzem zamówienia w dłoni. Żadna z nas nie usłyszała otwierania drzwi.

– O co chodzi, Marschall? – Próbowałam złapać oddech.

Halina uniosła igłę patefonu z płyty.

– Przyniosłam formularz zamówienia – powiedziała. – Miałam zostawić go u pani na biurku, ale widzę, że jest pani zajęta. – Obrzuciła Halinę gniewnym spojrzeniem. – No i zostawiła pani otwartą szafkę z lekami.

– Zajmę się tym. A teraz zostaw nas same. Jestem zajęta.

Siostra Marschall podała mi formularz i wyszła, ale wcześniej raz jeszcze zmierzyła Halinę głębokim wzrokiem.

Drzwi za siostrą Marschall zamknęły się tak samo cicho, jak wcześniej otworzyły. Wymieniłam spojrzenia z Haliną. Właśnie zaszło coś nieuchwytnego, coś niebezpiecznego, czego nie dało się już cofnąć.

– Powinna nauczyć się pukać – powiedziałam.

Halina przyglądała mi się z pobladłą twarzą.

– Wyglądała na niezadowoloną, Frau Doktor.

– Pies, który szczeka, nigdy nie gryzie – powiedziałam, wzruszając ramionami. – Ona nie nadaje się do niczego.

Gdybym tylko wiedziała, jaką cenę przyjdzie mi zapłacić za niedocenianie siostry Marschall.

Rozdział 15
Caroline
1941

Chwyciłam się krawędzi biurka.

– Roger, powiedz mi, co się stało.

– Dopiero się dowiedziałem, Caroline. Znaleźli nazwiska Paula i Reny na liście aresztowanych.

Paul aresztowany?

– Dziękuję, że nie powiedziałaś tego przy Pii. – Zdołałam się nie rozpłakać, ale kartonowe teczki straciły nagle ostrość. – Wiadomo coś o ojcu Reny? Mieszkał z nimi w Rouen.

– Jeszcze nie. Sprawdzam raporty co godzinę. Wiesz oczywiście, że zrobimy wszystko, co się da, żeby ich namierzyć.

– Przynajmniej wiadomo, że żyją, prawda? Za co ich aresztowano?

– Żebym wiedział. Wiadomości z Londynu są niepełne. Nie podano też żadnych miejsc. Ale to nie wszystko, C. Licząca trzy miliony armia niemiecka maszeruje właśnie na Rosję.

– A co z paktem o nieagresji? – Hitler był szalonym łgarzem, a mimo to każda zmiana frontu zaskakiwała niepomierne.

– Hitler po prostu go zignorował, C. Niedźwiedź nie będzie zadowolony. – Roger uwielbiał określać Sowietów mianem „niedźwiedzia”. Nazwa zresztą wydawała się bardzo na miejscu. – Sięga po wszystko, na co ma ochotę. Nie wróży nam to najlepiej.

Nie musiał tego mówić. Lada chwila przejmie kontrolę nad połową świata. Czy Anglia będzie następna?

– Bardzo mi przykro, C.

Rzeczywiście wyglądał, jakby było mu przykro. Może żałował, że nie działał bardziej zdecydowanie w sprawie Reny.

Tego dnia ledwie dawałam radę funkcjonować, gnębiona ciągle pytaniami bez odpowiedzi.

A gdyby Paul został w Nowym Jorku? Czy wszystko potoczyłoby się inaczej, gdybym bardziej naciskała Rogera w sprawie wizy dla Reny?

Na dobitkę dostałam też telefon, że Betty Stockwell Merchant urodziła ważącego trzy kilogramy chłopca, któremu dała na imię Walter po swoim ojcu. Mimo że miałam dużo pracy, wymknęłam się w czasie

lunchu, żeby odwiedzić ją w szpitalu. Bardzo chciałam zobaczyć dziecko, chociaż po usłyszeniu tej wiadomości musiałam jakoś przełknąć gorzką pigułkę zazdrości, w czym wydatnie pomogły mi pączki z marmoladą. Miałam nadzieję, że zmiana otoczenia pozwoli mi przestać myśleć o problemach. Bardzo chciałam móc podzielić się z Betty dręczącym mnie niepokojem o Paula.

Po drodze do szpitala kupiłam bukiet ulubionych kwiatów Betty, wielobarwnych tulipanów papuzich, chociaż zdecydowanie nie potrzebowała teraz większej ilości kwiatów. Jej pokój w szpitalu Świętego Łukasza wyglądał teraz jak boks Whirlaway^[6] zaraz po Kentucky Derby. Wszędzie zwisały girlandy kwiatów, była tam wielka podkowa z róż i goździki ułożone w misterną konstrukcję na ramie, przepasane szarfą z napisem GRATULACJE! A przy łóżku w wazonie stały dwa tuziny farbowanych na śliczny niebieski kolor róż, które zwieszały teraz łebki w zawstydzeniu.

– Dziękuję za tulipany, Caroline – powiedziała Betty. Leżała na opartych o wezglowie szpitalnego łóżka poduszkach w uroczej piżamie z różowej satyny i turbanie w tym samym kolorze. – Zawsze pamiętasz, co lubię.

Do sali weszła pielęgniarka z dzieckiem. Gumowe podeszwy praktycznie wygłuszyły jej kroki. Gdy zobaczyłam synka Betty, praktycznie zapomniałam o swoich zmartwieniach.

– No dalej. Weź go na ręce – powiedziała Betty, zachęcając mnie ruchem dłoni. Dziecko natychmiast ułożyło mi się wygodnie w ramionach, ciepłe, ciasno owinięte powijakami. Paluszki zacisnęło w piąstki pod brodą, a buzię miało spuchniętą niczym bokser po walce. Mały Walter musiał wykazać się wielkim duchem, jeśli miał poradzić sobie z rodzicami, którzy najlepiej czuli się w osobnych strefach czasowych.

– Wiem, że jestem niewdzięczna, Caroline, ale nie czuję, żebym była gotowa na dziecko – oświadczyła Betty, po czym otarła spływającą jej z oka łzę.

– Jak możesz tak mówić, kochanie?

– Powiedziałam Philowi, że nie chcę jeszcze dziecka, ale nie słuchał. I to po wszystkim, co dla niego zrobiłam. Dla tego człowieka włożyłam buty do golfa.

– Będiesz wspaniałą matką.

– Mają tu doskonałą obsługę, Caroline – powiedziała Betty, nieco się uśmiechając. – Lepszą niż w Plazie, mówię ci. Przynoszą mi dziecko co godzinę i ciągle muszę powtarzać im, żeby trzymały je na oddziale

noworodków. Oni wiedzą, co robić z niemowlakami.

– Piękny chłopak – powiedziałam.

Pogłaskałam jego miękką jak płatki kwiatów piąstkę.

Walter przeciągnął mi się w ramionach, a potem zamrugał, gdy coś mu się śniło. Poczułam znajomy ból i łzy napływające do oczu. Nie teraz.

– Teraz musimy cię wydać za męża, Caroline, i poczekać, aż ty urodzisz. W tej kolejności.

– Skończyłam już z tymi sprawami – ucięłam.

– Zaczęłaś już nosić bieliznę swojej mamy? Nieprawda? W takim razie wcale nie skończyłaś.

Pielęgniarka wróciła po Waltera i wyniosła go z sali, zupełnie jakby Betty nacisnęła guzik wzywający pokojówkę. Trzymałam go, jak długo się dało, zanim oddałam go wreszcie pielęgniarce. Gdy odchodziła, chłód i pustka moich ramion zdały mi się jeszcze bardziej dojmujące.

– Roger powiedział mi dziś, że aresztowano Paula i Renę – wyznałam.

– Och, Caroline, tak mi przykro, kochanie. Czy wiadomo, dokąd ich zabrali?

Podeszłam do okna z rękoma złożonymi na piersi.

– Nikt nie wie. Do aresztu w Paryżu albo do któregoś z obozów przejściowych, ale to tylko przypuszczenia. Nie wiem, co robić.

Za oknem w parku jakiś malec próbował puszczać latawca, ale ten tylko opadał ciężko na ziemię. Ma za ciężki ogon, pomyślałam. Po prostu go odczep.

– To musi być dla ciebie straszne, kochanie – powiedziała Betty.

– Nie mogę pracować.

– Po powrocie do domu chcę urządzić przyjęcie w stylu hawajskim. Pomóż mi je zaplanować. Albo bądź moją parą do brydża na przyjęciu u Vanderbiltów. Mam grać z Pru, ale ona nie będzie miała nic przeciwko zamianie.

– Nie mam teraz głowy do przyjęć, Betty. Muszę się dowiedzieć, dokąd zabrali Paula.

– Odpuść to, C. To oczywiście strasznie smutne, ale z Paulem Rodierre'em nie ułożysz sobie przecież normalnego życia.

– A kto decyduje o tym, co jest normalne?

– Dlaczego musisz zawsze wszystko utrudniać? Mogłaś z Davidem... – To David zostawił mnie.

– Wzięłby z tobą ślub, gdybyś więcej była w domu. Tournée teatralne po dziesięciu miastach nie sprzyja zacieśnianiu znajomości.

Mężczyzna lubi być centrum twojego świata. Teraz, kiedy żyjesz już spokojniej, musisz się pośpieszyć, znaleźć sobie męża i urodzić dzieci. Pamiętaj, kobieta nie jajeczkuje wiecznie.

Sama wzmianka o maleńkich, delikatnych jajeczkach przepływających gdzieś we mnie sprawiła, że się skrzywiłam.

– Betty, to śmieszne.

– Powiedz to swoim jajnikom. W Nowym Jorku pełno jest odpowiednich mężczyzn, ale ty musisz uganiać się za jakimś we francuskim więzieniu.

– Muszę wracać do pracy. Odrobina współczucia by cię nie zabiła. Ostatecznie mówimy tu o ludzkich życiach.

– Przykro mi, że nie mam ochoty o tym słuchać, ale, kochanie, przecież on nawet nie jest z naszej klasy.

– Naszej klasy? Mój ojciec zarabiał na życie.

– Tak, po tym, jak ukończył St. Paul's^[7].

– Nie obraż się, Betty, ale jak się patrzy na twojego brata, to widać, że rozpieszczanie przez rodziców kończy się tragedią.

– I to mówi kobieta, którą do szesnastego roku życia ubierała pokojówka. Caroline, naprawdę odrobina zdrowego rozsądku nie zaszkodzi. Jeszcze nie jest za późno... – Na co? Na ratowanie mojej reputacji? Mam poślubić kogoś, kogo nie znoszę, byle tylko mieć partnera na kolejnym hawajskim przyjęciu? Ty może i masz dziecko i męża, ale mnie zależy na szczęściu w życiu, Betty.

Betty zacisnęła dłonie na brzegu satynowego koca.

– W porządku, ale nie przychodź się do mnie wyplakać, kiedy wszystko to zawali się jak domek z kart.

Odwróciłam się i wyszłam, zastanawiając się, jak mogłam przyjaźnić się z kimś, komu wcale nie zależało na moim szczęściu. Nie potrzebowałam Betty. Miałam mamę. Na razie musiało mi to wystarczyć.

Nic na świecie nie mogło skłonić mnie do zrezygnowania z Paula.

Jakiś tydzień później Roger oznajmił, że konsulatu nie stać na dalsze dofinansowywanie paczek z ubraniami, które wysyłałam do Francji. Jednocześnie z sierocińców napływały listy i kartki pocztowe z prośbą o pomoc, wyrażoną w najmilszy z możliwych sposób. Czy mogłabym ich zawieść? Nie śmiałam prosić mamy o część pieniędzy ze środków przeznaczonych na utrzymanie domu. Po śmierci taty i tak musiała mocno liczyć się z każdym groszem. Przez chwilę czekałam na jakiś cud, a potem zrozumiałam, gdzie muszę się udać.

Do antykwariatu Snydera i Goodricha.

Już wiele lat wcześniej mama przebąkiwała, że warto rozważyć sprzedaż mniej używanych sreber i zebrane w ten sposób pieniądze przeznaczyć na cele dobroczynne. Nie zdziwiło mnie to, bo po Mamie Woolsey odziedziczyła nie tylko srebra, ale też skłonność do dobroczynności. Nigdy nie mierzyła niczyjej wartości w uncjach czy karatach, wiedziałam więc, że nie będzie jej żal kilku widelców do ostryg, których nikt nie brał do ręki od czasów wojny secesyjnej.

Nie ruszyłabym przecież widelców obiadowych.

Antykwariat Snydera i Goodricha mieścił się dostatecznie daleko w centrum, by uchodzić za lokal dyskretny, a w dodatku znajdował się obok doskonałej pracowni perukarskiej. Po wejściu do Snydera i Goodricha każdy zaczynał zachowywać się inaczej, bo przecież przychodziło się tu, by sprzedać rodowe srebra i mieć za co utrzymywać wujka hazardzistę przez następny miesiąc czy mieć na zapłatę zaległego podatku. Druga kuzynka Betty, której mąż trafił do więzienia za oszustwa podatkowe, połknęła całe opakowanie środków nasennych tego dnia, w którym jej ślubna porcelana trafiła do Snydera i Goodricha. Zdołali ją odratować, ale jej reputacji nic nie mogło już pomóc.

Ci, którzy szastali pieniędzmi na prawo i lewo, nie przejmowali się zachowywaniem pozorów. Po wiosennych porządkach wysyłali szofera w liberii albo pokojówkę w pełnym stroju do S&G razem ze wszystkim, czego właśnie się pozbywali. Starym dywanem z Hamadanu czy paterą na paluszki z Limoges.

Mama nigdy nie trzymała szofera w mieście, a kilka pokojówek, które dla nas pracowało, było w tej chwili w The Hay, więc pewnego dnia wzięłam po prostu zawinięte we flanelową ściereczkę Pacific widelce do ostryg z piramidy sztucców przechowywanych w naszym nowojorskim mieszkaniu i zawiozłam je osobiście do sklepu. Pan Snyder niewątpliwie rad będzie zobaczyć srebra Woolseyów.

Przeszłam przez próg, zanurzając się od razu w mgłę cygarowego dymu. Przez chwilę nie potrafiłam pozbyć się wrażenia, że wewnątrz jest więcej gablotek niż w całym Muzeum Historii Naturalnej. Przy ścianach stały gabloty sięgające sufitu, a wokół całego pomieszczenia ciągnęły się przeszklone lady w odległości równej ludzkiemu wzrostowi od ścian. Szyby w nich były starannie wypolerowane, a wewnątrz tłoczyły się przedmioty stanowiące niegdyś wyposażenie wielu domów, posegregowane według kategorii: ozdobne szable, ozdobione chwastami pochwy, monety, obrazy i mnóstwo kompletów kieliszków. Także oczywiście srebra i tace ułożone w osobnych szafkach, w stosownej

odległości od siebie.

Przy jednej z sięgających pasa gąbrot stał schludny mężczyzna, dobrze pod sześćdziesiątkę. Rozłożył na niej strony z „New York Timesa” i polerował srebrny zestaw do kawioru. Wszystkie zapalniczki, wykałaczkę z drewna pomarańczowego i ściereczki do polerowania leżały porozkładane wokół zestawu. Z tej odległości bez trudu przeczytałam leżący do góry nogami nagłówek gazety: HITLER UDERZA NA ROSJĘ. ARMIE MASZERUJĄ OD ARKTYKI DO MORZA CZARNEGO. DAMASZEK PADA. USA WYDAŁA KONSULA RZYMSKIEGO.

Mężczyzna, który przedstawił się jako pan Snyder, rozwinął przyniesione przeze mnie flanelowe zawiniątko, wyjął jeden z widelczyków do ostryg z taką delikatnością, z jaką pobiera się szafran z krokusów. Włożył do oka lupę jubilerską i zbadał dokładnie herb Woolseyów umieszczony na uchwycie. Nie wątpiłam, że ten herb – doskonale oddany w srebrze, dwie ażurowe sylwetki lwów podtrzymujących tarczę, nad którą znajdował się średniowieczny hełm zwieńczony klejnotem w postaci gołego ramienia z piszczelem w dłoni – zrobi wrażenie na panu Snyderze.

Pan Snyder odczytał łacińską inskrypcję na szarfię herbu: Manus Haec Inimica Tyrannis.

– To dewiza naszej rodziny. Oznacza: „Ta dłoń z piszczelem może wzniesić się w gniewie wyłącznie przeciw tyranowi lub samej tyranii”. – Pan Snyder z pewnością marzył, by przedmiot o tak wielkiej wartości historycznej znalazł się w jego sklepie. – Ile może pan za to dać?

– To nie licytacja, panno Ferriday. Pchli targ przy Clignancourt to w tamtą stronę – powiedział, wskazując poczernionym patyną palcem w kierunku Paryża.

Pan Snyder mówił doskonale po angielsku, a jego niemiecki akcent niemal nie rzucał się w uszy. Mimo że jego nazwisko brzmiało z angielska, niewątpliwie przybył tu z Niemiec. Podejrzewałam, że Snyder pisało się niegdyś Schneider i zostało zanglicyzowane z przyczyn komercyjnych. Po pierwszej wojnie światowej na przybyszy z Niemiec zaczęto patrzeć w Ameryce nieprzychylnie, choć ostatnio ten trend uległ odwróceniu i wielu Amerykanów wyrażało poglądy proniemieckie. Zgadywałam też, że nazwisko Goodrich dodano, by całość nabrała bardziej brytyjskiego charakteru, bo pana Goodricha nie było nigdzie widać.

Pan Snyder obmacał starannie widelec do ostryg, tak jak ślepiec bada czyjąś twarz, sprawdził sprężystość zębów, a potem chuchnął na

powierzchnię.

– Zęby nie są rozgięte. To dobrze. Herb jest pozapychany. Czy były czyszczone chemicznie?

– Nigdy – odparłam. – Wyłącznie za pomocą bawełny i roztworu Goddarda.

Zwalczyłam potrzebę przyprawienia swoich słów uśmiechem. Francuzi zwykli traktować naszą skłonność do uśmiechania się jako błąd taktyczny. Oznakę amerykańskiej słabości.

Pan Snyder chwycił jedną z zapalek i jej koniec wsadził w ażurowy wzór herbu. Różowa skóra jego czaszki prześwitująca przez siwe włosy pasowała kolorem do pasty na ściereczce, która leżała nieopodal.

– Doskonale – powiedział pan Snyder, po czym pogroził mi palcem. – Ale srebro lepiej trzymać spatynowane i polerować wyłącznie przed użyciem. Patyna je chroni.

– Te srebra należały do mojej praprababki Elizy Woolsey – oznajmiłam. Zaskoczyło mnie, że nagle zapragnęłam zacząć wrzeszczeć.

– Wszystko tu należało kiedyś do czyjejś prababki. Od pięciu lat nie kupiłem żadnego widelca do cytryn, sardynek, wiśni czy ostryg, a co tu mówić o pani dwunastu. Nie ma na nie zbytu.

Jak na kogoś, kto zachwalał zalety utrzymywania patyny na srebrze, sam swoje polerował aż nadto starannie.

– Może powinnam spróbować u Sotheby’ego – powiedziałam.

– Proszę uprzejmie. – Pan Snyder zaczął zwijać brązową flanelę. – Oni nie odróżnią łyżki do bulionu od szufelki do orzechów.

– Srebra Woolseyów są wymienione w księdze Skarbów wojny secesyjnej.

Machnął w stronę stojącej za nim gabloty.

– A ta waza do ponczu pochodzi z czasów rewolucji francuskiej.

Pan Snyder nagle zmienił nastawienie, gdy przeszłam na jego rodzimy język. Po raz pierwszy ucieszyłam się, że tata nalegał, bym uczyła się niemieckiego.

– Księga wymienia też czarkę zakochanych, która należała do mojej praprababki Elizy Woolsey – powiedziałam, wydobywając z zakamarków pamięci przeszłą formę niemieckiego czasownika „należeć”.

– Gdzie się pani nauczyła niemieckiego? – zapytał z uśmiechem.

– W szkole. W Chapin.

– A ta czarka też jest ze srebra? – dociekał nadal po niemiecku.

– Owszem. Inkrustowana złotem. Podarowana praprababce przez rodzinę młodego kaprała, którym opiekowała się pod Gettysburgiem.

Zmarłby z odniesionych ran, gdyby nie Eliza. Razem z czarką dostała też piękny list.

– Straszna bitwa ten Gettysburg. Czy czarka ma grawer?

– Dla Elizy Woolsey z wyrazami największej wdzięczności – powiedziałam. – Wzór przedstawia Pana trzymającego kosz złotych kwiatów.

– Ma pani ten list?

– Tak. Padają w nim szczegóły dotyczące ucieczki tego kaprała z bagien Chickahominy.

– Dobra proweniencja – stwierdził pan Snyder.

Prędzej dałabym się pokroić, niż rozstała z tą czarką, ale opowieść zmiękczyła pana Snydera na tyle, żeby złożył mi ofertę na widelce.

– Nie mogę dać więcej niż czterdzieści pięć dolarów – powiedział. – Cena srebra nie podniosła się od czasów tamtych trudności.

Od Czarnego Wtorku minęło już przeszło dziesięć lat. W 1941 roku gospodarka kraju zaczynała już funkcjonować, a mimo to niektórzy nadal nie potrafili zmusić się do wypowiedzenia słowa „kryzys”.

– Panie Snyder, proszę je przetopić i podnieść cenę do siedemdziesięciu pięciu.

– Sześćdziesiąt.

– W porządku.

– Robienie interesów z panią to przyjemność – oznajmił. – Żydzi przychodzą tu, jakby mnie robili uprzejmość.

Odsunęłam się od lady.

– Panie Snyder, proszę wybaczyć, jeśli odniósł pan wrażenie, że będę tolerować jakiegokolwiek rodzaju oszczerstwa. Nie wiem, jak stoją sprawy w Niemczech, ale ja nie mam zamiaru prowadzić interesów z antysemitami.

Zwinęłam brązową flanelę z widelczykami.

– Ależ, panno Ferriday. Proszę wybaczyć mi przejęzyczenie. Gorąco przepraszam.

– U podwalin tego kraju leżą założenia równości i uczciwości. Lepiej zrobi pan, pamiętając o tym. Nie sądzę, by wieść o tym, że żywi pan negatywne uczucia do którejś z grup etnicznych, wpłynęła korzystnie na pańskie interesy.

– Zapamiętam to, oczywiście – powiedział i delikatnie wyłuskał mi widelczyki z rąk. – Proszę przyjąć raz jeszcze moje najszczerze przeprosiny.

– Zgoda. I proszę nie chować urazy, panie Snyder, ale naprawdę

wymagam od ludzi, z którymi robię interesy, zachowania najwyższych standardów.

– Doceniam to, panno Ferriday, i bardzo przepraszam, że panią obraziłem.

Tego dnia wyszłam ze sklepu spółki Snyder i Goodrich pełna optymizmu i z wystarczającą ilością gotówki w kieszeni, by wysłać paczki z ubraniami oraz skrzynkę przekazanego w darze mleka w proszku.

Pocieszałam się myślą, że czasami trzeba zawrzeć pakt z diabłem, żeby pomóc tym, którzy tego potrzebują. Dobiłam targu z antysemitą, ale skorzystają na tym okupowani.

Dzięki panu Snyderowi pięćdziesięcioro osieroconych francuskich dzieci będzie wiedziało, że ktoś o nich pamięta.

Rozdział 16
Kasia
1941–1942

Za brak szacunku dla Armii Grese Binz wysłała mnie do bunkra na dwa tygodnie. Blok karny w pełni zasługiwał na swoją reputację – w ciemnej, zimnej izolatce znajdował się tylko stołek. Oraz armie karaluchów. Cały ten czas opłakiwałam panią Michalską i układałam w myślach plany zemsty, a w moim sercu narastał mrok. Wiedziałam, że Niemcy zapłacą mi za to, co zrobili pani Michalskiej. W ciemności celi wyobrażałam sobie wszystko ze szczegółami. Siebie na czele masowej ucieczki. Siebie mordującą Binz nogą od stołka. Siebie piszącą zaszyfrowane listy do taty, w których podam wszystkie nazwiska.

Wiedziałam, że muszę uzbroić się w cierpliwość, ale że ten dzień nadejdzie.

Następnej wiosny mama odwiedziła nas pewnej niedzieli, co było prawdziwym darem niebios, bo odkąd przeniesiono ją do baraków dla elity, prawie jej nie widywałyśmy. Zaskoczyła nas, gdy siedziałyśmy na pryczach tuż przed capstrzykiem. Razem z Luizą, Zuzanną i Janką chciałyśmy właśnie grać w pewną naszą głupią grę. Nazwałyśmy ją „Co zabrałabyś ze sobą na marsz wzdłuż Alei Gwiazd”.

Wtedy już marsz wzdłuż Alei Gwiazd miał dla nas inne znaczenie. Skazane na śmierć musiały przejść nią aż pod mur, gdzie je rozstrzeliwano. Jeśli dziewczyna miała nieco szczęścia, koleżanki zdążyły uczesać ją i ubrać tak, by tę ostatnią drogę pokonała, wyglądając naprawdę pięknie.

Gra polegała na tym, by wymyślić jak najbardziej absurdalne rzeczy, jakie zabrałybyśmy ze sobą w przemarsz pod mur. Wiem, że teraz brzmi to dziwnie, ale takie patologiczne gry jak „Różowy dym, niebieski dym”, w której obstawiałyśmy, jaki kolor dymu uniesie się z pieca po dziewczynie, były dla nas pewną pociechą. Po dwunastu godzinach pracy wszystkie byłyśmy zmęczone i okropnie głodne, więc takie zabawy pomagały się nam pośmiać.

Mama wspięła się na moją pryczę i pocałowała mnie w czoło. Miała na ramieniu żółtą przepaskę jak więźniarki uprzywilejowane, które mogły poruszać się po całym obozie. Przesunęłam palcami po wypukłym

czerwonym tekście wyszytym na opasce i poczułam, jak przechodzi mnie dreszcz.

Odepchnęłam złe przeczucia. Jak dobrze było znów ją widzieć! Moją uwagę przyciągnął cieniutki niebieski sznurek, którym przewiązała sobie palec. Chciała przypomnieć sobie, że nadal jest żoną taty?

– Mogę zostać tylko przez chwilę – powiedziała, łapiąc oddech po biegu z bloku pierwszego. Drzwi zamykano o dziewiątej i od tej reguły nie było wyjątków. Nawet żółta opaska na ramieniu nie uratowałyby mamy, gdyby złapano ją poza blokiem nocą. Za coś takiego groził bunkier albo jeszcze gorsza kara. Do tego wprowadzono nowe zakazy, które miały wyeliminować nawiązywanie się przyjaźni, szczególnie wśród Polek. Od teraz odwiedzanie się i zagłądanie przez okna do wnętrza baraków było zakazane. Podobnie pomaganie sobie w czasie apelów. Oraz rozmawianie bez pozwolenia.

Mama uściskała nas wszystkie po kolei, a ja zachłysnęłam się jej rozkosznym zapachem. Spod sukienki wyciągnęła zawiniątko opakowane w czystą lnianą szmatkę, a gdy je rozwinęła, zobaczyłyśmy cały bochenek białego chleba. Skórkę miał brązową, posypaną odrobiną soli. Pachniał świeżymi drożdżami!

Każda z nas dotknęła go, jakbyśmy sprawdzały, czy jest prawdziwy.

– Kolejny bochenek? – zdumiała się Zuzanna. – Skąd ty je bierzesz? Mama uśmiechnęła się tylko.

– Nie zjadajcie od razu całego, bo się pochorujecie.

Zuzanna wsunęła go pod naszą poduszkę. To był dopiero prezent!

Luiza przytuliła się do mamy.

– Chyba już wiem, co potrafię robić najlepiej.

– Tak? – zapytała mama. – Nie trzymaj mnie w niepewności.

Luiza wyciągnęła z kieszeni kłębek błękitnej nitki.

– Skąd to masz? – zapytałam, wyciągając go z jej dłoni.

Natychmiast mi go zabrała.

– Wymieniłam za papierosa znalezionego na placu. Moja przełożona mówi, że nigdy jeszcze nie widziała, żeby ktoś tak szybko robił na drutach. Nie przydzielają mnie już do wyczesywania królików.

Teraz pracuję wyłącznie w Strickerei.

Die Strickerei, czyli blok robótek ręcznych, był osobliwym miejscem, do którego trafiały tylko najlepsze i najszybsze z kobiet robiących na drutach. Gdy się zajrzało do środka, można było zobaczyć rząd kobiet robiących na drutach w zawrotnym tempie, co przypominało nieco oglądanie filmu przewijanego zbyt szybko przez rolkę.

– Wiesz, że te skarpetki trafiają na front, żeby niemieckim żołnierzom nie marzły nogi? – zapytałam, chwytając Luizę za ramię.

Wyszarpnęła się.

– Nic mnie to nie obchodzi. Jak stąd wyjdę, otworzę sklep z włóczkami i będę sprzedawać je w każdym kolorze. A poza tym cały dzień będę robić na drutach.

– Doskonały pomysł – pochwaliła mama, przyciągając Luizę bliżej do siebie. – To już na pewno lada dzień. Jestem przekonana, że tata i inni... – Spojrzała na mnie przelotnie. Inni? Lenart? – ...robią wszystko, co w ich mocy, żeby nas stąd wydostać.

– Miałyśmy właśnie zagrać w „Co zabrałabyś” – powiedziała Janka. Nadal dziwnie było widzieć ją bez burzy rudych włosów. Pierwszego dnia po przywiezieniu do obozu ogolili nas wszystkie, ale potem włosy odrastały, również Janki, choć nie rude, tylko brązowe, jak u młodego wróbla. I chociaż wiele innych kobiet zachowało później włosy, to Binz postawiła sobie za punkt honoru nie pozwolić na to Jance, tylko dlatego, że na początku tak bardzo broniła się przed ogoleniem głowy.

– Mama nie będzie miała ochoty w to grać – stwierdziła Zuzanna poważnie.

– To głupia gra, ale może jednak pani z nami zagra? – zapytała Janka.

– Oczywiście – zgodziła się matka. – Ale musimy się pośpieszyć. – Zgodziłaby się na cokolwiek, byle sprawić nam przyjemność.

Janka przysiadła się bliżej.

– Chodzi o to, żeby powiedzieć, co zabrałoby się w drogę Aleją Gwiazd.

Mama przechyliła trochę głowę.

– Chodzi ci... – Gdyby to był pani ostatni spacer. Ja na przykład chciałabym mieć wtedy na sobie najpiękniejszą parę najwyższych na świecie szpilek. Z czarnej cielęcej... nie, z czarnego zamszu. Szłabym wysoka i dumna.

Och, i włosy jak Rita Hayworth... – To już dwie rzeczy – zauważyła Luiza.

– I wkładki do stanika.

– Janka... – zaczęła Zuzanna.

– No co? Chociaż raz w życiu chciałabym mieć biust. Gdybym miała umierać, chciałabym wyglądać przy tym jak najlepiej.

Zuzanna nachyliła się nieco do przodu.

– A ja wzięłabym pudełko naszych najlepszych czekoladek. We

wszystkich smakach: waniliowe, śmietankowe, z karmelem, z orzechami... – Przestań – zażądała Janka. Nie cierpiała, gdy zaczynałyśmy mówić o jedzeniu, a kiedy dziewczyny podawały przepisy na swoje ulubione dania, zawsze zatykała uszy.

Luiza usiadła prosto.

– Ja wzięłabym swoją robótkę. Gdyby Binz zobaczyła, jakie piękne rzeczy robię na drutach, na pewno by mnie oszczędziła.

Mama uśmiechnęła się szeroko, słysząc to wszystko. Miło było widzieć, jak się uśmiecha.

Przyszła moja kolej. Usłyszałam, jak sztubowa woła do kogoś w łaźni. Była blisko, więc mówiłam cicho.

– A ja wzięłabym wielki materac z olbrzymią puchową pierzyną. I całą drogę bym przespała.

Strażniczki musiałyby mnie nieść, a Binz osobiście wachlowałaby mnie wielkim, różowym strusim piórem.

Janka wydała z siebie stłumione parsknięcie.

– A ty co byś ze sobą wzięła? – zapytała szeptem Zuzanna, nadal chichocząc.

Mama zastanawiała się przez chwilę, przyglądając się własnym dłoniom. Zwątpiłyśmy już, czy w ogóle będzie chciała wziąć udział w grze. Gdy w końcu się odezwała, na jej twarzy pojawił się dziwny wyraz.

– Wzięłabym ze sobą bukiet kwiatów, róż i bzu.

– Och, kocham bez – odparła Luiza.

– Szłabym z wysoko uniesioną głową, dałabym ten bukiet strażnikom i powiedziałabym im, żeby nie mieli do siebie żalu za to, co robią.

Pomyślałam, że mama chyba nie zrozumiała, o co chodziło w naszej głupiutkiej grze.

– A potem, gdy dotarlibyśmy pod mur, odmówiłabym opaski i krzyknęła: „Jeszcze Polska nie zginęła!”, zanim... – Mama spuściła wzrok, a potem z ledwie widocznym uśmiechem dodała: – Bardzo bym za wami tęskniła.

Tak poważna odpowiedź sprawiła, że Zuzanna też natychmiast spoważniała, a i nam przeszła ochota do śmiechu. Ucichłyśmy. Myśl o tym, że mogłybyśmy stracić mamę, była zbyt straszna, żeby zastanawiać się nad nią dłużej.

Widać wyglądałyśmy, jakbyśmy miały zaraz wybuchnąć płaczem, bo mama zmieniła temat.

– Rewir działa teraz znacznie lepiej... – A ta lekarka? Jaka ona jest?

– zapytałam. Tyle miałam pytań, a czasu tak niewiele.

– Jest zadowolona, że wszystko lepiej działa, ale nie mogę już przetrzymywać tam chorych. – Mama ściszyła głos. – Więźniowie niezdolni do pracy są natychmiast zabijani, trzymajcie się więc z dala od tego miejsca. Tej lekarce nie wolno ufać. Najlepiej wcale się tam nie pokazujcie.

– Niemcy – parsknęła Zuzanna. – Wstyd mi za tę część w nas, mamó, która jest niemiecka.

– Nie mów tak. Powinnaś poznać tę cudowną kobietę z apteki w miasteczku, Paulę Schultz. Zawsze gdy przynosi leki dla SS, podrzuca mi różne rzeczy. Farbę do włosów, żeby starsze kobiety wyglądały młodziej. Żeby mogły uniknąć selekcji. Środki na serce dla słabych, żeby dawali radę stać na apelach.

Powiedziała mi też, że Amerykanie... Obok naszych pryczy przeszła sztubowa. Wyszorowała zęby i splunęła do metalowego kubka.

– Gasić światła! – wrzasnęła.

Przytuliłam się do mamy i nie mogłam się od niej oderwać. Płakałam jak małe dziecko, aż w końcu musiała uwolnić się z moich objęć i wymknąć po cichu, żeby jej nie złapali. Było mi wstyd, że się tak zachowuję, ale jej widok w Alei Gwiazd, gdy odwróciła się, by posłać nam buziaka z ciemności, był gorszy od głodu i bicia.

Jak straszliwa agonია.

Jakiś czas później, ale jeszcze w tym samym tygodniu, wcześniej rano, przed apelem do baraku weszła Rosa. Odczytała nazwiska więźniarek, które miały stawić się na rewirze. Luiza, Zuzanna i ja byliśmy na tej liście.

Gdy pozostałe kobiety wyruszyły do pracy, Rosa poprowadziła nas Aleją Gwiazd w stronę rewiru.

– No, dalej, dziewczęta – powiedziała zachęcająco.

Gdzie podziała się stara Rosa, która jeszcze by nam przyłożyła za ociąganie się? Nagle ogarnęło mnie jedno z tych złych przeczuć, które czasami narastały mi w piersi. Gdy wchodziłyśmy na rewir, słońce właśnie wschodziło, barwiąc niebo na różowo i niebiesko. Na tym tle rewir wyglądał wyjątkowo ponuro.

Zerknęłam na Zuzannę.

– Co się dzieje?

– Nie wiem – odparła, mrużąc oczy w promieniach poranka.

– Zawsze mamy mamę – próbowałam się pocieszać.

– Oczywiście. – Zuzanna wydawała się rozkojarzona.

Tego dnia na rewirze panowała zastanawiająca cisza. Drewniane biurko, przy którym zwykle siedziała mama, stało opuszczone. Wbiłam wzrok w żółty stołek, gdzie siedziała codziennie, przyjmując chorych.

Dziś był pusty.

– Gdzie wasza mama? – zapytała szeptem Luiza, gdy mijałyśmy biurko.

– Pewnie gdzieś się tu kręci – odparła Zuzanna, rozglądając się wokół.

Rosa przekazała nas dwóm krzepkim pielęgniarkom ubranym w brązowe mundury SS. Ich czepki, przypięte do zmierzwionych fryzur, wyglądały jak wielkie ciastka. Poprowadziły nas korytarzem na oddział, na salę o pobielonych ścianach, w której stały trzy piętrowe prycze i sześć pojedynczych łóżek.

Jedyne okno, rozmiarów wycieraczki, znajdowało się wysoko pod sufitem. Nagle odniosłam wrażenie, że ściany zamykają się nade mną. Dlaczego brakowało mi tchu?

Na jednym z łóżek, z dłońmi złożonymi na podołku i już przebrana w szpitalną koszulę, siedziała dziewczyna, którą znałam jeszcze z harcerstwa, Alfreda Prus.

Wytarłam pot, który zebrał mi się nad wargą. Co mieli zamiar z nami zrobić?

Jedna z pielęgniarek kazała się nam rozebrać i złożyć ubrania, a potem nałożyć szpitalne koszule z rozcięciami na plecach. Wzięłam wdech tak głęboki, że przez chwilę miałam wrażenie, że płuca mi pękną, a potem powoli wypuściłam powietrze. Ze względu na Luizę starałam się zachować spokój.

Ledwie pielęgniarki wyszły, Zuzanna obeszła szybko cały pokój. Z haczyka wbitego w ramę jednego z łóżek zdjęła pustą kartę choroby i przebiegła ją wzrokiem.

– Jak sądzisz, o co chodzi? – zapytała Luiza.

– Nie jestem pewna – odparła Zuzanna.

– Trzymaj się mnie – powiedziałam.

– Przez dwa dni trzymali mnie tu tylko z jakąś zwariowaną Cyganką – powiedziała Alfreda. – Zabrali ją dziś rano. Jak myślicie, co planują? Za ścianą jest więcej dziewczyn. Jedna z nich płakała.

Zuzanna podeszła do drzwi łączących obie sale i zacisnęła palce na klamce.

– Zamknięte – stwierdziła.

Niebawem pielęgniarki wprowadziły do sali jeszcze kilka dziewcząt

z Polski, w tym wysoką, milczącą o imieniu Regina, która nosiła okrągłe okulary i potajemnie uczyła angielskiego na bloku. Włożyłyśmy przyniesione koszule, a Janka i Regina zaczęły się śmiać, bo przez rozcięcia w koszulach wiało nam po tyłkach.

– Może chcą wysłać nas do jakiegoś podobozu i dlatego będą nas badać – zasugerowała Alfreda.

– Albo do burdelu – zauważyła ponuro Regina.

Wszystkie wiedziałyśmy, że w sąsiednim obozie otwarto burdel. Binz już kilka razy ogłaszała rekrutację na apelach. Obiecywała, że w zamian za kilkumiesięczną pracę ochotniczki będą mogły liczyć na najlepsze ubrania i buty oraz gwarantowane zwolnienie z obozu.

– Regino, ani słowa – ostrzegłam.

Luiza chwyciła mnie za rękę. Obie miałyśmy mokre dłonie.

– Wolalabym umrzeć – oznajmiła.

– Wzięłam ze sobą książkę do angielskiego – powiedziała Regina, wkładając coś pod jedną z poduszek.

Zrobiła ją z osiemdziesięciu kawałków cienkiego papieru toaletowego zapisanego drobnym maczkiem.

– No, to się nam na pewno przyda – sarknęła Janka. – Jesteśmy dla nich jak króliki doświadczalne.

Wiesz, co to, czy może mam ci narysować?

– Byle tylko nie dawali nam zastrzyków – pisnęła Alfreda.

Luiza przytuliła się do mnie.

– Boję się zastrzyków.

Usiadłyśmy razem na jednym z łóżek, żeby się nieco uspokoić. Przez okno widziałam, jak strzyżyk plecie gniazdko. Co chwila odlatywał, by powrócić zaraz z nową porcją patyczków i gałązek. Potem zaczęłyśmy odpytywać się nawzajem z angielskiego. Hello. My name is Kasia. Where might I find a taxicab?

Niebawem do sali weszła pielęgniarka. Przyniosła termometr, metalową miskę i brzytwę.

– Dlaczego chcą nas golić? – wyszeptała Luiza.

– Nie jestem pewna – odparłam. Czyżby chcieli nas operować? Musiała zajść jakaś pomyłka. Jak mama mogła do tego dopuścić?

Wtedy do sali wpadła śliczna siostra Gerda w towarzystwie dwóch innych pielęgniarek, z których jedna niosła tacę z igłami i jakimiś fiołkami. Gerda podeszła wprost do Luizy.

– Proszę, nie – pisnęła Luiza, oplatając mi szyję rękoma. Objęłam ją w pasie.

– Nie róbcie jej krzywdy – poprosiłam. – Weźcie mnie.

Zuzanna też podeszła do nas i przysiadła na łóżku.

– Miejcie litość. Ona ma tylko piętnaście lat i boi się zastrzyków.

Pomocnice Gerdy oderwały Luizę ode mnie.

– Nie będzie tak źle – powiedziała Gerda do Luizy. – Jeszcze chwila, a znajdziesz się na łące pełnej kwiatów, wśród dzwonów.

Zmusiły Luizę do położenia się na kozetce z kólkami i wyciągnęły jej ramię. Zamknęłam oczy, gdy Luiza zaczęła płakać po ukłuciu. Ale gdy tylko zrobiła się nieco senna, wytoczyły kozetkę z sali.

Zuzanna podeszła do łóżka, na którym siedziałam, w samym końcu pomieszczenia.

– Boję się, że... – Będą nas operować? – Gdy tylko powiedziałam to na głos, poczułam ukłucie strachu.

– Teraz wezmą mnie – stwierdziła. – Będą chciały pozbyć się kłopotów. – Z korytarza doleciał nas pisk toczących się kółek kozetki.

– Musimy skontaktować się z mamą – zdecydowałam.

Gerda wtoczyła wózek do sali i gestem przywołała Zuzannę.

– Auf die Bahre – nakazała z uśmiechem. Na wózek.

– O co w tym chodzi? – Zuzanna wyprostowała się na całą wysokość. – Mamy prawo wiedzieć.

Gerda podeszła do Zuzanny i pociągnęła ją za ramię.

– No, już. Nie rób zamieszania i bądź dzielna.

Trzymałam Zuzannę za drugie ramię, a Gerda ciągnęła ją w stronę wózka.

– Nie macie prawa tego robić! – zawołałam.

Zuzanna uderzyła Gerdę w ramię, więc ta zawołała dwie przysadziste kapo z zielonymi trójkątami naszytymi na uniformy. Szybko zmusiły Zuzannę do ułożenia się na wózku i przywiązały ją do niego pasami białej bawełny.

– Nie szarp się – powiedziała Gerda. – Jeszcze chwila i będzie po wszystkim, a potem cię zwolnią i pojedziesz do domu, do Polski.

Czy rzeczywiście mówiła prawdę?

Podeszłam do jednej z kapo.

– Dokąd ją zabieracie?

Janka i Regina przyglądały się temu wszystkiemu, tuląc się do siebie na jednej z dolnych prycz.

Kapo odepchnęła mnie, a Gerda dała Zuzannie zastrzyk.

– Jesteśmy więźniami, a nie świnkami morskimi – oznajmiłam.

Zuzanna ucichła, a Gerda wypchnęła wózek z sali.

– Kocham cię, Kasiu – usłyszałam jeszcze, gdy wywoziły ją na korytarz.

Zaledwie kilka minut później Gerda wróciła po mnie. Walczyłam, ale kapo popchnęły mnie na wózek,

a gdy mnie do niego przygwoździły, zadrżałam, jakby obłożyły mnie lodem. Gerda wyprostowała moje ramię i poczułam ukłucie w okolicach zgięcia w łokciu.

– Z wami, dziewczyny, jest więcej roboty niż z chłopami – stwierdziła Gerda ze śmiechem.

Chłopami? Byli tu jacyś mężczyźni? Gdzie?

Czas przestał istnieć. Czy podały mi morfinę? Ktoś wtoczył mnie do pokoju, w którym z sufitu zwisały jarzące się lampy, a potem nakrył mi twarz ręcznikiem. Poczułam, jak robią mi zastrzyk dożylny, i jakaś kobieta nakazała mi odliczać wstecz. Liczyłam po polsku, ona po niemiecku, a potem odpłynęłam w niebyt.

Obudziłam się w nocy. Czy miałam halucynacje? Leżałam znów na oddziale sama na łóżku i tylko mdłe światło wpadało przez okno. Nagle wąska struga światła przecięła mrok, gdy ktoś otworzył drzwi i wszedł do sali. Poczułam zapach mamy i przez chwilę zdawało mi się, że stoi przy moim łóżku. Potem chyba otuliła mnie szczelniej, uniosła materac i wsunęła pod niego zwisające prześcieradło, jak miała to w zwyczaju. Mamo! Pocałowała mnie w czoło, przytrzymując usta nieco dłużej.

Próbowałam jej dosięgnąć, ale nie zdołałam.

Zostań, proszę.

Potem znów pojawiła się smuga światła i już jej nie było.

Pobudka następnego ranka przypominała powolne wznoszenie się z dna oceanu.

– Mamo?! – wołała Luiza z sąsiedniego łóżka. – Mamo, chce mi się pić.

– Jestem tu, Lusi – powiedziałam.

Uniosłam się na łokciach i zobaczyłam, że wszystkie łóżka są zajęte. Każda z nas z wyjątkiem Zuzanny miała na jednej nodze gips lub opatrunek z ligniny. Niektóre jęczały i wołały matki, mężów lub dzieci.

Wszystkim nam chciało się pić. Mnie położyli na łóżku stojącym najbliżej okna. Zuzannę dzielił ode mnie cały rząd – leżała bliżej wyjścia na korytarz.

– Zuza! – zawołałam, ale nie odpowiedziała. Zauważyłam, że wcześniej musiała zwymiotować na siebie i pościel.

– Mamo! – krzyknęłam najgłośniejszym głosem, jak umiałam. Czy rzeczywiście

była tu w nocy? A może mi się to tylko śniło?

Miałam mdłości i okropnie mnie bolało. Gdy obudziłam się pierwszy raz, nie byłam wcale pewna, czy w ogóle mam jeszcze nogę, ale potem zobaczyłam, że od czubków palców po skraj uda jest zagipsowana.

Miałam wrażenie, że pod gipsem znajduje się jakiś kosmaty materiał, jakby opatrunek wyłożono bawełną.

Opatrunki niektórych z nas były opisane w okolicach kostek: AI, CII i podobnie. Niektórym zoperowano lewą nogę, innym prawą, jeszcze innym obie. Na moim gipsie ktoś umieścił rzymską jedynekę. Co to wszystko znaczyło?

Och, jakże chciało się nam pić! Żadnej z nas nie dano wody, tylko doktor Oberheuser przyniosła szklankę octu, ale tego przecież nie dało się pić.

Na przemian traciłam i odzyskiwałam przytomność. Wszystkie byłyśmy mocno oszołomione, ale stan Alfredy i Luizy naprawdę był kiepski. Na opatrunku każdej z nich umieszczono wielkie T. Alfreda na początku jedynie wyła z bólu, ale niebawem zeszywniał jej kark, a głowa odgięła się w tył. Nim minął ranek, miała już sztywne ramiona i nogi.

– Błagam pomocy! – wołała. – Wody... proszę.

Janka zdołała jakoś wstać już pierwszego dnia i skakała od łóżka do łóżka, starając się nam jakoś ulżyć.

Poprawiała nam pościel i nosiła jedyny w sali basen.

– Niosą wodę – oznajmiła Janka, sama miotana suchymi torsjami.

– Mamo, to ja, Kasia! – krzyknęłam w nadziei, że usłyszy mnie zza swojego biurka na rewirze. Ale nie pojawił się nikt oprócz doktor Oberheuser z siostrą Gerdą.

W środku nocy obudziła mnie Luiza. Jak długo już tu leżałyśmy? Dwa dni? Dwa tygodnie? Trudno było stwierdzić, bo mijające godziny zlewały się ze sobą.

– Kasiu, nie śpisz? – zapytała.

Snopy światła rzucanego przez reflektory patrolowe regularnie przemykały wewnątrz sali, oświetlając od czasu do czasu bladą, ściągniętą twarz Luizy. Widziałam, że wstrząsają nią dreszcze.

– Jestem tu, Lusi! – powiedziałam.

Wyciągnęła do mnie dłoń, a ja chwyciłam ją i przekonałam się, że Luiza jest lodowata.

– Powiedz mojej mamie, że byłam dzielna.

– Sama jej to powiesz.

– Nie, Kasiu. Boję się tak bardzo, że chyba oszaleję.

– Opowiedz mi coś. Żeby oderwać myśli.

– Ale co?

– Cokolwiek. Skąd Piotrek ma bliznę?

– Tę po butelce? Przecież opowiadałam ci to już ze sto razy.

Poczekalam, aż reflektor wyłowi moją twarz z mroku, i spojrzałam na nią z największą powagą, na jaką było mnie stać.

– Opowiedz mi jeszcze raz.

– Nie mogę, Kasiu.

– Nie poddawaj się. Opowiedz mi.

Lusia wzięła głęboki wdech.

– Kiedy Piotrek był mały, nasza babcia, Panie świeć nad jej duszą, dała mu do picia wody w szklanej butelce.

– Był grzecznym dzieckiem?

– Wiesz, że tak. Ale jakoś rozbił butelkę o szczebelki kołyski i zaciął się u nasady nosa. Mama przybiegła, słysząc jego płacz.

– Nie zapominaj o krwi.

– Było jej tyle, że wydawało się, jakby ktoś go w niej skąpał. Babcia zemdląła na miejscu na ten widok. Ona mdlała od byle czego... Luiza zaczęła zasypiać.

– A potem? – zapytałam.

– Założyli mu szwy. Na szczęście szkło nie dostało się do oczu, ale ma teraz na nosie tę paskudną bliznę.

– Nie wydaje mi się, żeby była aż tak paskudna – powiedziałam.

Przesuwający się promień światła ukazał uśmiech na twarzy Luizy, ale z jakichś przyczyn ona sama wydała mi się przez to jeszcze bardziej chora.

– Mógłby mieć choćby i dwie głowy, a ty i tak byś za nim szalała. Mam rację?

– Chyba tak. Ale on kocha Nadię. A ona jego. Żadna dziewczyna nie wykupi wszystkich dziesięciu tańców z chłopakiem, jeśli go nie kocha.

– Myślę, że możesz się mylić. Nadia mówiła, że zostawiła dla ciebie coś w waszej kryjówce.

Luiza wiedziała o naszej kryjówce? Czy na tym świecie nie było już żadnej świętości?

– Powinnaś się trochę przespać.

– Ale najpierw mi powiedz, czy to grzech złamać dane słowo?

– Zależy, czego ono dotyczy – odparłam.

Luiza spojrzała na mnie. Wydawało się, że nawet tak niewielki ruch sprawia jej ogromny ból.

- Ale przysięgałam na Boga. Sądziś, że będzie miał mi za złe?
- Bóg jest nam coś winien za to miejsce.
- Błędnie.
- Możesz powiedzieć, Lusi. Komu obiecywałaś?
- Piotrkowi.

Poczułam, że serce zaczyna mi szybciej bić. Czy to miało coś wspólnego ze mną?

– Przysięgnij, że nigdy nie powiesz, że ci powiedziałam. Pewnie więcej go już nie zobaczę, ale nie chcę, żeby miał mnie za papłą.

– Lusi, nie wolno ci tak myśleć. Zobaczysz się z nim na pewno. I wiesz, że potrafię trzymać język za zębami.

– Powiedział mi, że gdy tańczyłaś w kasynie, coś zrozumiał.

– Co?

– Coś bardzo ważnego.

– Luizo, nie będę tego z ciebie wyciągać... – Powiedział mi, że cię kocha. O, proszę.

– Niemożliwe.

– Ależ tak. Powiedział, że sam ci to powie.

– Boję się, że po tym wszystkim raczej już nie potańczę – powiedziałam.

– Nie udawaj, że nic cię to nie obchodzi. Też go kochasz. Widzę przecież.

– Skoro nalegasz, to tak. Ale on szaleje za Nadią.

– Nie. Kocha ciebie. Nie okłamałby mnie. Kasiu, masz szczęście, że masz mojego brata. Zestarzejecie się razem i będziecie mieć dzieci. – Przez chwilę nie mówiła nic więcej. – Będzie mi go brakowało.

I rodziców. Powiesz im, że byłam dzielna? Nawet jeśli nie dam rady do końca?

Trzymałam Luizę za rękę, dopóki nie zasnęła. Potem sama odpłynęłam w ciemność, rozmyślając o tym, jak dobrze było czuć się kochaną, o małym Piotрку i o tym, jak bardzo nie będę potrafiła sobie wybaczyć,

jeśli nie uda mi się sprowadzić do niego Luizy.

Niewiele później wszystkie dostałyśmy gorączki, a potem kolejne z nas zaczynały czuć się coraz gorzej.

Noga bolała mnie okropnie. Cały czas czułam, jakby moją łydkę atakował rój os.

Doktor Oberheuser pojawiła się dopiero następnego dnia wieczorem, ale do tego czasu Alfreda i Luiza nie mogły się już ruszać. Całe

zesztywniały, a plecy wygięły się im w łuk. Próbowałam trzymać Luizę za rękę, ale palce zacisnęły się jej w szpony. Nie mogła już mówić, lecz w jej oczach widziałam, jak bardzo była przerażona.

Zuzanna niekiedy odzyskiwała przytomność, ale przez większość czasu nie byłam w stanie jej dobudzić.

W tych krótkich chwilach, gdy nie spała, leżała zwinięta na łóżku i jęcząc, trzymała się za brzuch. Co oni jej zrobili?

Do sali weszła doktor Oberheuser z siostrą Gerdą.

– Es stinkt hier – stwierdziła jedynie po wejściu.

Czy mogliśmy poradzić coś na ten smród? Gnijące ciało śmierdzi.

– Pani doktor, czy możemy dostać trochę wody? – poprosiłam, ale zignorowała mnie i ruszyła od łóżka do łóżka, sprawdzając karty.

– Gleiche, gleiche, gleiche – mówiła tylko, chodząc od łóżka do łóżka i porównując nasze zoperowane nogi z tymi zdrowymi. – Bez zmian, bez zmian, bez zmian.

– Zuza! – zawołałam. Dlaczego nie odpowiadała? Leżała na boku z kolanami przyciągniętymi do klatki piersiowej.

Doktor Oberheuser podeszła do Luizy, sprawdziła jej puls, a potem gestem przywołała pielęgniarkę.

– Tę można już zabrać – powiedziała, wskazując Luizę.

Poczułam, jak krew krzepnie mi w żyłach.

– O nie, pani doktor, proszę, nie. Luiza ma tylko piętnaście lat.

Siostra Gerda przyciągnęła wózek z korytarza pod łóżko Luizy.

Doktor Oberheuser przyłożyła palec do ust, dając mi do zrozumienia, że mam być cicho.

– Proszę mi jej nie odbierać. – Dwie pielęgniarki przełożyły Luizę na wózek. Wyciągnęłam rękę w stronę doktor Oberheuser. – Będziemy cicho, obiecuję.

Lekarka podeszła do mnie i położyła mi dłoń na ramieniu.

– Nie budź pozostałych dziewcząt.

– Gdzie moja mama? – zapytałam. – Halina Kuśmierczyk.

Doktor Oberheuser zamarła, a potem powoli cofnęła dłoń. Jej twarz nagle straciła cały wyraz.

– Chcę pomówić z mamą – powiedziałam.

Lekarka cofnęła się o krok.

– Twojej przyjaciółce nic nie będzie. Nie martw się, po prostu ją przenosimy.

Chwyciłam poję jej lekarskiego kitla, ale gips przytrzymał mnie na miejscu. Siostra Gerda wbiła mi w udo igłę.

– Proszę powiedzieć mamie, że jej potrzebuję – poprosiłam.

Wszystko w sali nagle się zamgliło. Dokąd zabrali Luizę? Staralam się nie usnąć. Czy to ona płakała w sali obok?

Myślałam, że oszaleję. Te z nas, które miały nogi w gipsie, musiały całymi dniami leżeć bez ruchu, słuchając w kółko odtwarzanej gdzieś na rewirze płyty z muzyką klasyczną. Gdzie była mama? Czy pomogła Luizie? Straciłyśmy rachubę czasu, ale wreszcie – miałam wrażenie, że po upływie całych miesięcy – Zuzanna poczuła się na tyle lepiej, by zacząć siadać. Błagała doktor Oberheuser, by pozwoliła usunąć nasze opatrunki albo chociaż zgodziła się je zmienić, ale lekarka ignorowała nas i zajmowała się swoją pracą. Humor miała paskudny, trzaskała kartami i obchodziła się z nami bardzo szorstko.

Miałyśmy koszarne odleżyny, ale były one niczym w porównaniu z bólem, jaki powodowały rany pooperacyjne.

Pewnego dnia Anise, francuska przyjaciółka Zuzanny, z którą ta pracowała przy segregowaniu łupów wojennych, wrzuciła nam przez okno prezent „zorganizowany” z kuchni SS. Wszystko to spadło na mnie i moje łóżko. Dwie marchewki i jabłko. Plasterek sera i kostka cukru. Prawdziwie niebiański deszcz.

– To dla królików – powiedziała na tyle głośno, żebyśmy wszystkie usłyszały. Gdyby ją złapano, bez wątplenia trafiłaby do bunkra.

Regina dała mi skrawek papieru, na którym napisałam list do mamy i wyrzuciłam go przez okno owinięty wokół łyżki.

– Możesz przekazać to mojej mamie?

– Postaram się! – odkrzyknęła Anise.

Łyżka, już bez listu, wleciała przez okno i wylądowała bezpiecznie na moim łóżku.

– Od czasu operacji większości pielęgniarek z osadzonych zabronili wstępu na rewir – wyjaśniła Anise.

To dopiero wiadomość! Więc dlatego mama nie przychodziła.

– Dziękuję, Anise! – odkrzyknęłam. Dobrze było móc przekazać mamie, że za nią tęsknimy, nawet jeśli mogłyśmy tylko pisać listy.

Potem określenie „króliki” przylgnęło do nas na dobre. Medyczne zwierzątka laboratoryjne. Po francusku lapins. Nawet doktor Oberheuser nazywała nas Versuchskaninchen. Króliki doświadczalne.

Jeszcze po wielu tygodniach te z nas, którym założono gips, miały problemy z korzystaniem z basenów, a swędzenie mojej rany doprowadzało mnie do szaleństwa. Gdy budziło mnie nocami, gorączka i niepokój o Luizę nie pozwalały mi usnąć. Co miałam powiedzieć

Piotrkowi? A jego rodzicom?

Przecież nie podniosą się już po śmierci Lusi.

Pewnego dnia wyciągnęłam z ramy łóżka długi kawał zagiętego drutu i wepchnęłam go pod gips, żeby nieco się podrapać.

Pomogło.

Skomponowałyśmy odę na cześć puddingu chlebowego. Regina uczyła nas ze swojego podręcznika do angielskiego i opowiadała o malutkim Fredku, swoim synku, który dopiero zaczynał chodzić, gdy ją aresztowano. Godzinami obserwowałam ptaszka, którego wypatrzyłyśmy z Luizą pierwszego dnia na rewirze i podglądałyśmy, jak wił gniazdo. Zajęcie to dawało mi ukojenie, dopóki nie uświadomiłam sobie, że mały strzyżyk urządzał swój nowy dom z puszystych kłębków ludzkich włosów, jasnych, rudych i brązowych wplatanych między trzciny.

Pewnego dnia po dziewczęta z gipsem przyszła pielęgniarka.

– Pora zdjąć wam opatrunki – oznajmiła Gerda takim tonem, jakby właśnie oznajmiała nam, że nastąpiło Boże Narodzenie.

Mnie wzięli pierwszą. Nie mogłam się nacieszyć, że wreszcie uwolnię się od zmory gipsu. Pielęgniarka pomogła mi przejść na wózek, zakryła mi twarz ręcznikiem i zawiozła na salę operacyjną. Słyszałam głosy kilku osób, mężczyzn i kobiet, w tym doktor Oberheuser i siostrę Gerdę.

Leżałam na wózku, ściskając kurczowo prześcieradło. Cieszyłam się, że mam na twarzy ręcznik. Czy chciałam oglądać swoją nogę? Modliłam się, żebym była jeszcze w stanie chodzić i tańczyć. Czy Piotrek uzna, że jestem odrażająca? A może po zdjęciu opatrunku noga okaże się całkiem normalna.

– Zajmę się tym – oznajmił jakiś mężczyzna z takim zadowoleniem, jakby otwierał butelkę szampana.

Czy to był doktor Gebhardt?

Poczułam chłód metalu, gdy rozcinano mi gips jakimiś nożycami, a potem świeże powietrze, gdy ktoś podniósł górną część opatrunku. Smród doleciał mnie nawet przez ręcznik. Podniosłam się, a ręcznik zsunął mi się z twarzy dokładnie w chwili, w której lekarze i pielęgniarce cofnęli się z obrzydzeniem.

Siostra Gerda aż sapnęła.

– Boże w niebiesiech – powiedział tylko doktor Gebhardt.

Próbowałam się podnieść na łokciach, żeby zobaczyć nogę, ale Gerda naciągnęła mi znów ręcznik na twarz. Dałam radę jakoś ją odepchnąć, usiadłam i zobaczyłam koszmar, jaki prezentowała teraz sobą

moja noga.

Rozdział 17

Herta

1942

Wiosną 1942 roku wszystkich Niemców przepełniał optymizm. Prawda, krążyły plotki, że wojna na dwu frontach musi oznaczać koniec Hitlera, ale w Ravensbrück co ranka czytaliśmy dobre wieści w „Der Stürmer”. Gazeta donosiła, że dominacja Führera w Europie, a przynajmniej w niezbędnej nam części, była absolutna. Do lata wojna z pewnością się skończy.

Z końcem minionego roku Japończycy, nasi sojusznicy, odnieśli zwycięstwo nad Amerykanami w Pearl Harbor, a wiosną nadal świętowaliśmy ich frontowe zwycięstwa. Japońska delegacja, która odwiedziła Ravensbrück, była pod wrażeniem porządku, w jakim badaczki Pisma utrzymywały swoje kwatery, oraz skrzynek z kwiatami na oknach obozowych baraków. Skrzynki były pomysłem Himmlera, który kazał je wywiesić w Ravensbrück, bo był to obóz pokazowy i jako taki musiał robić jak najlepsze wrażenie.

Cały album poświęciłam zwycięstwom Rzeszy w Rosji. Zajęcie Kijowa. Marsz na Moskwę. To prawda, że wczesne nadejście mroźnej zimy zmusiło nas do pierwszego większego cofnięcia się spod murów Kremla, bo żołnierze walczyli w letnich mundurach. Ale wtedy Führer zwrócił się z odezwą do narodu o ciepłe ubrania dla naszych oddziałów i wszyscy wysłaliśmy na front buty do nart, nauszniki i pół miliona futer! W gazecie zapowiadali, że wraz z nadejściem wiosny front ruszy z miejsca i znów zaczniemy odnosić sukcesy.

Moja kariera w Ravensbrück też rozwijała się pomyślnie. Latem Koegla na stanowisku komendanta zastąpił Suhren i była to bardzo potrzebna zmiana. Koegel był opasłym gawędziarzem, Suhren zaś okazał się człowiekiem schludnym i rzeczowym. Był czarującym mężczyzną, który docenił trud, jaki włożyłam w uporządkowanie rewiru. Od początku doskonale się rozumieliśmy.

Nowy komendant wydał przyjęcie powitalne we własnym domu. Mieszkał w wyłożonym beżowymi stiukami domu o spadzistym dachu i z zielonymi okiennicami. Dom stał na wzgórzu, z którego rozciągał się doskonały widok na obóz. Tamtej nocy wyszłam ze swojej kwatery za pięć

siódma i wspięłam się po stromych schodach prowadzących do rezydencji komendanta.

Ze wzgórza rozciągał się piękny widok na cały obóz oraz przyległe do niego tereny, w tym na Uckermark, obóz dla młodocianych, i podobóz Siemens'a znajdujący się kilka kilometrów dalej. Zapadał zmrok.

Widziałam Häftlinge wracające do obozu po pracy i sam obóz, skąpany teraz w oślepiającym świetle reflektora. Rozległ się dźwięk syren i Häftlinge wysypały się z bloków na plac, gdzie miał się odbyć apel.

Uruchamialiśmy właśnie nowe piece. Dwa potężne kominy wznosiły się nad obozem z nowego krematorium i posyłały w niebo dym i ogień. Widok na jezioro był prawdziwie imponujący. Szara woda rozciągała się od znajdującego się niżej brzegu aż po zwartą gromadę ceglanych domów i wznoszącą się nad nimi iglicę kościelnej wieży w malowniczym Fürstenbergu. Nad horyzontem zebrały się szare chmury.

Weszłam do środka z kilkoma innymi pracownikami obozu, a Elfriede Suhren, drobna jasnowłosa małżonka komendanta, powitała nas machaniem. Elfriede, w odróżnieniu od Anny Koegel, która wrzeszczała na pracujące w obozowym salonie piękności kobiety, była kobietą łagodną, poświęcającą się niemal całkowicie opanowaniu czwórki dzieci. Wyglądała przy tym jak chłop, który stara się zapanować nad stadkiem gęsi.

Przeszłam przez dom, mijając przy tym starszego pana w tyrolskiej marynarce i czapeczce, który wygrywał na pianinie niemieckie piosenki ludowe, i weszłam do niewielkiej biblioteki. Suhren stał w rogu pomieszczenia i raczył się tam razem z Fritzem i doktorem Rosentalem piwem i cygarami. Ściany zdobiły liczne trofea myśliwskie. Jelenie łby. Wypchane ryby. Dzik. Na regale z książkami stała niemała kolekcja porcelanowych figurek Hummla przedstawiających dzieci, co ciekawe, samych chłopców.

Panowie byli zbyt pogrążeni w omawianiu swojego ulubionego tematu, by mnie początkowo spostrzec – akurat rozmawiali o burdelu w Mauthausen, do którego Suhren miał właśnie wysłać transport Häftlinge, oraz o tym, że szczęśliwe wybranki zostaną przed wyjazdem wysterylizowane. Fritz dojrzał mnie i skrzywił się porozumiewawczo.

Suhren i Rosenthal odeszli nieco, a ja dołączyłam do Fritza stojącego pod rozdziawionym ryjem dzika, z którego zwisał sztuczny różowy jęzor.

Między nami sprawy układały się naprawdę dobrze. Obejrzelśmy razem film w obozowym kinie znajdującym się nad garażami. Był to Stukas, sentymentalna opowieść o niemieckim pilocie, który pokonał

depresję, słuchając Wagnera. Fritz wiercił się wprawdzie w fotelu przez cały czas i co chwila podkreślał, jak bardzo bez sensu jest cała ta historia, ale miło było spędzić razem wieczór. Poza tym podarował mi hiacynta w doniczce. Postawiłam go na biurku, by wypełniał pokój swoją wonią. Fritz wykazał się niebywałym wyczuciem, dając mi roślinę doniczkową, a nie cięte kwiaty, które tak szybko umierały.

– Suhren pięknie mieszka – zauważyłam.

Fritz pociągnął piwa.

– Chyba że woli się zwierzęta z wyczuwalnym pulsem.

Z kuchni dobiegło nas ujadanie psa, raczej niewielkiego, o ile można było oceniać po głosie. Takie są najgorsze. Duży pies ma sens, rację bytu – stróżuje albo poluje.

Weszliśmy do kuchni, czystej i nowoczesnej, zabudowanej dębowymi meblami i oświetlonej zgodnie z najnowszymi standardami. Na blacie wystawiono dla gości kryształową wazę pełną wiśniowego ponczu.

– Sądysz, że Gebhardt powiadomi Himmlera o wynikach badań nad sulfonamidami? – zapytałam. – Że o nas wspomni?

Fritz przytrzymał przede mną drzwi, przepuszczając mnie do jadalni.

– Mnie już to nie interesuje. Wyjeżdżam.

Zatrzymałam się lekko oszołomiona. Jak to? Jak Fritz mógł tak po prostu odejść? Był jednym z nielicznych ludzi, z którymi utrzymywałam kontakt. Chciał zostawić mnie z Binz i Winkelmannem?

– Skąd taka nagła decyzja? Może zastanów się nad tym... Fritz dopił piwo i odstawił pusty kufel na szklaną gablotę, w której umieszczono wypchaną kuropatkę, zawieszoną jakby w locie.

– Mam dość Gebhardta, gdybyś nie zauważyła.

– Wszyscy jesteśmy zestresowani... – Nie masz pojęcia, co dzieje się w Hohenlychen. Wczoraj robiliśmy przeszczep ramienia. Na widowni połowa Berlina, a ramię udostępnione dzięki uprzejmości jakiegoś biednego Cygana z obozu.

Gebhardt był nie tylko Gruppenführerem SS i Generalleutnantem Waffen SS, osobistym lekarzem Reichsführera SS Himmlera oraz głównym chirurgiem sztabu SS Rzeszy, nadzorował też pracę zespołu lekarzy zatrudnionych w Hohenlychen, rozległej lecznicy i uzdrowisku położonym czternaście kilometrów od obozu.

– Dlaczego nie brałam w tym udziału?

– Możesz się tylko cieszyć, że cię to ominęło, Herto. To mało znaczący projekt. Natomiast cała ta rzecz z sulfonamidami... –
Przynajmniej możesz operować.

Fritz potarł kilkudniowy zarost porastający jego podbródek.

– To odrażające. Robić coś takiego zdrowym kobietom. Przecież w tych salach cuchnie.

– Ciągłe proszą mnie o morfinę.

– Więc im ją podaj – odparł. – Wyników to nie zmieni. W ogóle cała ta rzecz jest niehumanitarna.

– Gebhardt każe ograniczać podawanie środków przeciwbólowych. Skąd u ciebie ta nagle zmiana?

Taka troska o więźniów?

– Mam tego dość, Herto. Całe to cierpienie... – Nie mamy innego wyjścia.

– Są wyjścia, Herto. Jeśli przestaniemy je operować, nie będą więcej cierpieć. Gebhardt wykorzystuje nas do odwalania za niego brudnej roboty. Nie widzisz tego?

– Nic się na to nie poradzi, Fritz. – Skąd tak niespodziewanie wzięło się u niego takie sentymentalne podejście? Przecież prowadziliśmy te operacje dla dobra Rzeszy.

– Ja w każdym razie wyjeżdżam. Na froncie potrzebni są chirurdzy, którzy będą zszywać naszych chłopców walczących w przegranej wojnie.

– Jak możesz w ogóle tak mówić? Taki defetyzm... Fritz przyciągnął mnie do siebie.

– Zanim wyjadę, chcę cię ostrzec. Uważaj na tę swoją nową pielęgniarkę.

– Halinę?

– Mówi się... – Mężczyźni to straszni plotkarze. Cóż takiego się mówi?

– Nie... – Powiedz.

– Mówią, że coś was łączy.

– To najbardziej... – Coś, czego Führer nie pochwała.

Suhren i doktor Gebhardt przepchnęli się w naszą stronę przez tłum gości. Obaj uśmiechali się szeroko – Suhren wysoki i wymuskany, a Gebhardt świecący z dala czerwoną twarzą, zdecydowanie bardziej przysadzisty.

Komendant uściśnął mi dłoń.

– Panno Oberheuser, mam dla pani doskonałą wiadomość.

Dlaczego nie tytułował mnie doktorem?

– Z przyjemnością oznajmiam, że jednym z moich pierwszych obowiązków będzie nadanie pani niemałego zaszczytu.

Gebhardt przysunął się bliżej.

– I to nie byle jakiego. Została pani odznaczona Wojskowym Krzyżem Zasługi.

Wojskowym Krzyżem Zasługi? Mutti wpadłaby w rozstrój nerwowy, gdybym przywiozła to do domu – srebrny krzyż na czerwono-czarnej wstędze. Führer osobiście stworzył to odznaczenie. Miałam znaleźć się w nielicznej grupie wybrańców, którzy otrzymali stworzone przez samego Führera odznaczenie, jak choćby Adolf Eichmann czy Albert Speer. Czyżby nagrodzono mnie za udział w eksperymentach z sulfonamidami?

Chciałam podzielić się swoją radością z Fritzem.

Odwróciłam się i dopiero wtedy spostrzegłam, że już go nie było.

Następnego dnia pojawiłam się na sali operacyjnej jako pierwszy lekarz, gotowa asystować przy kolejnej partii operacji z grupy eksperymentów sulfonamidowych. Podeszłam do zlewu, żeby wyszorować dłonie.

Wcześniej zabrałam z Effektenkammer, gdzie przechowywano własność więźniów, pierścionek Haliny i schowałam go do kieszeni. Doktor Gebhardt nie musiał widzieć go na moim palcu, tym bardziej że przepisy obozowe zabraniały noszenia rzucającej się w oczy biżuterii. Planowałam oddać ten pierścionek Halinie pewnego dnia. To był piękny diament. Gdybym go nie uratowała, nie wiadomo, jak by skończył.

Przypuszczalnie na palcu Elfriede Suhren.

Gerda przygotowała i uspiła kolejne pacjentki. Siostra Marschall całkiem nieźle wywiązała się z obowiązku przygotowania listy więźniarek do eksperymentu. Teraz każda z nich leżała pod kocem na osobnym wózku. Sprawdziłam instrumenty, otworzyłam opakowanie evipanu i ustawiłam je na tacy.

Wcześniej przygotowaliśmy już materiały, które miały zostać umieszczone w ranach, by mogły symulować obrażenia frontowe. Zardzewiałe gwoździe, drewno, odłamki szkła, żwir i ziemia zmieszana z kulturami bakterii Clostridium tetani^[8]. Każdej z pacjentek mieliśmy zainfekować ranę w inny sposób.

Rankiem tego dnia z sanatorium w Hohenlychen przyjechał własnym samochodem doktor Gebhardt.

– Cieszę się, że przyszła pani wcześniej, doktor Oberheuser. Doktor Fischer nie będzie mógł nam towarzyszyć.

– Czy jest chory?

Gebhardt zdjął marynarkę.

– Przeniesiono go.

Staralam się ukryć rozczarowanie. Fritz naprawdę wyjechał?

– Mogę zapytać dokąd, panie doktorze?

– Dziesiąta dywizja SS. Na stanowisko głównego chirurga kompanii medycznej podporządkowanej dziesiątemu regimentowi pancernemu na froncie zachodnim – wyjaśnił Gebhardt, ani na chwilę nie zmieniając wyrazu twarzy. – Najwyraźniej uważa, że tam może się nam bardziej przydać... Jak Fritz mógł wyjechać tak bez pożegnania?

– Rozumiem, doktorze Gebhardt. Pielęgniarka osadzona Gerda Quernheim jest dziś również na dyżurze.

– Dobrze. Bardzo podoba mi się uwaga, jaką przywiązuje pani do szczegółów – pochwalił Gebhardt. – Chciałaby pani spróbować dziś swoich sił?

– Miałabym operować?

– A dlaczego nie? Przecież chciałaby pani ćwiczyć rękę, prawda?

– Tak, panie doktorze. Dziękuję bardzo.

Czy to naprawdę się działo?

– Proszę pamiętać, żeby zakrywać im twarze – przypomniał doktor Gebhardt. – Na wszelki wypadek.

Musimy dbać o anonimowość. I proszę działać stanowczo. Rzucić się na to od razu. Nie trzeba patyczkować się z delikatnym traktowaniem tkanek.

Gerda zaczęła wtaczać do sali wózki z pacjentkami. Każda z nich miała twarz zakrytą ręcznikiem.

Pracowaliśmy do późnego wieczora. Pilnowałam się, żeby nie śpieszyć się z zamykaniem ran. Staralam się ćwiczyć węzły płaskie, czarne, spiczaste, przypominające drut kolczasty strzegący każdego nacięcia.

– Nie zwykłem komplementować ludzi, panie doktor, ale ma pani talent. A tego nie da się nauczyć. Brak pani wyłącznie praktyki.

Och, to dopiero była pochwała!

Wieczór zakończyliśmy, przeprowadzając kilka sterylizacji zgodnie z zaleceniem samego Himmlera.

Do kwatery wróciłam przez cichy i uśpiony już obóz. Sama zasnęłam szybko i bez problemów dzięki pomocy błogosławionego luminalu. Obudziłam się tylko raz, gdy Binz i jej kochanek Edmund zaczęli uprawiać miłość w wannie.

Następnego dnia pozwoliłam sobie pospać dłużej. Wiedziałam, że pielęgniarki wpiszą do kart stan zdrowia pacjentek, a Halina zajmie się za mnie rewirem, ale gdy dotarłam na miejsce, okazało się, że panuje tam nieopisany chaos. Na miejscu Haliny siedziała inna więźniarka, a kolejka

osób szukających porady medycznej wychodziła aż za drzwi.

– Frau Doktor, skończyła się nam lignina – powiedziała pielęgniarka, strząsając termometr.

– Gdzie Halina? – zapytałam.

– Nie wiem, Frau Doktor. Frau Aufseherin Binz kazała mi tu siedzieć.

Poszłam do sali pooperacyjnej, żeby sprawdzić, jak mają się pacjentki operowane poprzedniego dnia.

Panował tam smród nie do wytrzymania. Wiedziałam, że to jedynie dowód na to, że bakterie robią, co do nich należy, ale karty były czyste. Nikt nie wpisał żadnych informacji o stanie zdrowia tych kobiet. Jedna z nich już wyszła z łóżka i skakała teraz na jednej nodze między pozostałymi, starając się im pomóc.

– Potrzebujemy wody – poprosiła. – I więcej basenów.

Wyszłam z sali i odnalazłam Gerdę, która raczyła się papierosem na korytarzu.

– Masz pilnować, żeby nie wychodziły z łóżek – nakazałam. – Ruch nie sprzyja rozwojowi infekcji.

Zamknęłam drzwi i udałam się na poszukiwanie Binz. Musiałam przeszukać połowę obozu, aż znalazłam ją wreszcie przy zagrodzie królików angorskich, w ogromnym, ogrzewanym kompleksie pełnym klatek dla tych zwierząt. Wszystko tam działało bez zarzutu dzięki staraniom badaczek Pisma.

Binz razem ze swoją podkomendną zabawiały małe króliczątko – białą, puszystą kulkę o uszach jak motelki do kurzu.

– Co się dzieje na rewirze? – zapytałam.

Druga strażniczka odłożyła króliczka do klatki i wycofała się szybko.

– Wpadasz tu i nawet się nie przywitasz. – Binz skrzywiła się. – Ktoś musiał zająć się tym bajzlem.

– Nie masz prawa... – Nic nie dało się na to poradzić – powiedziała Binz, krzyżując ramiona na piersi.

– Mów jaśniej.

– To ty nic nie wiesz?

Zdołałam się na nią nie rozedrzeć.

– Gdzie Halina?

– To chyba nie jest najlepsze miejsce na rozmowę.

– Binz, coś ty zrobiła?

– Na Boga, kobieto, nie płacz. Nie chcę, żeby moje dziewczęta zobaczyły, jak się rozklejasz.

Ostrzegałam cię przecież przed tymi Polkami, prawda? Pretensje możesz mieć tylko do siebie.

– Nie rozumiem.

– No, to jest nas dwie. Suhren też nie wierzył, gdy okazało się, co ta twoja Polka uknuła. Powiedzmy tylko, że przyda ci się nowa asystentka.

8 Laseczka tężca (przyp. tłum.).

Rozdział 18
Caroline
1942

Proszę przejść na tył i ustawić się twarzą do wyjścia – powiedziała Estella, nasza nowa windziarka.

Estella, w mokasynach na niskim koturnie i nylonowych podkolanówkach, odbiegała znacznie od wyobrażeń, jakie Junior Rockefeller miał o windziarzu doskonałym. Jednak po ataku Japończyków na Pearl Harbor rok temu Ameryka w końcu przystąpiła do wojny, a młodzi mężczyźni wszelkich zawodów zaciągnęli się do armii. Dotyczyło to także naszego windziarza.

– Jakież wieści od Cuddy’ego, Estello?

– Armia mi się nie spowiada, panno Ferriday. A wy chyba macie teraz niezłe urwanie głowy we Francji. Tak mówiła Pia.

Estella miała rację. Po inwazji Niemiec na tak zwaną wolną strefę w listopadzie 1942 roku Francja Vichy stała się krajem marionetkowym, a z francuskich obozów tranzytowych ruszyły transporty do rozbudowanej sieci obozów koncentracyjnych pozakładanych na terenie Polski i Niemiec. To przez nie właśnie zużyłam trzecie pudełko pinezek z czerwonymi łebkami.

– Tak mówiła?

Jak na kogoś, kto miał na co dzień do czynienia z tajnymi informacjami, Pia poczyniała sobie z nimi nad wyraz swobodnie.

Gdy dotarłam do recepcji, postanowiłam przejść do biura okrężną drogą, żeby uniknąć mijania biurka Pii, ale wyczuwała ruch niczym czarna mamba.

– Roger na ciebie czeka, Caroline.

– W porządku – powiedziałam, odwracając się na pięcie. – A swoją drogą, Pia... czy musisz dzielić się wszystkim z Estellą? To podobno tajne informacje... – Jeśli będę chciała poznać twoje zdanie, dam ci znać – odszczeknęła Pia, przywodząc mi na myśl napis, który widziałam w paryskim zoo na klatce z pawianem: CET ANIMAL EN CAS D’ATTAQUE VA SE DEFENDER. To zwierzę zaatakowane będzie się bronić.

Ruszyłam natychmiast do biura Rogera. Zatrzymałam się w progu,

bo wewnątrz wyglądało, jakby przeszedł przez nie huragan, który wywiał każdy skrawek papieru i każdą książkę w pokoju. Za oknami, na tafli lodowiska Rockefeller Ice Rink sznur łyżwiarzy sunął za chuderlawym Świętym Mikołajem, który również ślizgał się po lodzie. On też zatrzymał się nagle, a ludzie za nim rozsypali się na wszystkie strony niczym kostki domina.

– Musimy wysyłać więcej paczek, Roger. Dotarły do mnie nowe dane. Ponad dwieście tysięcy francuskich dzieci straciło rodziców. Setki z nich to dzieci uczestników ruchu oporu.

– Powinniśmy wziąć się za mnóstwo różnych spraw, Caroline, ale po Pearl Harbor wszystko się zmieniło.

– Mam trochę oszczędności... – Znasz zasady. Możesz zamknąć drzwi? – zapytał drżącym głosem.

– O co chodzi? – Obwarowałam się na pozycji przy chłodnym marmurowym kominku. Oby nie o Paula.

– O kilka spraw. Co wiesz o Drancy?

– Mam tego sześć pełnych teczek.

Drancy, niegdyś wielka rezydencja na przedmieściach Paryża, stało się punktem przesiadkowym więźniów wysyłanych poza granice kraju ze wszystkich pięciu francuskich podobozów. Nieliczne raporty, jakie do mnie docierały, były zgodne co do jednego – Drancy cieszyło się reputacją piekła na ziemi, poczekalni przed deportacją. Formalnie podlegało jurysdykcji francuskiej policji, ale w rzeczywistości nadzór nad nim sprawował departament do spraw Żydów gestapo.

– Dlaczego pytasz? Czego się dowiedziałeś?

Czy Paul mógł trafić w takie miejsce? Oczywiście, Rena była Żydówką, ale czy to narażało na niebezpieczeństwo również i jego? Była wprawdzie obywatelką francuską, ale nawet w teoretycznie wolnej strefie Vichy wprowadzono antyżydowskie prawa i rozpoczęto aresztowania Żydów innych narodowości. Wyglądało na to, że duch wolnomyślicielstwa tak właściwy Francji zniknął gdzieś z dnia na dzień.

– Roger, po prostu mi powiedz. Znalazłeś go?

– Do obozów w całym dominium Hitlera wyjechało już kilka transportów z francuskimi więźniami.

– Paul?

Roger pokiwał głową.

– O nie, Roger.

– Caroline, do obozu Natzweiler-Struthof wywieziono niedawno grupę mężczyzn. Są poważne przesłanki, by przypuszczać, że wśród nich

był Paul.

Odsunęłam jedno z krzeseł stojących przy stole konferencyjnym i usiadłam. Wilgotne dłonie odcisnęły na powierzchni wypolerowanego drewna dwa drobne srebrne ślady, które zniknęły zresztą w mgnieniu oka. Natzweiler.

Była to okropna wiadomość, lecz jednocześnie dziwacznie krzepiąca, bo przynajmniej wiedziałam, że ciągle żył.

– Skąd masz pewność?

– W transporcie Paula odprawianym w Drancy było tylko kilku mężczyzn i wszyscy trafili do Natzweiler.

– W Wogezach?

Natzweiler-Struthof był jedynym stałym niemieckim obozem koncentracyjnym na terenie Francji.

Znajdował się mniej więcej pięćdziesiąt kilometrów od Strasburga. Moja głowa wypełniła się nagle myślami o przymusowej pracy i karach cielesnych.

Roger znów pokiwał głową.

– Nieopodal niewielkiego miasteczka, które lubili odwiedzać moi dziadkowie. Malownicza okolica, ale odizolowana. – Rzucił na stół brązową kopertę. Przerzuciłam szybko dokumenty, szukając czegokolwiek na temat dręczycieli Paula.

Zdjęcia wykonane przez RAF ukazywały niewielki obóz, zaledwie dwanaście rzędów baraków i cztery inne budynki ściśnięte na ogrodzonym terenie pośrodku gęstego, zaszypanego śniegiem lasu. Ile tam było śniegu. Czy Paul zamarzał na śmierć, kiedy ja siedziałam w ciepłym biurze? Zaczęłam się przypatrywać zdjęciu i widocznej na nim grupie więźniów stojącej przed bramą, starając się dostrzec wśród nich Paula.

– Dziękuję ci, Roger. Poproszę Pię, żeby zajęła się tym natychmiast.

– To już koniec, Caroline. Waszyngton zerwał oficjalnie stosunki dyplomatyczne z Francją. – Roger niezdarnie przesunął dłonią po stertach papierów leżących na biurku.

– Jak to? Musisz zadzwonić... – Do kogo, Caroline? Nie ma już ambasady w Paryżu. A to biuro zostało oficjalnie zamknięte. Właśnie się dowiedziałem. Otrzymałem rozkaz, by zniszczyć wszystko, co może mieć jakiegokolwiek znaczenie.

– Co teraz zrobimy? – zapytałam.

– Kazano mi się zgłosić do konsulatu szwajcarskiego.

– Daruj, ale oni siedzą Niemcom w kieszeni.

– Musimy opuścić flagę. Postaram się utrzymać to, jak długo się da,

ale łatwo nie będzie. Wstrzymano nam fundusze aż do odwołania.

– Będziemy chociaż mieć kontakt z Francją?

– Mam nadzieję, że damy radę odbierać przesyłki od rządu Wolnej Francji w Londynie, ale znalezienie statku, który chciałby je do nas przewieźć, nie będzie łatwe. Szwajcarzy może jakoś to przetrwają, a Brytyjczykom można ufać.

– Bardzo jestem ci wdzięczna za pomoc w znalezieniu Paula.

– Caroline, jest jeszcze jedna sprawa. Dotyczy Paula.

Spięłam się cała. Czy mogłam usłyszeć jeszcze gorsze wieści?

– Znalazłem nazwisko jego żony na liście zmarłych. Z Auschwitz-Birkenau. Rena Rodierre.

– Rena? Och, nie, Roger. To niemożliwe.

– Podobno tyfus. Przykro mi, Caroline.

Siedziałam jak ogłuszona. Jak mogło do tego dojść? Biedna Rena. Paul z pewnością o niczym nie wiedział. Jak zareagowałby na wieść o śmierci Reny? Wszystko to było zbyt straszne.

Wzięłam do ręki lupę i zaczęłam badać zdjęcie. Jeśli Paul żył, miałam zamiar go odnaleźć. Choćbym miała przepłynąć Atlantyk w pław, byłam gotowa stanąć u jego boku.

W tamtym okresie często odwiedzałam sklep panów Snydera i Goodricha. Niewielkie kwoty, jakie wypłacał mi pan Snyder, pomogły przetrwać Funduszowi na rzecz Francuskich Rodzin, a Roger zdawał się nie wiedzieć, co się działo. Widmo zamknięcia konsulatu z braku środków finansowych wisiało coraz niżej nad nami. Nie mieliśmy oficjalnych kontaktów z Paryżem, Francja była pogrążona w chaosie, więc zamknięcie placówki wydawało się jedynym sensownym rozwiązaniem. Jednocześnie wycofywanie się w momencie, gdy ludzie potrzebowali nas najbardziej, było tak bardzo niesprawiedliwe. Poza tym praca stanowiła teraz jedyne ogniwo łączące mnie z Paulem.

– Stracisz wzrok nad tymi analizami – powiedział Roger pewnego wieczoru, gdy szykował się już do wyjścia z biura. W jednej dłoni trzymał aktówkę, w drugiej kapelusz.

– Nic mi nie jest – odpowiedziałam, skrywając głęboko frustrację. – Chyba przeżywam bardziej, niż chciałabym przyznać, fakt, że samoloty z naszych lotniskowców bombardują niemieckie okręty podwodne na wodach Long Island Sound. No i jeszcze Paul.

– Rozumiem, C. Wybierasz się na przyjęcie do Vanderbiltów? Powinnaś wyrwać się stąd na trochę i nieco rozerwać.

Roger miał rację. Roztrzęsiona i wypalona nikomu się tu nie

przydam.

Szybko wybrałam się do domu, przebrałam w swoją najlepszą czarną sukienkę, narzuciłam na siebie przerobioną marynarkę od smokingu taty i upięłam włosy. Czy wyglądałam przez to na wyższą?

Rozpuściłam je jednak. Jak na czterdzieści lat, było całkiem dobrze.

Zanim dotarłam do stojącego przy Piątej Alei domu Vanderbiltów z ciemnego piaskowca, zaledwie przecnicę od naszego domu, już czułam, że nie mogę doczekać się wejścia, choć przypuszczalnie oznaczało to spotkanie z Betty, która pewnie nie przyzna się, że mnie zna. Jednocześnie zadrżałam na samą myśl o spotkaniu z Jinx Whitney, bo po ojcu odziedziczyłam dogłębną niechęć do głupkowatych Whitneyów. Postanowiłam unikać jej za wszelką cenę i trzymać się kręgu dawnych znajomych. Czy nie powinnam dla własnego dobra utrzymywać choćby poprawnych kontaktów z towarzystwem? Nie mogłam przecież pracować przez cały czas.

Dom Vanderbiltów był wspaniałą starą rezydencją, jednym z pomników złotych czasów. Naprawdę żal było myśleć, że zostanie wyburzony, ale okolica wyszła nieco z mody, a królowa Piątej Alei musiała nieco zacisnąć pasa po śmierci męża. Zredukowała służbę z trzydziestu osób do osiemnastu i przenieśli się do jednej z jeszcze piękniejszych rezydencji. Chciała jeszcze wykorzystać tę okazję, by wydać w swoim starym domu przyjęcie. Dlatego pani Vanderbilt zorganizowała imprezę dobroczynną. Miała to być zadziwiająca mieszanka turnieju brydżowego, tańców i ucztowania. Wstęp kosztował dwadzieścia pięć dolarów, a cały dochód przeznaczono na cele dobroczynne.

Tego dnia ludzie po raz pierwszy i ostatni mieli okazję przekroczyć te uświęcone progi. Wielu z nich po prostu stało tam i patrzyło na wszystko wokół. Jakaś młoda para, nadal w płaszczach i kapeluszach, przechadzała się po pierwszym piętrze z otwartymi ze zdumienia ustami, podziwiając wystrój rezydencji.

Zerkali dyskretnie na inkrustowane złotem drewno i nabożnie muskali onyksowe kolumny. Przed zdobiącym wejście pompejańskim freskiem stała inna grupa zwiedzających. Sam hol wejściowy mógł bez trudu pomieścić dziesięć rodzin w potrzebie.

– Jest tu Merle Oberon – powiedział niewielki człowiek ściskający w dłoni kapelusz.

Brydżyści przeszli powoli do biblioteki i zajęli miejsca przy trzydziestu stolikach rozstawionych pod żyrandolami z górskiego kryształu. Drużyny podzielono zgodnie z następującym kluczem: Junior

League, Chapin, Collegiate i Princeton. Grupa z Chapin była najliczniejsza.

Przed ogromnym kominkiem, tak wielkim, że mogłabym niemal stanąć w nim wyprostowana, dwóch kelnerów w smokingach wypisywało nazwiska graczy na wielkiej tablicy wyników, która przypominała tablice do spisywania zakładów pari-mutuel na torze w Hialeah. Graczy rozsadzano zgodnie z kierunkami geograficznymi. Północ z południem. Wschód z zachodem.

Gdy jeunesse dorée zajęły miejsca za stołami, oddaliłam się do jadalni, zwabiona tam zapachem pieczonych żeberk i ptysiów. Na długim stole przykrytym białym adamaszkiem stały tace pełne zimnych mięs, podawane w skorupkach owoce morza, ciężki stroik ze szklarniowych irysów i srebrna misa mlecznego koktajlu, wystarczająco duża, by można było się w niej kąpać. Orkiestra wygrywała utwory Cole'a Portera i Irvinga Berlina, a nad całością pieczę trzymał jeszcze jeden kelner. Czyżby pilnował sreber rodowych?

Od ataku Japończyków na Pearl Harbor z Nowego Jorku zniknęli niemal wszyscy młodzi mężczyźni.

Uczniowie college'ów pojechali do domów na przerwę świąteczną i już nie wrócili do szkół. Niemal z dnia na dzień arsenały wypełniły się żołnierzami szykującymi się na front. Pani Vanderbilt przyznała poborowym prawo darmowego wstępu na przyjęcie, mieliśmy więc teraz niebywałą okazję podziwiać ich wszystkich w pełnym umundurowaniu. Piloci lotnictwa morskiego z lotniska Floyd Bennett Field w granatowych kurtkach ze złotymi otokami omawiali z rezerwistami strategie bitewne.

Większość z naszych ćwiczyła w uroczej zbrojowni Park Avenue Armory, trenując musztrę w strzelistej hali przypominającej europejskie dworce kolejowe. Łatwo łowiło się ich wzrokiem w tłumie zwykłych poborowych, bo zazwyczaj mieli mundury szyte na miarę przez najlepszych krawców z Nowego Jorku.

Jak długo mundur odpowiadał przepisom, nikt nie zabraniał poborowym stroić się w najlepsze wełny i jedwabie, z guzikami z czystego mosiądzu i masy perłowej.

– Nie grasz, Caroline? – zapytała pani Stewartowa Corbit Custer, mamy przyjaciółka od serca.

Musnęłam ustami gładko upudrowany policzek odzianej w intensywnie niebieską kreację z szyfonu pani Custer. Tego wieczoru ucieszyłam się szczególnie na jej widok. Obie z mamą uwielbiały opowiadać o tym, jak wściekł się tata, gdy zabrały mnie na wystawę

drobiu w Madison Square Garden zaledwie kilka tygodni po moim urodzeniu. Przywiozły mnie do domu w Southampton w wiklinowym nosidełku ustawionym na stercie toreb z zakupami na tylnym siedzeniu samochodu.

– Chcesz dać szansę innym dziewczętom? – zapytała pani Custer. – Jak miło z twojej strony. Z tobą nie miałyby szans.

Wystarczył mi jeden rzut oka na tablicę, żeby przekonać się, że drużyny prezentowały się porażająco.

Pani M. Field i pani Cushing. Pani Noël i pani Dykman. Pani Tansill i pani Auchincloss.

– Przykro mi, że mama nie dała rady się pojawić – powiedziałam.

– Tak, kochanie, rozumiem. Czy mogłabyś spisywać wyniki? Zazwyczaj robi to twoja mama, a ty jesteś najuczciwszą osobą w tym domu, nie mam co do tego wątpliwości.

– Z radością, pani Custer.

– Ograniczyliśmy czas rozgrywki do dwóch godzin. Po gongu po prostu spiszesz wyniki i podasz mi zwyciężczynię. Zresztą wiesz dobrze, o co chodzi. Widziałas to setki razy.

Rozłożyłam na każdym ze stołów kartki do spisywania wyników i małe zielone ołówki, a potem natknęłam się na Betty, która stała nieopodal z Prudence Bowles, uroczą, sarniooką kuzynką Vanderbiltów, Jinx Whitney, zdecydowanie mniej uroczą kuzynką Rockefellerów, i Kipper Lee, głupią dziewczyną z gumowatym uśmiechem, jedną z furii Jinx.

Wszystkie cztery stały blisko siebie – jak drużyna futbolowa na odprawie albo członkowie synodu papieskiego – a Jinx opowiadała jakąś historię. Czy Betty nadal czuła do mnie urazę? Miałam nadzieję, że jeśli się postaram, zdołam usunąć dzielące nas animozje.

– ...i wtedy jej powiedziałam – ciągnęła Jinx – że ten człowiek jest członkiem. Nie możemy robić dla nikogo wyjątków. I nie interesuje mnie, czy jej ojciec był prezydentem Stanów Zjednoczonych. Po prostu nie mamy już miejsc.

Jej towarzyszki zaczęły zerkać w moją stronę, więc Jinx odwróciła się, żeby zobaczyć, co odwraca ich wagę.

Jinx, która jakimś cudem zdołała wydać się majątnie za męża, z budowy i koloru przypominała lodówkę.

– Och, Caroline – odezwała się słodko. – Przyszłaś w kostiumie teatralnym?

– Też się cieszę, że cię widzę, Jinx.

– W czerni ci do twarzy – oznajmiła.

– Tak, wyglądasz ślicznie – dodała Pru. – Masz ten koloryt, który sprawia, że dobrze wygląda się w ciemnych kolorach.

– Racja – natychmiast skomentowała Jinx. – Babcia miała na sobie suknię w takim dokładnie odcieniu, gdy czuwaliśmy przy jej zwłokach. Wszyscy mówili, że wygląda bardzo naturalnie.

– Ale, Caroline, naprawdę wyglądasz ślicznie – wtrąciła się natychmiast Pru. – Nic dziwnego. Przecież byłaś Makową Panienką w dwudziestym pierwszym.

Jinx natychmiast odwróciła się ode mnie. Dotąd nie wybaczyła mi, że w 1921 wyprzedziłam ją w wyścigu do tytułu Makowej Panienki. Takie wyróżnienie na tle innych debiutantek z tamtego roku było naprawdę ogromnym zaszczytem. Mając dziewiętnaście lat, firmowałam swoją twarzą wysiłki Ligi Amerykańskich i Francuskich Dzieci, a moje zdjęcie ukazało się w gazecie, by promować sprzedaż jedwabnych kwiatów do butonierki. Pieniądze zostały przeznaczone na pomoc dla amerykańskich weteranów Wielkiej Wojny i dla chorych dzieci we Francji.

– Oczywiście połowa pieniędzy trafiła z powrotem do Francji – skomentowała kwaśno Jinx.

– Żeby ratować dzieci chore na gruźlicę. To był wspólny wysiłek, Jinx. Połowa pieniędzy zebranych we Francji została wykorzystana do oznaczenia mogił żołnierzy amerykańskich.

– Gotowe do brydża? – rzuciła Jinx w kierunku Betty.

– Betty, czy ktoś potrzebuje partnerki?

– Ja gram z Pru – powiedziała Betty, nagle zainteresowana fasetkami w swoim pierścionku zaręczynowym.

– Przykro mi o tym mówić, ale do brydża mamy już komplet – dodała kwaśno Jinx. – Pary są ustalone już od kilku tygodni, kochanie. Bardzo mi przykro.

– Caroline miała dużo pracy – powiedziała Betty.

Jinx przysunęła się nieco.

– Betty, a na jaki cel chcecie przeznaczyć z Pru wygraną?

– Nie zastanawialiśmy się – odparła Betty. – Przecież i tak nie wygramy.

Miała rację. Ani ona, ani Pru nie były wybitnymi brydżystkami.

– Kipper i ja będziemy grać, by wspomóc naszą armię – oznajmiła Jinx.

– Jak cudnie – skomentowałam.

Jinx natychmiast odwróciła się do mnie.

– Masz z tym jakiś problem, Caroline?

– Tylko taki, że większość z tych pieniędzy zostanie przeznaczona na organizowanie przyjęć.

– Ktoś musi wspierać naszych chłopców – ucięła.

– Racja. O ile upijających się dżinem cywilów można nazwać wsparciem dla żołnierzy na froncie.

– Betty, przy następnej okazji musimy zagrać razem – powiedziała Jinx.

Zacząła bawić się plisowanym szalem, który owinęła wokół szyi, w którym wyglądała jak muchomor pokryty od spodu kapelusza blaszkami. Z lubością zaczęłam zastanawiać się, jak by to było zacisnąć jej ten szalik mocniej wokół szyi. Wszyscy by się ucieszyli, bo w skrytości ducha sami marzyli o czymś podobnym.

– Więc, Caroline, gdzie podziewa się twoja mama? – zapytała Jinx. – Zjeżdża jeszcze do miasta czy cały rok spędza już wyłącznie na wsi, sama w tym ogromnym domu?

– Jest z nią nasz kucharz – sprostowałam.

Jinx pociągnęła napój gazowany przez słomkę.

– Sama z rosyjskim kucharzem?

– Pora już na mnie – oznajmiłam.

– A ten przystojny czarny ogrodnik? Cóż, czasy zdecydowanie się zmieniły.

– Pan Gardener jest oddanym przyjacielem rodziny i był z nami w najtrudniejszych chwilach, Jinx.

Z pewnością możemy liczyć bardziej na jego przyjaźń niż na dobre słowo od niektórych z tak zwanego towarzystwa.

– Caroline, wysłałam czek na twoje dzieci we Francji – powiedziała Pru, kładąc mi dłoń na ramieniu.

Czyżby próbowała rozładować napiętą atmosferę? Pru zachowywała się trochę jak kotka i cały czas miało się wrażenie, że we właściwych okolicznościach zwinęłaby się człowiekowi na kolanach i zaczęła mruzczyć.

– Dziękuję, Pru. Każde pieniądze są dla nas ważne.

– A wiecie, że tu obowiązuje zakaz kwestowania? – spytała Jinx. – Wydrukowali to nawet w programie. Bardzo mi się to spodobało. Nawet dobroczynność powinna mieć swoje granice.

– W twoim domu z pewnością ma – podsumowałam.

– Nie wszyscy mogą przybić się już za życia do krzyża wzorem twojej matki, miłośniczki zmokłej wełny. Dopóki nie wbije się w tweedy, żeby pomagać potrzebującym, nie będzie szczęśliwa.

Betty zaczęła drobić niespokojnie. Może musiała rozbić nowe szpilki z krokodyla, a może czuła się nie najlepiej, gdy obrażano moją matkę?

– A jak się miewa Duża Liz? – zapytałam. Jinx naprawdę miała na imię Elizabeth. Nazwano ją tak po matce, którą z kolei zaczęto nazywać Dużą Liz, by jakoś je obie odróżnić, i to przydomko doskonale do niej pasowało. – Zjechała już z rancza? Wiesz, teraz potrawy Odchudzinka sprzedają również wysyłkowo.

– Mama uwielbia Southampton – odparła Jinx. – Murrayowie zaprosili ją do Gin Lane. Całkowicie przerobili to wasze Mitchell Cottage. Wpuścili tam mnóstwo światła. Podobno wyglądało przerażająco, gdy go kupili. Dach był w zasadzie do kapitalnego remontu. – Cieszę się, że dobrze im się tam żyje – odparłam.

– To takie przykre, że musieliście zrezygnować z tego domu – ciągnęła Jinx. – A wszystko przez twoje płuca.

– Betty, nie powinnyście już siadać do stolików? – zapytałam.

– Biedactwo, tak mi cię żal, że nie możesz korzystać z dobrodziejstw powietrza w Southampton. Ja osobiście uwielbiam sól w powietrzu nadciągającym znad Atlantyku. Pomyśleć, że dociera do nas aż z Afryki.

– Jinx, daj spokój – zażądała Betty.

– Więc do Connecticut przenieśliście się ze względu na ciebie, prawda, Caroline? – Jinx nie dawała za wygraną.

Jak zareagowaliby ludzie, gdybym spoliczkowała Jinx tu i teraz, przy wszystkich? To byłoby coś trzasnąć ją w ten opasły policzek.

– Owszem – odparłam.

– Cóż za ironia, prawda?

– Jinx, naprawdę – próbowała interweniować Betty. – Wystarczy już.

– Przerażająca ironia, biorąc pod uwagę, że to płuca twojego ojca ostatecznie zawiodły. Okropna tragedia.

– Przykro mi z powodu twojej straty – powiedziała Kipper.

– Kipper, to było lata temu. Niemniej dziękuję.

– Nie mogę nawet wyobrazić sobie, jak musiałaś się czuć, gdy on leżał tam w waszym mieszkaniu i nic nie dawało się już zrobić. – Na twarzy Jinx pojawił się wyraz z troską, który zawsze przywoływała na zawołanie z ogromną wprawą. – „Pneumonia”, to słowo przejmuje mnie grozą. Podejrzewam, kochanie, że ciebie tym bardziej. Naprawdę straszne słowo.

Przynajmniej Betty wiedziała, jak się zachować, i odwróciła wzrok.

– Wybaczcie, muszę już iść... Większość tego wieczoru spędziłam, zjadając krewetki w ilościach znacznie przekraczających społecznie

dopuszczalne normy i słuchając prawnika pewnej firmy opowiadającego o problemach, jakie jego żonie sprawiała pokojówka ubierająca się lepiej niż jej pani. Jednocześnie przez cały czas zastanawiałam się, jak mogę dopiec Jinx Whitney.

Wreszcie zabrzmiał gong. Udałam się do biblioteki, żeby zebrać od graczy wyniki. Powietrze tężało od napięcia, bo gracze brydżowi w rywalizacyjnej zajadłości ustępowali wyłącznie maklerom z Wall Street i Brazylijczykowi uprawiającym dżiu-dżitsu. Przy czym ci ostatni jako jedyni zabronili dźgania przeciwnika w oko.

Goście zaczęli kręcić się pod tablicą z wynikami, oscylując niebezpiecznie na krawędzi przepychania się, choć za wszelką cenę starali się zachować pozory normalnych zachowań osób oczekujących na wynik gry. Jinx stała z Kipper, Betty i Pru, a po wytężonych zmaganiach brydżowych wyglądała na bardziej wymiętą niż katalog Bergdorfa na spotkaniu absolwentek Smith College.

– I jak wam poszło, Betty? – zapytałam, starając się zażegnać nasze nieporozumienie.

– Pru poszczęściło się ze szlemikiem.

– Ale chyba was przebijemy, Pru – stwierdziła Jinx.

– Zaraz się przekonamy. – Zamachałam kartkami z wynikami.

– Ty zliczasz? – zapytała Jinx. – No to ktoś powinien sprawdzić po tobie wyniki. Wolałabym, żebyś się nie pomyliła.

– Spokojnie, Jinx – powiedziałam. – Kto prócz ciebie i Kipper mógłby zająć pierwsze miejsce?

Zabrałam pokaźny stos kartek do damskiej toalety, w której w oczy rzucały się przede wszystkim poślacane krany w kształcie łabędzich szyj, z jakich Maria Antonina z pewnością byłaby dumna, po czym zaczęłam liczyć. Jinx i Kipper należała się nauczka za takie besztanie Betty i Pru.

Zabrzmiał kolejny gong zwołujący wszystkich do biblioteki, więc i ja pośpieszyłam w tamtą stronę.

Pani Custer stała obok pani Vanderbilt przy tablicy przygotowanej do wpisywania wyników. Pani Vanderbilt aż jaśniała od diamentów ze starych kopalni. Wyglądała cudownie w kreacji ze stalowoszarej tafty i dobranym pod kolor turbanie. Miała też zaróżowione policzki, czy to z powodu wypitego szampana, czy też z nadmiaru emocji związanych ze zobowiązaniami gospodyni.

– Chodź, moja droga, i powiedz nam, kto wygrał – poprosiła pani Custer. – Obawiam się, że nie będziemy miały czasu, żeby zapisać nazwiska na tablicy.

Podaliśmy jej stos kartek z wynikami, umieszczając zwycięskie nazwiska na górze. Pani Custer pokazała kartkę pani Vanderbilt i obie uśmiechnęły się z zadowoleniem. Wycofałam się znów na tył pomieszczenia, a pani Custer uderzyła w gong. Goście zaczęli schodzić się ze wszystkich części domu.

Mężczyźni w strojach wieczorowych ustępowali tym w mundurach, a wszyscy dobrze wyciągali szyje, by zyskać jak najlepszy widok.

– Mamy niewątpliwą przyjemność ogłosić zwyciężczynię dzisiejszego turnieju brydżowego – zaczęła pani Vanderbilt. – Mój świętej pamięci mąż uznałby to za wielce stosowne pożegnanie naszego domu, dziś wieczór bowiem udało się nam zebrać dwadzieścia tysięcy dolarów dla Czerwonego Krzyża. – Tłum zaczął klaskać i krzyzczeć, a Jinx i Kipper rozpoczęły żmudną wędrówkę na przód sali. – A kolejne pięć tysięcy trafi do jednej z organizacji charytatywnych, która będzie mogła mówić o ogromnym szczęściu. Wiem, że wszyscy zebrani bardzo pragną poznać nazwiska zwycięzczyń, które od tej pory będą mogły nazywać się najlepszymi z najlepszych. Dlatego bez zbędnych słów powitajmy zwycięską drużynę... Orkiestra zagrała pełen napięcia riff.

Jinx chwyciła Kipper za rękę i zaczęły iść razem w kierunku tablicy.

– Panią Elizabeth Stockwell Merchant i panią Prudence Vanderbilt Aldrich Bowles.

Pani Custer cisnęła pozostałe karty z wynikami w ogień, a Betty i Pru przeszły przez tłum. Pani Vanderbilt wręczyła czek Betty, która wydawała się tym wszystkim szalenie zażenowana.

– Powiedzcie mi teraz, dziewczęta, na czyją rzecz grałyście dzisiejszego wieczoru? – zapytała pani Vanderbilt.

– Na rzecz organizacji bardzo bliskiej memu sercu – powiedziała Betty, przykładając dłoń do piersi. – Funduszu na rzecz Francuskich Rodzin prowadzonego przez Caroline Ferriday.

Zebrani zaczęli klaskać, początkowo wyłącznie z przyzwoitości, a potem z coraz większym zapalem, gdy pani Vanderbilt otarła z oka łzę. Uśmiech Betty przekonał mnie, że nieporozumienie zostało zażegnane.

Zebrani otoczyli Betty i Pru, a ja przepchnęłam się do drzwi, stęskniona za świeżym, wieczornym powietrzem. Po drodze minęłam Jinx i Kipper.

– Przykro mi z powodu waszej porażki – powiedziałam.

– Matematyka nigdy nie była twoją mocną stroną – stwierdziła Jinx.

– Nie myśl sobie, że nikt się o tym nie dowie. Sama szepnę słówko tu i tam.

– Będę ci wdzięczna – odparłam. – I mam nadzieję, że dotrzymasz słowa.

Wyszłam na zewnątrz, starając się pozbyć nieprzyjemnych wyrzutów sumienia. Byłam oszustką.

Zadziałałam na korzyść przyjaciółki. Staralam się jednak myśleć o tym wszystkim, co mogliśmy z Rogerem zrobić dzięki tym pieniądzom.

Do domu ruszyłam już lżejszym krokiem, bo tego wieczoru coś we mnie pękło, coś, co od bardzo dawna było napięte do granic możliwości. Wreszcie dostrzegłam, z kim tak naprawdę mam do czynienia.

Z kilkoma drobnymi wyjątkami elita Nowego Jorku składała się z dziwacznej mieszanki nierobów i próżniaków, zadłużonych po uszy w bankach albo ledwie dopinających budżet, zainteresowanych wyłącznie tym, kto wypisze czek w Maidstone Clubie, jaki kij wyciągnąć przy piętnastym dołku w Pebble Beach oraz zadręczających kelnera o kawałek skorupki w homarze na kanapkach, które właśnie pochłaniają. Jinx wyświadczyła mi przysługę, uwolniła mnie od ciągnących się od lat zobowiązań wobec nowojorskiej śmietanki towarzyskiej, od strachu, że zrobię sobie z nich wrogów.

Uwolniłam się wreszcie od konieczności zadowalania ich. Mogłam żyć tak, jak chciałam. Sama.

Rozdział 19
Kasia
1942–1943

Gdy Gebhardt rozciął gips i zobaczyłam wreszcie swoją nogę, nie przypominała ona kończyny ludzkiej.

Napuchła jak kłoda i cała była pokryta ciemnoniebieskimi i zielono-czarnymi plamami. Czarne szwy trzymały brzegi rozcięcia sięgającego od kostki do kolana.

Nie pamiętam, żebym krzyczała, ale później dziewczyny na oddziale powiedziały, że miały wrażenie, że operują mnie ponownie, tym razem bez znieczulenia. Podobno było mnie słycać aż na placu, na apelu.

Doktor Gebhardt zwinął ręcznik w rulon i wepchnął mi go w usta, a jedna z pielęgniarek dała mi zastrzyk, po którym znów zasnęłam.

Obudziłam się już na oddziale z nogą zawiniętą opatrunkiem z gazą. Miałam wrażenie, że w ranę wbija mi się tysiąc noży. Zuzanna wyslizgnęła się ze swojego łóżka, żeby obejrzeć ranę. Odchyliła nieco brzeg gazowego opatrunku.

– Bardzo źle? – zapytałam.

– Dobrze nie jest, Kasiu. Obawiam się, że usunęli kość.

Niewykluczone, że także mięsień.

To nie miało najmniejszego sensu. Po co mieliby usuwać człowiekowi mięsień?

– O co im chodzi?

– To mogą być jakieś doświadczenia – powiedziała Zuzanna. – Tobie podali leki, ale niektóre nie dostały niczego.

– Gorąco mi.

– Trzymaj się, Kasiu. Mama niedługo nam pomoże.

Operowano mnie jeszcze trzy razy i za każdym razem cierpienie zaczynało się od nowa. Gorączka skakała coraz wyżej, a powrót do zdrowia się wydłużał. Wyglądało to tak, jakby lekarze sprawdzali, jak daleko mogą się posunąć, zanim umrę. Po ostatniej operacji nie marzyłam już o tym, że kiedyś jeszcze zatańczę. Miałam zaledwie nadzieję, że będę mogła chodzić. Całymi dniami leżałam bez ruchu, nie do końca świadoma, śniąc o mamie, Piotрку, Nadii, marząc o tym, że jestem w domu.

Z czasem też, gdy leżałam tak zdana na ich wolę, zaczął narastać we

mnie gniew. Choć trudno było mierzyć upływający czas, wiedziałam, że zima 1942 prawie minęła. Staralam się myśleć pozytywnie i ciągle oczekiwałam, że niedługo zobaczę się z mamą.

Gdy leżałyśmy tak beczynnie, Regina męczyła nas angielskimi czasownikami, opowiadała też zabawne historyjki o Fredku i o tym, jak nauczył się wychodzić z łóżeczka. Janka z kolei uczyła nas francuskiego, z którym miała sporo do czynienia w salonie piękności, gdy pracowała w Lublinie. Dowiedziałyśmy się, jak powiedzieć: „Suszarka jest zbyt gorąca” – *Cette séchoir est trop chaude* – czy „Proszę o trwałą na zimno z lekkim skrętem, z papierkami na końcach włosów”. Po naukach Janki potrafiłam porozumieć się po francusku, przy czym najwygodniej rozmawiało mi się o środkach przeciwlupieżowych.

– Dłużej nie dam rady tak leżeć – oznajmiłam w końcu.

– Racja – odparła Janka. – Powinnyśmy wyciągnąć rowery i pojeździć trochę po okolicy.

– Mówię poważnie. Mam plan.

– O nie – westchnęła tylko Zuzanna.

– Uważam, że powinnyśmy zacząć pisać zaszyfrowane listy do naszych rodzin.

Regina uniosła się na łokciu.

– Jak w Szatanie z siódmej klasy? Uwielbiałam tę książkę. – Nie było chyba nikogo, kto w młodości nie zaczytywał się opowieścią Kornela Makuszyńskiego o młodym detektywie.

– Właśnie o czymś takim mówię – potwierdziłam. – Robiliśmy to w harcerstwie.

Zuzanna oderwała wzrok od wytaczanego właśnie koralika z chleba, kolejnego w różańcu, który sobie szykowała. Dlaczego go nie zjadła? Nie zauważyła, że modlitwy na nic się zdają? Nawet moja ukochana święta Agnieszka dawno mnie już opuściła.

– Chcesz nas pozabijać, Kasiu? – zapytała tylko.

– Mogłybyśmy użyć soku z cytryny, gdybyśmy go miały – westchnęła Regina. – I zaszyfrować wiadomość w pierwszych literach każdej linijki listu, jak szatan z siódmej klasy.

Uniosłam się na tyle, na ile pozwalała mi poraniona noga.

– Mocz też ma odczyn kwaśny. Możemy nim napisać listy. A w oficjalnej wiadomości zakodować zdanie: „List moczem...”.

– Genialne – ucieszyła się Regina.

– Szalone – podsumowała Zuzanna. – Wybij to sobie z głowy.

Zuzannę zwolniono z rewiru wcześniej niż mnie i bardzo za nią

tęskniłam. Słyszałyśmy, że na salę obok przyjęto nowe dziewczyny.

Następnego dnia rano Janka rzuciła głośno komentarz w czasie, gdy stara Marschall spisywała wyniki z kart, zakrywając sobie jednocześnie nos ręcznikiem. Nie powiedziała nic złego, zaledwie kilka słów na temat tego, jak bardzo mamy dość pobytu na oddziale. Siostra Marschall wyszła z sali charakterystycznym dla siebie, nieco sztywnym krokiem, a chwilę później wróciła z doktor Oberheuser.

– Skoro nie macie ochoty tu być, to się wynoście! – krzyknęła lekarka. – Już. Wstawać i wracać na blok.

Na początku sądziłyśmy, że żartuje, bo przecież żadna z nas nie wyzdrowiała, ale gdy siostra Marschall zaczęła wyciągać i wypychać nas z łóżek, zrozumiałyśmy, że doktor Oberheuser mówiła poważnie.

– Ale nie wydano nam nawet butów... – zaczęłam.

– Wynocha – powiedziała doktor Oberheuser, pokazując nam ramieniem drzwi. – Jak nie możecie chodzić, to skaczcie.

Próbowałam stanąć, ale od razu upadłam. Nie miałam już gipsu, lecz próba stanięcia na chorej nodze kończyła się ogromnym bólem.

– Wstawaj i wynoś się stąd. Już, już – popędziła mnie doktor Oberheuser.

Zamarłam na podłodze. Doktor Oberheuser chwyciła mnie mocno za ramię i pociągnęła. Przeciągnęła mnie w ten sposób przez cały rewir aż do wyjścia, zupełnie jakby wynosiła z domu dywan do czyszczenia.

Doktor Oberheuser rzuciła za mną drewnianą kulę i zostawiła mnie na zimnym, twardym żużlu, którym wysypana była Aleja Gwiazd, a który wbijał mi się w ciało niczym okruchy szkła. Rozejrzałam się, czy mamy nie ma gdzieś w pobliżu, a potem spróbowałam usiąść.

Dziwnie było znów znaleźć się na zewnątrz. Czułam się trochę tak, jakbym wylądowała na księżycu.

Było zimno i pochmurno, wszystko wydawało się szare, a na niebie nie widać było żadnych ptaków.

W powietrzu, jak czarne płatki śniegu w ponurej kuli śniegowej, unosił się popiół, a w powietrzu pojawił się nowy smród. Oddział porządkowy czyścił okna baraków, bo czarna sadza osiadała na nich jak śnieg.

W oddali, tuż za bunkrem, za obozowym płotem z nowo wybudowanych kominów strzelały w niebo dwa czerwone jęzory. Niemal w każdym zakątku obozu słychać było ryk płomieni, pracę olbrzymiego pieca rodem z piekła.

Jak dobrze było ujrzeć Zuzannę, która już biegła w moją stronę z

wyrazem najgłębszej troski na twarzy!

Gdy podeszła, oparłam się na jej ramieniu, żeby móc wstać, i spróbowałam dać kilka kroków. Zuzanna, która wyszła kilka tygodni wcześniej, zadomowiła się już w naszym nowym baraku i prowadziła mnie teraz w tamtą stronę. Tak bardzo chciałam znów zobaczyć mamę.

Od miesiący nie przeszłam więcej niż kilka kroków na raz, więc nawet kula nie zdała mi się na wiele, tym bardziej że kawałki żużlu kłuły mnie w stopy. Zatrzymałam się.

– Nie dam rady. Zostaw mnie tu. Proszę.

– Chodź – powiedziała Zuzanna, prawie mnie niosąc. – Maleńkimi kroczkami.

Przeniesiono nas do bloku trzydziestego pierwszego, w którym mieszkały Polki, również „króliki”, jak zaczęto nas nazywać, Francuzki aresztowane za udział w ruchu oporu i sanitariuszki Armii Czerwonej.

Wszystkie miałyśmy status więźniów politycznych. Ten blok był jeszcze bardziej zatłoczony niż poprzedni.

W czasie gdy leżałam na rewirze, wprowadzono nowe porządki. Niektórym więźniarkom, również Polkom, pozwolono odbierać paczki od rodzin. Zupa natomiast stała się jeszcze bardziej cienka, więc na oko można było powiedzieć, która z kobiet otrzymywała pomoc od rodziny, a która nie. Te z nas, którym pomagano, były stosunkowo zdrowe. Te, które nie mogły liczyć na paczki, zmieniły się praktycznie w żywe szkielety. Leżały na pryczach, nie mając nawet siły, by usuwać z siebie wszy.

Usnęłam i ocknęłam się dopiero, gdy dziewczyny wychodziły na obiad. Zuzanna klęczała przy mnie i trzymała mnie za dłoń. Za nią stała Anise, bystra i ładna kobieta, która wyglądała na osobę zdolną rozwiązać każdy problem.

– Tęskniłyśmy za tobą – powiedziała Anise. – Mamy nową blokową. Marzenkę. Ciężko z nią.

– Też za wami tęskniłam – odpowiedziałam. – Co to za smród na zewnątrz?

Zuzanna ścisnęła moją dłoń.

– Wybudowali krematorium. Piece.

– Co w nich palą?

Nie odpowiedziała od razu.

– Palą... – zaczęła, ale nie dała rady dokończyć. Domyśliłam się oczywiście. Te z nas, które nie przetrwały.

– Przykro mi, że ci to mówię, ale wszystkie słyszałyśmy już o Luizie – odezwała się w końcu Zuzanna.

– Uznałam, że najlepiej będzie, jeśli dowiesz się ode mnie. Jedna z Norweżek powiedziała mi, że widziała ją w sali, której używają jako kostnicy... – Nie, to jakaś pomyłka.

Biedna, słodka Lusie, która nikomu nigdy nie zrobiła krzywdy. Piotrek mi tego nie wybaczy.

– Nie ma mowy o pomyłce. Tamta dziewczyna powiedziała, że serce jej niemal pękło, gdy zobaczyła tam taką młodą dziewczynkę. Alfreda też odeszła.

Luiza i Alfreda? Obie martwe? Nie mogłam tego pojąć. Dlaczego miałiby zabijać takie urocze dziewczyny?

– Nie wolno ci tego rozpamiętywać – powiedziała Zuzanna. – Myśl teraz tylko o powrocie do zdrowia.

W tym tygodniu przynajmniej nie będziesz musiała chodzić do pracy. Siostra Marschall wypisała ci pozwolenie na zostanie w łóżku.

– Anioł z niej – sarknęłam.

– Cały obóz aż kipi ze złości na wieść o tym, co wam zrobili – wtrąciła się Anise. – Zoperowali przeszło pięćdziesiąt Polek, a mówi się, że to nie koniec. Harcerki zaczęły się organizować. Jest ich już dobra setka.

– Nazwałyśmy się „Mury” – dodała Zuzanna. – W ubraniach przywiezionych spod muru któraś znalazła odznakę harcerską i na nią zaprzysięgłyśmy nowe dziewczyny.

– Zebrały dla was całą masę rzeczy – powiedziała Anise. – Mnóstwo chleba. A Francuzki napisały o was sztukę. Ma tytuł Króliki.

– Czy mama ją widziała?

Anise i Zuzanna spojrzały na siebie.

Tym razem to Anise złapała mnie za dłoń.

– Och, Kasiu – szepnęła tylko.

– Co? – Dlaczego wyglądały na takie przerażone? – Powiedzcie mi. Zuzanno, proszę.

– Nikt nie widział mamy, odkąd zabrali nas na rewir – powiedziała Zuzanna. Oczy zaszklily się jej, ale jak mogła mówić o tym tak spokojnie?

Spróbowałam usiąść, jednak ból, który przeszył moją nogę, natychmiast zmusił mnie do położenia się na pryczy.

– Może wysłali ją do któregoś z podobozów? Może jest w bunkrze?

– Nie, Kasiu – odparła Anise. – Nigdy jej tam nie było. Sądzymy, że to stało się pierwszego dnia. Gdy was operowano.

Jak to? Musiała zająć jakaś pomyłka.

– Ona nie wróci, Kasiu – powiedziała Zuzanna.

– Niemożliwe. Nikt nic nie widział? Ona zawsze umiała bawić się w chowanego. Pamiętasz?

Pamiętasz, jak schowała się pod moim łóżkiem?

– Kasiu... – zaczęła Zuzanna.

– Spędziłyśmy cały ranek, próbując ją znaleźć, a ona tam zasnęła.

– Nie wydaje mi się, Kasiu, żeby tym razem zdarzyło się coś takiego.

– Pewnie trzyma się z badaczkami Pisma – ciągnęłam dalej. – Może Suhren kazał jej ścinać włosy.

– Nie, Kasiu.

– Po prostu nie chciało ci się poszukać – zarzuciłam Zuzannie.

– Szukałam, Kasiu. Zależy mi na niej nie mniej niż tobie. – Zuzanna wcisnęła mi w dłoń zrobiony własnoręcznie różaniec.

Rzuciłam go na ziemię.

– Nigdy nie kochałaś jej tak bardzo jak ja. – Rozlewający się jak czarny atrament gniew przesłonił mi wszystko i pociągnął za sobą w otchłań. – Nic dziwnego, że przestałaś szukać.

Zuzanna zebrała z ziemi swój różaniec.

– Zapomnę, co powiedziałaś, Kasiu. Przemawia przez ciebie gorączka i szok.

– Chciałam to powiedzieć. Pamiętaj. Wrócę zaraz na rewir i ją znajdę. I nie obchodzi mnie, czy mnie zabiją.

Próbowałam wstać z łóżka, ale Zuzanna mnie przytrzymała.

Szarpałam się, dopóki całkiem nie opadłam z sił. Potem spałam i budziłam się wyłącznie po to, by jeszcze głębiej zapaść w mrok rozpacz.

Potrzebowałam kilku dni, żeby zrozumieć, że mama już nie wróci.

Początkowo łudziłam się, że polska siatka po prostu nie zdołała jej znaleźć i że mama jest gdzieś bezpieczna lub że po prostu przeniesiono ją do innego obozu. Gdy prosiłam dziewczyny z bloku, by pomogły mi jej szukać, żadna nie odmawiała, ale po kilku dniach zrozumiałam, że wszystkie są przekonane o jej śmierci.

Nie miała nawet pogrzebu. Nikt nie zbił dla niej brzożowego krzyża. Na naszych drzwiach nigdy nie zawisł kawałek czarnej, żałobnej tkaniny.

Musiałam nauczyć się chodzić o kuli, zanim to jednak nastąpiło, Anise i Zuzanna nosiły mnie do latryny i przynosiły z powrotem na pryczę. Janka też potrzebowała pomocy. Wszystkie dziewczyny chętnie o nas dbały, ale bardzo bolało mnie, że jestem dla nich ciężarem. Zaczęłam marzyć o śmierci. Jak wspaniale byłoby skończyć ze sobą szybko, rzucić się na druty pod napięciem. Oczywiście tam nikt by mnie nie zaniósł.

Przez cały czas, od chwili kiedy nas aresztowano i przywieziono do

obożu, a nawet na rewirze po operacji, znajdowałam w sobie siłę, by myśleć o rzeczach przyjemnych. Miałam oparcie w polskim optymizmie, ale kiedy mama umarła, nie byłam w stanie wyjść z ciemności. Czułam się jak ryba, o której kiedyś czytałam, jak poskoczek mułowy. Każdego roku, gdy nadchodziła susza, ta ryba zagrzebywała się w mule i trwała tak przez całe tygodnie – ani żywa, ani martwa – czekając na deszcz, który przywróci ją do życia. Tymczasem życie w obozie toczyło się utartym torem. Odkąd wróciłyśmy z rewiru, znów budzono nas brutalnie, znów spędzałyśmy niezliczone godziny na apelach, mając za towarzysza dojmujący głód. Tę rutynę zakłócały jedynie przerażające chwile, gdy nasza blokowa odczytywała z listy numery tych, które miały zostać stracone.

Proces ten niemal zawsze przebiegał tak samo. Najpierw pojawiało się ostrzeżenie od więźniarek zatrudnionych w kancelarii, że z Berlina przyjechał kurier z rozkazem wykonania określonej liczby egzekucji, a strażnikom, którzy je wykonywali, wydzielano dodatkowe porcje wódki. Potem Binz wydawała rozkaz zamknięcia określonych bloków. Po dowiezieniu na blok zupy, co wypadalo mniej więcej w południe, blokowa wyczytywała numery „jednostek do usunięcia”. Nieszczęsne wywołane zbierały swoje rzeczy, a Binz i jej towarzyszki zjawiały się niebawem. Moja reakcja na te selekcje też rzadko była inna: bałam się, że usłyszę swój numer, czułam ulgę, gdy tak się nie stało. I ogromny żal, gdy patrzyłam, jak koleżanka z bloku przechodzi ten ostateczny rytuał.

Tego dnia, gdy ogłoszono pierwsze egzekucje królików, czekałyśmy przerażone na ławie przy stole, niemal bez tchu, mocno w siebie wtulone – po mojej prawej Zuzanna, po lewej Regina. Grupa, która przeszła operacje, dopiero nauczyła się znów siadać przy stole, co było niemałym powodem do świętowania, bo wreszcie nie musiano przynosić nam zupy do łóżek. Od jakiegoś czasu krążyły plotki, że komendant planuje egzekucje królików, chce nas usunąć, żeby pozbyć się dowodów, ale kto by wierzył plotkom? Zawsze przecież pojawiały się jakieś nowe, jak na przykład ta, że Amerykanie już ruszyli nam na ratunek albo że następnego dnia w zupie będzie mięso.

– Uwaga – powiedziała Marzenka, gdy dwie Rosjanki przytaszczyły kocioł z zupą na blok. – Häftlinge o wyczytanych numerach zakończą tu swoje obowiązki, zbiorą rzeczy i stawią się po dalsze instrukcje.

Wyciągnęła z kieszeni kurtki kwadratową kartkę i rozwinęła ją, a szelest rozkładanego papieru był w tym momencie jedynym dźwiękiem rozchodzącym się w obozie.

– Z numerem siedem tysięcy sześćset czterdzieści dziewięć.

Siedząca po mojej lewej Regina zeszywniała.

Marzenka odczytała jeszcze trzy numery, również królików, które nadal dochodziły do siebie na rewirze.

– Nie – zaprotestowała Zuzanna. – Musiała zająć jakaś pomyłka.

Objęłam Reginę ramieniem.

– Tylko bez hysterii – ostrzegła Marzenka.

Jak to w ogóle było możliwe?

– Coś wymyślimy, Reniu – szepnęłam jej do ucha.

Nie odpowiedziała, tylko włożyła łyżkę do miski i podała ją Zuzannie.

– Weź ją – powiedziała po prostu.

Zuzanna przyjęła miskę ze łzami w oczach. Jakże hojny dar!

Regina tymczasem wstała.

– Janko, uczeszysz mnie?

Janka skinęła głową i wszystkie poszłyśmy za Reginą do sali sypialnej. Zabrałyśmy też jej pełną miskę, bo pozostawiona bez opieki zniknęłaby bez śladu w zaledwie kilka sekund.

– Wiecie, co robili Spartanie skazani na śmierć? – zapytała Regina. – Kazali się uczesać.

Janka zdjęła brudną chustę z głowy Reginy. Normalnie noszenie wymyślnej fryzury podlegało karze.

Włosy miały być zgarnięte do tyłu i związane przepisową chustką, ale Binz patrzyła przez palce na przepisy, gdy więźniarka szła na śmierć. W czasie rekonwalescencji po operacjach włosy Reginy odrosły. Były teraz długie, gęste i ciemne. Janka związała je Reginie na karku w najbardziej wymyślny francuski kok, jaki знаła. Ktoś podał z górnej pryczy szpilkę do włosów, niewątpliwie wymienioną za chleb.

– Kasiu, chcę, żebyś wzięła moją książkę do angielskiego – powiedziała Regina. – Praca domowa na dziś to przyimki. I gdybyś mogła przekazać Fredkowi mojego Troilusa i Kresydę, gdy to wszystko się skończy... Skinęłam głową.

– Odmówię wypicia leków – oznajmiła Regina. Wiedziałyśmy, że więźniarkom idącym pod mur oferowano środek uspokajający, by procedura przebiegała łatwiej. – Sądysz, że dam radę krzyknąć: „Jeszcze Polska nie zginęła!”?

Chwyciłam ją za rękę.

– To nie ma znaczenia... – Ależ ma, Kasiu. Wiesz, że tego nienawidzą.

Więźniarki różnie przyjmowały wiadomość o śmierci. Niektóre płakały i ciskały gromy. Inne cichły i pogrążały się w modlitwie. Regina stanęła koło swojej pryczy i odczytała nam swój ulubiony fragment z Troilusa i Kresydy, starając się jak najwięcej zrobić przed przybyciem Binz: Uważaj go, przyjrzyj mu się. O waleczny Troilus! Otwórz tylko oczy, synowico. Patrz, jak miecz jego zakrwawiony, a hełm jego straszniej posiekany od przyłbicy Hektora. A co za spojrzenie! Co za chód!

Cudowny młodzieniec! A jeszcze dwadzieścia trzy nie skończył!^[9] Gdy czytała, poszczypałyśmy jej policzki, by dodać im nieco koloru.

Dziewczyna pracująca w kuchni zorganizowała nieco soku z buraków, którym pociągnęłyśmy wargi Reginy.

Binz i jej strażniczki pojawiły się niecałe pięć minut po odczytaniu numerów. Regina przytuliła się do mnie, przyciskając jednocześnie książkę do piersi.

– Powiedz wszystkim, co się stało – szepnęła.

– Oddaj to – rozkazała Binz, po czym wyrwała jej książkę z rąk. –

Co się tak martwisz? Sam komendant wydał rozkaz twojego uwolnienia.

Czy to możliwe? Nie, to musiało być kolejne kłamstwo.

Janka odwinęła sznurek, którym wiązała się w pasie, i zawiązała go wokół talii Reginy, dzięki czemu jej uniform przypominał bardziej sukienkę.

– Raus, raus – ponagliła Binz, dźgając Reginę gumową pałką.

Regina ruszyła do drzwi, ciągle kulejąc, bo jej noga nadal nie była w pełni sprawna. Przy drzwiach oddała Zuzannie swoje okulary do czytania i odwróciła się do nas z uśmiechem. Nagle zaczęła jaśnieć, nabrała nowego blasku, a na policzki wystąpiły jej rumieńce.

Binz rzuciła książkę aufzejerce i wypchnęła Reginę na drogę. Żadna z obserwujących to więźniarek nie zdołała powstrzymać łez. Regina była taka dzielna. Jej imię oznacza „królową” i tak też się tego dnia zachowywała. Gdyby nie chybotliwy krok, można by pomyśleć, że Regina jest jakąś gwiazdą filmową albo modelką. Szła Aleją Gwiazd dumna i wyprostowana.

Podzieliłyśmy się zupą z Janką, ale żadnej z nas nie było z tym lekko. Czuliśmy się winne, zjadając porcję Reginy, jednak wiedziałyśmy, że nie chciała, by jedzenie się zmarnowało. Podzieliłyśmy równo małą marchewkę – prawdziwy rarytas. Postanowiłam, że dzięki zupie Reginy wydobrzeję i przetrwam to wszystko, by świat dowiedział się o piekle, jakie przeszłyśmy.

Niebawem Marzenka zgłosiła Zuzannę i mnie do Stri ckerei, do

roboty na drutach, ale całe popołudnie nasłuchiwałyśmy w nadziei, że nie padną żadne strzały. Może Binz mówiła jednak prawdę i dziewczęta zwolniono do domów? Albo wysłano do któregoś z podobozów?

Później tego dnia usłyszałyśmy ciężarówkę, która ruszyła w stronę jeziora. Niebawem padły cztery stłumione strzały, jeden po drugim, a my odmówiłyśmy modlitwę w skrytości ducha, bo modlenie się na głos podlegało karze. Anise powiedziała mi później, że dowiedziała się od dziewcząt pracujących w kuchni, tuż przy murze, że Binz zawiozła wszystkie cztery króliki na egzekucję. Jedną z nich trzeba było nieść pod mur, bo rany na jej nodze jeszcze się nie zagoiły na tyle, by mogła stanąć o własnych siłach.

– Rozpląkałyśmy się – opowiadały – gdy wszystkie cztery krzyknęły na koniec: „Jeszcze Polska nie zginęła!”.

Od tej chwili złość mi nie wystarczała. Musiałam zacząć działać. Nikt nie mógł zagwarantować, że nie trafimy pod mur jako następne. A wtedy kto mógłby ogłosić światu, co tu zaszło? Postanowiłam wcielić swój plan w życie, nawet gdybym miała przyplacić to śmiercią.

Tamtej niedzieli, gdy Zuzanna spała, starając się pozbyć paskudnej dyzenterii, poluzowałam deski górnej pryczy i wspięłam się na górę, do niewielkiej przestrzeni, którą nazywałyśmy nadbudówką i gdzie dziewczyny czasami paliły papierosy. Na górze było niewiele światła, ale oczy przywykły mi do mroku, gdy przygotowywałam narzędzia niezbędne do przeprowadzenia mojego planu.

1. Napisany po niemiecku list zajmujący jedną stronę obozowej papeterii, w którym pierwsze litery każdej linijki tworzyły komunikat „list moczem”.

2. Wykałaczką, za którą zapłaciłam pół racji chleba.

3. Kubek na wodę, w który planowałam złapać mój ciepły atrament sympatyczny.

Pierwsze próby skończyły się upstrzeniem listu kleksami, ale szybko nauczyłam się sprawnie pisać między wierszami przygotowanej wiadomości. Napisałam o operacjach i podałam nazwiska zabitych dotąd królików – najpierw Reginy, potem Romki Sekuły, Irki Poborcówny i Henryki Dembowskiej.

Czułam się doskonale, pisząc do ojca o plutonach egzekucyjnych, operacjach i prosząc go, by dał o tym znać komu tylko zdoła. Gdy pisałam pierwszy list, operacje przeprowadzono już na siedemdziesięciu z nas. Podanie wszystkich nazwisk wymagało wysłania jeszcze wielu listów. Poprosiłam też, by na znak, że otrzymał zaszyfrowaną wiadomość,

przysłał nam szpulkę czerwonych nici.

Następnego dnia, gdy wstałyśmy, z nieba padała marznąca mżawka. Wyszłyśmy z baraku i ustawiliśmy się w szeregach po dziesięć do apelu, czekając, aż blokowa zbierze od nas listy, zanim pójdziemy pracować w Strickerei. Schowałam list do rękawa kurtki, żeby nie zamókł. Gdy Marzenka podeszła do mojego rzędu po listy, wyciągnęłam go i przesunęłam palcami po papierze. List był nieco pomarszczony w miejscach, w których mocz zetknął się z kartką. Czy Marzenka to zauważy? A cenzorzy?

Marzenka podeszła bliżej i wyciągnęła rękę po listy. Dłoń zadrżała mi, gdy kładłam swój na kupce już zebranych, a kiedy kartka zsunęła się i pofrunęła w kierunku ziemi, aż jęknęłam.

– Niezdara – burknęła Marzenka.

Próbowałam złapać kartkę w locie, ale jednak spadła w błoto.

– Nie wezmę tego – oznajmiła Marzenka.

Podniosłam list i wytarłam błoto rąbkiem sukienki, a potem podałam Marzence.

– Bardzo panią proszę.

Chwyliła kartkę w dwa palce i zmrużyła oko.

– Skąd taki niepokój o zwykły list? – Uniosła go pod światło.

Niemal przestałam oddychać.

– Zaadresowałaś na urząd pocztowy w Lublinie. Weź to... – zaczęła, oddając mi list.

Złożyłam dłonie za plecami.

– Do rąk własnych Adalberta Kuśmierczyka. Mój tata pracuje na poczcie, pani blokowa.

– Ach – powiedziała tylko Marzenka, po czym wsadziła list w plik pozostałych i ruszyła dalej.

Modliłam się o to, by list dotarł bezpiecznie na miejsce.

Dbaj o niego, Marzenko, bo to nasza jedyna nadzieja.

Rozdział 20
Herta
Boże Narodzenie 1943

Przed świętami Bożego Narodzenia w 1943 roku morale kadry w Ravensbrück sięgnęło nowego dna.

Wcześniej tego roku siły Rzeszy walczyły ciężko pod Stalingradem mimo braku odpowiedniego uzbrojenia i ubrań, ale ostatecznie zmuszone były skapitulować. Alianci zbombardowali Berlin, co powetowaliśmy sobie w Wielkiej Brytanii i wkroczyliśmy do Włoch północnych, gdzie uratowaliśmy Mussoliniego aresztowanego przez włoskie wojsko. Było więc co świętować.

Wojna przeciągała się, a życie w Ravensbrück stawało się każdego dnia trudniejsze. Nowe transporty docierały do nas niemal bez przerwy, pełne jeńców zakażonych różnymi chorobami, zwożonych tu ze wszystkich podbitych przez Führera krajów.

Odkąd zabrakło Haliny, rewir zamienił się w istny dom wariatów pełen chorych ludzi ze wszystkich krańców świata. Nie miałam kiedy tęsknić za Fritzem czy Mutti. Większość czasu spędzałam w gabinecie, ale trzeba było zarządzać rewirem. Lekarze pracujący w obozie potrzebowali odpoczynku i zapewniono go nam w postaci wspaniałych obchodów świątecznych. W całych Niemczech obowiązywało racjonowanie żywności, ale personel obozu mógł cieszyć się prawdziwą kawą, salami, polską wódką i doskonałym szampanem.

Przyjęcie rozpoczęło się od korowodu. Binz i jej strażniczki wpadły do kantyny przebrane za anioły, w białych, powłóczystych szatach przewiązanych w pasie złotymi sznurami. Binz zdołała przekonać nawet mnie do przywdziania tego stroju. W zasadzie byłam jej za to wdzięczna, bo szerokie rękawy pozwalały ukryć kilka nacięć na ramionach, tak że mogłam uniknąć zawstydzających mnie spojrzeń i niewygodnych pytań. Cięcie się stanowiło tylko pewną fazę, było typowym ujściem dla narastającego napięcia, które nie powinno dziwić, biorąc pod uwagę stres związany z moimi obowiązkami.

Binz i jej anioły miały na głowach diademy z folii aluminiowej z krzyżami umieszczonymi nad czołem, a każda z nich niosła w ręku wysoką, sięgającą niemal sufitu tyczkę zakończoną złotą swastyką.

Wchodząc, zapalały kolejno świece przyczepione do gałązek ustawionej w rogu choinki, ozdobionej dodatkowo srebrnymi wstążkami włosów anielskich. Potem weszli mężczyźni służący w SS, przebrani za pasterzy, w odpowiednich szatach i z chustami wykonanymi z połyskującego niebiesko materiału. Na końcu procesji kroczył sam komendant Suhren w stroju Gwiazdora. Miał na sobie długą czerwoną szatę lamowaną białym futrem, a w jednej dłoni niósł różgę. Przechodząc przez drzwi, zsunął nieco do przodu spiczastą czapkę, żeby nie zahaczyć nią o futrynę.

– Kto był niegrzeczny? Kto nieposłuszny? – zakrzyknął, puszczając do nas oko.

Nie trzeba było jednak długo czekać, by Gwiazdor odrzucił różgę i wyciągnął wór pełen słodyczy. Skąd on wziął takie rzeczy w czasie wojny? Piwo, ulubiony napitek wszystkich zebranych, lało się strumieniami. Nawet Gwiazdor dzierżył w garści kufel.

Gdy wraz z narodzeniem się ruchu narodowosocjalistycznego pojawiła się nowa religia, początkowo wydawała się dziwna, ale z czasem przywykliśmy do niej. Führer utrzymywał, że można być albo Niemcem, albo chrześcijaninem, nigdy jednym i drugim. Wysunął tezę, że to my jesteśmy Chrystusem, co wydawało się praktycznym wyjściem z sytuacji.

Wielu Niemców sprzeciwiało się tej zmianie, ale członkowie SS bez protestów przyjęli nową religię.

Stopniowo religijne aspekty Bożego Narodzenia były zastępowane symbolami dumy narodowej i z czasem zamiast narodzin Chrystusa zaczęliśmy świętować nadejście przesilenia zimowego.

Ostatecznie nawet Gwiazdor musiał ustąpić Odynowi, Zwiastunowi Przesilenia. Mutti krzywiła się nieco na te innowacje, bo wychowano ją na dobrą protestantkę, tatę zaś na katolika, ale w końcu i ona stawiała w domu „drzewko ludowe” udekorowane na górze germańskim symbolem słońca tuż obok tradycyjnej choinki. Mnie nowa religia odpowiadała bardzo, bo uwalniała mnie od problemów natury teologicznej.

Siedziałam z boku i obserwowałam, jak anioły i pasterze pływają wesoło na parkiecie.

Komendant Suhren podszedł do mojego stolika, a poduszka udająca brzuszek Gwiazdora podskakiwała u niego wesoło jak brzuch Krisa Kringle.

– Nic pani nie je, Fräulein Oberheuser.

To rzekłszy, postawił na stole talerz z porcją mięsa i polanymi masłem ziemniakami.

– Pani doktor, Herr Kommandant – poprawiłam, odwracając jednocześnie głowę od dolatującego mnie odoru krwistego befsztyka.

– Musi pani o siebie dbać i zachować siły. Mięso aż kipi od protein i żelaza. – Naprawdę uważał, że pouczanie lekarza na temat żywienia jest konieczne? – Wiem, że nie jest pani łatwo, odkąd Fritz pojechał na front, a doktor Gebhardt ciągle wykląda. Do tego jeszcze ten incydent... Dlaczego wszyscy uparli się nazywać to, co przydarzyło się Halinie, „incydentem”?

– Nic mi nie jest, Herr Kommandant. – I była to prawda. Większość personelu obozów koncentracyjnych cierpiała na chroniczną bezsenność.

Suhren zaczął solić ziemniaki, na co zużył przynajmniej łąpatę soli. Binz i Edmund całowali się w kącie sali, co wyglądało, jakby anioł ratował właśnie pasterza metodą usta-usta. Binz awansowano niedawno na stanowisko zastępcy starszej nadzorczyńni, ale to nie przeszkadzało jej wcale kontynuować romansu.

– Czułabym się znacznie lepiej, gdybyśmy wreszcie rozwiązali kwestię królików, panie komendancie – stwierdziłam w końcu.

– Mam teraz sporo na głowie. Siedemdziesiąt podobozów, a w każdym z nich niemało problemów.

Siemens narzeka, że więźniowie umierają przy stanowiskach pracy. Poza tym w sprawie królików mam związane ręce, Fräulein. Odkąd Berlin mnie upomniał, nie otrzymuję już nawet raportów dotyczących tego, co dzieje się w moim własnym obozie. A Gebhardt nie okazuje woli współpracy.

Suhren zaprotestował przeciwko prowadzeniu badań nad sulfonamidami, utrzymując, że Polki są mu potrzebne do pracy. Gebhardt skontaktował się ze swoimi wysoko postawionymi przyjaciółmi i Suhren został odsunięty od sprawy. Musiał osobiście przeprosić Gebhardta, co wedle wszelkich znaków bardzo ubodło jego ego.

– Więc co z tymi królikami? – zapytał, turlając ziemniaka po talerzu. Nie wiem, po co, skoro musiał widzieć wszystko z okien swojego gabinetu. Potrzebna mu była moja wersja?

– Cóż, po marszu protestacyjnym królików... – Jakim znów marszu? Przecież połowa z nich nie może chodzić.

– Przyniesiono je na plac, gdzie zażądały widzenia z Binz.

– Coś o tym słyszałem.

– Przekazały jej petycję, w której na piśmie domagały się wstrzymania wszelkich operacji.

– Miała pani sporo szczęścia, że nie doszło do zamieszek. Ale jak rozumiem, ostatecznie i tak przeprowadziła pani te operacje?

– Tym razem w bunkrze. Bez znieczulenia, bo nie mieliśmy tam na to warunków, za to z dodatkową ochroną. Króliki wydają się cieszyć specjalnymi względami wśród osadzonych.

– Czy mogę jakoś pomóc?

– Berlin wie już o protestach i przyglądają się tej sytuacji. Gebhardt powiedział, że bez wyraźnego rozkazu żadna z królików nie trafi już pod mur.

– I co w związku z tym? – Suhren zaczął przyglądać się Binz i Edmundowi obściskującym się w kącie.

Widziałam, że tracę jego uwagę.

– Jeśli nie damy rady pozbyć się wyników tego eksperymentu, to niewykluczone, że na nas spadnie odpowiedzialność za to wszystko. Proszę pamiętać, że Fritz jest na froncie, a Gebhardt ciągle podróżuje.

Znów zainteresował się tym, co mówiłam.

– Obawiam się, że nie zdołam wskórać nic przeciw Gebhardtowi. On dzień w dzień rozmawia z samym Himmlerem.

– Ale trzeba coś zrobić, i to szybko. Jeśli sprawa się wyda... Suhren machnął ręką, jakby chciał odpędzić tę myśl.

– Bezpieczeństwo w obozie jest na najwyższym poziomie. Mieliśmy tylko trzy próby ucieczki, z czego dwie uciekinierki aresztowano. Sam Himmler pochwalił naszych cenzorów. Nie ma żadnych przecieków.

Sam siebie oszukiwał. Słyszałam, że cenzorom co rusz coś umykało. Binz niemal codziennie znajdowała na to dowody. Farba do włosów ukryta w pudełku z płatkami owsianymi. Antybiotyki w paście do zębów.

– Poza tym operacje wykonywano w tajemnicy, a pacjentki miały zakryte twarze. Żadna z nich pani nie zidentyfikuje.

– Ale... – Cierpliwości, moja droga. Zajmę się tą sprawą. Proszę się zdać na mnie.

Suhren odszedł, rzucając serwetkę na talerz. Krew z jego steku zaczęła natychmiast wsiąkać w lniane płótno. Chór pokracznych aniołów Binz zebrał się, by odśpiewać wybrane niemieckie piosenki ludowe, a ja poczułam nagle, że to wszystko nie może skończyć się dobrze.

Wiedziałam z doświadczenia, że takie sprawy pozostawiane samym sobie mają w zwyczaju okrutnie się mścić.

Rozdział 21
Caroline
Boże Narodzenie 1943

Każdą wolną chwilę w grudniu 1943 spędziłam na ściganiu podróżnych na dworcu Grand Central i namawianiu ich do kupna obligacji wojennych. Na wschodniej ścianie dworca niemal z dnia na dzień pojawił się olbrzymi, mierzący około trzydziestu ośmiu metrów fotorealistyczny mural o tematyce wojennej. Nad głowami oceanu podróżnych, wśród których dużą grupę stanowili umundurowani mężczyźni, zawisły samoloty i okręty wojenne. Podpis nie pozostawiał wątpliwości co do celu misji: **JUŻ TERAZ KUP OBLIGACJE I ZNACZKI WOJENNE!**

Pewnego popołudnia Mary Lee Read, jedna z organistek, która w święta grała ochotniczo na zamontowanych na stacji organach, odegrała z wyjątkową werwą Gwiazdzisty sztandar. To sprawiło, że cały tłum na dworcu zamarł z dłońmi przyłożonymi do serc, przez co wielu z podróżnych spóźniło się na swoje pociągi. Dyrekcja dworca poprosiła ją, by więcej nie grała tego utworu, i w ten sposób Mary przeszła do historii jako jedyna w Nowym Jorku organistka, której zabroniono grać nasz hymn.

Zaostrzono też ochronę na dworcu po tym, jak dwóch niemieckich szpiegów usiłowało przeprowadzić tam sabotaż, ale pewna grupa wolontariuszy, w tym mama i ja, uzyskała zgodę na sprzedaż obligacji na dworcu. Wszyscy orzekli jednogłośnie, że mama minęła się z powołaniem, bo zaklinała pieniądze niczym Indianie deszcz. Biada podróżnym, którzy ośmielili się odmówić choćby dziesięciu centów na zakup znaczka! Każdy, kto znalazł się w jej mocy, ostatecznie zaczynał przekonywać ją, by przyjęła dodatkowe pieniądze na obligacje, na co mama z chęcią przystawała.

W tamtym okresie przez stację przewijało się mnóstwo kobiet. Ponieważ mężczyźni zaciągnęli się do armii, kobiety gremialnie zaistniały na rynku pracy. Nawet Betty przepisywała raporty dla fabryki broni.

Nie było to może zajęcie na miarę Rosie the Riveter^[10], ale dla Betty stanowiło to niemały krok.

Bożonarodzeniowy poranek 1943 roku spędziłyśmy z mamą w kościele Świętego Tomasza nieopodal dworca Grand Station, na rogu

Piątej Alei i Pięćdziesiątej Trzeciej Ulicy. Wysłuchałyśmy kazania pastora Brooksa, który wygłosił je z imponującej, dębowej mównicy rzeźbionej w misterne wzory i udekorowanej specjalnie z okazji świąt. Pastor robił, co w jego mocy, by tchnąć w nas nowego ducha.

Wojna była dla naszej niewielkiej kongregacji, składającej się wtedy w znacznej części ze starszych kobiet i mężczyzn, prawdziwym brzemieniem. Wprawdzie w świątyni pojawiło się kilku mężczyzn w mundurach, ale większość z nich wysłano na toczącą się w Europie i na Pacyfiku wojnę. W grupie tej znalazł się nawet nasz windziarz, Cuddy. Każdy znał kogoś, na kim wojna odcisnęła swoje piętno.

Zmówiłam modlitwę za los ludzi na pokładzie francuskiego statku, który Roger był zmuszony zawrócić z drogi zaledwie dzień wcześniej, za tysiące przesiedlonych z całej Europy, tułających się w poszukiwaniu azylu, a teraz oczekujących na wybrzeżu.

Nie dawałam już rady liczyć miesiące upływających bez słowa wieści od Paula. Roger obstawiał, że Paul nadal przebywa w Natzweiler. Z tego, czego zdołałam się dowiedzieć, wynikało, że wielu francuskich mężczyzn kończyło właśnie w Wogezach, zapracowując się na śmierć w skrajnie niskich temperaturach. Czy ktokolwiek zdołałby przetrwać dwa lata w takich warunkach?

Tego roku światło dzienne ujrzał jeszcze jeden niepokojący i złowieszczy fakt. Z raportów napływających do nas ze szwajcarskiego Czerwonego Krzyża, ale też z nowojorskich i londyńskich gazet jasno wynikało, że Hitler realizował plan pozbycia się Żydów, Słowian, Cyganów i wszystkich innych nacji, które uznał za należące do grupy Untermenschen, podludzi, by zdobyć tym samym tak upragniony Lebensraum dla Niemców. Na jaw wychodziły informacje o ciężarówkach, w których gazowano ludzi w Chełmnie, niewielkim mieście w Polsce, pojawiły się też doniesienia o masowych eksterminacjach.

Hitler ogłaszał swoje zamiary jawnie w przemówieniach, a mimo to Roosevelt nie zgadzał się na zniesienie embarga imigracyjnego i pozwalał przyjmować w Stanach minimalną liczbę uchodźców.

Kościół Świętego Tomasza był dla nas tym, czym tratwa dla rozbitka. Klęcząc tam, w oparach kadzidła, przed wielkim kamiennym ołtarzem, czułam, że świat jednak zdoła wyjść na prostą. Gdy byłam mała, zaczęłam razem z tatą uczyć się na pamięć imion wszystkich sześćdziesięciu świętych i słynnych ludzi przedstawionych na rzeźbach w tym kościele. Święty Polikarp. Święty Ignacy. Święty Cyprian.

Dotarliśmy do numeru sześćdziesiątego czwartego, Jerzego

Waszyngtona, potem tata umarł i nigdy nie nauczyłam się reszty. W tym kościele miałam wrażenie, że jestem bliżej niego, szczególnie gdy organista zaczął wygrywać na wszystkich tysiącu pięciuset pięćdziesięciu i jednej piszczałce organów God Rest Ye Merry Gentlemen, ulubioną kolędę taty. Wystarczyło, że usłyszałam zarumienionych chłopców z chóru śpiewających na chwałę Pana, bym odzyskała wiarę w przyszłość.

Gdy pastor Brooks informował nas, że zamierza zaciągnąć się do armii, do, jak to ujął, „starego, dobrego siódmego regimentu” z Nowego Jorku, by tam świadczyć posługę kapłańską, ja zajęłam się studiowaniem wykutych w kamieniu nazwisk tych, którzy służyli na frontach pierwszej wojny.

Dwadzieścia z nich pociągnięto złotą farbą, by zaznaczyć, że ludzie ci oddali swoje życie za ojczyznę. Ilu tym razem zabierze nam wojna? Czterystu mężczyzn z naszej parafii zaciągnęło się do armii, a liczba ofiar już przekroczyła tę z czasów poprzedniej wojny.

Już wcześniej włożyłam do śpiewnika jeden z listów od Paula, zbląkaną wiadomość, która dotarła do mnie na długo po tym, jak Francja padła ofiarą Hitlera. Czytałam go tyle razy, że papier przetarł się i stał cienki jak bibuła. Pastor mówił dalej, a ja czytałam: Dziękuję Ci, kochana, za ovaltine. Wierz mi, to naprawdę cudowna odmiana po naparze, jaki ojciec Reny przygotowuje nam z palonych żołędzi. Nie martw się, jeśli przez jakiś czas listy nie będą do Ciebie docierać. W gazetach wciąż piszą, że lada dzień dojdzie do inwazji. Tymczasem wiedz, że tęsknię za Tobą i że nie przestaję myśleć o Tobie na dłużej niż zaledwie kilka minut, a i to przez sen.

Módl się za nas i śpij dobrze w swojej różowej, satynowej pościeli, bo już niedługo wybierzemy się razem na przekąskę z H&H Automat, będziemy oddychać klimatyzowanym powietrzem i cieszyć się smakiem... Poczułam na sobie czyjeś spojrzenie, odwróciłam się i zobaczyłam Davida Stockwella przyglądającego mi się intensywnie z ławki stojącej po drugiej stronie kościoła. Nawet tego nie ukrywał. Jak miałam rozumieć wyraz jego twarzy? Ciekawość? Odrobina żalu? Zamknęłam śpiewnik, gdy Sally Stockwell, która nawet w chłodzie głównej nawy zdawała się sphywać żarliwym ogniem wiary, wychyliła się zza męża i uśmiechnęła do mnie. Chwilę później to samo zrobiła Betty, przewracając przy tym oczyma, by dać mi do zrozumienia, co myśli o przydługim kazaniu pastora Brooksa.

Po zakończeniu mszy pastor ruszył spod ołtarza za nielicznym pochodem chłopców i starców. Gdy szli wzdłuż nawy głównej, widać było, jak bardzo wojna przetrzebiła ich szeregi. Większość ministrantów

zmieniła szkarłatne rewerendy i białe komże na mundury. Gdy pochód dotarł na tyły kościoła i zniknął w zakrystii, wierni zaczęli wylewać się ze świątyni.

Mama i ja dołączyłyśmy do Betty, Davida i Sally czekających w kruchcie, pięknym przedsionku kościoła z sufitem wykładanym wspaniałymi kasetonami. Wyróżniali się w tłumie. Betty miała na sobie śnieżnobiały kostium i futro z duńskich norek. Sally, która spodziewała się bliźniaków, wyglądała, jakby miała zaraz pęknąć, a jej szkarłatny płaszczyk zdecydowanie przegrywał walkę z brzuchem. David natomiast był chyba jedynym mężczyzną w kościele, który nie miał na sobie munduru. Utrzymywał, że obowiązki w Departamencie Stanu są równie uciążliwe, ale niekończące się obiady w 21 nie wydawały się równać z frontowym trudem.

Gdy dołączyłyśmy do tej trójki, Sally właśnie wachlowała się rozpiską przedstawiającą porządek dzisiejszej ceremonii.

– Witaj, Caroline – powiedziała z promiennym uśmiechem na ustach.

– Wygląda na to, że spodziewasz się dwójki bożonarodzeniowych dzieci – skomentowała mama.

– Trójki – sprostowała Betty. – Teraz to trojaczki. Mama już wszystko przygotowuje. Ma już w odwodzie trzy opiekunki.

Wydawało się, że pięcioraczki Dionne to dla losu za małe przypomnienie o mojej bezdzietności. Sally Stockwell też musiała wyrabiać nadnormę.

Ujęłam Davida pod ramię.

– Mogę z tobą pomówić? W cztery oczy?

David wyglądał na zaskoczonego. Czyżby obawiał się, że chcę wracać do naszej przeszłości? Mimo że serce miałam nadal poranione, nie mogłam nie zauważyć, że z wiekiem wyglądał coraz lepiej.

– Mam nadzieję, że nie wpadł w żadne kłopoty – zauważyła Betty.

– Minutkę – zgodził się. – A potem musimy wracać do domu.

Kucharz trzyma pieczeń na ogniu.

Poprowadziłam go w cichszy kąt, a on uśmiechnął się do mnie.

– Jeśli rozmyśliłaś się w kwestii moich zalotów, to może kościół nie jest... – Dlaczego nie odbierasz moich telefonów? – zapytałam.

Wojna nie przeszkodziła Davidowi w ubieraniu się z szykiem. Nosił się z klasyczną elegancją, niemal na krawędzi bufonady. Krawat miał zawiązany perfekcyjnie, a brzegi kieszeni płaszcza z wielbłądziej wełny były przesyte idealnie.

– Kiedy po raz ostatni to ty wyświadczyłaś mi przysługę?

– Chciałam tylko, żebyś zadzwonił do kogoś w sprawie... –
Caroline, tylko Kongres może złagodzić przepisy imigracyjne. Mówiłem ci.

– Davidzie, wiem, że masz wpływy.

– Żeby zrobić co?

– Roger musiał odprawić dziś kolejny statek. Z Hawru. Połowa pasażerów to dzieci. Gdybyś mógł poprosić... – Ten kraj nie chce więcej obcokrajowców.

– Obcokrajowców? Połowa mieszkańców tego kraju dotarła tu zaledwie jedno pokolenie temu. Jak możecie tak po prostu skazywać ludzi na śmierć, Davidzie?

David wziął mnie za rękę.

– Słuchaj, C. Wiem, że Paul Rodierre jest tam, i to w kiepskim położeniu... Wyrwałam dłoń z jego uścisku.

– Nie o to chodzi. Jak możemy tak siedzieć beczynn timer? To odrażające.

Pastor Brooks dołączył do mamy, Betty i Sally. Uczynił znak krzyża nad brzuchem Sally, przez co ta tylko zaczęła się mocniej wachlować.

– To wojna, Caroline. Najlepsze, co możemy zrobić dla tych ludzi, to ją wygrać.

– To tylko zasłona dymna i dobrze o tym wiesz. A siedemdziesiąt tysięcy rumuńskich Żydów, którym odmówiono azylu? A „St. Louis” odesłany z kwitkiem? Ilu jeszcze niewinnych ludzi wyślecie na pewną śmierć?

Pastor Brooks spojrział w naszą stronę, a David pociągnął mnie głębiej w cień.

– To powolny proces, Caroline. Każdą wizę trzeba dokładnie sprawdzić. Razem z uchodźcami mogą się tu dostać niemieccy szpiedzy. Działamy w najlepszym interesie Stanów Zjednoczonych.

– To antysemityzm, Davidzie. Był czas, gdy zrobiłbyś to, co należy.

– Braciszku! – zawołała Betty.

David uniósł palec wskazujący, by dać jej znać, że zaraz przyjdzie.

– Przyjmijmy na moment, że rzeczywiście o to chodzi. Gdybyś nie szalała jak pensjonarka za swoim zameżnym przyjacielem, siedziałabyś teraz z paniami z Junior League i robiłabyś skarpetki dla naszych chłopców na froncie.

– Zapomnę o tym, co powiedziałaś, jeśli obiecasz, że chociaż spróbujesz... – Davidzie, teraz – rozkazała Betty.

– W porządku, zapytam.

- Mam twoje słowo?
- Tak, na Boga. Zadowolona?

– Owszem – odparłam z uśmiechem. Przez moment miałam wrażenie, że przez jego twarz przemknął cień smutku. Żałował, że się rozstaliśmy? Trudno było stwierdzić, bo wrażenie to minęło tak szybko, jak się pojawiło.

Gdy wróciliśmy do pozostałych, mama i Betty właśnie pomagały Sally usadzić się na jednej z tylnych ław. Pastor Brooks obserwował z miną zaniepokojonego ojca, jak mama zwija płaszcz i układa go pod głową Sally.

- Mój Boże – westchnął poruszony David.

Betty natychmiast do niego podbiegła i pociągnęła go za rękaw.

– Chodźże tutaj, ona za chwilę wybuchnie. Nie ma czasu, żeby wieźć ją do Świętego Łukasza.

Wyglądało na to, że David jednak nie zdąży na swoją pieczeń.

Rozdział 22
Kasia
Boże Narodzenie 1943

Boże Narodzenie 1943 roku było dla mnie i Zuzanny szczególnie trudne. Mama i Luiza nie żyły, a moja siostra była tak wyniszczona, że nie miałam wielu powodów do świętowania. Tata nie przysyłał paczek ani listów od bardzo dawna. Może już nie żył?

W Wigilię zwolniono nas z wieczornego apelu, żeby strażnicy i strażniczki mogli świętować. Zuzanna leżała obok mnie. Była tak wycieńczona dyzenterią, że ostry zarys jej kości udowej odcinał się wyraźnie pod cienkim kocem. Jako lekarka wiedziała doskonale, co się dzieje, i starała się poinstruować mnie, jak powinnam o nią dbać, ale nawet sól i czysta woda, które przemycały dla niej dziewczyny z kuchni, nie pomagały. I mimo że wiele dziewcząt dzieliło się ze wszystkimi królikami cennymi zapasami jedzenia, bez paczek z domu szybko zmieniłyśmy się w żywe szkielety.

Zuzanna leżała na boku z dłońmi złożonymi pod policzkiem, a ja drzemałam obok niej, przytulona do jej pleców, ciesząc się każdym jej oddechem. Kobiety na bloku przegłosowały, że króliki, ze względu na nasz stan, mogą zajmować samodzielnie dolne prycze. Był to gest niebywalej wagi, gdyż na niektórych pryczach spało osiem więźniarek razem! Rosjanki, zazwyczaj lekarki i sanitariuszki schwytane na froncie, były dla nas szczególnie miłe i to one zorganizowały głosowanie. Na Gwiazdkę Anise podarowała nam koc bez wszy, który zabrała ze zrabowanej przez Niemców odzieży, a którym mogłam owinać Zuzannie stopy.

Widziałam, że kilka Polek zebrało trochę trawy, którą potem wepchnęły pod kawałek szmatki. Zgodnie z tradycją chciały zjeść kolację wigilijną przy stole, na którym pod obrusem leży nieco siana. Po kolacji część niezamężnych kobiet wyciągnęła źdźbła spod szmatki, żeby poznać swoją przyszłość. Zielone źdźbło oznaczało małżeństwo, żółte wróżyło odrażającą wizję staropanieństwa, bardzo krótkie wieszczyło rychłą śmierć. Tego wieczoru wszystkie wydawały mi się króciutkie.

Marzenka przez chwilę nas nie pilnowała, więc niektóre z dziewcząt zaczęły śpiewać kolędy.

Zaśpiewały między innymi moją ulubioną Zdrów bądź, Królu Anielski. Ich głosy były zaledwie szeptem, bo śpiewanie i mówienie w językach innych niż niemiecki było zabronione i karane bunkrem.

Kolęda przypomniała mi o ostatnich świętach, które spędziłyśmy w Polsce, przy małej choince ozdobionej soplami wykonanymi ze srebrnego papieru i świeczkami. Wymieniałyśmy się wtedy z Nadią prezentami, zawsze książkami. Mama podawała na stół postny barszcz, rybę na gorąco i kutię.

A w kościele w Boże Narodzenie siadaliśmy w tej samej ławie co Bąkowscy. Tłoczyliśmy się tam razem z Piotrkim i jego mamą, której ciemne włosy wyglądały niczym łabędzi puch. Zanim poznała tatę Piotrka, tańczyła w balecie i później też zawsze wiązała włosy w ciasny kok u nasady karku. Pan Bąkowski prezentował się doskonale w galowym mundurze, a Luiza tuliła się do mnie w nowym, różowym płaszczku. Wszyscy Bąkowscy zaczęli się uśmiechać, gdy Piotrek przyciągnął mnie do siebie,

żebym mogła korzystać z jego modlitewnika. Pamiętałam też zapach goździków i cynamonu, którym Piotrek przesiąkł, pomagając rano mamie przy świątecznych wypiekach.

W tamtym okresie skupiałam się przeważnie na wspomnieniach, byle tylko uciec od lodowatego bloku, ale głód powoli odbierał mi wszystko, co kochałam. Przez większość dnia myślałam wyłącznie o chlebie oraz o tym, by pozbyć się wszy i uwolnić od nich Zuzannę. Zuzanna zmuszała nas do tego regularnie, aż usuwanie wszy stało się naszym nawykiem. Wszystko, byle uniknąć tyfusu, gdyż Zuzanna doskonale wiedziała, czym grozi ta choroba.

Tym razem ze strefy marzeń wyrwał mnie stary elektryk z Fürstenbergu, który naprawiał elektryczność w naszym baraku. Odwiedzał nas często, a my wyczekiwałyśmy jego wizyt z niecierpliwością. Wszedł na blok, jak zawsze siwowłosy, zgarbiony, z płócienną torbą z narzędziami przerzuconą przez ramię, niosąc ze sobą składany, drewniany stołek. Rękawy i ramiona jego wełnianego płaszcza pokrywały mokre plamy. Strząsnął krople deszczu z kapelusza w kolorze musztardowej żółci, a potem zrobił coś, co robił zawsze, a co wywierało na nas niebywałe wrażenie.

Uklonił się nam.

Uklonił! Ile już czasu minęło, odkąd ktokolwiek powitał nas w ten sposób? Potem ruszył na środek baraku i rozłożył stołek. Po drodze przyjrzał się śpiącej przy mnie Zuzannie. Z jakichś przyczyn ją upodobał

sobie szczególnie. Zresztą ona zawsze działała w ten sposób na ludzi. Może przypominała mu o jego dziecku? W czasie poprzedniej wizyty zostawił jej kostkę cukru owiniętą w biały papier.

Cieszyliśmy się nią przez wiele dni, budząc się nocami i liżąc po trochu. A innym razem „przypadkiem”

upuścił przy jej pryczy proszek od bólu głowy.

Ale pewnie chcecie wiedzieć, dlaczego przymierające głodem kobiety tak bardzo czekały na wizyty starego niemieckiego elektryka? Ponieważ pan Fenstermacher nie był zwyczajnym robotnikiem. Był miłym, kulturalnym człowiekiem o głosie przywodzącym na myśl ciepłą melasę. Jednak nie to było w nim najlepsze.

Śpiewał nam. Po francusku.

Ale nie śpiewał zwykłych piosenek. Wyśpiewywał nam nagłówki gazet, jakie czytał tego dnia.

Owszem, z południa dolatywały nas odległe wybuchy bomb, stąd wiedziałyśmy, że wojna nadal się toczy.

Ale Herr Fenstermacher ryzykował życie, by dać nam coś cenniejszego od wszystkich skarbów świata.

Nadzieję. Jego nazwisko znaczyło „robiący okna” i rzeczywiście był naszym oknem na świat.

Zawsze zaczynał w ten sam sposób. Wchodził na swój stołek, zaczynał grzebać przy wiszącej w baraku gołej żarówce i śpiewał: Recueillir prcs, les filles, et vous entendrez tout ce qui se passe dans le monde. Podejdźcie, dziewczęta, i usłyszcie, co dzieje się na świecie.

Tamtego Bożego Narodzenia śpiewał nam o amerykańskich oddziałach, które wylądowały w Europie,

o spotkaniu Stalina, Roosevelta i Churchilla w Teheranie i o nalotach na Berlin organizowanych przez RAF. Więc to oni latali nam nad głowami! Wyobraziłam sobie przystojnych, młodych Anglików w samolotach, którzy sprawiali, że w obozie odzywał się alarm wprawiający Binz i jej aufzejerki w panikę. Czy ci piloci wiedzieli, że tu, na dole, czekamy, aż ktoś nas oswobodzi?

Te z nas, które znały francuski, szeptały pozostałym tłumaczenie. Nie wyobrażacie sobie, czym był dla nas ten dar. Elektryk zakończył pięknym: „Wesołych świąt, miłe panie. Niech Bóg pomoże nam wszystkim jak najszybciej”.

Potem zabrał swoją torbę i włożył kapelusz na głowę. Łzy napłynęły mi do oczu. Czy aby nie przeziębili się w taką pogodę? Wtedy nikt by już o nas nie pamiętał. Czy wiedział, że jest naszym jedynym sprzymierzeńcem?

Przeszedł obok naszej pryczy i uchylił przede mną kapelusza. Niech pan na siebie uważa, pomyślałam. Jest pan naszym jedynym przyjacielem.

Byłam szczęśliwa, że Zuzanna przespała cały ten czas. Jeden dzień odpoczynku, bez wystawiania godzinami w słońce, w czasie gdy Binz i jej podwładne starały się nas policzyć, musiał jej pomóc.

Dopiero kiedy Herr Fenstermacher wyszedł z baraku, zobaczyłam, co zostawił w nogach naszej pryczy.

Najpiękniejszą parę wełnianych skarpet!

Wzięłam je do ręki i nie mogłam uwierzyć, z jak miękkiej wełny zostały zrobione. Przytuliłam je do policzka. Miałam wrażenie, że tulę się do puchu naszej Psiny. I ten kolor! Piękny błękit, jak w cudownie słoneczny letni dzień. Wsunęłam je Zuzannie pod policzek, między złożone dłonie i pierś. To był prawdziwy świąteczny cud.

Ledwie Herr Fenstermacher wyszedł z baraku, drzwi otworzyły się ponownie i wpadła przez nie Marzenka, ciężko obtupując błoto z butów. Wszystkie jej ich zazdrościłyśmy, bo noszenie drewnianych chodaków zimą na bosa stopy samo w sobie było torturą.

Marzenka przyniosła ze sobą okazałą stertę paczek. Serce aż skoczyło mi w piersi na ich widok.

Dostać paczkę w Boże Narodzenie po tylu dniach wyczekiwania byłoby wręcz niesamowite.

Marzenka chodziła po bloku, wyczytując nazwiska i rzucając paczki oraz listy na niektóre z prycz.

Wszystkie byłyśmy więźniami politycznymi, a mimo to pozwalano nam otrzymywać paczki. Nie rozumiałam tego. Na nasze szczęście komendant Suhren był człowiekiem praktycznym. Każda paczka z jedzeniem czy ubraniami dla więźniarki oznaczała oszczędności dla obozu. Utrzymanie więźniarki przy życiu stawało się tańsze.

Gdy Marzenka dotarła do naszej pryczy, miała już w rękach tylko dwie paczki.

Błagam, niech jedna z nich będzie dla nas.

Zatrzymała się przy nas.

– Wesółych świąt – powiedziała, uśmiechając się nieznacznie, co nie zdarzało się jej często. Ale nawet ona znalazła w sobie współczucie dla królików.

Rzuciła paczkę, a pudełko wylądowało na sienniku z głuchym puknięciem. Usiadłam i chwyciłam je natychmiast. Trochę kręciło mi się w głowie, więc przez chwilę trzymałam paczkę owiniętą brązowym papierem w dłoniach, pozwalając sobie nacieszyć się tą chwilą. Paczka.

Małe plamki kropel deszczu upstrzyły papier pakowy nieregularnym wzorem, przez co przypominał on skórę jakiegoś zwierzęcia.

Deszcz rozmazał też atrament, którym zapisano adres zwrotny, ale nadal było widać, że zwrot adresowano na lublińską pocztę.

Tata.

Czy zdołał złamać szyfr i czy wpadł na to, by wyprasować kartę? Czy powinnam obudzić Zuzannę, żebyśmy razem otworzyły paczkę? Pudełko i tak zostało rozprute przez cenzorów, więc po chwili namysłu postanowiłam nie czekać, tylko zerwałam do końca brązowy papier. Trzymałam w dłoniach zimną w dotyku starą puszkę po słodyczach. Otworzyłam wieko i pierwsze, co poczułam, to zapach zleżałej czekolady. Och, czekolada. Zupełnie zapomniałam, że coś takiego istnieje. Na samą myśl zaczęłam się ślinić.

W puszcze znalazłam trzy zawiniątka. Odwinęłam pierwsze z płótna i znalazłam resztkę makowca.

Więcej niż połowę! Normalnie cenzorzy zabraliby całe ciasto. Czyżby święta sprawiły, że stali się bardziej wielkoduszni? Odłamałam kawałek i podziękowałam Bogu za stworzenie maku. Resztę zawinęłam pośpiesznie, żeby zachować ciasto dla Zuzanny. Domowe wypieki z Polski musiały jej pomóc.

W następnym zawiniątku znalazłam tubkę pasty do zębów. O mało co nie roześmiałam się w głos. Po naszych szczoteczkach do zębów zostało już tylko wspomnienie, ale cudownie było zobaczyć coś tak znajomego. Odkręciłam nakrętkę i zaciągnęłam się zapachem świeżej mięty. Wepchnęłam pastę pod siennik. Taki skarb można było wymienić na rację chleba wystarczającą na tydzień.

Ostatnia paczuszka była niewielka i zawinięta w białą ściereczkę mamy, na której sama wyszyła dwa całujące się ptaszki. Na ten widok rozplakałam się histerycznie i chwilę trwało, zanim znów wzięłam się do pracy. Wreszcie jednak udało mi się rozluźnić węzeł, co nie było łatwe, bo ręce drżały mi niesamowicie. Gdy w końcu rozwiązałam ściereczkę, nie byłam w stanie zrobić nic więcej, jak tylko patrzeć w milczeniu na to, co w sobie kryła.

Trzymałam na kolanach szpulkę czerwonych nici.

„Radość” jest słowem mocno nadużywanym, ale to właśnie czułam tamtego dnia, gdy dowiedziałam się, że tata odczytał moją wiadomość. Ledwie powstrzymałam się od wyjścia na środek baraku i wrzeszczenia z radości. Ucałowałam tylko nitkę i wcisnęłam szpulkę w dłonie śpiącej siostry.

To były najpiękniejsze święta w moim życiu, bo wiedziałam, że nie jesteśmy już same.

Rozdział 23

Herta

1944

Vilmer Hartman chciałby się z panią widzieć – powiedziała siostra Marschall, spoglądając na mnie znacząco. Dlaczego ciągle wchodziła mi do gabinetu bez pukania?

Tego ranka obudziłam się w paskudnym nastroju, a głowa dosłownie mi pękała. Może dlatego, że obóz też pękał. W szwach. Ravensbrück było przeznaczone dla siedmiu tysięcy więźniów, ale tego lata przetrzymywaliśmy tu prawie czterdzieści pięć tysięcy osób. Może chodziło o ciągle alarmy przeciwlotnicze oraz ponure wieści z frontu? Na początku czerwca doszły nas wieści, że Amerykanie wylądowali we Francji. A może przyczyn należało szukać w fakcie, że zalała nas fala zakażonych więźniów i przez kilka ostatnich tygodni musiałam niejednokrotnie usuwać z rewiru pacjentki niezdolne do pracy i przydzielać je do czarnych transportów. Nawet kilka pociągnięć żyletki, by ulżyć napięciu, nie pomagało. Nadal nie mogłam spać.

Na domiar złego Suhren nie zrobił nic w sprawie królików. Teraz bloki były tak przepełnione i źle zarządzane, że odnalezienie tych kobiet w obozie wymagałoby zamknięcia wszystkich bloków i przeprowadzenia gruntownego przeszukania. Gerda powiedziała mi, że ich przyjaciółki pozamieniały się z nimi numerami i ukrywały je, gdzie tylko mogły, nawet w baraku gruźliczek.

Nie miałam nastroju na spotkania ze starymi przyjaciółmi.

Vilmer Hartman był psychologiem, którego poznałam jeszcze w czasie studiów. Poprosił mnie teraz o wycieczkę do Uckermark, jednego z byłych obozów dla dziewcząt, dokąd Suhren odsyłał obecnie nadmiar więźniów. Wiedziałam, że psycholodzy jeżdżą po obozach, by sprawdzać stan zdrowia psychicznego załogi, co moim zdaniem było zupełną stratą czasu, wzięwszy pod uwagę, ile mieliśmy pracy. Sądziłam, że zawiozę go do Uckermark, oprowadzę po obozie w niecałe pięć minut i wrócimy bez przeszkód do Ravensbrück. Chciałam wejść wcześniej do wanny i wziąć chłodną kąpiel, bo upały dawały się nam mocno we znaki. Od lat nie notowano takich temperatur w lipcu.

Vilmer czekał na mnie na siedzeniu pasażera samochodu

zaparkowanego przed budynkiem administracyjnym. Usiadłam za kółkiem, uruchomiłam silnik i włączyłam radio, żeby nie musieć z nim rozmawiać.

Niemcy nadal odnoszą zwycięstwa. Alianci cofają się bezustannie, a Rzesza kroczy zwycięsko w operacji Wacht am Rhein (operacja Straż) prowadzonej nad Renem. Pozostałe wiadomości... Vilmer wyłączył radio.

– Zwycięstwa? Co za kłamstwa. Jak możemy się jeszcze łudzić. Przegraliśmy tę wojnę. Już pod Stalingradem.

– Co więc sprowadza cię do obozu, Vilmerze? Ostatnio widzieliśmy się chyba na zajęciach z biologii.

Męczyłeś się z płodem świni.

Vilmer uśmiechnął się.

– Prawie wtedy odpadłem.

Był przystojnym blondynem o łagodnym sposobie bycia. Ubierał się po cywilnemu, jak podejrzewałam, żeby wzbudzać większe zaufanie u pacjentów. Jakoś zdołał utrzymać lśniący połysk wyglądających na drogie butów z koźlęcej skóry, mimo że w obozie unosił się wszechobecny kurz.

– Nie każdy może być lekarzem – stwierdziłam.

– A szkoda, bo to opłaca się zdecydowanie bardziej – oznajmił Vilmer. – Ale psychologia też mi się podoba.

Gdy dotarliśmy do Uckermark, zaparkowałam, a Vilmer, jak przystało na niemieckiego dżentelmena, otworzył przede mną drzwi samochodu. Przeprowadziliśmy inspekcję trzech nowo wybudowanych bloków oraz olbrzymiego płóciennego namiotu rozstawionego na placu, pod którym stały i siedziały setki Häftlinge w cywilnych ubraniach.

Vilmer, typowy dobrze wychowany Niemiec, miał nienaganne maniery, lecz był niebywale nudnym człowiekiem. Raz zaprosił mnie na randkę, ale byłam zbyt zajęta, by się zgodzić.

– Masz bardzo dużo publikacji, Vilmerze. Zrobiłeś piękną karierę.

Potałam biały rękaw kitla, bo zebrał się na nim czarny popiół.

– Nie za ciepło dziś na długi rękaw? – zapytał Vilmer. – Przy mnie nie musisz nosić munduru.

– Po co tu przyjechałeś?

– Badam zależności między traumą a psychozą.

– Kolejny projekt? O, tu znajdziesz niezliczone obiekty badań, począwszy od kantyny oficerskiej.

– Bardziej interesują mnie więźniowie.

– A kogóż oni obchodzą? Nie zbliżaj się do nich, chyba że chcesz załapać coś egzotycznego.

– Mnie obchodzą – powiedział Vilmer. – To jedynie część mojego zadania, ale terapia prowadzona wśród więźniów wiele mnie nauczyła.

– A oficjalnie czym się zajmujesz? – zapytałam.

Doszliśmy do namiotu i Vilmer uśmiechnął się do jednego z Häftlinge.

– Mam ocenić zdolność populacji do współdziałania na podstawie szeregu różnych czynników.

Miał oczywiście na myśli „wyselekcjonowanie osób mentalnie niezdolnych do pracy”. A zanim nadawał im etykietkę więźniów wymagających specjalnych działań, robił na boku własne badania.

– Obserwujesz szczury w labiryncie – stwierdziłam.

– Lubię myśleć, że rozmowa o tym wszystkim choć trochę im pomaga. Kiedy zrobiłaś się tak bezduszna, Herto?

– Kwalifikuję się przez to na kozetkę?

– Na pewno rozmowa by ci pomogła. Zresztą wcale mnie to nie dziwi. Od lat jesteś poddawana systematycznemu procesowi pozbawiania uczuć, począwszy od nauki w szkole medycznej. Pamiętam szermierkę ludzkimi kończynami w prosektorium.

– I jesteś tu wyłącznie po to, by obserwować więźniów?

– Ależ nie. Również wybranych pracowników obozów.

– Ze mną wyłącznie?

– Wszyscy mają swoje zadania. – Vilmer wzruszył ramionami.

– Zatem wszystko, co powiem, trafi do Suhrena?

– Składałam raporty w Berlinie.

– Kazali ci mnie ocenić?

– Nie tylko ciebie, Herto. Lekarze obozowi są szczególnie narażeni na ryzyko. Jako grupa okazujecie ogromny szacunek władzy.

Akceptujecie, a wręcz pragniecie utrzymywać status quo.

– Nie radzę sobie z życiem w tak brudnym miejscu jak to. – Starłam z rękawa nowe drobiny popiołu. – Co mam wpisane w aktach?

– A jak sądzisz?

– Na pewno ten incydent z Polką.

– Niewykluczone.

– Ale o czym tu mówić? Spotkałam więźniarkę, była pielęgniarkę, która pomogła mi doprowadzić rewir do porządku, a siostra Marschall zrobiła się zazdrosna i położyła temu kres. Nią się powinieneś zainteresować.

– Czy wiesz, dlaczego kazali ci grać w szachy z doktorem Winkelmannem?

– Nie rozmawiamy raczej na ten temat.

Choć początkowo mocno protestowałam przeciwko wymuszonym wizytom u naszego okrągłego kolegi Winkelmann, z czasem odkryłam, że na przekór wszystkiemu znajduję w nich ukojenie. Nakładałam sobie nad górną wargę nieco mentolu, żeby zabić smród potężnego cielska, i obserwowałam, jak pochłaniał niezliczone kanapki z rybą, wychwalając przede mną jednocześnie dobroczynny wpływ ryb na mózg. Miewałam gorsze randki.

– Podejrzewam, że nie podobało im się, jak bardzo związałam się z inną kobietą, i uznali, że skorzystałabym na towarzystwie mężczyzny.

– A ty jak się z tym czujesz?

– Nie płacą mi za odczucia.

– Skrywanie emocji ci nie pomoże, Herto.

Vilmer był tak miękki z tym krowim spojrzeniem. Nigdy nie zaliczał się do błyskotliwych studentów i w jego przypadku studia medyczne były zwyczajną stratą czasu i pieniędzy.

– Było mi po prostu przykro. Ona ciężko pracowała i była dobrym człowiekiem.

– Z moich notatek wynika, że spędziłaś potem kilka dni w łóżku. Napady lęku.

– Mam to już za sobą. – Ciężka praca i dyscyplina pomagają na wszystko. Dlaczego on się tak w tym wszystkim grzebał?

– Wyglądasz na niezadowoloną, że kitel ciągle brudzi ci się popiołem z krematorium. Chcesz o tym porozmawiać?

– Tak się składa, że wolę chodzić w czystym, białym kitlu, Vilmerze. Czy to pogwałcenie jakichś zasad behawioralnych?

– Nie musisz podnosić głosu, Herto. Czy te epizody pojawiają się teraz częściej?

Jak długo jeszcze miałam to znosić?

– A jak sypiasz?

Nagle poczułam, że stojąc tak w słońcu, zaczynam się gotować.

– Kiepsko, Vilmerze. Być może przez syrenę, która wyje codziennie o czwartej rano. Nie żeby kogoś obchodziło, jak sypiam.

– Czujesz, że nikogo to nie obchodzi? – zapytał Vilmer.

– Przystaniesz wreszcie pytać o to, co czuję? Mein Gott, Vilmerze. Do czego to ma prowadzić? Co czuję? Co czuję?

Mówiłam głośno, co zwróciło uwagę jakiejś Aufseherin. Tylko tego było mi potrzeba – kolejnego raportu do akt.

– Posłuchaj, życie w takim miejscu nie jest łatwe – stwierdził

Vilmer. – Dokumenty wyraźnie podają twoje obowiązki w obozie. Coś takiego nie może pozostawiać cię obojętną. Zabijanie nie leży w twojej naturze, Herto. Nie ma wątpliwości, że doświadczasz właśnie psychicznego odrętwienia.

– Robię, co do mnie należy – powiedziałam, ściągając rękawy sukienki na nadgarstki.

– Nowe blizny?

A nawet jeśli? Potrafiłam sobie z tym poradzić.

– Nie, oczywiście, że nie – odpowiedziałam. – Żadnych nowych blizn.

Vilmer wziął papierosa i zapalił zapalniczkę, a odbłysek promieni słonecznych od aluminiowej powierzchni na chwilę mnie oślepił.

– Nie możesz mieć wszystkiego, Herto. Nie da się zabijać i pozostać lekarzem. Wszystko ma swoją cenę.

– Po pracy zajmuję się innymi rzeczami.

– Prowadzisz podwójne życie. To niezdrowe.

– Palenie też.

Vilmer skrzywił się i wyrzucił niedopalonego papierosa, powodując tym poruszenie wśród Häftlinge.

– Słuchaj, zdaję sobie sprawę, że oddzielanie spraw zawodowych od prywatnych jest do pewnego stopnia pożądane, ale wydaje mi się, że gdzie indziej czułabyś się lepiej.

– Chcesz mnie przenieść?

– Uważam, że przydałaby ci się odmiana. Na tym etapie nie masz jak pomagać Rzeszy.

– Więc chcesz mnie zesać na jakiś prowincjonalny oddziałik ze szpatułką i butelką aspiryny? Może dla ciebie studia nie były niczym ważnym, ale ja ciężko pracowałam, żeby osiągnąć to, co mam.

– Ta wrogość jest zupełnie zbędna, Herto.

W sukience z długim rękawem było mi gorąco jak w piecu, aż pot spływał mi po plecach.

– A więc teraz jestem wrogo nastawiona? Proszę cię. Czy byłeś w czymkolwiek kiedyś tak dobry, by mieć pewność, że pisana ci jest wielkość? Nie, proszę, nie wpisuj mi do akt „cierpi na manię wielkości”.

To prawda. Jestem lekarzem, Vilmerze. Tym żyję. Nie odsyłaj mnie. Proszę.

– To wszystko nie skończy się dla Niemiec dobrze, Herto. Nie możesz tego nie widzieć. Jesteś w pierwszej linii do stryczka.

Ruszyłam do wozu.

– Suhren ma się wszystkim zająć.

Vilmer podążył za mną.

– Sądziś, że Suhren cię ochroni? Ucieknie do Monachium. Albo do Austrii. Gebhardt już stara się o nominację na przewodniczącego Czerwonego Krzyża, jakby to miało go zbawić. Dlaczego nie weźmiesz urlopu?

Mdliło mnie już od tej rozmowy. Jak można było okazywać taką słabość? Czy w ciągu nocy wszyscy Niemcy potracili kręgosłupy?

– Nie będę przeszkadzać ci w badaniach. – Wsiadłam do wozu i rzuciłam Vilmerowi kanapki, które ze sobą przywieźliśmy. – Dam sobie z tym radę. Spójrz, jak daleko zaszłam. Nie odbieraj mi tego.

Gdy przejeżdżałam przez bramę Uckermark, minęła mnie jadąca w przeciwnym kierunku ciężarówka, która miała zabrać więźniów wymagających specjalnych działań. We wstecznym lusterku zobaczyłam jeszcze Vilmera przykucniętego przed namiotem, jak rozmawiał z jakimiś Żydami z Węgier. Pewnie wypytywał ich o emocje. Jakby to mogło w jakikolwiek sposób pomóc Rzeszy.

Kilka miesięcy później Suhren wezwał mnie do swojego gabinetu. Twarz miał koloru popiołu.

– Doniesiono mi, że sprawa królików Gebhardta wyciekła z obozu. Berlin przechwycił komunikat polskiego rządu w Londynie nadany w Radiu Świt, w którym podano szczegóły eksperymentów. Określili to mianem wiwisekcji. Padły nazwiska moje i Binz. Powiedzieli, że za nasze zbrodnie zostaniemy napiętnowani rozpalonym żelazem.

– Podali nazwiska lekarzy?

– Tylko Gebhardta. Podobno misja katolicka z Fryburga zawiadomiła Watykan.

– Uprzedzałam pana, panie komendancie.

Suhren zaczął krążyć po gabinecie.

– Jakim cudem to mogło wyciec? Przecież byliśmy bardzo ostrożni. Chyba nie pozostaje nam nic innego, jak otoczyć całe te króliki opieką.

– Nie, panie komendancie. Wręcz przeciwnie. Rozmawialiśmy już o tym... – Zarząd Bezpieczeństwa mówi, że polski rząd na wychodźstwie skazał Gebhardta na śmierć. Musimy się liczyć z opinią międzynarodową. Tym trzeba się zająć z największą ostrożnością. Nasze postępowanie może mieć kluczowe znaczenie, gdy wszystko, hmm... gdy będzie już po wszystkim.

– Lepiej by było, gdyby króliki nie zostały nigdy odnalezione. Opinii publicznej trudno będzie wyrażać się na temat czegoś, co nigdy nie

istniało.

– Ale Himmler prowadzi negocjacje ze Szwecją w sprawie uwolnienia Häftlinge z naszego obozu.

Chodzi o przewiezienie ich do Szwecji autobusami Czerwonego Krzyża. To może złagodzić ocenę naszych działań. I w efekcie nieco nam pomóc. Mam też nadzieję, że mój sprzeciw wobec operacji został odnotowany.

Jakim cudem Suhren mógł być tak naiwny? Nie było mowy o żadnym złagodzeniu. Jeśli Niemcy przegrają wojnę, to zwycięzcy nie będą specjalnie dociekać, kto był czemu przeciwny. Suhren musiał trafić prosto na szafot.

– Sądzi pan, że świat spojrzy przychylnie na żywe dowody tego, co się tu działo? Panie komendancie, zostanie pan pociągnięty do odpowiedzialności, niezależnie od tego, co pan powie. I ja również.

Suhren wyjrzał przez okno na rozciągający się w dole obóz.

– Jak mamy je znaleźć? Häftlinge nie noszą już przypisanych im numerów. – Miał przekrwione oczy.

Czyżby pił? – Na apelach po prostu się wymykają. Podmieniają swoje numery na numery zmarłych.

Podeszłam bliżej.

– Większość z nich powinna znajdować się na bloku trzydziestym pierwszym. Albo ukrywać pod nim.

Ten nowy obiekt... – Panno Oberheuser, proszę... Suhren nie lubił mówić o najnowszym udogodnieniu dla obozu, a przecież nikt nie powiedział nawet słowa gaz. Nowi członkowie załogi, którzy niedawno przyjechali z Auschwitz, pomogli mu sklecić prowizoryczny przybytek tego rodzaju w starej szopie na przybory malarskie obok krematorium. Nie było to dzieło sztuki architektonicznej, ale z jego pomocą uciszenie królików musiało być znacznie prostsze.

– Każę Binz zamknąć ten blok i zwołać apel – powiedział Suhren. – Jest pani osobiście odpowiedzialna za wyłapanie wszystkich królików.

No, wreszcie.

– Czy mam pańskie pozwolenie, by... – Proszę zrobić to, co uważa pani za konieczne, pani doktor. Proszę jedynie upewnić się, że nie pozostanie po nich najmniejszy ślad.

Rozdział 24
Caroline
1944–1945

Dwudziestego piątego sierpnia Roger zadzwonił do The Hay i oznajmił, że oddziały Wolnej Francji i wojska amerykańskie dotarły na przedmieścia Paryża.

Wróciliśmy do gry.

Była sobota, ruch na ulicach umiarkowany, wcisnęłam więc gaz do dechy i slalomem mijałam kolejne samochody na Taconic Parkway, dopóki we wstecznym lusterku nie zamigwały niebieskie światła. Gdy wyjaśniłam młodziutkiemu policjantowi, co właśnie zaszło, włączył sygnał i eskortował mnie do konsulatu.

Na miejscu od razu rzuciliśmy się z Rogerem do zbierania informacji ze wszystkich możliwych źródeł.

Czytaliśmy telegramy i wiadomości przesyłane dalekopisem, jednocześnie słuchając radia. Gdy wojska dotarły do Łuku Triumfalnego, zaczęliśmy szaleć z radości i natychmiast zadzwoniliśmy do Bordeaux i Londynu. Oddziały amerykańskie oraz generał de Gaulle na czele wojsk Wolnej Francji dotarli do Paryża od południa, więc kolumna pojazdów i piechoty przemierzyła wzdłuż całe Pola Elizejskie. Na ulice wyległy tysiące paryżan wiwatujących Vive la France! Ludzie wybiegali z domów, szaleli z radości, mimo że tu i ówdzie nadal słyszało się strzały niemieckich snajperów oraz czołgi. Ale niebawem ostatnie oddziały niemieckie wywiesiły białe flagi, a restauratorzy wyciągnęli z piwnic ostatnie butelki szampana i cały Paryż utonął w radości świętowania.

Później tego samego dnia obejrzelśmy z okien biura Rogera występ Lily Pons, diwy Metropolitan Opera, która odśpiewała Marsyliankę trzydziestu tysiącom ludzi zgromadzonych na Rockefeller Plaza, by świętować zwycięstwo.

Doszliśmy do wniosku, że kapitulacja Hitlera i upadek Berlina to zaledwie kwestia czasu. Alianci maszerowali już, by oswobodzić więźniów obozów koncentracyjnych. Zaczęłam rozsyłać listy i telegramy do wszystkich możliwych centrów repatriacyjnych w całej Francji, dopytując się o Paula. Czy to możliwe, by wrócił do Paryża?

Francja była wolna, ale wojna trwała nadal. Pewnego kwietniowego

dnia tamtego roku siedziałam przy stole jadalnym w The Hay ciągle jeszcze w piżamie i pisałam notatkę prasową w sprawie sierot w wyzwolonej Francji: „Francja potrzebuje już DZIŚ rzeczy codziennego użytku: ryżu, słodzonego kakao, pełnotłustego mleka w proszku, suszonych owoców, także herbaty i kawy dla starszych dzieci...”.

Ile to już czasu minęło, odkąd otrzymałam pierwszy list od Paula? Żadne z prowadzonych przeze mnie poszukiwań nie przyniosło efektów. Do Bethlehem zawitała ostatnia zimowa zawierucha, ale nawet zima miała już dość zimy, więc białe płatki po cichu opadały na skutny lodem podwórzec niczym biała flanela.

Ojciec stwierdziłby, że ten śnieg nie nadałby się na śnieżki.

Serge położył odebrane z poczty listy na półkolistym stoliku przy drzwiach wejściowych z głośnym pacnięciem, a potem zabrał się do odśnieżania podjazdu.

Powoli zapadał zmrok. Poszłam do kuchni, by zaparzyć sobie herbatę, a wracając, zaczęłam przeglądać pocztę. Podobne koperty widywałam już wcześniej. Była tu ulotka o dorocznym wiosennym pokazie koni, który mama organizowała na Ferriday Field za naszym domem, żeby zebrać fundusze na bibliotekę. Był rachunek za mleko z Elmwood Farm. I zaproszenie do folwarku na koncert na dzwonekach.

Moją uwagę przykuła jedna koperta. Była kremowa, jak pozostałe, w które pakował swoje listy, i adresowana jego pismem – nie tak zdecydowanym i silnym, ale na pewno jego. Paula. W adresie zwrotnym przeczytałam: „Hôtel Lutetia, no 45 boulevard Raspail”.

Dłonie drżały mi, gdy rozrywałam kopertę, by dostać się do jej zawartości.

Chwyciłam stojące w kuchni śniegowce, zarzuciłam na piżamę płaszcz mamy i wybiegłam przez podwórze do sklepu wielobranżowego Braci Merrill, z każdym krokiem krusząc delikatną pokrywą śniegu. Wspięłam się po schodach i zastałam mamę stojącą obok zastawionej półkami ściany, tuż przy panu Merrillu, ściskającą w dłoni sporą butlę z ekstraktem z oczaru. Odsunęli się od siebie zaskoczeni.

Pan Merrill, z nieodłącznym najeżonym pękiem kluczy u pasa, uśmiechnął się na mój widok.

– Caroline, jak się miewasz... – Proszę wybaczyć, panie Merrill. Nie mam teraz czasu – powiedziałam, ciągle ściskając klamkę i starając się złapać oddech. Drogi pan Merrill, choć zazwyczaj zwięzły, potrafił w nieskończoność rozwodzić się nad zaletami i wadami papierowych toreb na zakupy, jeśli tylko pozwoliło mu się rozwinąć ten temat.

Mama odwróciła się w moją stronę.

– Dobry Boże, kochanie! Co się stało?

Nie mogłam złapać oddechu, więc tylko pomachałam kopertą.

Mama podeszła do drzwi.

– Zamknij, Caroline. Na miły Bóg, co się z tobą dzieje?

– Paul... Paul napisał. Jest w... – Gdzie, kochanie?

– W hotelu Lutetia.

– To czemu nic nie mówisz, Caroline? – zapytała, oddając panu Merrillowi tonik oczarowy. – Jutro ruszamy w drogę.

Bo przecież spakowane byliśmy już od miesiący.

Rozdział 25

Kasia

1945

Z nastaniem lutego 1945 roku Aleja Gwiazd straciła cały swój urok. Niemcy zniszczyli skrzynki na kwiaty i wycięli wiele lip, a drewno poszło na opał. Czarny żużel skrył się pod zamarzną breją błota, śnieg ciągle zalegał na terenie obozu, teraz zasypyany warstwą popiołu z pieców krematoryjnych. Klatkę z egzotycznymi zwierzętami zlikwidowano już dawno.

Kluczyłam między grupami kobiet zmagających się z zimnem. Niektóre chodziły w grupach, inne krążyły same. W niedzielę Aleja Gwiazd zmieniała się w kipiący hałasem tygiel wszelkich narodowości.

Niektóre z nas nosiły przepłukane reformy czy obozowe uniformy, trzymając je tak, by wyschły nieco na powietrzu. Armia Czerwona posuwała się coraz dalej w głąb Polski, więc do i tak zatłoczonego już obozu z każdą godziną przybywały nowe transporty z ewakuowanych przez Niemców obozów, takich jak Oświęcim czy Majdanek. Nie trzeba było długo czekać, by w Ravensbrück znalazły się kobiety z dwudziestu dwóch różnych krajów. Polki nadal stanowiły najliczniejszą grupę, ale teraz były między nami także Angielki, Chinki i Amerykanki. Wszyscy wiedzieli, że Himmler kazał zamknąć w tutejszym bunkrze wielu z tak zwanych Prominente, więźniów specjalnych, jak ten amerykański pilot, którego znaleziono nieopodal Ravensbrück, gdy katapultował się z samolotu.

Choć większość z nas nosiła identyczne niebiesko-szare pasiaki, potrafiłyśmy rozpoznać narodowość po sposobie ich noszenia. Na przykład Francuzki zawsze rzucały się w oczy. Każda z nich wiązała chustkę w pełen uroku i nie do podrobienia sposób. Wszystkie też szyły sobie ze zorganizowanych skrawków materiału śliczne torebeczki, na które mówiły bautli i w których trzymały sztucce i miski.

Niektóre naszywały na sukienki białe kołnierzyki, a ze skrawków wiązały piękne kokardy. Rosjanki, przeważnie lekarki i sanitariuszki wzięte do niewoli na froncie, również były nie do pomylenia z nikim innym. Tworzyły zdyscyplinowaną grupę i wszystkie nosiły się tak samo. Jak jeden mąż zatrzymały ciężkie, skórzane buty wydane przez armię

radziecką, a obozowe chustki wiązały na karku idealnym węzłem.

Nowe więźniarki też rozpoznawało się bez problemów. Gdy w obozie skończyły się pasiaki, nowo przyjęte kobiety zaczęły się ubierać w dziwacznie łączone ubrania znalezione wśród łupów wojennych.

Przez to nowe wyglądały jak egzotyczne ptaki w papuzich kitlach, jak nazywałyśmy pstrokate połączenia falbaniastych spódnic i jaskrawych bluzek. Niektóre kobiety miały szczęście znaleźć ciepłą męską marynarkę, z wymalowaną na plecach wielką literą „X” na wypadek, gdyby taka więźniarka chciała uciec.

Dwie Rosjanki stały przy skleconym prowizorycznie straganie między blokami dwudziestym dziewiątym i trzydziestym pierwszym, gdzie sprzedawały swetry, pończochy i grzebienie, a wszystko to w cenie dziennego przydziału chleba. Nieopodal stała czujka wypatrująca Binz.

Krażyły plotki, że razem z nami w obozie siedziała Gemma La Guardia Gluck, siostra Fiorella La Guardii, burmistrza Nowego Jorku. Mówiło się też o grupie angielskich spadochroniarek schwytych we Francji przez SS. I o Genevičve, siostrzenicy Charles’a de Gaulle’a. Wszystkie wiedziałyśmy, że w Ravensbrück siedziała siostra Himmlera, aresztowana za pohańbienie rasy przez związek z Polakiem.

Dziewczyny z biura mówiły, że nawet jej nie oszczędzono dwudziestu pięciu batów, jakie były częścią kary.

Binz nakazała puścić rozbrzmiewającą w obozie muzykę jeszcze głośniej, więc teraz marsze i pieśni wojenne dosłownie bombardowały nas dźwiękiem. Spojrzałam w niebo na trzy przelatujące nad nami samoloty – tym razem niemieckie. Rozpoznawałam je już po dźwięku, no i po braku syren przeciwlotniczych.

Poprzedniego lata dzięki niezastąpionemu panu Fenstermacherowi usłyszałyśmy o inwazji w Normandii, ale tego, że Niemcy zaczęli nagle przegrywać, nikt nie musiał nam mówić. Oznaki widać było wszędzie. Codzienne naloty. Krótsze apele. Mniej informacji o pracy.

Niemcy kapitulowali.

Ale z mordowania nas nie chcieli zrezygnować. Pod baraki coraz częściej podjeżdżały autobusy z zaciemnionymi szybami. Gruby doktor Winkelmann w nieodłącznym skórzanym płaszczu i ze starą siostrą Marschall u boku przemierzał obóz, szukając chorych więźniarek, które przeznaczano do transportu.

Chore kobiety robiły wszystko, by się ukryć i uniknąć tego losu – chowały się pod blokami, między dachem a sufitem baraków, za puszkami na węgiel. Zuzanna wymyśliła sposób na podrażnianie skóry

przedramienia tak, że wyglądała na zainfekowaną, co pozwalało kobietom przywożonym z ewakuowanego Oświęcimia ukryć wytatuowane sinym tuszem numery. Nadal też ukrywano króliki w czasie selekcji. Niektóre kobiety zamieniały się z nami numerami, wystawiając się w ten sposób na niebezpieczeństwo.

Plotkom nie było końca. Jedna z więźniarek pracujących jako pielęgniarka powiedziała Zuzannie, że w dawnym obozie młodzieżowym, Jugendlager, położonym zaledwie dziesięć minut jazdy od Ravensbrück, starsze kobiety nie były zmuszane do pracy. Podobno dawali tam też większe racje żywnościowe i nie prowadzili selekcji. Zastanawialiśmy się, czy to w ogóle możliwe.

Wczesnym wieczorem wydano mi pozwolenie na pójście do budynku administracyjnego po adresowaną do mnie paczkę. Wyszłam z bloku szczęśliwa, że mogę wreszcie chodzić bez kuli, ale zaledwie chwilę później Karola, Jules z Holandii, złapała mnie za rękę i pociągnęła w cień.

Serce podeszło mi do gardła. Obawiałam się tych kobiet, które same na siebie mówiły Jules, a w obozie pojawiły się w ostatnim roku. Były to zazwyczaj „zielone” lub „czarne” Niemki. Ubierały się w męskie marynarki, spodnie, a niektóre wygrzebywały z gór ubrań nawet męską bieliznę. Obcinały włosy krótko i rozbijały się po obozie z papierosami w ustach, siejąc strach wśród więźniarek. Niektóre wycinały na czołach dziewczyn, które im się podobały, wielkie X, „cielęce piętno”, jak na to mówiłyśmy, znacząc je niczym swoją własność. Ale nie każda Jules była zła. Znałam kilka naprawdę miłych, często zresztą dziewczyny czerpały korzyści z takiej znajomości, bo dobre stosunki z Jules oznaczały ochronę i jedzenie. Jednocześnie obiekt westchnień Jules był bezbronny wobec jawnych awansów, bo każda Jules miała wysoko postawionych przyjaciół. Dziewczyna, która nie chciała współpracować, mogła wręcz zostać zagłodzona na śmierć.

– Na bloku obok robią selekcję – powiedziała Karola od niechcienia.

– Przejdźmy się kawałek.

Oddaliśmy się od ciężarówki, wybierając okrężną drogę do budynku administracji, ale obejrzałam się jeszcze w tył i dostrzegłam Winkelmana i siostrę Marschall ładujących kobiety do jednej z tych pozbawionych okien czarnych ciężarówek. Transport śmierci. Żadna z nas nie musiała tego mówić – każdy, kto znalazł się w pobliżu tego huraganu, mógł zostać przez niego wciągnięty bez powodu.

I choć niektóre z Jules były naprawdę przerażające, Karola przypuszczalnie ocaliła mi tamtego dnia życie. Gdy niebezpieczeństwo

minęło, podziękowałam jej i poszłam w swoją stronę.

Szybko dotarłam do długiego, białego namiotu rozstawionego na pustej przestrzeni przy Alei Gwiazd dla nowo przybyłych więźniarek. Obóz stał się strasznie zatłoczony, a każdego dnia ze wszystkich krajów nadciągały nowe transporty. Suhren kazał rozstawić takie namioty na środku obozu. W cieniu tego, który właśnie mijalam, kobiety i dzieci tłoczyły się tak bardzo, że ledwie dawały radę tam siedzieć. Wiele z nich stało, starając się uspokoić jakoś zmęczone dzieciaki.

– Kasiu! – zawołał ktoś. Odwróciłam się zaskoczona, słysząc swoje imię.

Początkowo nie poznałam jej w cieniu namiotu, bo twarz miała ściągniętą i wymizierowaną, a krótkie jasne włosy przyprószone kurzem.

Nadia.

Siedziała na starej walizce, a obok niej leżała jakaś kobieta z głową na jej kolanach. Nadia czule gładziła głowę kobiety i szeptała jej coś do ucha. Przyglądałam się temu przez sekundę, by upewnić się, że dobrze ją rozpoznaję, i podeszłam bliżej do namiotu, starając się nie wchodzić w oczy aufzejerce.

– Nadia? – zapytałam. A może miałam już halucynacje?

Spojrzała w górę, unosząc głowę tak, jakby była za ciężka dla jej karku.

– Kasiu – powiedziała, wypuszczając przy tym z ust obłoczek białej pary. Jak pięknie brzmiało moje imię, gdy to ona je wymawiała.

Wyciągnęła przed siebie dłoń, zabraniając mi podchodzić bliżej.

– Zaledwie przed chwilą odciągnęli stąd jakąś dziewczynę tylko dlatego, że z nami porozmawiała. Do tego połowa tutaj ma tyfus. Uważaj.

Podeszłam o krok bliżej. Cóż za wspaniały dzień! Zaczęłam się zastanawiać, jak szybko zdołam sprowadzić ją na nasz blok.

– Jak długo tu jesteś? – zapytałam tak cicho, by nie usłyszał mnie żaden ze strażników.

– Dopiero co przywieźli nas z Oświęcimia. Podobno mają zabrać nas do obozu dla młodzieży. Podobno mają tam dla nas miejsce.

– Kiedy?

– Nie mam pojęcia – odparła, spoglądając na leżącą na jej kolanach kobietę. – Wszyscy jesteśmy bardzo spragnieni, a ona potrzebuje miejsca, żeby umrzeć w spokoju.

– Nadiu, chodź ze mną. Ukryję cię.

– Nie mogę jej tak zostawić.

– Ktoś inny może się nią zająć. – Podeszłam bliżej.

– Nie poznajesz jej, prawda? To moja mama, Kasiu. Nie mogę jej tak zostawić.

Pani Wątrobina. Dlaczego wpadły?

– Chodź – powiedziałam. Byłam przekonana, że zdołam ukryć je obie.

– Wiem, co ci chodzi po głowie, kochanie, ale zostanę tu z mamą.

– Czy coś wam przynieść?

Strażniczki Binz zaczęły zaganiać więźniarki do ciężarówki.

– Niczego nam nie trzeba. Nie martw się. Zanim się obejrzysz, będziemy już w Lublinie. Razem z Piotrkim. Jak on się ucieszy na twój widok – powiedziała z szerokim uśmiechem. To była dawna Nadia.

– To ciebie kocha – powiedziałam.

– Czy wiesz, ile razy pytał mnie, czy go lubisz? O, właśnie... zanim nas zabrali, zostawiłam dla ciebie książkę. Tam, gdzie zawsze. Rozdział piąty na pewno ci się spodoba.

– Boję się, że naszego miejsca już nie ma, ale sprawdzimy to razem po powrocie.

– Oczywiście.

Wtedy Nadia dostrzegła moją poranioną nogę i westchnęła głośno. Jedna z niedopasowanych męskich wełnianych skarpet, za które wymieniłam odrobinę naszej pasty do zębów, zsunęła się nieco, odsłaniając bliznę. Rana się już zagoiła, ale łydka miejscami obkurczyła się i wyglądała na obumarłą. Pod lśniącą, naprężoną skórą brakowało całych partii ścięgien i kości.

– Boże, Kasiu, co ci się stało w nogę? – W oczach Nadii zaperliły się łzy.

W takim położeniu potrafiła jeszcze płakać nade mną? To była prawdziwa przyjaciółka.

– Później ci powiem, a teraz przyniosę wam coś do picia. Mamy trochę deszczówki.

Nadia uśmiechnęła się tylko.

– Jak zawsze potrafisz o wszystko zadbać, Kasiu. Mamie przyda się coś do picia.

– Zaraz wracam – powiedziałam i ruszyłam w stronę bloku.

Z powodu nogi nie szłam tak szybko, jak bym chciała, i zanim wróciłam z wodą, strażnicy kończyli już ładować ludzi do ciężarówki. Zamknęli drzwi, załomotali w nie dwa razy i ciężarówka ruszyła wzdłuż Alei Gwiazd.

Nadia. Jej widok podziałał niczym balsam na moją duszę! Czy

będzie bezpieczna w obozie młodzieżowym? Nie słyszałam, żeby wywozili tam wcześniej kogokolwiek z Ravensbrück. Zaczęłam się modlić, żeby wszystko to, co słyszałam o nowym obozie, okazało się prawdą. Tylko czy Bóg słuchał jeszcze naszych modlitw?

Ciężarówka jechała Aleją Gwiazd, a mnie łzy napłynęły do oczu, gdy przez chwilę mignęła mi Nadia tuląca do siebie mamę.

– Do zobaczenia niebawem, Nadiu! – zawołałam, biegnąc za ciężarówką najszybciej, jak umiałam.

Nadia wyciągnęła szyję ponad tłumem, uśmiechnęła się i pomachała mi.

Długo jeszcze obserwowałam odjeżdżającą ciężarówkę, wpatrując się w ginące we mgle tylne światła.

Otarłam łzy. Czy naprawdę wieźli je w miejsce, gdzie byłyby bezpieczne? Trudno było wierzyć w cokolwiek, co mówili Niemcy, ale niezależnie od tego, co mówiły Dunki z kancelarii, Rosjanie mogli być tu lada dzień i wyzwolić obóz. A do tego czasu Nadia i jej mama przynajmniej będą miały schronienie. Nadia była najsilniejszą osobą, jaką znałam.

Przyśpieszyłam kroku, by jak najszybciej dotrzeć do budynku administracyjnego i odebrać paczkę, bo nad obozem zapadał już zmrok. Po drodze tuż przede mną maszerowała rodzina wielkich jak koty szczurów. Już nie bały się ludzi. Odebrałam swoje pudełko w okienku pocztowym i długo wpatrywałam się w wypisany ręką taty adres zwrotny: „Poczta Główna w Lublinie, Lublin, Polska”. Otworzyłam paczkę i ruszyłam wzdłuż korytarza, łomocząc chodakami o wypastowaną podłogę. Wyciągnęłam z niej kolejną szpulkę czerwonych nici.

Ten widok nie mógł mi się znudzić. Od czasu pierwszej odebranej wiadomości otrzymałyśmy jeszcze dwie przesyłki z nićmi. Ciekawa byłam, czy tata ogłosił światu, co się tu działo. Gdybyśmy miały zginąć przed wyzwoleniem, świat przynajmniej dowiedziałby się, co tu zaszło, i Niemcy zostaliby ukarani.

Dzięki zawartości paczek Zuzanna wyleczyła się z dyzenterii, ale ponieważ chodziła leczyć inne więźniarki, zaraziła się czymś znacznie gorszym. Bolała ją głowa, miała dreszcze i gorączkę. Wysypka na ramionach nie pozostawiała wątpliwości: miała tyfus. Na to mogło pomóc tylko wyzwolenie.

Minęłam biurko Brit Christiansen, znajomej Dunki, jednej z wielu Skandynawek zatrudnionych w kancelarii. Brit była wysoką dziewczyną o krótko przystrzyżonych jasnych włosach, a na jednym z policzków miała

całą konstelację beżowych pieprzyków. Nigdy wcześniej nie miałam do czynienia z nikim z Danii, ale szybko przekonałam się, że bardzo cenię sobie tych ludzi. Dunki były łagodne. Godne zaufania. Miłe.

– Mam do ciebie dwie sprawy, ale musimy się śpieszyć – powiedziała Brit miękko. – Po pierwsze, był tu dziś jakiś esesman. Wysoki szarż. I rozpytywał o twoją matkę.

– Co? Kto?

– Nic więcej nie wiem. Był naprawdę wysoki.

Lennart! Tu w Ravensbrück? Może mama też gdzieś tu była? Brit przyciągnęła mnie do siebie.

– Poza tym dziś będą łapać króliki. – Na dźwięk tych słów dostałam gęziej skórki.

– Przecież jest już ciemno. Nocna selekcja?

– Binz wkroczyła na wojenną ścieżkę. Suhren też ma przyjść. I wydali strażnikom podwójne porcje alkoholu.

– Musimy się schować – oznajmiłam.

Zastanawiałam się, czy uda mi się ukryć Zuzannę pod barakiem. A może Anise dałaby radę ponownie ukryć nas wśród węgierskich Żydówek? No i zawsze pozostawał oddział dla chorych na tyfus.

– Kasiu, oni wiedzą, że chowacie się pod blokiem.

– No to pójdziemy na strych.

– O tym też wiedzą. Poza tym przyjechały nowe autobusy.

Autobusy. Poczulałam ukłucie strachu. Ale to nie była pora na histerię. Ruszyłam najszybciej, jak mogłam, na blok.

Wokół mnie rozlewała się czarna jak atrament noc, bo księżyc nie było tego dnia na niebie.

Usłyszałam, jak nade mną włączają się reflektory, ale nadal biegłam najszybciej, jak potrafiłam, mimo bólu w nodze. Rozpychałam mijane kobiety, byle szybciej dostać się na blok.

Nic nie czuj. Jeśli chciałam to przeżyć, nie mogłam pozwolić sobie na komfort czucia czegokolwiek.

Gdy tylko weszłam do baraku, wiedziałam, że wieści dotarły tu przede mną, bo dziewczęta płakały i tuliły się do siebie. Zaczęłam przepychać się między kobietami z różnych krajów. Hitler podbił pół kontynentu, więc w baraku słychać było mieszaninę przeróżnych języków: rosyjskiego, francuskiego, węgierskiego, polskiego. Zuzanna leżała na naszej pryczy z kolanami przyciągniętymi do piersi i cała drżała. Ledwie zdołała unieść głowę.

– Słyszałaś? – zapytałam. Usiadłam przy niej na pryczy i zaczęłam ją

głaskać. – Mają po nas przyjść, po króliki. Musisz się podnieść, kochanie.
Zuzanna otworzyła oczy, a potem zaraz je zamknęła.

– Nie, Kasiu.

Anise przepchnęła się przez tłum, wykrzykując moje imię.

– Musicie uciekać, Kasiu. Teraz – powiedziała jak zawsze spokojnie.

– Już tu idą. Binz i Suhren oraz ta lekarka. Czerwony Krzyż zabrał już Szwedki, a lada chwila wywiozą Francuzki. Spod szwalni.

Przytrzymam wam okno.

– Autobusami? – zapytałam.

– Tak. Użyjesz numeru dziewięć tysięcy dwieście osiemdziesiąt cztery. Jest bezpieczny. Udało mi się załatwić tylko jeden.

Chwyciłam ją za rękę.

– Anise, nie odchodź. Skąd wiesz, że to nie transport śmierci?

Ileż to razy widziałam, jak podstępem zwabiano kobiety do samochodów. Niektóre wyglądały jak karetki, miały nawet wymalowane czerwone krzyże na bokach. Słyszałyśmy, jak jadą do niewielkiej szopy na farby i tam się zatrzymują. A potem do obozu wracały same ubrania, przesiąknięte słodkim smrodem gazu.

– To szwedzki Czerwony Krzyż, Kasiu. Żaden podstęp i musicie się śpieszyć.

– Dziewczęta, na apel! – krzyknęła Marzenka, łomocząc przy tym drewnianą łyżką w dno garnka.

Anise wybiegła, oglądając się na nas po raz ostatni.

Chwyciłam Zuzannę za rękę.

– Musimy iść... – Nie, Kasiu. Idź sama.

Spróbowała położyć się na pryczy.

– Musimy wejść pod blok – oznajmiłam i pociągnęłam ją w dół.

Potem objęłam w talii i poprowadziłam przez tłum do drzwi. Prawie nic nie ważyła. Jak wysuszona kłoda.

Marzenka stała na stole mocno już zachrypnięta od przekrzykiwana hałasu.

– Proszę was. Binz obiecała mi, że żadnej z was nic się nie stanie.

Ten komunikat sprawił, że wszystkie wpadłyśmy w jeszcze większą panikę. Wiele kobiet rzuciło się do drzwi, ale tam już czekała Binz ze swoim psem na czele aufzejerek. A przed wejściem stali komendant Suhren i doktor Oberheuser z podręcznym notatnikiem. Byłam na tyle blisko, że widziałam śnieg na ramionach szarej peleryny Binz. Wilczur kłapnął zębami tuż przy łydce Zuzanny, wycofałyśmy się więc w głąb baraku.

– Wyłazić na apel. Wszystkie. Już! – rozkazała Binz. – To rozkaz. Która go nie posłucha, zostanie rozstrzelana.

Doktor Oberheuser na selekcji na bloku? Znalazłyśmy się w pułapce bez wyjścia. Nie pozostało nam nic innego, jak usłuchać. Nie było czasu, by szukać kryjówki. Poprawiłam skarpety. Może doktor mnie nie pozna?

Pomogłam Zuzannie wyjść przed blok, gdzie ustawiliśmy się w Alei Gwiazd, i w chłodzie nocnego powietrza, zalane światłem z umieszczonych nad naszymi głowami reflektorów, czekałyśmy na apel, stojąc na baczność. A gdybyśmy zaczęły uciekać? Psy dopadłyby nas, nawet gdybyśmy miały sprawne obie nogi. Mimo że na dworze było zimno, czułam, jak robi mi się gorąco. Nadszedł koniec. Dlaczego nie przyszedłam do baraku wcześniej?

Binz i doktor Oberheuser chodziły wzdłuż ustawionych w szeregach kobiet i sprawdzały numery. Binz zatrzymała się przede mną, stukając szpicrutą w dłoń.

– Zsuń pończochy – rozkazała.

Więc tak miało się to skończyć.

Zsunęłam jedną skarpetę. Tę na zdrowej nodze. Binz podeszła do doktor Oberheuser.

Lekarka zatrzymała się.

– I jak, pani doktor? – zapytała Binz.

Wstrzymałam oddech. Lekarka przyglądała mi się intensywnie, w bezruchu, jakby we śnie. Spoglądała z nienawiścią czy współczuciem? Wskazała drugą nogę.

– Drugą też – nakazała Binz. Zsunęłam i drugą, ukazując gładkie krawędzie wgłębienia w miejscu, gdzie kiedyś miałam mięśnie. Doktor Oberheuser musiała rozpoznać swoje dzieło, bo skinęła tylko krótko głową Binz i ruszyła w stronę Zuzanny. Siostra spojrzała na mnie. „Bądź dzielna”, mówiło to spojrzenie.

Tym razem to my miałyśmy iść pod mur. Czy starczy mi odwagi, by przejść wzdłuż Alei Gwiazd z wysoko uniesioną głową?

Doktor Oberheuser początkowo wyglądała, jakby łała sobie głowę nad Zuzanną, bo blizny mojej siostry nie znajdowały się w widocznym miejscu. Czy to miało uratować jej życie? Zaczęłam się modlić, by tylko mnie wysłano pod mur. Niech Zuzanna przeżyje. Niech choć jedna z nas wróci do domu, do taty.

Lekarka skinęła ponownie głową.

Tak.

Zuzanna chwyciła mnie za dłoń. Miałyśmy iść pod mur razem, tak

jak to planowałyśmy. Razem aż do końca.

A potem zaszło coś bardzo dziwnego.

Zgasły światła.

Nie tylko wielkie reflektory, ale wszystkie światła w całym obozie. Wyglądało to tak, jakby Bóg sam sięgnął do nas na dół i skrył cały świat w łaskawej, aksamitnej ciemności, gdzie nie dało się niczego dostrzec. Dziewczyny zaczęły się nawoływać. Suhren, Oberheuser i Binz wyszczekiwali komendy w tym mroku. Zaniepokojone psy zaczęły warczeć. Aż trudno było uwierzyć, że w obozie może być tak głośno, gdy wszyscy znaleźli się w Alei Gwiazd i nawoływali się przez cały czas.

– Adlige, siad – nakazała Binz, a w ciemności rozległy się kliknięcia metalowego pstryczka.

Chwyciłam Zuzannę za rękę i odciągnęłam od grupy. Czy światła zaraz się zapalą? Wymacywałam sobie drogę po ciemku i w pewnym momencie otarłam się o doktor Oberheuser. Na chwilę utonęłyśmy w chmurze jej okropnych perfum. Potem nastąpiłam na stopę Binz i poczułam, jak zaczęła wymachiwać rękoma.

– Verdammtes Arschloch!^[11] – krzyknęła aufzejerka.

Kierowałam się w stronę szwalni, a serce waliło mi w piersi jak oszalałe, bo szłam wyłącznie na wyczucie, starając się jednocześnie ani na chwilę nie puścić Zuzanny. Drugą rękę wyciągałam przed siebie jak bufor przed parowozem i parłam naprzód, wpadając co rusz na ludzi w ciemności. Ogień ze stojącego w oddali krematorium nie był na tyle jasny, by rozświetlić cały obóz, ale wystarczał mi jako punkt odniesienia. Zuzannę w zasadzie ciągnęłam za sobą na siłę.

Wiedziałam, że znalazłyśmy się we właściwej części obozu, gdy zobaczyłam autobus zaparkowany przed szwalnią. Rozświetlony od wewnątrz był w tej chwili jedynym źródłem światła w obozie.

Poczułam, że okno w tyle się otwiera, i podsadziłam Zuzannę, by przez nie przeszła, a potem dołączyłam do niej, choć zoperowana noga wcale nie ułatwiała mi przechodzenia przez okno. W pokoju było ciepło, a zebrane w środku kobiety pachniały znajomymi oddechami i perfumami.

– Dalej już nie pójdę – powiedziała Zuzanna, opierając się na mnie ciężko.

– Jesteśmy prawie na miejscu. Niedługo odpoczniesz.

W błysku latarki dojrzałam twarz Claire, przyjaciółki Anise.

– Kasiu – powiedziała tylko.

Chwyciłam ją za ramię.

– Jesteśmy na liście Binz. Gdy tylko przywrócą zasilanie, zabiorą i

mnie, i Zuzannę.

– Dziś światel nie włączą – odparła Claire. – Rosjanki je wyłączyły. Szura przełączyła coś w stacji transformatorowej, gdy tylko usłyszała, że Suhren idzie po króliki. Nie włączą zasilania do rana.

– Skąd wiecie, że to rzeczywiście Czerwony Krzyż?

– Suhren nie chciał ich wpuścić, ale zagrozili, że staranują bramę.

Dziewczyny z kancelarii mówiły, że Himmler osobiście upoważnił księcia Bernadotte do wywiezienia nas z obozu.

Niemcy nieraz już stosowali rozbudowane podstępny, żeby wywieźć kobiety na śmierć spokojnie, ale tym razem nie miałyśmy wyjścia. To była nasza jedyna szansa.

– Anise dała mi numer – powiedziałam.

– Dopilnuj, żebyście wsiadły. To ostatni autobus. Dwa są już pełne i czekają pod bramą.

Podtrzymałam Zuzannę i przepchnęłam się przez tłum stojących w ciemności kobiet. O ile pozwalała mi skromna znajomość francuskiego, z rozmów wnioskowałam, że wszystkie zgromadzone w magazynie bielizny są mocno podekscytowane i z nadzieją czekają na powrót do domu. Gdy ostatnie z nich wsiadły do autobusu, w magazynie zostało zaledwie kilka.

Kiedy stanęłyśmy wreszcie na początku kolejki, zobaczyłam, że na końcu autobusu stało dwóch mężczyzn sprawdzających numery. Jednego widziałam po raz pierwszy, drugim był gruby Winkelmann, jak zawsze w długim skórzonym płaszczu. Tylne drzwi autobusu otworzyły się i zobaczyłyśmy tłoczące się w środku na stojąco Francuzki czekające na wyjazd. Między nimi krążyła jasnowłosa pielęgniarka w białym fartuchu, pomagając tym, które tego potrzebowały, przejść te kilka kroków. Jeśli to wszystko było ukartowane, to Niemcy włożyli w mistyfikację mnóstwo energii, ale też potrafili się już nieraz przebrać za lekarzy i pielęgniarki, żeby nas oszukać.

Odetchnęłam z ulgą, gdy podałam Winkelmannowi numer, którego kazała mi się nauczyć Anise, i wsadziłam Zuzannę do autobusu. Potem przyszła moja kolej, a pielęgniarka nachyliła się do mnie.

Postawiłam stopę na drewnianym schodku.

Czy to naprawdę się działo? Wracałam do domu? Do Lublina? Do taty... Pielęgniarka uśmiechnęła się i podała mi dłoń, a ja nie zastanawiałam się ani chwili.

Wtedy Winkelmann zagroził mi drogę na wysokości piersi swoją jasną laską.

– Stać. Numer?

Pielęgniarka zacisnęła dłoń mocniej na moim nadgarstku.

– Ich numery były już sprawdzane. Nie mamy czasu na takie przepychanki. – Mówiła po niemiecku, ale ze szwedzkim akcentem. Naprawdę miałyśmy jechać do domu.

Winkelmann odepchnął mnie laską, a pielęgniarka puściła moją rękę.

– Mam rozkaz zwolnić jedynie francuskie Häftlinge. Jak ta dziewczyna jest Francuzką, to ja jestem Charles de Gaulle.

– Ależ ja jestem Francuzką – powiedziałam po niemiecku. Czy widział, że drżą mi nogi?

– Naprawdę? – zapytał Winkelmann. – Powiedz coś po swojemu, Francuzko.

Bez chwili wahania odpowiedziałam najbardziej przekonującym francuskim, na jaki było mnie stać: – Ta suszarka jest zbyt ciepła. Proszę obciąć nieco po bokach, dobrze? Chciałabym trwałą, średni skręt i z dodatkowymi papierkami. I proszę użyć szczotki z włosia dzika, pomaga na łupież.

Winkelmann spojrział na tego drugiego.

– To na pewno Polka.

– Proszę już wsiadać – powiedział tamten i przepuścił mnie do środka.

– Musimy już ruszać – oznajmiła pielęgniarka, ciągnąc mnie w stronę Zuzanny. – Proszę się pośpieszyć.

Gdy zamykała już drzwi, do autobusu podbiegła jedna z więźniarek z naręczem ubrań.

– Poczekajcie, poczekajcie, jeszcze bagaże! – zawołała i podała pielęgniarce ubrania.

– To moje – oznajmiła słodka Pienotte Poirot, przyjaciółka Anise, która siedziała z przodu autobusu.

Dziewczęta podały pakunek w jej stronę, a siedzące obok niej Francuzki jeszcze się ścisnęły.

Autobus szarpnął i ruszyliśmy w stronę otwartej bramy. Tak niewiele dzieliło nas od wolności.

Błagam, niech to naprawdę będzie szpitalny autobus.

Biały szlaban przy budce strażniczej uniósł się w górę, a gdy tylko go minęliśmy, kierowca natychmiast przyśpieszył. Dlaczego nie czułam radości z wyzwolenia? Jechaliśmy drogą wzdłuż jeziora, wtedy Pienotte otworzyła pakunek.

– Mój Boże, to Guy – powiedziała do mnie Claire. Pienotte rozchyliła jeszcze bardziej kocyk i zobaczyłam maleńkiego noworodka,

różowego, zdrowego, z ciemną czuprynką. – Urodził się dwa dni temu. Dzięki Bogu nie płakał. Mądry malec.

Trzęśliśmy się na wyboistej drodze oświetlanej lampami autobusu, w której widać było plecy naszej eskorty – trzech żołnierzy niemieckich na motocyklach.

Dziwnie było znów jechać autobusem. Dopiero teraz poczułam, jak bardzo mi tego brakowało – tych szarpnięć po zmianie biegu, przesuwania i ruszania dalej, jechania dokądś. Nawierzchnia zmieniła się z brukowanej kocimi łbami w gładką, wyrównaną walcem ekipy budującej drogę. Doskonała robota, drogie panie, pomyślałam sobie. Gdyby tylko było wam dane poczuć, jak wspaniały efekt osiągnęłyście.

Gdzieś w oddali zagwizdało, jakby gotowała się woda.

Bomba.

Ziemia zadrżała, autobusem wstrząsnęło, a jezioro zapłonęło niczym lampa błyskowa aparatu.

– Alianci nas bombardują! – krzyknęła pielęgniarka. – Pewnie myślą, że to niemiecka kolumna.

Kierowca wyłączył światła i silnik, a nasza eskorta natychmiast zawróciła w stronę obozu. Tylne światła motocykli robiły się z każdą chwilą mniejsze. Czajnik znów zagwizdał, a my krzyknęłyśmy, gdy grzbiet przed nami rozdzielił się i rozświetlił nasze twarze niczym blask ogniska. Ale przynajmniej siła wstrząsu sprawiła, że coś poczułyśmy. Znów byłyśmy żywe, gdy upadałyśmy na wyłożoną gumą podłogę.

Przytuliłam siostrę do siebie, ramię do ramienia, i tak opadłyśmy między inne. Czy jeszcze oddychała?

A ja? Przycisnęłam ją do swojej piersi, czułam bijące od niej ciepło.

A potem silnik znów ożył i ruszyłyśmy w stronę Szwecji. Nasze serca biły jak jedno.

Rozdział 26
Herta
1945

W kwietniu 1945 roku nikt nie miał już wątpliwości, że Niemcy przegrały wojnę, mimo że prasa nadal tego nie przyznawała. Do samego końca trzymali się swoich bajek. Z zagranicznych transmisji radiowych, których słuchałam w swoim pokoju, wiedziałam, że przegraliśmy. Według BBC na zachodzie alianci przekroczyli już Ren, a w Niemczech rosła liczba ofiar wśród cywilów. Suhren twierdził, że odzyskanie Paryża to tylko kwestia czasu, ale nie miałam wątpliwości, że nas pokonano. Osiemnastego kwietnia usłyszeliśmy, że czołgi wjechały do mojego rodzinnego Düsseldorfu i Amerykanie bez trudu przejęli kontrolę nad miastem. Teraz ramię w ramię z Brytyjczykami maszerowali na Berlin.

Pewnego popołudnia wyszłam z obozu i przekradłam się wzdłuż brzegu jeziora. Miękki mech tłumiał moje kroki, a rączka walizki ślizgała mi się w dłoni. Tafla była wzburzona, spienione fale przewalały się po wodach jeziora. Czy to sprawka wiatru, czy raczej tych, których prochy mieszały się z mułem? Ale czy można było mnie winić? Przyjęłam posadę lekarza z konieczności. Te, które zginęły, nie mogły przecież wskazać mnie oskarżycielsko swoimi kościstymi palcami.

Gdy zbliżyłam się do Fürstenbergu, natknęłam się na morze niemieckich mężczyzn, kobiet i dzieci idących czasem z bagażem, a czasem jedynie w tym, co mieli na grzbiecie. Połowa cywilów z Fürstenbergu ruszyła na południe już wiele miesięcy temu, a teraz wydawało się, że druga połowa wybrała ten dzień, by uciec przed Armią Czerwoną. Sylwetki tych ludzi ukazywały poniżenie przegranej.

Dołączyłam do szerokiej rzeki uchodźców i zatopiłam się na wpół przytomna w ten tłum. Trudno było mi uwierzyć, że wszystko się skończyło, że uciekałam. Wstyd z tego powodu odbierał mi resztkę sił.

– Dokąd idziecie? – zapytałam człapiącego obok mnie mężczyznę w wełnianym płaszczu i żółtym kapeluszu. Na plecach niósł klatkę, a siedzący na drewnianej poprzeczce ptak kołysał się w rytm jego kroków.

– Bocznymi drogami, żeby ominąć Berlin, i na południe do Monachium. Z zachodu nadciągają Amerykanie, na wschodzie są już Rosjanie.

Dołączyłam do grupy zmierzającej do Düsseldorfu, a że szliśmy na piechotę, podróż zabrała nam dużo czasu i nie wyróżniała się niczym szczególnym. Unikaliśmy głównych traktów, trzymając się raczej leśnych duktów i polnych dróg. Sypialiśmy w porzuconych samochodach, jedliśmy, cokolwiek udało się nam znaleźć. Byle tylko pozostać przy życiu.

Wyobrażałam sobie, jak bardzo Mutti ucieszy się na mój widok. Żyła teraz z jakimś Güntherem w miłym apartamencie, kilka pięter nad naszym starym mieszkaniem. Odwiedziłam ich w czasie letniego urlopu. Günther był raczej miłym sprzedawcą gazet. I dość zamożnym, jak mogłam oceniać po sposobie urządzenia mieszkania. Marzyłam, że po moim powrocie Mutti przyrządzi tłuczone ziemniaki ze smażoną cebulką i sosem jabłkowym.

Gdy dotarłam wreszcie do Düsseldorfu, z nieba leciała drobna mżawka. Musiałam przez cały czas mieć się na baczności, bo w mieście pełno było amerykańskich żołnierzy. Nie żebym figurowała wysoko na liście poszukiwanych. Czy w ogóle ktoś się mną interesował? Nie byłam przecież najbardziej tropioną zdobyczą.

Na ulicach miasta pełno było porzuconych walizek, ludzkich i końskich zwłok. Przeszłam obok zrównanego z ziemią przez bomby dworca. Niedaleko domu Mutti minęłam przewrócony i ograbiony już wóz, od którego teraz dwie starsze kobiety starały się odkręcić koła. Wzdłuż ulicy krążyli ludzie, niektórzy taszcząc cały swój ziemski dobytek. Starałam się wtopić w ten krajobraz, wyglądać jak jeszcze jeden przesiedleńca.

Ucieszyłam się, widząc, że dom, w którym mieszkała Mutti, nie dość, że stał, to jeszcze nie ucierpiał w czasie nalotów. Jedyne, o czym mogłam myśleć, to gorąca kąpiel i coś ciepłego do jedzenia.

W korytarzu unosił się zapach smażonej cebulki. Jakiś szczęśliwiec zachował sobie nieco pożywienia.

Dotarłam na trzecie piętro i zadzwoniłam do drzwi mieszkania Günthera.

– Kto tam? – doleciało mnie zza drzwi. Günther.

– Herta.

Cisza. Co tak dzwoniło mi pod czaszką? Czy to z powodu odwodnienia?

– Czy jest mama? – zapytałam również przez drzwi.

Wtedy usłyszałam szcęk zamka i drzwi otworzyły się szeroko.

– Szybko – rzucił Günther. – Wchodź. – Chwycił mnie za rękę,

wciągnął do mieszkania i znów zamknął drzwi.

Mieszkanie było nadal dobrze umeblowane, na podłogach leżały grube dywany, na których stały wykładane aksamitem krzesła. Ktoś usunął portret Führera ze ściany – pozostał po nim jasny prostokąt zasłoniętej dotąd tapety. Szybko.

– Dziś rano próbowano się tu włamać dwóch szabrowników. To, co się dzieje, to czysta anarchia.

– Günther, naprawdę... – Teraz każdy wszystko ci ukradnie. Rzeczy należą do tego, kto ma siłę je zachować.

– Umieram z głodu – powiedziałam.

– Wszyscy umierają z głodu, Herto.

– W obozie nadal działała kuchnia... – No, ty i twoi przyjaciele nie zajmowaliście się tam wyłącznie gotowaniem. Prawda zaczyna wypływać na jaw.

Podeszłam do radia.

– Na pewno będą racjonować jedzenie. W radiu... – Nie ma racjonowania. Ani audycji. A kobiety sprzedają się za łyżkę cukru.

Günther nie wyglądał, jakby doskwierał mu brak pożywienia. Schudł nieco, ale skórę miał nadal napiętą. Tylko na szyi zrobiła mu się niewielka zakładka. I jakim cudem zdołał uniknąć służby wojskowej? Nic się tu nie zgadzało. Dźwięczenie w mojej głowie zaczęło narastać.

– Chciałabym się wykapać – powiedziałam.

Günther zapalił papierosa. Skąd on je brał?

– Nie możesz tu zostać, Herto, oni wiedzą, co robiłaś.

– Gdzie Mutti?

– Musiała iść na stację. Już cię tu szukali.

– Mnie? Za co? – Nie zapytałam kto.

– Nazwali to zbrodnią przeciwko ludzkości.

Jakim cudem tak szybko wpadli na mój trop?

– Narażasz matkę na niebezpieczeństwo, Herto. Samą swoją obecnością. Weź kąpiel, ale miejsce będziesz musiała... – Mama może mieć na ten temat inne zdanie – zauważyłam.

– Wykap się. Potem porozmawiamy.

Postawiłam walizkę na kanapie.

– Mogę potrzebować pomocy mamy w pewnych sprawach.

Strącił popiół do popielniczki.

– Chodzi o pieniądze?

– Między innymi. Opłatę dla prawnika.

– Naprawdę? Jeśli coś ci się przytrafi, państwo za wszystko zapłaci.

– Przytrafi?

Günther podszedł do stojącej w przedpokoju szafy i przyniósł mi ręcznik.

– Weź kąpiel, póki jest ciepła woda. Potem porozmawiamy.

Zostawiłam swoje rzeczy w pokoju gościnnym i puściłam wodę do wanny, a wszystko to z uchem przyłożonym do drzwi. Cały czas nasłuchiwałam, czy Günther nie dzwoni z donosem. Nie wątpiłam, że alianci zdołali utworzyć już jakieś struktury władzy. Ale przecież Günther by mnie nie wydał, mówiłam sobie. Mutti by tego nie przeżyła. Z drugiej strony Günther nigdy nie był prawdziwym patriotą, a nagła zmiana władzy sprawiła, że nagle wszyscy staliśmy się podejrzani.

Zamknęłam drzwi łazienki i nalałam do wanny gorącej wody. Wsunęłam się po emaliowanej powierzchni do tego rozkosznie parzącego morza.

Poczułam, jak od ciepła rozluźniają mi się mięśnie. Ciekawe, gdzie był Fritz? Postanowiłam spróbować znów zatrudnić się w tej samej klinice, co dawniej. O ile ciągle jeszcze stała, a nie zmieniła się w stertę gruzu. W myślach powtarzałam sobie, co powiem Mutti, jednocześnie próbując doszorować czarne od marszu stopy. Na pewno się za mną wstawi, niezależnie od tego, co mówił Günther.

„I co z tego?”, powie pewnie, gdy wyjaśnię jej sprawę obozu. „Wykonywałaś tylko swoją pracę, Herto”.

Tylko gdzie ona była? Pewnie starała się zdobyć chleb.

Zamknęłam oczy i przywołałam w pamięci śniadania, jakie nam przyrządzała: gorące bułeczki i świeże masło, jej kawa... Czyżbym słyszała kroki?

– Mutti?! – zawołałam. – Günther?

Ktoś załomotał do drzwi łazienki.

– Herta Oberheuser? – zapytał zza nich obcy głos. Ten ktoś mówił z brytyjskim akcentem.

Jasna cholera. Przeklęty Günther. Wiedziałam, że nie można mu ufać. Ciekawe, ile dostał za wydanie mnie.

– Już idę! – odkrzyknęłam.

Poczułam, że nie panuję nad swoim ciałem. Czy dam radę wyjść przez okno? Coś ciężkiego uderzyło w drzwi i chyba krzyknęłam, sięgając jednocześnie po ręcznik. Do łazienki wszedł brytyjski oficer, a ja natychmiast opadłam do wanny, chowając się za wątpliwą osłoną, jaką dawała piana.

– Herta Oberheuser? – zapytał.

Staralam się jakoś zakryć.

– Nie.

– Jest pani aresztowana pod zarzutem popełnienia zbrodni przeciw ludzkości.

– Nie jestem tym, za kogo mnie pan ma – powiedziałam jak idiotka, ciągle zszokowana tą sytuacją. Jak Günther mógł? Mutti będzie wściekła.

– Nic nie zrobiłam.

– Fräulein, proszę wyjść z wanny – powiedział.

Do łazienki wszedł kolejny Anglik. Miał przewieszony przez ramię płócienny płaszcz przeciwdeszczowy. Gestem nakazałam im, żeby się obrócili.

– Zostawię panią na chwilę – powiedział ten pierwszy, cały czerwony na twarzy. Podał mi ręcznik, odwracając wzrok. – Proszę się tym owinać.

Wzięłam ręcznik, a on wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Wyszłam z wanny. Przeklęty Günther, pomyślałam, grzebiąc w szafce z przyborami kosmetycznymi. Znalazłam jego żyletki i wróciłam do wanny. Woda już stygła.

– Fräulein? – doleciał mnie zza drzwi głos tego pierwszego.

– Jeszcze chwila – odpowiedziałam, wyjmując żyletkę z opakowania.

Bez trudu odnalazłam tętnicę promieniową, bo serce biło mi jak szalone. Przeciągnęłam ostrzem po nadgarstku, obserwując, jak żyła otwiera się niczym brzoskwinia. Woda natychmiast zrobiła się czerwona, a ja położyłam się znów w wannie, czując zawroty głowy. Czy Mutti będzie po mnie płakać?

Na szczęście zrobiłam to w wannie. Łatwo posprząta.

Nie zdążyłam otworzyć drugiego nadgarstka, bo wrócił tamten mężczyzna.

– Chryste! – zawołał, gdy zobaczył mnie w już czerwonej wodzie. – Teddy! – zawołał kogoś. – Chryste! – powtórzył.

Potem krzyczeli coś po angielsku i wyciągnęli mnie z wanny.

Tyle w sprawie skromności.

Zaczynałam już tracić przytomność i wcale nie zamierzałam wyjaśniać, co powinni robić, ale z satysfakcją zauważyłam, że świetnie radzą sobie bez mojej pomocy. Z jakichś przyczyn postanowili unieść mi nogi. W ten sposób tylko przyśpieszali proces krwawienia. Stopy miałam nadal czarne, a za każdym paznokciem grube pokłady brudu.

Upokarzające.

Straciłam przytomność, ale odzyskałam ją, gdy ułożyli mnie na noszach. Nadgarstki miałam już ładnie zabandażowane. Ktoś tu znał się na rzeczy. Mieli ze sobą lekarza? Czy zdziwił się, że niemiecki lekarz tak spartolił robotę?

Dlaczego mnie wydałeś?, próbowałam zapytać Günthera, gdy Brytyjczycy znosili mnie na dół, aż na ulicę.

Zacząli wkładać nosze do karetki.

W oknie nade mną zobaczyłam twarz Günthera. Zupełnie niewzruszoną. A potem następne w innych oknach. Jakiś stary człowiek. I kobieta. Odsuwali zasłony i wyglądali na dół.

Po prostu zaciekawieni Niemcy. Jakaś dziewczynka z jasnymi warkoczami podeszła do okna, ale matka ją odepchnęła i zaciągnęła zasłony.

– Jest po prostu ciekawa – powiedziałam.

– Co? – zapytał Anglik.

– To wstrząs – wyjaśnił drugi.

Unter schock? To niepełna diagnoza, brytyjski lekarzu. To wstrząs hipowolemiczny. Przyśpieszony oddech. Ogólne osłabienie. Zimna, wilgotna skóra.

W oknach pojawiły się następne twarze. Teraz we wszystkich.

Coś mokrego spłynęło mi po policzku. Deszcz?

Miałam nadzieję, że nikt nie pomyli go ze łzami.

CZEŚĆ DRUGA

Rozdział 27
Caroline
Kwiecień 1945

Mama złożona grypą wysłała mnie samą do Paryża. Oczywiście mocno się niepokoiła, bo choć alianci wyzwolili już Paryż, wojna wcale się nie skończyła. Ile jeszcze wrogich U-Bootów pływało po Atlantyku? Jednak nic nie mogło powstrzymać mnie od spotkania z Paulem po pięciu długich latach.

Zaniosłam do pana Snydera jeszcze trochę sreber, żeby opłacić podróż. Cztery pary maleńkich szczypczyków. Noże do masła. Kilka widelców obiadowych.

Dwunastego kwietnia 1945 roku dobiliśmy do brzegu w La Rochelle, na północ od Bordeaux. Przed zejściem na ląd pierwszy oficer poinformował nas, że prezydent Roosevelt zmarł w swoim domu w Warm Springs, w Georgii, i wszyscy na pokładzie ogromnie się tym strapili. Prezydent zmarł, nim dane mu było zobaczyć kapitulację Niemców we Francji. Nigdy nie dowiedział się, że Hitler odebrał sobie życie.

Roger zadbał o transport dla mnie do samego Paryża. Na nabrzeżu czekał na mnie samochód, więc zniszczenia wojenne we Francji oglądałam, siedząc wygodnie na tylnej kanapie wozu. Co innego jest czytać o wojnie w gazetach i zaznaczać działania frontowe szpilkami na mapie, a co innego oglądać rozdartą na części Francję. Od wyzwolenia Paryża przez siły sprzymierzonych minęło już siedem miesięcy, ale rany nadal były świeże. Całe przecznice były przerzedzone, budynki pozapadały się lub zostały pozbawione ścian, tak że z ulic widać było umeblowane pokoje. Podróż utrudniały wyrwy i dziury w żwirowych drogach, czasami wielkości czołgu, których dotąd nie naprawiono. Na południe od Paryża na Sekwanie nie ostał się ani jeden most. Ale nawet te zniszczenia nie mogły przesłonić rozkwitu wiosny i odebrać miastu czaru, z jakim wznosiło się z ruin. Łuk Triumfalny stał nietknięty, a pod nim powiewało pięć flag.

Gdy dotarłam do Paryża, pożyczyłam od dozorczy starego peugeota napędzanego zamontowanym naprędce z tyłu piecykiem na drewno. Spowodowany wojną brak benzyny sprawił, że te montowane na tyłach pojazdów piecyki wykorzystujące energię ze spalania drewna stały się

bardzo popularne – widywało się je w autobusach, taksówkach i prywatnych autach. Widok pojazdów tak wyposażonych był naprawdę niezwykły. Kierowcy zatrzymywali się na stacjach, by napełnić piecyk drewnem, a nie benzyną. Jeżdżenie takim pojazdem po Paryżu było niemałym wyzwaniem, gdyż ulice wypełnili rowerzyści, przejmując nad nimi całkowitą kontrolę. W efekcie metro stało się jeszcze bardziej popularne. W jego czeluściach widywało się nawet najbardziej majątnych z książąt.

Tego wieczoru, gdy dotarłam wreszcie na skrzyżowanie bulwaru Raspail i rue de Sèvres, ledwie powstrzymałam płacz na widok ciągle stojącego tam hotelu Lutetia. Uwolniony spod okupacyjnej władzy Niemców budynek w stylu belle époque nieustraszenie górował nad ulicami, z rozświetlonymi na szczycie literami i z dumnie powiewającą znów nad nim trójkolorową flagą.

Przepchnęłam się do wejścia przez tłum matek, mężów, żon i narzeczonych osób deportowanych.

Wszyscy oni wymachiwali zdjęciami swoich bliskich i wykrzykiwali ich imiona w nadziei na uzyskanie jakichś wiadomości. Czarno-białe kafle holu hotelowego usiane były zdeptanymi wiadomościami i pękami bzu. Wewnątrz kręciło się mnóstwo dziennikarzy, pracowników Czerwonego Krzyża i urzędników państwowych, a każdy z nich usiłował się dopchnąć do biurka recepcji.

Jakaś drobna, zgarbiona kobieta odziana w czerń chwyciła mnie za rękę, gdy przeciskałam się przez ten tłum.

– Widziała pani może tego mężczyznę? – zapytała, podtykając mi pod nos zdjęcie siwego człowieka.

– Nie, bardzo mi przykro – odparłam.

W jadalni przy stołach siedziały grupy oszołomionych ocalałych z obozów, ciągle jeszcze poubieranych w obozowe pasiaki. Nad nimi wisiały kryształowe żyrandole, a kelnerzy przynosili im najlepsze potrawy, jakie mogła zaserwować kuchnia. Cielęcinę, szampana, sery i świeży chleb z racji, które zostawili uciekający Niemcy. Wiele z tych osób siedziało, tylko patrząc na jedzenie. Ktoś, kto zjadł zaledwie parę kęsów, natychmiast udawał się do toalety.

Poszukujący wieści o rodzinach przepchnęli się w końcu do Wielkiej Galerii, której ściany pokryte były informacjami o osobach zaginionych i zdjęciami poszukiwanych. Wiele z tych zdjęć i kartek było przekreślonych grubym X na znak, że te osoby już nigdy nie wrócą do domów. I tam go znalazłam.

Paul Rodierre. Apartament 515.

Natychmiast pobiegłam do windy, ale okazała się tak nabita ludźmi, że drzwi nie chciały się domknąć, więc szybko poszukałam schodów. Po drodze mijałam ludzi o skórze dosłownie naciągniętej na kości, którzy snuli się po korytarzach w zwisających z nich obozowych pasiakach. Jak będzie wyglądał Paul?

Przygotowałam się, że zobaczę go w takim właśnie stanie, może nawet gorszym. Nie obchodziło mnie to, jak długo mogłabym zostać z nim przez resztę dni. Byłam gotowa ponieść każdą cenę, byle wydobrzyła.

Mijałam pokoje hotelowe, do których wstawiano dodatkowo łóżka, zamieniając je w oddziały szpitalne. Drzwi były zazwyczaj pootwierane. 511... 513... Na korytarzu dwóch żandarmów rozmawiało z ładną pielęgniarką. Wojna dobiegła końca, więc i miłość wróciła do łask.

Apartament na piątym piętrze okazał się przestronny. Francuskie okna dawały doskonały widok na rozciągające się pod nimi miasto i odległą wieżę Eiffla. Pod ścianą stało piękne łóżko Beauviera ze wstawkami z wyplatanej trzciny w stylu Ludwika XVI. Królewskie względy dla sławnego monsieur Rodierre'a.

Stałam przy drzwiach i przyglądałam się Paulowi, który siedział w miękkim fotelu i grał w karty z trzema mężczyznami. Firana w oknie poruszała się pod wpływem lekkiego wiatru.

Paul miał na sobie gładką, zapinaną z przodu na guziki koszulę, a za nim siedziała pielęgniarka, która jedną ręką przytrzymała się jego fotela, a drugą mierzyła mu tętno. Tak dziwnie było widzieć go w tym pięknym pokoju, wśród adamaszkowych draperii i pięknych wełnianych dywanów. Podeszłam bliżej i zajrzałam mu w karty przez ramię.

– Z taką ręką nie grałabym *va banque* – powiedziałam.

Paul odwrócił się i uśmiechnął. Odetchnęłam z ulgą. Wyglądał normalnie. Był wymizierowany i miał ogoloną głowę, ale żył, choć tonął w tej białej koszuli. Nie mogłam doczekać się chwili, gdy zabiorę go do domu i położę do jego własnego łóżka. Byłam gotowa wydać ostatni grosz na lekarzy, gdyby zaszła taka potrzeba.

– Nie przywiozłaś pieniędzy, żebym miał za co grać? – zapytał. – Żadnych rosyjskich papierosów?

Chodź, pocałuj mnie.

Obeszłam fotel i wtedy zobaczyłam, ku swojemu przerażeniu, nogi Paula wystające spod krawędzi koszuli. Długie, chude, z wyraźnie zaznaczonymi stawami jak u świerszcza.

– Nie jestem ze szkła. I nie wierz w ani jedno słowo lekarzy. Jeśli

można wyrokować na podstawie tego, jak idzie mi karta, będę zdrów raz-dwa.

– Nie wiem, od czego zacząć – powiedziałam, klękając przy jego fotelu. Nie miałam odwagi dotknąć Paula. Czy bycie tak chudym bolało?

Podszedł do nas młody lekarz. Rude włosy kłębiły się mu na czubku głowy jak przypieczony szafran.

– Pani jest z rodziny? – zapytał.

– To przyjaciółka – wyjaśnił Paul. – Miss Ferriday z Nowego Jorku.

Lekarz spojrzał na mnie i wtedy dopiero zauważyłam, że oczy ma czerwone i opuchnięte. Czy w ogóle miał okazję spać w ciągu ostatnich dni?

– Mogę panią na chwilę prosić? – zapytał.

Wyczułam w jego głosie nutę nagany, jakby w jakiś sposób mnie potępiał.

– Nazywam się Philippe Bedreaux. Jestem lekarzem – wyjaśnił, gdy wyszliśmy na korytarz. – Zajmuję się Paulem od kilku tygodni. Doskonale poradził sobie z tyfusem, w znacznym stopniu dzięki nowemu lekowi, chloramfenikolowi. Potem jednak znacznie mu się pogorszyło.

Pneumonie.

– Zapalenie płuc? – Nagle zabrakło mi tchu. Zupełnie jak u taty. Pneumonie. Po francusku brzmiało to znacznie ładniej, ale choroba nie stawała się przez to mniej groźna. Mama nadal nazywała ją gorączką płucną.

– Już je przewalczył, ale do pełnego wydobrzenia nadal jest daleko. Zostaje pani w mieście?

– Matka ma mieszkanie niedaleko. Czy Paul wie o śmierci żony?

– Tak. Był to dla niego ogromny wstrząs i na razie odmawia rozmawiania na ten temat. Teraz musi przede wszystkim odpoczywać. Na jakimś etapie trzeba będzie przeprowadzić intensywną rehabilitację, żeby zaradzić zanikowi mięśni.

– Czy odzyska pełnię zdrowia? – zapytałam.

– Na razie nie da się tego stwierdzić, mademoiselle. Mamy do czynienia z mocno wyniszczonym organizmem. Ten człowiek stracił niemal połowę swojej masy ciała.

– Psychiczenie wydaje się zdrów – stwierdziłam. – Gra w pokera... – To aktor. Nie dziwi chyba pani, że robi dobrą minę do złej gry. Tym bardziej musimy uważać. Jego płuca i serce wiele przeszły.

– Jak więc pan uważa? Dwa tygodnie? Trzy?

– Ten człowiek może w ogóle się jutro nie obudzić. Należy pozwolić

mu wyzdrowieć.

– Panie doktorze, proszę wybaczyć... – W zeszłym tygodniu wypisaliśmy do domu pewnego młodego człowieka. Wszystkie parametry w normie. Zmarł na atak serca rankiem w dniu, w którym miał stąd wyjść. Nie mamy pojęcia, kiedy któregokolwiek z tych ludzi będzie można uznać za wyleczonych.

– Chciałam tylko... – Jemu nie wolno się przemęczać. W żaden sposób. Żadnego gotowania, dłuższych spacerów, a już na pewno nie, cóż... – Słucham pana?

– Żadnych zajęć nadprogramowych... – Proszę wybaczyć?

– Pacjent musi leżeć w łóżku.

Sam, to miał na myśli.

Po wyjściu lekarza usiadłam u wezłowania łóżka Paula i przyglądałam się, jak oddycha. Koc unosił się w górę i w dół.

– Nie odchodź – poprosił Paul.

Pogładziłam jego policzek.

– Nigdy – powiedziałam.

Odwiedzałam go codziennie, a na noc przenosiłam się do mieszkania mamy. Ulżyło mi, gdy zobaczyłam, że dzięki zabiegom żony dozorczy, madame Solange, przetrwało wojnę w niezłym stanie. Ani jedna szyba z sięgających od sufitu do podłogi okien skrzydłowych nie była pęknięta, choć każdą powierzchnię pokrywał drobny biały pył. Na srebrnych zakrętkach słoczków na mojej mahoniowej toalecie zebrała się gruba warstwa lepkiego kurzu. Zegar podróżny z ubiegłego wieku, który należał do taty, zatrzymał się na godzinie dziewiętej dwadzieścia pięć, a w sypialni mamy pojawił się zaciek. Cały pas adamaszkowej tapety odkleił się tam i zwisał teraz smętnie niczym świńskie ucho.

Pierwsze dwa tygodnie mojego pobytu we Francji Paul przespał prawie w całości, ale niebawem zażądał przeniesienia do domu w Rouen, w którym mieszkał wcześniej z Reną. Doktor Bedreaux przystał na to niechętnie, czyniąc dalsze zawołane sugestie, że przez pewien czas Paul powinien powstrzymać się od uciech cielesnych, które tylko wywołały uśmiech na twarzy głównego zainteresowanego. Doktor Bedreaux nalegał też, by każdego dnia Paula odwiedzał lekarz, bo dom Reny znajdował się kilka kilometrów za Paryżem i opieka szpitalna była tam na nie najwyższym poziomie. Przystałam na to, z radością godząc się płacić za wszystko, co mogłoby uszczęśliwić Paula, a potem z pomocą trzech silnych pielęgniarek usadziłam go jakoś na przednim siedzeniu peugeota.

W drodze do Rouen widzieliśmy kolejne dowody na niedawne zakończenie walk. Po wielu budynkach zostały jedynie frontowe ściany. Słynna katedra uwieczniona na obrazach Moneta była jednym z nielicznych nienaruszonych obiektów. Paul poprowadził mnie do przypominającego bunkier domu przy jednej z bocznych uliczek Rouen. Dom wyglądał zupełnie inaczej, niż się tego spodziewałam.

Pomogłam Paulowi przejść do drzwi frontowych. Dom, który naprawdę przypominał schron wojskowy, wydał mi się zimny i odpychający. Został zaprojektowany w stylu właściwym dla wszystkich budowli Bauhausu, jeszcze jednej ohydnej rzeczy, jaką Niemcy narzuciły Francji.

Zastanawiałam się, czy sąsiedzi wyjdą powitać Paula. Czy uznają mnie za intruza? Ostatecznie Rena dorastała w tym domu, mieszkała tu razem z Paulem. Może mieli tu znajomych, jakieś inne małżeństwa, które za nią tęskniły?

Przeszłam z Paulem przez korytarz i dalej do salonu. Dom był ciemny, ale ściany pomieszczeń pomalowano jasnymi kolorami charakterystycznymi dla Prowansji. Zaczęłam zastanawiać się, czy nie zaproponować Paulowi przeprowadzki do mieszkania mamy, gdzie od rana świeciło słońce, a wyłożone pastelowymi tkaninami ściany pełne były obrazów, które wyszukiwałyśmy z mamą na pchlim targu i w antykwariatach. Moja komódka w stylu Ludwika XVI. Stojący w kuchni metalowy stolik ogrodowy z końca wieku. Mama wprawdzie nieco przesadziła z charakterystycznym francuskim lnem, ale i tak był piękny. Mieszkanie potrzebowało tylko porządnego sprzątnięcia.

Pomogłam Paulowi wejść po schodach. Minęliśmy przytulny pokój o ścianach obitych żółtą tkaniną i weszliśmy do głównej sypialni należącej niegdyś do Paula i Reny. Łóżko było za małe dla mężczyzny tak wysokiego jak Paul. Przykryte było białą zakardową narzutą i wyściełane biało-niebieskimi, dobrze wypchanymi poduchami.

Przyciągnęłam sobie krzesło i przyglądałam się śpiącemu Paulowi, aż zapadła noc. W końcu przesiadłam się na miękko wyściełaną ławę pod oknem i trochę się zdrzemnęłam. Nad ranem Paul przemówił.

– Rena?

– Nie, Paul. Jestem Caroline.

– Caroline? Tak mi zimno.

Przyniosłam koc, którym wcześniej się przykryłam, i rozłożyłam go na łóżku.

– Wydawało mi się, że jestem w szpitalu – powiedział.

– Nie, kochanie. Jesteś w domu.

Zasnął znów, zanim skończyłam mówić.

Dziwnie było gotować w kuchni Reny, w której ciągle jeszcze wisiały wypolerowane na błysk miedziane garnki, a w szufladach leżały poskładane w eleganckie kopczyki wyprasowane bawełniane serwetki. Nie bardzo było też z czego gotować, bo w całej Francji brakowało mięsa i warzyw.

Początkowo improwizowałam. Mając kartkę żywnościową i nieco szczęścia, można było upolować trochę ziemniaków i chleba, czasami anemiczne marchewki, ale większość ludzi w kraju żywiła się teraz cienkimi zupami i czerstwym chlebem. Potem zrobiłam najazd na spiżarnię w mieszkaniu mamy i natrafiłam na żyłę złota: melasę, płatki owsiane i herbatę ekspresową. W końcu dowiedziałam się, że za odpowiednią cenę na czarnym rynku można dostać wszystko.

Każdego dnia serwowałam Paulowi lekarstwo, którym praprababcia Woolsey leczyła swoich pacjentów pod Gettysburgiem: jajko i wodę sodową zmieszane z kieliszkiem wina. Poza tym korzystałam z innych przepisów rodzinnych, w tym z wywaru z wołowiny, ponczu na mleku i ryżu z melasą.

Powiedziałam Paulowi, że to stare przepisy z Nowej Anglii przekazywane w mojej rodzinie po kądzieli.

Dzięki nim z dnia na dzień odzyskiwał siły.

– Czy chcesz porozmawiać o obozie? – zapytałam pewnej nocy.

– Nie dam rady o tym mówić, Caroline. Masz jak najlepsze chęci...

– Musisz choć spróbować, Paul. Może zacznij od nocy, w której opuściłeś dom. Małymi kroczkami.

Przez chwilę milczał.

– Przyszli bez ostrzeżenia, przekonani, że mogę się im przydać. Rena leżała w łóżku z grypą. Zabrali mnie do kwatery głównej i poinformowali, bardzo kulturalnie, że chcą, bym wystąpił w kilku filmach.

Propagandowych. Nie zgodziłem się. Przez jakiś czas siedziałem w Paryżu, potem odesłali mnie do Drancy. Podejrzewam, że później wrócili po Renę i jej ojca. To był początek łapanek. Zabierali wtedy wszystkich Żydów.

– Skąd wiedzieli, że Rena tu jest?

– Wszystko wiedzieli. Może z podania o wizę. Nie mam pojęcia. W Drancy było okropnie, Caroline.

Odbierali dzieci matkom.

Paul zwiesił głowę i zakrył usta dłonią.

– Przepraszam. Może to rzeczywiście zbyt wiele.
– Nie, masz rację. Muszę o tym mówić. Nie uwierzyłybyś, co działo się w obozie... w Natzweiler.
– W Alzacji? Roger podejrzewał, że mogli cię tam wysłać.
– Tak, w Wogezach. Mnóstwo ludzi zginęło tylko z powodu niskich temperatur i wysokości. I ten tłum.

Modliłem się o śmierć. Budowaliśmy część tego obozu. Nowe baraki i... – Spróbował pociągnąć bulionu, ale odstawił filiżankę na spodek. – Może skończymy później.

– Oczywiście – powiedziałam. – Mówienie ci pomaga?

– Niewykluczone.

Otuliłam go pierzyną, szczęśliwa, że robimy postępy.

Po południu ósmego maja stałam po kostki w strumieniu płynącym za domem Paula, zbierałam rosnącą na brzegu rukiew i nie mogłam nadziwić się pięknu kwitnących kasztanowców i pączkującej glicynii.

Fioletowa naparstnica, którą w Connecticut trzeba było pielęgnować, tu rosła wszędzie jak chwast.

Z domu dolatywało mnie pogwizdywanie Paula. Uśmiechnęłam się. Mężczyźni pogwizdują tylko, kiedy są szczęśliwi. Przynajmniej w przypadku taty można było mówić o takiej regule.

Nagle pogwizdywanie urwało się i Paul zawołał z domu.

– Caroline... Rzuciłam się biegiem przez trawnik. Czy upadł? Serce waliło mi, gdy wpadłam do kuchni, zostawiając za sobą mokre ślady.

– De Gaulle przemawia – powiedział Paul.

Paula zastałam w pełnym zdrowiu przy radioodbiorniku. Z trudem łapałam dech, ale czułam też ulgę.

No i zdążyłam na czas, by usłyszeć, jak generał de Gaulle ogłasza koniec wojny w Europie.

Chwała na wieki naszym żołnierzom i ich dowódcom. Chwała ludziom, którzy nie cofnęli się i nie zawahali w obliczu strasznej próby. Chwała Narodom Zjednoczonym, których krew, smutki i nadzieje mieszały się z naszymi, a które teraz triumfują z nami. Ah, vive la France!

Wyszliśmy przed dom i usłyszeliśmy dzwony katedralne.

– Trudno w to uwierzyć – powiedziałam.

Choć pierwszy akt kapitulacji Niemcy podpisali dzień wcześniej w Reims, dopiero gdy usłyszeliśmy o tym z ust generała de Gaulle'a, gdy na ulicach zabrzmiały klaksony samochodów naszych sąsiadów, a w oknach zawisły trójkolorowe flagi, pozwoliliśmy sobie we wszystko uwierzyć.

Wojna w Europie dobiegła końca.

Zarzuciłam na siebie jeden z szali mamy i zawiozłam nas do jej mieszkania w Paryżu. Otworzyliśmy szeroko okna, gotowi powitać dźwięki radości, ale Paryż był tego popołudnia dziwnie cichy. Wszystko jednak uległo zmianie, gdy popołudnie przeszło w wieczór, a młodzi wylegli do parków i na miejskie skwery.

– Chodźmy na plac Zgody – powiedział Paul.

– A może po prostu posłuchajmy tu radia? – zaproponowałam. – Tłum może być dla ciebie zbyt dużym wyzwaniem.

– Caroline, nie jestem kaleką. Pozwól mi się tym cieszyć.

Dzień był piękny i ciepły. Szliśmy do stojącego przy placu Zgody hotelu de Crillon. Piękny stary budynek wznosił się nad placem, znów ozdobiony trójkolorową flagą. Świątowanie wyzwolenia Francji w miejscu, w którym ścięto Ludwika XVI, wydawało mi się nieco surrealistycznym doznaniem.

Gdy cienie na placu zaczęły się wydłużać, a tłum gęstnieć, przed amerykańską ambasadą pojawili się członkowie żandarmerii wojskowej w nieodłącznych białych hełmach, żeby ułatwić przejście wszystkim, którzy chcieli załatwić cokolwiek w ambasadzie. Przepychaliśmy się przez tłum, a wszędzie wokół pobrzmiwały klaksony i śpiew. Ludzie machali nad głowami białymi chustkami, potykając się i przewracając, gdy ulicami przejeżdżały amerykańskie terenówki wojskowe. Stojący na stopniach samochodów młodzi Francuzi i Francuzki strzelali korkami od szampana i rzucali w tłum kwiaty.

Gdy słońce zaszło, na placu Zgody pierwszy raz od rozpoczęcia wojny zapalono światła. Tłum zapłakał, gdy ponownie włączono fontannę na placu, a z ust rzeźbionych ryb trzymany przez nimfy z brązu woda znów strzeliła aż po samo niebo. Ludzie tańczyli w fontannie w ubraniach, przemoczeni do cna, szaleni szczęściem, że Paryż znów należał do nich.

Paul upuścił chusteczkę, a jakaś dziewczyna mu ją podała.

– Proszę – powiedziała. – Przez chwilę myślałam, że to pan Paul Rodierre.

– Bo to on – odparłam.

Dziewczyna ruszyła dalej tanecznym krokiem.

– Bardzo śmieszne – rzuciła jeszcze przez ramię.

– Nie wie, co mówi – powiedziałam, ale Paul znał prawdę. Był ledwie cieniem dawnego siebie.

Chwilę potem siły opuściły go zupełnie i tuż po zachodzie słońca ruszyliśmy do domu. W drodze do Rouen widzieliśmy jeszcze sztuczne

ognie nad Sekwaną.

Po powrocie do domu przebraliśmy się w wygodniejsze ubrania: ja w miękkie spodnie Paula i za dużą koszulę, on – w swoją ulubioną piżamę w kolorze kości słoniowej. Wydawał się nieobecny i bardziej zmęczony niż zazwyczaj. Siedział zgarbiony przy kuchennym stole, podczas gdy ja przygotowywałam kolację.

– Żałujesz, że Reny tu nie ma? – zapytałam.

– Mówienie o tym nie pomaga. Na razie i tak nie możesz przestać próbować wchodzić w jej rolę.

– Nie robię tego – powiedziałam.

– Gotujesz według jej przepisów, ubierasz się jak ona. Proszę, nie rób tego.

– Bo włożyłam dziś szalik? – zapytałam.

– Odpreż się i spróbuj zachowywać jak w Nowym Jorku.

– W życiu nie byłam szczęśliwsza – odparłam.

Mówiłam prawdę. Mogliśmy się różnić, ale odkąd przestałam przepisywać harmonogramy podawania leków i rozkład ćwiczeń dla Paula, nasz związek zaczął się umacniać. No i dzięki lekom Woolseyów Paul zaczynał wreszcie przybierać na ciełe.

– To dlaczego się nie wprowadzisz? Na dobre.

– Och, Paul, nie wiem. Chciałabym wiedzieć, co ty o tym sądzisz.

– Szaleję za tobą.

– Z jakiego powodu?

Zamyślił się na chwilę.

– Ciężko pracujesz. Bardzo to szanuję.

– I to ma być wszystko?

– I lubię, jak mówisz po francusku z tym swoim amerykańskim akcentem. To bardzo podniecające.

– To zdecydowanie... – I nigdy nie będę miał dość twojego towarzystwa.

Wstał i podszedł do zlewu, gdzie stałam.

– I lubię twoje małe skazy. Krzywy uśmiech.

Dotknęłam ust. Krzywy?

– I nie masz wielkiej torby, w której wciąż byś grzebała.

Ujął moją dłoń.

– I podoba mi się, że chodzisz w moich ubraniach.

Odpiął jeden z guzików koszuli na mojej piersi.

– I twoja biała skóra też mi się podoba. Taka gładka. Wiele o niej myślałem, gdy mnie przy tobie nie było.

Objął mnie w talii.

– Ale najbardziej lubię w tobie... – Tak?

– ...to, jak całujesz. Czasami wydaje mi się, że gdy cię pocałuję, już nigdy nie wrócę do siebie. To jak podróż na koniec wszechświata.

Paul odsunął kołnierzyk koszuli i pocałował mnie w szyję.

Uśmiechnęłam się.

– Zabawne. Jednego słowa nie użyłeś ani razu.

Paul odsunął się nieco.

– Dlaczego Amerykanie muszą wszystko mieć powiedziane na głos? Nawet śmieciarzowi powiecie: „Kocham cię”.

– A wydawało mi się, że to wyznanie wymyślono tutaj.

– Jeśli tylko tego ci trzeba, to wiedz, że cię kocham. I nie wyobrażam sobie życia bez ciebie. A teraz przywieź tu swoje rzeczy, swoje ubrania, swoje książki. Niech ten dom zacznie należeć do ciebie.

– Mam nie wracać do Nowego Jorku? – To brzmiało zbyt pięknie, by mogło być prawdziwe. Miałam zostać z nim na zawsze.

– Tak. Niech ten dom stanie się twój. Do Nowego Jorku możemy wpadać z wizytą. A twoja mama będzie odwiedzać nas tutaj. Ma przecież gdzie mieszkać.

– Będzie mi brakowało konsulatu, ale Roger ma Pię.

– No właśnie.

– Oczywiście, że z tobą zostanę – powiedziałam.

– Doskonale – stwierdził z uśmiechem. Znow widzieć go na jego ustach było dla mnie niczym balsam na rany.

Czy naprawdę było już za późno na dziecko? Miałam przeszło czterdzieści lat. Ale mogliśmy przecież jakieś adoptować. W mojej walizce były dane mnóstwa uroczych francuskich maleństw, które potrzebowały domów. Mogliśmy stworzyć prawdziwą rodzinę. Mama byłaby przeszczęśliwa, mogąc wreszcie wyprawić wesele. Roger załatwił jej wizę i już była w drodze do Paryża. Mogłam powiedzieć jej o wszystkim osobiście.

– Dlaczego nie zaczniemy już dziś? – zapytał.

– Pojadę po swoje rzeczy. – Czy to się działo naprawdę? Czy w mieszkaniu mamy były jakieś jedwabne pończochy?

– Tylko się nie maluj – ostrzegł Paul. – Jesteś cudowna taka jak teraz.

– Może chociaż szminkę?

– Pośpiesz się. Dokończę kolację.

– Paul, proszę, nie – powiedziałam. – Doktor Bedreaux powiedział...

Paul podniósł się i podszedł do blatu. Wygrzebał z miski kilka fioletowych ziemniaków. Czy przygotowanie posiłku rzeczywiście mogło być ponad jego siły?

– Ani słowa, bo zmienię zdanie – ostrzegł.

Chwyciłam torebkę.

– Nietzsche utrzymywał, że dieta składająca się głównie z ziemniaków prowadzi do nadużywania alkoholu.

– Świetnie. Przywieź w takim razie butelkę jednego z win twojej mamy. Będziemy świętować.

W czasie trwającej niemal dwie godziny jazdy do Paryża ułożyłam w głowie listę rzeczy, jakie powinnam ze sobą zabrać. Rybaczki. Jedwabne pończochy. Nową bieliznę. No i w końcu będę musiała wyrobić sobie francuskie prawo jazdy.

Po dotarciu na miejsce zaciągnęłam zasłony w mieszkaniu, przygotowałam walizkę i skierowałam się do drzwi. Zamykałam już, gdy w kuchni zadzwonił telefon, i pierwszy raz w życiu to zignorowałam. Jeśli to mama, to opowiedzenie jej wszystkiego zajęłoby zbyt dużo czasu.

W drodze powrotnej wstąpiłam jeszcze do naszego ulubionego sklepu i kupiłam wyjątkowo zabiedzoną bagietkę. Była niewielka, ale potraktowałam ją jako zapowiedź lepszych czasów. Zatrzymałam się tylko jeszcze raz, by dorzucić drewna do piecyka, i pojechałam przed siebie. Przez otwarte okna w noc leciały słowa piosenki Léo Marjane *Seule ce soir*.

„Dzisiejszej nocy zostałam sama ze swymi snami”... Prasa urządziła na nią nagonkę za zbyt entuzjastyczne zabawianie okupanta w czasie wojny, ale żadna inna piosenka nie oddawała tak ducha czasów okupacji. Śpiewałam razem z nią.

„Dzisiejszej nocy zostałam sama, bez twojej miłości”... Cudownie było wreszcie nie być samą. Smutne piosenki przestają być tak smutne, gdy jest ktoś, kto cię kocha. W uliczkę Paula wjechałam ze śpiewem na ustach i w duchu radosnego podniecenia. Kto by się przejmował tym, co pomyślą sąsiedzi?

Wzięłam zakręt i wyjechałam wprost na białą karetkę zaparkowaną przy krawężniku, dokładnie naprzeciw wejścia do domu Paula. Silnik nadal pracował.

Czas się zatrzymał. Może stanęli nie przy tym domu? Podjechałam bliżej i zobaczyłam pielęgniarkę przy drzwiach wejściowych. Na biały fartuch miała narzuconą granatową pelerynę.

Mój Boże. Paul.

Wyskoczyłam niemal w biegu.

Pobiegłam chodnikiem.

– Czy z Paulem wszystko w porządku? – zapytałam, z trudem łapiąc oddech.

– Proszę szybko do środka – powiedziała pielęgniarka i wprowadziła mnie do domu.

Rozdział 28

Kasia

1945

Czy ja śnię? – zapytała Zuzanna, gdy prom dobił do nabrzeża w Gdańsku, a my poczułyśmy pachnące solą powietrze, wypełnione krzykiem mew i rybitw. Uniosłam dłoń, żeby osłonić oczy przed słońcem odbijającym się w wodzie tysiącem brylantów.

Dwa miesiące spędziłyśmy w szwedzkim Malmö, gdzie Bóg zdał się umieścić wszystko, co w naturze najpiękniejsze. Najzieleńszą trawę. Niebo w kolorze bławatków. I dzieci, które wydawały się zrodzone z tych krajobrazów – o włosach niczym białe obłoki i oczach w kolorze kobaltowego morza.

Przykro nam było wyjeżdżać, bo traktowano nas tam po królewsku, karmiono prinsesstłrta, tortem księżniczek, i pieroóykami pitepalt podawanymi z dýemem jagodowym. Gdy odzyskaóyómy sióy (a i ja, i Zuzanna waóyółyśmy juó po czterdzieóci kilogramów), zapragnółyśmy wróóić do domów. W róóne miejsca. Do Polski. Francji. Czechosłowacji. Zaledwie garstka, która w czasie wojny straciła wszystko, zdecydowała się zostać w Szwecji, by tam rozpocząć nowe życie. Niektóre czekały teó na wynik zapowiadanych wolnych wyborów w Polsce, uzależniając od tego decyzję o powrocie. Dotarły do nas słuchy, że w Polsce u władzy znalazła się sowiecka agentura, NKWD, ale ani ja, ani Zuzanna nie wahałyśmy się ani przez chwilę. Pragnółyśmy znów spotkać się z ojcem.

Jednocześnie, choć byłam wdzięczna za ratunek, z każdym dniem, gdy odzyskiwałam siły, narastał we mnie gniew. Gdzie podziala się radość z ocalenia? Wokół siebie widziałam kobiety gotowe wróóić do swoich dawnych zajęć, a we mnie szalał sztorm, wielka czarna kula gdzieś góęboko w brzuchu.

Gdy zesółyśmy z promu, na wybrzeóu czekał juó na nas kierowca. Był to młodzieniec z Warszawy, jeden z przeszło setki byłych polskich pilotów, którzy dołączyli do Royal Air Force i ryzykowali życie w podniebnych starciach z Luftwaffe. Był ode mnie zaledwie kilka lat starszy, ale ja, dwudziestodwuletnia dziewczyna, utykałam na nogę i miałam figurę starej jędzy.

Kierowca wziął od Zuzanny bagaó i pomógł nam wsiąó do

samochoду. Poczulaм przyjemną, chłodną skórę tapicerki samochodowej. Kiedy ostatni raz zdarzyło mi się tak podróżować? Równie dobrze mogli mnie wtedy wsadzić do statku kosmicznego.

– I co tam słychać na świecie? – zapytała Zuzanna, gdy już ruszyliśmy. Bawiła się przy tym zamontowaną w drzwiach popielniczką. Otwierała ją i zamykała przez cały czas. Otworzyłam tę zamontowaną w drzwiach po mojej stronie i znalazłam w niej dwa zgniecione niedopałki. W obozie byłyby bezcenne.

– Słyszałyście panie, co dzieje się wokół władzy? – zapytał kierowca.

– Podobno mają rozpisać wolne wybory – odparła Zuzanna.

Jechaliśmy przez Gdańsk, który mocno ucierpiał w czasie wojny.

– Rząd na uchodźstwie chce wracać – poinformował nas. – Polska Partia Robotnicza twierdzi, że trzeba będzie rozpisać wybory.

– Wierzy pan Stalinowi? – zapytałam.

– Polska Partia Robotnicza to... – Stalin. Tylko tego nam brakowało.

– Mówią, że będziemy wolnym, niepodległym narodem. Ludzie są pełni nadziei.

– Więc teraz wierzymy łgarzom? – zapytałam. – NKWD nigdy nam nie da spokoju.

– Proszę uważać, przy kim pani to mówi – ostrzegł mnie kierowca.

– To brzmi jak zapowiedź prawdziwej wolności i niepodległości – sarknęłam.

Większą część drogi do Lublina przespałyśmy i obudziłyśmy się dopiero, gdy kierowca zatrzymał się przed drzwiami frontowymi naszego domu.

– Pobudka, miłe panie – powiedział, zaciągając hamulec ręczny. Siedziałyśmy na tylnym siedzeniu i wpatrywałyśmy się w gołą żarówkę nad drzwiami do naszego domu. Światło we wszechobecnej ciemności wabiło tłuste ćmy i inne robactwo, które urządzało sobie szalone loty wokół żarówki.

W Ravensbrück więźniarki zjadłyby je bez chwili wahania.

– Wierzysz, że w końcu tu jesteśmy? – zapytała Zuzanna.

Wysiadłyśmy z samochodu, czując się, jakby to było prawdziwe lądowanie na księżycu. Objęłam Zuzannę w pasie. Oparła się o mnie i poczułam na swoim biodrze jej kość. Ból pojawił się w mojej chorej nodze, gdy tylko zaczęłam się wspinać po pięknych schodach przed naszym domem.

Wysłałyśmy tacie telegram. Czy będzie na nas czekać z makowcem i

herbatą? Przekręciłam starą porcelanową gałkę przy drzwiach domu. Były zamknięte. Zuzanna sprawdziła za cegłą, za którą zawsze chowałyśmy klucz. Nadal tam leżał!

Jednak zaledwie przestąpiłam próg kuchni, dotarło do mnie z całą mocą, że mojej mamy już nie ma.

W całym mieszkaniu było ciemno. Palila się tylko niewielka lampka na kuchennym stole, a od kafli pieca odbijała się poświata płomienia. W oknach wisiały zbyt wesołe żółte zasłonki, a na stole stała całkiem nowa rodzina czerwonych pojemników. Żółty i czerwony. Mama uwielbiała niebieski. Ktoś powiesił obraz przedstawiający dzikie polne kwiaty w miejscu, gdzie mama przyklejała swoje obrazki z ptakami.

Zza obrazu wyglądały jeszcze wróble, a mąż, którą były przytwierdzone do ściany, pożółkła z czasem.

Podeszłam do pulpitu, przy którym mama zawsze rysowała. Ktoś położył go na płask, przykrył tanią serwetką z koronką i ustawił na nim obrazek przedstawiający Matkę Boską z sanktuarium w Gietrzwałdzie i porcelanową ramkę ze zdjęciem starej kobiety machającej z pociągu.

Podeszłam do kominka, gdzie stało zdjęcie mamy, to, na którym wyglądała tak poważnie, trzymając na kolanach swojego pieska Borysa. Ktoś ułożył przy ramce czarną kokardę, której luźne końce spływały swobodnie z gzymsu kominka. Od spoglądania w skupioną twarz mamy, na której tańczył płomień świecy, dostałam zawrotów głowy. W sypialni zaszczeakał pies, a Zuzanna aż wstrzymała oddech.

Felka?

– Kto tam?! – zawołał tata, człapiąc korytarzem z drugiej sypialni.

Wyszedł do nas w swoich pasiastych kalesonach. Włosy, przerzedzone i posiwiałe, sterczały mu z głowy we wszystkie strony, a w dłoni dzierżył czarny rewolwer, którego nigdy wcześniej u niego nie widziałam. Zza jego pleców wybiegła Felka, machając szaleńczo ogonem. Urosła i znacznie utyła od czasu, gdy widziałam ją ostatnio. Było to tu, dokładnie w tej kuchni, jeszcze z mamą.

– To tylko my, tato – powiedziała Zuzanna.

Tata stał przed nami oniemiały z szeroko otwartymi ustami. Dlaczego się tak postarzał? Nawet włosy na jego piersi były teraz siwe. Felka natychmiast do nas podbiegła i krążyła teraz między mną i Zuzanną, co rusz przytykając do nas swój mokry nosek.

– Wróciłyśmy do domu – powiedziałam. Poczułam, jak zbiera mi się na płacz. Tata rozchylił ramiona i przytulił nas obie, jakby już nigdy nie chciał nas puścić. Jak dobrze było znaleźć się znów przy nim, w jego

uścisku! Płakałyśmy obie w jego gołe ramiona.

– Nie dostałeś naszego telegramu? – zapytałam.

– A kto dziś dostaje telegramy?

– A list o mamie?

– Tak. To dotarło. Pismo na kopercie wyglądało jak jej, więc myślałem, że to kolejny list od niej. Ale w kopercie było tylko oficjalne zawiadomienie. Powiedzieli, że to tyfus.

Ujęłam jego dłoń.

– To nie był tyfus, tato.

– Zatem co? – Sprawiał wrażenie małego, zagubionego chłopca.

Gdzie podział się mój silny ojciec?

– Nie mam pojęcia – przyznałam.

Odsunął się i wsparł dłonie na biodrach.

– Przecież byliście razem, prawda?

Zuzanna poprowadziła tatę w stronę krzesła w kuchni.

– Przenieśli ją na inny blok, tato. Pracowała jako pielęgniarka... – I rysowała Niemcom portrety. To ją zabiło. Zbyt blisko do nich zbliżyła. – Dlaczego wygadywałam takie rzeczy? Wiedziałam aż za dobrze, co ją zabiło. Kanapka, którą przyniosła mi wtedy do kina.

Zuzanna klęczała obok taty.

– Odebrałeś listy od Kasi. Skąd wiedziałeś, jak je odczytać?

– Cała poczta biedziła się nad złamaniem waszego kodu.

Wiedzieliśmy, że są zaszyfrowane, ale nikt nie wiedział, jak je odczytać.

Pierwszy zanurzyłem w wodzie. Aż w końcu to rozgryźliśmy.

Skontaktowałem się z odpowiednimi ludźmi, a oni przekazali, co trzeba, do rządu w Londynie i stamtąd na cały świat. Ale to Marta powiedziała, żeby wyprasować list. Gdzieś o tym czytała.

Marta?

Klęknęłam po drugiej stronie krzesła.

– Dziękuję ci za czerwone nici.

– Staralem się przekazać to, gdzie tylko się dało. Wiedziałaś, że nadawali o tym w BBC? Co oni wam zrobili... – Tata znów się rozpłakał. Jak trudno było mi patrzeć na naszego silnego ojca we łzach!

Chwyciłam go za rękę.

– Widziałeś może Piotrka? Albo Nadię?

– Nie, nikogo. Codziennie wywieszam listy. I Czerwony Krzyż także. Żałuję, że nie wiedziałem, że wracacie. – Tato chwycił lnianą ściereczkę do naczyń i otarł nią łzy. – Szaleliśmy ze strachu.

My?

Zuzanna zauważyła ją pierwsza. Przysadzistą kobietę w szlafroku czającą się w mroku sypialni.

Podeszła do niej i wyciągnęła dłoń.

– Jestem Zuzanna – przedstawiła się.

Kobieta w sypialni taty?

– A ja Marta – odparła ona. – Słyszałam o was wiele dobrego.

Wstałam z podłogi, wzięłam głęboki wdech i przyjrzałam się jej uważnie. Marta była o kilka centymetrów wyższa od taty, szlafrok miała przewiązany sznurkiem. Z ramienia zwisał jej gruby, ciemny warkocz. Rolniczka. Tata zdecydowanie obniżył wymagania.

Marta podeszła do taty, ale on nie przesunął się w jej stronę ani o centymetr.

– Marta pochodzi z wioski pod Zamościem. Bardzo mi pomogła w czasie, gdy was nie było. – Wyglądał na zawstydzonego jej obecnością. Ale kto by nie był, gdyby musiał przedstawiać kochankę córkom zmarłej żony?

– Może usiadzimy? – zaproponowała Marta.

– Wolalabym się położyć. – Miałam wrażenie, że przypominało to handel wymienny. Powędrowałam wzrokiem do zdjęcia mamy na kominku. Czy tata za nią nie tęsknił? Jak mógł?

Teraz przywołał mnie do siebie gestem.

– Kasiu, chodź, usiądź z nami.

Marta usiadła na ulubionym krześle mamy, tym, które sama pomalowała na biało, z perkalową poduszką. Spoglądałam na Zuzannę przytulającą Martę. Tata wyglądał na zadowolonego, że znalazły porozumienie.

– Żałuję, że nie mamy was czym nakarmić, ale dziś właśnie zjedliśmy resztę chleba – powiedziała Marta.

Tata potarł nieogoloną od jakiegoś czasu brodę.

– Jest gorzej niż kiedykolwiek. Odkąd weszli Rosjanie, ciągle brakuje jedzenia. Niemcy przynajmniej dowozili mąkę do piekarni.

– Więc teraz zamiast Hitlera mamy Stalina? – zapytałam. – Zamienił stryjek siekierkę na kijek.

– Jakoś się z nimi dogaduję – powiedział tata. – Pozwolili mi dalej pracować na poczcie.

– Pozwolili ci? – powtórzyłam.

– Rosyjskie papierosy można kupić w dowolnej ilości – dorzuciła nieco zbyt pogodnym tonem Marta. – Ale z jajkami jest krucho.

– Lada dzień będziemy mówić do siebie „towarzysze” –

podsumowałam.

– Poradzimy sobie – odezwała się Zuzanna.

– Szukają dawnych członków podziemia – powiedział tata, przyglądając się mi badawczo. – W zeszłym tygodniu aresztowali Mazura.

Poczułam, jakby przepłynął przeze mnie prąd, i w jednej chwili ledwie mogłam złapać dech. Mazur?

Był kolegą z podwórka Piotrka i jednym z najlepszych działaczy podziemia, wysoko postawionym w szeregach organizacji. Odbierał ode mnie przysięgę. Był prawdziwym patriotą.

Wdech, wydech.

– To już nie moja sprawa – powiedziałam.

– Zabrali nas z obozu szwedzkim autobusem – zmieniła temat Zuzanna. – Szkoda, że nie widzieliście, jak przyjęli nas w Danii. Ludzie czekali na nas na ulicach z transparentami. W Szwecji też byli bardzo mili. Rozwinęli na nasz przyjazd sztandar lubelskiego hufca, który ktoś odnalazł w Ravensbrück. I jak wiwatowali. Pierwszą noc spędziłyśmy w sali muzealnej.

– A nad nami dinozaury szczyrzyły swoje zębiska – dodałam. – W zasadzie tak jak w obozie.

Zuzanna sięgnęła po swoją płócienną torbę.

– Potem ulokowali nas w posiadłości księżnej. Popatrz, co nam dali przed wyjazdem ze Szwecji. – Sięgnęła do torby, wyjęła z niej białe pudełko, postawiła na stole i otworzyła. – Każda z nas takie dostała. Sardynki w puszcze. Biały chleb i masło. Dżem malinowy i tabliczkę czekolady.

Skubnęłyśmy tylko trochę, oszczędzając resztę jedzenia.

– I mleko w proszku? – zdumiał się tata. – Ile to już czasu... – Jak miło z ich strony – wtrąciła Marta. – Ciągle mam jeszcze kartkę na mąkę. Mogłabym zrobić... – Nie kłopotz się – ucięłam.

Tata pochylił głowę i przeczesał palcami resztki włosów.

– Przykro mi z powodu waszej mamy – powiedziała Marta, wstając.

– Właśnie widzę – odparłam.

– Kasiu – zaprotestował tata.

Uniosłam białe krzesło, którego poduszka ciągle jeszcze była ciepła po tym, jak siedziała na niej Marta.

– Dobranoc, tato – powiedziałam. – Dobranoc, Zuzanno.

Zabrałam krzesło mamy do pokoju. Mijając kominek, odwróciłam wzrok, żeby nie spojrzeć mamie w oczy. Tak ciężko było mi patrzeć na jej twarz. Za każdym razem czułam się, jakby ktoś bił mnie pięścią w brzuch.

Weszłam do pokoju i zamknęłam za sobą drzwi. Żadna flama mojego ojca nie będzie siedzieć na krześle mamy, niezależnie od tego, jak bardzo by mu pomagała.

Rozdział 29
Caroline
1945

Weszłam do domu za pielęgniarką i natychmiast zobaczyłam stojącego w kuchni sanitariusza. Nawet spod drzwi widziałam rozsypane na ziemi obrane już ziemniaki i oliwę rozlaną na płytkach. Jak mogłam zostawić Paula samego po tym, jak doktor Bedreaux mnie ostrzegął?

Gdy znalazłyśmy się w kuchni, zobaczyłam Paula siedzącego za stołem i drugą pielęgniarkę, która mierzyła mu puls. Poczułam, jak ogarnia mnie fala ciepła.

– Paul, nic ci nie jest? Dzięki Bogu.

Paul spojrzał na mnie. Czyżby płakał?

– Próbowaliśmy do ciebie dzwonić. Caroline, dasz wiarę? To wszystko wydaje się snem.

Pokręciłam głową.

– Nie rozumiem.

– Zadzwonili do drzwi – powiedział. – To takie... nierzeczywiste.

– Kto zadzwonił do drzwi, Paul?

– Rena.

– Rena zadzwoniła do drzwi. To bez sensu.

– Właśnie zabrali ją na górę.

– Wróciła?

Mój głos brzmiał jak z oddali i obco w moich uszach.

Paul zaczął czyścić jakąś plamkę na obrusie.

– Była w szpitalu amerykańskim.

Czy wyglądał na szczęśliwego? Niespecjalnie. Wszystko to było mocno konfundujące.

– Nie ma siły mówić zbyt wiele. Wygląda na to, że pomogła jej jakaś niemiecka rodzina.

Oparłam się o futrynę.

– Cudownie. – Nic więcej nie przyszło mi do głowy. – W takim razie lepiej już pójdę.

Odwróciłam się do wyjścia.

– Caroline, poczekaj! – zawołał Paul. – Dokąd idziesz?

– Wszystko to jest nieco przytłaczające.

– Wiem, Caroline. Tak mi przykro. Rena była w szpitalu od wielu tygodni, ale nie odzyskiwała przytomności.

Przykro mi. Nienawidziłam tych słów. Ileż to razy słyszałam je po śmierci taty. Je suis désolé. Po francusku brzmi to znacznie lepiej, ale przez to jest jeszcze trudniejsze do zniesienia.

– Cóż, muszę wracać do domu – powiedziałam.

Potrzebowałam czasu, żeby to przemyśleć, i nie chciałam załamać się przed nim. Ostatecznie pewna kobieta żyła i nie skończyła marnie w niemieckim obozie koncentracyjnym. Niewątpliwie leżała teraz w łóżku Paula.

Paul spojrzał bezradnie na leżące na ziemi kartofle.

– Tak. Porozmawiamy jutro.

– Miałam na myśli Connecticut – uściśliłam.

– Ale nie możesz teraz wyjechać. To był wstrząs dla nas wszystkich.

– Nie myślę teraz zbyt jasno. Muszę już iść.

Dlaczego nie powstrzymał mnie? Nie błagał, bym została?

– Porozmawiamy jutro i zastanowimy się, co z tym zrobić – powiedział Paul, nadal nie ruszając się z krzesła.

Jakimś cudem dotarłam do samochodu i dojechałam do mieszkania mamy. Tu poddałam się dobrowolnemu aresztowi domowemu, który spędzałam głównie w łóżku w spodniach od piżamy i w koszuli Paula, w której przyjechałam z jego domu. Telefon w kuchni zadzwonił kilka razy, a potem zdjęłam słuchawkę z widełek i tak ją zostawiłam. Usłyszałam tylko: Si vous souhaitez faire un appel, s'il vous plaît raccrochez et réessayez, powtarzane w kółko z nagrania, potem serię krótkich sygnałów, a potem ciszę.

Ktoś kilka razy dziennie dzwonił do drzwi, ale nie otwierałam.

Dni upływały mi na samoumartwianiu – pozwalałam herbacie ostygnąć, a potem piłam ją letnią i ze zbyt dużą ilością mleka – i oddawałam się marzeniom o tym, co mogłoby być. Mógł być piękny ślub. Dziecko.

Czy naprawdę sprzedałam połowę sreber mamy, żeby niańczyć męża innej kobiety? Betty miała rację.

Zmarnowałam swój czas.

Pewnego dnia mama po prostu weszła do mieszkania i zamarła w drzwiach mojej sypialni. Woda z parasolki spływała prosto na dywan.

Mama. Zapomniałam, że miała przyjechać.

– Na zewnątrz leje – powiedziała.

I dobrze, pomyślałam sobie. Przynajmniej wszyscy byli teraz równie

nieszczęśliwi jak ja.

– Na Boga, Caroline, co się dzieje? Jesteś chora? Dlaczego nie odbierasz telefonów?

Może nie byłam Francuzką, ale to nie znaczyło chyba, że nie miałam prawa zaszyć się w łóżku i kisić we własnym nieszczęściu.

– Żona Paula wróciła – powiedziałam.

– Jak to? Z martwych? Jakim cudem? Gdzie przez ten czas była?

– Nie wiem. W jakimś szpitalu.

– Niebawale – powiedziała mama. – Cóż, musisz się pozbierać.

– Nie potrafię – powiedziałam, okrywając się szczelniej kołdrą.

– Zaraz weźmiesz kąpiel, a potem zrobię ci herbaty. Kąpiel pomaga na wszystko.

Z mamą nie sposób było dyskutować. No i miała rację co do kąpeli. Wyszłam z łazienki przebrana w świeżą piżamę i usiadłam przy metalowym stoliku ogrodowym, który stał w kuchni.

– Wiedziałam, że nic z tego nie będzie – powiedziałam. – Szczęście nie jest mi pisane.

Mama przyniosła mi filiżankę do herbaty z torebką Mariage Frères Earl Grey i dzbanek wrzątku.

– Wiedza jest męką^[12]... – Mamo, proszę. Nie cytuj mi teraz Byrona. Wszystko to jest jakąś szaloną fantazją. Jakim cudem mogłam się dać tak ponieść? Powinnam wiedzieć lepiej. A tyle włożyłam w to pracy, żeby coś z tego wyszło.

– To, że ma żonę, nie znaczy jeszcze, że nie możecie być ze sobą – zauważyła mama. Wystarczyło kilka godzin we Francji, żeby jej moralny kompas zwariował.

– Pewnie nie, ale mamo, dlaczego to zawsze musi być takie trudne? Zawsze jest jakiś haczyk.

Zadzwonił dzwonek do drzwi.

Chwyciłam mamę za rękę.

– Nie otwieraj.

Mama i tak poszła otworzyć i w tym momencie pożałowałam, że w ogóle poprosiłam, by przyjechała tu do mnie.

– Ktokolwiek by to był, nie ma mnie! – zawołałam jeszcze.

Mama otworzyła, a mnie doleciał żeński głos. Ktoś przedstawił się jako Rena.

Mój Boże, Rena. Wolałabym kogokolwiek innego.

Mama wróciła do kuchni, prowadząc za sobą Renę, po czym zostawiła nas same. Rena stała w drzwiach w bawełnianej sukience, która

przywarła do niej jak mokre pranie, ukazując krawędź jej obojczyka oraz wgłębienie rozmiarów sporej miski tuż poniżej.

– Przepraszam, Caroline, że pani przeszkadzam – powiedziała głosem zmęczonej pensjonarki. W tej chwili widziałam w niej tylko podkrążone oczy i zapadnięte policzki. – Próbowałam dzwonić. – Jej spojrzenie zawisło na zdjętej z widełek słuchawce.

– Ach – powiedziałam.

Rena przestąpiła z nogi na nogę.

– Paul też chciałby przeprosić. Również próbował się z panią kontaktować... – Proszę, niech pani siada – powiedziałam.

Rena przesunęła palcami za uchem, jakby chciała odgarnąć za nie włosy. Musiał to być stary nawyk, bo teraz nie miała żadnych włosów do odgarniania.

– Nie zajmę pani zbyt wiele czasu. Chciałam tylko powiedzieć, jak bardzo jest mi przykro.

– Przykro? – Zalałam muślinową torebkę wrzątkiem. Zapach pomarańczowej bergamotki sprawił, że nagle zapragnęłam zjeść jedną z bułeczek Serge'a z fiołkami.

– Z powodu tego, jak rozwiązała się cała ta sytuacja.

– Nie ma pani za co przeproszać, Reno.

– Może rzeczywiście usiądę. Ale będę się streszczać.

– Oczywiście – zgodziłam się. – Herbaty?

– Nie, dziękuję. Nadal nie mogę zbyt wiele utrzymać w żołądku.

Powiedziałam Paulowi, że powinien do pani niebawem przyjść i wszystko wyjaśnić... Próbowałam wypić herbatę, ale nie widziałam nawet filiżanki, bo głowa pękała mi z bólu, który zamazywał też wzrok.

– Obawiam się, że Paul nie jest zachwycony z mojego powrotu – powiedziała.

Gdzieś na ulicy śmiały się dzieci, a ich głosy odbijały się echem od budynków. Słysząc było, że chlapią się radośnie w kałużach.

– Pani pewnie wolałaby, żebym jednak była martwa – stwierdziła. – I proszę mi wierzyć, sama nieraz żałowałam, że tak nie jest. Dałabym znać wcześniej, gdybym mogła. Utrzymało mnie przy życiu wyłącznie szczęście.

– Rozumiem.

– Nie. Nie sędzę, żeby pani rozumiała. Bo i jak by pani mogła?

Wyłącznie szczęście sprawiło, że odstąpili od zwykłej procedury. Zabrali nam buty, więc wiedziałyśmy.

– Reno, nie musi pani... – Jechałyśmy pociągiem z Majdanka do, jak

myślałyśmy, podobozu. Pociąg zwolnił gdzieś w Polsce, a nam kazali wysiąść.

Rena zamilkła i wyjrzała przez okno.

– Byłam chora. Chyba na tyfus. Ledwie dałam radę maszerować, gdy popędzili nas przez lasy. Wzdłuż ścieżki wały się banknoty. Ludzie idący tamtędy przed nami wyrzucali je w czasie drogi. Żeby nie dostali ich Niemcy, jak podejrzewam. Ktoś szepnął, że prowadzą nas do pracy, ale wiedziałam.

Poprowadzili nas do szopy, w której kazali się rozebrać.

– Reno, naprawdę nie musi pani mi... – Przepraszam. Czy słuchanie o tym to dla pani zbyt wiele?

Pokręciłam przecząco głową.

– Wszystko stało się tak szybko. Ustawili nas na krawędzi wielkiego dołu... Rena na chwilę straciła wątek i odpłynęła gdzieś myślami. Po chwili znów podjęła temat.

– Gdy dziewczyna obok mnie zobaczyła, co jest pod nami, zaczęła wrzeszczeć. Jej matka wzięła ją w ramiona i je zastrzelili najpierw. Wystrzał rzucił je na mnie i całą trójką ześlizgnęłyśmy się w dół... Znów zamilkła, a ja nie mrugałam nawet, żeby jej nie przerywać.

– Leżałam nieruchomo, a kolejne ciała spadały na mnie. Wkrótce strzały ustały. Domyśliłam się, że zapada noc, bo w prześwitach między trupami widać było coraz mniej światła. Wypełzłam z dołu w ciemności i zaczęłam szukać jakichś ubrań wokół szopy. – Spojrzała na sufit. – Szkoda, że nie może pani zobaczyć gwiazd, jak ja widziałam je tamtej nocy. Świeciły w oszałamiającej ilości. Wyglądało to tak, jakby smuciły się, że nic nie mogą zrobić. Szłam przez las, aż dotarłam do jakiejś zagrody. Ludzie, którzy tam mieszkali, przyjęli mnie pod swój dach. Niemieckie małżeństwo. Ich syn zginął na froncie wschodnim. Najpierw ta kobieta bała się, że ukradnę jej zegarek, naprawdę ładny, prezent od jej syna.

Bo, wie pani, zegarek był cenną walutą. Ale ostatecznie okazali się bardzo mili. Umieścili mnie w dawnym pokoju swojego syna i pielęgowali, jakbym była ich dzieckiem. Karmili mnie ciepłym chlebem i dżemem truskawkowym. A ja odwdzięczyłam się im, przekazując swoją chorobę.

Podaliśmy Renie chusteczkę, a ona otarła nią najpierw jedno oko, potem drugie.

– Pierwszy zmarł on. Potem przyszli Rosjanie. Mówiłam im, że mamy tyfus, ale zarzucili mi pled na twarz i zgwałcili. Zgwałcili też żonę

tego rolnika i zabrali jej zegarek. Zmarła tej samej nocy. Nie pamiętam zbyt wiele, tylko jakieś urywki, a potem już szpital. Rozumie więc pani, że wróciłabym do domu wcześniej, ale... – Bardzo mi przykro z powodu tego, co panią spotkało, Reno. Tylko dlaczego opowiada mi pani to wszystko?

– Wiem, ile znaczy dla pani Paul... – Mówił pani?

– Gdy pierwszy raz wrócił z Nowego Jorku. Wtedy było mi wszystko jedno, ale teraz sprawy wyglądają inaczej.

To było oczywiste. I żadne z nas nie mogło cofnąć czasu.

– Bardzo żałuję, że nie mogę zapewnić pani szczęścia, Caroline. Jednak teraz nie zrezygnuję z Paula.

Kiedyś może, ale teraz to niemożliwe.

Rena przytrzymała się krawędzi stołu. Potrzebowała odpoczynku.

– Powinna pani wrócić do domu, do niego, Reno.

– Tak, ale muszę pani powiedzieć coś jeszcze.

Było coś jeszcze?

– Nie wydaje mi się... – Paul nic nie wie. – Rena przygotowała się, biorąc głęboki wdech.

– Reno, naprawdę... – Paula zabrali pierwszego. Byłam chora. Nie mogłam jeść. Myślałam, że to grypa, ale potem okazało się... byłam... spodziewałam się dziecka.

Świat zatrzymał się na chwilę w bezruchu. Spodziewała się dziecka? Francuzi naprawdę potrafią ubierać pewne sprawy w ładne słówka.

– Była pani w ciąży?

Rena wytrzymała moje spojrzenie i potwierdziła skinieniem głowy.

– Czy to było... – zaczęłam, zanim zdołałam się powstrzymać.

– Jego? – Rena przez dłuższą chwilę spoglądała na własne dłonie. – Wojna robi z ludźmi zabawne rzeczy, obawiam się. Nas przyciągnęła do siebie. Dziecko musiało przeczuwać, co się święci. Pojawiła się na świecie dzień przed tym, jak przyszło po mnie gestapo. W Wielkanoc.

Pojawiła? Paul miał córkę. Uniosłam zgrabiałe palce do ust.

– Zostaliśmy ostrzeżeni, że zbliża się łapanka. Ojciec zabrał gdzieś małą, powiedział, że do zakonu, który dobrze znał. Zaniósł ją w pudełku po butach, taka była malutka.

– Dokąd?

– Nie mam pojęcia. Przyszli po mnie tamtej nocy. Ojciec już nie wrócił.

– Bardzo mi przykro z powodu pani straty, ale... – Zakon został opuszczony w czasie wojny, więc piszę do sierocińców, ale Paul

wspominał... – Naprawdę nie jestem w stanie pani pomóc, jeśli o tym pani mówi.

Wstałam i zniosłam filiżankę do zlewu.

– Rozumiem pani niechęć, Caroline. Sama nie chciałabym mieszać się w coś takiego, gdybym była na pani miejscu. Gdyby jednak zmieniła pani zdanie... – Niebawem wracam do Nowego Jorku – odparłam, opierając się o chłodną, porcelanową krawędź zlewu.

Rena wstała.

– Rozumiem. Dziękuję, że poświęciła mi pani swój czas, Caroline. Odprowadziłam Renę do drzwi i obserwowałam przez okno, jak znika za rogiem z torebką nad głową, by osłonić się przed deszczem.

Myśl o szukaniu dziecka Reny i Paula we francuskich sierocińcach zagnała mnie znów do łóżka. Choć Paul kiedyś utrzymywał coś innego, wyglądało na to, że jednak w jego życiu znalazło się miejsce na dziecko. Dlaczego miałabym angażować się w jej szukanie? Paul raczej nie przejmował się moimi uczuciami. Raz mogłam dać się nabrać, ale uczyłam się szybko. Świat był pełen prywatnych detektywów zajmujących się poszukiwaniem zaginionych. Wielu z nich wywiązałoby się z tego zadania znacznie lepiej niż ja.

Nim zapadł zmrok, podjęłam decyzję. Paul i Rena musieli radzić sobie sami.

Rozdział 30
Caroline
1945

Następnego ranka obudziłam się głodna, za pokarm mając jedynie poczucie żalu. Zaskakiwało mnie, jak łatwo można było wykoleić moje życie. Francuzi mieli na to doskonałe określenie: *dépaysement* – dezorientacja, jaką czuje się, gdy okoliczności narzucają człowiekowi diametralne zmiany. Mama rzuciła się w wir pracy i odkurzenia, ale zaczęła robić wszystko naraz, więc mieszkanie wyglądało gorzej niż wcześniej: okna naszykowane do mycia, przewód telefoniczny niemiłosiernie splątany. Mama uznała, że w zaistniałej sytuacji najlepiej będzie wmusić we mnie kilka jajek, jakbym była *gęsim foie gras*.

W połowie jej *oeufs pochés* opisałam jej swoją sytuację.

– Słyszałaś moją małą pogawędkę z Reną?

– Tylko fragmenty. Wydaje się sympatyczną osobą.

– Tak przypuszczam. Ale ona nie ma zamiaru zrezygnować z Paula.

– Ot ambaras.

– Raczej nie. Bo to dość oczywiste, że i on nadal ją kocha.

Mama wbiła kolejne jajko do wrzątku.

– Nie możesz mieć pewności. Nie odbierasz telefonów, a Paul, biedaczek, tkwił wczoraj pod drzwiami przez pół nocy.

– Co najwyżej pięć minut, mamo. Nie przesadzaj.

– To naprawdę przykra sprawa. W innych okolicznościach ty i Rena pewnie byście się zaprzyjaźniły.

– Mam wystarczająco dużo przyjaciół, mamo, dziękuję.

– Kochanie, nie możesz po prostu tego wszystkiego zignorować.

– Nigdy nie będę mieć swojego dziecka.

– Ale to nie daje ci prawa do porzucenia ich maleństwa w potrzebie.

Nie obejrzysz się, a będziesz... – Podsumowując, mamo, uważasz, że powinnam odszukać tę małą.

Mama wrzuciła mi kolejne gotowe jajko do miseczki.

– Tak postąpiłby każdy dobry chrześcijanin.

– Nie czuję się dziś w pełni swoich chrześcijańskich sił.

– Ochlap twarz odrobiną zimnej wody, to ci pomoże.

Dlaczego mama uważała, że nieco zimnej wody może rozwiązać

każdy problem? Jeden dzień z nią w tym samym mieszkaniu wydawał mi się wiecznością. I miałam w tych warunkach przetrwać tydzień?

A lada dzień jej paryscy przyjaciele zaczną wpadać w odwiedziny. Czy naprawdę nie było sposobu, by uciec przed ich pełnymi politowaniami spojrzeniami?

W końcu przestałam się nad sobą rozczulać i postanowiłam ruszyć na poszukiwania tego dziecka, choćby po to, żeby mieć całą tę sprawę wreszcie za sobą. I uciec z mieszkania, bo mama planowała złożenie hołdu T.S. Eliotowi, imprezę, której motywem przewodnim miały być Paryskie lata, a zaproszeni goście zostali poinformowani, by przybyć w strojach z epoki. Wśród zaproszonych niewątpliwie byli niektórzy z przyjaciół mamy płci męskiej. Choć sama nie dawała rady wytrzymać dłużej w towarzystwie choćby jednego wielbiciela, w zaledwie kilka tygodni od przybycia do Paryża mamę otaczał już cały ich wianuszek, głównie starszych Francuzów w nieodzownych beretach i osiadłych tu na stałe Amerykanów.

Przesiadali w naszym salonie, popijając herbatę, podziwiając mamę, która po prostu była sobą, i delektując się możliwością pozostawania na jej orbicie.

Odnalezienie dziecka, którego imienia się nie znało, w powojennej Francji nie było wcale łatwe.

W końcu, po wielu daremnych próbach, dotarłam do Orphelinat Saint-Philippe w Meudon. Był to jeden z sierocińców, do których wysyłałam za pośrednictwem konsulatu paczki, a obecnie jeden z wielu przystanków w niekończącej się wędrówce dzieci rozrzuconych po całym kraju przez wojenną zawieruchę, odbieranych z przeróżnych kryjówek, internatów i walących się zamków, szczególnie na południu Francji. Sierociniec znajdował się na południowy zachód od Paryża, w starej kamiennej posiadłości z własnym kościołem zbudowanym w stylu romańskim. Ustawiony na wysokim wzgórzu, z dachem skrytym tego dnia w chmurach, mógł z powodzeniem rywalizować o palmę pierwszeństwa z Olimpem.

Przebiegłam przez dziedziniec w ciepłym deszczu, bo oczywiście zapomniałam parasolki, a potem szybko wspięłam się po porośniętych mchem schodach. Starłam się nie myśleć o tym, co będzie musiało się stać, gdybym znalazła to dziecko. Byłby to nieodzowny koniec naszego związku, mimo wszystkiego, co łączyło mnie kiedyś z Paulem. Najwyraźniej nadal kochał Renę. Przynajmniej na tyle, by być ojcem jej dziecka.

W biurze sierocińca było mnóstwo osób przybyłych tu w tym samym celu co ja. Ci, którzy okazali się na tyle przewidujący, by zabrać parasole, trzymali je teraz przy boku, niczym wielkie, zmokłe nietoperze, bo nikt nie zadbał o wystawienie odpowiedniego stojaka przy drzwiach. Na biurku telefon dzwonił jak wściekły, w kątach pomieszczenia wały się kartony. Stosy białych pieluch piętrzyły się na blacie, jak wielowarstwowe ciastka mille-feuille, a obok leżał kopczyk agrafek.

Tłum rozstąpił się, by przepuścić jakiegoś mężczyznę niosącego płaczące niemowlę zawinięte w becik.

Mężczyzna dotarł jakoś do biurka i wyciągnął niemowlę tak, jakby niósł tykającą bombę.

– Jedna babcia po prostu mi to wręczyła.

Zarządzająca zza biurka tym przybytkiem kobieta wzięła od niego dziecko. Jej twarz przypominała głowę drapieżnego ptaka. Kobieta ubrana była całkiem na czarno z wyjątkiem wspaniałego kołnierza zdobiącego jej suknię, który wyglądał jak koronki z czasów królowej Anny. Położyła zawiniątko na biurku i odwinęła maleństwo z warstw płótna. Uniosła w górę podkrążone fioletowe oczy.

– To jest chłopczyk. Przyjmujemy wyłącznie dziewczynki.

Ale mężczyzna był już w drodze do drzwi.

– Guillaume! – zawołała, zawijając jednocześnie dziecko w becik szybciej, niż pracownik delikatesów owijał kanapkę w papier, a jakiś inny mężczyzna pojawił się znikąd, chwycił dziecko i już go nie było.

Jakaś młoda kobieta podeszła do biurka.

– Madame... Madame uniosła palec, nie podnosząc nawet wzroku znad papierów.

– Proszę czekać na swoją kolej. Dzieci właśnie jedzą obiad. Nikt nie zobaczy ich przed trzecią.

Krople wody z przeciekającego sufitu spadły na rozłożoną na biurku suszkę, pozostawiając na niej rosnące w szybkim tempie ciemnozielone ameby plam.

– Proszę mi wybaczyć, madame – powiedziałam. – Szukam pewnego dziecka.

Zerknęła na listę przypiętą do schowka na papiery.

– Proszę wypełnić formularz – powiedziała.

Nachyliłam się nad biurkiem.

– To szczególny przypadek.

– Dziś mój piąty – stwierdziła cierpko.

– Nazywam się Caroline Ferriday. Współpracowałam z madame

Bertillion. Wysyłałam paczki z pomocą dla dzieci. Z francuskiego konsulatu w Nowym Jorku.

Kobieta spojrzała w górę, przechyliła głowę w bok.

– To pani wysyłała te paczki? Dzieci są zachwycone ubrankami.

Doskonała robota.

– Ovaltine też wysyłałam. – Wskazałam pusty karton.

– Dziękuję, mademoiselle, ale to sprzedaliśmy niemal za bezcen.

Niestety, dzieci skarżyły się, że smakuje paskudnie, i nie chciały tego pić. Potrzebujemy pieniędzy, panno Ferriday, nie ovaltine.

Wzięłam z biurka metalową puszkę, wyrzuciłam do kosza zwiędłe tulipany, które w niej stały, i ustawiłam ją tak, by łąpała kapiącą wodę.

– Wiem, że jest pani strasznie zajęta, madame, ale szukam pewnego dziecka.

Madame zmierzyła mnie wzrokiem.

– Pani dziecka?

– Nie. Rodzice zostali wywiezieni i dopiero wracają do siebie.

– Przykro mi, ale mogę oddać dziecko wyłącznie rodzicom lub krewnym. Będzie pani potrzebować dwóch formularzy identyfikacyjnych.

– Staram się po prostu je odnaleźć. Po odbiór przyjadą rodzice.

– Proszę za mną – powiedziała madame.

Chwyciła notatnik i przerażająco wysoką wieżę ze wstawionych jedna w drugą cynowych misek, a ja poszłam za nią po szerokich kamiennych schodach. Gdy szłyśmy, madame rozstawiała miski to tu, to tam, wszędzie, gdzie woda kapiała smętnie z dachu.

– Czy mogłabym prosić o spotkanie z madame Bertillion? – spytałam.

– Ja jestem madame Bertillion.

Jak to możliwe?

– A pisała pani takie piękne listy – powiedziałam.

– Niektórzy ludzie lepiej wypadają na papierze – powiedziała madame, wzruszając beznamiętnie ramionami. Czy w ogóle spała poprzedniej nocy? – Jak dziecko ma na imię?

– Tego, madame, nie jestem pewna. Działano wtedy w wielkim pośpiechu. Matka została wywieziona tuż po porodzie.

– Kiedy to było?

– Pierwszego kwietnia czterdziestego pierwszego. W Niedzielę Wielkanocną.

– Niemcy wywozili nawet w Wielkanoc? Aż dziw bierze, że ci dobrzy ludzie nie byli wtedy w kościele.

– Może pani sprawdzić swoje akta?

– To są moje akta, mademoiselle. – Uniosła notatnik z powpinanymi w niego kartkami w liczbie, jakiej nie powstydzilaby się książka telefoniczna. Całość była mocno poszarpana, pokreślona i poznaczona tu i ówdzie bordowymi okrągłymi śladami po winie. – Przywozi się do nas dzieci z całej Europy. Ma pani przed sobą nie lada wyzwanie.

Weszliśmy do wysokiej sali wypełnionej łóżeczkami, na których leżały poduszki i koce złożone w kostkę w stopach posłań.

– Jak pani identyfikuje te dzieci? – zapytałam.

– Każde ma przypisany numer. Numer ten jest wypisany na małej, okrągłej tabliczce, którą dziecko nosi na piersi. Niektóre dzieci miały imiona. Inne nie. – Madame opadła na krzesło. – Gdy matki przywoziły tu dzieci w czasie wojny, czasami podawały ich nazwiska, przypinały je na kartce papieru do ubranka dziecka, ale większość tych kartek odpadła albo rozmazała się w deszczu. Niektóre zaszywały jakieś drobiazgi, które pozwoliłyby potem rozpoznać dziecko po ubrankach, lecz dzieci zamieniały się rzeczami, przez co i imiona przechodziły z jednych na drugie. No i nawet teraz zdarza się, że przywożą nam dzieci bez imion.

– Ale przecież niektóre z nich muszą pamiętać, jak się nazywały.

– Może te starsze, lecz te zazwyczaj milczą. Mają za sobą naprawdę straszne doświadczenia.

A niemowlę nie zna swojego imienia, prawda? Dlatego sami je nazywamy. Najczęściej według miesięcy, w których przyszły na świat, jeśli je znają. Znajdzie tu pani niejedną Mai czy Juin... Albo na cześć patronek miesiąca urodzenia czy po naszych krewnych, przyjaciółach... nawet po zwierzętach.

– Nie może pani przynajmniej sprawdzić, które z dzieci przywieziono w tym dniu? – spytałam.

– Nie notujemy takich szczegółów. Dzieci przywożone są ze wszystkich stron. Z bezpiecznych kryjówek. Szkół z internatem. Przez rolników, którzy znajdowali je śpiące w stogach siana. Niektóre zostały tu przyprowadzone przez jedynych rodziców, jakich znały, tylko po to, by dowiedzieć się, że nie są tym, za kogo uważały się przez całe swoje krótkie życie.

– Musi pani być dosłownie obleżona przez rodziców chcących odzyskać dzieci.

– Jest ich trochę, ale większość z tych dzieci nigdy nie znajdzie domów. Czasami rodzice nie żyją.

Czasami ich nie chcą.

– Chyba nie ma na świecie człowieka, który nie chciałby odzyskać własnego dziecka.

– Naprawdę tak pani myśli, mademoiselle? Na jakiej podstawie? Przynajmniej czwarta część tych dzieci to mieszańce. Niemiecki ojciec, francuska matka. Szkopskie dzieci, tak na nie mówią. Tych nikt nie będzie chciał. Inne rodziły się w ramach programu Lebensborn, w fabrykach dzieci, hitlerowskich fabrykach. Rasowo czyste matki rodziły tam anonimowo nieślubne dzieci esesmanów.

– Przecież takie domy były wyłącznie w Niemczech... – Nie, mademoiselle. We Francji był przynajmniej jeden działający intensywnie. Wiadomo też, że Niemcy zakładali je w Danii, Belgii i Holandii. W Norwegii było ich całkiem sporo. Te dzieci są wyklęte. A kto wie, ile z tych małych, jasnowłosych ślicznotek zostało odebranych matkom. W samej Polsce należy je liczyć w setkach tysięcy. Miały być wychowane na Niemki. O ich rodzicach nie wiemy nic.

– Sama sprawdzę listę, madame, jeśli to oszczędzi pani kłopotu.

Madame Bertillion zatrzymała się w pół kroku i odwróciła w moją stronę.

– Widzę, że jest pani przyzwyczajona do stawiania na swoim. – Uniosła metalowe miski i wręczyła mi je. Wysoki, zimny stos oparł mi się o pierś, sięgając niemal brody. – Niech pani rozda im to, tylko jedną na dziecko, a proszą pamiętać, że będą próbowały dostać dwie. Ja w tym czasie sprawdzę listę, mademoiselle. Poślę po panią, jeśli coś znajdę. Nie robię tego, aby pani pomóc, bo przyjechała pani z konsulatu, ale dlatego, że jestem na nogach od piątej rano.

– Dziękuję, madame. Gdzie mam rozdawać miski?

– Tam, oczywiście – powiedziała, wskazując dłonią w kierunku drzwi.

– A co zrobić z tymi, które zostaną? – Byłam przekonana, że misek było za dużo.

– Żadne nie zostaną – powiedziała madame i zabrała się do studiowania listy.

Pchnęłam drzwi prowadzące do ogromnej, wyłożonej dębową boazerią sali. Pewnie niegdyś urządzano tu tańce i wydawano przyjęcia. Sufit piął się w górę na kilkadziesiąt metrów, dzięki malowidłu trompe l'oeil dającym ułudę, że nad głowami rozpościera się nam piękne, letnie niebo, co tego dnia przyjęłam z wyjątkową radością. Wewnątrz stało przynajmniej pięćdziesiąt długich stołów, przy których siedziały dziewczynki – od całkiem malutkich po nastolatki – usadzone według

wieku. Czekały spokojnie na ławkach z dłońmi złożonymi na kolanach, każda z nich cichutka jak myszka. Za nimi stało sześć kobiet w białych fartuchach, gotowych zacząć rozlewać parującą zupę z wielkich kotłów, gdy tylko rozdram dzieciom miski.

Kiedy podeszłam, wszystkie oczy były zwrócone na mnie i moje miski. Stałam przez chwilę, przytłoczona, a potem wzięłam się w garść. Te dzieci były głodne.

Postawiłam miskę przed pierwszym dzieckiem.

– Merci, madame – powiedziało dziecko.

I przed następnym.

– Merci, madame.

Szukałam w ich twarzach śladów podobieństwa do Reny i Paula, ale szybko przekonałam się, że to zadanie ponad moje siły. Skąd w ogóle mogłam mieć pewność, że dziecko jest podobne do któregoś z nich? I że jeszcze żyje?

Szybko opanowałam sztukę rozdawania misek i zaczęłam szukać sposobu dogadania się z nastolatkami.

Na krańcu jednego ze stołów siedziała dziewczynka, nie więcej niż trzynastoletnia, z małym dzieckiem na kolanach. Mała miała na sobie kaftanik z błękitnego aksamitu z doskonale przyszytymi guzikami z macicy perłowej. Niewątpliwie dzieło rąk mamy. Cieszyłaby się na ten widok.

– Doskonale się nią zajmujesz – pochwaliłam dziewczynkę.

– Nie potrzebujemy osobnych misek, mademoiselle. Zawsze korzystamy z jednej.

Mała na kolanach wpatrywała się we mnie niczym astronom w spadającą gwiazdę, gdy poszłam dalej wzdłuż ławy, rozdając resztę misek.

Nie czekałam długo. Niebawem zobaczyłam zbliżającą się madame.

– Ma pani szczęście, mademoiselle – umilkła, aby złapać oddech.

Uniosła odruchowo dłoń do koronkowego kołnierzyka. – Tego dnia przywieziono kilkoro dzieci, a wiek jednej z dziewczynek też się zgadza.

Poszłam za nią w kierunku stołu, przy którym siedziały czterolatki. Jedynym dochodzącym od niego dźwiękiem było szuranie metalowych łyżek o cynowe miski. Idąc za madame, miałam wrażenie, że dźwięki nagle stają się wyraźniejsze, a kolory ostrzejsze. Czyżbym trafiła na dziecko Paula? Odnalezienie małej dla jej rodziców byłoby najszcześniejszym wydarzeniem świata. Dla mnie wręcz przeciwnie.

– Dziecko urodzone pierwszego kwietnia czterdziestego pierwszego powinno trafić do grupy naszych czterolatek – powiedziała madame,

sprawdzając jednocześnie tabliczkę dziecka. – Gdy upewniła się, że ma właściwą osobkę, zaprezentowała mi ją z dumą. – A oto i Bernadette.

Mała miała jasne włoski, niemal przezroczystą skórę i była drobniutka jak wróbelek. Spojrzała na mnie nieśmiało.

– Nie jestem pewna – powiedziałam. – Trudno cokolwiek stwierdzić z absolutną pewnością, ale nie wydaje mi się, żeby to była ona.

– Nic więcej nie mogę dla pani zrobić – stwierdziła madame. – Będę zwracać uwagę na tę datę. Proszę powiedzieć rodzicom, żeby tu przyjechali, gdy poczują się lepiej.

Zostałam w sali, by pomóc wydać tego dnia resztę obiadu. Razem z madame rozlewałyśmy do misek aromatyczną zupę cebulową, pełną marchwi i rzepy, i wręczałyśmy każdemu dziecku z kawałkiem chleba.

Wszystkie odpowiadały jedynie „merci, madame”, ale była to aż nadto wystarczająca nagroda. Gdy nad nami rozległ się dźwięk silnika samolotu, niektóre z dziewczynek ukryły się pod stołami, myśląc, że niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło. Wiele z nich miało na stopach klapki zrobione z drewnianych deszczulek obwiązanych sznurkiem. Zapamiętałam sobie, żeby przysłać buty. I pieniądze.

Nie omieszkłam przyjrzeć się każdej twarzyczce w odpowiednim wieku. Gdy kończyłyśmy z madame odstawiać na tacę puste miski, podeszła do nas jakaś nastolatka, by oddać także swoją. Moją uwagę przykuła dziewczynka, którą starsza trzymała w ramionach.

– Madame, mogę panią prosić? – zapytałam.

Odstawiłam tacę na stół.

– Czy mogłaby pani sprawdzić numer tej małej?

Madame odczytała dane z plakietki i zerknęła do swojego notatnika.

Nie mogłam oderwać wzroku od tej dziewczynki. Miała ciemne włosy i migdałowe oczy Paula oraz jego koralowe usta, ale wszystko inne w niej przypominało mi Renę. Skóra barwy miedzi, kształt nosa, a nawet wystające spod czuprynki uszy.

– Nie wiemy, kiedy przywieziono tę małą – stwierdziła wreszcie. – Bardzo mi przykro.

– To jest to dziecko, madame. Jestem pewna.

– Nazywa się Pascaline – powiedziała starsza dziewczynka.

Madame Bertillion wciągnęła gwałtownie powietrze.

– Co się stało? – zapytałam.

– Z żalem przyznaję, panno Ferriday, że intuicja raczej pani nie zawodzi – powiedziała madame, niemal się przy tym uśmiechając.

– Nie rozumiem? – zapytałam. Miałam wrażenie, że ściany zamykają

się nade mną.

– Mała ma na imię Pascaline – odparła madame takim tonem, jakbym przeoczyła coś oczywistego.

– I cóż z tego, na litość boską?

– Każdy porządny francuski katolik powiedziałby pani, że Pascaline oznacza „urodzona w Wielkanoc”.

Rozdział 31

Kasia

1945

Latem tamtego roku, gdy wróciłyśmy z Zuzanną do domu, do Lublina, bardzo starałam się zachować pozytywne nastawienie, ale nie szło mi to łatwo. Kiedy dowiedziałam się, co działo się przez te cztery lata, które spędziłyśmy w Ravensbrück, nie mogłam zrozumieć, dlaczego świat nie przyszedł nam z pomocą – najpierw podczas najazdu Niemiec w 1939 roku z zachodu, potem podczas sowieckiej napaści od wschodu jeszcze tego samego miesiąca. Choć działania na froncie zmusiły Anglię i Francję do wypowiedzenia wojny Niemcom, żaden z tych krajów nie przysłał nam na pomoc ani jednego żołnierza.

Pierwsze doniesienia o Oświęcimiu wysyłane na Zachód przez polskie podziemie, co wiązało się przecież z ogromnym ryzykiem, także pozostały bez odpowiedzi. To samo spotkało raporty o tysiącach polskich oficerów zamordowanych w lasach koło Katynia, wśród których przypuszczalnie był też ojciec Piotrka. Świat zignorował je wszystkie.

Kiedy więc ten sam świat radował się na wieść o japońskiej kapitulacji i ostatecznym zakończeniu wojny, ja nie potrafiłam się tym cieszyć. Dla nas wojna się nie skończyła, zmienił się tylko dyktator.

Teraz musieliśmy walczyć ze Stalinem. Choć nie od razu to odczuliśmy, Stalin trzymał już nas w garści.

Armia Czerwona i NKWD, stalinowski aparat ucisku, przeprowadzały już aresztowania. Wielu przywódców polskiego podziemia, w tym kilku przyjaciół Piotrka, zniknęło i ostatecznie zostało zamordowanych. Uprzejmi panowie z NKWD byli odpowiedzialni za tropienie tak zwanych wrogów ludu. I za egzekucje przeprowadzone na dziesiątkach tysięcy polskich więźniów politycznych oraz wysłanie kolejnych tysięcy do gułagów. Koniec wojny nie oznaczał dla Polski nowego początku, ale nową formę niewoli.

W rezultacie musieliśmy uważać na każdy swój krok i ciągle sprawdzać, co dzieje się za naszymi plecami. Po powrocie niemal natychmiast poszłam do naszej starej kryjówki, w której przed wojną zostawiałyśmy sobie z Nadią książki. Nie była niczym szczególnym, ot, miejscem, w którym dwie nastolatki mogły czasami bawić się w

detektywów. Poszłam na ulicę, przy której niegdyś mieszkała Nadia, i odkryłam, że nasz mur nadal stoi. Kruszył się wprawdzie na górze, ale ciągle trzymał się mocno!

Czy książka, o której mówiła Nadia, nadal leżała w skrytce?

Wysunęłam odpowiedni kamień, namacałam książkę i wyciągnęłam ją. Żółta okładka była mocno zakurzona. Miałam w ręku Szatana z siódmej klasy Makuszyńskiego, naszą ulubioną lekturę.

Wymieniałyśmy się nią tyle razy! Jakim cudem Nadia dała radę ją tu zostawić, gdy zaczęła się już ukrywać? Rozejrzałam się, czy nikt mnie nie śledził, usiadłam, opierając się o ścianę, i wzięłam książkę do rąk. Stęchły zapach okładki kazał mi uciec pamięcią do dawnych dni, kiedy życie było prostsze, a martwiłyśmy się co najwyżej o złe oceny w szkole czy bolący ząb.

Książka otworzyła się sama na rozdziale piątym i zobaczyłam, co skryła w niej dla mnie Nadia – wszystkie dziesięć biletów na tańce z Piotrkim, które wtedy kupiła, były dla mnie. Tamtego dnia przy ścianie byłam zbyt zła, by płakać, bo nagle uświadomiłam sobie, że odebrano nam młodość. Wtedy chciałyśmy tylko umawiać się z chłopcami na tańce i czytać powieści detektywistyczne. Tymczasem nadal nie było nic wiadomo o Nadii, być może już nie żyła. Wszystko, co mi po niej zostało, to książka i zakopane w ogrodzie zdjęcie.

Do domu dotarłam dopiero późnym popołudniem, lecz od razu zaproponowałam, żeby odkopać zdjęcie Nadii i pozostałe skarby, które ukryliśmy w ogrodzie na początku wojny.

– Może innym razem? – zasugerowała Zuzanna. Stojąc tam, na podwórku, z załamanymi rękoma, zupełnie nie przypominała dawnej siebie. – Może gdy trochę się z tym wszystkim oswoimy? To może być dla nas duże przeżycie... – Nie bądź taka lękliwa – powiedziałam. – Dlaczego jedyne cenne rzeczy, jakie mamy, miałyby zostać w ziemi?

Tata zgodził się ze mną i natychmiast ruszył po schodach w dół, uciszając jednocześnie Zuzannę.

Dziesięć, jedenaście, dwanaście.

Czy metalowe puszkę mogły przechować bezpiecznie nasze skarby przez tak długi czas?

Tata stał tam przez dobrą minutę z opuszczonymi rękoma i łopatą w dłoni. Czyżby płakał? Potem nagle ożywił się, wbił łopatę w dobrze udeptaną ziemię i zaczął kopać tak, jakby jego życie zależało od tego, co kryło się w głębi.

Nie musiałyśmy czekać długo. Po chwili szpadel uderzył w

metalową pokrywą. Całą trójką rzuciliśmy się do wygarniania piachu z dołu, a potem pomogliśmy tacie wyciągnąć to, co ukryliśmy tam tyle lat wcześniej. Usiedliśmy zdyszani na ziemi, wpatrując się w puszkę. Zuzanna zaczęła płakać nad wykopaną dziurą. Tęskniła za mamą? Jakaś część mnie cieszyła się na widok tych łez, bo Zuzanna tak rzadko okazywała smutek.

Potem tata wyciągnął pierwszą z zabezpieczonych pokrywą puszek. Otworzył ją, a zamknięte w środku powietrze wyleciało na zewnątrz z sykiem. Zamknął ją od razu, ale wcześniej zdążyłam zobaczyć jego stary srebrny rewolwer. To ile miał teraz sztuk broni?

Obok leżała puszkę z prosem, które wciąż było zaskakująco suche, może nawet nadawało się do jedzenia. Wreszcie zaczęliśmy otwierać pozostałe puszkę. Tata podał mi jedną, zaczęłam więc odrapywać ją z wosku. Wyciągnęłam z niej szalik, rozwinęłam, powąchałam... nadal był w nim zapach Piotra! W następnej puszkę znalazłam zdjęcie, na którym jechaliśmy z Nadią na krowie. Nawet mój harcerski mundur i piękna sztruksowa sukienka w kolorze żywej czerwieni, którą mama uszyła mi, gdy miałam szesnaście lat, były jak nowe. Włożyłam ją natychmiast, na bluzkę i spódnicę, a i tak wisiała na mnie jak na wieszaku. Nadal byłam stanowczo za chuda. Nie płakałam, tak bardzo cieszyłam się z odzyskania swoich skarbów.

Na końcu otworzyłam puszkę po herbatnikach. Złamałam woskową pieczęć i uniosłam pokrywkę.

Wydobyłam na wierzch sobolowe pędzle mamy. Wyglądały jak nowe w porządnym flanelowym futerale.

Dopiero wtedy zalała mnie fala smutku. Mamy nie było i już nigdy do nas nie wróci. Już nigdy nie użyje tych pędzli. To wszystko przeze mnie. Zasłużyłam na śmierć. Zabiłam własną matkę. Tata i Zuzanna objęły mnie mocno i tak kucaliśmy nad dołem w ziemi, zalewając się łzami.

Przez cały ten czas nie traciłam nadziei, że Nadia i Piotrek wrócą do Lublina. Każdego ranka sprawdzałam listę wywiezionych, którzy wrócili do domu, wywieszoną na korkowej tablicy w Centrum Repatriacji prowadzonym w Lublinie przez Czerwony Krzyż. Pewnego naprawdę pięknego dnia późnym latem podeszłam tam jak zawsze, żeby poznać nowe nazwiska na liście. Pracownicy byli uprzejmi, lecz po pewnym czasie musieli mieć już dość mojego codziennego kuśtykania i wypytywania w kółko o to samo. Ból nogi sprawiał, że chodziłam naprawdę wolno, co dawało wszystkim mnóstwo czasu, by się przede mną ukryć. Gdy tylko się zbliżałam, zaraz gdzieś znikali lub zakopywali się w papierach. Jeśli w ogóle udzielali mi odpowiedzi, robili to wyjątkowo

oschle.

– Nie. Ani Piotra Bąkowskiego, ani Nadii Wątrobianki! – wykrzykiwała na mój widok co rano siedząca za kontuarem dziewczyna, zanim zdążyłam się odezwać.

Potem poszłam na pocztę, żeby sprawdzić listę, którą wywieszał tam tata. Pod koniec lata listy, które początkowo składały się z wielu kartek, skurczyły się do jednej smutnej strony wywieszanej na tablicy.

Przesuwałam palcem po nazwiskach, najpierw tych na literę W, potem tych na B. Badowski, Bagiński, Bajorek, Bakałarz, Bał, Balcer. Miło było odczytywać nazwiska tych nielicznych szczęśliwców, którzy wrócili do domów, i często zdarzało mi się dojechać na sam koniec listy, zanim uświadamiałam sobie, że Piotrek Bąkowskiego na niej nie znalazłam.

Tata wyszedł z biura, zobaczył mnie pod tablicą i gestem przywołał do siebie.

– Kasiu, kochanie, czy możesz przyjść do mnie na chwilę, dobrze? Skąd nagle ten oficjalny ton?

Weszłam do gabinetu, który znałam przecież tak dobrze. Wszystko było tu po staremu – wysoki, zdobiony metalowymi kasetonami sufit, szerokie dębowe biurko taty zawsze zarzucone paczkami, które lada dzień miały do kogoś trafić. Ale czegoś tu brakowało i chwilę zajęło mi, nim uświadomiłam sobie, co zniknęło.

– Tato, gdzie jest flaga?

Polska flaga była jedną z pierwszych rzeczy, które tata umieścił z powrotem w swoim gabinecie, gdy Niemcy opuścili Lublin, zresztą ku niemałemu zadowoleniu wszystkich stałych bywalców poczty. Czyżby nowe władze kazały ją usunąć? Szedł im na rękę, nie miałam co do tego wątpliwości.

Tata podszedł do okna i zaciągnął story.

– Nie mamy zbyt wiele czasu, ale muszę powiedzieć ci, czego się ostatnio dowiedziałem. Tylko nie przejmuj się nadto. Coś na to poradzimy.

Zawsze gdy ktoś mówił mi: „Nie przejmuj się”, miałam poważny kłopot, by słuchać go dalej uważnie, bo ogarniała mnie panika.

– O czym ty mówisz, tato? – Ostatni raz widziałam go tak przerażonego tamtej nocy, gdy zakopywaliśmy z mamą w ogrodzie nasze prywatne skarby.

Mama. Każda myśl o niej sprawiała mi ból.

– Doszły mnie słuchy o was, dziewczęta. O tych, które wróciły z Ravensbrück.

- Kto ci to mówił?
- Kasiu, to poważna sprawa. Mówią, że nie można ci ufać.
- Nie wierz we wszystko... – Ani Zuzannie.

Ta wiadomość naprawdę mnie przeraziła.

- Kto tak mówi?
- Władze... – Kto? NKWD? Niech ja tylko z nimi porozmawiam.
- Kasiu, nie traktuj tego tak lekko.
- „Nie można im ufać”? Co to w ogóle ma znaczyć?
- Uważają, że skoro byliście w Ravensbrück, w obozie w

Niemczech, to współpracowaliście z Niemcami. Że jesteście skazane faszyzmem.

- To niedorzeczne.

– Podobno widziano, jak robisz coś podejznanego. Masz jakąś tajną skrytkę?

– Chodzi o mur przy domu Nadii? Tato, przecież to dziecięce zabawy... – Musisz z tym skończyć. Jesteś pod obserwacją.

– Jak można być takim i... – Chcesz, żeby znów cię zabrali? Tym razem na dobre? Zniszczcie z Zuzanną wszystkie dowody waszego pobytu w tamtym miejscu... – Ty to mówisz poważnie?

- Mundur harcerski. Listy, które do mnie pisałyście.

– Ale gdyby je przeczytali, przekonaliby się... – Kasiu, im niełatwo przemówić do rozsądku. Idź już. Natychmiast.

Rozпалиłyśmy z Zuzanną ognisko na podwórku, jak to było w zwyczaju, gdy ktoś chciał się pozbyć śmieci. Spaliłyśmy w nim te kilka rzeczy, które przywiozłyśmy ze sobą z obozu. W ogień poszły torby wykonane z pasiaków. Reginy podręcznik do angielskiego. Mój mundur harcerski.

Gdy nadeszła kolej na listy pisane moczem, zawahałam się. Tata trzymał je w szufladzie w kuchni zebrane w zgrabny stos. To one doniosły światu o naszej niedoli.

– Nie dam rady ich spalić – powiedziałam, zaciskając rękę na kopertach.

– Podałaś w nich nazwiska wszystkich dziewczyn – zauważyła Zuzanna. – Mamy obowiązek je chronić.

Co znaczy przy tym kilka starych listów?

Nadal się wahałam.

Zuzanna wzięła pierwszy z brzegu i podała mi go.

– Masz – powiedziała, wrzucając resztę do ognia. Przynajmniej jeden pozwoliła mi zostawić.

Ogień pochłaniał kolejne rzeczy, a nad ogniskiem zaczęły fruwać płatki popiołu zupełnie jak te z kominów w Ravensbrück. Gdy skończyłyśmy, nie zostało nam już niemal nic na dowód tamtych obozowych dni.

Ale czy tak naprawdę były one komukolwiek potrzebne, powiedziałyśmy sobie. Pamiątki z koszmaru.

Tylko dlaczego mrok w mojej piersi znowu od tego nabrzmiał? Byłam patriotką. I przysięgałam służyć krajowi. Polsce oddałam młodość, mamę, pierwszą miłość i najukochańszą przyjaciółkę. I za to oskarżano mnie o współpracę z wrogiem?

Starłam się skupić na pozytywach. Brakowało żywności, a powracający do Lublina czuli się mocno zagubieni. Mimo to potrafilismy cieszyć się z każdej stawianej na nogi i ponownie otwieranej fabryki.

Uczelnie nadal nie funkcjonowały, za to Czerwony Krzyż zorganizował w szpitalu podstawowe kursy z pielęgniarstwa.

Pewnego ranka pod koniec lata udałam się tam w nadziei, że przyjmą mnie do klasy pielęgniarskiej.

Weszłam do tylnego skrzydła szpitala, ciesząc się, że budynek przetrwał naloty w stanie prawie nienaruszonym. Olbrzymi oddział na drugim piętrze wypełniony był rzędami łóżek polowych, z których połowę zajmowali rosyjscy żołnierze, a połowę Polacy przywiezieni z obozów i innych miejsc.

Pielęgniarki i lekarze służący w rosyjskiej armii przynosili rannych na noszach, prezentując nam różne obrażenia, jakich może doznać człowiek.

– Niedługo jedziemy do Warszawy – powiedziała Karolina Uzniecka, jedna z moich ulubionych pielęgniarek, gdy skończyła ścielić łóżko. – Szpital przejmuje armia – dodała, napełniając miskę ciepłą wodą.

– Będę za wami tęsknić – powiedziałam, choć przecież chciałam powiedzieć coś zupełnie innego: „Zostań, proszę. Bo kto zajmie się Piotrkim, gdy w końcu wróci do domu?”. Odchodzili, a to znaczyło, że nie wierzą, by ktokolwiek jeszcze miał wrócić.

– To może krótki kurs mycia rannego na łóżku? – zaproponowała.

– O tak, chętnie – przystałam na to.

Co za okazja! Wiedziałam, że mycie rannych było bardziej skomplikowane, niż mogło się to wydawać.

– Zacznijmy tu – wskazała Karolina.

Zaniosła miskę z wodą i stos ręczników do rzędu łóżek, w których leżeli szczególnie ciężko ranni.

Najtrudniej było radzić sobie z obrażeniami twarzy. Nie bez powodu pozdejmowano wcześniej lustra w łazienkach. Zmusiłam się, by spojrzeć. Pielęgniarka musiała przecież panować nad emocjami. Nagle wszystko, czego dowiedziałam się w czasie szkolenia, uciekło mi z głowy. Karolina stała przy łóżku jednego z najciężej rannych, ciemnowłosego mężczyzny, który spał zwinięty na boku. Krew przesączyła się przez gazowy opatrunek i zaschła wokół głowy czarną skorupą.

– Najpierw należy się pacjentowi przedstawić – wyjaśniła Karolina, wskazując leżącego na łóżku. – Teraz to pominiemy, bo pacjent jest nieprzytomny.

Ubóstwiałam Karolinę. Miała wszystko to, co powinna mieć dobra pielęgniarka. Była mądra.

Zachowywała zimną krew nawet przy najciężej rannych. Była miła. Musiałam nauczyć się tych wszystkich rzeczy, jeśli chciałam jej dorównać.

– W normalnych warunkach zaczęłybyśmy od zaciągnięcia kotary, żeby zapewnić pacjentowi odrobinę prywatności – instruowała dalej – ale tu przejdziemy od razu do myjek i kauczukowych rękawiczek.

Wsunęłam dłonie w rękawiczki. Były gładkie i wysypane wewnątrz talkiem. Zapach kauczuku kojarzył mi się z nadzieją. Karolina owinęła moją dłoń myjką, tworząc z niej coś w kształcie rękawicy z dwoma palcami.

– Mycie zaczynamy od twarzy, na początek bez mydła. Pierwsze oczy.

Usiadłam na krześle obok pacjenta i zaczęłam obmywać jego powieki. Sięgałam ściereczką głęboko w kąciaki i przesuwałam się ku zewnętrznej części oka. Czy on w ogóle czuł, co się z nim działo?

Żołnierz śpiący na łóżku obok leżał na plecach z rozrzuconymi na boki ramionami i chrapał głośniejsz niż ktokolwiek, kogo słyszałam, a w Ravensbrück była niemała konkurencja.

– Staraj się za każdym razem używać innej części myjki – wyjaśniała Karolina. – Kasiu, jesteś urodzoną pielęgniarką. – Jej słowa nappełniły mnie dumą. Przecież mama była pielęgniarką. Może odziedziczyłam to po niej?

Było coś fascynującego w myciu ocalałych, uwalnianiu różowej skóry spod warstw brudu i kurzu, które ostatecznie trafiały na dno miski. Kiedy skończyłam, woda w misce była już ciemna od brudu, poszłam więc do zlewu, żeby nabrać świeżej.

Zanim wróciłam, sanitariusze przynieśli jeszcze dwóch żołnierzy i

ułożyli ich obok naszego pacjenta.

Jeden z przyniesionych miał pękniętą czaszkę, drugi nie odzyskał świadomości. Zaczęłam myć jednego z nich. Ci ludzie nie kapali się od miesięcy. Znałam to uczucie.

– Jesteś w tym naprawdę dobra, Kasiu – pochwaliła mnie Karolina. – Zastanów się, czy nie chciałabyś jednak jechać z nami do Warszawy. Przydałaby się nam twoja pomoc.

Przesunęłam myjką po czole żołnierza, a potem przemyłam mu policzek.

A właściwie dlaczego miałabym nie jechać do Warszawy? Tata będzie tęsknił, ale Marta, ta jego flama, tylko odetchnęłaby z ulgą.

– Odebrałabyś tam szkolenie na najwyższym poziomie – kusila Karolina.

– Może masz rację – powiedziałam. Byłam gotowa na nową przygodę. Warszawa mogła być tym upragnionym nowym początkiem. I naprawdę byłam dobrym materiałem na pielęgniarkę.

Podeszłam do drugiego z nowo przyniesionych. Zaczęłam od twarzy. Dobrze mi szło. Jeszcze chwila i będę miała za sobą cały rząd łóżek.

Przesunęłam myjką przez nasadę nosa, by i tu odsłonić nietkniętą, różową skórę. A potem... Zamarłam w pół gestu.

– Co się stało, Kasiu? – zaniepokoiła się Karolina.

Umysł rejestrował to wszystko, ale ciało nie było w stanie się poruszyć. Zaczęłam głęboko oddychać przez nos, chwyciłam rączkę noszy, by znaleźć oparcie. Mdlejąca na oddziale kandydatka na pielęgniarkę nie wyglądałaby dobrze.

Rozdział 32

Kasia

1945

To nie mógł być on. Piotrek. Ile razy głowa płała mi takie figle?
Ząb. Podciągnęłam jego górną wargę kciukiem.

– Kasiu, co robisz? – Karolina odstawiła miskę na podłogę i podeszła bliżej.

Mój Boże, tak. Lekko ukruszony z boku ząb. Ten wspaniały ząb. Usiadłam na chwilę, pozwalając ciału dogonić procesy myślowe. Tak, to on. Zaczęłam całować go po twarzy, nie zważając na brud i wszystko inne. A on ani na moment nie odzyskał przytomności.

– Kasiu? – Karolina aż otworzyła szerzej oczy ze zdumienia.

Zawołałam pozostałe pielęgniarki, machając przy tym jak szalona – pewnie wyglądałam jak rozbitek na bezludnej wyspie – ale nie mogłam wydobyć z siebie ani słowa. Koleżanki nie kazały długo na siebie czekać, a Karolina powiedziała im, że musiałam doznać jakiegoś szoku, bo ni z tego, ni z owego zaczęłam całować rosyjskiego żołnierza i zalewać się nad nim łzami.

– To on, to on – więcej nie dałam rady z siebie wydusić.

– Kto, Kasiu? – zapytała Karolina. – Kto to jest? Postaraj się uspokoić.

– To Piotrek – powiedziałam.

– Twój Piotrek? Jesteś pewna?

Dałam radę jedynie skinąć głową, a dziewczyny zaraz rzuciły mi się na szyję, wyściskały i wycalowały.

Potem pomogły mi rozebrać Piotrka z brudnego munduru i dokończyć mycia. Przez cały ten czas leżał nieprzytomny, ale nie przeszkadzało mi to. Trzymałam go za rękę, rozkoszując się szczęściem.

Poprosiłam dziewczyny, żeby sprowadziły Zuzannę, a sama zostałam przy Piotrku. Bałam się, że nagle zniknie.

Przez tłumacza ustaliliśmy, że leżący na sąsiednim łóżku Rosjanin walczył u boku Piotrka. Gdy Armia Czerwona wyzwoliła obóz na Majdanku, wcielono go w jej szeregi. Podobno Piotrek siedział na Majdanku od dnia aresztowania i pracował z resztą więźniów przy budowie obozu.

Jeszcze tego wieczoru Zuzanna i tata pomogli mi przenieść Piotrka do domu, do mojej sypialni. Stracił znacznie na wadze, ale Zuzanna zbadała go i stwierdziła, że mógł jeszcze wrócić do zdrowia. Nieraz miała do czynienia z urazami głowy. Powiedziała, że często po ustąpieniu obrzęku mózg pacjenta zaczyna pracować normalnie.

Piotrek otworzył oczy dopiero po tygodniu, a przemówił jeszcze później, byłam jednak wdzięczna za najmniejsze nawet postępy. Nosiałam przy sobie pudełko po zapalkach i zawsze gdy trafiła mi się okazja, przynosiłam mu kawałek szynki albo kiełbasy, więc szybko zaczął odzyskiwać siły. Razem z Zuzanną świętowałyśmy, gdy wreszcie się odezwał. „Podkręć radio, proszę”, powiedział. Urządziłyśmy z tego powodu niewielkie przyjęcie, a Piotrek obserwował nasze poczynania z łóżka, uśmiechając się przy tym delikatnie. Był jak ptak, którego kiedyś widziałam. Uderzył głową o szybę w oknie kuchennym i stracił przytomność. Początkowo przychodził do siebie powoli, a potem pewnego dnia wstał i znów zaczął chodzić.

Nie wypytywałyśmy go o lata spędzone na Majdanku, a on nie garnął się do zwierzeń. Każde z nas dźwigało własny krzyż.

Gdy wreszcie zaczął chodzić, postanowił nadrobić stracony czas. Zatrudnił się jako dozorca w otwartej przez dawnego właściciela fabryce szkła. Kiedy odzyskał nieco sił i ciała, zmienił pracę i zaczął jeździć karetką w lubelskim pogotowiu. Mimo że błyskawicznie odzyskał zdrowie fizyczne, nadal nie był w pełni sobą. Czegoś w nim brakowało. Tego, co sprawiało, że niegdyś chciał się ze mną całować. Cały wysiłek wkładał w pracę, unikając ze wszystkich sił okazji do odnowienia naszej znajomości. Wymyślałam różne usprawiedliwienia. Był zbyt zmęczony. Albo zbyt smutny. Za szczęśliwy.

Pewnego ranka obudził mnie grzmot i przez chwilę myślałam, że znów jestem w Ravensbrück i że w oddali spadają bomby. Ale gdy zobaczyłam krople na szybie okna, odprężyłam się, bo tego dnia miałam jeździć karetką z Piotrkim. Jako odbywająca szkolenie pielęgniarka, musiałam usiąść przy kierowcy. Ponieważ unikał zostawiania ze mną sam na sam i prawie mnie nie dotykał, cieszyłam się na myśl o chwilach, w których nie będzie nas dzielić nic prócz drążka zmiany biegów. Padał deszcz, będzie więc musiał siedzieć ze mną przy zamkniętych oknach.

Usadowiłam się wygodnie na przednim siedzeniu. Wiedziałam, że w białym fartuchu jest mi do twarzy.

A może mnie pocałuje? Może to ja mogłabym pocałować go pierwsza? Byłoby to strasznie śmiałe z mojej strony, ale przecież niewiele

wiedziałam o tych sprawach. Całą młodość, czas, gdy człowiek poznaje prawa rządzące sztuką uwodzenia, spędziłam w obozie.

Czy mogłam być jeszcze dla niego atrakcyjna? Białe pończochy, jakie nosiły wszystkie pielęgniarki, nie maskowały prawie wcale mojej poranionej nogi. Co jakiś czas zdarzało się, że ludzie przystawali na ulicy i przyglądali mi się z otwartymi ustami i pytaniem: „A tej co się stało?”, wypisanym na twarzy. Czy nie wydam się mu odrażająca? A gdybym powiedziała mu, co wyznała mi Luiza? Że mnie kochał? Ale przecież nie mogłam złamać danego jej na łożu śmierci słowa.

– Ale ruch – powiedział, redukując bieg. – Skąd oni wszyscy biorą benzynę? Pojedziemy naokoło.

Od powrotu do domu Piotrek stale się złościł i niecierpliwił z powodu najmniejszego drobiazgu.

Powolnej jazdy. Przejeżdżyczenia. Niewielkiego deszczu.

– Nie ma pośpiechu – powiedziałam. – Tylko przewozimy nosze.

Deszcz zaczął padać mocniej i wycieraczki powoli przegrywały z nim walkę. Mama powiedziałaby, że to oberwanie chmury. Mama.

Wjechaliśmy w ulicę, przy której mieszkała Nadia.

– Będziemy przejeżdżać koło jej domu – powiedziałam.

– Wiem, Kasiu. Widzę.

– Nigdy nie powiedziałeś mi, kim był Żegota. Ten, dla którego przyniosłam kopertę.

– To kryptonim Rady Pomocy Żydom. Pewni ludzie starali się pomóc Żydom. Matka Nadii знаła jednego z założycieli.

– Gdzie je ukryłeś?

– Wolałbym nie... – Nie możemy już do końca życia unikać rozmów o niej.

Znów zmienił bieg i skupił się na prowadzeniu ze wzrokiem wbitym w drogę przed nami.

– Zmieniały kryjówki – powiedział w końcu. – Dopóki jakieś jeszcze były. Przez pewien czas nawet w piwnicy Z. Kiedy nas aresztowano... Przy domu Nadii korek był większy. Pomarańczowe drzwi lśniły w deszczu.

Zobaczyłam go najpierw: czarna kupka mokrego futra na wyciągnięcie ręki.

– Piotrek, zatrzymaj się. To Felka.

– Znowu? – zdumiał się.

Zaciągnął hamulec awaryjny, włączył koguta na dachu i wyskoczył z karetki. Ja też wygramoliłam się jakoś z wysokiej kabiny wozu i wspierałam

po schodach. Rzeczywiście Felka zwinęła się na wycieraczkę, cała mokra od deszczu, ale patrzyła na nas tylko nieco zakłopotana.

Mieszkanie Nadii zajmowali teraz państwo Ryscy, uprzejmy nauczyciel z żoną, którzy uciekli z bombardowanej Warszawy. Pani Ryska była kuzynką pani Bąkowskiej, więc małżonkowie przenieśli się do Lublina skuszeni przez nowe władze obietnicą mieszkania. Rząd musiał występować z takimi propozycjami, bo wiele osób obawiało się zmiany władzy i nie chciało wracać do kraju. Lękali się, że Polska nie będzie wolna, że mimo obietnic Stalina utraci niepodległość. Ale nawet darmowe mieszkania nie ściągnęły wszystkich z Londynu i innych miejsc. Ludzie czekali na rozwój wydarzeń.

Ryscy rozumieli sytuację Felki, która notorycznie zjawiała się na ich schodach, i wzywali nas zawsze, gdy ją tam znaleźli. Tata próbował już wszystkiego, by utrzymać ją w domu. Zamykał. Przywiązywał.

A ona i tak uciekała. Wszyscy wiedzieliśmy, na kogo czekała.

Samochody ustawiły się sznurem za karetką, a my próbowaliśmy zwabić Felkę do suchej kabiny.

– Chodź, pieseczku! – zawołał Piotrek tak słodko, jak potrafił, ale Felka nawet nie drgnęła. – Bierzesz ją z przodu, ja chwycę tył – zakomenderował wreszcie.

Przenieśliśmy ją na ulicę. Kierowcy, widząc, że karetka zatrzymała się z powodu psa, a nie potrzebującego pomocy człowieka, zaczęli trąbić.

Udało się nam zapakować ją do kabiny i ułożyć między nami. Potem owinęłam Felkę ręcznikiem. Gdy Piotrek odjechał już spod domu Nadii, Felka otrząsnęła się gwałtownie, ochlapując całą karetkę i nasze twarze. Usiłowałam się wytrzeć, ale tylko rozmazałam sobie ciemną plamę na fartuchu. Tyle jeśli chodzi o pocałunki.

– Może Nadia nadal gdzieś tam jest – powiedziałam.

– Wytrzymaj Felkę za uszami. Lubi to.

Wytarłam ręcznikiem łeb psa oraz jej posiwiały pysk.

– Wywiezieni nadal wracają do domów.

– Jej nikt nie wywiózł, Kasiu. Pogódź się z prawdą. Niemcy ją zabili. Już nie wróci. Tak jak i reszta.

– Przynajmniej twoja mama będzie miała pogrzeb.

– Nie tylko ona, Kasiu. To ceremonia dla przynajmniej dwustu osób, ale to będzie cyrk. Proszę cię, nie idź tam.

– Tata mówił, że będą tam ludzie z NKWD.

– Co mi mogą zrobić? Zabiją mnie? Byle szybko, to jeszcze im podziękuję.

– Ciągłe szukają członków AK. Wszystkich, którzy stali wysoko w podziemiu... – Byłem żołnierzem Armii Czerwonej, Kasiu... – Wbrew woli... – Dlatego na razie dadzą mi spokój.

– Tata mówi... – Wystarczy już tego, co powiedział tata. Nie potrafisz już sama myśleć?

Wytarłam brzuch Felki ręcznikiem, a ona nadstawiła się do dalszych pieszczot, wywracając się łapami do góry.

– Widać popełniłam błąd, że nosiłam dla ciebie te paczki – powiedziałam.

– A wydaje ci się, że z czym ja muszę żyć dzień w dzień? Kasiu, zginęła moja siostra, która była ledwie podlotkiem, i twoja mama, którą bardzo kochałem. A ty? Patrz, co ci zrobili. A ja jestem cały i zdrowy.

Jak to o mnie świadczy? Czasami myślę, że gdyby nie ty... Odwrócił się i spojrzał na mnie.

– ...nie chciałbym dłużej żyć.

Spojrzałam na niego. Naprawdę to powiedział? Wbił wzrok z powrotem w drogę, ale słyszałam to.

„Gdyby nie ty”.

Chwyciłam jego dłoń, leżącą na fotelu.

– Nie mów tak. To grzech i... Cofnął dłoń.

– Nieważne – powiedział, kładąc obie ręce na kierownicy. Jechał dalej zamyślony. – Zapomnij, że to powiedziałem.

Miło było wiedzieć, że stary Piotrek gdzieś tam ciągle był. Ale zniknął tak samo jak promyk słońca w pochmurny dzień.

Nie usłuchałam prośby Piotrka i poszłam na uroczystości żałobne na Zamku Lubelskim. Zorganizowano je, by uczcić pamięć więźniów zabitych tam przez Niemców przed wycofaniem się z Lublina. Była wśród nich mama Piotrka. Kochałam panią Bąkowską i czułam potrzebę opłakania jej razem z innymi. Zjawili się tam wszyscy mieszkańcy Lublina. No i znałam mnóstwo ludzi, którzy tego dnia stracili na Zamku matki, siostry i mężów. Każdy znał kogoś, kto stracił bliskich w tej rzezi.

Dzień rozpoczęłam od wizyty w zamkowej kaplicy, do której mama tak lubiła chodzić. Klęczałam ponad zbierającym się tłumem. W kaplicy znajdowałam schronienie. Modliłam się tam, rozmawiałam z mamą i starałam się nadal coś czuć. Przepiękne bizantyjskie freski były wtedy jeszcze częściowo przesłonięte, ale fragmenty przeświecały już wysoko na sklepieniu między gotyckimi łukami. Modliłam się za tych, co zawsze: tatę. Zuzannę. Piotrka. Za dusze zmarłych i zaginionych. Za Nadię.

Z okna kaplicy obserwowałam gromadzący się niżej tłum, ludzi

stojących tu i tam na porośniętym trawą pagórku przed murami Zamku. Na uroczystość przybyli ludzie z całej Polski. Słysząc było śpiew kościelnego chóru, a ludzie już krążyli, szukając miejsc, z których byłoby najlepiej widać uroczystość.

Widziałam grupę odzianych na czarno księży. I stadko dominikanek, które w swoich białych welonach wyglądały jak olbrzymie łabędzie. Lubelskie rodziny. Gdzieś tam byli tata i Marta. Zuzanna miała słuchać wszystkiego z otwartego okna w szpitalu.

Zeszłam po spiralnych schodach. Powoli, bo moja chora noga i śliskie kamienne schody to było okropne połączenie. Wyszłam na kamienny dziedziniec, gdzie zebrano kiedyś nas wszystkie przed wywiezieniem do Ravensbrück. Czy naprawdę stałyśmy tu z mamą, Zuzanną i Luizą zaledwie pięć lat wcześniej?

Zeszłam na dół po trawiastym zboczu i przepchnęłam się przez tłum. Choć jesień była ciepła, tego dnia panował chłód. Ludzie przynieśli kwiaty. Głównie pełniki, czerwone maki i inne rosnące dziko na polach. Trzymałam bukiet stokrotek zerwanych na opuszczonej parceli. Owinęłam je wilgotną ściereczką, a zimna woda parzyła mnie w dłoń nawet przez rękawiczkę.

Chuchałam w wolną dłoń, rozglądając się za Piotrkim. Och, cóż bym dała za dwie rękawiczki!

Miałyśmy z Zuzanną jedną parę na spółkę, podarowaną jej przez kobietę umierającą w szpitalu. Ja nosiłam prawą, Zuzanna lewą.

Trudno było wyobrazić sobie, że pod tym stokiem w cieniu wielkiej twierdzy leży pochowanych ponad trzysta osób. Członkowie rodzin zebrali się wzdłuż murów Zamku, gdzie mieszkańcy miasta pośpiesznie pochowali zamordowanych w masowym grobie. Ktoś postawił na szczycie wzgórza wielki drewniany krzyż, pod którym stało teraz sześciu księży.

Kapłani błogosławili mogiłę, a ja przeciskałam się przez tłum, szukając Piotrka. Czy będzie miał mi za złe, że przyszłam? A może powinnam po prostu dać sobie z nim spokój? Ostatecznie jak długo można godzić się na odrzucenie?

Podeszłam do grupy zakonnic zebranych na końcu placu. Trzymały świece i święte obrazki w dłoniach.

Kilka z nich miało wieńce. Nieopodal nich zobaczyłam Piotrka. Był sam, wyprostowany, z rękoma wbitymi w kieszenie płaszcza z huty szkła, lustrował otoczenie byстрыm spojrzeniem. Stał przy stercie kwiatów ułożonej przez żałobników, w której dominowały czerwienie, róże i odcienie żółci. Zeszłam powoli do niego, krzywiąc się z bólu przy każdym

kroku.

Przemknęłam między zakonnice, zwlekając jedynie przez chwilę, by móc ogrzać się w ciepłe ich grupy. Wokół mnie powiewały czarne habity, u bioder kołysały się różańce. Minęłam je i w końcu podeszłam do Piotrka. Nie dał po sobie poznać, czy widzi, że nadchodzę. Kiedy podeszłam bliżej, zobaczyłam, że ma zaczerwienione oczy. Stałam w pobliżu. Chwycił moją gołą dłoń i ogrzał ją swoim oddechem.

Spojrzał na mnie, a na jego rzęsach perliły się łzy. Podeszłam do kopca kwiatów i położyłam na szczycie stokrotki, a potem odwróciłam się i ruszyłam z powrotem do Piotrka.

Czy powinnam zostać? Zostawiłam kwiaty, oddałam cześć zmarłym. Poza tym prosił mnie, żebym nie przychodziła.

Ponieważ nie dał mi żadnego znaku, odwróciłam się i już miałam odejść, gdy poczułam jego dłoń na ramieniu. Prawie nie mogłam uwierzyć, gdy zobaczyłam jego palce na swoim nadgarstku. Przyciągnął mnie do siebie.

„Duma” – to słowo jest ostatnio nadużywane, ale właśnie czułam dumę, gdy tamtego dnia słuchałam chóru wyśpiewującego do nieba. Byłam dumna, że Piotrek chciał dzielić ze mną wszystko. I dobre, i złe.

Sięgnął po moją gołą dłoń i schował ją we własnej. Czułam ciepło jego palców. Potem uniósł moją dłoń do ust, ucałował, a następnie schował do swojej kieszeni, wyłożonej ciepłą flanelą.

Rozdział 33

Kasia

1946

Posiłki nadciągały ze wszystkich stron. Od czasów wojny błyskawicznej Hitlera nie widzieliśmy tak zorganizowanej akcji. Przybywały odziane w kwieciste sukienki i eleganckie pantofle, holując garnki i dania, niektóre ciągle jeszcze parujące, dopiero wyjęte z pieca. Generalna Marta zarządzała działaniami z kwatery na poczcie. W efekcie mieliśmy tyle pierogów, barszczu i bigosu, że wystarczyłoby na sześć wesel.

Czy poczta nie jest dziwnym miejscem na wesele? Być może, ale do naszych celów nadawała się idealnie. Była duża, przestronna, z wysokimi pomieszczeniami, a poza tym można było upiec tam dwie pieczenie na jednym ogniu: odebrać listy i zatańczyć z panną młodą. Wprawdzie panna młoda nie mogła tańczyć, ale goście i tak przypinali do mojej sukni pieniądze. Miałam na sobie jasnoróżową suknię, choć sama bym takiej nie wybrała. Jednak Marta zaskoczyła mnie i uszyła ją własnoręcznie. Wolałabym białą, lecz nie mogłam odrzucić tego prezentu ze względu na tatę. Staralam się zachowywać w sposób cywilizowany. Teraz czekałam tylko, aż przyjęcie się skończy, żebym wreszcie mogła zostać sam na sam z Piotrkim.

Poranek był trudny z dwóch powodów. Po pierwsze, Ryscy zadzwonili, by powiedzieć, że dzień wcześniej zmarła Felka. Po raz ostatni znaleźli ją na swoim ganku. Pogrzebaliśmy ją w ogrodzie. Zuzanna i tata przyszli i patrzyli, jak Piotrek wbija łopatę w ziemię, a ja owinęłam Felkę kocem Nadii, w którym lata temu przyniosłam ją do domu. Wszyscy opłakaliśmy naszą wierną towarzyszkę, a najbardziej płakał tata.

Nie mogłam uwolnić się od myśli, że Felka była wierna Nadii aż do końca, czekała na nią, w przeciwieństwie do mnie. Ja zajęłam się własnym życiem, planowaniem ślubu i prawie nie zastanawiałam się nad tym, jak to będzie brać go bez Nadii. Taka była ze mnie przyjaciółka.

Drugim trudnym momentem było błogosławieństwo, którego zawsze udziela matka panny młodej.

W polskiej tradycji to tak ważny zwyczaj, że jeśli matka panny młodej nie żyje, rodzina udaje się na cmentarz, by przed pójściem do

kościół odwiedzić grób matki. Oczywiście nie mogliśmy pojechać nad jezioro przy Ravensbrück, gdzie przypuszczalnie trafiły prochy mamy. Marta przygotowała długie błogosławieństwo, ale wołałam, by to Zuzanna mi go udzieliła, co oczywiście sprawiło, że Marta aż poczerwieniała z upokorzenia. Bardzo chciałam zmienić stosunki łączące mnie z Martą, ale nie było to łatwe. Zuzanna zawsze będzie dla mnie od niej ważniejsza.

Ceremonia w kościele nie trwała długo. Wprawdzie wybory nadal się nie odbyły i władze stalinowskie nie rządziły jeszcze oficjalnie, ale sterowana z Moskwy Polska Partia Robotnicza z dnia na dzień zyskiwała coraz większe wpływy. Jej członkowie starali się zniechęcać ludzi do udziału we wszystkim, co mogło odciągać uwagę robotników od ich potrzeb, również do ślubów kościelnych. Uważali je za jarmarczne widowiska, więc ludzie starali się uczestniczyć w nich potajemnie. Na ślub przyszły trzy z moich koleżanek ze szpitala, mimo że mogło to oznaczać utratę pracy. Garstka znajomych, która jeszcze została Piotrkowi, nadal ukrywała się po lasach. Zachowywaliśmy najwyższą czujność, bo za samo położenie kwiatów na grobie żołnierza AK można było trafić do więzienia.

Goście nie krępowali się brać udziału w przyjęciu urządzonym na poczcie, bo to przynajmniej dawało nam poczucie prywatności. Gdy tylko przyjechałam, weselnicy natychmiast otoczyli mnie kołem i zaczęli przypinać banknoty do mojej sukni. To był najwspanialszy zwyczaj. A skąd Marta i jej przyjaciółki wzięły takie frykasy? Wędliny, kiełbasy, sałatki. Tort weselny i kruchutkie faworki! Pewnie kupiły je na lewo, na czarnym rynku.

– Chodź. Nadszedł czas na oczepiny – powiedziała Marta.

Oczepiny to rytuał, w czasie którego zdejmuje się pannie młodej welon i zastępuje go czepcem, by pokazać, że od tej chwili jest już mężatką. Najpierw wszystkie panny otaczają pannę młodą i zdejmują jej welon, a następnie nadchodzą mężatki, by przypiąć jej czepiec.

Marta klasnęła w dłonie i panny natychmiast otoczyły mnie kręgiem.

– Zuzanno, zdejmij jej welon.

– Ona wie, co zrobić, Marto – powiedziałam.

Zespół przygrywał, a dziewczęta tańczyły wokół mnie, trzymając się za dłonie, podczas gdy Zuzanna zdejmowała mi z głowy welon, w którym brała ślub mama Piotrka. Noga bolała mnie okropnie od tak długiego stania, ale nie wyobrażałam sobie, żebym miała usiąść obok starszych kobiet pod ścianą.

Marzyłam o tej ceremonii od dziecka.

Zuzanna podała mi welon i dołączyła do pozostałych panien.

Zakryłam oczy jedną ręką, a drugą rzuciłam welon tak, że wylądował prosto w rękach Zuzanny.

– Teraz proszę mężatki – wywołała Marta pozostałe uczestniczki oczepin.

Trzymała w dłoniach biały czepiec. Gdzie podziewał się Piotrek? Cała uroczystość przechodziła mu koło nosa.

– Kto włoży mi czepiec? – zapytałam.

– Ja – odparła Marta.

– Ale przecież to musi być mężatka – zaprotestowałam. Zameżne kobiety otoczyły mnie kołem, chwytając się za ręce.

Marta podeszła bliżej.

– Kasiu, to tylko stara ludowa tradycja.

Mężatki zaczęły krążyć wokół Marty i mnie w takt muzyki. Aromat fiołkowych perfum wymieszanych z wonią barszczu był przytłaczający. Sięgnęłam ręką i wyciągnęłam z kręgu pierwszą osobę, której dotknęłam, żonę garbarza.

– Pani Wiznowska przypnie mi czepek.

Marta chwyciła mnie za dłoń.

– Kasiu, proszę, pozwól mi.

Spojrzałam w brązowe oczy, w których kręciła się już łza. Przecież Marta była dla mnie dobra.

Karmiła Piotrka, Zuzannę i mnie i tylko dzięki niej wróciliśmy do pełni sił. Zgodziłam się, a ona natychmiast się rozpromieniła. W życiu nie widziałam szczęśliwszej osoby.

Wyrwałam się z kręgu i ruszyłam przed siebie, a banknoty na mojej sukni aż furkotały. Gdzie podziewał się Piotrek? Przez cały dzień był taki cichy. Zatrzymałam się na chwilę, by znajomy taty przypiął mi do sukni jeszcze jeden banknot.

Znalazłam Piotrka w gabinecie taty. Siedział samotnie, wbity ponuro w głęboki skórzany fotel stojący przy biurku. Dłonie trzymał na kolanach. Światła były pogaszone, a światło latarni odbijało się od stojącego na biurku zdjęcia. Tata bardzo lubił to zdjęcie, chociaż miałam na nim na wpół zamknięte oczy.

Obejmował na nim mnie i Zuzannę. Zdjęcie zrobiła nam mama.

– Dlaczego nie przyłączysz się do zabawy? – wycesałam mu z włosów ziarna prosa, pozostałość po tym, jak goście obrzucili nas nimi, gdy wyszliśmy z kościoła. To było to samo proso, które tata zakopał w nocy tyle lat temu. Choć zwracanie uwagi na taką ceremonię było niebezpieczne, cieszyłam się, że byli ludzie, którzy nie pozwolili odejść tej

tradycji w zapomnienie.

Uklękłam obok Piotrka.

– Nic nie jadłeś. Bigosu już prawie nie ma i właśnie przynieśli jeszcze trochę tej kielbasy, która ci tak smakowała. No i zaraz zagrają kujawiaka.

– Zaraz, Kasiu.

Piotrek był skryty, ale nigdy aż tak bardzo.

– Po prostu wszyscy zastanawiają się, gdzie jest pan młody – powiedziałam.

Milczał przez dłuższą chwilę z twarzą skrytą w cieniu.

– Kasiu, jakim ja jestem tchórzem. Moi koledzy z podziemia nadal kryją się w lesie, jedzą trawę, a ja tu uczuję.

Muzyka w drugim pokoju zabrzmiała głośniejsz niż dotychczas.

– To nie twoja wina, że tata chce chronić zięcia. Poza tym mamy własne kłopoty... – Po prostu się zastanawiałem. Co zrobiłby ojciec, gdyby żył? Nie był tchórzem.

Piotrek nie mówił o tym często, ale wiedziałam, że pojawiły się kolejne pogłoski o Katyniu i chociaż Rosjanie uparcie twierdzili, że sprawcami są Niemcy, wszyscy wiedzieli, że to NKWD wymordowało tam tysiące przedstawicieli polskiej inteligencji. Kapitan Bąkowski najprawdopodobniej był w tej grupie.

– O czym ty mówisz?

Położyłam głowę na jego kolanach i poczułam coś zimnego i twardego. Starał się to ukryć, ale srebro i tak błysnęło w skąpym świetle.

– Pistolet taty? – zapytałam. – Chcesz... – Jest mi lepiej, gdy mam go w dłoni – wyjaśnił Piotrek.

Wyjęłam broń z jego ręki.

– Powinnaś wrócić na salę – powiedział w końcu. – Panna młoda nie może tak po prostu zniknąć.

Wystarczyło, że dotknęłam gładkiej i ciężkiej broni, a całe moje ciało przejął mróz.

– Ciebie też chcieliby zobaczyć – powiedziałam.

Nie próbował nawet odebrać mi broni.

Otworzyłam szufladę biurka i schowałam do niej rewolwer.

– Och, Piotrek – westchnęłam, klękając obok męża.

Przez jakiś czas siedzieliśmy sami w ciemności i słuchaliśmy, jak zespół gra Sto lat młodej parze. Sto lat szczęścia.

Rozdział 34
Herta
1947

Tak zwany proces lekarzy w Norymberdze był od początku do końca farsą, a stres z nim związany wywołał u mnie szereg infekcji oskrzeli. Czekanie. Ryzy papieru, który można by przecież spalić i ogrzać dobrych Niemców. Sto trzydzieści dziewięć dni procesu, osiemdziesięcioro pięcioro świadków i niekończące się przepytywanie oskarżonych.

Doktor Gebhardt zeznawał przez trzy dni i oglądało się to z niemałym trudem. Objaśniając najdrobniejsze szczegóły operacji, pociągnął Fritza i mnie za sobą na dno. Gebhardt nawet zaproponował, by podobną operację przeprowadzono na nim, chcąc w ten sposób dowieść, że procedura była całkowicie bezpieczna. Jego sugestię zignorowano.

I po co w dniu, w którym miałam zeznawać, pytałam swojego obrońcę, doktora Alfreda Seidla, o losy Binz i Marschall i werdykt w procesie pozostałego personelu Ravensbrück, w tak zwanym procesie załogi Ravensbrück, który odbył się w Hamburgu? Przez to tylko bardziej bałam się swojego przesłuchania.

– Elizabeth Marschall poszła pierwsza – wyjaśnił Alfred. – Potem przyszli po Dorotheę Binz. Vilmer Hartman był ostatni. Jak sądzę, na zasadzie „panie przodem”.

Poczułam, jak kurczą mi się mięśnie brzucha, gdy pokazał mi zdjęcie w gazecie. Przedstawiało Vilmera z rękoma skutymi na plecach, z karkiem skręconym na wysokości piątego kręgu i stopami zwisającymi luźno w jego pięknych butach. Dobrze opadł. Węzeł pętli zadzierzgnięty przy lewej szczęce połamał mu kręgi i uszkodził rdzeń. Obejrzałam sobie pozostałych. Wszyscy wisieli jak martwe kaczki na stojaku myśliwego, a ich twarze wykrzywiał strach. Wielu z nich zwróciło się do Boga przed przejściem tych trzynastu stopni na stryczek. Pochowano ich w bezimiennych grobach.

Wydarzenia w sądzie też mnie nie uspokoiły. Najpierw wezwali na świadka jedną z „królików” z Ravensbrück.

– Czy może pani wskazać na sali doktor Hertę Oberheuser? – zapytał Alexander Hardy, zastępca prokuratora. Był raczej atrakcyjnym

mężczyzną z lekką łysiną.

Wskazała mnie. Jakim cudem? Zapamiętały mnie? Ja nie pamiętałam żadnej z nich. Znały moje nazwisko? A byliśmy przecież tak ostrożni. Alfred powiedział, że Polacy wystąpili o ekstradycję, że chcą mnie sądzić u siebie. Tylko mnie. Czy inni nie postępowali gorzej? Alfred sprzeciwił się temu wnioskowi i sąd przychylił się do jego stanowiska.

Wkrótce nadeszła moja kolej.

– Oskarżenie wzywa na świadka Hertę Oberheuser – powiedział Hardy.

Fritz spojrział na mnie, by dodać mi otuchy. Wzięłam głęboki wdech i poczułam, jak krew pulsuje mi w głowie. Nie widziałam twarzy ludzi, wypatrywałam wśród zebranych Mutti.

– Jak z czystym sumieniem mogła pani prowadzić eksperymenty z sulfonamidami? – zapytał Hardy.

– Prowadziliśmy je na więźniach z Polski skazanych na śmierć – powiedziałam. – One i tak miały umrzeć. A nasze badania uratowały życie wielu niemieckim żołnierzom. Ludziom z mojej krwi.

Dostrzegłam Mutti na jednym z balkonów. Uniosła palce do ust. A gdzie Günther?

Hardy pomachał mi przed nosem plikiem papierów.

– Czy po przeprowadzeniu eksperymentów którekolwiek z poddanych im osób zostały rozstrzelane lub stracone w inny sposób?

– Tak, to były więźniarki polityczne z... – Zapaliła się czerwona lampka na pulpicie dla świadków.

Tłumacze nie nadążali z tłumaczeniem. Musiałam mówić wolniej. – Więźniarki... polityczne... z wyrokami... śmierci.

– W zeznaniach złożonych pod przysięgą przyznała się pani do podania pięciu lub sześciu zastrzyków z trucizny. Czy podtrzymuje pani to zeznanie?

Dlaczego się do tego przyznałam? Mogłam przecież udać, że nie rozumiem tłumacza.

– Nie – powiedziałam.

– Zapytam inaczej. Czy podawała pani zastrzyki, po których osoba, której zastrzyk podano, umierała?

– Tak, ale jak już zeznawałam wcześniej, tylko pacjentkom w stanie agonalnym. To była pomoc medyczna.

– I ta pomoc medyczna powodowała zgon, czy tak? – drażył Hardy.

Wpatrywałam się w dłonie złożone na kolanach.

– Nie.

– Powtórzę pytanie: I ta pomoc medyczna powodowała zgon, czy tak? – nie ustępował.

Serce waliło mi jak dzwon i nie spuszczałam oczu z własnych rąk.

– Mówiłam już, to były pacjentki w stanie agonalnym.

– Panno Oberheuser, czy otrzymała pani jakiegokolwiek odznaczenia lub medale?

– Jeśli dobrze pamiętam, to Krzyż Zasługi Wojennej.

– Za co?

– Nie wiem.

Hardy oparł się o blat stołu.

– Czy nie za udział w badaniach nad sulfonamidami?

– Zdecydowanie nie.

– Nie mam więcej pytań, wysoki sędzie.

Choć przedstawiliśmy dowody prowadzenia podobnych badań przez Amerykanów, co wyraźnie wstrząsnęło składem sędziowskim, ostatecznie wyrok zależał od kwestii, czy doświadczenia przeprowadzano na ochotnikach. Pozostało mi zatem tylko snuć się bez celu na więziennym dziedzińcu i czekać.

Cały ten proces złamał Fritza. Gdy inni lekarze postanowili walczyć i starać się uzyskać ulaskawienie, Fritz zupełnie zamknął się w sobie. W sali obrad nie wolno nam było ze sobą rozmawiać, ale raz spotkaliśmy się przed windami wiozącymi nas do cel.

– Mogą mnie powiesić choćby i teraz – powiedział. – Jestem skończony.

Fritz jako jedyny z sądzonych w czasie procesu lekarzy okazał skruchę, co nie uszło uwagi pozostałych, którzy trzymali się swoich przekonań do samego końca.

W dniu ogłoszenia wyroku, dwudziestego sierpnia 1947 roku, miałam na sobie sukienkę z czarnej wełny z długimi rękawami i białym kołnierzykiem dostarczoną mi przez sąd. Serce łomotało mi pod żebrami, gdy wysłuchiwałam wyroków wydawanych na kolegów wzywanych pojedynczo do sali obrad. Czekałam na swoją kolej w korytarzu za drewnianymi drzwiami pilnowana przez milczącego Amerykanina. Znałam już wtedy angielski na tyle dobrze, żeby zrozumieć, co czekało Gebhardta.

– Doktorze Karl Gebhardt, pierwszy sąd wojskowy uznaje pana za winnego zarzucanych panu zbrodni wojennych, zbrodni przeciwko ludzkości i udziału w organizacji uznanej za przestępczą przez międzynarodowy trybunał wojskowy. Sąd skazuje pana na śmierć przez

powieszenie.

Oddychałam z coraz większym trudem. Gdy nadeszła moja kolej i otworzyły się drzwi do sali sądowej, weszłam do środka i założyłam słuchawki, w których miałam usłyszeć głos tłumacza. Cała sala nabrała nagle żywszych barw, bardziej nasyconych i intensywnych. Odszukałam w tłumie Mutti.

– Herto Oberheuser, pierwszy sąd wojskowy uznaje panią za winną zarzucanych pani zbrodni wojennych, zbrodni przeciwko ludzkości i udziału w organizacji uznanej za przestępczą przez międzynarodowy trybunał wojskowy.

Gdy usłyszałam słowo schuldig w słuchawkach, złapałam się poręczy.

Winna.

Potem ogłoszono wyrok. Słuchałam odrętwiała.

– Za zbrodnie, które zostały pani udowodnione, pierwszy sąd wojskowy skazuje panią na dwadzieścia lat pozbawienia wolności. Wyrok odbędzie pani w więzieniu lub innym miejscu odosobnienia wskazanym przez odpowiednie władze.

Uważałam, by ani przez chwilę nie okazać żadnych uczuć w związku z ogłoszonym wyrokiem. Fritz został skazany na dożywocie, a wielu z pozostałych dołączyło do Gebhardta na stryczku. Wiedziałam, że wyjdę na wolność jako stara kobieta. Minuta i czterdzieści sekund, bo tyle zabrało ogłoszenie wyroku, odarło mnie z dorobku całego życia.

Drugiego czerwca 1948 roku doktor Gebhardt został powieszony na jednej z trzech przenośnych szubienic ustawionych na dziedzińcu więzienia. Czytałam później w gazetach, że stryczki nie były przygotowane odpowiednio i kilkoro ze skazanych umierało przez prawie dziesięć minut. Amerykanie nie potrafili nawet wykonać dobrze wyroku śmierci. Cieszyłam się, że Führer odebrał sobie życie i nie musiał brać udziału w tej farsie. Niebawem przewieziono mnie do pierwszego więzienia dla zbrodniarzy wojennych w Landsbergu, w Bawarii, gdzie rozpoczęłam odbywanie wyroku. Najbardziej męczyła mnie myśl, że przez wszystkie te lata nie będę mogła zajmować się czynnie medycyną, rozpoczęłam więc listowną kampanię.

Pierwszego na cel wybrałam burmistrza Stocksee.

Rozdział 35

Kasia

1947

Większa część środy dwudziestego piątego marca 1947 zeszła mi na wrzasku. Pielęgniarki pracujące w szpitalu w Lublinie były zadowolone, słysząc moje krzyki, bo to oznaczało, że jestem silną matką.

Cichy poród bardzo często kończył się tragicznie. Ucieszyłam się, gdy usłyszałam, że płuca mojego dziecka pracują równie sprawnie. Sama byłam przecież położną, wiedziałam więc aż za dobrze, że komplikacje mogą pojawić się w zaledwie kilka sekund. Porody pośladowe. Dzieci podduszone pępowiną. Pracowali u nas doskonali lekarze (w tym moja siostra), ale to położne sprawiały, że wszystko szło jak należy. Miałam szczęście, że poród przebiegał bez komplikacji, bo środki przeciwbólowe nie były powszechnie dostępne.

Piotrek stał przy moim łóżku i kołysał dziecko, a pielęgniarki z całego piętra przyszły na nie popatrzeć.

Piotrek miał na sobie szpitalny fartuch, pod którym krył się jego fabryczny kombinezon. Trzymał małą w najbardziej naturalny sposób, zupełnie bez tej sztywności, która charakteryzowała tylu młodych ojców.

Cieszyłam się z odwiedzin, ale chciałam wreszcie zostać z małą sam na sam i poznać nasze dziecko.

– Oddaj mi ją – zażądałam, ciągle chrypiąc.

Piotrek podał mi małą w ramiona. Szybko zaczęłam robić się senna, bo jak na taki duży oddział – pięćdziesiąt łóżek – było tu bardzo ciepło. Oddziałowa zarezerwowała dla mnie najlepsze, pod ścianą, z dala od nieszczelnego okna, tuż przy grzejniku. Wciągnęłam słodko-kwaśny zapach niemowlęcia i zaczęłam przyglądać się ciemiączku, które pulsowało delikatnie na szczycie główki małej. Nasza córka miała jasne włoski, jak dziecko pani Michalskiej. Ile lat miałyby teraz Jagoda? Osiem? Może powinniśmy dać naszej na imię Jagoda? Ale to przywoływałoby zbyt wiele smutnych wspomnień. To może Irenka.

Irena znaczy nadzieja.

Piotrek uważał, że mała powinna nazywać się Halina, utrzymując, że tego chciałaby moja mama. Czy nie rozumiał, że dla mnie wypowiedanie tego imienia dziesięć razy dziennie byłoby zbyt bolesne?

Rozległ się dzwonek obwieszczający początek pory odwiedzin i pielęgniarki rozeszły się do swoich zajęć. Pierwsza przyszła Marta. W jednej ręce niosła tacę pełną pączków, w drugiej serwetki.

– Przychodzimy z darami – powiedziała. – Pączki dla matki? – Na końcu pochodu szedł tata z torebką Marty.

– Nie, dziękuję – odparłam. Sama czułam się jak okrągły, tłusty pączek. Zastanawiałam się, kiedy Zuzanna przyjdzie mi z odsieczą i uratuje przed Martą. Asystowała przy porodzie, ale potem musiała zająć się nastawieniem złamanej kości.

Marta rozłożyła posypane cukrem pudrem pączki na serwetce i ustawiła obok mnie.

– To nie czas na odchudzanie.

Nie sięgnęłam po nie, bo doskwierała mi nie tylko zwiększona masa po ciąży, ale też dziura w lewym kcie, pamiątka z Ravensbrück, która piekła okrutnie, gdy dostał się do niej cukier.

Tata ucałował mnie w dłoń, a potem w czoło, tak samo jak małą.

– Jak się masz, Kasiu?

Piotrek wziął ode mnie dziecko, a ja natychmiast odczułam chłód. Podał ją tacie, który wciąż miał na ramieniu torebkę Marty.

– Myślimy, żeby dać jej na imię Halinka – powiedział Piotrek.

– Mnie podoba się Irenka – sprostowałam. – Czyli nadzieja... – Ależ to oczywiste, że Halinka – zareagował natychmiast tata. – To miło z waszej strony.

Czy płakał?

– Woli być u ciebie – stwierdziła Marta. – Ochrzczicie ją w domu? Nawet nie myślcie o kościele.

Miała rację. Polska Partia Robotnicza nie ograniczała się już do odradzania udziału w ceremoniach religijnych, ale też w ślubach i chrztach. Teraz okazywała im jawną niechęć i wyraźnie utrudniała życie tym, którzy nie stosowali się do jej zaleceń. Marta i tata nie wzięli jeszcze ślubu, choć wielu księży udzielało ich w tajemnicy.

Marta zabrała małą z ramion taty.

– Kasiu, opieka nad małą może sprawiać ci trudności. Z powodu twojej nogi. Ja się nią zajmę.

Marta gruchała do mojej córki, a mnie zalała fala mrocznego gniewu. Dlaczego nie było tu mojej mamy? To mama powinna chodzić z nią po sali i wszystkim pokazywać. Opowiadałaby historie z czasów, gdy ja byłam dzieckiem, a ja śmiałabym się do rozpuku.

Nagle zalałam się łzami. Pomagałam setkom matek zwalczyć

depresję poporodową, ale teraz okazało się to trudniejsze, niż kiedykolwiek bym przypuszczała. Jakby coś wciągnęło mnie w głęboki dół.

– Oddaj mi, proszę, dziecko – powiedziałam.

Nagle zapragnęłam, aby wszyscy wyszli. Nawet Piotrek. Skoro nie mogłam mieć przy sobie mamy, nie chciałam już nikogo.

Piotrek wziął małą od Marty, która oddała ją z wyraźnym żalem, i podał mi ją do łóżka.

– Kasia musi odpocząć – oznajmił.

Marta zabrała tacę z pączkami.

– Jutro przyniesiemy pierogi.

– Dziękuję, nie trzeba – powiedziałam. – Karmią nas tu dobrze.

Gdy wyszli, a Piotrek wrócił do huty, niemal natychmiast zasnęłyśmy – i ja, i mała. Obudziłam się dopiero, gdy z grzejnika z sykiem poleciała para. Wydawało mi się, że znów znalazłam się w pociągu do Ravensbrück i to parowóz gwizdże, żeby oznajmić wjazd na peron. Strach ściał mi serce, ale spojrzałam na małą i zaraz się uspokoiłam. Poruszyła się w moich ramionach.

Halina? Więc jednak będzie nosić imię mojej mamy? Na razie ledwie mogłam patrzeć na zdjęcie mamy bez wpadania w rozpacz. Nagle naszła mnie bardziej przerażająca myśl – a jeśli to imię sprowadzi na małą taki sam straszny los jak na mamę? Przerwie zbyt szybko wspaniałe życie? Przebiegł mnie dreszcz.

Zdarzały się przecież dziwniejsze rzeczy.

Gdy tata i Piotrek zaczęli nazywać małą Halinka, dałam za wygraną i wkrótce sama zaczęłam używać tego imienia. Poza tym nadeszła pora, by dorosnąć. Byłam matką, miałam swoje obowiązki, przestałam być dzieckiem. No i wszyscy mówili, że to piękne imię, które pasuje do małej. Zostało nadane na cześć mojej mamy. Na pewno byłaby zadowolona.

Tylko nie mogłam pozbyć się wrażenia, że powinnam była jednak dać jej na imię Irenka.

Rozdział 36
Caroline
1946–1947

Po odnalezieniu córki Paula i Reny i załatwieniu za rodziców formalności związanych z przekazaniem jej im zostałam jeszcze w Paryżu, ale robiłam co w mojej mocy, by unikać Paula. Był teraz ojcem, a ja nie chciałam wprowadzać niepokoju do jego rodziny. Zresztą nie wymagało to wiele zachodu, gdyż prawie nie opuszczali domu Reny w Rouen.

Można by pomyśleć, nie ma lepszego leku na złamane serce niż miasto miłości, ale w tym roku, tuż po zakończeniu wojny, niemal na każdej ławce spotykało się miłośników publicznego całowania się, nawet przed śniadaniem, a to ciągle przypominało mi o właśnie utraconej miłości. Nawet z domu napływały ponure wieści, bo Roger donosił, że nasz windziarz Cuddy zginął w akcji na Pacyfiku.

Utratę Paula odchorowałam niemal jak narkoman odstawienie środków odurzających. Nie spałam, nie jadłam. Dlaczego nie potrafiłam zająć się czymś ważniejszym? No więc zostanę starą panną, będę sama do końca życia. Ludziom przytrafiały się większe nieszczęścia.

Nie pomagało niestety to, że listy od Paula dosłownie wysypywały się z naszej skrzynki. Mama rzucała każdy z nich do kosza w salonie, wzdychając teatralnie. Niejeden raz przeglądałam je, podziwiając pismo Paula i zaglądając do koperty pod światło. Tylko po co miałabym je czytać? Przedłużyłyby moją agonię.

Miałam wrażenie, że Paryż mnie zdradził. Oboje zostaliśmy zwaleni z nóg, ale tylko miasto odzyskiwało siły, zaczynało się odbudowywać i pozbywało gruzu. Jeśli wszystko, co wiązało się z modą, mogło być barometrem zmian, to Paryż powrócił do formy, bo w wielkich domach mody już organizowano wyszukane pokazy haute couture, a wśród zniszczonych budynków wyrastały coraz to nowe sklepy. Natomiast ja wciąż płakałam na widok kalekiego gołębia lub sprzedającego owoce staruszka, mającego w koszyku tylko robaczywe jabłka.

Mijały miesiące. Pewnego listopadowego poranka obudziłam się i przysięgłam oddać się pracy, nie myśleć tego dnia ani razu o Paulu. W koszyku nie pojawiały się już nowe listy, a w Paryżu na szczęście było jeszcze wiele do zrobienia. Przebudowa szła pełną parą. O własnych

kłopotach najlepiej zapomina się, pomagając innym. Czyż sam Byron nie powiedział: „Człowiek zajęty nie ma czasu na łzy”?

Benzyny nadal brakowało, więc paryżanie jeździli wszędzie na rowerach. Ciągle było za mało podstawowych rzeczy: talerzy, zapalek i skóry na buty, nie wspominając o porządnym jedzeniu.

Wprawdzie na Esplanade des Invalides uprawiano fasolę i ziemniaki, orząc pługami zaprzężonymi w konie, ale ciągle brakowało jaj, a po chleb i mięso ustawiały się absurdalnie długie kolejki, gdy tylko rozeszła się plotka, że gdzieś można dostać te produkty.

W sklepie prowadzonym przez armię mama zdobyła przez znajomego spory zapas racji wojskowych, żeby uzupełnić naszą dietę. W każdym kartonowym pudełku znajdowało się typowe amerykańskie śniadanie w miniaturze: puszka jajecznicy z szynką, nescafé, krakersy w paczce, paczka gumy do żucia wrigley's i paczka chesterfieldów. To cud, że nasi chłopcy przeżyli te śniadania i mieli siłę do walki, ale wtedy każda odrobina pożywienia była na wagę złota.

Mama zgłosiła się na ochotnika do ADIR, narodowego związku wypędzonych i internowanych działaczy ruchu oporu, nowej organizacji, która zajmowała się pomaganiem sprowadzonym do kraju kobietom, wywiezionym do hitlerowskich obozów koncentracyjnych, stanąć znów na nogach. Te „szczęściary” często nie miały już nic. Straciły mężów i dzieci. Straciły domy. Co gorsza, rząd francuski skupiał swoje starania na mężczyznach, którzy wrócili z wojny, przede wszystkim na wojskowych, ale o innych, którzy przetrwali, też się troszczyli. Tylko kobiety pozostawiono samym sobie.

Pracowałam tu i ówdzie jako wolontariuszka. Ponieważ paryskim dzieciom brakowało płaszczy, mama i ja poprosiłyśmy dom towarowy Le Bon Marché, by pozwolono nam zorganizować zbiórkę przed sklepem, i kierownictwo na to przystało. Na wydzielonej części chodnika rozstawili dla nas wieszaki i składane stoły, a my rozwiesiłyśmy przekazane nam płaszcze dla dzieci, sortując je według rozmiarów.

Z naszego sklepu mógł skorzystać każdy, kto w zamian zostawił stary płaszcz swojego dziecka. Rodzice mogli w zamian wziąć którąkolwiek z kurtek lub płaszczy w większym rozmiarze, a przekazana przez nich odzież była czyszczona i ponownie wprowadzana do obiegu. Le Bon Marché nawet reklamował nasze starania – do reklamy, którą umieszczali w gazecie, dołączyli kiepską małą fotografię moją i mamy.

Na rozruch wybrałyśmy słoneczną listopadową niedzielę, kiedy wszyscy byli w mieście, by przekonać się, co domy mody zaproponują na

nadchodzący sezon. Dior wprowadził wiosną na rynek rewolucyjną kolekcję New Look, z podkreśloną talią i rozkloszowanymi spódnicami, a Paryż aż kipiał na myśl o kolejnej niespodziance. Ten dzień napawał wyjątkowym optymizmem, wzmaganym jeszcze przez zapach pieczonych kasztanów i dźwięki Le Chaland qui passe wygrywanymi przez człowieka orkiestrę.

Ludzie szybko zaczęli tłoczyć się w kolejce. Mama zostawiła mnie na straży, bo sama szybko osiągnęła status feldmarszałka w charytatywnym świątku powojennej Francji i teraz poszła nadzorować kuchnię polową działającą na drugim końcu miasta. Byłam zachwycona, bo pilnie potrzebowałam zająć się czymś osobiście. Poza tym zaczęłam nabierać wprawy w dobieraniu odpowiednich płaszczy dla dzieci.

Chodziło o kolory. Ostatecznie byliśmy w Paryżu. Żółty płaszcz przymierzany przez dziecko o ziemistej cerze był gorszy niż brak płaszcza.

Przed południem punkt wymiany płaszczy dosłownie się zapchał i dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że nawet nie otworzyłam swojej racji żywnościowej. Zanim zdążyłam po nią sięgnąć, podeszła do mnie starsza pani.

– Przepraszam, mademoiselle, mogłaby mi pani pomóc?

Kobieta była chuda, ale miała hrabiowskie maniery, świetnie dobraną wełnianą spódnicę i sweter oraz białe rękawiczki. Szyję przewiązała apaszką w kolorze indyjskiego rózu od Hermès Saumur i spięła ją broszą w kształcie kuropatwy o brzuchu wykonanym z perły z morza południowego, wysadzaną drogimi kamieniami. Nawet w tych przykrych okolicznościach, a może właśnie przez nie, paryżanki nadal potrafiły poprawiać swoje samopoczucie zaskakującymi drobiazgami, jak zawsze wierne odwiecznej prawdzie na temat mody, że nadmiar prostoty to już bojaźń. Kobieta w jednej ręce niosła paczkę opakowaną w biały papier, a na nadgarstku wisiała jej bambusowa laska. W drugiej trzymała smycz, na której prowadziła czarnego pudła. To był imponujący pies, podobnie jak właścicielka chudy, ale zadbany.

– Przyniosłam płaszcz – oznajmiła.

Wzięłam od niej paczkę, rozerwałam celofanową taśmę i wyjęłam płaszcz, uwalniając piżmowy zapach przesycony nutami róży i lawendy. Tego dnia widziałam wiele wspaniałych ubrań, niektóre z ręcznie haftowanymi wstawkami kwiatowymi i emaliowanymi guzikami czy podszyte pięknym króliczym futrem,

ale ten płaszcz należał do zupełnie innej kategorii. Kaszmirowy? Był intensywnie błękitny i zaskakująco ciężki, choć miękki. Podszewkę miał z

pikowanej białej satyny.

– Dziękuję za ten dar, madame. Proszę wybrać jakiś w zamian. Mamy wiele dobrych płaszczy, może nie tak wspaniałych... – Jest ocieplany gęsim puchem. Uszyto go dla mojej wnuczki. Nigdy nie był noszony.

– Proszę przejrzeć wieszaki. Jaki rozmiar nosi teraz wnuczka?

Kobieta pogładziła psa po szyi. Przy bliższym spojrzeniu zauważyłam, że krzywo zapięła sweter, przez co przekrzywił się dziwnie. W wysadzonej kamieniami broszce brakowało brylantu. Sprzedała go czy zgubiła?

– Wnuczka nie żyje. Zabrali ją lata temu razem z bratem i matką. Moja córka i jedna z pokojówek drukowały ulotki w spiżarni... Ruch oporu.

– Tak mi przykro... – Oczy zaszczyły mi łzami. Jak miałam nieść ukojenie innym, skoro nie panowałam nad własnymi emocjami?

– Trzymałam go w nadziei, że może wrócić do domu, ale potem przyszli i po mnie. Wyobraża to sobie pani? Czego mogli chcieć od starej kobiety? Gospodyni zatrzymała psa w Saint-Étienne i opiekowała się nim, gdy mnie nie było. Teraz to moja cała rodzina. – Pokręciła głową, nie mogąc wydobyć z siebie głosu, po czym wyprostowała się. – Może komuś przyda się jej płaszcz.

Włożyłam płaszcz z powrotem w papier.

– Dziękuję, madame. Zadbam, by trafił w dobre ręce. W środku mamy gorącą kawę.

Położyła dłoń w rękawiczce na mojej i trwała tak przez chwilę. Czułam na skórze ciepłą, gładką bawełnę.

– Dziękuję, moja droga.

Wyciągnęłam z kieszeni wizytówkę.

– To adres ADIR, organizacji charytatywnej, którą wspiera moja mama. Pomagają kobietom, które wróciły z... cóż... z obozów. Prowadzą ją kobiety, które same siedziały w obozie. Spotykają się w mieszkaniu jednej z nich. W pobliżu Le Jardin du Luxembourg.

– Dziękuję, mademoiselle. – Wzięła kartkę i odwróciła się.

– Proszę poczekać, madame. – Wyciągnęłam spod stołu moją rację. – Mam jeszcze jedną. Może chciałaby ją pani wziąć?

Spojrzała na pudełko.

– O nie, kochanie, daj to komuś, kto bardziej... – Proszę ją wziąć.

– Dobrze, moja sąsiadka... Uśmiechnęłam się.

– Sąsiadka. Doskonale. Cieszę się, że ktoś z tego skorzysta.

Kobieta wetknęła sobie paczkę pod pachę i ruszyła w dalszą drogę potrącana i popychana przez tłum.

Tego popołudnia usłyszałam wiele takich historii i miałam nadzieję, że odpocznę pod koniec dnia, ale tłum był jeszcze większy. Co gorsza, temperatura spadła, a to uświadomiło mi, że sama nie mam płaszcza.

Mama przez pomyłkę dodała nasze płaszcze do zebranych na potrzeby akcji i zostałam bez wierzchniego okrycia. Zerwał się wiatr i zaczął strącać płaszcze ze śliskich wieszaków.

Pochyliłam się, by podnieść jedną z kurtek, i zamarłam. Nie mogłam nie zauważyć w tłumie Paula, który górował nad większością ludzi i teraz przepychał się w moją stronę. W pierwszym odruchu chciałam wmieszać się w tłum i uniknąć spotkania, ale kto by pilnował stoiska? A Paul i tak pewnie już o wszystkim zapomniał, pomyślałam. Ma teraz nowe życie. W którym nie ma dla mnie miejsca.

Gdy podszedł bliżej, musiałam znów przyznać przed sobą, że w fioletowej aksamitnej marynarce wygląda doskonale. Widać było, że zaczął jeść – nadal był szczupły, lecz powoli nabierał ciała.

Paul dopchał się w końcu do stoiska i teraz tłum rozlewał się wszędzie wokół nas. Wyciągnął przed siebie mały tweedowy pszenicznocioty płaszcz z przypiętą do klapy zblakłą trójkolorową wstążeczką.

Wzięłam go, uważając, by nie dotknąć ręki Paula. Jeden dotyk i wróciłoby wszystko. Ból też. Mogło zrobić się jeszcze gorzej.

– Pamiętasz mnie jeszcze? – zapytał.

Minęły prawie dwa lata, odkąd widzieliśmy się ostatni raz przy jego kuchennym stole.

– Dziękuję za dar, monsieur. Proszę w zamian wybrać inny płaszcz.

Oczywiście był to płaszczyk Pascaline. Cienki i lekki. Mieszanka wełny i bawełny? Rękawy dwukrotnie popuszczano – wokół każdego mankietu zostały po tym dwie linie koloru grafitu – a tweed został w dwóch miejscach zacerowany drobnym, równiutkim ścięciem. Rena.

– Przykro mi, że musisz ze mną rozmawiać, Caroline. Wyraźnie nie masz na to ochoty.

– Mamy wiele dobrych płaszczy... – Czy mogłabyś na mnie spojrzeć? – Dotknął warg palcami wolnej ręki. Paul nerwowo? To coś nowego. Aksamit na łokciu jego marynarki był przetarty. Czyżby Rena dbała o to, by naprawić i jego ubranie?

Paul wyciągnął do mnie dłoń.

– Było mi bez ciebie strasznie źle, C.

Odsunęłam się. Grał? Ostatecznie był w tym dobry.

– Może pan wybrać dowolny płaszcz... Dlaczego nie mogłam przestać gadać o płaszczach?

Paul podszedł bliżej.

– Zmierzam w złym kierunku, Caroline.

Jeżeli grał, robił to niezwykle dobrze. Ewidentnie źle ostatnio sypiał. Poczułam, że to ponad moje siły, więc odwróciłam się, by przytrzymać chwiejający się na wietrze wieszak.

Paul chwycił mnie za rękę i odwrócił w swoją stronę.

– Przeczytałaś chociaż moje listy?

Strząsnęłam jego dłoń.

– Byłam zajęta. Dlaczego miałabym przedłużać ból? Powinieneś zobaczyć teraz mieszkanie. Mama gotuje bawełnę na kuchence... – Gdybyś je przeczytała, wiedziałabyś... – Szkoda, że nie widziałeś, jak miesza w kotle kajakowym wiosłem.

Odwróciłam się i poprawiłam płaszcz. Nie zrezygnował.

– Więc to koniec? Nigdy już nie będziemy razem? – Przez chwilę wydał mi się wyższy.

Do twarzy mu było z niedolą. Zarośniętą, nieporządną, uroczą niedolą. Zapięłam mały różowy płaszczyk.

Cofnął się.

– Musiałem cię zobaczyć, gdy przeczytałem, że tu będziesz.

Przejechałem autostopem całą drogę z Rouen... – To lepiej się już zbieraj. Zanoszą się na deszcz.

– Czy jest ktoś inny? Słyszałem, że widziano cię z jakimś mężczyzną... – Co?

– Trzymaliście się za ręce. W Café George. Znają cię tu, Caroline. Wieści się rozchodzą. Jesteś mi przynajmniej winna wyjaśnienie.

Jadłam obiad z jednym z wielbicieli mamy, brodatym hrabią z Amiens, o przynajmniej dwadzieścia lat starszym ode mnie. Był niepokojony, że mama nie miała dla niego czasu. Połowę obiadu spędził, trzymając mnie za rękę i prosząc o pomoc, przez co całkowicie wystygła mi zupa.

– Jak możesz być tak bezduszna, Caroline?

– Bezduszna?

– Nie mogę nawet pracować, a ty rozstawiasz się z tą całą akcją charytatywną, jakbym nic dla ciebie nie znaczył.

Z tą całą akcją charytatywną? Irlandzki temperament sprawił, że mimo chłodu poczułam na plecach gorące ciarki. Odwróciłam się do

niego.

– A jak bezduszny byłeś ty, gdy zdecydowałeś się na dziecko? – zapytałam.

– Wiedziałaś, że jestem żonaty... – To nie ma znaczenia, Paul. Mówiłeś, że dzieci wszystko komplikują, pamiętasz? „W życiu aktora nie ma na nie miejsca”.

– Takie rzeczy czasami się zdarzają. Dorośli muszą sobie z nimi radzić. Chyba że są bogatymi, zepsutymi... – Zepsutymi? Naprawdę? Czy oznaką zepsucia jest odrzucić własne szczęście na rzecz dziecka, którego się nawet nie zna? Czy masz pojęcie, jakie to uczucie budzić się każdego ranka, wiedząc, że jesteś ze swoją rodziną, a ja nie mam nikogo? Więc nie mów mi nic o bezduszości.

Dopóki nie owinął mnie swoją marynarką, nie wiedziałam nawet, że drzę.

– Bądź rozsądna, Caroline. Czy kiedykolwiek jeszcze damy radę trafić na coś takiego, co nas łączy?

– Racja – powiedziałam w jego bawełnianą koszulę. – Niewykluczone, że jesteś ostatnim mężczyzną w Paryżu.

Zaśmiał się i przyciągnął mnie bliżej.

– Tęsknię za tobą, C. – Jego niebiański zapach otoczył mnie, a on trzymał mnie w mocnym uścisku.

Tęskniłam za tą piżmową wonią sosny i skóry. Oparł wargi o mój policzek.

– Chodź, pójdziemy coś zjeść – powiedział. – Nawet ten tragiczny zespół nie zagłusza burczenia w twoim żołądku. Jeden z moich przyjaciół prowadzi knajpkę w Dzielnicy Łacińskiej. Spodoba ci się.

Zrobił tartę z jabłkami. I prawdziwym crême fraîche.

Jak cudownie byłoby wsunąć się z Paulem do kabiny w knajpce, usiąść tuż obok siebie na skórzanej kanapie, jak tyłu kochanków przed nami. Karta byłaby skromna, ale na pewno mieliby w niej ciepły chleb i wino. Moglibyśmy porozmawiać o wszystkim. Która crême fraîche jest najlepsza? Z południowo-wschodniej czy południowo-zachodniej Francji? W jakich sztukach powinien zagrać? Tak bardzo mnie kochał. Ale co potem? On wróciłby do domu, do rodziny, a ja byłabym w jeszcze gorszym stanie niż teraz.

– Przyjadę do Nowego Jorku – powiedział Paul, czułam jego miękkie usta przy uchu. – Będzie jak dawniej.

Naparł na mnie torsem i dzieliły nas tylko jego jedwabna koszula i moja bawełniana sukienka.

– Nie możesz tak po prostu stąd wyjechać, Paul.

Nawet gdyby nie miał rodziny, nic nie byłoby tak jak dawniej. Świat zmienił się nie do poznania.

Paul cofnął się, spojrzął na mnie z pewnej odległości i uśmiechnął swoim najbardziej niebezpiecznym uśmiechem.

– Będę musiał wrócić do Nowego Jorku. Broadway znów obsadza.

Odsunęłam się i zadrzałam, gdy wiatr wydał dół mojej sukienki. Czy chciał użyć mnie jako wymówki,

by wymigać się od nowych obowiązków? Chciał mnie czy ucieczki przed rodziną?

– No, C? Moglibyśmy zagrać w czymś razem. Myślałem o Szekspirze. Porozmawiajmy o tym przy kolacji.

Poczułam zimną kroplę na dłoni. Musiałam przenieść płaszcz pod markizę sklepu.

– Musisz wracać do rodziny, Paul.

Cofnął się.

– Dprowadzasz mnie do pasji.

– Jesteś ojcem.

– Ale ja cię kocham... – Kochaj swoją córkę. Jeśli tego nie potrafisz, to znaczy, że zrezygnowałam z ciebie na próżno. Więc jeśli będziesz musiał, graj. Szybko przekonasz się zresztą, że to prawdziwe uczucie. – Dotknąłem rękawa jego marynarki. – To proste. Wystarczy, że będziesz. Kiedy obudzi się ze strachem w nocy. Gdy nie pójdzie jej w szkole.

– Rena nie chce, bym zajmował się małą... – Ale twoja córka tego chce. Chce, żebyś nauczył ją żeglować, pokazywał się z nią w parku. Nie masz pojęcia, ile znaczy twoja miłość, Paul. Bez niej twoja córka zakocha się w pierwszym lepszym chłopaku, który powie, że ją kocha, a potem złamie jej serce.

– Dlaczego mamy odrzucić to, co nas łączy? Ta wasza pielgrzymia etyka jest śmieszna.

– Purytańska – poprawiłam.

– Wątpię, czy dam radę.

– Dasz. Zabawna rzecz ten smutek. Z czasem przychodzi łatwiej.

Podaliśmy mu paczkę w białym papierze.

– To doskonały płaszcz – powiedziałam. – Trochę za duży, ale szybko do niego dorośnie.

– Kocham cię, C. I jestem uparty, wiesz?

– Kochaj ją, Paul. Jeśli nie dla siebie, to dla mnie.

– Pewnego ranka obudzisz się ze świadomością, że popełniłaś

straszny błąd.

Powstrzymałam się od uśmiechu. Bo czy nie budziłam się z tą myślą każdego ranka?

Paul przyglądał mi się przez dłuższą chwilę, po czym zdjął marynarkę i narzucił mi ją na ramiona. Miał na sobie tylko starą białą koszulkę, gdzieniegdzie poprzecieraną. Niewątpliwie jeszcze przedwojenną, bo wisiała na nim luźno, ale nawet tak wychudzony wyglądał w niej tak, że kobiety zaczęły się za nim oglądać.

– Na tobie zawsze wyglądała lepiej – powiedział.

Przyjemnie było poczuć na skórze jego ciepło promieniujące z satynowej podszewki.

Paul ucałował mnie w oba policzki i wziął paczkę. Pogładziłam palcami aksamitną klapę kieszeni. Była w odczuciu miękka niczym ucho kota.

Podniosłam wzrok i dostrzegłam jeszcze piękne plecy Paula, gdy torował sobie drogę przez tłum, a potem zaczęłam usuwać wieszaki z deszczu.

W następnych miesiącach Paul przysłał jeszcze kilka listów, a ja starałam się szukać ucieczki w wolontariacie. Przynajmniej miałam mamę, choć wiedziałam, że nie zostanie ze mną na zawsze. Nasze życie nabrało rutyny znanej wszystkim mieszkańcom domów starców – herbata z przyjaciółmi mamy, rozmowy obracające się wokół kwestii zapaleń krzyżowo-biodrowych, nieliczne sprawy załatwiane w imieniu Rogera i koncerty chórów kościelnych.

Dni stały się bezbarwne, niemal identyczne, więc wizyta przyjaciółek mamy, które zjawily się u nas pewnego dnia, wryła mi się w pamięć. Mama uprzedziła mnie, że wpadnie do nas jej przyjaciółka, Anise Postel-Vinay, aresztowana w czasie wojny za pracę we francuskim ruchu oporu i wysłana do obozu koncentracyjnego w Ravensbrück. To właśnie Anise i jej przyjaciółki założyły ADIR. Choć mama zareagowała wymijająco, gdy próbowałam poznać szczegóły, zgodziłam się wyświadczyć jej tę przysługę. Spodziewałam się, że Anise pojawi się u nas z prośbą o używaną odzież lub konserwy.

Tamtego dnia mama, która była właśnie w środku bardzo niefortunnej fazy na noszenie poncha, miała na sobie kaftanowy strój w czerwonej kratę, który uratowała skądś od zapomnienia. Paryżanie przyglądali się z zaciekawieniem zawsze, gdy mama wkładała poncho, jakby wyobrażali sobie ten twór tam, gdzie jego miejsce – rozpostarty na kawiarnianym stoliku pod talerzem dobrego sera.

Odezwał się dzwonek i mama wprowadziła Anise. Za nimi weszło dwóch mężczyzn niosących płócienne nosze, na których leżała jakaś kobieta owinięta w biały, bawełniany koc.

– Dobry Boże – powiedziałam.

Anise, przystojna, bardzo rzeczowa kobieta, usadowiła się na leżącym w naszym salonie dywanie z Aubusson i poprawiła krótko ścięte włosy.

– Dzień dobry, madame Ferriday. Dokąd mają ją zanieść?

Cofnęłam się o krok.

– Ona zostaje? Tutaj? Nic o tym nie wiedziałyśmy.

Mama podeszła do noszy.

– Anise prosiła, żebyśmy pomogły jej przyjaciółce z Polski – wyjaśniła. – Jest nieprzytomna, Anise?

Anise położyła dłoń na przykrytej kocem nodze kobiety.

– Pod wpływem silnych środków usypiających. Właśnie przyleciała z Warszawy.

– Powinna trafić do szpitala, madame Vinay – stwierdziłam.

– Nazywa się Janina Grabowska. Poznałam ją w obozie koncentracyjnym w Ravensbrück. Niemieccy lekarze przeprowadzali na niej operacje. – Anise przyłożyła dłoń do czoła kobiety. – Musimy zająć się tym po cichu. Wywieziono ją z Polski, cóż... bez wiedzy władz.

Miałyśmy przyjąć chorą uciekinierkę z Polski?

– Nie mogli jej pomóc w Warszawie?

– Warszawa została niemal zrównana z ziemią, panno Ferriday.

Opieka zdrowotna w Polsce praktycznie nie istnieje. Brakuje antybiotyków.

Anise odrzuciła koc skrywający nogę kobiety. Pod opatrunkiem infekcja rozwijała się w najlepsze.

– Niech panowie zabiorą ją od razu do mojego pokoju – powiedziała mama. – Natnę świeżych bandaży.

– Mama w końcu mogła dać upust swoim pielęgniarским zapędom odziedziczonym po Woolseyach. – Sprowadzimy do niej naszego lekarza.

Przytrzymałam nosze dłońią.

– Proszę czekać. Słuchałam w BBC relacji z procesu. Niemcy mają wypłacać reparacje... – Nie jej, panno Ferriday. Niemcy postanowiły nie uznać suwerenności Rzeczypospolitej Polskiej.

Uważają, że ten kraj jest częścią Rosji.

– To niedorzeczne.

– Janina to wspaniała kobieta. Kiedyś oddała mi leki, które sama

mogła zażyć. Dzięki temu stoję tu teraz. Dzisiejszego ranka wycierpiała więcej, niż pani kiedykolwiek wycierpi w swoim życiu, i niewykluczone, że umiera, gdy my prowadzimy tę rozmowę.

Dałam znać sanitariuszom.

– Cieszymy się, że możemy jej pomóc – powiedziałam.

– Świetnie. Dziękuję, mademoiselle.

Podeszłam do okna.

– Proszę położyć ją w moim łóżku. Pierwsze drzwi na lewo.

Mężczyźni przenieśli nosze korytarzem wprost do mojej sypialni, a mama poszła za nimi. Gdy odchodzili, zobaczyłam krew przesiąkającą przez koc. W co my się wpakowałyśmy?

– Jesteśmy do pani dyspozycji, madame Vinay – stwierdziłam.

Anise podeszła do drzwi.

– Pani matka zapewniała, że będzie pani chciała pomóc. – Odwróciła się i prawie uśmiechnęła. – To dobrze, bo tam, skąd przywieźliśmy Janinę, są jeszcze sześćdziesiąt dwie takie jak ona.

CZEŚĆ TRZECIA

Rozdział 37

Kasia

1957

Pewnego wieczoru po ostatniej zmianie w szpitalu poszłam odebrać Halinę ze świetlicy. Szkolna świetlica mieściła się w jednym z państwowych ośrodków opieki nad dziećmi. W tamtym czasie w Lublinie każde dziecko, którego rodzice pracowali, było zapisywane do świetlicy, gdzie wraz z rówieśnikami spędzało popołudnia, ucząc się matematyki, czytania i wykładni partii komunistycznej.

Szłam w kierunku świetlicy, do której chodziła Halina, mieszczącej się w smutnej kamienicy zajętej przez partię. W beżowym, ponurym budynku cuchnęło gotowanymi ziemniakami i kapustą, smrodem, który odrzucał mnie ciągle, mimo że od Ravensbrück minęło dwanaście lat. Ale przynajmniej państwo opłacało te zajęcia.

Czekając, aż dzieci skończą zajęcia, oparłam się o ścianę, by dać odpocząć nodze, i przyjrzałam się swojej nowej bransoletce, koncepcji, która zrodziła się w czasie moich rozmów z ojcem Skałą. Ojciec Skała, bliski przyjaciel taty, dawniej był proboszczem naszej parafii, a teraz przebywał już na emeryturze. Za namową Zuzanny udałam się do niego po radę, bo obowiązki matki wyraźnie mnie przerastały. Próbując godzić pracę, opiekę nad córką z obowiązkami żony, bywałam przemęczona i coraz częściej traciłam nad sobą panowanie. Ojciec Skała zaproponował, żebym, oprócz uciekania się do modlitwy, nosiła na nadgarstku gumkę, z której będę strzelać, kiedy poczuję, że ponoszą mnie nerwy.

Nosiłam zatem smutno czerwony pasek na nadgarstku i codziennie często robiłam z niego użytek. Pod koniec tygodnia mój nadgarstek był obolały od tych trzaśnień.

– Żadnego biegania – upomniała dzieci towarzyszką Janda, opiekunka grupy Haliny, gdy te rzuciły się w stronę rodziców.

Moja córka wyróżniała się w tłumie. Miała złote włosy mojej mamy i była odrobinę wyższa od większości dzieci. Halina miała dziesięć lat, ale uczyła się z dziećmi młodszymi o rok. Ponieważ nie mogła nauczyć się tabliczki mnożenia, nie otrzymała promocji do czwartej klasy. Ucieszyłam się na jej widok – oto moja nagroda, prezent od Boga za wszystko, co przeszłam. Dzieci podeszły spokojnie do rodziców i przywitały się z nimi

grzecznie w wyuczony sposób. Halina podała mi rękę i pocałowała chłodno w policzek. Pachniała cudownie, sobą, mydłem i świeżym powietrzem, mimo czasu, jaki spędziła w tym okropnym miejscu.

– Dobry wieczór, mamó – powiedziała.

Towarzyszka Janda z uśmiechem obserwowała procedurę przejmowania dzieci i z zadowoleniem skonstatowała, że rodzice czekali na wszystkie. Potem zaczęła przygotowywać do wydania następną gromadkę.

– A może prawdziwe buzi dla mamy, Halinko? – zapytałam.

Podała mi swoją drobniutką rączkę.

– Wiesz, że tak nie wolno.

Poszłyśmy w kierunku drzwi. Jaka ona stała się poważna!

– Zatem jak się ma dziś najwspanialsza córcia na świecie?

– Nie bardziej wspaniała niż inne – powiedziała Halina.

– Lepiej ci dziś minęło leżakowanie? – W świetlicy dzieci musiały jeść, odpoczywać, a nawet korzystać z toalety na zawołanie.

– Po prostu udawałam, że śpię – wyznała.

W latach pięćdziesiątych Polska Zjednoczona Partia Robotnicza, rządząca z ramienia Moskwy, sprawowała już pełnię władzy. Choć Stalin nie żył już od kilku lat, w polityce nic się nie zmieniło.

W Jałcie obiecał aliantom, że pozwoli zorganizować wolne wybory w krajach Europy Wschodniej i zezwoli na wprowadzenie tam demokracji, ale ostatecznie w każdym z nich utworzono rządy partii komunistycznej i Polska nie była wyjątkiem. Wybory były fałszowane, nie działały żadne niezależne partie polityczne, a krytyka PZPR była surowo zabroniona. Mnie przeniesiono na oddział ratunkowy nowego szpitala, a Piotrek dostał przydział do nowej fabryki otwartej na obrzeżach Lublina, dokąd dowożono go dzień w dzień autobusem.

– Porozmawiam z nauczycielką – powiedziałam. – Musi zadbać, żebyś się wysypiała. – Dziecko odprowadzane do świetlicy na piątą rano i odbierane po siódmej wieczorem musiało spać w ciągu dnia.

– Nie, mamó. Nie jestem już małym dzieckiem. Poza tym to skończy się tylko tym, że towarzyszka Janda znów każe mi stać na końcu kolejki po obiad. No i mnie to pasuje. Mam czas, żeby pomyśleć, co namaluję w niedzielę.

Mijałyśmy właśnie kolejkę do piekarni, a ja poczułam, jak moja noga znów daje o sobie znać.

– Nie mamy farb, Halino.

– Ale mamy pędzle twojej mamy.

– Jak ci poszło na matematyce?
– Towarzyszka Janda przygotowała nam fiszki. Będę siedzieć w młodszych klasach do końca życia przez matematykę. Nienawidzę tabliczki mnożenia.
– Pielęgniarka musi codziennie wykonywać obliczenia.
– Babcia Marta powiedziała, że kupi mi farby na imieniny.
– Kiedy będzie sprawdzian? – zapytałam.
– Nie wiem – odparła Halina. Podniosła z ziemi jakiś kij i zaczęła rysować nim linie na poboczu.
– Czy towarzyszka Janda pozwoliła ci dołączyć do drużyny „Niebieskich”?

– Tak.
– Bez żadnych problemów?
– Tak. Od kiedy powiedziałam jej, że nie ma dowodów na zmartwychwstanie Jezusa, pozwala mi na wszystko.
Zatrzymałam się, przez co łydka zaboląła mnie jeszcze mocniej.

– Kto ci to powiedział? – spytałam.
– Nie wiem – odparła, wzruszając ramionami.
Postanowiłam porozmawiać o tym zaskakującym wyznaniu z towarzyszką Jandą. Szkoła miała nie ingerować w nauczanie religii. Wystarczało, że musieliśmy przemykać się na msze. Każde wyjście do kościoła było odnotowywane w aktach człowieka, a państwo opłacało ludzi, którzy tego pilnowali.

Świetlica znajdowała się dwadzieścia minut spacerem od naszego mieszkania. Po całym dniu na nogach na oddziale ledwie stałam, a rana z obozu dawała mi się mocno we znaki, ale i tak miałam więcej szczęścia niż większość ludzi, bo do świetlicy mogłam dojść na piechotę. Wiele pielęgniarek dostało przydziały poza miastem, mieszkały w hotelach robotniczych i dzieci widywały tylko w dni wolne od pracy.

Mieliśmy też szczęście, że tata, jakimś cudem nadal zatrudniony na poczcie, zdołał zameldować nas w swoim mieszkaniu. Piotrek, Halina i ja zajęliśmy mój dawny pokój; Zuzanna spała w swojej pokojówce, do której weszło tylko łóżko, a tata i Marta – choć starałam się o tym nie myśleć – spali w sypialni, którą on kiedyś dzielił z mamą.

Od progu powitał nas zapach maślanego ciasta. Marta znów piekła ulubione ciastka Haliny, kołaczki.

Halinka podbiegła do niej.

– Babciu!

– Moje małe ciasteczko – powitała ją Marta, odwracając się od

piekarnika i biorąc Halinę w ramiona.

– Kupiłaś mi farby? – zapytała Halina.

– Halinko! – upomniałam ją. – Tak nie można.

– Nic się nie stało – powiedziała Marta, sadzając jednocześnie Halinę za stołem z talerzem pełnym morelowych kołaczków. – To tylko mała dziewczynka.

– Powinna wiedzieć, jak się zachować – upierałam się.

Poszłam krótkim korytarzem do naszego pokoju. Miałam wrażenie, jakby przy każdym kroku moją łydkę przebijał gorący pogrzebacz. Stare łóżko przestawiliśmy na bok, a pod drugą ścianą stanęło małe posłanie Haliny, w którym zresztą spałam z nią przez większość nocy. Kiedy zaczęliśmy sypiać z Piotrkim osobno? Piotrek siedział teraz na łóżku, ciągle w szarym, fabrycznym kombinezonie, i czytał książkę. Pracował teraz w fabryce odzieży damskiej Lubgal, otwartej w Helenowie, nowej dzielnicy na obrzeżach miasta. Fabryka miała własne technikum i dysponowała pulą mieszkań pracowniczych.

Zapisałiśmy się nawet na listę do przydziału.

Dziwnie to zabrzmiało, ale uwielbiałam te kombinezony. Wyglądał w nich wyjątkowo dobrze, bo podkreślały jego mocne ramiona i długie nogi.

– Co czytasz? – zapytałam. Noga bardzo mnie bolała i najbardziej na świecie chciałam się teraz wyciągnąć na łóżku.

Piotrek nie odpowiedział. Książka była obłożona w brązowy papier, ale domyśliłam się, że to Doktor Żywago, jedna z wielu zakazanych przez cenzurę książek. Przyjaciół Piotrka, Aleksander, został aresztowany za czytanie eseju Thoreau O obywatelskim nieposłuszeństwie, więc Piotrek uważał, gdzie czyta.

Rzuciłam torbę na łóżko.

– Jak było w pracy?

– Zabrali dzisiaj Symbańskiego. Prosto ze stanowiska. Nie wyrobił normy. Dał im butelkę wódki, ale i tak go zabrali.

– Musimy żyć, jak się da... – Potrzebujemy trzeciej wojny światowej, ot co.

Zdjęłam fartuch pielęgniarki, zostałam w samej halce. Robiłam tak, odkąd Piotrek powiedział mi, że wyglądam jak Myrna Loy.

– Halina musi pouczyć się do sprawdzianu z matematyki. Możesz jej pomóc?

Piotrek nie podniósł wzroku znad książki.

– Czy to ważne, co dostanie? I tak skończy na taśmie obok mnie.

– Jeśli weźmie się za medycynę... – Daj jej spokój. – Piotrek zagiął

róg kartki, żeby zaznaczyć, gdzie czytał. – I przestań zadrećać jej nauczycielkę.

Ściany pokoju zaczęły zamykać się nade mną. Trzasnęłam gumką. Rozbolał mnie od tego nadgarstek, ale nerwy nie opadły.

– Nikogo nie zadrećam – odpowiedziałam.

– Zanim się zorientujesz, wpiszą cię na jakąś listę. Nawet ojciec nie da rady ci pomóc, nieważne, czy jest z Kremlem za pan brat.

Dotknęłam ramienia Piotrka.

– Zrozum, muszę móc mieć wpływ na życie mojego dziecka.

Spróbujmy znaleźć trochę czasu, żeby porozmawiać o tym na osobności...

– Ciszej, Kasiu. – Piotrek rzucił książkę na łóżko i podszedł do drzwi. – Marta aż za dobrze wie, co się u nas dzieje.

Wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Lubił zbuntować się od czasu do czasu. Gumka nie pomogła, wzięłam wdech, żeby się uspokoić.

Gdy usłyszałam, że Zuzanna wraca z pracy, szybko się przebrałam. Wyszłam z pokoju akurat, gdy całowała Halinkę w czubek głowy i podkradała jej kołaczki z talerza.

– Jadłaś coś dzisiaj? – zapytałam Zuzanny.

– Niektórzy witają się z siostrami w sposób bardziej przyjęty – powiedziała, krzywo się uśmiechając.

Miała podkrążone oczy.

– Jak było w szpitalu? – zapytała Marta.

– Dobrze – odparła Zuzanna. – Chyba uda się wywalczyć dziesięć nowych łóżek.

– I to te dobre wieści? – zapytałam.

– Więcej pracy za te same pieniądze – skomentował Piotrek.

Zauważyłam leżące koło talerza Haliny blaszane pudełko z farbami. Wymyślna brytyjska marka.

– Skąd masz farby? – spytałam, starając się panować nad głosem. Na pewno nie ze sklepu. Nie było żadnych prywatnych sklepów, państwowe nie sprzedawały zagranicznych marek. To pudełko pochodziło z czarnego rynku.

– Poprosiłam znajomego, żeby je załatwił – wyznała Marta. –

Wcześniejszy prezent na imieniny... – Powiedziałam, żadnych farb.

– Opuść – mruknął pod nosem Piotrek.

Zamknęłam oczy i nabrałam powietrza.

– Oddaj mi farby, Halino.

– Kasiu – zaprotestowała Zuzanna, kładąc mi dłoń na ramieniu.

Odrąciłam ją. Wtedy zauważyłam, że spod talerza Haliny wystaje

końcówka pędzla z sobolowego włosia. To był pędzel do akwarel mamy, jej Kolinsky, którego metalowa nasadka błyskała teraz spod talerza.

– Skąd to masz? – spytałam, ledwie łapiąc oddech.

– Babcia Marta mi dała – powiedziała Halina.

Marta zrobiła krok w moją stronę.

– Ona ma taki talent... – Oddaj mi ten pędzel, Halino – zażądałam, wyciągając rękę przed siebie z dłonią uniesioną do góry.

Halina zacisnęła palce na pędzlu i położyła go sobie na kolanach.

– Daj mi to – powtórzyłam, podchodząc bliżej.

– Opuść – powtórzył Piotrek.

Krew pulsowała mi w uszach, serce łomotało w piersi. Halina wstała i pobiegła do Marty, ściskając kurczowo farby i pędzel.

– Daj mi to – powiedziałam po raz kolejny.

– To moja wina. – Marta otoczyła moje dziecko ramieniem.

Złapałam pędzel.

– Nie – zaprotestowała Halina, ciągnąc go w swoją stronę.

– Jestem twoją matką. Masz mnie słuchać. Nie towarzyszki Jandy.

Nie babci Marty. Mnie.

Halina nie ustąpiła, przyciskając farby i pędzel do piersi.

– Nie.

– To tylko... – zaczęła Marta.

– Trzymaj się od tego z dala. Chociaż raz pozwól mi rozmówić się z własnym dzieckiem. – Znów wyciągnęłam rękę. – Halino, oddaj mi farby.

– Nigdy – powiedziała Halina zdecydowanie, patrząc mi przy tym prosto w oczy.

To nie mogła być moja dłoń. Nie zdążyłam przecież nawet pomyśleć, ale stało się – zanim się opamiętałam, uderzyłam ją w twarz. Natychmiast tego pożałowałam, jednak czasu nie dało się już cofnąć.

– Kasiu – powiedział Piotrek nie tyle oskarżycielsko, lecz gorzej – tonem pełnym rozczarowania.

Halina nawet nie płakała. Po prostu upuściła pędzel i farby tam, gdzie stała. Podniosłam lakierowany na czarno pędzel w obie dłonie i przełamalam na oparciu krzesła. Trzasnęło satysfakcjonująco. Ze złamanych końcówek sterczały drzazgi, które wyglądały trochę jak kocie wąsy.

Wycofałam się do sypialni, cała drżąca ze wstydu, i spojrzałam na łóżko, które dzieliłam z Halinką. Jej pluszowy miś siedział wyprostowany na poduszce. Położyłam się i przytuliłam go do piersi. Pachniał Haliną. Słodczą i ucziwością. Jak stałam się taką matką?

Po chwili drzwi sypialni otworzyły się i do środka weszła Marta. Usiadłam z westchnieniem.

Zamknęła za sobą.

– Pewnie jestem ostatnią osobą, jaką chcesz teraz oglądać, ale nikt inny nie chciał tu przyjść.

– Marto, proszę... to nie jest... – Kasiu, obserwuję cię od dwunastu lat i rozumiem znacznie więcej, niż ci się może wydawać.

– Nie czuję się dobrze. Noga... – Rozumiem, że mama cię uwielbiała. Że ją straciłaś, ale choć to straszne, musisz iść dalej. Pora spojrzeć prawdzie w oczy.

– Prawdę mówiąc, wchodzisz w moje kompetencje. Tylko ja mam prawo upominać własne dziecko.

Wystarczy, że jej gotujesz i dajesz prezenty.

– Twoja córka potrzebuje miłości.

– Nie pouczaj mnie. Przecież ją kocham.

– Musisz być ponad to i okazać jej tę miłość. – Marta usiadła na łóżku obok mnie. – Nie dasz rady zmusić Haliny, by stała się kimś, kim nie jest.

– Sztuka nie przynosi niczego dobrego.

– To, co przydarzyło się twojej mamie, było straszne, ale nie możesz żyć tym wiecznie.

– Chciałabym odpocząć.

– A twój mąż? Potrzebna mu pomoc, Kasiu. To twoje życie, ale twoja mama na pewno chciałaby, żeby Halince niczego nie brakowało. Prześpimy się dziś z tatą u znajomych. Piotrek i Halina będą spać u nas, więc będziesz miała trochę czasu na przemyślenia. Masz wybór. Możesz dalej nurzać się w rozmyślaniach nad niesprawiedliwością losu lub stać ponad to. Napraw to, co się dzieje. Pozwól innym zbliżyć się do siebie.

– Łatwo ci mówić. To nie twoje brzemię. Nawet nie możesz nazywać się matką.

Marta podeszła do drzwi.

– Ani ty, moja droga.

Wyszła, a ja po raz pierwszy od tak dawna miałam pokój wyłącznie dla siebie. Ciche miejsce, by pomyśleć i poukładać się ze sobą. Spojrzałam na gumkę zwisającą mi z nadgarstka. Od tej chwili postanowiłam polegać na własnej zaradności i działać w zgodzie z intuicją.

Nim zasnąłam, miałam już plan działania. Wiedziałam, że chcę wszystko naprawić. Poszukam pomocy,

pozwolę innym zbliżyć się do siebie. Będę spędzać więcej czasu z

Halinką. Razem z Piotrkim poszukamy okazji, by być razem. Przeżyłam Ravensbrück. Przecież zwykłe życie nie może być trudniejsze.

Rozdział 38
Caroline
1957–1958

Po opuszczeniu Paryża zjechałyśmy z mamą pół świata. Odwiedziłyśmy Indie i Włochy. Popłynęłyśmy do wybrzeży Szkocji. Pierwszą rzeczą, do jakiej wzięłam się po powrocie do Nowego Jorku, było zorganizowanie kwietniowego balu paryskiego. Miało być to wyszukane przyjęcie, na którym chcieliśmy zebrać środki dla wielu instytucji charytatywnych, tak francuskich, jak i amerykańskich, w tym na mój nowy Komitet Królików z Ravensbrück. Odkąd Anise Postel-Vinay wprowadziła mnie w sprawę, minęło ponad dziesięć lat, ale mama i ja bardzo zżyłyśmy się z tym problemem i regularnie wymieniałyśmy listy z Polkami. Na balu miała pojawić się Wallis Simpson, znana oficjalnie jako księżna Windsoru, amerykańska rozwódka, która poślubiła niegdysiejszego króla Wielkiej Brytanii, Edwarda VIII, a ja miałam zamiar poprosić ją o wsparcie.

Sala balowa w hotelu Waldorf nigdy nie wyglądała lepiej. Stawiły się wszystkie zaproszone gwiazdy Hollywood i cała rzesza ważnych osobistości w Waszyngtonu. Teraz goście krążyli ze szklankami koktajlowymi w dłoniach, wymieniając pozdrowienia. Uwagę wszystkich kradła jedna kobieta.

Wszystkie bez wyjątku oczy śledziły każdy krok Marilyn Monroe.

Betty i ja pracowałyśmy jak szalone w imieniu komitetu, żeby zmienić hotelową salę balową w wyobrazenie manhattańskiej matrony na temat francuskiej krainy bajek. Wokół pustego parkietu stały zastawione stoły. Nad parkietem kazałyśmy rozwiesić łańcuchy z trójkątami w trzech kolorach i zaplanowałyśmy przeciągnięcie ogromnego, złotego posągu generała Lafayette na koniu na sam środek parkietu. Posąg wyglądał, jakby generał wynurzał się na stojącym dęba koniu prosto z morza białych lilii.

Komitet dekoracyjny był dobrze zaopatrzony, bo wiadomo było, że będzie musiał ponosić wszystkie wydatki. Panowie przyszli we frakach, panie ubrane były na biało, czerwono lub niebiesko. Marilyn Monroe zjawiała się w wyszywanej cekinami w kolorze nocnego nieba sukni, która doskonale podkreślała jej walory.

Sama czułam się jak syrena ekranu, w sukni od Schiaparellego w kolorze błękitnej hortensji z zalotnym, małym trenem, który zamiatał podłogę, gdy przechodziłam wzdłuż stołów, wykonując ostatni z obowiązków dekoratora sali. Uznałam, że jak na kogoś, kto przekroczył już pięćdziesiątkę, trzymam się naprawdę dobrze.

Przy każdej wizytówce z żeńskim nazwiskiem kładłam czerwoną różę pozbawioną kolców. Czułam się trochę jak podczas lektury Who's Who największych gwiazd ekranu i pierwszych skrzypiec świata polityki: senator John Kennedy. Jacqueline Kennedy. Szanowny pan Winston Guest. C.Z. Guest. Raymond Bolger. Gwendolyn Bolger.

Szanowny pan Paul Rodierre.

Poczułam, jak spływam zimnym potem. Paul? Jakim cudem o tym nie wiedziałam? Ostatni raz widzieliśmy się dziesięć lat temu. Obok niego miała usiąść jakaś Leena Rodierre. Wziął znów ślub?

Cudownie. A co z Reną? Ułożyłam różę dla Leeny i skończyłam tak szybko, jak potrafiłam, by móc wreszcie oddalić się od miejsca, w którym miał siedzieć Paul. Widywałam od czasu do czasu jego nazwisko to tu, to tam w związku z kolejnymi rolami, ale nigdy nie oglądałam jego filmów. Co mogłam mu powiedzieć?

Aktorska para z Francji, Jean Marais i Françoise Arnoul, odziana w mundury francuskich wojsk, otworzyła wieczór, wjeżdżając na salę w powozie ciągniętym przez dwa czarne konie. Obserwowałam to widowisko, kiedy dołączyła do mnie Betty, promienna, w sukni z organzy w kolorze szarego błękitu, i podała mi kieliszek szampana.

– Poczekaj, aż zobaczysz tegoroczne prezenty, Caroline. Wszystkie od Diora. I wreszcie dobry kawior... Torby z prezentami dla gości były raczej wypchanymi po brzegi walizkami, pełnymi wszelkich luksusowych dóbr, tak wielkimi, że goście potrzebowali pomocy tragarzy, by odnieść je do samochodów.

– Wierzysz, że zobaczymy wszystkich tych sławnych ludzi przemysłu filmowego? Gdybyś została przy aktorstwie, pewnie grałabyś w wielkich produkcjach.

– Jak Gloria Swanson... – Cóż, dziś jesteś gotowa na ujęcia. Naprawdę wyglądasz cudownie. Szkoda, że nie można tego powiedzieć o biednej Wallis Simpson. To już skamielina. Widziałam ją dziś w toalecie. Pochwaliła moją suknię. „Czy to odcień Wallis blue?”, spytała. Naprawdę. Wszystko musi się wokół niej kręcić.

– Dobrze, że przysłała.

– Żadna łaska, Caroline. Mieszka na górze, w Towers. Personel musi

zwracać się do niej „Jej Królewska Wysokość”, chociaż oficjalnie nie ma praw do tytułu. No i księżę też tu jest. Wygląda na nieco skołowanego. Myślę, że Wallis trzyma go na lekach.

– Przynajmniej nasza sprawa zyska rozgłos.

– Tak sądzisz? To spróbuj oderwać dziennikarzy od Marilyn i Arthura.

– Zamierzam poprosić Wallis o wsparcie dla moich Polek.

– Powodzenia, Caroline. Ona jest skąpa jak diabli.

– Przecież cały czas zajmuje się z księciem akcjami charytatywnymi.

– O ile kamera to widzi. A skoro mowa o kamerach, miałam zamiar pozwolić ci to odkryć, ale Paul Rodierre jest tutaj.

Wypiłam pół kieliszka szampana jednym duszkiem, pozwalając bąbelkom zadziałać jak fajerwerki.

– Skąd wiesz?

– Widziałam go. U boku nowej żony. Jakaś młodziutka aktoreczka.

On trzyma się dobrze. Opalony jak bywalec Palm Beach. Pewnie oboje noszą gorsety. – Betty kątem oka obserwowała, jak zareaguję. – Tylko mi nie uciekaj.

– W porządku – powiedziałam, czując, jak żołądek wywija mi salta.

– Widziałam wizytówki. Nie mam mu nic do powiedzenia.

– Ale gdybyście mieli jednak rozmawiać, trzymajcie się z dala od noży.

– Nie bądź śmieszna – odparłam i opróżniłam kieliszek. Minęły całe lata od naszego ostatniego spotkania i teraz nic mnie już nie obchodził.

Betty poszła szukać męża, który, jak zauważyła, przepychał się przez tłum z dwoma kieliszkami szampana, a ja udałam się na poszukiwanie Wallis Simpson. Choć krążyły różne opinie na jej temat, wydawała się pełna współczucia. Spodziewałam się, że poruszy ją los polskich kobiet i udzieli nam wsparcia.

Przecisnęłam się przez tłum gości, a tren mojej sukni został przydepnięty przez niejednego lakierowanego buta. Odnalazłam Wallis z boku sali balowej z Rosemary Warburton Gaynor, żoną wybitnego chirurga plastycznego, doktora Williama C.T. Gaynora. Rosemary była przewodniczącą komitetu wydającego ten bal. Z bliska wyraźnie było widać, dlaczego Wallis piętnaście razy trafiła na listę International Best Dressed, najlepiej ubranych kobiet na świecie. Stała między filarami w kreacji z białych koronek Mainbochera i włosami zebranymi w ciasny kok. Mąż czekał w pobliżu, słuchając z roztargnieniem ambasadora Wielkiej Brytanii. Nie spuszczał wzroku z Wallis, jak wierny ogar, który tylko

czeka na znak swego pana.

Wallis i Rosemary stały obok siebie – dwie gazele przy wodopoju – zaledwie kawalek od Marilyn Monroe i jej męża Arthura Millera. Zatrzymałam się nieopodal, czekając, aż Rosemary zwróci na mnie uwagę. Wzięłam kolejny kieliszek szampana, żeby dodać sobie animuszu. Nie co dzień prosiłam księżnę Windsoru o datki.

Chwilę później cudowna Rosemary dostrzegła mnie i wyciągnęła dłoń. Wyglądała na zadowoloną, że mnie widzi.

– Caroline, chodź poznaj księżnę.

Ubrana w długą do ziemi białą suknię z marszczoną tkaniną, Rosemary przyciągnęła mnie bliżej.

– Wasza Miłość, czy mogę przedstawić? Moja przyjaciółka, Caroline Ferriday. Caroline Ferriday, pozwól, że ci przedstawię, Jej Miłość, księżna Windsoru.

Wallis zawahała się, wyciągnęła dłoń w satynowej rękawiczce. Ucisnęłam tę dłoń, zastanawiając się, jak zwracać się do rozwódki poślubionej królowi, który abdykował. Poszłam więc za przykładem Rosemary i zdecydowałam się na „Wasza Miłość”. O Wallis Simpson napisano już tyle, że czułam, jakbym znała ją od lat. Prasa szalała na punkcie jej życia, jej francuskiej couture, jej wielkich dłoni, pieprzyka na brodzie, lekceważącej postawy, a przede wszystkim biżuterii.

Rosemary wskazała na parkiet.

– Caroline okropnie się napracowała, pomagając nam przygotować to wszystko.

– Miło panią poznać – powiedziała Wallis.

Serce zabiło mi szybciej. Jak podjąć temat królików? Dlaczego tak się denerwowałam? Grywałam przed publicznością shrinersów z Bostonu podających sobie butelkę dżinu w pierwszym rzędzie. Ta scena nie była nawet w połowie tak przerażająca.

– Widzi pani, co wyczynia ta Marilyn Monroe? – rzuciła Wallis w powietrze. Spojrzała w kierunku grupy ludzi zebranych wokół Marilyn i jej męża. Francuskie wiadomości przeprowadzały właśnie w pełnym świetle wywiad z Marilyn i Arthurem siedzącymi przy stoliku. – Każdy fotograf ma tu obsesję na jej punkcie.

– To przez sukienkę – zawyrokowała Rosemary.

– Ani jeden nie spojrzął nawet w moją stronę – narzekła Wallis.

Pani Gaynor zwróciła się do mnie.

– Caroline niestrudzenie zajmuje się wszystkimi potrzebującymi, Wasza Miłość. W pewnych kręgach jest bardzo znana.

– Słucham? – zapytała Wallis, ożywiając się, gdy przyjmowała kieliszek szampana od kelnera we fraku.

Może liczyła na skandal. Miło słuchać o nieszczęściach innych, gdy własna reputacja legła w gruzach.

– Z dobrej strony, oczywiście – powiedziała Rosemary. – Kieruje amerykańskim oddziałem francuskiej organizacji pomagającej potrzebującym kobietom. Została nagrodzona zarówno Krzyżem Wyzwolenia, jak i francuską Legią Honorową.

– Nie ruszaj tych kanapek, kochanie... przesolone! – zawołała Wallis do księcia, który spoglądał jak zahipnotyzowany na tacę z kanapkami z musem z wątroby.

– Owszem, jestem przewodniczącą Amerykańskich Przyjaciół ADIR, Wasza Miłość – potwierdziłam. – Wspieramy kobiety, które wróciły z obozów koncentracyjnych. Pomagamy im odzyskać normalne życie.

– Nadal? – zapytała Wallis, powracając do naszej rozmowy. – Ile to już lat po wojnie? Rząd im nie pomaga?

– Trochę, ale wszystkie nadal potrzebują wsparcia. Staramy się uzyskać odszkodowania dla grupy kobiet z Ravensbrück, niemieckiego obozu koncentracyjnego w pobliżu Fürstenbergu.

– Księżę i ja staramy się trzymać jak najdalej od wszelkich miejsc mających w nazwie „berg”.

Ponieważ przed wojną para odwiedziła Berlin, gdzie zostali przyjęci przez Hitlera, prasa często wytykała im to faux pas, nawet dwadzieścia lat po tym wydarzeniu.

– Kobiety są nazywane królikami z Ravensbrück, Wasza Miłość – wyjaśniłam. – To Polki, które jako młode dziewczyny zostały poddane przez niemieckich lekarzy serii eksperymentów.

– To tragiczna historia – dorzuciła Rosemary.

– Polki? – zapytała Wallis, marszcząc brwi. – Myślałam, że pomaga pani Francuzom. To strasznie skomplikowane.

Uwaga Wallis skupiła się na modelce, która podeszła bliżej i oparła dłoń na biodrze, a drugą, ozdobioną szeroką bransoletą z diamentami, uniosła w górę. Księżę uniósł brwi, zerkając na Wallis, jakby pytał ją o opinię w sprawie bransolety. Wallis niezobowiązująco wzruszyła ramionami.

– Pomagamy kobietom każdej narodowości, które wróciły z obozów pracy – powiedziałam. – W Polsce warunki są szczególnie trudne. Wiele z tych kobiet choruje, niektóre są umierające, a Niemcy Zachodnie nie

wypłacają odszkodowań, ponieważ nie uznają komunistycznej Polski za suwerenny kraj.

Wallis rozejrzała się po sali, jakby szukała wyjścia.

– Obecnie nie stać mnie na wspieranie żadnych organizacji. Musimy giąć się w ukłonach za wszystko, co się nam daje. Proszę sobie wyobrazić, że nie ma nas nawet na liście cywilnej^[13]. A świat ma już naprawdę dość tej całej śmierci i zniszczenia. Te historie nudzą już nawet tych, którzy sami przez to przeszli. Chyba każdy napisał już wspomnienia?

Wallis obróciła się do księcia, poprawiła włosy królewskiego Piotrusia Pana i zaczęła bawić się złotymi medalami na jego piersi. Zabrała mu z dłoni kanapkę i odłożyła ją na tacę, z której ją wziął, a potem ujęła księcia za rękę.

– Pojedźmy na górę sprawdzić, co z psami. – Skinęła na kelnera niosącego srebrną tacę, by za nią poszedł. – Mopsy muszą jeść co najmniej raz na dwie godziny – powiedziała z uśmiechem i ruszyła w kierunku wyjścia.

– Wybacz, proszę, Rosemary – powiedziałam. Widocznie Wallis nie miała jednak w sobie wystarczająco dużo współczucia.

– Powodzenia w zbieraniu pieniędzy, kochanie – odparła Rosemary, gdy zaczęłam szykować się do odejścia. – Ja na pewno się dorzucę. I może odwiedź Normana Cousinsa z „Saturday Review”.

Ostatecznie on i jego cudowna żona pomogli dziewczętom z Hiroszimy.

– Oczywiście, Rosemary. Dziękuję ci.

Wyszłam z sali balowej w poszukiwaniu tacy z szampanem. Boleśnie odczułam odrzucenie Wallis.

Ostrożnie rozgrywałam też w głowie partię gry „Gdybym była Paulem Rodierre, to gdzie bym się pojawiła?”, żeby uniknąć spotkania. Pewnie chciałby uniknąć pokazu mody. I starałby się być blisko bufetu.

Szczególnie tego z alkoholem.

Ominęłam bar szerokim łukiem i poszłam w stronę modelek Diora, które wirowały i przemykały między gośćmi. Kelner dryfował między ludźmi z tacą pełną mikroskopijnych ziemniaków polanych kwaśną śmietaną i kawiozem. Czy wszystkie potrawy na tym przyjęciu były tak małe? Ruszyłam w kierunku tacy, ale stanęłam w miejscu, bo ktoś znów nadepnął na mój tren.

– Czy mogę prosić? – spytałam, odwracając się.

Paul.

A u jego boku zachwycająca mała istota – niewątpliwie Leena.

– Nietzsche powiedział, że ziemniaczana dieta prowadzi do nadużywania alkoholu – odezwał się Paul, nie zdejmując stopy z mojego trenu.

Dźwięk jego głosu pozbawił mnie mowy. Fakt, że jego ukochana była oszałamiająco piękna, miała cudownie grube brwi i twarz z rodzaju tych, którym papieros dodaje tej właściwej dozy okrucieństwa, niczego nie ułatwiał. Była wysoka, niewiarygodnie młoda i długonoga.

– Widzę, że mnie prześladujesz – powiedział Paul.

Dziewczyna odeszła w stronę pokazu mody, popijając szampana. Wyraźnie nie czuła się zagrożona, a może w ogóle mnie nie zauważyła.

– Możesz zabrać stopę – powiedziałam.

– Lubisz znikać niespodziewanie – stwierdził Paul.

– Tylko gdy zmuszą mnie do tego okoliczności.

Jego stopa nie ruszyła się z miejsca.

Spodziewałam się, że Paul będzie wyglądał lepiej, niż gdy widzieliśmy się po raz ostatni, ale nie byłam przygotowana na to, że będzie wyglądał tak dobrze i zdrowo, i że w kwietniu będzie aż tak opalony.

– Mam zdjąć tę suknię?

Paul się uśmiechnął.

– Przyjście wreszcie się rozkręca.

– Naprawdę, Paul. To Schiaparelli.

Uwolnił mój tren.

– Zadbalem, by wyjścia były obstawione.

– Niepotrzebnie się wysilasz – powiedziałam, z trudem zachowując kontrolę. – Muszę już iść.

– Zastanawiałem się, czy nie zadzwonić do ciebie wczoraj – wyznał.

– Przypuszczam, że twoja matka zechciałaby ze mną porozmawiać.

– Po tylu latach? Teraz to już nie ma znaczenia.

– Ale wypilem nieco koniaku. Wiesz, jak to jest.

– Niespecjalnie.

– Miałem nadzieję, że cię tu spotkam. To twoje środowisko.

Wzruszyłam ramionami.

– Sprawa jest słuszna.

Minął nas kolejny kelner.

– Szampana?

Paul wziął dwa kieliszki.

– Mam nadzieję, że będziemy mogli o wszystkim porozmawiać.

– Nie ma takiej potrzeby. Minęło prawie dziesięć lat, Paul.

– Czy kiedykolwiek przeczytałaś choć jeden z moich listów?
– Naprawdę muszę już iść... – Nie jesteś ani trochę ciekawa mojej wersji?

Wzięłam kieliszek drżącą ręką.

– Nie bardzo.

– Wydaje mi się, że choć tyle jesteś mi winna. Zostawiłaś mnie bez słowa.

– Jeśli tak chcesz to pamiętać... – powiedziałam.

Patrzyłam, jak nowa żona Paula podziwia czerwoną, pozbawioną talii suknię prezentowaną przez modelkę. Czy ona miała w ogóle okazję skosztować foie gras? Jakim cudem zachowała taką sylwetkę w kraju, w którym nie uznawano intensywnych ćwiczeń fizycznych?

Podszedł do nas fotograf.

– Panie Rodierre, mogę zrobić zdjęcie?

– Ależ proszę – zgodził się Paul.

Przyciągnął mnie do siebie silniej, niż było to konieczne, i objął w talii. Nadal używał Sumare. Czy podobało się nowej żonie? Na pewno.

– Uśmiechnij się, Caroline. Udawaj, że mnie lubisz.

Flesz oślepił nas na moment.

– Dziękuję, panie Rodierre – powiedział fotograf i zniknął w tłumie.

– Kiedy ostatnio byliśmy w tej sali, scena należała do mnie – powiedział Paul.

Pokiwałam głową, udając, że nadal dochodzę do siebie po błysku flesza. Bałam się odezwać, żeby nie wybuchnąć płaczem.

– Jesteś opalony – zauważyłam po chwili.

– Cannes. To było okropne. Nie cierpię tego cyrku.

– Rozumiem. A co z Reną?

– Nie mam pojęcia. Ostatnio widziano ją w Grecji, na Hydrze, z jakimś młodzieńcem młodszym od niej o połowę.

– Wspaniale. – Naprawdę tak uważałam. Rena zasłużyła na życie w pełnym słońcu.

– Caroline, wtedy mnie skreśliłaś, ale życie toczy się dalej. Zdaje się, że nie podejmuję najlepszych decyzji w kwestii kontaktów z kobietami.

– Może odstaw je na czas postu?

Uśmiechnął się.

– Cieszę się z tego spotkania, C. Głodna? Wybieram się z Leeną na spotkanie z kilkoma osobami ze świata filmu. Znam taką fajną knajpkę nad Hudsonem... – Słuchaj, najwyraźniej nigdy cię dobrze nie znałam. Zostawmy sprawy takimi, jakie są. Postarajmy się pamiętać te dobre

chwile. – Odwróciłam się. – Muszę już iść.

Paul chwycił mnie za rękę.

– Nic w moim życiu nie może się równać tamtym chwilom w Nowym Jorku. Przez ciebie nie mogę już kochać.

– Właśnie widzę – odparłam, spoglądając na Leenę, która chwyciła kanapkę z krabem.

– Co jest z tobą nie tak? Przeszedłem przez piekło. Nie tylko ty... – Mon cher! – zawołała Leena. – Jestem głodna.

Naprawdę musiałam być dla niej niewidzialna, bo przywołała Paula gestem do siebie.

– Chodź tu, kochanie! – zawołał Paul.

Leena ruszyła w naszą stronę. Miałam za sobą długą noc. Czy naprawdę musiałam poznać jego żonę?

– Proszę, Paul. Wolałabym nie... Paul przyciągnął Leenę do siebie i objął w talii.

– Leeno, chciałbym ci przedstawić... – Caroline Ferriday – oznajmiła Leena. – Jak mogłabym pani nie rozpoznać? – Dziewczyna chwyciła mnie za rękę i przyciągnęła do siebie. – Znam panią z fotografii. Z Helen Hayes. Jakie to uczucie grać z nią?

– Bardzo mi miło, ale naprawdę muszę już iść.

– Ona ucieka, Leeno – ostrzegł Paul. – Musimy ją zatrzymać.

Leena chwyciła mnie za rękę z drugiej strony.

– Ależ proszę. Musi się pani spotkać z nami na obiedzie. W Paryżu. Gdy przyjedzie tam pani następnym razem.

– Wolałabym nie... – Tato, musisz ją przekonać.

Zadrżałam.

Tato?

– Panna Caroline Ferriday, Leena Rodierre – przedstawił nas sobie Paul, uśmiechając się najbardziej niebezpiecznym ze swoich uśmiechów.

– Występuję jako Pascaline, ale proszę mówić mi Leena.

Jak mogłam się nie domyślić?

– Też grałam Baltazara, panno Ferriday. To była moja pierwsza rola, tak jak pani. Tata wszystko mi o pani opowiedział.

– Mów mi Caroline, kochanie – powiedziałam, przyglądając się jej. Leena łączyła w sobie wszystkie cechy matki i ojca. Była wysoka i niewątpliwie odziedziczyła po ojcu obycie sceniczne. – Na pewno byłaś idealnym Baltazarem, Leeno.

Dziewczyna odwróciła mnie do siebie i mocno przytuliła. Ta urocza mała dziewczynka, którą znalazłam w Orphelinat Saint-Philippe.

Pascaline. Urodzona w Wielkanoc... Pascaline uwolniła mnie z uchwytu.

– Caroline, zgódź się przyjechać do Paryża. Mam grać swoją pierwszą główną rolę. Bardzo bym chciała, żebyś mnie zobaczyła.

Pokiwałam głową. Nie mogłam wydobyć z siebie głosu, ale nie chciałam płakać. Była cudowną dziewczyną obdarzoną urokiem po ojcu.

– Oczywiście, kochanie – powiedziałam.

– Obawiam się, że musimy iść – stwierdził Paul.

– Tata przedstawi mnie ludziom z filmu – wyjaśniła Leena.

– Au revoir, Caroline. – Paul ucałował mnie w oba policzki, a mnie włosy na skórze zjeżyły się, gdy poczułam znajome drapanie zarostu na policzku. – Może tym razem byś odpisała? W pewnym momencie nawet ja się poddam.

– Nic się nie zmieniłeś – powiedziałam.

Uśmiechnął się.

– Myślę, że gdzieś w duchu zawsze mamy po dwadzieścia lat.

Paul zniknął w tłumie, a ja poczułam stary ból, który pojawiał się zawsze, gdy on odchodził, choć tym razem było lżej. Czy to się naprawdę stało? Córka Paula zaprosiła mnie do Paryża?

Pośpiesznie wsiadłam do taksówki, gdy chłopiec hotelowy wsadzał moją torbę z prezentami do bagażnika. Jej zawartość miała oczywiście trafić na cele charytatywne. Kiedy taksówka odjeżdżała, dostrzegłam jeszcze Paula w tłumie i poczułam retrouvailles – to jedno z tych słów, których nie da się ładnie przełożyć, a które znaczyło „radość z ponownego spotkania z kimś, kogo kochasz, po długiej rozłące”. Objęłam się ramionami na tylnym siedzeniu taksówki. Tym razem nie przeszkadzało mi, że wracam do domu sama.

Napisze? Może. I może nawet mu odpiszę, jeśli znajdę czas.

Następnego dnia za radą Rosemary Gaynor zadzwoniłam do Normana Cousinsa, redaktora naczelnego „Saturday Review”, mając nadzieję, że zdołam się umówić z nim na spotkanie w jego biurze. Może udałoby się przekonać go, by napisał artykuł o moich Polkach. Zapropował spotkanie jeszcze tego samego popołudnia.

Siedziałam przed jego gabinetem i przerzucałam gazetę. Nawyk kazał mi zajrzeć do kolumny towarzyskiej, gdzie zobaczyłam całą stronę zdjęć z Kwietnia na paryskim balu. Tuż pod zdjęciem Marilyn Monroe i brytyjskiego ambasadora, który wpatrywał się w jej dekolt, znalazło się zdjęcie moje i Paula. O mało nie spadłam z krzesła. Mimo jego fraka skrojonego po europejsku, czyli nieco zbyt wciętego w pasie, i pobrudzonego trenu mojej sukni wyglądaliśmy na całkiem zgrabną parę.

Podpis głosił: „Panna Ferriday i Paul Rodierre znów na Broadwayu?”.

Wciąż byłam poruszona zdjęciem, gdy pojawiła się sekretarka, która poprowadziła mnie korytarzem między powiększonymi odbitkami starych okładek „Saturday Review”, prosto do sali konferencyjnej.

Norman i jego zespół czekali już przy stole, a przed każdym z nich leżał żółty notatnik.

– Miło panią poznać, Caroline – powiedział Norman, gdy wstał mnie przywitać. Jego staroświeckie maniery i szczery uśmiech musiały oczarować każdego, kto go spotykał. I choć na nieodpowiednim człowieku nawet najskromniejsza muszka będzie wyglądać śmiesznie, Norman nosił muchę o wyrazistym wzorze niemal z dumą. – Masz całe pięć minut naszej pełnej uwagi.

Norman poszedł na drugi koniec pokoju i oparł się o ścianę. Przez chwilę poczułam się onieśmielona spotkaniem ze znanym i uznanym na całym świecie redaktorem. Przez chwilę w żołądku szalały mi motyle, a w ustach zaschło kompletnie. Przypomniałam sobie radę Helen Hayes, która zawsze sprawdzała się na scenie: „Nie nudź. Graj całym ciałem”. Skupiłam się i odzyskałam spokój.

– Panie Cousins, ponieważ pan i pańska żona zebraliście niebagatelną kwotę na rzecz dziewcząt z Hiroszimy... Przerwałam i rozejrzałam się po sali. Zespół Normana w ogóle nie był zainteresowany moją sprawą.

Bawili się zegarkami i piórami, pisali coś w notatnikach. Jak dotrzeć do tak rozkojarzonej publiczności?

– Myślałam, że może zainteresuje pana sprawa grupy kobiet będących w podobnej sytuacji.

– Chodzi o Polki? – zapytał Norman, bawiąc się kieszonkowym magnetofonem.

– Panie Cousins, chyba nie ma sensu, żebym mówiła, dopóki nie zaczną mnie państwo wszyscy słuchać.

Nie poświęćcie mi państwo całego dnia, muszę więc wykorzystać tę odrobinę możliwie skutecznie.

Norman i jego pracownicy spojrzeli na mnie. Miałam już publiczność.

– Tak, to Polki, katoliczki, więźniarki polityczne aresztowane za działalność w polskim podziemiu.

Przetrzymywane w obozie w Ravensbrück, jedynym dużym obozie kobiecym. Prowadzono na nich eksperymenty medyczne. Lekarzy skazano w osobnym procesie w Norymberdze, ale świat zapomniał o ofiarach,

które nie otrzymały żadnej pomocy ani wsparcia.

Norman odwrócił wzrok i spojrział przez okno na ciemnoszare kamienne wieże ciśnię Gotham, które sięgały dziesięciu pięter.

– Nie wiem, czy nasi czytelnicy będą gotowi na kolejną zbiórkę po tak krótkim czasie, panno Ferriday.

– Projekt Hiroszima jest nadal księgowany – powiedział człowiek o wyglądzie hydraulika i w okularach w ciemnych oprawkach co najmniej dwa razy dla niego za dużych. Znałam go z widzenia z kościoła, choć nigdy nie zostaliśmy sobie przedstawieni. Jeśli dobrze kojarzyłam, nazywał się Walter Strong-Whitman.

– Te kobiety przeszły szereg skomplikowanych operacji – powiedziałam.

Podalam im plik dużych, błyszczących odbitek i obserwowałam, jak twarze zespołu redakcyjnego powoli zmieniają odcienie – od obrzydzenia do przerażenia.

Norman podszedł do stołu.

– Mój Boże, Caroline, to prawie nie przypomina nogi. Tej brakuje całej kości i mięśni. W jaki sposób ona może chodzić?

– Nie za dobrze, jak pan zapewne może sobie wyobrazić. One musiały skakać po obozie. Między innymi dlatego nazwano je królikami. No i dlatego, że Niemcy używali ich jak zwierząt laboratoryjnych.

– Jakim cudem zdołały wrócić do Polski? – zapytał Norman.

– Jak tylko się dało. Niektórym pomógł szwedzki Czerwony Krzyż. Inne wróciły pociągiem, gdy Rosjanie oswobodzili obóz.

– Czego potrzebują natychmiast? – spytał Norman.

Podeszłam bliżej.

– W Polsce mają problemy z dostępem do osiągnięć współczesnej medycyny. Pamiętaj, że są za żelazną kurtyną. A rząd Niemiec nie zamierza im pomóc.

– Żelazna kurtyna – zaśmiał się Strong-Whitman. – Brakuje łamów, żeby zajmować się tym wszystkim... – Niemcy Zachodnie wypłaciły odszkodowania innym więźniom, ale nie królikom, bo komunistyczna Polska nie jest w ich oczach suwerennym krajem. Niektóre z nich zmarły z powodu powikłań, które my leczymy bez problemów.

– Nie wiem, Caroline – powiedział Norman. – Rosjanie nie są obecnie skłonni do współpracy z kimkolwiek.

– I te dziewczyny muszą cierpieć, bo ich ciemżyciele nie pozwolą im wyjechać z kraju?

– Murphy dostał się do NRD, żeby napisać o United Airlines –

zauważył jeden z młodszych członków zespołu.

– To mogłoby pójść jako tekst o podróżach – powiedziała kobieta w ładnej marynarce w pepitkę.

– Linie Pan Am pewnie by pomogły – podrzucił ktoś inny.

– To okropny pomysł, Normanie – zaprotestował Strong-Whitman. – Nie możemy biec do naszych czytelników po pomoc w każdej drobnej sprawie. Ich Polska w ogóle nie obchodzi.

– A może się przekonajmy? – zaproponowałam.

– Jest to czasopismo literackie, panno Ferriday – zauważył Strong-Whitman. – Nie można od nas oczekiwać patronatu nad pomysłami każdej członkini klubów dla bogaczy w Nowym Jorku.

Członkini klubów dla bogaczy? Wzięłam głęboki wdech.

– Można utrzymać wysoki poziom i pomóc potrzebującym. Norman dowiedział tego, zajmując się dziewczętami z Hiroszimy.

– Możemy dać tekst w kolumnie „Styl życia”, podać adres, na który mogą przysyłać darowizny – zdecydował Norman. – Nic nadzwyczajnego, najwyżej stronę.

– Ten kraj ma już dość akcji charytatywnych – prorokował Strong-Whitman. – Ile to już lat od zakończenia wojny? Dwanaście? Nikt nic nie przyśle.

– Jaki adres mamy podać? – zapytała młoda stenotypistka.

– The Hay, Main Street, Bethlehem, Connecticut – powiedziałam.

Naprawdę chcieli to zrobić? Poczułam, jak rozluźniają mi się mięśnie.

– Na pewno chce pani podawać adres domowy, panno Ferriday? – zapytała stenotypistka.

– Jak radzi sobie poczta w Bethlehem? – zapytał Norman. – Poradzą sobie z dodatkowymi listami?

Myślałam o kierowniku naszej poczty, Earlu Johnsonie, chodzącym w korkowym hełmie i krótkich, płóciennych spodniach, którego złościło każde źle napisane nazwisko.

– Działa pierwszorzędnie – powiedziałam. – Co roku zalewają ich listy, bo każdy chce mieć stempel zwrotny z poczty w Bethlehem na kartce bożonarodzeniowej. I poczta daje jakoś radę.

– Zatem niech będzie Bethlehem – powiedział Norman. – Gratulacje, Caroline. Zobaczmy, czy uda się sprowadzić króliki do Ameryki.

Norman napisał artykuł o królikach na cztery pełne strony.

Zaczynał się słowami: „Siadając do maszyny, wiem, że największym problemem, z jakim przyjdzie mi się zmierzyć, będzie przekonanie

czytelników, że ta historia nie opisuje wyimaginowanych mąk piekielnych, tylko część naszego świata”. Dalej było jeszcze lepiej. Norman starannie wyjaśnił cierpienia kobiet i trudy, z jakimi się borykają.

Gdy „Saturday Review” ukazało się drukiem, przyszło zaledwie kilka listów, w których ktoś pytał, czy króliki nie potrzebują agenta teatralnego albo czy nie mogłyby pojawić się na spotkaniu klubu 4-H.

Musiałam przyznać, że Ameryka rzeczywiście miała kłopot z prowadzeniem działań dobroczynnych.

W następnym tygodniu, pięknego jesiennego dnia, zamglonego, jakby świat schował się za grubą gazą, skończyłam oporządzać konie i udałam się piechotą na pocztę w Bethlehem. Nasza maciora, nazwana przez mamę Lady Chatterley, szła tuż za mną, najwyraźniej nie chcąc spuścić mnie z oczu.

Minęłam kobiety, które przyszły na zebranie prowadzonego przez mamę Litchfield Garden Clubu, na którym panie spotykały się przy ciasteczkach kokosowych Serge’a zapijanych ponczem z pięknych naczyń z ciętego kryształu, który rzucał na boki tęczowe refleksy. Sally Bloss, przyboczna mamy, wciąż w butach do prac ogrodowych i z chustką zawiązaną pod szyją jak śliniak, referowała temat dnia: „Osy, przyjaciel w ogrodzie”. Nieduża, ciemnowłosa Nellie Bird Wilson stała nieopodal, sama niewiele tęższa od osy, z uniesionym w górę przypuszczalnie już pustym gniazdem z celulozy. Kalendarz imprez społecznych mamy był wypełniony znacznie bardziej niż mój – pękał w szwach od spotkań klubów ogrodowych, festynów charytatywnych w Nutmeg Square i Round Dance Clubie, a także treningów prowadzonej przez nią drużyny baseballowej.

Gdy dotarłam na pocztę, którą od The Hay dzieliło zaledwie kilka kroków, powitała mnie wisząca nad drzwiami amerykańska flaga, a chwilę później ryjek Lady Chatterley oparł się o siatkowe drzwi. Poczta w Bethlehem była labiryntem małych pomieszczeń upchniętych pod sklepem spożywczym Braci Johnson.

Sklep Braci Johnson stanowił miejski punkt spotkań, bo tylko oni mieli dystrybutor paliwa i chłodnię z lodami.

Earla Johnsona zastałam w jego kancelarii, ciasnej, nie większej od szafy salce. Siedział na wysokim stołku, a stojąca za nim szafka do segregowania poczty wypchana była po brzegi kopertami. Earl ubierał się zazwyczaj w kolory neutralne, przez co sprawiał wrażenie, że gdyby zatrzymał się odpowiednio długo na tle przesyłek, na pewno by się z nimi zlał. Perelki potu, które lśniły na jego czole, na pewno pojawiły się tam w wyniku dziesięciu minut porannego sortowania poczty.

Earl wychylił się do mnie przez okno i wysunął w moją stronę ulotkę nadchodzącego festynu Bethlehem Fair.

– Było gorąco – powiedział Earl, z jakichś przyczyn unikając patrzenia mi w oczy.

Czy byłam aż tak przerażająca?

– Faktycznie.

– Mam nadzieję, że nie wybiera się panienka dziś do fryzjera. Dziś ma zamknięte.

Wzięłam ulotkę.

– To cała moja poczta?

Earl wstał i wychynął ze swojej „szafy”.

– Może mi panienka w czymś pomóc, panno Ferriday?

Życie na wsi ma swój urok, ale nagle zatęskniłam za wielką, skuteczną machiną skrytej między kolumnami poczty na Trzydziestej Czwartej Ulicy na Manhattanie. I nieoczekiwanie ją doceniłam.

– Naprawdę musimy, Earl?

Earl skinął na mnie z korytarza, więc poszłam za nim. Zatrzymał się przy zamkniętych drzwiach.

– No i? – zapytałam. – Nie otworzy ich pan?

– Nie da rady – powiedział, wzruszając ramionami.

Powachlowałam się ulotką.

– To może powinien pan przynieść klucz, na miłość boską.

– Nie są zamknięte.

Chwyciłam klamkę i przekręciłam ją, a potem napałam na drzwi biodrem, ale uchylily się jedynie odrobinę.

– Coś blokuje drzwi, Earl. Co pan tu robi cały dzień? Przecież posprzątanie tego wszystkiego nie może długo trwać?

– Clyde! – zawołał głośno Earl. Kuzyn pana Gardenera przybiegł natychmiast.

– Tak, panie Earl? – zapytał drogi Clyde, chudziutki jak dwie kartki papieru.

– Panna Ferriday chciałaby, żebyś tam wszedł – wyjaśnił Earl.

– Tak jest, proszę pana – powiedział Clyde, szczęśliwy, że ma zadanie, które wymaga jego specyficznego rozmiaru. Prześlizgnął się przez szparę jak karaluch przez szczelinę w oknie.

Przytknęłam usta do szpary i powiedziałam: – Otwórz drzwi, Clyde.

– Nie da się, panno Ferriday. Pełno tu różnych różności.

– Różności? – Skąd Clyde brał te określenia? – Earl, naprawdę musi pan tu posprzątać.

Earl zajął się wierceniem palcem dziury w podłodze.

– Oczyść tylko przy drzwiach, Clyde – powiedziałam. – I podnieś rolety, to ci pomożemy.

Usłyszałam szuranie, jęki Clyde'a i trzask unoszonej rolety.

– Prawie, prawie, panno Ferriday – stwierdził.

Clyde otworzył drzwi i uśmiechnął się szeroko, ukazując proste i równe zęby, które przywodziły na myśl klawisze fortepianu.

Pokój był zawalony płóciennymi workami na tyle dużymi, że Clyde wszedłby do nich cały. Na każdym worku odcisnięty był niebieski stempel U.S. MAIL.

Worki leżały na podłodze i na ladzie biegnącej wzdłuż pomieszczenia. W niektórych pękły sznurowe rączki i stosy oraz paczki wysypały się na podłogę.

Brodziłam w lawinie kopert.

– Wszystkie adresowane są do jakichś królików, panno Ferriday – wyjaśnił Clyde. – Proszę patrzeć, przyszło nawet z Hawajów.

– Mój Boże, Earl – powiedziałam trochę oszołomiona. – To wszystko dla nas?

– Kolejnych dziesięć jest w ciężarówce. Wrzucaliśmy je tylko przez okna.

– A co się stało z „Ni śnieg, ni deszcz, ni upał, ni nocy mrok nie powstrzyma tych gońców przed szybkim dostarczeniem wiadomości”, Earl?

– Przepraszam panią?

– Dlaczego nic mi pan nie powiedział?

Zgarnęłam kilkanaście kopert z adresami zwrotnymi z Bostonu, Las Vegas... Meksyku?

– Na święta mam piętnastu dodatkowych pracowników – wyjaśnił Earl. – Latem siedzę tu sam.

W piwnicy jest ich więcej. Tyle że fryzjer nie może tam zejść.

Pan Gardener przyprowadził konwój klubowiczek mamy z taczkami i przewieźliśmy przesyłki do The Hay. Clyde siedział okrakiem na jednym z worków, ujeżdżając go jak kuca, a Lady Chatterley truchtała za nami, z trudem dotrzymując kroku temu pochodowi. Otwieraliśmy kolejne listy, dzieląc je na stosy na stole w jadalni, i sprawdzaliśmy ich zawartość.

– Magazyn „Seventeen” zaprojektuje linię ubrań dla tych dziewcząt! – oznajmiła Sally Bloss. – A doktor Jacob Fine ze szpitala Beth Israel Hospital oferuje opiekę medyczną... Nellie Bird Wilson machała kartką z papeterii Roy Rogers.

Kevin Clausen z Baton Rouge wysłał swój zasilek.

– Jak miło z jego strony – powiedziałam, zapisując sobie wszystko. Mama nie nadążała otwierać kopert.

– Szpital państwowy National Jewish Hospital z Denver, Caroline.

– Uniwersytet Stanowy Wayne – powiedział pan Gardener. – Doktor Jerome Krause, dentysta.

Sally uniosła papier firmowy z nadrukowanym błękitnym zamkiem.

– Disneyland w Anaheim wysłał wejściówki... Kobiety będą honorowymi gośćmi pana Disneya.

– Fundacja Danforth przekazuje czek, Caroline – dorzuciła mama. – Na okrągłą sumkę.

Nellie czytała, wachlując się kopertą.

– Converse Rubber Company chce zaprojektować kolekcję obuwia dla pań.

– Odzież i torebki od Lane Bryant – dodał Serge.

Podzieliłyśmy na kupki osobno oferty opieki od radiologów, osteopatologów i dentystów zapraszających na darmowe leczenie. Osobną kategorię stanowiły szpitale zapraszające na leczenie.

I rodziny od Bar Harbor do San Diego, chcące gościć u siebie kobiety z Polski. Do wieczora podliczyliśmy pieniądze i czeki, które łącznie dały ponad sześć tysięcy dolarów, więcej, niż potrzebowaliśmy, żeby przywieźć króliki do Stanów.

W następnym numerze „Saturday Review” Norman nazwał Amerykę „porażającą w swej wielkoduszności”, a ja nie posiadałam się ze szczęścia.

Króliki miały przybyć do Ameryki.

Rozdział 39
Caroline
1958

Tej samej wiosny odbyłam podróż do Polski z doktorem Hitzigiem. Podróżowanie z nim było czystą przyjemnością, bo był człowiekiem o przenikliwym umyśle i delikatnym sposobie bycia, które to połączenie spotyka się zazwyczaj wyłącznie u amiszów. Był naszym ekspertem w sprawach ortopedii.

Miał ocenić, które z pań mogłyby wytrzymać podróż z Polski do Stanów zaplanowaną na ten sam rok.

Moim zadaniem było zorganizowanie dokumentów i usuwanie wszelkich przeszkód.

Na spotkanie wyszła nam oficjalna delegacja, która odwiozła nas prywatnym samochodem do kliniki ortopedycznej w Warszawie. Gdy tylko weszliśmy, wokół doktora Hitziga zebrała się grupa lekarzy.

Ściskali mu rękę, klepali po plecach, a następnie poprowadzili do stołu konferencyjnego ustawionego przed zaimprovizowaną sceną. Usiadłam obok doktora Hitziga i dwudziestu dziewięciu lekarzy z Polski i Rosji. Na sali obecnych było też dwóch przedstawicieli ZBoWiD-u, Związku Bojowników o Wolność i Demokrację, oficjalnego stowarzyszenia zrzeszającego polskich weteranów, organu, z którym współpracowałam z Normanem, by zapewnić królikom należne im prawa.

Klinika pod pewnymi względami przypominała Bethlehem Grange Hall – była tak wielka i pełna przeciągów, że nawet na środku sali czuć było ruch powietrza. Przed każdym z nas leżała dokumentacja grubości książki telefonicznej. Przekartkowałam jej zawartość. Opisano w niej cele doświadczeń: wybrać grupę kobiet, które w Stanach Zjednoczonych mogłyby zostać poddane leczeniu za pomocą metod niedostępnych w Polsce. Poza tym przedstawiała trzy rodzaje operacji sulfonamidowych przeprowadzanych w obozie.

Grupa pierwsza: Wprowadzenie do przygotowanej przez chirurga rany bakterii, kawałków drewna, szkła i innych materiałów w celu uzyskania stanu imitującego obrażenia frontowe.

Grupa druga: Uszkodzenia tkanek miękkich nóg, w które wprowadzano zjadliwe bakterie.

Grupa trzecia: Operacje mające na celu badanie skutków transplantacji i regenerację kości, nerwów i mięśni.

Drobnym drukiem na dole strony dopisano: Kilka operowanych poddano także zabiegowi sterylizacji.

Przejrzałam to za ledwie z grubsza, a już musiałam odłożyć ją pod krzesło. Wzięłam kilka głębszych wdechów, by uspokoić żołądek, bo obawiałam się, że nie zdołam utrzymać w nim posypanego makiem chleba, który jadłam rano na śniadanie.

Pierwsze trzy panie weszły do kliniki razem, ściskając mocno pod brodą kołnierze swoich płaszczy.

Każda z nich miała przewieszoną przez ramię płócienną torbę, a na twarzach wszystkich trzech malował się wyraźny ból, jakby każdy krok sprawiał im trudność. Nasz tłumacz, poważny młody człowiek z czupryną niczym u Stalina, usiadł obok doktora Hitziga, a kobiety zniknęły kolejno za parawanem ustawionym z tyłu podwyższenia.

Pierwszym z królików była ładna kobieta nieco po trzydziestce, z krótkimi ciemnymi włosami i ciemnymi oczyma. Wyłoniła się zza parawanu niczym grecka boginka, owinięta jedynie w białe prześcieradło. Szurając, podeszła do składanego krzesła ustawionego na środku podestu, krzywiąc się przy każdym kroku. Po zajęciu miejsca zmierzyła zgromadzonych wzrokiem, trzymając głowę wysoko.

Lekarz prowadzący, profesor Gruca, energiczny, dobroduszny człowiek o sylwetce przywodzącej na myśl hydrant, wszedł na podwyższenie i odczytał z karty historię pacjentki. W ciągnących się w nieskończoność przerwach tłumacz przekładał jego słowa na angielski.

– Śmierć bliskiego przyjaciela Hitlera, SS-Obergruppenführera Reinharda Heydricha, spowodowała niespodziewanie rozpoczęcie serii eksperymentów paramedycznych określanych oficjalnie w obozie Ravensbrück mianem „operacji mających na celu sprawdzenie działania sulfonamidów na rany”. Doktor Karl Gebhardt, bliski przyjaciel i osobisty lekarz Heinricha Himmlera, został wyznaczony na lekarza Heydricha, który doznał ciężkich obrażeń w wyniku wybuchu bomby rzuconej pod jego samochód przez czeskich zamachowców.

Przyglądałam się cały czas siedzącej na podwyższeniu kobiecie. Słuchała tego wszystkiego z wysoko uniesioną głową.

– Leczący Heydricha Gebhardt nie zdecydował się użyć sulfonamidów, wybierając inne rozwiązania.

Po śmierci Heydricha Hitler zarzucił Gebhardtowi, że dopuścił do rozwinięcia się zgorzeli gazowej i tym samym do śmierci jego przyjaciela.

Aby przekonać Hitlera, że podjęta przez Gebhardta decyzja była słuszna, Himmler i Gebhardt zaplanowali przeprowadzenie serii eksperymentów. Pierwsze z nich zostały wykonane na mężczyznach z obozu w Sachsenhausen, a następne na kobietach z obozu w Ravensbrück.

Kobieta na podwyższeniu odgarnęła włosy z czoła wyraźnie drżącą ręką.

– Gebhardt i jego współpracownicy przeprowadzali operacje na całkowicie zdrowych kobietach, wybieranych specjalnie pod kątem zdrowych, wytrzymałych nóg, na których usiłowali odtworzyć obrażenia, jakich doznał Heydrich. Rany zakażali kulturami bakterii wywołujących zgorzel gazową, a następnie wybranym ofiarom podawali sulfonamidy. Każda z ofiar leczona sulfonamidami, która zmarła, potwierdzała słuszność tezy Gebhardta. Wśród operowanych więźniarek była – tu doktor Gruca wskazał siedzącą na krześle kobietę – pani Kasia Bąkowska, z domu Kuśmierczyk, obecnie pracująca jako pielęgniarka w szpitalu państwowym.

Lekarz odsłonił prześcieradło, by zademonstrować nogę kobiety. Siedzący obok mnie doktor Hitzig gwałtownie wciągnął powietrze. Łydka kobiety była skurczona i straszliwie okaleczona, z wyglądu przypominała wypatroszoną rybę.

– Pani Bąkowska została zoperowana w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku. Przeszła trzy kolejne operacje. Wszystkie z grupy pierwszej: do rany wprowadzano bakterie, drewno, szkło i inne materiały. Wykonano nacięcie na zewnętrznej stronie lewej łydki, a naczynia krwionośne po obu jego stronach zamknięto.

Lekarz kontynuował, a Kasia nadal trzymała wysoko uniesioną głowę, ale usta zaczynały jej drżeć, a oczy zaszyły łzami.

– Do rany wprowadzono krzemionkę i drewniane drzazgi, następnie ranę zaszyto i pacjentce założono gips – powiedział lekarz.

Czy nie widział, że kobieta się denerwuje? Wstałam i podeszłam do podwyższenia.

– Opatrunek pozostawiono na tak długo, by zdążyła się rozwinąć zgorzel gazowa oraz inne stany zapalne – kontynuował. – Wtedy podano sulfonamidy.

Lekarze robili notatki.

– Oprócz mocno posuniętej deformacji całego układu kostnego pacjentka cierpi na stres pourazowy, depresję... – Przepraszam, ale... – wtrąciła się Kasia. Wstała, zasłaniając jedną dłonią oczy, a drugą przyciskając prześcieradło do piersi.

Weszłam na podwyższenie.

– Panie doktorze, nie możemy kontynuować.

– Ale kobiety wyraziły zgodę – zaprotestował doktor Gruca. –

Lekarze mają napięte harmonogramy, terminy, które zignorowali, żeby tu przyjść.

– Tak samo króliki, panie doktorze. Możemy kontynuować te oględziny na osobności. Tylko w obecności pana, doktora Hitziga i mojej.

– To absolutnie... Wzięłam Kasię za rękę.

– Te kobiety już raz stały się ofiarami i dopóki tu jestem, nie pozwolę, by ponownie zostały wykorzystane.

– Przejdźmy może do jakiegoś mniejszego gabinetu – zaproponował doktor Hitzig.

Pomogłam Kasi zejść z podwyższenia i poprowadziłam za parawan, gdzie starałam się pomóc jej się ubrać.

– Dziękuję – powiedziała. – Doceniam pani pomoc.

– Mówisz doskonale po angielsku, moja droga.

– Bez przesady.

– Na pewno lepiej niż ja po polsku.

– Zuzanny, mojej siostry, jeszcze tu nie ma, ale też jest na liście. Jest lekarzem. Ona mówi naprawdę pięknie po angielsku.

– Będę się za nią rozglądać – obiecałam.

Gdy przeszliśmy do mniejszej sali, a w badaniu uczestniczyli tylko doktorzy Gruca i Hitzig oraz ja, wszystko poszło znacznie sprawniej. Zuzanna, siostra Kasi, była ostatnią z przebadanych pacjentek.

Poprosiła, by Kasia mogła być obecna w czasie rozmowy, a lekarze przystali na to.

– Zuzanna Kuśmierczyk – zaczął czytać doktor Hitzig. –

Czterdzieści trzy lata. Członek grupy kontrolnej operacji mających na celu sprawdzenie działania na rany sulfonamidów. Zakażona bakteriami gronkowca i tężca. Jedna z nielicznych z grupy kontrolnej, która powróciła do zdrowia bez podania antybiotyków.

Doświadcza przenikliwych, skroniowych bólów głowy, miewa sporadyczne zawroty i podrażnienie żołądka. Nie wyklucza się wrzodu żołądka, podano leki zobojętniające. – Doktor Hitzig przerwał czytanie.

– No dalej, panie doktorze – zachęciła Zuzanna. – Proszę kontynuować.

Doktor Hitzig zdjął okulary.

– Nie sądzę, żeby... – Widziałam ją – uspokoiła go Zuzanna. – W zasadzie sama ją sporządziłam. Dalej jest napisane, że zostałam

wysterylizowana w obozie, czy tak?

Kasia podniosła się z krzesła.

– O nie, Zuzanno... – Wszystko w porządku. To ja wypełniałam tę kartę. Proszę, doktorze... kontynuujmy.

Doktor Hitzig nałożył znów okulary. Zuzanna siedziała wyprostowana na krześle i spokojnie czekała, by doktor Hitzig zbadał jej węzły chłonne na szyi.

– Czy to dla pani, jako lekarza, trudne tak nagle stać się pacjentką? – spytałam.

– Nie – odparła Zuzanna. – Warto znać tę sytuację z obu stron. Dzięki temu będę lepszym lekarzem.

Między innymi dlatego chciałabym pojechać do Ameryki. I żeby poznać bardziej zaawansowane metody leczenia i nauczyć się, ile tylko zdołam.

Zuzanna mówiła naprawdę świetnie po angielsku, aż miło było słuchać, jak wypowiada słowa ze ślicznym, śpiewnym polskim akcentem.

Doktor Hitzig ucisnął dwoma palcami lewą stronę jej szyi.

– O co chodzi, doktorze? – spytała Zuzanna.

– Nic takiego – odparł doktor Hitzig. – Sądzę, że tu już skończyliśmy.

Gdy Polki przygotowały się do powrotu, doktor Hitzig zaczął naradzać się z kolegami po fachu, a ja postanowiłam wręczyć im prezenty, jakie przywiozłam ze Stanów.

– Miłe panie, proszę do mnie! – zawołałam. Wyciągnęłam jedną ze ślicznych torebek, które ze sobą przywiozłam, z barwionej na granatowo skóry. Złota klamra odbijała światło. – Te torebki podarował wam Lane Bryant, naprawdę wspaniały amerykański sklep.

Króliki stały nieruchomo, jakby zapuściły w miejscu korzenie. Na ich twarzach malowała się powaga.

– Moje drogie, proszę śmiało – powiedziałam, wyciągając rękę z torebką jeszcze bardziej przed siebie.

– To prezent. Zostały przekazane dla was w darze. Niebieski kolor jest w tym roku bardzo modny.

Nadal żadna nie drgnęła. Podniosłam w górę pudełko z wyhaftowaną haftem krzyżkowym nazwą Whitman's Sampler.

– To może macie ochotę na czekoladki? – Żadna nie podeszła. – Ciasteczka figowe Newtonów? To takie herbatniki.

– Może powinniśmy zrobić sobie zdjęcie? – zaproponowała Kasia, wskazując na moją leicę.

Przybliżyły się, aby zrobić zdjęcie, ustawienie wyszło samo, jak kwiatów włożonych do wazonu.

– Jak będzie wyglądać ten wyjazd? – zapytała Kasia.

– Zakładaliśmy, że króliki przybędą z Polski do Nowego Jorku, a potem zostaną rozlokowane u rodzin w całym kraju. Później grupa spotka się w San Francisco, skąd pojedzie do Los Angeles, potem autobusem przez cały kraj, zahaczając o Las Vegas i Teksas, aż do stolicy, do Waszyngtonu.

Kasia przetłumaczyła odpowiedź innym, które podeszły bliżej, by lepiej słyszeć. Myślałam, że chociaż się uśmiechną, ale wszystkie pozostały skupione.

– Chcą wiedzieć, skąd odpływa statek – przekazała Kasia.

– Ależ nie statek – sprostowałam. – Linie Pan American Airways zaoferowały wam przelot.

Po tym oświadczeniu Polki zaczęły żywo komentować i wreszcie się uśmiechać.

– Większość z nas nigdy dotąd nie leciała samolotem – wyjaśniła Kasia.

Doktor Hitzig wyjrzał zza drzwi, a wszystkie oczy natychmiast zwróciły się na niego.

– Mamy ostateczną listę – oznajmił. – Mogę porozmawiać z panią na osobności, panno Ferriday?

Szybko dołączyłam do lekarza czekającego w sali, w której prowadziliśmy badania.

– Wszystkie mogą jechać – powiedział doktor Hitzig.

– To wspaniale – odetchnęłam z ulgą.

– Z jednym wyjątkiem. Bez lekarki.

– Bez Zuzanny? Dlaczego, na litość boską?

– Przykro mi to mówić, ale wyczułem powiększony i twardy węzeł Virchowa – powiedział.

– Co takiego?

– To objaw nowotworowy.

– Czy można to wyleczyć?

– Prawdopodobnie nie. To prawie na pewno objaw raka żołądka.

Obawiam się, że jej dni są policzone.

Pośpieszyłam do czekających przy drzwiach kobiet. Były już ubrane i gotowe wracać do domów.

Poprosiłam Zuzannę i Kasię na rozmowę na osobności ze mną i doktorem Hitzigiem. Weszliśmy do gabinetu. Polki usiadły na składanych

krzesłach.

– Zuzanno, obawiam się, cóż... – zająknął się doktor Hitzig. – Guzek, który wymacałem na twojej szyi, to najpewniej powiększony i twardy węzeł Virchowa.

– Siedlisko diabła? – spytała Zuzanna.

– Wolę nazywać go „węzłem sygnałowym” – powiedział doktor Hitzig.

– To objaw raka żołądka, prawda? – upewniła się.

– Niestety tak.

– Szkoda, że nazwano go na cześć niemieckiego lekarza – stwierdziła, uśmiechając się słabo. Jej oczy pozostały jednak promienne.

– Skąd ma pan pewność? – zapytała Kasia.

– Musimy zrobić więcej badań – przyznał doktor Hitzig. – Ale konsylium uznało, że nie kwalifikujesz się do podróży do Stanów Zjednoczonych.

Kasia wstała.

– Jak to? Przecież mamy tam lecieć po to, żeby leczono nas środkami, które tu nie są dostępne. Jak można kazać nam przechodzić przez to wszystko i na koniec odmówić pomocy osobie, która jej najbardziej potrzebuje? Zuzanna może zająć moje miejsce.

– To nie jest kwestia miejsca, Kasiu – powiedziałam.

– Mówi pani, że chce nam pomóc, panno Ferriday, ale tak naprawdę jest pani wszystko jedno.

Przyniosła nam pani kolorowe torebki i spodziewała się, że zaczniemy się o nie kłócić.

– Myślałam, że może... – Panno Ferriday, jesteście paniami. Paniami, które lubią być nazywane królikami, zwierzątkami klatkowymi, łatwo wpadającymi w popłoch. Jesteście kobietami żyjącymi w kraju, w którym przyjmowanie podarunków nie jest dobrze widziane. Czy pani tego nie rozumie? Nowa torebka od Amerykanki? Ludzie znikali tu ze znacznie bardziej błahych powodów. Pewien dziennikarz przyjął kiedyś czekoladki od Amerykanina i więcej o nim nie słyszano.

Czułam, że moje policzki płoną. Jak mogłam być tak nierozważna?

– Kasiu, proszę – zaczęła Zuzanna.

– Naprawdę chce pani pomóc, panno Ferriday? Proszę pomóc mojej siostrze.

Kasia podeszła do doktora Hitziga.

– Zapłacę panu każdą sumę, byle umieścił ją pan na tej liście.

– Po badaniach będziemy mogli powiedzieć coś więcej... – zaczął

doktor Hitzig.

– Moja siostra jest kobietą, która ratuje ludzi. Poświęciła temu całe swoje życie. Ratując ją, ratuje pan tysiące innych.

– Chciałbym, żeby było inaczej, ale tutejsi lekarze zgadzają się z tą decyzją – wyjaśnił Hitzig.

– Nie możemy podważać decyzji ZBoWiD-u – powiedziałam.

– Idę stąd – oznajmiła Kasia. – To niedorzeczne.

Wyszła wzburzona.

– Bardzo mi przykro – powiedziałam do Zuzanny.

Zuzanna położyła mi dłoń na ramieniu.

– Wszystko rozumiem, panno Ferriday... – Moja droga, proszę mi mówić Caroline.

– Najważniejsze, żeby pozostałe dziewczyny dotarły do Ameryki.

Wzięłam Zuzannę w ramiona i mocno uścisnęłam. Jaka wspaniała kobieta. Ale tak szczupła. Jej choroba była prawdziwą tragedią. Gdybym tylko mogła jej zaaplikować niektóre ze specyfików Woolseyów.

Gdy w końcu się od siebie oderwałyśmy, Zuzanna wzięła mnie za rękę.

– Nie zwracaj uwagi na moją siostrę, Caroline. Kasia bywa czasami nieco spięta. Wiele razem przeszłyśmy. A twoje prezenty są bardzo mile widziane.

Uśmiechnęła się.

– Jeśli zechcesz zostawić prezenty w szatni, dopilnuję, by dziewczyny dostały je, gdy nikt nie będzie patrzył.

Rozdział 40
Kasia
1958

Dzień przed wylotem do Ameryki w naszej niewielkiej sypialni pełno było rozrzuconych ubrań, częściowo moich, ale w większości pożyczonych. Piotrek masował obolały krzyż, bo moją walizkę wstawiał na szafę i zdejmował już sześć razy – tyle razy się pakowałam i rozpakowywałam. Piotrek otrzymał od fabryki radio w nagrodę dla najbardziej wydajnego pracownika, włączyliśmy więc je teraz, bo leciała właśnie piosenka mojego ulubionego piosenkarza, przystojnego Eddiego Fishera.

Dungaree doll, dungaree doll,

Point your initials on my jeans... Piotrek wziął mnie w ramiona i kołysaliśmy się w rytm muzyki. Miło byłoby znów móc zatańczyć. Ale jak mogłam lecieć do Ameryki i poddać się operacji, skoro Zuzanna miała zostać w Polsce?

Uwolniłam się z ramion Piotrka i zaczęłam znów rozpakowywać walizkę.

– Jak możesz zachowywać się tak głupio? – zapytał.

– Bez Zuzanny nie jadę.

Piotrek usiadł na łóżku obok otwartej walizki. To była stara zielona walizka mamy.

– Przecież Zuzanna kazała ci lecieć. Jak możesz rezygnować z takiej okazji?

Chciałam znaleźć się w tym samolocie. Od wielu lat niczego bardziej nie pragnęłam. Chciałam znów mieć normalną nogę lub tak bliską tego stanu, jak to było możliwe. Czułam zawrót głowy na samą myśl, że mogłabym wreszcie uwolnić się od bólu. Poza tym miałyśmy zaplanowane wizyty u dentysty. Może wyleczyliby mi ząb? Wyglądał tak tragicznie, że prawie przestałam się uśmiechać. No i wspaniale byłoby polecieć odrzutowcem do Nowego Jorku i zobaczyć tamte okolice. I Kalifornię. Lubelskie gazety już okrzyknęły nas gwiazdami.

Wyciągnęłam z walizki elegancką sukienkę i odwiesiłam ją do szafy.

– Jak mogłabym zostawić tu Zuzannę?

– Jeśli polecisz, będziemy za tobą tęsknić – powiedział. – Ale

pomyśl o wszystkim, co możesz stracić, Kasiu. Zuzanna najbardziej z nas wszystkich chce, żebyś tam poleciała. No i co z Halinką? Pomyśli sobie, że jej mama się boi.

Na samą myśl o locie kurczył mi się żołądek, a perspektywa używania w Ameryce mojego kulawego angielskiego też nie była kusząca.

– Wyjechałabym na wiele miesięcy. Nie ma gwarancji, że po powrocie zastałabym Zuzannę wśród żywych.

Piotrek chwycił mnie za dłoń.

– Zadbamy o nią.

Miło było tak siedzieć z jego dłonią oplecioną wokół mojej.

Odsunęłam się jednak i zamknęłam pustą walizkę.

– Nie zmienię zdania – powiedziałam.

Piotrek dźwignął walizkę i znów włożył ją na górną półkę szafy.

– Musisz się w końcu pogodzić z tym, że niektórych rzeczy nie da się zmienić.

– Więc mam zostawić siostrę na śmierć? Nie jestem... Odwróciłam się i zobaczyłam, że Zuzanna stoi w drzwiach sypialni.

– Właśnie... – Słyszała mnie?

Zuzanna weszła do pokoju z rękoma za plecami.

– Niczym się nie martw, Kasiu.

Wyprostowałam się z rękoma założonymi na piersi.

– Nigdzie bez ciebie nie leczę.

– Bardzo się cieszę – odparła.

– Więc nie masz pretensji?

Uśmiechnęła się.

– Ani trochę.

Objęłam ją i poczułam wyraźnie rysujące się pod sukienką zebra.

– To dobrze, bo nigdy cię nie opuszczę.

– Tym bardziej się cieszę – odparła Zuzanna. – Bo jeśli mam umrzeć, to chcę cię mieć przy sobie. – Wyciągnęła z kieszeni złożony telegram. – Zwłaszcza że będziemy wtedy w Nowym Jorku.

Wyjęła kartkę z koperty, odchrząknęła i przeczytała: – Pozwolenie dla panny Zuzanna Kuśmierczyk na podróż do USA STOP Dokumenty podróżne przesłane STOP Stawić się na lotnisku w Warszawie z resztą grupy odlatującej do Nowego Jorku STOP Bon Voyage STOP Caroline Ferriday STOP.

Piotrek podszedł do szafy i ściągnął walizkę z półki, a ja i Zuzanna kołysaliśmy się w swoich ramionach w takt słodkiego głosu Eddiego Fishera.

Rozdział 41
Kasia
Grudzień 1958

Wylądowałyśmy na lotnisku Idlewild w Nowym Jorku o ósmej trzydzięci rano. Trzydzięci pięć szalenie podekscytowanych Polek. Przez całą drogę w samolocie było słycać język polski, ale inni pasażerowie byli bardzo mili i wyglądali, jakby patrzenie na nas sprawiało im przyjemność.

Caroline wyszła nam na spotkanie, kiedy tylko zeszłyśmy po schodach samolotu – niektóre bardzo powoli – i zarządziła podstawienie wózków inwalidzkich. Caroline oznacza radość, więc nic dziwnego, że wszystkie tak bardzo ucieszyłyśmy się na jej widok. Wyglądała prześlicznie w granatowej garsonce, francuskiej apasze i uroczym, małym filcowym kapeluszu z piórkiem.

– Dlaczego nie wyszła za mąż? – wszystkie zadawałyśmy sobie to pytanie.

Wysoka, szczupła, obdarzona delikatną urodą, nosząca się z godnością królowej... W Polsce codziennie ktoś by się jej oświadczał.

Gdy przeszłyśmy przez odprawę celną, otoczył nas tłum reporterów, pracowników Czerwonego Krzyża i przyjaciół Caroline... a wszędzie błyskały flesze!

– Jak się wam podoba w Ameryce? – zapytał jeden z reporterów, podtykając mi mikrofon pod nos.

– Jeśli miałabym oceniać na podstawie jedzenia w samolocie, sądzę, że czeka nas wspaniała podróż – odpowiedziałam, a wszyscy parsknęli śmiechem.

– Witamy polskie panie – powiedziała Caroline, obejmując Zuzannę.
– To gałązka oliwna sięgająca za ocean.

Na pewno nigdy nie widzieliście tylu uśmiechniętych twarzy naraz.

Tamtego tygodnia rozdzielono nas i każda pojechała do innego miasta. Zuzanna i ja zostałyśmy w Nowym Jorku, u Caroline, by podjąć leczenie w szpitalu Mount Sinai Hospital. Pozostałe dziewczyny trafiły do Bostonu na oddział chirurgii rekonstrukcyjnej oraz do Detroit, Baltimore i Cleveland na operacje serca. Dwie skierowano do National Jewish Hospital w Denver, gdzie pracowali najlepsi na świecie specjaliści w

leczeniu gruźlicy i innych chorób płuc, bo te dwie dziewczyny nadal borykały się z tą straszną chorobą.

Miałyśmy z Zuzanną szczęście, że zostałyśmy w Nowym Jorku, gdyż w tym mieście było tak wiele do zobaczenia. Caroline wozila nas wszędzie, a Zuzanna siedziała oczywiście na przednim siedzeniu.

Caroline nie mogła się nacieszyć obecnością Zuzanny i miało się wrażenie, jakby te dwie nagle stały się najlepszymi przyjaciółkami.

– A oto i Central Park, moje panie, jeden z najpiękniejszych parków świata.

– W Polsce też mamy piękne parki – bąknęłam.

Mówiła o swoim mieście tak, jakby tylko ono jedno istniało na świecie.

Jechaliśmy Piątą Aleją. Setki samochodów uniemożliwiały sprawne poruszanie się, a w wielu z nich siedziała tylko jedna osoba. Co za marnotrawstwo! Kto na to pozwolił?

Pierwszego dnia w Mount Sinai Hospital nie miałyśmy chwili spokoju. Zrobili nam badania krwi i mnóstwo innych testów. Szpital Mount Sinai był przeolbrzymim kompleksem, dziesięć razy większym od jakiegokolwiek polskiego szpitala. Dostanie się gdziekolwiek zajmowało nam dużo czasu, bo ból w nodze zmuszał mnie do częstego przystawiania, a gdy tylko stawałyśmy, Caroline czuła się w obowiązku zatrzymać wszystkich po drodze i przedstawiać nas.

– Te panie przyleciały aż z Polski, żeby poddać się tu leczeniu – mówiła.

Ludzie byli uprzejmi, ale w ich oczach czaiła się litość. Miło było ze strony Caroline, że wszystkim nas przedstawiała, lecz to nam udaremniało szansę wtopienia się w tłum. Szklane drzwi rozsunęły się przed nami jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, a Caroline natychmiast pognęła z Zuzanną do przodu, żeby porozmawiać z lekarzem. Zuzanna rozglądała się uważnie, wychwytyjąc nawet najdrobniejsze szczegóły.

– Dasz wiarę? Jakie to wszystko ogromne.

Caroline odwróciła się w biegu.

– Sześć pięter. Wszędzie najnowsze osiągnięcia technologiczne.

– Jak oni dają radę rozpoznawać pacjentów w takim molochu? – spytałam.

Zuzanna zwolniła, żeby iść ze mną.

– To przyszłość medycyny. Nie mogę się już doczekać, by zobaczyć ich oddział rehabilitacyjny.

– W domu też taki mamy – mruknęłam.

– Żartujesz chyba? Skakanka i dwa komplety hantli? Tu mają cały dział hydroterapii. Niektórzy ludzie wiele by dali za taką opiekę.

Przebrałyśmy się w szpitalne piżamy, pielęgniarka zamocowała mi na nadgarstku papierową bransoletkę. Gdy prowadzono nas na prześwietlenie, zabrałam ze sobą torebkę i ubranie, chociaż dali mi do dyspozycji szafkę.

– Widzisz, jaki mają sprzęt? – zachwycała się Zuzanna.

Włożyłam szlafrok.

– Nasz dział tak samo, tylko jest starszy.

Do gabinetu lekarskiego weszliśmy w pantoflach, które pozwolono nam zatrzymać.

– Może pani mi zostawić swoje rzeczy – poinformowała siedząca przed gabinetem lekarza pielęgniarka, wysoka w marszczonym czepku.

Chciała wziąć ode mnie torebkę i ubrania, ale trzymałam je mocno.

– Dziękuję bardzo, wolę je mieć przy sobie.

Pielęgniarka pomogła mi wejść na niewysoki taboret i usiąść na leżance. Gdy usiadłam, zaszeleściła pode mną ligninowa podkładka. Doktor Howard Rusk okazał się przystojnym mężczyzną z szopą białych włosów i łagodną twarzą. Trzymał w ręku niewielkie metalowe pudełko, które mieściło się w dłoni.

– Czy wyraża pani zgodę, bym rejestrował swoje uwagi na tym urządzeniu? To znacznie oszczędza czas.

Lekarz proszący pacjenta o zgodę? To coś nowego.

Skinęłam głową, a doktor Rusk zaczął mówić do pudełka.

– Operacje przeprowadzane w obozie koncentracyjnym Ravensbrück położonym pod Fürstenbergiem w Niemczech w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim u pani Bąkowskiej, trzydziestoczteroletniej białej kobiety o korzeniach polsko-niemieckich, doprowadziły, w wyniku wprowadzenia do rany ciał obcych, do zmniejszenia u pacjentki masy mięśniowej lewej łydki.

Potem wsunął zdjęcie rentgenowskie mojej nogi w specjalną ramkę podświetlającą kliszę i zapalił światło.

Zuzanna spojrzała na mnie z otwartymi ustami. Takie urządzenia mieli w każdym gabinecie. U nas w szpitalu było tylko jedno.

Na zdjęciu widać było mnóstwo przedmiotów o różnych kształtach tkwiących w mojej nodze. Dziwnie było widzieć je tak wyraźnie! Robiono mi wiele zdjęć, ale na żadnym obrażenia nie były aż tak widoczne.

I znowu stanęła mi przed oczyma sala operacyjna w Ravensbrück. Doktor Gebhardt. Doktor Oberheuser.

Gdy lekarz wsunął w ramkę następne zdjęcie, zaczęłam się pocić.

– Kość piszczelowa skrócona o sześć centymetrów, co powoduje ból w czasie chodzenia. Wokół miejsca ingerencji powstała sieć nerwiaków, częściowa przyczyna nerwobólu odczuwanego przez panią Bąkowską. Planowany przebieg leczenia: usunięcie obcych ciał i nerwiaków w celu przywrócenia krążenia i zmniejszenia bólu, następnie chirurgiczna rekonstrukcja tkanki. Zaleca się wstawienie protezy ortopedycznej, konieczne będzie podawanie leków przeciwbólowych i rutynowa psychiatryczna kontrola pooperacyjna.

Zanim doktor Rusk wyłączył rejestrator, już miałam problemy ze złapaniem oddechu. Widział to?

– Ma pani jakieś pytania?

– Czy po operacji nadal będę odczuwać ból?

– Na sto procent nie da się tego powiedzieć. Niewykluczone, że tak, choć na pewno znacznie mniejszy.

Poprawi się za to komfort chodzenia.

– To wszystko, panie doktorze. Dziękuję. – Zeszłam z leżanki, byle szybciej wydostać się z tego pomieszczenia, od tych zdjęć rentgenowskich.

– Później będziemy musieli zaplanować pooperacyjną kontrolę psychiatryczną.

– Nie jestem szalona, doktorze.

– To standardowe badanie. U dziewcząt z Hiroszimy okazała się bardzo pomocna. – Lekarz pomógł Zuzannie usiąść na leżance. – Doskonale. Spędzicie tu noc, a rano zabierzemy się do pracy. Na przyjęcie możecie poczekać tu albo w rejestracji.

– Operacja odbędzie się jutro? – zapytałam.

– Im szybciej ją przeprowadzimy, tym szybciej wróci pani do zdrowia.

Wrócić do zdrowia? W pamięci znów pojawiła się sala pooperacyjna rewiru. Jak miałam przejść przez to jeszcze raz?

Doktor Rusk zajął się Zuzanną, a ja wyszłam z gabinetu gnana narastającą paniką. Czy ta operacja będzie bolesna? Czy znów spędzę długie dni w gipsie?

Przebrałam się szybko i przeszłam labiryntem korytarzy do magicznych drzwi. Żadnych więcej operacji.

Z bólem w czasie chodzenia jakoś sobie poradzę.

Rozdział 42
Kasia
1958

Po wyjściu na ulicę od razu zerwałam z nadgarstka szpitalną opaskę i wyrzuciłam ją do kosza. Miło było chodzić anonimowo po ulicach Nowego Jorku.

Przy przejściu dla pieszych zapalił się napis DON'T WALK. Zatrzymałam się na chodniku, ale reszta ludzi nadal szła przez ulicę.

Maszerowałam, dopóki nie rozboleła mnie strasznie noga. Pooglądałam kapelusze na wystawach sklepów, a potem wróciłam do rejestracji w Mout Sinai. Usiadłam i zaczęłam przeglądać gazety – zawsze najbardziej lubiłam tę część wizyt u lekarza, tym bardziej że teraz miałam do dyspozycji amerykańskie gazety. Przekartkowałam „Saturday Review”. Zatrzymałam się na reklamie nowego filmu zatytułowanego Dziennik Anny Frank. Śliczna aktorka ubrana w długą spódnicę siedziała po turecku i uśmiechała się z okładki. Oto amerykańskie wyobrażenie tego, jaka była prawdziwa Anna Frank.

A potem mój wzrok przykuł artykuł LES LAPINS PRZYBYWAJĄ napisany przez Normana Cousinsa.

Lapin. O ile ładniej brzmi słowo „królik” po francusku! A pan Cousins opowiedział naszą historię po prostu pięknie.

„Do dziś blisko trzystu czytelników «Saturday Review» przekazało niemal sześć tysięcy dolarów na ogólny fundusz dla Les Lapins... Oczywiście największe koszty trzeba będzie dopiero ponieść...”

Amerykanie okazali się dla nas bardzo szczerzy.

Nagle obok mnie znalazły się Caroline i Zuzanna.

– Kasiu, gdzieś ty się podziewała – zapytała Carolin. – Szukałyśmy cię.

– Potrzebowałam świeżego powietrza. Czy możemy już iść?

– Iść? – Caroline wyglądała, jakby miała się zaraz przewrócić. –

Czekają na ciebie na izbie przyjęć.

Gdzie masz identyfikator?

– Wolałabym nie... – Czy wiesz, ile środków zostało już zaangażowanych w tę sprawę? Doktor Rusk jest jednym z najlepszych chirurgów w Ameryce. – Małe piórko doczepione do kapelusza

podskakiwało, gdy mówiła.

– Nikt nie pytał, czy mam na to ochotę – powiedziałam.

Policzki Caroline poróżnowiały.

– Stawiasz na szali wszystko, o co się starałyśmy. A teraz i Zuzanna jest już spóźniona.

Zuzanna chwyciła mnie delikatnie za ramię.

– Czy mogę porozmawiać z Kasią na osobności?

Poprowadziła mnie za róg.

– Czyś ty rozum postradała?

– Nie dam rady zrobić tego ponownie – stwierdziłam.

– Wiem, że to dla ciebie trudne, ale więcej takiej szansy... – Pozwól mi to przemyśleć.

– Nie, Kasiu. Teraz albo nigdy.

– Na myśl o kolejnym gipsie... i skąd mam wiedzieć, że mogę im zaufać? Po tym, jak mnie uśpią?

– Nie będzie żadnych gipsów. Pytałam. Odprowadzę cię na salę. I będę mieć na wszystko oko.

– Zostaniesz ze mną?

– Nawet wejdę na salę, jeśli mi pozwolą. I będę wszystko obserwować. Nikt nie zrobi ci krzywdy.

Najwyżej ja, jeśli zaraz tam nie wrócisz.

Kiedy obudziłam się po operacji, myślałam, że jestem z powrotem na rewirze w Ravensbrück. Tętno mi skoczyło, ale gdy poczułam na nodze czyste bandaże, przypomniało mi się, gdzie jestem, i zalała mnie ulga. A najpiękniejsze było to, że prawie nie czułam bólu. Morfinę podawano dożylnie, więc nie groziło mi nawet klucie igłą! Nie musiałam długo czekać, a już byłam w stanie jeść lekkie pokarmy i pić kawę.

Przy łóżku znalazłam sześć przycisków, które pozwalały mi ustawiać łóżko w różnych położeniach, a do dyspozycji miałam własną pielęgniarkę, Dot, która mieszkała na długiej wyspie nieopodal Manhattanu.

Dot nosiła biały czeppek z czarnymi paskami wzdłuż górnego brzegu, co oznaczało, że szkolila się w Mount Sinai. Nie różnił się aż tak bardzo od czepka, który sama nosiłam w pracy.

Następnego popołudnia odbyłam pierwszy spacer, wspierając się mocno na ramionach dwóch pielęgniarek, ale było to najwspanialsze uczucie w życiu – móc przejść kilka kroków bez bólu w łydce, który towarzyszył mi od tak dawna.

Gdy Dot przyniosła mi obiad, nie byłam w stanie przestać paplać.

– Od dziś będę wszędzie chodzić. I znów zatańczę z mężem.
Dot sprzątnęła tacę, tak jak zrobiłaby to pielęgniarka w Lublinie.

– Wygląda na to, że komuś smakowało.

Faktycznie, zjadłam wszystko.

– Dziś masz wizytę u doktor Krazny. Warto z nią porozmawiać.
Schowałam do kieszeni zabrane z tacy obiadowej torebki z solą.

– To psychiatra? Raczej podziękuję.

Tego mi tylko było trzeba, żeby wysłano do Lublina dokumenty stwierdzające, że jestem wariatką.

Ludzie znikali z powodu bardziej błahych spraw.

– Nie będziesz musiała iść. Zawiozę cię na wózku. – Czy Dot żuła gumę? Wolno jej było? – Doktor Krazny jest wspaniała. Sama chciałabym móc posiedzieć przez godzinę i porozmawiać o moich problemach.

Przełożona Dot pojawiła się w drzwiach.

– Dot, wózek, który zamawiałaś, już tu jest. Lepiej go weź, zanim zrobi to ktoś inny.

– Poczekaj chwilkę – powiedziała. Takie zachowanie wobec przełożonej? Dot nie przetrwałaby długo na oddziale urazowym w Lublinie. – Więc nie chcesz terapii? Jak będziesz wszystko w sobie dusić, to prędzej czy później i tak wyjdzie na wierzch.

– Dziękuję za troskę – powiedziałam. Do tego trzeba było się przyzwyczaić – Amerykanie udzielali rad nieproszeni.

Gdy Dot powiedziała, że wszystkie karty pacjentów są poufne i nic z nich nie zostanie wysłane do Polski, zgodziłam się spotkać z doktor Krazny. Wątpiłam wprawdzie w poufność czegokolwiek, ale uznałam, że dalsze opieranie się będzie miało jeszcze gorsze skutki.

Gabinet okazał się pomieszczeniem czystym, ale ciasnym, co nie sprzyjało mojemu samopoczuciu. Przez małe okno widziałam płatki śniegu wirujące na wietrze. Ze zdziwieniem odkryłam, że doktor Krazny była młodą kobietą. Przystojna, tak by ją określił tata. Miała okulary w ładnych, wygiętych ku górze oprawkach. Wiszący na ścianie dyplom wyglądał na nowy. Przypuszczalnie niedawno skończyła szkołę.

Czy była tak niedoświadczona, żeby uznać mnie za osobę chorą psychicznie, mimo że wszystko było ze mną w porządku? Musiałam zachować panowanie nad sobą.

Prawie na mnie nie spojrziała, gdy sanitariusz wtoczył mnie na wózek.

– Spóźniła się pani. Przepadła pani połowa wizyty.

– Może w ogóle nie powinnam była przychodzić – odparłam.

– Nikt tu pani siłą nie trzyma.
Naprawdę nie mieli miłszej lekarki w całym Mount Sinai?
– Pani jest taka młoda... Lekarka nałożyła skuwkę na pióro i odłożyła je na biurko.
– Nie jesteśmy tu, by rozmawiać o mnie.
Szarpnęłam koła wózka, ale sanitariusz je zablokował.
– Nie mogę zostać – powiedziałam.
Lekarka oparła się na krześle.
– W tym kraju ma pani wybór.
Ścisnęłam palec wskazujący.
– Przede wszystkim chciałam powiedzieć, że nie jestem niestabilna psychicznie.
– Jestem psychiatrą. Mamy tylko porozmawiać.
Czy mogłam powiedzieć jej o kanapce z serem?
– W Polsce też mamy psychiatrów – powiedziałam.
– Z tego, co słyszałam, jednego na pięć tysięcy osób. Chyba niełatwo umówić się na wizytę.
– Byłoby łatwiej, gdyby Niemcy wszystkich nie zabili.
Pani doktor sięgnęła po moją kartę.
– Podobno ma pani problemy ze snem... – Moja siostra jest lekarzem. Ona kazała to tam wpisać.
– I problemy z oddychaniem w ciasnych pomieszczeniach. To syndrom znany jako napady lękowe klaustrofobii nabytej w dorosłości.
– Jestem pielęgniarką. Wiem, jak się to nazywa.
– Więc wie pani też, jak sobie z nimi radzić? Jakie efekty? –
Przyglądała mi się w skupieniu. – Była pani w obozie.
– To też jest w karcie... – Ravensbrück. Obóz wyłącznie dla kobiet, tak?
– Tak.
– Torturowano panią?
– Każdy dzień tam był torturą.
Doktor Krazny uśmiechnęła się lekko.
– Nie potrzebuję współczucia.
Teraz wyprostowała się na krześle.
– Rozumiem.
Znow zerknęła do karty.
– Pani matka... – zaczęła.
Wzięłam głęboki wdech.
– Przyniosła mi kanapkę z serem i została aresztowana razem ze

mną.

– Mam nadzieję, że nie uważa pani, że to pani wina.

Wpatrywałam się w swoje paznokcie. Oczywiście, że to była moja wina.

– Nie wróciła z panią? Z obozu?

– Zniknęła. Nie wiem, co się z nią stało.

– Jakież domysły?

– Nie myślę o tym.

– Nie ma pani żadnych podejrzeń?

Obserwowałam szalejącą za oknem burzę śnieżną.

– Tam działy się dziwne rzeczy – odrzekłam.

– Może to pani rozwinąć? Na tym to wszystko polega.

Odgarnęłam włosy z czoła.

– Po prostu zniknęła. Pomagała jednej lekarce.

– Czy ta lekarka była za to odpowiedzialna?

– Nie mam pojęcia.

– Jakież domysły?

– To nie takie proste. Nic pani nie rozumie. – Śnieg zaczął zaklejać szybę, zamykając nas w ciasnym pokoju. Oddychanie przychodziło mi z coraz większym trudem. Nie teraz. Nie pora na atak. – Wielu pozostałych lekarzy zostało straconych, ale ta lekarka siedzi w więzieniu.

– Jak się pani z tym czuje?

– Dobrze. Jak długo tam zostanie.

– A gdy już wyjdzie?

– To nastąpi dopiero w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym roku. Wtedy będę się zastanawiać.

– Wolałaby pani, żeby ją stracono?

– Nie.

Doktor Krazny spojrzała na mnie zdumiona.

– Dlaczego nie?

– Bo ona wie, co stało się z moją matką.

– Jakże stosunki łączyły panią i pani matkę? Kochała ją pani?

– Oczywiście. A ona mnie. Byłam jej oczkiem w głowie. Ale co to ma do rzeczy? – Uszczypnęłam się w rękę, żeby się nie rozplakać.

Lekarka pokręciła głową.

– Jeszcze nie wiem.

– Jakież domysły, pani doktor?

Doktor Krazny ściągnęła okulary i wytarła szkła.

– Wiem, że pytania bez odpowiedzi potrafią burzyć spokój ducha.

Powodują wrogość. Niszczą związki.

– Założyła znów okulary i przyjrzała się mi. – Rzadko oferuję rady swoim pacjentom, pani Bąkowska... – Nie musi pani robić wyjątku od tej reguły... – Ale ma pani szczęście, że żyje.

– Szczęście? – Dłonie miałam mokre od potu. – Pani raczy żartować.

– Wiele pani wycierpiała, ale ciągle pani tu jest.

– Czasami tego żałuję. Nie ma pani pojęcia, co się tam działo.

– Wiem, że trzyma się pani bólu po stracie matki. Bo przecież nie zostało pani po niej nic innego, prawda? Gdy zrezygnuje pani z tego, straci pani ostatnią jej część.

Odwróciłam wzrok do okna.

– Wiem też, że czeka panią wiele pracy, i to niełatwej. To klucz do wyzdrowienia. – Lekarka zebrała papiery i ułożyła je na biurku.

– Sanitariusz! – zawołała. – Proszę odwieźć panią Bąkowską do jej sali.

– Sama sobie poradzę.

Nachyliła się w moją stronę.

– Pani Bąkowska, proszę mnie posłuchać. Nie zrobi pani żadnych postępów, jeśli nie dotrze pani do źródła swojego gniewu. I na pani miejscu skorzystałabym z każdej dostępnej pomocy, bo będzie ona pani potrzebna.

Na święta Bożego Narodzenia Caroline zabrała nas do swojego domu, który nazywał się The Hay i leżał na północ od Nowego Jorku, w miejscowości Bethlehem, w stanie Connecticut. Łzy kręciły się jej w oczach, gdy mówiła nam, że taką nazwę nadał tej posiadłości jej ojciec na cześć domu, który należał do jego rodziny w Anglii.

Powiedziała, że na północy powietrze jest czystsze, co sprzyja rekonwalescencji, i może miała rację, bo zanim się spostrzegłam, zaczęłam chodzić. Zuzanna i ja czułyśmy się znacznie lepiej, będąc w domu Caroline. Być może zawdzięczałyśmy to mamie Caroline, pani Ferriday, która traktowała nas po królewsku. Od chwili, gdy wyszła nam na spotkanie ubrana w polski strój ludowy, aż do naszego wyjazdu do Kalifornii dbała o nas jak o własne dzieci. Nauczyła się nawet wielu słów po polsku, żebyśmy czuły się jak w domu.

Wspaniale było móc znów chodzić normalnie! Pani Ferriday pożyczyła mi własne futro i spacerowałyśmy ramię w ramię po jej posiadłości. Do ciepłej stodoły, która pachniała słodko sianem i końmi, w której słońce przeświecało przez umieszczone wysoko pod dachem okna. Do domku, w którym Caroline bawiła się jako dziecko – miniaturowej

wersji domu państwa Ferriday, w której znajdowała się czynna kuchnia.

Ale nawet te specjalne względy nie zagłuszały mojej tęsknoty za domem, Piotrkim i Halinką, a to, że Caroline wyraźnie faworyzowała Zuzannę i wstawiała nawet wcześniej rano, żeby napić się z nią herbaty, też w niczym nie pomagało. Codziennie siadywały we dwie przy kuchennym stole i z nachylnymi ku sobie głowami wymieniały się anegdotkami i śmiały z własnych hermetycznych żartów. Nie dziwiło mnie to, bo wszyscy przepadali za Zuzanną. Ale choć byłam wdzięczna paniom Ferriday, chciałam już odzyskać siostrę. Starłam się cieszyć tym, co dał mi los. Bethlehem było pięknym miejscem, by spędzić w nim święta.

Caroline wszędzie nas zabierała. Do niewielkiego sklepu naprzeciw miejskiego parku prowadzonego przez Braci Merrill, gdzie można było kupić wszystko, czego się zapragnęło, nawet melony i zielony groszek w środku zimy. Na mszę do opactwa Regina Laudis prowadzonego przez mniszki benedyktyńskie, które śpiewały przejmująco piękne pieśni. Jednej niedzieli, gdy jej szofer miał wolne, Caroline sama odwiozła nas na mszę długim, zielonym samochodem pań Ferriday, w którym zmieściliśmy się wszyscy, łącznie z ich rosyjskim kucharzem Serge'em, a i tak zostało jeszcze sporo miejsca. Caroline wpatrywała się w drogę i trzymała kierownicę tak kurczowo, że miałam wrażenie, że zaraz ją urwie. Pani Ferriday powiedziała mi później, że ludzie w miasteczku wiedzieli zawsze, co się święci, i na wszelki wypadek zostawali w domach, gdy Caroline siadała za kółkiem.

Mnie najlepiej było w domu, bo The Hay był najpiękniejszym domem, jaki widziałam – wysoki, biały z czarnymi okiennicami i tak przestronny, że bez trudu mogło mieszkać w nim i dziesięć osób. Stały w nim stare, ale dość ładne meble, a w salonie wisiały zasłony, które pani Ferriday uszyła własnoręcznie, a które były tkane w najpiękniejsze wzory, jakie widziałam. W stajni mieszkały trzy konie, były też piękny owczarek niemiecki Lucky (którego ja i Zuzanna początkowo okropnie się bałyśmy, a który okazał się najłagodniejszym i najwierniejszym kompanem, jakiego można było sobie wymarzyć), stado owiec i gromada kur oraz świnia, która chodziła wszędzie za Caroline. Caroline przemawiała do niej po francusku.

– Chodź, chérie – mówiła do drepczącego za nią zwierzaka. – Dépêchez-vous. Vous pouvez être beau, mais cela ne signifie pas que je vais attendre. – Może i jesteś piękna, ale nie mam zamiaru na ciebie czekać.

Czasami świnia wchodziła za Caroline do domu i z wielkim trudem

wspinała się po schodach, by spocząć w sypialni Caroline.

W Connecticut Caroline zachowywała się zupełnie inaczej niż w Nowym Jorku. Ubrana w dżinsowe spodnie i myśliwską czapkę przerzucała gnój w stajni, a nawet wspinała się na dach ze starą dwururką swojego ojca i strzelała do królików, które, jak mówiła, wyjadły jej w tym roku sałatę. Tu wyjaśniła się zagadka jej panieństwa.

Boże Narodzenie bez Piotrka i Halinki było dla mnie wyjątkowo trudne. Pisaliśmy do siebie oczywiście, a Piotrek przysłał na święta paczkę moich ulubionych ciastek oraz szkic taty i Marty wykonany przez Halinkę, ale i tak przez większość dnia nie dawałam rady pohamować łez.

Dobrze robiło mi trzymanie się blisko Zuzanny. Ona wprawdzie nie musiała przechodzić rekonstrukcji kości, tak jak ja, za to cierpiała po chemioterapii, która miała zwalczyć jej raka. Nadal była bardzo słaba, więc Caroline usadziła nas w Boże Narodzenie obok siebie w salonie przy kominku – mnie w wózku inwalidzkim, a Zuzannę w fotelu swojego ojca. Najbardziej z całego domu lubiałam salon, bo rozciągał się z niego piękny widok na ogród z jego wspaniałymi krzewami i ścieżkami wytyczonymi między rzędami bukszpanów, które nawet zimą wyglądały pięknie.

Siedziałyśmy przed kominkiem, patrząc na stojącą w kącie pokoju choinkę przyozdobioną aniołkiem na czubku. Pod choinką obie znalazłyśmy podarki od Caroline: Zuzanna buteleczkę perfum, które spodobały się jej w sklepie Bergdorfa Goodmana, a ja stosik książek, w tym Moc pozytywnego myślenia Normana Vincenta Peale'a. Nie pomyślałam, by kupić coś dla Caroline, ale Zuzanna zrobiła dla niej i jej matki piękną wycinankę przedstawiającą dom i wszystkie ich zwierzęta. Konie, świnię, kury i koty. Znalazł się tam nawet pies Lucky i ich papuga żako. Zuzanna powiedziała, że to od nas obu, ale nikt nie miał wątpliwości, czyje to było dzieło.

Pani Ferriday poprosiła Serge'a, by przygotował na kolację dwanaście tradycyjnych polskich dań, które zjadłyśmy z prawdziwą przyjemnością i przy wielu wyrazach zachwytu. Po kolacji pani Ferriday zawiozła mnie do wielkiej kuchni położonej na tyłach domu. To było drugie z moich ulubionych pomieszczeń. Podłogę kuchni pokrywały czarne i białe kafle, a porcelanowy zlew był tak wielki, że ktoś odpowiednio niewysoki mógłby bez trudu się w nim wykąpać.

Siedziałam przy stole z Caroline i panią Ferriday, obserwując, jak Zuzanna i Serge zmywają razem naczynia. Siostra była ciągle wycieńczona, ale uparła się, że pozmywa. Chemia sprawiła, że włosy wyszły jej zupełnie, przez co znów wyglądała jak wiele z nas wtedy, w

obozie. Teraz wiązała sobie na głowie jedną z apaszek Caroline w sposób, jaki robią to mleczarki. Serge trzymał się blisko niej przez cały wieczór, nawet po kolacji. Wiedziałam, że łączy ich coś więcej niż przyjaźń. Widziałam, jak wkradała się nad ranem do naszej sypialni ze skrzydła, w którym mieszkała służba. Łzy zakręciły mi się w oczach. Dlaczego siostra miała przede mną takie tajemnice?

Caroline naląła nam wszystkim kawy. Mama byłaby zachwycona, mogąc tu mieszkać, choćby dla samej kawy! Pani Ferriday otworzyła nową paczkę moich ulubionych ciastek, figowych herbatników Newtona, i naląła nam po kieliszku likieru pomarańczowego.

– Jak wyniki badań krwi Zuzanny? – zapytała.

– Są znacznie lepsze – odparła Caroline. – Naprawdę dają nadzieję.

– To naprawdę wspaniała wiadomość, ale Zuzanno, niewykluczone, że terapię trzeba będzie kontynuować – powiedziała pani Ferriday.

Zuzanna tylko się uśmiechnęła.

– W takim razie może zostanę tu na stałe.

Serge odwzajemnił jej uśmiech. Tylko kompletny imbecyl nie zauważyłby, że mają się ku sobie. Ale Rosjanin? Był dość przystojny w ten prosty rosyjski sposób, lecz co powiedziałby na to tata?

– Najpierw pojedźmy do Kalifornii – zaproponowałam. – Nie mogę doczekać się już, by zobaczyć, jak mieszkają gwiazdy. Mówią, że na Rodeo Drive aż się od nich roi.

– W takim razie koniecznie musisz się tam wybrać i szeroko do wszystkich uśmiechać, moja droga – powiedziała pani Ferriday. – To śliczny żąb.

Uśmiechnęłam się i sprawdziłam językiem protezę zęba, która zastąpiła mój zniszczony próchnicą stary żąb. Bardzo byłam ciekawa, jak Piotrek zareaguje na mój uśmiech.

Ugryzłam ciasteczko figowe i wypiałam likier jednym haustem, tak jak w Polsce pije się wódkę.

Caroline powąchała śmietankę i wlała odrobinę do kawy.

– W Los Angeles są ciekawsze rzeczy do zobaczenia oprócz gwiazd. Choćby La Brea Tar Pits^[14].

– Umarłe zwierzęta uwięzione w asfalcie? – upewniła się pani Ferriday. – Przecież to odrażające.

Kochanie, pozwól tym młodym damom trochę się rozerwać.

Jaka szkoda, że pani Ferriday nie wybierała się z nami do Kalifornii. Teraz wzięła znów karafkę z brandy i uzupełniła mój kieliszek.

Caroline zabrała jej karafkę.

- Dziewczętom wystarczy już brandy, mamó.
- Caroline, na Boga, są święta.
- Kasi zdecydowanie już wystarczy. Ona ma wyzdrowieć, mamó.
- Odrobina brandy nigdy jeszcze nie zaszkodziła pacjentowi.

Kobiety Woolseyów nacierały nią nawet dziąsła dzieci.

Caroline wstała z zabraną ze stołu karafką i odstawiła ją na kredens. Pani Ferriday uśmiechnęła się do mnie i przewróciła oczyma. Jakże wielkie szczęście miała Caroline, że miała mamę!

Zuzanna i Serge nawet tego nie zauważyli, bo nie było chyba na świecie dwójki ludzi bardziej zadowolonych ze zmywania. Śmiali się i szturchali palcami wyjętymi prosto z mydlin.

Caroline podniosła w górę filiżankę i wzniosła toast.

- Wesołych świąt.
- Wesołych świąt – powiedziałyśmy po polsku z panią Ferriday, stukając pustymi kieliszkami.

Wesołych świąt.

Rozdział 43

Kasia

1959

Wiosną zjechałyśmy z całych Stanów do San Francisco, gdzie spotkałyśmy się na lotnisku. Od wylotu z Polski minęło kilka miesięcy i wszystkie tęskniłyśmy za domami, ale i tak San Francisco nie widziało wcześniej tylu szczęśliwych polskich kobiet. Janina dołączyła do nas z Francji. Wydobrzała tam pod okiem Anise i ukończyła kurs fryzjerski, co odbiło się zdecydowanie korzystnie na naszych fryzurach.

A w Kalifornii było cudownie! My, które spędziłyśmy zimę w chłodnej Nowej Anglii, z radością przywitałyśmy słońce i świeże powietrze.

San Francisco było przyjemne, ale prawdziwą perłą Zachodniego Wybrzeża było Los Angeles. Trzeba było słyszeć ten entuzjazm w autobusie. Dokąd pójść najpierw? Do Teatru Chińskiego Graumana?

A może na Rodeo Drive? Najlepsze zaś było to, że wszędzie mogłam pójść. Jak zwykły człowiek. No i dzięki operacjom plastycznym moja łydka znów była gładka, a noga wyglądała prawie normalnie.

Doktor Rusk przepisał mi leki przeciwbólowe, ale i bez nich mogłabym chodzić po Rodeo Drive przez cały dzień.

Pojechałyśmy też do Disneylandu, o którym tyle słyszałyśmy. Wszystkie trzydzieści sześć zjechałyśmy tam klimatyzowanym autokarem, a Caroline kręciła to swoją ośmiomilimetrową kamerą, jak jakiś hollywoodzki reżyser. Wzięła też ze sobą gitarę i grała na niej w czasie obiadu, ale dzień i tak był wspaniały. Szczególnie dobrze bawiłyśmy się w Krainie Pionierów. Spłynęłyśmy tratwą na wyspę Tomka Sawyera. Zuzanna zakochała się w domku trzech małych świnek. Z jakichś przyczyn te trzy biedactwa uwięzione w za dużych ubraniach, z czarnymi brwiami w kształcie nawiasów, wymalowanymi na głowach z masy papierowej w wyrazie wiecznego zdumienia, poruszyły ją do głębi. Gdy Zuzanna tylko o tym wspomniała, Caroline zrobiła jej milion zdjęć z trzema przerośniętymi łysymi świnkami.

Natomiast atmosfera nieco się zwarzyła w czasie przejażdżki Casey Jr. Circus. Była to kolejka dla dzieci, która objeżdżała cały park dookoła. Pociąg nie wyglądał jakoś przerażająco, ale nieprzyjemny gwizd

towarzyszył nam przez cały dzień w parku rozrywki. I gdy przyszło do wsiadania do wagonów, Janina po prostu nie dała rady. Trudno było nam zapomnieć tamtą podróż pociągiem.

Z Kalifornii ruszyliśmy w podróż przez Amerykę, zatrzymując się w Wielkim Kanionie i Las Vegas.

Zuzanna myślała, że zepsuła jakieś urządzenie, kiedy po wrzuceniu do środka monety i pociągnięciu za dźwignię maszyna zaczęła błyskać światełkami i wyrzucać z siebie pieniądze. Zanim dotarliśmy do stolicy kraju i zostaliśmy przedstawione na specjalnym posiedzeniu Kongresu, same czułyśmy się już jak gwiazdy filmowe.

Po powrocie do Nowego Jorku znów rozjechałyśmy się do rodzin, u których przebywałyśmy, by spędzić z nimi ostatni tydzień pobytu w Stanach Zjednoczonych. Zuzanna i ja zostałyśmy z Caroline w jej nowojorskim apartamencie. Caroline troszczyła się o moją siostrę jak kwoka i dogadzała jej coraz to nowymi koszulami nocnymi i eleganckimi pantoflami. Gdy lekarze ogłosili, że rak Zuzanny jest w remisji, Caroline postanowiła to uczcić i zabrała nas na deser do Bergdorfa Goodmana. Nigdy nie widziałam osoby tak uradowanej. Można było pomyśleć, że Caroline jest matką Zuzanny.

Jeśli ilość pochłanianego jedzenia mogła o czymś świadczyć, to moja siostra wracała do zdrowia w rekordowym tempie. Być może miało to coś wspólnego z pobytem na Manhattanie, o czym Zuzanna zawsze marzyła. A może była to sprawka rosyjskiego kucharza Caroline, tuczącego Zuzannę polskimi specjałami.

A może chodziło o automaty.

– Gdy umrę, chcę tu trafić – stwierdziła Zuzanna, trzymając filiżankę z białej porcelany pod srebrnym kranem uformowanym w kształt delfina. Z kranu leciała czarna, aromatyczna kawa.

Gdybyśmy powiedziały, że Nowy Jork był naszą krainą Oz, to automat był niczym Szmaragdowy Gród.

Reklama na pudełku zapalek głosiła, że to ZESPÓŁ AUTOMATÓW HORNA I HARDARTA PRZY ROGU PIĘĆDZIESIĄTEJ SIÓDMEJ I SZÓSTEJ. W środku było na tyle ciepło, że można było zdjąć płaszcze, a jedzenie pojawiało się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Uśmiechnięte kobiety, tak zwane rozmieniaczki, siedziały w szklanych budkach i rozmieniały banknoty na monety, odliczając jedne i drugie palcami chronionymi gumowymi nasadkami. Po wrzuceniu monety do automatu można było wybrać dowolną potrawę, a potem otwierały się małe drzwiczki, za którymi kryły się gotowane kurki, szarlotki czy

pieczone fasolki bostońskie. Przeszło czterysta rodzajów potraw do wyboru. Mogłyśmy tam jeść codziennie.

Obie z Zuzanną dobrze wtopiłyśmy się w tłum. W nowych sukienkach od Bergdorfa Goodmana w pełni zasługiwałyśmy na miano pań z Ravensbrück. Trudno było uwierzyć, że nasza podróż dobiegła niemal końca i że niebawem miałyśmy wrócić do domów, zostawiając wszystko za sobą, ale ja i tak nie mogłam się tego doczekać. Chciałam zobaczyć się z Piotrkim. I Halinką. Niełatwo było to przyznać, ale choć wiedziałam, że będę tęsknić za Caroline, która przecież tyle dla nas zrobiła, cieszyłam się też na myśl o odzyskaniu wreszcie Zuzanny i planowałam już, jak będziemy śmiać się i rozmawiać o tym wszystkim w czasie powrotnego lotu do Polski.

Zuzanna ustawiła swoją tacę naprzeciwko mojej.

– Kasiu, tyję. Ale czy te tłuczone ziemniaki nie są cudowne?

Groszek na jej talerzu staczał się z kopy tłuczonych ziemniaków polanych brązowym sosem.

Podeszła do nas kelnerka z dzbankiem kawy i już chciała nalać mi do filiżanki.

– Dziękuję – powiedziałam, zakrywając ją dłonią, bo nie zamawiałam dodatkowej kawy.

– To się nazywa darmowa dolewka – wyjaśniła Zuzanna.

Nowy Jork co rusz zaskakiwał nas czymś takim.

Zuzanna nabrała na widelec nieco ziemniaków i groszku i zjadła. W nowym francuskim kostiumie – Caroline kupiła jej, by uczcić kolejny dobry wynik badań – wyglądała wspaniale. Jak modelka.

– Co byśmy wtedy dały za taki groszek – westchnęła.

Nadal nie mogła zmusić się do wypowiedzenia słowa Ravensbrück.

– Przynajmniej Herta Oberheuser siedzi teraz w zimnej celi i je konserwowy groszek – powiedziałam.

– Kasiu, chyba powinnaś trochę odpuścić.

– Nigdy im nie wybaczę, jeśli o to ci chodzi.

– Takie trzymanie się nienawiści tylko cię rani.

Siostra rzadko wtrącała się w moje sprawy, ale jej pozytywne nastawienie do wszystkich i wszystkiego mogło czasem irytować. Jak mogłabym im wybaczyć? Były takie dni, gdy jedynie nienawiść dawała mi siłę, by żyć.

Zmieniłam temat.

– Cieszę się, że przybierasz na wadze – powiedziałam. – Tata cię nie pozna. Wyglądasz jak nowo narodzona. Choć zdecydowanie

niespakowana.

Zuzanna wbiła wzrok w talerz.

– Mam do ciebie prośbę, Kasiu.

Uśmiechnęłam się. Zrobiłabym przecież dla niej wszystko.

Sprawdziłam czubkiem języka nowy ząb, jakbym obawiała się, że zniknie. Był tam, mój ulubiony prezent z Ameryki – gładki i doskonały, dokładnie w takim kolorze jak pozostałe zęby. Uśmiechnęłam się, żeby znów nabrać wprawy. Grupa młodych ludzi weszła do restauracji i stłoczyła się przy budce. Jakiś chłopak pocałował dziewczynę, ot tak, w miejscu publicznym. Jacy wolni i szczęśliwi byli ci ludzie. Widziałam to doskonale dzięki nowym okularom.

– Co tylko zechcesz – powiedziałam.

Zuzanna wyciągnęła z torebki jakieś dokumenty i położyła je obok mojej tacy.

– Potrzebuję pomocy. Nie potrafię wybrać... Otworzyłam teczkę i przejrzałam jej zawartość. Było w niej sześć czy siedem czarno-białych zdjęć portretowych, jak do paszportu, przedstawiających dzieci. Niektóre z nich były bardzo małe. Inne nieco starsze.

Zamknęłam teczkę.

– Co to jest?

Zuzanna grzebała widelcem w ziemniakach.

– Caroline mi je dała.

– W jakim celu? – Ujęłam Zuzannę za rękę. – Zuzanno, co się dzieje?

Cofnęła dłoń.

– Chciałam ci powiedzieć... W zeszłym tygodniu byłam w szpitalu i poprosili mnie o konsultację w pewnym przypadku.

– To chyba nic dziwnego, prawda? Ale co to ma do rzeczy?

– Potem zapytali, czy nie chciałabym uczyć.

– Tutaj? – zapytałam.

– Tak, tutaj. Gdzież by indziej, Kasiu? Poprosiłam Caroline o pomoc w przedłużeniu wizy.

– Nie wracasz do domu? – Czy walczyłam, by ją tu przywieźć, tylko po to, by teraz ją stracić?

– Oczywiście, że wracam. Nie żartuj. Po prostu przyznali mi przedłużenie wizy dla lekarzy.

– Chodzi o tego kucharza, prawda? – Dlaczego pozwoliłam, żeby to trwało tak długo?

Zuzanna obrzuciła mnie spojrzeniem zawodowym.

– On ma imię, Kasiu.

– Tato dostanie zawału. Ja mu tego nie powiem.

– Zdjęcia dzieci dała mi Caroline. Te dzieci potrzebują domu. Jedno z nich nazywa się Julien. Stracił oboje rodziców w wypadku samochodowym w Ingonish. To na wyspie Cape Breton w Kanadzie.

– Od tego są chyba sierocińce.

– To niemowlę, Kasiu. Caroline mówi, że jeśli ja i Serge zdecydowalibyśmy się, cóż, zalegalizować... – Miałabyś wziąć z nim ślub? Chyba żartujesz?

– To pomogłaby nam załatwić adopcję. Gdy już całkiem wydobrzeję. Chcemy otworzyć razem restaurację. Na początku tylko z naleśnikami i tartami... – Mam jechać do domu sama, podczas gdy ty zostaniesz tu, żeby poślubić rosyjskiego kucharza, prowadzić z nim francuską restaurację i wychowywać cudze dziecko?

– Kasiu, mam czterdzieści cztery lata i swoich dzieci mieć nie będę. Ty już masz rodzinę. To moja jedyna szansa.

– W domu możesz... – Co mogę? Zapracować się na śmierć w szpitalu? Odbierać cudze porody? Czy wiesz, jakie to uczucie? Staram się przeżyć życie, jakie mi zostało, najlepiej jak się da. I tobie też radzę. Mama by tego chciała.

– Co ty możesz wiedzieć o mamie? Sądzisz, że chciałaby, żebyś sypiała z jakimś rosyjskim kucharzem i odwracała się od wszystkiego, co zostaje w Lublinie?

Zuzanna wzięła teczkę i schowała ją do torby.

– Zapomnę o tym, co powiedziałaś, kochana siostrzyczko.

Wyszła, nie oglądając się za siebie i zostawiając przede mną swoją tacę z prawie nietkniętymi tłuczonymi ziemniakami.

Kilka ostatnich dni przed odlotem spędziłyśmy znów w The Hay. Ostatniego ranka w Connecticut obudziłam się ze strachem ze snu, w którym leciałam nad polem pszenicy, trzymając mamę za rękę. Był to jeden z tych szczęśliwych snów, tak realistycznych, że miało się wrażenie, że to prawda. Ale potem dotarło do mnie, że to nie dłoń mamy, tylko zimna ręka Herty Oberheuser.

Usiadłam, a serce łomotało mi jak oszalałe. Gdzie byłam? Ach, racja. Bezpieczna w sypialni gościnnej u Caroline. Sprawdziłam miejsce obok siebie. Zimne. Czyżby Zuzanna już wstała? Pewnie poszła do swojego rosyjskiego kucharza. Może to i dobrze, że miała tu zostać. Będzie bezpieczna, zadbają o nią.

Ale jak ja wrócę bez niej do Lublina?

Przebiegłam przez korytarz bosą i wpadłam do wysoko sklepionej sypialni Caroline, mijając pięknie zasłane łóżko z baldachimem, i przypadłam do wysokiego okna wychodzącego na ogród. Pośrodku przyciętych bukszpanów zasadzonych w okręgi stał kamienny posąg skrzydlatego cherubina i strzegł tulipanów oraz hiacyntów. Caroline klęczała przy rabacie róż, a ze stojącego przy niej na trawie białego kubka unosiła się para. Za nią wiatr poruszał morzem krzewów bzu.

Przez chwilę napawałam się poczuciem bezpieczeństwa, jakie dawała mi ta scena, a oddech sperlił się na szybie, przez co widok na ogród zamienił się w eklektyczną mozaikę zieleni i fioletu. Tak bardzo chciałam już zobaczyć Piotrka i Halinkę, ale tu, w tym starym domu, czułam się bezpieczna, a od problemów oddzielał mnie cały ocean.

Ubrałam się i zeszłam na dół, by poszukać siostry oraz napić się gorącej kawy. Nie znalazłam w kuchni ani jednej, ani drugiej, za to zatrzymałam się na chwilę przy oknie i znów zaczęłam obserwować Caroline w ogrodzie. Miała na sobie płócienne rękawice ogrodowe, a włosy przewiązała apaszką i całkowicie pochłonięta była pieleniem ciemnych krzewów. Tuż obok krzewu lilaku spała jej świnia z szeroko otwartym pyszczkiem. Przebierała raciczkami, jakby biegła gdzieś we śnie. Czy chciałam do nich dołączyć? Na pewno nie byłam w nastroju do wysłuchiwania pouczeń.

Caroline zauważyła, że stoję przy oknie, i pomachała w moją stronę łopatką.

Teraz nie miałam już wyjścia.

– Widziałaś może Zuzannę? – zapytałam, przechodząc przez drzwi.

– Pojechała z mamą i Serge’em do Woodbury. Chodź, popiel ze mną, kochanie. To robi dobrze na duszę.

Tak jak i kawa, pomyślałam.

Przeszłam żwirową ścieżką i przyklęknęłam przy Caroline. Dom wyrastał za nami niczym wielki biały okręt wynurzający się z morza bzu. Nigdy nie widziałam tylu odcieni – od głębokiego, niemal wpadającego w czerń fioletu do lekko lawendowego.

– Przepraszam, że wypiliśmy resztkę kawy – powiedziała. – Ale kto pierwszy, ten lepszy.

Przytyk do późnego wstawania? Zignorowałam go.

– Przepięknie zaprojektowałaś ten ogród – powiedziałam.

– Och, to dzieło mamy. Gdy tylko się tu wprowadziliśmy, tata sprowadził specjalistów od kształtowania krajobrazu, a oni zaskoczyli mamę pytaniem o to, gdzie co sadzić w ogrodzie. Wzięła więc ołówek i

przerysowała wzór z dywanu z Aubusson, który leży w bibliotece.
Uważam, że wygląda to doskonale.

Tu, gdzie klęczałam, róże i bez pachniały obłędnie.

– Wspaniały zapach.

Caroline wygrzebała z ziemi mlecz z całym kosmatym korzeniem i wrzuciła go do wiadra.

– Rano pachną najmocniej. Gdy słońce nieco przygrzeje, wszystko wysycha, a kwiaty zatrzymują zapach dla siebie.

Dlaczego nie porozmawiałam z Caroline wcześniej o jej ogrodzie? Przecież obie kochałyśmy kwiaty.

Wyciągnęłam z wiadra łopatkę i wykopałam z ziemi zabłąkaną siewkę drzewa. Korzeń wyskoczył z satysfakcjonującym pyknięciem. Pracowałyśmy w milczeniu, rozkopując łopatkami czarną ziemię, a ciszę mąciły jedynie śpiewy ptaków w koronach drzew i delikatne pochrapywanie świni Caroline.

– Muszę przyznać, Kasiu, że jesteś opoką dla waszej rodziny, kochanie.

Jak miło było usłyszeć taką pochwałę!

– Chyba masz rację.

– Gdy zobaczyłam cię pierwszy raz w Warszawie, wiedziałam, że masz w sobie niebywałą siłę.

– Zupełnie nie. Odkąd mama... Caroline oparła mi na ramieniu dłoń w płóciennej rękawicy.

– Wydaje mi się, że twoja mama była nadzwyczajną kobietą. Zupełnie jak ty. Silną. Wytrzymałą. Jestem pewna, że bardzo ją kochałaś.

Pokiwałam głową.

– Myślałam, że umrę, gdy odszedł tata. To było tyle lat temu, ale nie ma dnia, żebym nie żałowała, że go tu nie ma. – Caroline machnęła w stronę kołyszących się nad nami krzewów bzu. – Kochał je. Są wspaniałą pamiątką po nim, ale tak mi żal patrzeć, jak jego ulubiona odmiana kwitnie, a on nie może tego zobaczyć.

Caroline otarła łzę z policzka, rozmazując na nim ziemię rękawicą. Dopiero potem ją ściągnęła.

– Ale w jakiś sposób jest to właściwe. Tata uwielbiał to, że bez kwitnie jedynie po ostrej zimie.

Sięgnęła w moją stronę i delikatnie odgarnęła włosy znad mojej brwi. Ile razy mama robiła coś podobnego.

– To cud, że po tak trudnym czasie rodzi się takie piękno, nie uważasz?

Nagle łzy wypełniły mi oczy, a trawa zafalowała. Mogłam tylko skinać głową.

Caroline uśmiechnęła się.

– Poproszę pana Gardenera, żeby zapakował ci kilka sadzonek lilaku. Weź je ze sobą do Lublina.

– Dla Zuzanny nie musisz pakować, prawda? – powiedziałam.

Caroline przykucnęła.

– Chciałam ci powiedzieć wcześniej... – Nie ma sprawy. To naprawdę dobry pomysł. Początkowo było mi przykro, ale pomogłaś jej w sposób, w jaki ja nigdy nie byłabym w stanie. Dzięki tobie wydobrzała. I będzie mogła wychować własne dziecko. Mamie by się to podobało. Nie wiem, jak ci dziękować.

Caroline ścisnęła moją dłoń.

– Nie trzeba, Kasiu.

– Zuzanna i ja tyle od ciebie dostałyśmy. Chciałabym dać ci coś w zamian.

– Byłyście dla nas dobre, szczególnie dla mamy.

Dalej pieliliśmy w milczeniu. Wiedziałam, że będę tęsknić za Bethlehem.

W pewnym momencie Caroline obróciła się w moją stronę.

– Wiesz, Kasiu, jest jedna sprawa... – Co takiego?

– Coś, co chciałam z tobą omówić.

– Słucham cię.

– Dotyczy to, cóż, kogoś... kogo kiedyś znałaś.

– Tak?

– Chodzi o Hertę Oberheuser.

To nazwisko sprawiło, że zebrało mi się na mdłości.

Oparłam się jedną dłonią na trawie.

– O co chodzi?

– Przykro mi, że w ogóle poruszam ten temat, ale z pewnych źródeł wiem, że być może zwolniono ją wcześniej... Poderwałam się tak szybko, że aż zakręciło mi się w głowie. Nadal trzymałam łopatkę w dłoni.

– Niemożliwe. Niemcy nie mogli jej wypuścić... – Dlaczego nie mogłam złapać tchu?

– O ile wiem, zrobili to Amerykanie. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim. Po cichu.

Ruszyłam w stronę domu, ale zawróciłam.

– Była na wolności przez cały ten czas? Dlaczego to zrobili? Był przecież proces... – Nie wiem, Kasiu. Rosja stara się odciągnąć

niemieckich lekarzy od współpracy ze Stanami, więc może chodziło o przysługę. Niemcy wydają się przegrywać wszystkie wojny, ale zyskują zawsze w czasach pokoju.

– Twoje źródła muszą się mylić.

Caroline wstała i dotknęła mojego ramienia.

– Uważają, że rząd Niemiec Zachodnich pomógł osiedlić się Hercie w Stocksee. To w RFN.

Niewykluczone, że znów pracuje w zawodzie... jest lekarzem rodzinnym.

Odrąciłam jej ramię.

– Nie wierzę. Ona zabiła ludzi, zrobiła mi to. – Podciągnęłam spódnicę.

Caroline podeszła bliżej.

– Wiem, Kasiu. Ale możemy coś z tym zrobić.

Zaśmiałam się.

– Przeciwno nim? Niby jak?

– Przede wszystkim musimy ją zidentyfikować.

– I to miałabym... – Tylko jeśli czujesz się z tą myślą wygodnie.

Słońce wyszło zza drzew, ogrzewając moje ramiona.

– Wygodnie? Nie, absolutnie nie jest mi z tym wygodnie. –

Wrzuciłam łopatkę do wiadra. Załomotała głośno. – Jak w ogóle możesz mi proponować, żebym się zobaczyła z Hertą Oberheuser? – Nagle słońce zdało mi się za gorące.

– Potrzebujemy zdjęcia albo rachunku lub recepty z jej gabinetu. W przeciwnym razie będą to tylko pogłoski.

– Mam jej zrobić zdjęcie? Żartujesz chyba.

– Załatwię ci dokumenty na przejazd i pieniądze.

Czy ona naprawdę prosiła mnie, bym spotkała się z Hertą?

Przypomniałam sobie jej twarz. Zadowoloną z siebie. Znużoną. Żołądek ścisnął mi się w supeł. Czy miałam pochorować się na ten piękny trawnik?

– Bardzo mi przykro. Byłaś dla nas bardzo dobra, ale nie, nic z tego.

– Ruszyłam ścieżką w stronę domu.

Caroline poszła za mną.

– Czasami musimy się poświęcić w imię większego dobra.

Zatrzymałam się i odwróciłam.

– My? – Więc Zuzanna miała tu zostać, podczas gdy mnie wysyłano na poszukiwania Herty?

– Zastanów się nad tym, kochanie. Proszę.

– Ale... – Przemyśl to. Chodź, pójdziemy zaparzyć kawy.

Świnia obudziła się z przerażeniem, poderwała na nogi i pobiegła za nami do domu, chrzęszcząc na żwirze.

Było mi przyjemnie, że Caroline mnie potrzebuje, ale żądała niemożliwego. Miałam zobaczyć się z doktor Oberheuser? Miałam z nią porozmawiać? Czy mogła mnie rozpoznać? Czy pamiętała mamę?

Zanim doszliśmy do domu, uświadomiłam sobie, że Caroline miała rację co do róż. Słońce wzeszło wyżej i cały zapach zniknął.

Rozdział 44
Kasia
1959

W Lublinie wiele się zmieniło. Nie było mnie niecałe dziewięć miesięcy, a miałam wrażenie, że minęło dziesięć lat. Piotrek przeprowadził nas w tym czasie do mieszkania przydzielonego nam przez fabrykę konfekcji damskiej Lubgal, gdzie pracował. Mieszkaliśmy teraz na przedmieściu. Nasze mieszkanie było mniejsze niż kuchnia Caroline w Connecticut, ale było nasze, tylko dla naszej trójki. Bez taty. Bez Marty.

Zuzanna została z Serge'em w Connecticut. Mieliśmy dla siebie oba pokoje.

Kuchnia była maleńka, ledwie można było się w niej obrócić. W dzień wolny uszyłam bawełniane zasłonki w biało-niebieską kratę, ozdabiane wzdłuż szwów wizerunkami ptaków, które na pewno spodobałyby się mamie. Na parapecie ustawiłam dwie śliczne buteleczki z alkoholem, które dostałam od stewardesy w samolocie.

Piotrek wyglądał na zadowolonego z mojego powrotu. Czy tęsknił? Nic na ten temat nie mówił, a ja nie pytałam, ale cały czas się do mnie uśmiechał na lotnisku, gdzie pojawił się z piękną różową różą. Ja też się uśmiechałam, demonstrując perfekcyjne uzębienie. Może jeszcze wszystko mogło się ułożyć między nami? Tylko dlaczego tak się go wstydziłam, własnego męża? Chodziłam już znacznie lepiej. Leki zapisane mi w Mount Sinai, żeby złagodzić ból, który ciągle odczuwałam, powoli się kończyły, czasami robiłam się więc drażliwa. Ale chciałam wszystko naprawić, sprawić, by było jak przed wojną.

Pewnego popołudnia poszłam na pocztę zobaczyć się z tatą. Wręczył mi paczkę, która do mnie przyszła.

– Zdołałem ją zabrać, zanim trafiła do rąk cenzora – wyszeptał.

Była nie większa od pudełka od butów, zawinięta w szary papier.

– Uważaj na to, co wysyła ci przyjaciółka.

Adres zwrotny brzmiał: „C. Ferriday, 31 East 50th St., New York, NY, U.S.A.”. Caroline była na tyle rozsądna, by nie przesyłać jej przez konsulat. Wtedy na pewno by ją otworzono. Wszelkie kontakty z Zachodem były podejrzane i odnotowywane.

– I list od Zuzanny – powiedział tata.

Wyglądał na zaciekawionego, ale wetknęłam obie przesyłki pod połę płaszcza.

Wróciłam szybko do domu i pędem pokonałam trzy kondygnacje, wreszcie mogąc chodzić jak człowiek.

Halina przypięła do naszych drzwi nowy plakat: WYSTAWA W DZIESIĄTEJ: POLSKA NA PLAKACIE. Była to surowa grafika, zupełnie niepodobna do jej wcześniejszych prac. Jak mogłam zapomnieć o dzisiejszej wystawie? Odkąd wyjechałam, Halina rzuciła się w ramiona sztuki z jeszcze większym niż dotychczas zapałem. Staralam się o tym nie myśleć.

Postawiłam paczkę na stole w kuchni i długo jej się przyglądałam. Wiedziałam, co jest w środku.

Usłyszałam kamyki pukające w kuchenne okno i wiedziałam, kto je rzucił. Z pewnością synowie sąsiadów. Otworzyłam okno, gotowa porządnie ich zrugać, tymczasem zobaczyłam na dole Piotrka.

– Na dworze jest pięknie! – zawołał. – Wyjdź, zabawimy się.

– Okno wybijesz tymi kamolami! – odkrzyknęłam, opierając się na parapecie. Ciągłe był przystojny jak chłopak. Był nieco tęższy w pasie, ale kobiety nadal oglądały się za nim, gdy sądziły, że nie patrzę.

– Mam po ciebie pójść?! – zawołał z uśmiechem, podpierając się pod boki.

Zamknęłam okno, a on chwilę później był już na górze. Podeszedł i próbował mnie pocałować, ale się wykręciłam.

– Pamiętasz mnie? To ja, twój mąż – powiedział.

– Chyba mam grypę. Bołą mnie wszystkie mięśnie. I ciągle się pocę.

– Nadal? – zapytał. – Może po odstawieniu tych leków.

– Nie mam pojęcia – powiedziałam.

Piotrek oparł dłoń na paczce.

– Co to?

– Od Caroline – wyjaśniłam.

– Więc? – Rzucił mi ją. – Otwórz.

Złapałam.

– Nie teraz.

– Na co czekasz, Kasiu?

– Wiem, co jest w środku. Ona chce, żebym pojechała do pewnego miasta w Niemczech, do Stocksee.

Żeby zidentyfikować... – Kogo?

Postawiłam paczkę znów na stole.

– Hertę Oberheuser.

– Wypuścili ją? – zapytał Piotrek.

– Przypuszczają, że może prowadzić praktykę lekarską. I potrzebują kogoś, kto by ją zidentyfikował.

Kogoś, kto ją widział.

– Nadal jest lekarzem? Masz zamiar to zrobić?

Nie odpowiedziałam.

– Do tego potrzebne są specjalne dokumenty, Kasiu. A i tak nie ma gwarancji, że cię przepuszczą.

– To właśnie jest w paczce – odparłam.

– No i taka podróż kosztuje. Sama benzyna... – I to też – dodałam. – Jak znam Caroline, to złotówki i marki.

Piotrek podszedł o krok.

– Musimy tam pojechać, Kasiu. Wreszcie możemy zrobić coś, żeby ich dopaść. Pojadę z tobą. Samo przejście przez granicę jest cholernie niebezpieczne. Wiesz, ile osób zginęło, próbując?

– Nielegalnie. Legalnie ludzie robią to codziennie.

– Teraz jest trudniej. No i cały ten teren jest zaminowany. Patroluje go pięćdziesiąt tysięcy ludzi ze wschodniemieckiej straży granicznej. Sami snajperzy. Oni nie zadają pytań, od razu strzelają.

Chwycił moje dłonie.

– Pojadę z tobą. Halinka zostanie u dziadków.

– Skończyłam z tym, Piotrek. Z podziemiem. Ravensbrück. Muszę wreszcie pójść dalej.

– Na tym właśnie polega problem... nie potrafisz iść dalej. Czy w ogóle od powrotu zamieniłaś ze dwa słowa z córką?

– Była zajęta swoją sztuką... – Tęskniła za tobą. Zrobiła sobie kalendarz i odkreślała dni do twojego powrotu.

– Pracuję teraz na dwie zmiany – powiedziałam.

Piotrek chwycił mnie za ramiona.

– Znajdziesz dla niej miejsce?

– Ona zawsze jest u Marty... Podszedł do krzesła, na które rzucił swoją kurtkę, i teraz znów ją wziął.

– Kasiu, zawsze masz wymówki. – Ruszył do drzwi. – Nigdy się niczego nie nauczysz, prawda?

– Dokąd idziesz? – zapytałam.

– Na wernisaż naszego dziecka.

Podeszłam do niego. Jak mógł tak po prostu wyjść?

– A kolacja?

– Zjem w mieście. – Podszedł do drzwi. – I naprawdę zastanów się

nad jazdą do Stocksee ze mną. Nie co dzień ma się szansę zrobić coś takiego.

Odwróciłam się i usłyszałam zamykane drzwi, a w żołądku już czułam narastający wybuch. Patrzyłam, jak odchodzi z rękoma w kieszeniach. Halina spotkała się z nim na ulicy. Pod pachą miała czarną teczkę pełną prac. Uściskali się i poszli w przeciwne strony. Halina szła do mieszkania. Gdy weszła na górę, nadal byłam wściekła.

– Strasznie wyglądasz – powiedziała.

– Dziękuję.

– Przyjdiesz dziś na wystawę? Miałam nadzieję, że będziesz.

Halina z dnia na dzień coraz bardziej przypominała artystkę. Dziś miała na sobie starą koszulę Piotrka pochłapaną farbą. Jasne włosy spięła na czubku, jak często robiła to mama. Tak trudno było mi na nią patrzeć, była niemal dokładną kopią mojej mamy.

Paczkę od Caroline wepchnęłam pod stół.

– Mam pracę.

– Mamo, nigdy nie byłaś na mojej wystawie. A nauczycielka chce kupić moją pracę.

Wyjrzałam przez okno.

– Lepiej biegnij do taty. Kupi ci w mieście coś do jedzenia.

– Na wystawie będą koreczki – powiedziała.

– I pewnie wódka.

– Tak.

Jeśli sztuka nowoczesna nie była odpowiednio nowoczesna, to z pewnością stanie się taka po kieliszku czy dwóch alkoholu.

– Biegnij już do taty – powiedziałam.

Halina wyszła bez słowa pożegnania. Podeszłam znów do okna i spoglądałam, jak idzie ulicą.

Wydawała się taka mała. Czy odwróci się i pomacha? Nie. Na szczęście była blisko choć z jednym rodzicem.

Otworzyłam list od Zuzanny. Był krótki i treściwy. Zawsze przekazywała w ten sposób złe wieści. Nie miała zamiaru wracać. Znów przedłużyła wizę i wspominała coś o ślubie. Ale była też i dobra wiadomość. Lekarze w Mount Sinai stwierdzili, że rak nadal jest w remisji.

Wypiłam za to jedną z wódek przywiezionych z samolotu.

W kredensie miałam paczkę płatków owsianych, ugotowałam więc je i nalałam sobie szklanek wódki Piotrka. Jak na bimber była całkiem znośna. Tylko, jak mówił tata, czuć w niej było ziemniaki. Miała

ostrzejszy smak niż wódka z samolotu i dopóki nie zaczęłam wyobrażać sobie zawartości żołądka – mieszaniny ciepłej owsianki i alkoholu – nawet nie wywoływała u mnie odruchów wymiotnych.

Nic dziwnego, że Piotrek pił od czasu do czasu. Poczułam mrowienie w całym ciele, a ręce, palce, twarz i uszy rozgrzały mi się przyjemnie. Gdy ubierałam się w moją amerykańską sukienkę, nawet głowę miałam już nieco znieczuloną. Uśmiechnęłam się do swojego odbicia. Z nowym zębem znów wyglądałam jak dawniej. Dlaczego właściwie miałabym nie pójść, by świętować sukces swojej córki? Nylonowe pończochy maskowały blizny, jakie mi zostały. Może nawet mąż ucieszy się, że mnie widzi.

Szkoła Haliny była niedaleko. Weszłam do sali gimnastycznej, skąpanej w blasku lamp oświetlających prace młodych artystów rozwieszane na betonowych ścianach. Ludzie krążyli wewnątrz i podziwiali plakaty. Marta i tata stali na drugim końcu sali, rozmawiając z parą wyglądającą na artystów. Pod ścianą zobaczyłam stół zastawiony talerzami i butelkami wódki i koreczkami.

– Mamo, przysłaś – ucieszyła się Halina. – Po raz pierwszy. Chodź, wszystko ci pokażę.

Na drugim końcu sali stał Piotrek. Opierał się o ścianę i rozmawiał z jakąś kobietą w czerwonym kapeluszu.

– Może najpierw wezmę koreczka – powiedziałam, czując, jak brakuje mi tchu.

Podeszliśmy do stołu z przekąskami, z którego wzięłam koreczki i kieliszek wódki.

– To ty pijesz wódkę? – zdumiała się Halina.

– Czasami trzeba próbować w życiu nowych rzeczy – odparłam.

Spróbowałam nieco, a potem odchyliłam głowę i wypiałam wszystko jednym haustem. Była łatwiejsza do przełknięcia i lepiej przedestylowana niż domowa. Zaczynałam robić się prawdziwym koneserem.

– Chodź, pokażę ci mój autoportret – powiedziała Halina. Wzięła mnie za rękę, a ja poczułam, jak zbiera mi się na płacz. Kiedy ostatni raz tak mnie trzymała?

Jej prace były zebrane wzdłuż jednej ze ścian – jasne i kolorowe. Wyraziste grafiki. Portret jakiejś kobiety, ewidentnie Marty, która stała przy kuchni, jakby widziany przez kalejdoskop. Obok mechaniczna ryba o ciele z trybów i różnych części.

– Podoba ci się ten w kuchni? – zapytała.

– Ten przedstawiający Martę? Piękne kolory.

– To nie babcia Marta, to ty – odpowiedziała. – Namalowałam go w błękitach. Tak jak lubisz.

Oczy jeszcze bardziej zaszły mi łzami, a kolory zawirowały jak w słoju z wodą.

– Ja? – zdumiałam się. – Miło z twojej strony.

– Teraz chodź, pokażę ci najlepszy. Ten, który chce kupić nauczycielka. Ale mogę go zatrzymać.

Próbowałam osuszyć oczy chusteczką, gdy Halina prowadziła mnie dalej wzdłuż ściany do jej autoportretu. Gdy stanęłam przed płótnem, miałam wrażenie, że obraz poraził mnie prądem.

– I jak? – zapytała.

Był to największy obraz na sali, przedstawiał twarz kobiety o złotych włosach i ciemnym wieńcu na skroniach.

Moja matka.

Poczułam, że robi mi się gorąco i wiruje mi w głowie.

– Muszę usiąść.

– Nie podoba ci się – zawyrokowała Halina, składając ręce na piersi.

– Nie, bardzo mi się podoba, tylko muszę usiąść.

Usiadłam na składanym krześle i patrzyłam, jak Piotrek bawi się doskonale ze swoją przyjaciółką, podczas gdy Halina przyniosła mi kolejny kieliszek wódki. Był powód, dla którego nie wychodziłam często z domu.

Halina wzięła Piotrka za rękę i przyprowadziła go do mnie.

– Masz, mam – powiedziała, podając mi kieliszek.

– Co cię tu przyciągnęło? – zapytał Piotrek z uśmiechem. – Dzikie konie?

– No, raczej nie ty – odparłam.

Uśmiech zamarł mu na ustach.

– Kasiu, nie tutaj.

– Widzę, że świetnie się bawisz – powiedziałam, pokazując kobietę w czerwonym kapeluszu. Oczy zaszły mi mgłą, a alkohol plątał język.

– Piłeś? – zdumiał się.

– A tylko tobie wolno? – zapytałam, pociągając kolejny łyk. Czulałam, że głowa mi się rozjaśnia.

Piotrek chciał odebrać mi kieliszek.

– Zabieram cię do domu.

Nie pozwoliłam mu i wstałam. W tym momencie nadeszli tata z Martą w towarzystwie nauczycielki Haliny.

– To pani jest mamą Haliny? – zapytała nauczycielka, ładna,

ciemnowłosa kobieta w okrągłych okularach przeciwsłonecznych i fioletowym kaftanie. Wyciągnęła rękę, która wyglądała jak skrzydło nietoperza, i oparła ją Halinie na ramieniu.

– Często rozmawiam z Haliną. Zawsze tak pięknie mówi o pani.

– Czyżby? – zapytałam. – To przyznaje się do matki?

Wszyscy zaśmiali się nieco wymuszenie. To nie było aż tak zabawne.

– Ach, wie pani, te nastolatki – powiedziała nauczycielka. – Widziała pani autoportret Haliny? Moja koleżanka ze studiów mówi, że z całej wystawy podoba się jej najbardziej.

– To moja matka – sprostowałam.

– Słucham? – zdumiała się nauczycielka.

Marta i tata wymienili spojrzenia. Pokój wirował wokół mnie jak karuzela.

– Halinka namalowała siebie, Kasiu – odezwała się wreszcie Marta. Piotrek ujął mnie za ramię.

– Gdybyś знаła moją mamę, nie spałabyś dziś w jej łóżku – powiedziałam.

– Idziemy do domu – oznajmił Piotrek.

Wyszarpnęłam rękę z jego zaciśniętych palców.

– Być może Halina nie wspominała o tym pani w czasie jednej z waszych częstych rozmów, ale przez działalność w podziemiu doprowadziłam do śmierci własnej matki. Po wszystkim, co dla mnie zrobiła.

Uniosłam kieliszek do ust, ale wymsknął mi się z dłoni, oblewając mnie wódką.

– Piotrek, odwieziemy Halinkę do nas – powiedziała Marta.

– Tak, moja mama była artystką, tak jak Halina, ale rysowała portrety złych ludzi. Hitlerowców, jeśli już o tym mowa. – Poczułam, że łzy zalewają mi twarz. – Co się z nią stało? Bóg jeden wie, pani nauczycielko rysunku, bo nawet nie zdążyła się ze mną pożegnać. Ale proszę mi wierzyć, ta kobieta na obrazie to moja matka.

Potem pamiętałam tylko, że Piotrek ciągnął mnie za rękę do domu i że zatrzymaliśmy się w alejce, gdzie się pochorowałam, a on wytarł z mojej amerykańskiej sukienki na wpół przetrawione płatki na mleku.

Następnego ranka obudziłam się przed świtem.

– Wody! – zawołałam, przez chwilę mając wrażenie, że znów leżę na rewirze w Ravensbrück.

Usiadłam w łóżku Haliny i zobaczyłam, że ktoś przebrał mnie w

koszulę nocną. Piotrek? Miniony wieczór wypłynął mi w pamięci i w jednej chwili policzki zapiekły mnie ze wstydu. Zrobiłam z siebie idiotkę. Nie zdążyłam jeszcze wstać z łóżka, a już wiedziałam, że pojedę do Stocksee.

Minęłam sypialnię Piotrka. Spał z rękoma założonymi na gołej piersi. Wyglądał wspaniale. A gdybym tak ułożyła się obok niego? Dlaczego nie miałam odwagi spać z własnym mężem?

Gdy świt wstawał za oknem, miałam już przygotowane ubrania na zmianę i ostrożnie otwierałam paczkę od Caroline. Nie chciałam narobić hałasu. W środku było niewielkie pudełko z papierami na podróż.

Niemiecka waluta. Polska waluta. List zaadresowany do największej niemieckiej gazety, w którym opisano ze szczegółami historię zbrodni wojennych, których Herta Oberheuser dopuściła się w Ravensbrück, oraz informowano o jej wcześniejszym zwolnieniu z więzienia. Na kopercie naklejone były już nawet znaczki. Paczka zawierała też trzy mapy, listę stacji, na których mogłam kupić benzynę, oraz instrukcje dotyczące podróży. I list z przeprosinami, że Caroline zdołała załatwić tylko jeden zestaw dokumentów. Oraz opakowanie ciastek figowych Newtona. Wrzuciłam je do walizki i zamknęłam ją dokładnie. Piotrek obrócił się na drugi bok.

Zamarłam na chwilę. Czy powinnam zostawić mu kartkę? Napisałam szybko kilka słów pożegnania na papierze zdjętym z paczki i zesłałam przed blok, gdzie stał zaparkowany stary turkusowy samochód taty, którego nam użyczył. Piotrek od lat utrzymywał go na chodzie, a tata mówił, że tę przeżartą rdzą karoserię w całości trzyma chyba tylko farba. Ale auto jeździło.

Na początku drogi wpadłam w panikę. A jeśli to naprawdę Herta? Czy robi mi krzywdę? Czy ja zrobię jej krzywdę? Z czasem myśli nieco mi się rozjaśniły. O tej porze na drodze oprócz mnie nie było wielu kierowców. Na siedzeniu obok rozłożyłam mapę i wskazówki, jak dojechać, a potem włączyłam radio i otworzyłam okno. Na śniadanie zjadłam całe opakowanie herbatników figowych. Napis na opakowaniu głosił: **NOWE PODWÓJNE OPAKOWANIE GWARANTUJE ŚWIEŻOŚĆ NA DŁUŻEJ!** I rzeczywiście,

ciastka były jeszcze lepsze niż zwykle, miękkie i wilgotne na zewnątrz, a przyjemnie figowe w środku.

Zdecydowanie poprawił mi się nastrój. Mogło się jeszcze okazać, że ta wyprawa była naprawdę dobrym pomysłem.

Kierowałam się na północny zachód. Mijałam jedną zapomnianą

wioskę za drugą, w których jedynymi kolorowymi elementami na tle szarości były białe-czerwone plakaty propagandowe, wychwalające zalety socjalizmu

i

deklarujące

NIEROZERWALNĄ

PRZYJAŹŃ

Z

NARODAMI

ZWIĄZKU RADZIECKIEGO.

Podróż była skomplikowanym przedsięwzięciem, bo Niemcy zostały po wojnie pozbawione wszystkich podbitych ziem. Wschodnia część została zwrócona Polsce, która znalazła się pod okupacją radziecką, a zachód został podzielony między zachodnich aliantów. Z czasem z rozerwanych części utworzono dwa kraje – wolną Republikę Federalną Niemiec, z której alianci już się wycofali, oraz mniejszą Niemiecką Republikę Demokratyczną na wschodzie.

Przejazd przez Polskę do granicy z NRD zajął mi cały dzień. Drogi były dziurawe i często zarzucone śmieciami, a samochodów nie widywało się zbyt wiele. Minął mnie konwój radzieckich samochodów wojskowych z zamalowanymi tablicami rejestracyjnymi. Żołnierze siedzący na pakach ciężarówek przyglądali mi się, jakbym była co najmniej cyrkową atrakcją. Pierwszą noc przespałam w samochodzie z jednym oknem otwartym, obawiając się kradzieży.

Następnego dnia, mimo gęstej mgły i mżawki, dotarłam do wewnętrznej granicy w Niemczech, pasa o długości tysiąca trzystu dziewięćdziesięciu trzech kilometrów oddzielającego Zachód od Wschodu, tereny RFN od radzieckiej strefy okupacyjnej. Caroline przygotowała mi wskazówki dojazdu do jednego z nielicznych punktów granicznych, przez które mogli przejeżdżać obywatele innych krajów niż Niemcy, położonego najbardziej na północ. Punkt ten znajdował się między Lubeką a Schlutup. Zanim podjechałam do budki strażniczej i białe-czerwonego szlabanu, musiałam zwolnić i ustawić się w kolejce samochodów.

Lekki deszcz bębnił w dach samochodu, gdy czekałam, przyglądając się w skupieniu białej, betonowej wieży strażniczej. Czy obserwowali mnie z góry? Czy widzieli, że samochód ledwie zipie i wyrzuca z siebie kłęby fioletowego dymu? Gdzieś w oddali zaszczekał pies wartowniczy, a ja zaczęłam obserwować okolicę metalowego ogrodzenia ciągnącego się

wzdłuż drogi. Czy to za nim był ten zaminowany teren? Dopóki nie każą mi wysiadać z samochodu, wszystko będzie dobrze.

Poruszaliśmy się do przodu w żółwym tempie. Szybę zalewał mi deszcz, a wycieraczki pozbawione gumi były bezużyteczne. Gumę ukradli dawno temu chuligani. Wyłączyłam radio, żeby móc się skupić.

Gdzie była Zuzanna, gdy jej potrzebowałam? Ach, prawda. Cieszyła się nowym życiem w Nowym Jorku.

Po raz kolejny sprawdziłam swoje papiery. Trzy grube karty wypełnione odręcznie piórem, pismem z zawijasami. „Katarzyna Kuśmierczyk, ambasador kulturalny”, było tam wypisane. Powiodłam palcem po wypukłej pieczęci. Zdecydowanie nie wyglądałam na ambasadora kulturalnego, ale dzięki papierom czułam się ważna. Bezpieczna.

Gdy dojechałam do bramy, byłam już cała spocona pod grubym płaszczem. Otworzyłam okno, żeby pomówić ze strażnikiem ze wschodniej strony.

– Polka? – zapytał po polsku.

Pokiwałam głową i podałam mu papiery. Obrzucił mnie wzrokiem i obrócił się w stronę budki, trzymając dokumenty w dłoni.

– Proszę nie gasić silnika – powiedział już po niemiecku.

Czekałam, przyglądając się wskazówce paliwa. Wydawało mi się czy naprawdę przesuwała się w dół?

Firanka w budce odjechała na bok i dwóch innych żołnierzy zaczęło mi się przyglądać. W końcu w kierunku samochodu ruszył oficer w średnim wieku.

– Proszę wysiąść z auta – nakazał po polsku z mocnym niemieckim akcentem.

– Dlaczego? – zapytałam. – Gdzie moje dokumenty?

– Zostały skonfiskowane – powiedział.

Dlaczego nie posłuchałam Piotrka? Może miał rację. Niektórzy ludzie są niewyuczalni.

Rozdział 46
Caroline
1959

Dwudziesty piąty października 1959 roku okazał się doskonałym dniem na ślub. Mama była w świetnej formie, pomijając fakt, że Stany Zjednoczone wystrzeliły właśnie dwie mały Ablę i Bakera w kosmos w rakiecie Jupiter, co sprawiło, że mama zaraz zasiadła do pisania listów w sprawie zakończenia tak okrutnego traktowania zwierząt.

To był rok pierwszych razów. Po raz pierwszy przywódca Związku Radzieckiego Nikita Chruszczow odwiedził Stany Zjednoczone. Na Broadwayu po raz pierwszy wystawili musical Gypsy. W The Hay odbył się pierwszy ślub.

Wiadomo było, że w czasie zaślubin Serge'a i Zuzanny będzie doskonała pogoda, bo wydaliśmy majątek na zakupienie namiotu, który stał teraz w dalszej części podwórza, tuż za ogrodem. W Bethlehem trwało babie lato, mgliste, gorące i tylko odrobinę wietrzne.

Nie był to ślub z towarzystwa, czego najlepszym dowodem była nasza niewielka procesja wracająca z kościoła. Nasza hałaśliwa grupka wyszła z kościoła z Bethlehem, minęła miejski skwer i przeszła do The Hay odprowadzana biciem kościelnych dzwonów. Na ślub Serge'a i Zuzanny przyszło całe miasteczko z wyjątkiem Earla Johnsona, który czuł się w obowiązku pozostać na posterunku na poczcie.

Mama, zupełnie niewyróżniająca się w kreacji z szarej tafty, prowadziła ten pochód razem z panem Merrilem u boku. Szła tyłem, dyrygując orkiestrą swoich rosyjskich przyjaciół, którzy na tę okazję przyozdobili instrumenty wielobarwnymi kwiatami i wstążkami. Wygrywali porywającą wersję Herz und Mund und Tat und Leben Bacha, która na bałajkach brzmiała doprawdy niezwykle.

Za nimi szli państwo młodzi. Serge miał na sobie jeden z garniturów ojca z gabardyny specjalnie dla niego przerobiony na tę okazję. Uśmiechał się tym szczególnym uśmiechem, który pojawia się zawsze na twarzy mężczyzny, gdy złowi wyjątkowo dorodną sztukę. Ale też jaki mężczyzna nie byłby dumny, mogąc poślubić uroczą Zuzannę? Przypominała Audrey Hepburn i Grace Kelly, a usposobienie miała anielskie.

Ona i jej obdarzona niezłomną wolą siostra były doprawdy jak ogień

i woda. Kasia do bólu otwarta, Zuzanna bardziej subtelna.

Mama uszyła dla niej suknię z kremowej koronki, która wyglądała pięknie nawet po przypięciu do niej, zgodnie z polską tradycją, dolarowych banknotów powiewających i łopoczących na wietrze. Panna młoda niosła bukiet pachnących, delikatnie różowych róż Souvenir de la Malmaison przygotowany jej przez pana Gardenera. Pan młody też niósł pączuszek, ale innego rodzaju – dziesięciomiesięczne maleństwo o imieniu Julien, o twarzy przypominającej brzoskwinę i z grzywką czarnych włosów, które mama podsumowała krótko – „czarne i proste jak u Chińczyka”. Mały od dwóch tygodni oficjalnie był ich dzieckiem, a wszyscy dorośli z zachwytem wciąż nosili go na rękach.

Po szeregu kuzynów i znajomych szłam ja i Betty. Betty wyglądała olśniewająco w kostiumie od Chanel, z etolą z nerek, których łebki podskakiwały przy każdym jej kroku. Ja miałam na sobie powłóczytą szatę z surowego jedwabiu, skrojoną przez mamę, a która zdaniem Zuzanny przystawała matce panny młodej. Gdy to usłyszałam, zalałam się łzami jeszcze przed uroczystością. Na samym końcu maszerowała dzielnie Lady Chatterley, moja świnią, z wieńcem stokrotek zawieszonym na szyi, i jak większość gości zainteresowana przede wszystkim tortem.

Taki pochód przemaszerował zwirowym podjazdem. Za domem i stajnią rozciągało się pole, które kończyło się dopiero przy następnej ulicy, Munger Lane. Siano już ścięto i teraz tylko ostre pozostałości traw sterczały tam z rżyska, a klony i wiązy rosnące na skraju łąki, powoli nabierające karminowego odcienia, kołysały się lekko na wietrze. Każdy, kto tam stawał, zawsze spoglądał na koniec łąki, gdzie przy sadzie widać było mój stary domek, w którym bawiłam się jako dziecko.

Zawsze wydawał mi się odbiciem swojego pierwowzoru, z białymi deskami ścian, sterczącym kominem i podjazdem otoczonym płotkami dostosowanymi do wzrostu dziecka. Czarne drzwi lśniły w słońcu, a jedwabne zasłony w kolorze bazi uszyte przez Zuzannę powiewały na wietrze przez otwarte okna. Nie dziwiłam się, że tam właśnie szukała schronienia, gdy świat przytłaczał ją zbyt mocno. Ja też szukałam tam spokoju, czytając całymi dniami po śmierci ojca.

Gdy pochód przeszedł już przez tylny ogród, udałam się razem z Betty do kuchni, żeby przynieść babeczki przygotowane przez pomocnika Serge'a.

Serge otworzył restaurację w pobliskim Woodbury, gdzie na weekend zjeżdżali mieszkańcy Manhattanu. Nazwał ją Serge! Mieściła się w takiej klitce, że w soboty kolejka ustawiała się aż na ulicy.

Nie dziwiło to zresztą nikogo, bo przecież wiadomo, że nowojorczyk pozbawiony francuskiej kuchni przez dłużej niż dwadzieścia cztery godziny wyszuka najbliższy taki lokal niczym dzik trufle. A może ludzie ustawiali się tak po polskie desery Zuzanny?

– Uwielbiam te polskie tradycje. A ty, Caroline? Przypinanie pieniędzy do sukni panny młodej?

Przecież to genialne. – Betty porwała jedno z ciastek z tacy i wsadziła je sobie w całości do ust.

Zawiązałam sobie jeden z nowych fartuchów Serge'a z logo jego lokalu, czarnym S wypisanym z przodu.

– Betty, ale przestań już przypinać setki. To prostackie.

– Przeciwnie, bardzo praktyczna tradycja.

– Przynajmniej odwraca uwagę Zuzanny od faktu, że nie ma tu nikogo z jej rodziny.

– Caroline, oni potrzebują miesiąca miodowego. Przecież niańczenie małego musi ich wykańczać.

– Ona tęskni za siostrą.

– Za Kasią? To ją tu sprowadź, na litość boską.

– Betty, to nie takie proste. Polska jest krajem komunistycznym. I tak miałam problem, żeby załatwić jej wjazd do Niemiec... – Żeby rozpoznała tę lekarkę? Naprawdę, Caroline... – Wysłałam jej wszystko, czego mogła potrzebować, ale się nie odezwała.

Paczkę do Polski wysłałam kilka tygodni wcześniej, ekspresem, wkładając do środka aż nadto pieniędzy, by starczyło Kasi na podróż do Stocksee, ale nadal nie dostałam ani słowa wieści. A nie tylko ja chciałam wiedzieć, czy to naprawdę Herta Oberheuser. Wielu brytyjskich lekarzy było gotowych poprzeć naciski na rząd niemiecki, by cofnął Hercie prawo wykonywania zawodu. Anise i jej przyjaciółki też były gotowe do walki. Herta była jedną z wielu zbrodniarzy hitlerowskich, których należało rozliczyć.

– Caroline, masz naprawdę dar przekonywania. Będę uważała, żeby nie dać się namówić na włóczęgę po jakichś niemieckich zapyziałych miasteczkach i identyfikację hitlerowskich lekarzy.

Jak Betty to robiła, że zawsze sprowadzała wszystko do absurdu? Czy wykorzystałam Kasię, zmuszając ją do zidentyfikowania Herty? Byłam pewna, że sobie poradzi. Była silną, zaradną osobką, zupełnie jak ja w jej wieku.

– Ale niczym się nie martw, Caroline. Mam dla ciebie prezent.

– Nie trzeba było.

Betty postawiła torebkę od Schiaparellego na kuchennym stole.

– Betty, jest piękna.

– Ależ to mamy i chce ją z powrotem... na stare lata zrobiła się strasznie skapa. Prezent masz w środku.

Sięgnęłam do torebki i wyczułam flanelę i zawinięty w nią metal, którego nie sposób było z niczym pomylić. Od razu wiedziałam, co to takiego.

– Och, Betty. – Przytrzymałam się stołu, żeby odzyskać równowagę.

Wyciągnęłam flanelowe zawiniątko i rozwinęłam je na stole. Były to widelczyki do ostryg.

– Są tam wszystkie – powiedziała Betty. – Wykupywałam je od Snydera przez lata. Wiesz, że dzwoni najpierw do mnie, gdy dostanie coś dobrego. A kiedy dostał srebra Woolseyów... Wyjęłam z torebki dwanaście zawiniątek i ułożyłam je w brązową piramidę na stole. Były tam nawet miniaturowe szczypczyki.

Betty objęła mnie, a ja oparłam się o chłodne futro norki.

– Tylko nie zalej mnie łzami, Caroline. To radosny dzień.

Jak ogromne miałam szczęście, że Betty była moją przyjaciółką. Mama mogła udawać, że jej to nie obeszło, ale ucieszy się, wiedząc, że srebra Woolseyów są znów u nas.

Wyniosłyśmy z Betty tort weselny na stolik w ogrodzie, a ja użyłam szczypczyków, by ponakładać ciasteczka. Nowożeńcy stali otoczeni przez gości między ostatnimi kwitnącymi hortensjami, które wydawały się wyciągać otoczone białymi, okrągłymi płatkami łebki, by zerknąć ukradkiem na uczestników zabawy. Mama z Julienem na ręku kroїła tort, a para trzymała między sobą kieliszek nowożeńców, popijając wódkę. Wszyscy wokół wołali Gor'ko, gor'ko! – gorzko, gorzko – by ponaglić ich do picia.

Gdy szłam do domu, by przynieść nową porcję lemoniady, usłyszałam dzwonek roweru. Obejrzałam się i zobaczyłam, że z za rogu domu wyjeżdża Earl Johnson. Koła jego roweru zostawiły za sobą ciemny ślad wgniecionej trawy. Jechał ku nam na czerwonym rowerze Schwinn Hornet z chromowaną lampą z przodu i przymocowanym białym, plecionym koszem pełnym żółtych, plastikowych stokrotek.

Zdjął czapkę i wykazał się instynktem samozachowawczym choć na tyle, by zrobić strapioną minę.

– Przepraszam za trawnik, panno Ferriday.

– Niczym się nie przejmuj, Earl – odparłam, mimo że do znudzenia prosiłam go, żeby nie jeździł po trawie. – To tylko trawa. Może następnym

razem po prostu przyjdź?

Zuzanna dostrzegła nas i podeszła z dzieckiem na biodrze. Po drodze zerwała gałązkę późnego bzu i połaskotała nim małego pod brodą, sprawiając, że zadarł z rozkoszy nóżki do góry, niczym żabka. Jak pewnie poruszała się teraz, gdy już całkowicie wyzdrowiała.

Earl stanął okrakiem nad rowerem.

– Mam dla panienki list. Od... – Zmarszczył się, próbując odczytać adres zwrotny.

Wyrwałam mu go z rąk.

– Dziękuję ci, Earl. – Spoglądałam na kopertę wystarczająco długo, by rozpoznać pismo Paula.

Wepchnęłam list do kieszeni fartucha. Obmacałam go i wiedziałam, że jest gruby. To dobry znak. Czy to tylko zbieg okoliczności, że Pan Am uruchomił ostatnio bezpośrednie loty do Paryża?

Earl wyciągnął z kosza jeszcze jedną kopertę.

– I telegram. Aż z Niemiec Zachodnich. – Podał mi go i czekał, ściskając rączki kierownicy.

– Dziękuję, Earl. Dam sobie już radę.

Earl odwrócił się, wymamrotał pożegnanie i ruszył w stronę frontu, gdzie przechwyciła go mama, która poprowadziła go na tort.

Zuzanna doszła w tym czasie do mnie i spoglądała wyczekująco.

Oddarłam jeden brzeg koperty i wyciągnęłam telegram.

– To z Niemiec Zachodnich. Od Kasi.

Uchwyciłam zapach tlenku cynku i talku, gdy Zuzanna złapała mnie za dłonie. Miała chłodne, ale delikatne ręce. Dłonie matki.

– Mam przeczytać na głos? – zapytałam.

Pokiwała głową.

– Napisała: „W drodze do Stocksee. Sama”.

– Co to ma znaczyć? – dopytywała Zuzanna. – Musiała napisać coś jeszcze.

– Przykro mi, ale to wszystko. Podpisała się jeszcze „Kasia”.

Zuzanna puściła moją dłoń i wyprostowała się.

– Więc pojechała. Żeby sprawdzić, czy to Herta. Sama?

– Obawiam się, że tak, kochanie. Wiesz, jakie to ważne. To dzielna dziewczyna. Da sobie radę.

Zuzanna przytuliła mocniej Julię.

– Nie wiesz, jacy oni są.

Odwróciła się i poszła w stronę mojego domku, a dziecko przyglądało mi się z coraz większej odległości z piąstką wciśniętą w buzię.

Zespół zaczął grać Young Love Sonny'ego Jamesa. Patrzyłam, jak Zuzanna oddala się przez łąkę.

Gdy dotarła do domku, weszła i zamknęła za sobą cicho drzwi. Zostałam sama z przykrym wrażeniem, że tym razem posunęłam się za daleko.

Rozdział 47

Kasia

1959

Recepcjonistka poprowadziła mnie do gabinetu lekarza.

– Proszę tu poczekać – powiedziała.

Gabinet był ładnie urządzone, na podłodze leżał orientalny dywan, ściany pomalowano na delikatny odcień zieleni, a okno francuskie wychodziło na cichy ogród. Wewnątrz pachniało skórą i starym drewnem. Meble wyglądały na drogie. Stała też obita tkaniną sofa, a przy niej niski stolik o nóżkach przypominających lwie łapy. Za biurkiem lekarza stał wysoki, skórzany fotel. Przed nim – pomalowane na czarno krzesło z plecionym siedzeniem wyraźnie czekające na pacjentów. Czy w takim właśnie otoczeniu Herta wiodła swoje życie? Jeśli tak, to zdecydowanie awansowała na drabinie społecznej. I na pewno nie jadła konserwowego groszku.

– Jest pani ostatnią pacjentką – powiedziała recepcjonistka. – Pani doktor miała długi dzień. Od rana dwie operacje.

– Pewne rzeczy się nie zmieniają – mruknęłam.

– Słucham?

Podeszłam do krzesła.

– Nic takiego.

Dłonie drżały mi, gdy chwyciłam drewniane oparcie krzesła, by na nim usiąść. Przed sobą miałam wbudowane w ścianę regały i zegar z różowej porcelany stojący na półce.

– Zostawię panią – powiedziała recepcjonistka. – Oto pani rachunek. Pani doktor zaraz przyjdzie.

– Dziękuję – odparłam.

Spojrzałam na rachunek. „Dr Herta Oberheuser” – było wypisane na górze ładnym krojem pisma.

Miałam dowód!

Niemal złapałam recepcjonistkę za rękę i zaczęłam błagać, żeby została, ale ostatecznie pozwoliłam jej odejść. Bo co mogło się stać? Zamknęła za sobą cicho drzwi. Jeśli to naprawdę był gabinet Herty, to miło będzie wygarnąć jej wszystko, a potem zatrzaskać za sobą drzwi.

Wstałam i podeszłam do półki z książkami, a dywan wygłuszył moje

kroki. Przesunęłam palcem po gładkich, oprawionych w skórę tomach i wyciągnęłam jeden wyjątkowo gruby. Atlas chirurgii ogólnej.

Specjalność Herty. Wsunęłam go z powrotem na miejsce i podeszłam do oprawionego w zdobioną ramę obrazu przedstawiającego krowy na łące. Na biurku leżała podkładka, stał telefon oraz pudełko chusteczek, a także srebrny dzbanek na wodę na porcelanowym talerzu. Na dzbanku skraplała się woda.

No to oboje byliśmy mokrzy.

Spojrzałam na wiszące na ścianie dyplomy.

SZKOŁA MEDYCYNY STOSOWANEJ W DÜSSELDORFIE.

DERMATOLOGIA.

I drugi ze specjalizacją z chorób zakaźnych. Żadnego dyplomu chirurga? Nalałam sobie wody.

Drzwi otworzyły się i weszła przez nie kobieta, którą widziałam wysiadającą ze srebrnego mercedesa.

Zamarłam i poczułam, jakbym miała usta pełne piachu. Odstawiłam szklanę na stół. To była Herta.

Podeszła do biurka z kartą w dłoni, w białym kitlu i ze stetoskopem zwisającym z szyi. Dzięki Bogu, że nie chciała uścisnąć mi dłoni, bo te miałam całe mokre.

Usiadłam, czując, jak cała się trzęsę na widok leżącej przede mną ankiety, którą sama przed chwilą wypełniałam. Ona obrzuciła ją wzrokiem, sprawiając wrażenie znudzonej, a może lekko zirytowanej.

– Czym mogę pani służyć, pani Bąkowska? Jest pani nową pacjentką?

– Nową, tak – powiedziałam, kładąc dłonie na kolanach, żeby przestały się trząść. – Szukam lekarza rodzinnego.

Usiadła w fotelu i przysunęła się do biurka.

– Polka? – zapytała, zdejmując skuwkę z pióra. Czy słyszałam w jej głosie odrazę?

– Tak – powiedziałam z wymuszonym uśmiechem. – Mąż prowadzi zieleniak.

Dlaczego się tak trzęsłam? Co złego mogło się stać? Komendant Suhren spoczywał w sosnowej trumnie na niemieckim cmentarzu. A może nie? Biorąc pod uwagę, jak hitlerowcy objawiali się w tym mieście, mogłam się spodziewać, że pływa właśnie na wznak w jeziorze.

– Mieszka pani w Plön? – Zrobiła niezadowoloną minę, uniosła moją szklanę z biurka i włożyła pod nią lnianą podkładkę.

– Tak – potwierdziłam.

– Przy Szkolnej?

– Zgadza się.

– Zabawne, bo w Plön nie ma Szkolnej.

– Napisałam Szkolna? Niedawno się sprowadziliśmy. – Sroka zatrzepotała skrzydłami za oknem.

– Czym mogę służyć, pani Bąkowska?

Jakim cudem nie rozpoznawała mnie, skoro ja jej twarz miałam na zawsze wyrytą w pamięci?

– Proszę mi coś o sobie powiedzieć – poprosiłam.

– Ukończyłam dermatologię, a niedawno uzyskałam specjalizację z medycyny rodzinnej. Miałam sporą praktykę w sanatorium Hohenlychen i sporym szpitalu klinicznym w Berlinie.

Gdy serce przestało mi walić jak szalone, poczułam się nieco lepiej w swojej roli. Ona naprawdę mnie nie rozpoznawała.

– Och, to musiało być interesujące – powiedziałam. – A wcześniej?

– Pracowałam w obozie reedukacyjnym dla kobiet pod Fürstenbergiem.

Odchyliła się na krześle, składając razem palce. Nie było wątpliwości, to była ona. Ale zmieniła się.

Teraz Herta była bardziej wyrafinowana, miała dłuższe włosy, ubierała się kosztowniej. Więzienie wcale jej nie złamało, a raczej wysublimowało. Na tę myśl cała się spięłam. Jak to możliwe, że kat żył w luksusie, a jego ofiara trzęsa się po świecie w starym gruchocie?

– Och, Fürstenberg to cudowne miasto – rzuciłam. – A jakie jezioro. Bardzo piękne.

– A więc zna pani tamte okolice?

To była ta chwila. Miałam wybór. Wyjść, bo przecież już ją zidentyfikowałam, albo dostać to, po co tu naprawdę przyjechałam.

– Owszem. Byłam tam więziona.

Zegar wybił wpół do czwartej.

– To było dawno temu – powiedziała Herta. Usiadła prosto i zaczęła porządkować bezmyślnie biurko.

– Jeśli nie ma pani więcej pytań, proszę iść. Mam pacjentów, a już jestem spóźniona.

Oto i dawna Herta. Na tyle wystarczyło jej uprzejmości.

– Jestem pani ostatnią pacjentką – sprostowałam.

Herta uśmiechnęła się. Po raz pierwszy.

– Po co do tego wracać? Chce pani wymierzać sprawiedliwość na własną rękę?

Wszystko, co sobie ułożyłam, uciekło mi z głowy.

– Pani mnie naprawdę nie poznaje, prawda?

Jej uśmiech zbladł.

– Operowała mnie pani. Zabijała młode dziewczyny. Dzieci. Jak pani mogła?

– Robiłam, co do mnie należało. Spędziłam lata w więzieniu za prowadzenie badań naukowych.

– Pięć lat. Skazano panią na dwadzieścia. Taką ma pani wymówkę? Badania naukowe?

– Badania, które ratowały życie niemieckim żołnierzom. A do pani wiadomości, niemiecki rząd od lat pozwala prowadzić takie badania na straconych więźniach.

– Tylko że żadna z nas nie była martwa, Herto.

Herta przyjrzała mi się dłużej.

– Odsiedziałam wyrok, a teraz proszę mi wybaczyć... – Moja matka też była w Ravensbrück.

Herta zatrzęsnęła szufladę nieco zbyt głośno.

– Nie sądzi pani chyba, że pamiętam każdą Häftling.

– Halina Kuśmierczyk.

– Nic mi to nie mówi – powiedziała Herta bez sekundy namysłu.

– Kazałaś ją przenieść na blok pierwszy.

– W Ravensbrück były setki tysięcy Häftlinge – odparła.

– Nie waż się więcej mówić o niej Häftling.

– Nie kojarzę takiej osoby – powiedziała, szybko obrzucając mnie spojrzeniem.

Czyżby się mnie bała?

– Halina Kuśmierczyk – powtórzyłam. – Była pielęgniarką.

Pracowała z tobą na rewirze.

– Były tam trzy zmiany osadzonych pielęgniarek. Uważa pani, że będę pamiętać którąś konkretną?

– Była blondynką, mówiła płynnie po niemiecku. Była artystką.

Herta uśmiechnęła się.

– Naprawdę chciałabym pomóc, ale pamięć nie służy mi już jak dawniej. Bardzo mi przykro, nie mogę pamiętać każdej pielęgniarki, która szkicowała jakieś tam portrety.

Chmury się rozstały, a światło padło przez okno prosto na biurko Herty. Czas zwolnił.

– Nie powiedziałam, że szkicowała.

– Prosiłam, by pani wyszła. Jestem naprawdę zajęta. Moje...

Wstałam.

– Co stało się z moją matką?

– Jeśli jest pani mądra, wróci pani do Polski.

Podeszłam bliżej do biurka.

– Może i cię wypuścili, ale są ludzie, którzy uważają, że powinnaś ponieść cięższą karę. Wielu.

Wpływowi ludzie.

– Zapłaciłam już za to.

Herta zamknęła pióro i rzuciła je na blat. Jej pierścionek chwycił światło i rozbłysnął kalejdoskopem barw.

– Piękny pierścionek – powiedziałam.

– Po babce – odparła Herta.

– Jesteś chora. To już patologia.

Herta wyjrzała przez okno.

– Nie wiem, o czym pani mówi.

– Termin określający zachowania lub odnoszący się do zachowań noszących znamiona nieprzystosowania... – Ten pierścionek jest w mojej rodzinie... – Daruj to sobie, Herto.

Herta spojrzała na ozdobny notatnik leżący w szufladzie.

– Chodzi pani o pieniądze? Wydaje się, że każdy Polak tylko wyciąga rękę.

– Jeśli nie powiesz mi, co stało się z moją matką, wrócę do ludzi, którzy mnie tu przysłali, i opowiem im, że tu siedzisz, z tym mercedesem i kliniką, w której leczysz dzieci. A potem pójdę do gazet i wszystko im opowiem. O tym, jak zabijałaś ludzi. Dzieci. Matki. Starców. I że teraz siedzisz sobie tutaj jak gdyby nigdy nic.

– Nie... – Oczywiście zabiorą ci wtedy te obrazki. I oprawione w skórę książki.

– W porządku!

– I ten śliczny zegar... – Przestań. Pozwól mi pomyśleć. – Herta spojrzała na swoje dłonie. – Jeśli dobrze pamiętam, to doskonale pracowała. Tak, świetnie zorganizowała rewir.

– I? – W tym tempie nie miałam szans zdążyć na granicę w wyznaczonym czasie.

Herta przechyliła głowę w bok.

– Skąd mam mieć pewność, że nie pójdziesz do prasy?

– Mów dalej – nakazałam.

– Cóż... kradła. Różne rzeczy. Bandaże. Sulfonamidy. Nie mogłam w to uwierzyć. Okazało się, że aptekarka, która zaopatrywała aptekę SS,

niejaka Paula Schultz, podrzucała jej zapasy. Leki na serce.

Pastę do butów, żeby starsze kobiety... – Wiem, co z nią robiły.
Mów dalej.

– Samo to by wystarczyło, ale o liście nie miałam pojęcia. – Herta zerknęła na mnie spode łba.

Nachyliłam się.

– O jakiej liście?

– Liście operacji do badań nad sulfonamidami. Siostra Marschall odkryła, że twoja matka zabrała ją, żeby, cóż, nanieść pewne poprawki.

– Jakie poprawki? – zapytałam, chociaż doskonale wiedziałam.

– Próbowwała usunąć z niej nazwisko twoje i twojej siostry. I jeszcze jakiejś więźniarki.

– Więc ją zabili? – zapytałam ze łzami w oczach.

– Najpierw posłali do bunkra. Potem siostra Marschall powiedziała Suhrenowi o węglu. Że robiła z niego leki dla Häftlinge cierpiących na dyzenterię. Nie doniosłam mu, że włamała się do szafki z lekami, ale sam węgiel mu wystarczył.

– Żeby ją zabić? – zapytałam, czując, jak zapadam się w mrok.

– Okradała Rzeszę – powiedziała Herta.

– Nie powstrzymałaś ich.

– Początkowo nie miałam pojęcia, o co chodzi. Suhren kazał mi tamtej nocy iść z nimi i zanim się zorientowałam, byliśmy już pod murem.

– Pod murem? – Szukałam po omacku chusteczki w torebce, nie mogąc mówić.

Herta znów spróbowała.

– Naprawdę muszę już iść – powiedziała i zaczęła wstawać.

– Siadaj – rozkazałam. – Kto ją zastrzelił?

– Nie sądzę... – Kto ją zastrzelił, Herto? – zapytałam głośniej.

– Otto Poll – powiedziała Herta szybko. – Binz wyciągnęła go w nocy z łóżka.

Bała się mnie. Na samą tę myśl się wyprostowałam.

– I widziałaś wszystko?

– Nie miałam wyboru. Suhren rozkazał mi być przy egzekucji.

Chciał, żebym dowiodła swojej lojalności.

– Dlaczego?

– Nie jestem pewna... – Dlaczego, Herto?

– Uważał, że zbyt blisko się zbliżyliśmy – powiedziała, rozglądając się po gabinecie.

– A zbliżyłyście się? – zapytałam.

Herta wzruszyła ramionami.

– Lubiliśmy się.

Wiedziałam, że lekarka lubiła mamę, ale czy mama naprawdę mogłaby zadawać się z tą kryminalistką?

Raczej udawała przyjaźń, żeby mieć dostęp do leków.

– Mogłaś odmówić – stwierdziłam.

– Żeby mnie też postawili pod murem?

– Jak to się odbyło?

– Nie chcę... – Jak to się odbyło? Następny raz nie zapytam.

Herta westchnęła, zaciskając usta.

– Chcesz wiedzieć? W porządku. Po drodze pod mur Halina cały czas mówiła Ottonowi, że zna jakiegoś esesmana. Wysoko postawionego. Jakiegoś Lennarta. „Skontaktujcie się z nim. On za mnie poręczy”. Musisz wiedzieć, że wysłałam temu Lennartowi list od niej. Wiele przy tym ryzykowałam.

To dlatego Brit widziała Lennarta w obozie. Lennart Odważny ostatecznie przybył mamie na ratunek.

Tyle że za późno.

– Mów dalej – zażądałam.

– „Jesteś pewna?”. Otto cały czas mnie o to pytał. Kochał kobiety. Wtedy Halina poprosiła o przysługę.

– Jaką?

– „Pozwólcie mi raz jeszcze zobaczyć dzieci”, poprosiła, a ja się zgodziłam... uważam, że to było bardzo dużo z mojej strony, zważywszy na jej zdradę. Nie miałam pojęcia, że operowaliście mnie i twoją siostrę. Zaprowadziliśmy ją na salę, gdzie spałyście. Potem poszła bez protestów. Gdy Suhren dołączył pod murem, po prostu to zrobili. „No, już”, rozkazałam Ottonowi, ale zaciął mu się pistolet.

Popłakał się. Ona też. Tragedia.

– A dalej? – zapytałam.

– To ohydne – stwierdziła Herta.

Czy naprawdę chciałam znać szczegóły?

– Powiedz mi – powiedziałam.

– W końcu to zrobił. – Herta umilkła. W gabinecie zrobiło się tak cicho, że słyhać było dzieci bawiące się w ogrodzie.

– Jak? – zapytałam. Przejdź przez to i będziesz mogła wsiąść do auta i pojechać do domu.

Herta zaczęła wiercić się w fotelu, aż zatrzeszczała skóra.

– Kiedy się nie spodziewała.

Wreszcie usłyszałam to, o czym marzyłam przez tyle lat. Usiadłam, pusta jak wydmuszka, ale dziwnie ożywiona. Mimo że prawda była trudna do zniesienia, nagle zapragnęłam usłyszeć wszystko, każdy szczegół, bo miałam wrażenie, że te kawałki przenikają mnie i przywracają do życia.

– Krzyczała? Zawsze bała się broni.

– Stała tyłem. Nie spodziewała się niczego. – Herta otarła łzę.

– Jak się po tym czułaś?

– Ja? – zapytała Herta. – Nie wiem.

– Musiałaś coś czuć.

– Było mi bardzo przykro. – Wyjęła chusteczkę z pudełka. –

Zadowolona? Była dobrą pracownicą.

Właściwie czystą Niemką.

– Gdybyś wiedziała, że jesteśmy jej córkami, usunęłabyś nas z listy?

Herta splotła palce i wbiła wzrok w kciuki. Z dala doleciał nas dźwięk kosiarki.

Po kilku sekundach wstałam.

– Rozumiem. Dziękuję, że mi to opowiedziałaś.

Dlaczego jej dziękowałam? To było dziwaczne. Dlaczego nie mogłam na nią nawrzeszczyć, kazać jej iść do diabła?

Ruszyłam do drzwi, ale naraz się odwróciłam.

– Oddaj mi pierścionek – powiedziałam.

Splotła ręce na piersi.

– Natychmiast go ściągaj – zażądałam. – I połóż na biurku.

Stała nieruchomo przez kilka sekund, a potem spróbowała zdjąć pierścionek.

– Palce mi spuchły – mruknęła.

– Niech na to spojrzę – powiedziałam, a potem wzięłam głęboki wdech i chwyciłam ją za dłoń.

Naplułam na pierścionek i poruszyłam nim w przód i w tył. Zsunął się, pozostawiając biały pasek na palcu Herty.

– No i masz – powiedziała Herta, uciekając przed moim wzrokiem. – Zadowolona. Idź już.

Wstała, podeszła do okna i wyjrzała na ogród.

– Zakładam, że dotrzymasz swojej części umowy. Nie pójdziesz do gazet? Mam twoje słowo?

Potarłam pierścionek o spódnicę, żeby zetrzeć z niego ostatnie ślady Herty, a potem wsunęłam go na palec serdeczny lewej dłoni. Był chłodny i ciężki. Pasował doskonale.

Mamo.

Ruszyłam do drzwi.

– Więcej o mnie nie usłyszysz – powiedziałam.

Herta odwróciła się od okna.

– Pani Bąkowska.

Zatrzymałam się.

Herta stała tam z dłonią zaciśniętą w pięść przy piersi.

– Ja... – Co się stało?

– Chciałam tylko powiedzieć, że... Wskazówka zegara przesunęła się.

– Gdybym mogła, wróciłabym ją do życia.

Przyglądałam się jej przez dłuższą chwilę.

– Ja też – powiedziałam.

Wyszłam z gabinetu z poczuciem lekkości, zostawiając drzwi uchylone. Nie miałam już ochoty trzaskać.

Znalazłam w Stocksee pocztę i szybko wysłałam dwa telegramy.

Pierwszy do Piotrka i Halinki: „Wszystko w porządku. Niedługo będę w domu”.

Drugi do Caroline w Connecticut: „Bez wątpienia Herta Oberheuser”.

Podarłam list do prasy. Caroline na pewno zajmie się Hertą we właściwym czasie. Dla mnie ta sprawa była już skończona.

Wróciłam na przejście Lubeka-Schlutup i przeszłam odprawę bez większych trudności. Mimo że nie spałam, w drodze do Lublina czułam się mocno ożywiona. Pozbawiony tłumika samochód charczał i zawodził przy każdym naciśnięciu gazu, gdy pokonywałam łagodne wzniesienia w drodze do domu.

Księżyc wskazywał mi drogę między rozległymi, ciemnymi łąkami, wioskami pełnymi biało-niebieskich domów i srebrnymi brzoźami jaśniejącymi na tle ścian lasów.

Raz po raz wracałam w myślach do rozmowy z Hertą, przeżywając fakt, że mama zdołała się z nami pożegnać. Dotknęła mojego czoła i uśmiechnęła się. Pocałunek ze snu był prawdziwy.

Odkręciłam okno i pozwoliłam aromatom jesieni wlać się do ciemnego wnętrza samochodu. Czułam, jak zapach świeżo skoszonej trawy przenosi mnie na łąkę za miastem. Moje myśli pobiegły do Piotrka, jego ciepła, gdy leżał przy mnie, jego postaci, gdy przy stole trzymał rano małą Halinkę w ramionach i czytał gazetę, ani na chwilę nie puszczając małej. Jak łatwo było zaplątać się we własne sieci.

Słońce kryło się za horyzontem, gdy dotarłam na przedmieścia

Lublina. Wjechałam do miasta o tej przedziwnej porze między nocą a dniem, gdy wszystko wydaje się możliwe.

Sunęłam przez ulice, starając się nie budzić śpiącego miasta, minęłam milczące kobiety prowadzące krowy na pastwiska. Dzwonki pobrzękiwały przy szyjach zwierząt.

Minęłam plac nieopodal Zamku, gdzie niegdyś znajdowało się getto, rozebrane potem przez robotników przymusowych w czasie wojny. Teraz ten teren znaczyła jedynie mosiężna tabliczka. Przejechałam obok naszego starego różowego domu, gdzie na podwórku pochowaliśmy Felkę, a bzy Caroline zapuściły już korzenie i szykowały się, by rozwinąć się w piękne i silne rośliny. Potem drogą, którą mama odprowadzała mnie kiedyś do szkoły. Uśmiechnęłam się na to wspomnienie, nie czując już palącego ostrza w piersi. Minęłam nowy szpital i pozwoliłam myślom pomknąć ku Zuzannie i Caroline. Miałam nadzieję, że mają się dobrze. Może kiedyś uda mi się pojechać z Halinką do Nowego Jorku. Spodobałyby się jej muzea sztuki, które tam mają.

Gdy dotarłam do mieszkania, zsunęłam buty i przemknęłam korytarzem do pokoju Haliny. Stałam przez chwilę w ciemności i obserwowałam, jak jej pierś faluje przez sen. Pierścionek mamy rzucał odblaski na posłanie córki, której jasne włosy rozsypały się po poduszce jak płynne złoto. Nie poruszyła się nawet, gdy wetknęłam pod jej poduszkę pędzle zawinięte w czerwoną flanelę, dobrze ją otuliłam i pocałowałam w czubek głowy.

Poszłam do łóżka Piotrka. Leżał tam w niemal całkowitej ciemności z ramieniem zakrywającym oczy.

Rozpięłam sukienkę i pozwoliłam opaść jej na podłogę, a potem wsunęłam się pod kołdrę, rozkoszując się gładkością jego skóry i wciągając słodki zapach jego potu, rosyjskich papierosów i domu.

Przyciągnął mnie bliżej i po raz pierwszy od bardzo dawna poczułam to pstryknięcie, jak przy zamykaniu puderniczki.

Notka od autorska

Liliowe dziewczyny to historia oparta na faktach. Caroline Ferriday i Herta Oberheuser to osoby realne, podobnie jak cała wspomniana załoga Ravensbrück, a także rodzice Herty oraz matka i ojciec Caroline, Eliza i Henry Ferridayowie. Staralam się przywołać ich do życia na kartach tej powieści w sposób możliwie realistyczny i jak najlepiej oddać ich charaktery. Czytając listy Caroline, zeznania oskarżonych w procesie norymberskim oraz relacje ocalałych, znajdowałam przesłanki, które pozwoliły mi podjąć próbę odtworzenia ich motywacji. Dialogi tworzyłam sama, ale tam, gdzie było to możliwe, posługiwałam się zeznaniami z procesu lekarzy, a niekiedy słowami samej Caroline z jej listów i wspomnień, które spisała, oraz historii przytaczanych przez jej przyjaciół.

W Ravensbrück, jedynym dużym obozie koncentracyjnym wyłącznie dla kobiet, życie zależało od relacji z innymi kobietami. Kobiety te po siedemdziesięciu latach nadal mówią o sobie „siostry”, pomyślałam więc, że bohaterkami tej opowieści warto uczynić faktyczne siostry. Kasia Kuśmierczyk i jej siostra Zuzanna to postaci oparte luźno na osobach Niny Iwańskiej i jej siostry Krystyny, która rzeczywiście była lekarką. Obie siostry Iwańskie były operowane w obozie. Ich charaktery stworzyłam, czerpiąc z postaci siedemdziesięciu czterech Polek, „królików”. W czasie, który poświęciłam badaniom, nauczyłam się je kochać i mam nadzieję, że postawa tych kobiet posłuży dziś za przykład siły ducha i odwagi. Sama mam dwie siostry, które kocham nad życie, pięć szwagierek i dwie córki, u których obserwowałam przez dwadzieścia cztery lata rozwój siostrzanych uczuć, nie mogłam więc pozostać obojętna na historię Niny i Krystyny.

O Caroline Ferriday po raz pierwszy przeczytałam w artykule w „Victorii” z 1999 roku. Nosił tytuł Caroline’s Incredible Lilacs. W artykule znalazły się zdjęcia jej białego drewnianego domu w Bethlehem, w stanie Connecticut, który Ferridayowie nazwali The Hay, a obecnie funkcjonuje on pod nazwą Bellamy-Ferriday House. W artykule znalazły się też zdjęcia przedstawiające Caroline w ogrodzie pośród dawnych odmian róż oraz bzu. Ponieważ uwielbiam wszystko, co ma odcień fioletu, wycięłam ten artykuł i nosiłam przy sobie, aż kartka stała się cienka jak bibułka. W tamtym czasie miałam trójkę małych dzieci, nie znalazłam więc czasu na wyprawę do domu Caroline. Na to nadszedł czas wiele lat później, choć nie przypuszczałam wtedy, że doprowadzi mnie to do

napisania tej właśnie książki.

Pewnej majowej niedzieli pojechałam do Bethlehem i zatrzymałam się na wysypanym żwirem podjeździe. Tamtego dnia byłam jedyną zwiedzającą, mogłam więc do woli napawać się atmosferą domu, który pozostał w stanie niezmiennym od dnia śmierci Caroline w 1990 roku. Było tam wszystko – wyblakłe tapety, jej łóżko z baldachimem, a nawet ręcznie robione przez jej matkę Elizę włóczkowe draperie.

Na koniec przewodniczka zatrzymała się przy podeście prowadzącym do sypialni na drugim piętrze i wskazała na biurko, na którym stała jej maszyna do pisania, odznaczenia i zdjęcie z Charles'em de Gaulle'em. Spomiędzy pamiątek wydobyła czarno-białe zdjęcie przedstawiające ustawione w trzech rzędach kobiety, które śmiały się i tuliły do siebie.

– A to Polki, które Caroline sprowadziła do Ameryki – powiedziała.
– W obozie w Ravensbrück nazywano je królikami, ponieważ Niemcy przeprowadzali na nich eksperymenty medyczne, jak na królikach doświadczalnych, oraz dlatego, że w ich wyniku skakały po terenie obozu, gdyż nie mogły normalnie chodzić.

Gdy wracałam do domu przez Taconic Parkway ze stojącą obok mnie sadzonką lilaku, która wypełniała mój samochód tą samą słodką wonią, jaka rozchodziła się w ogrodzie Caroline, zrozumiałam, że mam do opowiedzenia historię. Caroline była typem prawdziwej bohaterki. Wiodła niesamowite życie – debiutowała w towarzystwie, występowała na Broadwayu, a ostatecznie pobudziła znużone historiami o trudach wojennych amerykańskie społeczeństwo na tyle, by pomóc kobietom, o których świat wolał zapomnieć. Pozostając pod wpływem zaprzysięgłych abolicjonistek z rodu Woolseyów, pracowała też ciężko, by otworzyć pierwszy „czarny” bank w Harlemie. Zastanawiałam się, dlaczego nikt nie słyszał o tej niesamowitej kobiecie?

Poświęciłam wolny czas na poznanie jej historii, historii Ravensbrück oraz historii drugiej wojny światowej. Każde wolne popołudnie z chęcią spędzałam w chłodnej piwnicy pod starą stodołą połączoną z The Hay, w której obecnie przyjmuje się gości. Przeglądałam tam stare księgi róż, czytałam listy, chłonełam przeszłość Caroline. Gdy Connecticut Landmarks i zarządzająca domem Kristin Havill skatalogowali już wszystkie skarby i bezpiecznie pochowali je w archiwach, Kristin zносиła mi je do piwnicy i pozwalała prowadzić badania. Caroline zostawiła też wiele dokumentów w United States Holocaust Memorial Museum w Waszyngtonie oraz w Nanterre pod

Paryżem. Czulaam, że ślady te aż proszą, by nimi podążyć.

Im głębiej poznawałam życie Caroline, tym bardziej przekonywałam się, że nie sposób oddzielić go od historii Polek poddanych eksperymentom medycznym w Ravensbrück. Zaczęłam badać drogę, jaką przebyły, studiować wspomnienia oraz relacje świadków i z czasem pokochałam te kobiety jak własne dzieci. W swojej pracowni powiesiłam zdjęcia ich wszystkich i postanowiłam, że muszę odwiedzić Lublin, skąd pochodziło wiele aresztowanych w tamtym czasie dziewcząt.

Trzecią osobą, która objawiła mi się w czasie badań nad Ravensbrück, była jedyna lekarka w żeńskim obozie koncentracyjnym i jedyna kobieta sądzona w procesie lekarzy w Norymberdze, doktor Herta Oberheuser. Jak mogła robić to, co robiła, szczególnie zaś jak mogła robić to innym kobietom? Jej zdjęcie, jak i zdjęcia innych członków personelu obozu, również przypięłam sobie na ścianie, choć muszę przyznać, że była to inna ściana. Uznałam jednak, że historię Herty też powinnam opowiedzieć.

W 2009 roku przeniosłam się z Connecticut do Atlanty i zaczęłam pisać, początkowo siedząc w wylanym betonem i otoczonym siatką kojcu dla psów, w nadziei, że choć trochę zrozumiem, jak czuły się kobiety uwięzione w Ravensbrück. Ale gdy zaczęłam czytać relacje tych, które przetrwały, zrozumiałam, że nie muszę zamykać się w klatce, by zrozumieć ich życie w tamtym czasie. Ich historie przedstawiały je aż za dobrze.

Następnego lata wybrałam się w podróż do Polski i Niemiec. Towarzyszył mi wtedy siedemnastoletni syn, który uwiecznił wszystko na nagraniach. W Warszawie wylądowaliśmy dwudziestego piątego lipca 2010 roku i natychmiast wyruszyliśmy do Lublina w towarzystwie Anny Sachanowicz, naszej tłumaczki, a na co dzień nauczycielki w jednej ze szkół na przedmieściach Warszawy.

Gdy spacerowałam po Lublinie i odwiedzałam miejsca, o których pisały ocalone, historia powoli krystalizowała się w coraz drobniejszych szczegółach. Poszliśmy na ogromny Zamek w Lublinie, miejsce pierwszego uwięzienia kobiet, o których miałam pisać. Całe popołudnie spędziliśmy na zwiedzaniu niesamowitego muzeum „Pod Zegarem”, w którym nadal można obejrzeć cele, gdzie przetrzymywano i torturowano członków polskiego podziemia i gdzie można zobaczyć jeden z listów, za pomocą których dziewczęta dały światu znać, co dzieje się za murami obozu. Przeszłam przez ocalałą z nalotów Bramę Krakowską, spacerowałam po olbrzymim placu u wrót lubelskiego Zamku, gdzie w

czasie wojny znajdowało się getto. Poczułam wtedy, że muszę opowiedzieć tę historię, by świat nie zapomniał.

Gdziekolwiek się udaliśmy, mieszkańcy Lublina opowiadali nam o swoich doświadczeniach z okresu wojny, ale także o masakrze w lesie katyńskim, o latach stalinizmu i o życiu za żelazną kurtyną.

W Warszawie udało mi się porozmawiać z jedną z ocalałych z Ravensbrück, Alicją Kubecką. To dzięki jej relacji poznałam mnóstwo niesamowitych szczegółów historycznych dotyczących życia obozowego, ale jej stosunek do oprawców, łatwość, z jaką im wybaczała, postawiły całe moje zrozumienie tej sytuacji na głowie. Jakim cudem ta kobieta nie czuła niechęci, a wręcz nienawiści do Niemców? Jakim cudem nie dość, że im wybaczyła, to jeszcze rok w rok na ich prośbę przyjeżdżała do Niemiec, by pomagać w procesie zablizniania ran?

Razem z synem postanowiliśmy odbyć podróż podobną do tej, którą przebyły „króliki” tego okropnego dnia, gdy we wrześniu 1941 roku wsadzono je do pociągu do Niemiec. Wyruszyliśmy z Warszawy do Berlina. Obserwowaliśmy, jak proste polskie stacje ustępują miejsca nowoczesnym niemieckim die Bahnhöfe. Gdy dotarliśmy do wymuskanego Berlin Hauptbahnhof, cudu współczesnej techniki, żadne z nas nie miało już wątpliwości, jak bardzo lata za żelazną kurtyną spowolniły rozwój Polski.

Gdy wysiedliśmy na dworcu w Fürstenbergu, na tym samym peronie, na który wyszły kobiety z Ravensbrück, poczułam się jak wyrwana z rzeczywistości. Przeszłam z synem tą samą drogą, którą pognano tamte kobiety, mając cały czas obóz w zasięgu wzroku. Bramy obozowej i baraków już nie ma, ale olbrzymie wzgórze nadal wznosi się nad miastem. Do dziś stoi też krematorium, widać, gdzie znajdowała się rozebrana już komora w starej szopie na farby. Zachował się także mur, pod którym tyle kobiet straciło życie. Jest jezioro, do którego wrzucano prochy więźniarek, a dom komendanta nadal spogląda ze wzgórza na teren obozu, szwalnię i potężny kompleks budynków, w którym sortowano zrabowane mienie.

Po powrocie do Stanów pisałam przez trzy lata, robiąc przerwę jedynie na wypad do Paryża, by tam zapoznać się z archiwami Caroline w Nanterre. Tłumacz odczytał mi wszystkie listy Caroline, w tym korespondencję z Anise Postel-Vinay, z którą ramię w ramię walczyła o sprawiedliwość. Stamtąd też wracałam co wieczór metrem do hotelu Lutetia, gdzie spałam w jednym z pokoiów, w których niegdyś funkcjonował szpital dla ocalałych z obozów.

Tego samego roku odwiedziłam też United States Holocaust

Memorial Museum w Waszyngtonie, gdzie znajduje się trzecia część archiwów Caroline – dokumenty poświęcone nie tylko pracy nad sprawą „królików”, lecz także pisma dotyczące jej późniejszych działań z francuskimi przyjaciółmi w ADIR, organizacji niosącej pomoc osobom uwolnionym z obozów i pomagającej w ujęciu Klausa Barbiego.

Wszystkie te badania prowadziłam po to, by móc przedstawić fabularyzowaną opowieść o tym, co się naprawdę działo w Ravensbrück, by zabrać czytelnika w podróż do miejsc, w których byli ludzie związani z historią „królików”, a także przy okazji odkryć część kierujących nimi emocji i ponownie naświetlić historię, która zniknęła ze świadomości opinii publicznej.

Gdy opowiadam ludziom historię „królików”, wiele osób dziwi się temu, co ostatecznie stało się z Hertą Oberheuser. Ona i Fritz Fischer uniknęli stryczka w Norymberdze. Ją skazano na dwadzieścia lat więzienia, lecz ostatecznie uwolniono po cichu już po pięciu, w 1952 roku. Niewykluczone, że rząd Stanów Zjednoczonych zgodził się złagodzić wyrok, by zyskać w Niemczech sojusznika w nadciągającej zimnej wojnie. Doktor Oberheuser otworzyła gabinet w Stocksee, w północnych Niemczech, gdzie pracowała jako lekarz rodzinny. Gdy została rozpoznana przez jedną z ocalałych z Ravensbrück, Caroline i Anise Postel-Vinay skontaktowały się z grupą brytyjskich lekarzy, którzy za ich namową wywarli naciski na rząd niemiecki, by ten ostatecznie cofnął Hecie Oberheuser prawo wykonywania zawodu.

Herta próbowała walczyć z pomocą swoich wysoko postawionych przyjaciół, lecz ostatecznie Caroline chwyciła za maszynę do pisania i rozpoczęła kampanię w prasie amerykańskiej, brytyjskiej i niemieckiej.

W końcu w 1960 roku Herta Oberheuser została pozbawiona prawa wykonywania zawodu i zmuszona do zamknięcia swojej praktyki lekarskiej.

Po zakończeniu tej kampanii Caroline wraz z Normanem Cousinsem, doktorem Hitzigiem i prawnikiem Benjaminem Ferenczem rozpoczęli w imieniu kobiet z Ravensbrück starania o uzyskanie reparacji od rządu zachodniemieckiego. Sprawę udało się zakończyć pomyślnie w 1964 roku. Był to jeden z największych triumfów Caroline, a sam proces naprawdę nieprzyjemny, ponieważ Bonn odmawiało uznania Polski, która w tym czasie pozostawała w strefie wpływów ZSRR, za suwerenne państwo.

W następnych latach Caroline utrzymywała bliski kontakt z wieloma z „królików”. Gościła je często w swoim domu, a one traktowały ją jak

matkę chrzestną, posługując się zresztą tym określeniem w listach do niej, by okazać swój szacunek. Ona z kolei pisała, że uważa je wszystkie za swoje dzieci.

Zasadniczym odstępstwem od faktów jest wprowadzony do powieści wątek relacji łączącej Caroline z Paulem Rodierre'em, bohaterem zrodzonym w mojej głowie. Wprowadziłam ten wątek do powieści, by połączyć Caroline z Francją w sposób bardziej osobisty i jednocześnie podnieść dramatyzm tamtejszych wydarzeń. Mam nadzieję, że sama Caroline nie miałaby mi za złe obdarzenia jej tak przystojnym towarzyszem na kartach tej powieści.

Caroline zmarła w 1990 roku, pozostawiając ukochany dom w zarządzie Connecticut Landmarks, która to organizacja zdołała utrzymać go w stanie nienaruszonym, tak jak życzyła sobie tego Caroline. O każdej porze roku jest tam pięknie, lecz szczególnie polecam wizytę pod koniec maja, gdy kwitnie bez, bo tylko wtedy można naprawdę zrozumieć, dlaczego Caroline i jej matka nie potrafiły żyć zbyt długo z dala od ukochanego ogrodu.

Jeśli moja wizja tej historii zainspiruje Cię do poznania wydarzeń, które stały się kanwą do napisania Liliowych dziewczyn, odsyłam Cię do wielu interesujących materiałów – czy to fikcji historycznej, czy wspomnień. Warto tu wspomnieć o takich tytułach jak *Women in the Resistance and in the Holocaust* pod redakcją i ze wstępem Very Laski czy *The Jewish Women of Ravensbrück Concentration Camp* autorstwa Rochelle G. Saidel oraz *Ravensbrück* Sary Helm. Pełną listę książek znajdziesz na mojej stronie MarthaHallKelly.com Życzę udanych poszukiwań. Przy odrobinie szczęścia odwiedzisz miejsca, o których nawet ci się nie śniło.

Podziękowania

Chciałabym podziękować wszystkim tym, dzięki którym praca nad Liliowymi dziewczynami sprawiła mi taką przyjemność: Mojemu mężowi Michaelowi Kelly'emu, który z radością czytał wszystkie wersje rękopisu i dzielił moje marzenie o przedstawieniu historii Caroline Ferriday, a także nigdy nie wątpił, że ten dzień nadejdzie.

Mojej córce Katherine, za jej mądrość i zachętę, a także za to, że to ona użyczyła Kasi zaradności i jej niebywałej intuicji.

Mojej córce Mary, za wyśmienite uwagi redakcyjne, pogodę ducha i niegasnące wsparcie oraz za stanie się wzorem dla osoby Zuzanny.

Mojemu synowi Michaelowi, za towarzyszenie mi do Polski, rozważanie nieskończonej liczby wariantów fabuły codziennie w drodze do szkoły i ze szkoły oraz za jego olśniewającą błyskotliwość.

Karze Cesare z Ballantine Bantam Dell, najtroskliwszej i najbardziej uzdolnionej pani redaktor, jaką można sobie wymarzyć, która zrozumiała historię Caroline jak nikt inny i potrafiła się w nią zaangażować.

Ninie Arazoza i całemu zespołowi Ballantine Bantam Dell za doskonałą współpracę i entuzjazm: Debbie Aroff, Susan Corcoran, Melanie DeNardo, Katie Herman, Kim Hovey i wszystkim pozostałym.

Mojej niezwyklej agentce Alexandrze Machinist, która wyłuskała moją książkę ze sterty innych, uparła się, że należy tę historię opowiedzieć, i dopięła swego.

Betty Kelly Sargent, za wczesne wsparcie i rady oraz za słowa: „Potrzebuję jedynie rozdziału”.

Mojej siostrze Polly Simpkins, za mądrość, szczodrość i bezwarunkową miłość, a także Sally Hatcher, modelowej starszej siostrze.

Alexandrze Shelley, wybitnej niezależnej redaktor, za jej szczerść, olbrzymią znajomość tematu i pomoc w pracy nad rękopisem.

Wspaniałej Alicji Kubeckiej, jednej z ocalałych z Ravensbrück, za przyjaźń i podzielenie się ze mną swoją niebywałą historią o stracie i przebaczeniu.

Wandzie Rosiewicz i Stanisławie Śledziejowskiej-Osiczko za słodycz, miłość i odwagę w dzieleniu się szczegółami tego, co przeszły jako ofiary hitlerowskich eksperymentów w Ravensbrück.

Mamie Joanne Hall, która mogła mieć dom pełen antyków, lecz wolała mieć w nim gromadkę dzieci.

Ojcu Williamowi Hallowi, za pozytywne nastawienie.

Szwagierce i pisarce Mary Pat Kelly, która powiedziała mi: „Po prostu to zrób”.

Alexandrowi Neave, Benjaminowi Ferenczowi, George'owi McCleary'emu i Cecile Bernard, którzy znali Caroline i tak chętnie podzielili się swoimi wspomnieniami o niej.

Kristin Havill, Erice Dorsett-Mathews, Marj C. Vitz, Carol McCleary i Barbarze Bradbury-Pape z Bellamy--Ferriday House and Gardens, Connecticut Landmarks, za podzielenie się wiedzą i wsparcie.

Drogim przyjaciółkom mojej mamy Betty Cottle, Jan Van Riper i Shirley Kennedy, które pokazały mi, że pokolenie silnych kobiet z Nowej Anglii może sprawić, by świat stał się lepszym miejscem.

Reżyser Stacey Fitzgerald za przyjaźń i pokazanie mi, jak ważna jest współpraca.

Kristy Wentz, za miłość i utrzymanie mojego życia w całości.

Jamie Latiolais, za wspaniałe radzenie sobie z barwami i trafne uwagi na temat rękopisu.

Dr. Januszowi Tajchertowi i dr Agnieszce Fedorowicz, którzy powitali mnie w Polsce i podzielili się swoją wiedzą na temat Ravensbrück oraz eksperymentów z sulfonamidami.

Bernardowi Dugaudowi, który był dla mnie źródłem wszystkiego, co francuskie, oraz dostarczycielem szampana.

Barbarze Oratowskiej, dyrektor Muzeum Martyrologii „Pod Zegarem” w Lublinie, za podzielenie się opowieściami o Lublinie i „królikach” oraz za oddanie się opiece nad pozostałymi przy życiu ocalonymi z Ravensbrück.

Annie Sachanowicz, która oprowadzała mnie po Polsce i służyła pomocą jako tłumacz, a także Justynie Ndulue, która pomagała nam w Niemczech.

Hannie Nowakowskiej za przyjaźń i pomoc.

Davidowi Marwellowi, dyrektorowi Museum of Jewish Heritage, za poświęcony mi czas.

Nancy Slonim Aronie, za wspaniałe warsztaty pisarskie w Chilmark.

Natasy Lekic i Andrei Walker z New York Book Editors, za pomoc i zachętę.

Carol i Chuckowi Ganzom, za wsparcie.

Carol Ann Brown, przewodniczącej Old Bethlehem Historical Society i Museum w Bethlehem, w Connecticut, za uwagi na temat przeszłości Bethlehem.

Jackowi Alexander i Chrisowi McArdle z Arnold Arboretum
Uniwersytetu Harvarda, za podzielenie się wiedzą na temat lilaka.

Janie Hampton, autorce *How the Girl Gides Won the War*, za pomoc
w poszukiwaniach.

Irene Tomaszewski, za wsparcie i współautorstwo wspaniałej książki
Code Name: Zegota: Rescuing Jews in Occupied Poland, 1942–1945,
którą napisała razem z Tecią Werbowski.

Przypisy

- [1] Rada Pomocy Żydom Żegota została powołana w 1942 roku. Autorka przesunęła tę datę na 1939 rok.
- [2] G.G. Byron, Don Juan, w przekładzie Wiktora Baworowskiego, Pieśń 2, Opowiadanie o Haidzie, 179, s. 46, Tarnopol 1879.
- [3] Tamże.
- [4] W przekładzie Andrzeja Lama (przyp. tłum.).
- [5] Sieć dróg i kryjówek w przyjaznych domach, dzięki której czarni niewolnicy ze stanów południowych docierali na północ (przyp. tłum.).
- [6] Amerykański koń wyścigowy, zwycięzca wielu gonitw w latach 1940–42 (przyp. tłum.).
- [7] Elitarna koedukacyjna szkoła średnia w Nowym Jorku, przygotowująca uczniów do podjęcia studiów (przyp. tłum.).
- [8] Laseczka tęczca (przyp. tłum.).
- [9] William Szekspir, Troilus i Kresyda, przełożył Leon Urlich, w: Dzieła dramatyczne, tom IV, Tragedie, PIW, Warszawa 1980, s. 25 (przyp. tłum.).
- [10] Rosie Nitowniczka, fikcyjna postać z czasów drugiej wojny światowej pojawiająca się na plakatach wychwalających pracę kobiet w fabrykach (przyp. tłum.).
- [11] Dosłownie: „pieprzony dupek”, choć w tym przypadku zapewne bardziej „cholerna krowa”, jako że w obozie były same kobiety (przyp. tłum.).
- [12] George Byron, Manfred, przełożyli Jan Kasprowicz i Józef Paszkowski, wydanie elektroniczne (przyp. tłum.).
- [13] Lista rocznych kwot wypłacanych przez brytyjski parlament członkom rodziny królewskiej. W 2011 zastąpiona funduszem Sovereign Grant (przyp. tłum.).
- [14] Muzeum naturalne położone w rejonie jeziorok asfaltowych, w którym można oglądać doskonale zachowane skamieliny zwierząt i roślin sprzed tysięcy lat (przyp. tłum.).

